

The cover art depicts a chaotic battle scene. In the center, a large, muscular Ork warrior with a prominent red mohawk and a red sash is engaged in combat. He has a fierce expression and is holding a large, ornate shield with a dark, swirling pattern. To his left, a smaller, balding character with a large, exposed brain on his head is being held or supported. In the background, another warrior with long blonde hair and a red sash is visible, looking towards the central figure. The scene is set against a backdrop of a red and green landscape, suggesting a battlefield. The overall style is highly detailed and dramatic, characteristic of Warhammer Fantasy Battle artwork.

WARHAMMER

ZABÓJCA SZAMANÓW

NATHAN LONG

PRZYGODY GOTREKA I FELIXA

NATHAN LONG

ZABÓJCA SZAMANÓW
(SHAMANSLAYER)



Przełożyła: Katarzyna Dulas



Copernicus Corporation: 2010

ZABÓJCA SZAMANÓW

– To dziwne – powiedziała Kat. – Bardzo dziwne. Zwierzoludzie nie poruszają się w ten sposób.

– Być może to ślady bandy maruderów – zastanawiał się na głos Ilgner.

– Nie cuchnie maruderami – stwierdził autorytatywnie Argrin.

Kat pokiwała głową.

– Tylko odciski kopyt. Żadnych butów. Przeszło tędy stado, ale nigdy nie widziałam, żeby stado wycinało drzewa na swojej drodze. Zwierzoludzie to leśne stworzenia. Poruszają się między drzewami z taką samą łatwością jak my na otwartej przestrzeni. Nie rozumiem tego.

– Być może transportują działo – zasugerował Felix.

Rodi roześmiał się.

– Zwierzoludzie nie używają dział! – stwierdził. – Nie umieją nawet posługiwać się łukami i strzałami.

– Słuchaj się młodobrodego – zamruczał pod nosem Gotrek. – Pozjadał wszystkie rozumy.

– Ci, którzy stoją na czele stada, potrafią czasem używać dział – powiedział Felix, wspominając piekielną broń, jaką czempionka Chaosu Justine przywiodła ze zwierzoludźmi, którzy zaatakowali Flensburg.

– To może być działo – zgodziła się z wahaniem Kat. – Ale gdzie są ślady kół?

– Dziwne czy nie – przerwał dyskusję Ilgner, machając niecierpliwie ręką. – Znaleźliśmy trop naszej zwierzyny i zdaje się, że nie będzie trudno nim podążać. Polowanie uważam za rozpoczęte.

To mroczna, krwawa era. Czas demonów i czarnoksiężstwa. Era bitew, śmierci a także końca świata. Pośród ognia, płomieni i szaleństwa. Jest to także czas niezłomnych bohaterów, śmiałych czynów i wielkiej odwagi. W sercu Starego Świata rozciąga się Imperium – największe i najpotężniejsze z ludzkich królestw. Słynie ze swych inżynierów, czarodziejów, kupców i żołnierzy. To kraina ogromnych gór, szerokich rzek, ciemnych lasów i rozległych miast. Z wyżyn tronu w Altdorfie włada nią Imperator Karl Franz, wyświęcony potomek założyciela tego państwa – Sigmara, powiernik jego magicznego bojowego młota. Czasy są niespokojne. Wzdłuż i wszerz Starego Świata, od rycerskich zamków Bretonii do skutego lodem Kisleva na dalekiej Północy, słychać doniesienia o zbliżającej się wojnie. W niebotycznych Górach Krańca Świata plemiona orków szykują się do kolejnej napaści. Zbóje i odstępcy nękają dzikie ziemie Księstw Granicznych na Południu. Pojawiają się plotki o podobnych szczirom istotach, skavenach, które wynurzają się z rynsztoków i bagien we wszystkich krainach. Na północnych

pustkowiach nie ustępuje odwieczna groźba Chaosu, demonów i zwierzo– ludzi wypaczonych przez nikczemne moce Mrocznych Bogów. Zbliża się pora rozstrzygającej bitwy. Imperium potrzebuje bohaterów, jak nigdy przedtem.

„Po przygodzie z Mrocznymi Elfami, która nieomal skończyła się dla nas tragicznie, powróciliśmy z Zabójcą do Altdorfu, aby na miejscu przekonać się, że moje najgorsze obawy dotyczące życia mego ojca spełniły się. Owładnięty gniewem i poczuciem winy złożyłem przysięgę, że zniszczę stworzenie mroku, które uśmierciło starca, bez względu na to, ile czasu lub kosztów będę musiał na to poświęcić. Ale los nie pozwolił mi wypełnić przyrzeczenia. Zamiast tego, w wyniku dawno zapomnianego zobowiązania, zostaliśmy z Zabójcą wmieszani w przygodę zupełnie innego rodzaju. W najmroczniejszych gęstwinach Drakwaldu mieliśmy oto stawić czoła najstarszym i najbardziej zatwardziałym wrogom rodzaju ludzkiego, którzy tym razem knuli intrygę o niespotykanych jeszcze w historii konsekwencjach.

Podczas walki z tym straszliwym zagrożeniem odnaleźliśmy naszych towarzyszy z dawnych lat. Spotkania te były zarówno słodkie, jak i gorzkie, radosne, jak i rozdzierające serce, ale z pewnością miały one na zawsze zmienić charakter mych dalszych podróży z Gotrekiem.”

Fragment Moich podróży z Gotrekiem,
Tom VIII, spisany przez Herr Felixa Jaegera
(Wydawnictwo Altdorf, rok 2529)

1

Felix Jaeger zatrzymał się, żeby spojrzeć na altdorfską rezydencję swojego ojca rysującą się na tle szarego, zimowego nieba. Czy rzeczywiście była tak nieprzyjazna i opustoszała, czy tylko tak mu się wydawało? Z pewnością marmurowe stopnie nie były aż tak brudne, kiedy ostatni raz wpadł z wizytą. Na pewno też tamtym razem zasłony nie były zaciągnięte. Wszedł po schodach, po czym ponownie zatrzymał się przed drzwiami.

Od chwili, gdy odnalazł pierścień ojca na sznurku wokół szyi skaveńskiego skrytobójcy leżącego na plaży Morza Chaosu, Felix płonął z niecierpliwości, żeby jak najszybciej powrócić do Altdorfu i dowiedzieć się, co szczuropodobni złoczyńcy uczynili starcowi. Ale teraz, gdy tylko pokonanie ostatniego stopnia dzieliło go od poznania prawdy, stwierdził, że nie może się ruszyć.

Przez ponad miesiąc przepełniał go strach i niepewność. W jaki sposób skaveny weszły w posiadanie pierścienia? Czy wyrządziły krzywdę jego ojcu, żeby tego dokonać? Czy go zabiły? Czy może tylko ukradły klejnot, a starego człowieka puściły żywcem? Miał wrażenie, że jego myśli to psy, które bezskutecznie, ale i bez chwili spoczynku ścigają swoje własne ogony. Zadręczał się tak przez całą zbyt wolno przebiegającą podróż, którą wraz z towarzyszami odbywali wracając do cywilizacji. Ale o ile bezradność i niepewność doprowadzały go do szaleństwa, to nagle okazało się, że jeżeli czegoś obawia się jeszcze bardziej, to poznania prawdy. Kiedy się dowie, będzie musiał pozwolić dojść do głosu emocjom, jakie do tej pory tłumił. Kiedy się dowie, będzie musiał coś przedsięwziąć.

Przeklął swoje własne niezdecydowanie i ściągnął łopatkę, prostując się. Przypominał człowieka, który obawia się założenia

szwów na ranę – oczekiwanie było gorsze niż wydarzenie samo w sobie. Lepiej będzie pocierpieć chwilę, jeżeli dzięki temu rana ma szansę się zabiźnić.

Zapukał do drzwi.

Odpowiedziała mu cisza. Zapukał jeszcze raz i odczekał chwilę, a jego niepokój narastał. Wtem, gdy już zaczął rozmyślać nad sposobem wejścia do środka siłą, usłyszał odsuwanie zasuwki i przekręcanie klucza w zamku. Drzwi otworzyły się i ujrzał ponurą, poszarzałą twarz ojcowskiego lokaja.

– Czy on...? – zawahał się Felix.

– Pański ojciec nie żyje, sir – odpowiedział lokaj. – Przykro mi, sir.

Felix poczuł, jak zalewa go fala gniewu i żalu. Oczywiście przeczuwał to przez cały czas, ale co innego było domyślać się najgorszego, a co innego usłyszeć to z ust innego człowieka, potwierdzającego zaistniały fakt.

– A... – zająknął się. – A jak to się stało?

Lokaj zamilkł, a na jego poważnej twarzy pojawił się na chwilę grymas strachu.

– Pański brat jest tutaj, sir. Myślę, że to z nim powinieneś porozmawiać.

Felix poblądł. Otto był tutaj? Ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę, to rozmowa z bratem! Z drugiej strony, kiedyś przecież będzie musiał się z nim spotkać. Z pewnością są jakieś formalności po śmierci ojca, których będą musieli dopilnować. Westchnął. Nie było sensu odkładać tego, co nieuniknione.

– Dobrze więc – powiedział. – Prowadź mnie do niego.



Lokaj pchnął drzwi do gabinetu ojca Felixa. Ściany długiego, ciemnego pokoju zastawione były półkami uginającymi się pod ciężarem ksiąg buchalteryjnych. Pomieszczenie oświetlał blask niewielkiego płomienia w olbrzymim kominku, obok którego stało

szerokie biurko, niemal zupełnie pokryte księgami, stertami papierów, zwojami i skórzanymi foliarami, spod nich wystawały skrzynki i kasy pancerne, z których wysypywało się jeszcze więcej papierzysk. Za biurkiem siedział Otto, niemal całkowicie zasłonięty przez górę dokumentów. W serdelkowatych palcach trzymał gęsie pióro, łysą głowę pochylał nad blatem i co chwila zerkał krótkowzrocznie na otwartą przed sobą księgę, oświetloną blaskiem świecy, chwiejącej się niebezpiecznie na czubku góry papierów. Cały czas mamrotał coś do siebie i nie zwracał uwagi na otoczenie.

Felix wszedł do środka, a lokaj zamknął za nim drzwi. Otto nie podniósł głowy. Felix zatrzymał się, po czym odchrząknął i ruszył do przodu. Otto dalej nie zwracał na niego uwagi, tylko cały czas mamrotał i odznaczał kolejne pozycje pociągnięciami pióra.

Felix dotarł do zabałaganionego biurka. Jeszcze raz odchrząknął, tym razem głośniej. Wciąż bez odpowiedzi.

– Ehm, Otto...

– Trzydzieści dwa tysiące dziewięćset i... i... A niech cię! Przez ciebie się pomyliłem! – Otto spojrzał na niego, a jego obwisłe brodate policzki trzęsły się ze wściekłości. – Nie mogłeś...?

Zastygł w bezruchu, gdy zobaczył, do kogo mówi.

– To ty.

I po kilku sekundach znowu.

– To ty!

– Witaj, bracie – zaczął Felix. – Przykro mi, że...

– Śmiesz się tu pokazywać, ty... ty morderco! – wydusił z siebie wreszcie Otto.

– Nie zabiłem go! – krzyknął Felix, chociaż poczuł, że oblewa go zimny pot i ogarnia poczucie winy.

– Ach czyżby, na bogów? Czyżby?! – wrzasnął Otto, podnosząc się i wymierzając w niego pióro oskarżycielskim gestem. – Przybyłeś się z nim zobaczyć po raz pierwszy po dwudziestu latach i tej samej nocy został brutalnie zamordowany we własnym łóżu! Uważasz, że to zbieg okoliczności? Nie? Być może nie ty zadałeś śmiertelny cios, ale, na Sigmara, to przez ciebie znalazł się w niebezpieczeństwie!

Felix zwiesił głowę, słysząc te słowa, ponieważ nie mógł zaprzeczyć oskarżeniom. Mimo że wtedy nie zdawał sobie z tego

sprawy, skaveny go śledziły. Musiały za nim dotrzeć aż do ojcowskiej rezydencji.

– Co mu zrobili?

Otto wlepił w niego wzrok.

– Schmidt znalazł go w łóżu, przywiązanego za kostki i nadgarstki. Był... był torturowany. Nie znaleziono śmiertelnej rany. Zdaje się, że zmarł ze strachu.

Felix zadrzał, przypominając sobie, co zżerany przez spaczeń skaveński prorok zrobił Aethenirowi i wyobrażając sobie, że to samo mogło się przydarzyć jego wążtemu, staremu ojcu. Gustav Jaeger nie był dobrym człowiekiem, ale nawet najgorsi nie zasługiwali na taką śmierć.

– Przykro mi, Otto. Rzeczywiście byli to moi wrogowie...

– Przykro ci? – przerwał mu Otto. – Myślisz, że przeprosiny wystarczą? Sprowadziłeś śmierć na naszego ojca! Na krew Sigmara, jesteś jak klątwa! Już raz ci powiedziałem, że nie chcę cię więcej widzieć. Wszędzie tam, gdzie się pojawiaasz, krok za tobą podąża śmierć i zniszczenie. Możesz sobie wziąć swoje „przykro mi” i iść z nim w cholerę. A teraz wynoś się stąd, zanim i mnie zabijesz.

Felix westchnął. Naprawdę nie mógł mieć pretensji do Otta za te słowa. Brat miał rację. Był jak klątwa. Wystawił Otta i jego rodzinę na niebezpieczeństwo, niemal doprowadził do tego, że brat zginął w ataku na ulicy w Nuln, a potem przybył do Altdorfu i poprowadził swoich wrogów prosto do domu ojca, gdzie go dopadli i torturowali, aż umarł. Zresztą nie tylko własnej rodzinie przysporzył cierpienia swoją obecnością. Wraz z Gotrekiem brali udział w walce, która zniszczyła niemal całą dzielnicę w Nuln. Następnie załogę Dumy Skinstaad, z którą podróżowali, wyrznięto w pień, a tysiące niewinnych niewolników utonęło wraz z zatopieniem Czarnej Arki Mrocznych Elfów. To nie wszystko – cała armia trupów maszerowała za nim i wskazywała na niego, szepcząc: „Żylibyśmy jeszcze, gdyby nie ty...”.

Posmutniały Felix wykonał ukłon przed Otto, po czym zrobił krok w tył i odwrócił się. Dostał odpowiedź na pytanie, jakie go dręczyło. Nie było powodu, żeby tu dłużej zostawał. Poza...

Z powrotem zwrócił się twarzą ku bratu.

– Jest jeszcze jedna rzecz...

Oczy Otta rozszerzyły się z gniewu i zaskoczenia.

– Na Sigmara, nie mów mi, że masz jeszcze czelność domagać się spadku?! Po tym wszystkim, do czego doprowadziłeś? Powinieneś dostać za to stryczek, a nie złoto człowieka, którego zamordowałeś!

– Nie chcę tego złota! – sarknął Felix. – Może pozwolisz mi dokończyć?

Otto skrzyżował ręce na swym okazałym brzuchu. Obserwował go czujnie, czekając na wyjaśnienie. Felix wyjął zza pazuchy kopertę.

– Kiedy ostatni raz widziałem się z ojcem, poprosił mnie, abym wyświadczył mu przysługę. Chciał, żebym się udał do Marienburga i wydobył od Hansa Eulera pewien kompromitujący list, który nasz ojciec swego czasu wysłał do ojca Eulera.

– Euler – skrzywił się Otto. – Ten przebiegły mały oszust. Oby zgnił w piekle.

– To bardzo prawdopodobne – odparł Felix, przypominając sobie ostatni pojedynek z Eulerem, kiedy to rozplątał go na pół. Wyciągnął przed siebie kopertę.

– Odzyskałem list, ale...

– Ale ponieważ ojciec nie żyje, jest już za późno – stwierdził Otto z szyderczym uśmiechem. – Dobra robota.

Felix zacisnął dłonie w pięści. Zwalczył przemożną chęć walnięcia brata w nos.

– Ale – powtórzył na tyle spokojnie, na ile był w stanie. – Kiedy przeczytałem list, bardzo się zaniepokoiłem.

Otto skinął niecierpliwie głową, a Felix podał mu kopertę. Mówił dalej, podczas gdy Otto otworzył kopertę i rozłożył list.

– Ojciec powiedział mi, że list jest dowodem na to, że ojciec szmugłował towary do Imperium nie płacąc za nie cła i że Euler miał zamiar szantażować go za pomocą listu, aby zmusić do sprzedaży spółki Jaeger i Synowie.

– A to świnia – powiedział Otto zagłębiając się w lekturze. – Jeżeli naszego ojca nazwać przemytnikiem, to jego win starczyłoby na dziesięciu takich.

– Ale nie to jest najgorsze – ciągnął Felix. – Spójrz na drugą stronę. Ojciec wspomina tam, że otrzymał od ojca Eulera sześć rzadkich ksiąg z Tilei, ale w związku z tym, że niektóre z nich są w złym stanie, żąda zwrotu pieniędzy.

– I co z tego? – spytał Otto, przysuwając list bliżej płomienia świecy, żeby łatwiej mu było czytać. – To nie byłby pierwszy raz, gdy ten stary pirat próbował opchnąć komuś trefny towar.

– Maelificarium to zakazana księga – powiedział Felix. – Tak jak i Siedem Wrót Urbanusa. To książki traktujące o czarnej magii. Ludzi palono na stosach za samo to, że znali ich tytuły.

Otto znieruchomiał nad listem. Felix zrobił krok do przodu.

– To coś więcej niż zwykły przemyt, Otto. To niebezpieczna sprawa. Jeżeli ojciec był zamieszany...

Otto zmiął list w rękach i wrzucił go do ognia. Z ust Felixa wydobył się okrzyk zaskoczenia.

– Co robisz? – gwałtownie ruszył w stronę kominka.

Otto zastąpił mu drogę i utkwiał spojrzenie w jego twarzy.

– Ten list to fałszywka. Sztuczka Eulera, jej celem było sprowadzenie na nas zguby. Ojciec nigdy nie zajmował się handlem zakazanymi księgami. Nigdy. Rozumiesz?

– Ale skąd wiesz? – zapytał Felix. – Nie sądzisz, że powinniśmy komuś powiedzieć? W liście było wspomniane nazwisko handlarza, który...

Otto odepchnął go na bok, a jego twarz wykrzywił grymas. Felix zatoczył się do tyłu, nieomal potykając się o leżącą na podłodze torbę pełną papierów.

– Na bogów! – krzyknął Otto. – Czy nie dość złego już wyrządziłeś? Zabiłeś już go raz. Chcesz go teraz wykopać z grobu i zabić powtórnie? Chcesz zabić mnie? Chcesz mnie doprowadzić do ruiny?

– Oczywiście, że nie – bronił się Felix. – Ale...

– Wiesz, co by się stało, gdybyś „komuś powiedział”? – wyrzucił z siebie Otto, napierając na niego ociężałym krokiem. Nawet w ciepłym blasku ognia jego twarz wyglądała na chorobliwie bladą. – Łowcy czarownic znaleźliby się tutaj szybciej, niż zdołałbyś pstryknąć palcami. Każdy zapis, każda z ksiąg buchalteryjnych,

każdy list dotyczący naszego ojca, mnie czy Jaegera i Synów zostałyby skonfiskowany i dokładnie przestudiowany w poszukiwaniu dodatkowych dowodów na czarnoksiężskie praktyki. Mogliby wziąć mnie na przesłuchanie, tak samo jak Annabellę i naszego syna, a nawet ciebie, gdyby udało im się cię złapać. I uwierz mi, że to, co twoi „przyjaciele” zrobili naszemu ojcu, to nic w porównaniu z tym, co łowcy czarownic zrobiliby nam. Naprawdę tego chcesz? Chcesz zobaczyć, jak obdzierają nas ze skóry i palą na stosie?

– Ależ skąd – zaprotestował Felix. – Ale...

– Nie ma żadnego ale! – stwierdził kategorycznie Otto. – Nie ma już znaczenia, co ojciec zrobił, a czego nie. Jaeger i Synowie to teraz poważna firma o dobrej reputacji. Uczciwie handlujemy legalnymi towarami. Pozwólmy przeszłości odejść w niepamięć, błagam cię, Felixie! – Złapał Felixa za przód koszuli i utkwiał w bracie błagalne spojrzenie. – Błagam cię!

Felix zamrugał oczami z zaskoczenia. Cała złość, która przed chwilą płonęła w oczach Otta, zniknęła. Został tylko czysty strach.



Ulice Altdorfu pełne były uchodźców i żołnierzy powracających z wojny. Rodziny wraz z całym swym dobytkiem na plecach błąkały się w okolicach Königsplatz, gapiąc się z otwartymi ustami na wysokie budowle. Ranni mężczyźni z kikutami zamiast nóg lub hakami zamiast dłoni zebrali w podcieniach Świątyni Sigmara. Matki tuliły do piersi łkające dzieci, żeby je trochę ogrzać i ochronić przed podmuchami zimowego wiatru wyjącego w podobnych do kanionów alejach. Niezdyscyplinowane oddziały włóczników i kuszników wlokły się za swymi dowódcami, strasząc nieogolonymi twarzami i pustym wzrokiem utkwionym gdzieś w przestrzeni.

Felix nie zwracał jednak uwagi na otoczenie, gdy niespiesznie wracał z ojcowskiej rezydencji w stronę Woła Roboczego, gdzie wraz z Gotrekiem wynajęli pokój po powrocie do miasta. Wciąż zastanawiał się, czy dobrze postąpił obiecując Otto, że nikomu nie

powie o liście. Otto mógł sobie myśleć, co chciał, ale przecież Felix nigdy nie pragnął działać na szkodę własnej rodziny. Z drugiej strony, księgi, o których wspomniano w liście, mogły się przyczynić do zguby wielu osób. Żałował teraz, że nie pokazał listu Maxowi. On z pewnością nie nasłałby na Jaegerów łowców czarownic. Zająłby się całą sprawą z wrodzoną mu dyskrecją. Może powinien powiedzieć mu teraz. Pożegnali się zaledwie wczoraj, chociaż magister dał mu wtedy wyraźnie do zrozumienia, iż ma nadzieję, że nie zobaczą się przez naprawdę długi czas.

Felix doskonale rozumiał takie nastawienie. Ich wyprawa na Morze Chaosu sprawiła, że Max straszliwie się postarzał. Większość powrotnej drogi do Marienburga spędził leżąc na ławce w kajucie kapitańskiej na galerze Mrocznych Elfów, którą przejęli. Trząsał się i pocił, męczony jakąś gorączką, podczas gdy jego ciało w zastraszającym tempie marszczyło się i wreszcie zaczęło obwisać jak u starca.

Claudia Pallenberger, prorokini z Kolegium Niebios, której wizje poprowadziły ich na Morze Chaosu, radziła sobie niewiele lepiej. Rzuciła się i płakała przez sen, a gdy była przytomna, sprawiała wrażenie otępiełej i przygnębionej. Podczas tej długiej, bolesnej podróży Felix sprawował raczej funkcję opiekunki niż kapitana. Wiele razy ogarniał go strach, że jego nieudolne starania przyniosą odwrotny od zamierzonego skutek i zabiją dwoje magów. Na szczęście okazali się bardziej odporni niż można by było przypuszczać. Zanim pokieroszowany czarny statek został zatrzymany przez łódź marienburgskiego patrolu portowego, oboje byli już w stanie wyjść na pokład i o własnych siłach zejść po trapie na stały ląd.

Żadne z nich jednakowoż nie powróciło do pełni sił. Mimo że Max odzyskał cięty dowcip i inteligencję, pozostał straszliwie wychudzony nawet po tygodniu żywienia się treściwą marienburgską zupą rybną popijaną kuflami ciemnego piwa. Jego włosy, które wcześniej, zanim Mroczna Elfka zgoliła go na łyso, miały kolor brązu poprzetykanego pasmami siwizny, teraz odrastały śnieżną bielą. Blizny Claudii nie rzucały się tak bardzo w oczy. Jeżeli nie liczyć ostrzyżonej głowy, szybko odzyskała piękno i

zdrowie, ale w jej oczach pojawiła się powaga i smutne zrozumienie, czego z pewnością nie było tam na początku podróży. Ujrzała okrucieństwo oraz deprawację świata i została tym widokiem naznaczona na zawsze.

Felix patrzył na to z przykrością, ponieważ jej niewinność i młodzieńcza arogancja były czarujące, ale z drugiej strony wpędziły go w nie lada kłopoty. To doświadczenie, mimo że gorzkie, z pewnością dało jej wiedzę, dzięki jakiej w przyszłości będzie lepszą, bardziej odpowiedzialną prorokinią.

Max i Claudia odpoczywali dzień w gospodzie, oczekując na łódź rzeczną, która miała ich zabrać do Altdorfu. Tymczasem Gotrek i Felix udali się do domu Eulera, żeby z sejfu kupca wydobyć kompromitujący list. Była to przygoda sama w sobie, nie obyło się bez porządnej burdy, ale w końcu dopięli celu. Poprzedniego wieczora udało im się dotrzeć do Altdorfu, po trwającej dwanaście dni, mozolnej podróży w górę Reiku.

Pożegnanie upłynęło w nastroju przyjacielskim, aczkolwiek nieco przygaszonym. Max i Claudia podziękowali Felixowi i Gotrekowi za to, że dzięki nim udało im się ująć z życiem z całej tej przygody. Felix podziękował Maxowi i Claudii za to samo. Gotrek tylko coś mruknął pod nosem. Max wyruszył z Claudią w drogę do jej Kolegium. Na miejscu miano jej postawić zarzuty o nieetyczne zachowanie i lekkomyślność. Natomiast Gotrek z Felixem ruszyli na poszukiwanie pokoju do wynajęcia i miejsca, w którym mogliby się czegoś napić.

Felix był odrobinę zaskoczony, a także trochę rozczarowany tym, że Claudia nie próbowała go pocałować na pożegnanie. Być może buntownicza iskra w jej duszy, która popchnęła ją w jego ramiona, zgasła wraz z nabyciem ciężko zapracowanej wiedzy i doświadczenia. Jak to ujął Max, jeżeli dostaniemy od losu drugą szansę i dar wybaczenia, być może wszystkim nam uda się przeżyć na tyle długo, żeby nauczyć się czegoś na własnych błędach i naprawić to, co zepsuliśmy. Felix miał nadzieję, że sprawdzi się to w przypadku Claudii.

Ogarnął go pusty śmiech na myśl o ostatnich pożegnaniach. Wyglądało na to, że ledwie wrócił do Imperium, a już wszyscy

chcieli, żeby natychmiast znów je opuścił. Nie martwił się tym jednak, ponieważ miał do wyrównania krwawe porachunki ze skavenamě. Mogło się to skończyć bardzo źle i z pewnością nie chciał mieszać w to żadnych niewinnych osób.

Felix odsunął skórzaną zasłonę wiszącą w wejściu do Woła Roboczego i ruszył w stronę stolika na tyłach, przy którym siedział samotnie Gotrek. Krasnolud w jednej ręce trzymał kufel z metalową pokrywką, a drugi stał przed nim na stole, wypełniony po brzegi i gotowy do spożycia. Wyprawa na Morze Chaosu także i na Zabójcy wycisnęła swoje piętno. Jego ciało pokryło się nowymi bliznami, jak u Maxa i Claudii. Skórę we wnętrzu dłoni miał stopioną tak, że gładkością przywodziła na myśl zastygły воск. Dokonała tego tajemna moc, która spłynęła przez runiczny topór w chwili, gdy Gotrek rozplątał nim Harfę Zagłady na pokładzie skaveńskiego okrętu podwodnego. Jednak, podczas gdy mag i czarodziejka w obliczu niebezpieczeństwa postarzeni się i nabrali powagi, to Gotrek sprawiał wrażenie nowonarodzonego. Spojrzenie jego jedyne oko było jakby czujniejsze i żywsze, pomarańczowy grzebień na czubku głowy znów był postawiony na bacność i pysznił się świeżym kolorem. Broda krasnoluda była posplatana w schludne warkocze, a przysadzista, potężna sylwetka niemal wibrowała od rozpierającej ją ledwie kontrolowanej gwałtownej mocy.

Felix nie był pewien, co spowodowało tę zmianę. Ucieczka z Czarnej Arki była jednym z największych wyzwań, jakim kiedykolwiek musieli stawić czoła, a mimo wszystko Gotrek wydawał się w tak świetnej formie, jak nigdy dotąd. Być może wpłynęła na to możliwość walki z odwiecznym wrogiem jego rasy, Mrocznymi Elfami. Być może chodziło o przepowiednię demona, który przemówił w komnacie wezwań i obiecał Gotrekowi, że jego przeznaczeniem jest zginąć w walce z demonem potężniejszym niż on sam. Cokolwiek by to nie było, Gotrek był w lepszym nastroju niż kiedykolwiek odkąd opuścili Karak Hirn.

Zabójca zmierzył spojrzeniem Felixa, który skinął na posługaczkę, aby przyniosła mu kufel ale i usiadł obok krasnoluda.

– Czego się dowiedziałeś, człeczyno? – zapytał.

Felix westchnął.

– Wszystko, czego się obawiałem, sprawdziło się. Mój ojciec nie żyje, skaveny torturowały go i wreszcie zabiły. – Zaciśnął dłonie w pięści i obrócił się twarzą do Zabójcy. – Poprzysiągłem, że zemszczę się na tym podłym, starym szcurze albo zginę, próbując.

Gotrek z aprobatą pokiwał głową.

– Dobrze powiedziane. – Pociągnął spory łyk z kufła. – Chociaż on może już nie żyć. Wpadł przecież do morza.

Felix potrząsnął głową.

– O nie. On żyje. Jestem tego pewien. I to ja go zabiję.

Dziewczyna postawiła przed Felixem zamówione piwo. Gotrek uniósł swój kufel.

– Za zemstę – powiedział.

Felix wykonał ten sam gest i stuknęli się kufłami.

– Za zemstę!

Obaj wypili po sporym łyku, po czym z hukiem odstawili kufle na drewniany blat. Felix wytarł usta wierzchem dłoni. Czuł, że po takim oświadczeniu powinien niezwłocznie wyruszyć i dopaść swojego wroga, ale nie miał zielonego pojęcia, gdzie mógł się czaić przebiegły skaven.

– A więc, ehm, jak myślisz, gdzie go znajdziemy? – zapytał po minucie kłopotliwego milczenia.

Gotrek beknął i zabrał się za drugie piwo.

– Nie martwiłbym się o to, człeczyno. Jeżeli żyje, to mogę się założyć, że sam nas odnajdzie. Musimy tylko być na to przygotowani.

– Aye – zgodził się Felix. – Zawsze czujni.

– Tutaj jest! – odezwał się wysoki głos gdzieś z przedniej części karczmy.

Gotrek i Felix aż podskoczyli. Natychmiast wyciągnęli broń, niemal przewracając swoje kufle, ale to nie był głos skaveńskiego czarnoksiężnika. Zamiast tego mieli przed sobą młodzika w liberii giermka, który palcem wskazywał prosto na nich.

Zdezorientowany Felix zamrugał oczami. Chłopak był obcięty na pazia, ubrany w kaftan i spodnie w kolorze głębokiego błękitu. Na piersi, po prawej stronie, miał emblemat w formie czerwonego serca otoczonego płomienistym kręgiem. Stał obok wysokiego, starego

rycerza o dość słabowitym wyglądzie. Starzec był łyсы, ale miał imponującą białą brodę, zaś jego bladoniebieskie oczy płonęły blaskiem fanatyzmu. Pod ciężką, wełnianą opończę nosił szaty w tym samym odcieniu błękitu co chłopak. Felix nigdy wcześniej nie spotkał żadnego z nich.

– Znasz ich? – zapytał Gotreka półgębkiem.

– Nie – odpowiedział Gotrek. – A ty?

– W życiu.

Rycerz przeszedł przez salę barową, sztywnym, dumnym krokiem, podczas gdy młodzieniec, który nie mógł mieć więcej niż siedemnaście wiosen, ruszył w ślad za nim.

Gotrek warknął ostrzegawczo, gdy ta dwójka zbliżyła się do stołu, ale stary rycerz nie spuszczał gniewnego wzroku z twarzy Felixa.

– Czego ode mnie chcecie? – zapytał wreszcie Felix.

Stary rycerz sięgnął do kieszeni w opończy i wyciągnął stamtąd książkę. Rzucił ją na stół niedbałym ruchem nadgarstka.

– Czy to ty napisałeś te brednie?

Felix zerknął na okładkę. Był to drugi tom opowieści o jego podróżach z Gotrekiem. Zamrugnął ze zdumieniem. Była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał.

– No cóż, nie nazwałbym tego bredniami – odpowiedział po chwili. – Ale tak, ja to napisałem.

– I czy wyprawiliś się do Karaku Osiem Szczytów z rycerzem Aldredem Kepplerem z Zakonu Płonącego Serca?

Sytuacja robiła się coraz bardziej kuriozalna. Felix wymienił z Gotrekiem pytające spojrzenia. Zabójca wzruszył ramionami.

– Tak, to prawda – przyznał w końcu Felix. – O co w tym wszystkim chodzi?

– I gdy zginął, czy przywłaszczyłeś sobie jego miecz, Karaghula, mimo że nie należał do ciebie?

– Ehm, no cóż – zająknął się Felix.

– Nie musisz odpowiadać, tchórze! – krzyknął stary rycerz. – Ponieważ właśnie widzę go u twego pasa!

Wymierzył w Felixa oskarżycielski palec, a jego oczy błyszczały szlachetnym gniewem.

– Ten miecz należy do Zakonu Płonącego Serca! Ukradłeś go nam przed dwudziestu laty, Felixie Jaegerze, ale dość już tego! Oddawaj go natychmiast!

2

Felix wpatrywał się w sędziwego rycerza w kompletnym osłupieniu. Walczył Karaghulem od tak dawna, że prawie zapomniał, iż kiedyś ten miecz nie należał do niego. Nie potrafił sobie wyobrazić sytuacji, w której musiałby się go pozbyć. Był to najlepszy miecz, jakim kiedykolwiek było mu dane walczyć. Jego runiczna moc swego czasu pozwoliła mu zabić smoka, a ostatnio śmiertelnie ranić morskiego węża. Gdyby nie ta broń, nie wyszedłby najprawdopodobniej żywy z tych dwóch pojedynków.

– Ja... Zawsze chciałem go oddać – zająknął się.

– Uważaj, bo ci uwierzę – szydził rycerz.

– Naprawdę – zarzekał się Felix. – Tylko, że... tylko, że nie było mnie w Altdorfie przez dwadzieścia lat.

Nie była to do końca prawda. Spędził tu dwa miesiące przed wyprawieniem się do Marienburga i Pustkowi, ale ani razu nie przeszło mu przez myśl, żeby poszukać siedziby Zakonu Płonącego Serca i oddać im miecz. Fakt, że rycerze mieli do niego prawo, wypadł mu z głowy dawno, dawno temu.

Ta myśl sprawiła, że zaczął się zastanawiać nad czymś innym.

– Skąd wiedzieliście, że mnie tu znajdziecie?

Stary rycerz rzucił złowrogie spojrzenie na stojącego obok chłopca.

– Niedaleko stąd jest zakonny kapitułarz. Mój giermek, Ortwin, niech Sigmar zmiłuje się nad jego duszą za taką stratę czasu, czytał te twoje fanfaronady i po opisie w książce rozpoznał twojego towarzysza na ulicy. Ale dość tego. Oddaj miecz, który ukradłeś.

– On nie ukradł tego miecza, rycerzu – wtrącił się Gotrek, mierząc starca uważnym spojrzeniem.

Rycerz spojrzał na krasnoluda, najwidoczniej ani trochę niezmiśnany przesywającym spojrzeniem jedyne go oka Gotreka.

– Czyżby miał zgodę rycerza Kepplera, żeby go wziąć?

Felix zadrżał, przypomniawszy sobie, jak troll oderwał Kepplerowi głowę dokładnie w tej samej chwili, gdy on znalazł miecz.

– Och, nie miał szansy – odparł. – Zginął, zanim zdołał cokolwiek powiedzieć.

– Skąd mogę wiedzieć, że to prawda? – zapytał rycerz. – Cała twoja opowieść może być zwykłą bujdą. Mogłeś sam zasadzić się na szlachetnego rycerza i ograbić go z miecza.

Gotrek dosłownie zmiażdżył go wzrokiem.

– Krasnoludy nie kłamią.

To skłoniło starego rycerza do zastanowienia. Z szacunkiem pochylił głowę przed Gotrekiem.

– Proszę wybaczyć, Herr krasnoludzie. Uczciwość i honor twojej rasy są dobrze znane i w normalnych okolicznościach nigdy bym ich nie kwestionował, ale przetrzymywać coś, co należy do kogoś innego, przez ponad dwadzieścia lat...

– Ja... Oddam miecz – wykrztusił Felix, chociaż serce go zabolalo, gdy wypowiadał te słowa. Równie dobrze mógłby oznajmić, że obetnie sobie nogę. – Nigdy nie miałem zamiaru zatrzymać go dla siebie, ale tak długo nas tu nie było.

Zaczął odpinać pas, do którego przymocowana była pochwa z mieczem.

– Ten miecz praktycznie stał się częścią mnie.

– Twoja przedłużająca się nieobecność spowodowała, że całe pokolenie rycerzy Zakonu Płonącego Serca pozbawione było mocy tego miecza. Kto wie, jakich cudów mogliby dokonać, gdyby władali tą cudowną bronią. Z pewnością ich czyny przewyższałyby to, co tobie kiedykolwiek udało się osiągnąć.

Felix znieruchomiał i przerwał owijanie pasa wokół pochwy. Nie musiał wysłuchiwać, jak stary rycerz go obraża.

– Zabiłem smoka – powiedział.

– Oraz dziesiątki orków i nieumarłych – dodał Gotrek.

– I dał odpór hordom Chaosu – wtrącił się Ortwin.

Rycerz rzucił giermkowi gniewne spojrzenie.

– Tak było napisane w książkach – nalegał chłopak.

Felix wyciągnął przed siebie miecz i coś, być może aura godności bijąca od starego rycerza albo powaga sytuacji, sprawiła, że poczuł, iż powinien uklęknąć. Zrobił to więc i odezwał się:

– Panie rycerzu, oddaję ten miecz twemu zakonowi, tak jak to od początku miałem zamiar uczynić, ale... Powinieneś wiedzieć, że nigdy nie przyniosłem wstydu ani jemu, ani pamięci rycerza Kepplera i że... I że jeśli jest jakiś sposób, żebym mógł cię przekonać, abys pozwolił mi go zatrzymać, obiecuję, iż i w przyszłości nie okryję go hańbą. Tak się do niego przyzwyczaiłem, że nie wiem, co bez niego pocznę.

Brwi starego rycerza uniosły się i na jego twarzy odmalowało się niedowierzanie.

– Chcesz, żebym oddał ci miecz? Relikt naszego zakonu od niemal pięciuset lat? Nie. I tak zbyt długo go przetrzymywałeś.

– No cóż, ehm, może mógłbym, ech, odkupić go od ciebie albo wymienić się za coś innego?

Kątem oka Felix dostrzegł, że Gotrek krzywi się, słysząc te słowa. Jedno spojrzenie na twarz starego rycerza wystarczyło, żeby się upewnić, że palnął właśnie straszliwe głupstwo.

– Odkupić?! – wrzasnął rycerz. – Odkupić świętą relikwię? Równie dobrze mógłbyś zaoferować mi kupno honoru naszego zakonu. Ktoś ty, kupiec? Mieczy takich jak ten nie sprzedaje się ani się nie kupuje. Ich przeznaczeniem jest przechodzić z rąk rycerza do rycerza, aby można było ich używać w niekończącej się bitwie przeciwko siłom ciemności.

Felix oblał się rumieńcem i naprędce starał się znaleźć lepsze argumenty.

– Wybacz mi, panie rycerzu. Ja... Ja źle się wyraziłem. Chciałem powiedzieć, że, ehm, że może mógłbym coś zrobić dla zakonu. Być może wyruszyć na jakąś wyprawę, krucjatę, która przekonałaby was, że jestem godzien noszenia tego miecza?

Rycerz przez moment mierzył go ciężkim spojrzeniem, po czym wyszarpnął miecz z jego wyciągniętych dłoni.

– Nie – odparł. – Nie wierzę, że źle się wyraziłeś. Myślę, że to, co powiedziałeś na początku, zdradziło twoje prawdziwe intencje. Miecz powróci do zakonu i wreszcie odzyskamy honor.

Odwrócił się na pięcie i zamiówszy podłogę brzegiem ciężkiej opończy ruszył sztywnym, dumnym krokiem w stronę drzwi.

Giermek zawahał się, mierząc przez chwilę Gotreka i Felixa wyczekującym spojrzeniem, po czym chwycił swoją książkę, obrócił się i wybiegł za rycerzem, wołając go teatralnym szeptem:

– Mistrzu Teobalcie. Poczekaj. Mistrzu.

Ale rycerz nie zwolnił kroku i skórzana zasłona natychmiast zapadła za nimi ze świstem, gdy wyszli na ulicę. Felix wpatrywał się w drzwi, mimo że dawno zniknęli z pola widzenia.

– Podnieś się, człeczyno – rozległ się szorstki głos Gotreka. – Już sobie poszli.

Felix zapomniał już, że klęczy. Rozejrzał się. Ludzie dookoła gapili się na nich. Zażenowany podniósł się, po czym usiadł na ławce i poklepał się po opustoszałym boku. Karaghul zniknął. Jego miecz. Czuł się nagi bez niego. Nie wiedział, co teraz robi. Będzie musiał zdobyć inny miecz, oczywiście, ale czym zastąpi Karaghula? Co prawda od czasu do czasu złościł się, kiedy nienawiść miecza do smoków przejmowała kontrolę nad jego umysłem i zmuszała go do samobójczych misji, ale broń dobrze go chroniła i dzięki niej pokonał wielu potężnych wrogów. Miał ten miecz od tak dawna, że stał się on jego częścią do tego stopnia, że nie był pewien, czy będzie mógł być dalej sobą bez niego.

– Zdaje się... Zdaje się, że będę potrzebował miecza – powiedział.

– Aye – zgodził się Gotrek.

– I napić się – dodał Felix.

– Aye – z tym również Gotrek nie polemizował. Krasnolud walnął pięścią w stół.

– Barman! Dwa razy to samo! Nie, cztery razy to samo!

Reszta nocy upłynęła jako rozmyty ciąg kolejek piwa. Felix siedział jak otępiały, a Gotrek podawał mu kufel za kuflem i pilnował, żeby wychylał je do dna. Felix pił nie zastanawiając się nad tym, co robi i wpatrując się tylko przed siebie, podczas gdy jego

umysł zataczał wolne kręgi, jak rozchwierutane koło wozu, który wpadł do rowu.

Starał się skoncentrować na zemście, jaką miał wyrzucić na skavenach, ale wizje zaatakowania szarego proroka w jego leżu i pozbawienia go skrofułowatej głowy, przywodziły mu na myśl Karaghula i po raz kolejny opłakiwał tę stratę.

Smutek nabierał różnych odcieni, podczas gdy Felix przechodził przez kolejne stadia pijackiego delirium. Czasem chciało mu się płakać. Innym razem nie mógł się powstrzymać od śmiechu, dostrzegając w całym wydarzeniu gorzką ironię. Po chwili zalewała go wściekłość i już miał zamiar biec do kapitulacza i żądać zwrotu miecza, tylko po to, żeby zaraz potem rozważyć padnięcie do stóp rycerza i błaganie go o to, aby oddał mu broń.

Wreszcie, nie uczyniwszy ani jednego, ani drugiego, wziął kolejny kufel i opróżnił go aż do dna. To samo zrobił z następnym i następnym, i tak przez całą noc.



Kiedy w końcu obudził się następnego dnia był wciąż ubrany, jeśli nie liczyć jednego buta, a w głowie dudniło mu tak jakby tuzin krasnoludów założyło tam kuźnię. Po omacku sięgnął po pas z mieczem, tak jak to robił każdego ranka od dwudziestu lat i gdy pod palcami wyczuł tylko pustkę, nieomal zapłakał.

Obrócił się i wlepił wzrok w kolumienkę od baldachimu, na której miał zwyczaj zawieszać pas z mieczem, zawsze gdy zatrzymywał się w gospodach i serce stanęło mu w piersi. Miecz zniknął! Ktoś ukradł mu Karaghula! Zerwał się i już miał zamiar krzyknąć na Gotreka śpiącego w sąsiednim pokoju, żeby Zmusić go do pościgu za złodziejem. Ale gdy tylko nabrał powietrza w płuca, przypomniał sobie co się wydarzyło ostatniej w nocy i serce zabolowało go nawet mocniej. Miecz nie został skradziony. Sam dobrowolnie go oddał. I już nigdy więcej go nie zobaczy.

Opadł ciężko z powrotem na łożo i zwiesił pulsującą głowę, obejmując skronie dłońmi. Cóż najlepszego narobił? Do czego doprowadziło go poczucie honoru? Jak mógł być takim głupcem?

Przez chwilę po prostu siedział i oddychał ciężko, a jego umysł był zamroczony uczuciem bólu i żalości. Wtem jednak głośne stukanie do drzwi przywróciło mu przytomność.

– Kto tam?

– Obudź się, człeczyno – dobiegł go głos Gotreka. – Musimy dziś znaleźć miecz dla ciebie.

Felix jęknął, ale podniósł się.

– Nawet mi nie przypominaj.

Poprawił ubranie i ruszył w stronę drzwi. Mimo że zdawał sobie sprawę, iż Karaghul już nie należy do niego, mimo że wiedział, iż wyruszają na poszukiwanie nowego miecza, to wciąż nie mógł się przyzwyczaić do tego, że kiedy ręce podczas marszu ocierały się o boki, nie czuł znajomego kształtu głowni starożytnego miecza przytwierdzonego do jego pasa, jak to do tej pory zawsze było.

Było, powtórzył sam do siebie. I nigdy już nie będzie. Wziął głęboki wdech i otworzył drzwi. Zapowiadało się, że będzie to długi dzień.



Felix zmrużył oczy przed światłem wlewającym się przez szyby w ołowianych ramkach. Wraz z Gotrekiem schodzili do sali barowej. Zapach kiełbasy, jabłek w cieście i zwiędzłego piwa momentalnie przyprawił go o mdłości. Z trudem przełknął ślinę. Zamarzył mu się łyk świeżego powietrza, spacer i może małe rzyganko w jakiejś cichej, ustronnej alejce.

Kierując się wraz z Gotrekiem w stronę wyjścia napotkał na przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu. Niemal się przewrócił, jakby go ktoś zdzielił obuchem. Był to stary rycerz we własnej osobie! Rycerz siedział wyprostowany jakby kij połknął, przy stole najbliżej drzwi, mierząc Felixa i Gotreka surowym wzrokiem spod

białych, krzaczastych brwi. Giermek stał tuż za nim, rzucając na parę bohaterów spojrzenia pełne tłumionego niepokoju.

Na widok Karaghula spoczywającego na kolanach zakonnika, Felixa ogarnęła fala radości. Rycerz przyszedł, aby oddać mu ostrze! Zmienił zdanie! Miecz będzie znowu należał do niego! Ale zaraz, jeżeli rzeczywiście tak się sprawy miały, dlaczego wzrok rycerza był taki lodowaty?

– Późno wstajecie – odezwał się sędziwy rycerz, gdy przed nim stanęli. – Czekam tu od świtu.

– Tośmy musieli się minąć – stwierdził Gotrek. – Mniej więcej wtedy szliśmy spać.

Rycerz prychnął z niesmakiem, po czym zwrócił nieprzyjazne spojrzenie na swego giermka, jakby z jakiegoś powodu jego winił za całą sytuację. Chłopak aż się skurczył pod ciężarem niezadowolenia swego pana.

Felix zrobił krok do przodu i z szacunkiem skłonił głowę.

– Czy masz do nas jakąś sprawę, panie rycerzu? – zapytał, starając się nie brzmieć na żałośnie zdesperowanego.

Rycerz nawet na niego nie zerknął. Zamiast tego obrócił się i utkwiał spojrzenie w Gotreku, który stał przed nim z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

– Przysięgnij na honor swoich przodków i swoich bogów, że odpowiesz mi zgodnie z prawdą – odezwał się po dłuższym czasie milczenia.

– Przysięgam – odpowiedział Gotrek bez chwili wahania.

Rycerz podniósł egzemplarz Tomu II Moich podróży z Gotrekiem, który spoczywał przed nim na stole.

– Czy wydarzenia opisane w tej książce i w pozostałych tomach naprawdę miały miejsce? Czy ty i twój towarzysz rzeczywiście dokonaliście wspomnianych w nich czynów?

Gotrek skinął głową.

– To prawda.

– I w tych opowieściach nie ma cienia przesady ani żadnych upiększeń?

– Nic, o czym bym wiedział – odparł Gotrek.

Rycerz przez dłuższą chwilę nie odrywał wzroku od krasnoluda, a potem zwrócił się do Felixa. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że chętniej wychyliłby szklaneczkę moczu.

– Nie oddam ci miecza – wydusił z niechęcią. – Ale zaoferuję ci szansę na zapracowanie sobie na prawo do noszenia go.

Felix zamrugał oczami, zdziwiony, ale i uradowany.

– Ja...jak to?

– Wspomniałeś o tym, że mógłbyś mi wyświadczyć przysługę – powiedział rycerz. – Mój giermek zapewnił mnie, że jesteś człowiekiem honoru, który dokonał wielu szlachetnych uczynków i twój towarzysz to potwierdził. No cóż, zobaczymy. Jeżeli chciałbyś jeszcze kiedyś walczyć tym mieczem, to musisz wyruszyć ze mną do Drakwaldu, żeby dowiedzieć się, co stało się z resztą naszego zakonu – dzielnymi rycerzami, którzy wyruszyli na północ, żeby walczyć z hordami Archaona i nigdy nie powrócili. Jeżeli wciąż żyją, ocalimy ich. Jeżeli zginęli, musimy odzyskać święty sztandar zakonu i regalia. Jeśli podczas tej wyprawy dowiedziesz, że jesteś godzien zaufania, uczynię cię powiernikiem Karaghula. Jeśli okażesz się niegodzien, odbiorę ci miecz, nieważne czy oddasz go dobrowolnie, czy nie. A zatem, czy wyruszysz na tę wyprawę?

Felix milczał przez chwilę, mimo że całym sobą chciał krzyknąć: „Tak!”.

– Co masz na myśli, mówiąc o „powierniku”? – zapytał zamiast tego.

– Miecz należy do zakonu – odparł rycerz, unosząc dumnie brodę. – I zawsze będzie. Ale jeżeli dowiedziesz przede mną, że jesteś takim bohaterem, jak opisano w tej książce, udzielię ci przywileju noszenia tego ostrza aż do chwili, w której umrzesz albo okryjesz się hańbą lub do momentu, kiedy zakon zażąda jego zwrotu. W każdej z tych sytuacji, zwrócisz miecz nam.

Felix zmarszczył czoło. Oczywiście, że pragnął odzyskać miecz, ale to brzmiało podejrzanie. Nie miał nic przeciwko temu, żeby stać się powiernikiem Karaghula. Dotychczas nie doczekał się syna, któremu mógłby chcieć przekazać miecz i wątpił, żeby kiedykolwiek do tego doszło. Ale „do momentu, w którym zakon zażąda jego

zwrotu" mogło równie dobrze oznaczać dzień po tym, jak pomoże rycerzowi odnaleźć współbraci zakonników. To mogła być pułapka.

Jeszcze jedna kwestia wchodziła w grę. Za ledwie ostatniej nocy złożył przysięgę, że dopadnie plugawego skavenńskiego starca, który zamordował jego ojca i zabije szczuroczłeka w jego leżu. Miał teraz pozwolić, żeby ta wyprawa bez celu w leśne ostępy opóźniła jego zemstę?

Nie czuł się z tym dobrze, nawet jeżeli był to jedyny sposób na odzyskanie Karaghula. Z drugiej strony, jak słusznie zauważył Gotrek, skaveny na pewno same będą ich szukać. Być może lepiej będzie schować się w leśnej dzicy na wypadek, gdyby już były na ich tropie. W ten sposób unikną narażania na niebezpieczeństwo niewinnych ludzi.

– Hordy Archaona wciąż grasują po Drakwaldzie? – zapytał Gotrek.

Rycerz pokiwał głową.

– Takie doszły mnie słuchy – odparł. – Tak samo jak zwierzoludzie, orki, gobliny i poczwary zbyt straszne, żebym potrafił je opisać. To będzie bardzo niebezpieczna wyprawa.

Felix zerknął na Zabójcę i ujrzał, że jedyne oko krasnoluda lśni od pragnienia krwi. Westchnął. Cokolwiek by nie zdecydował, to i tak nie miało znaczenia. Wybór już się dokonał.

Felix zwrócił się do starego rycerza i skinął głową.

– Dobrze więc – powiedział. – Podejmę się tej misji i zrobię, co w mojej mocy, żeby udowodnić, że jestem godzien posiadania, ehm, to znaczy noszenia Karaghula przez tak długi czas, jakim zechcesz mnie obdarzyć.

Stary rycerz spojrział na niego, niemal z rozczarowaniem w oczach, po czym z wyraźną niechęcią sięgnął po miecz i podał go Felixowi.

– Weź go więc i siadaj. Opowiem wam moją historię.

Felix skłonił się, wziął miecz i zapiął pas w talii. Zawstydział się uczucia błogości, które ogarnęło go, gdy znów poczuł znajomy kształt i ciężar.

Kiedy skończył, razem z Gotrekiem usiedli przy stole naprzeciwko rycerza. Giermek cały czas stał na baczność za plecami

swego pana.

Gotrek dał znak posługaczce, a rycerz rozpoczął swoją opowieść:

– Nazywam się sir Teobalt von Dreschler, rycerz i bibliotekarz Zakonu Płonącego Serca i, jak się obawiam, jego ostatni żyjący członek.

Giermek zakasłał znacząco, słysząc te słowa i Teobalt westchnął, po czym poprawił się:

– Za wyjątkiem oczywiście mojego giermka, Ortwina Wielhabera, który jest ostatnim nowicjuszem zakonu.

Dziewczyna przyniosła kufle i postawiła je przed Gotrekiem i Felixem. Wystarczył zapach piwa, żeby żołądek Felixa skręcił się w supeł, przesunął więc naczynie w kierunku sir Teobalta.

Stary rycerz z wdzięcznością skinął głową, wziął łyk i ciągnął opowieść:

– Gdy zaczęła się inwazja Archaona, postanowiono, że z powodu mego sędziwego wieku powinienem zostać na miejscu i doglądać kapitularza, podczas gdy pozostali wyprawiają się na północ, żeby walczyć u boku Imperatora. Ortwin pozostał, aby służyć mi pomocą. Od tamtej pory czekamy na powrót naszych braci, ale wciąż nie zawitali do domu i obawiam się, że chwila ta nigdy nie nastąpi.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział uprzejmie Felix.

Sir Teobalt tylko machnął ręką.

– Jeżeli zginęli w bitwie, walcząc dzielnie za Imperatora i ojczyznę, to osiągnęli wszystko, o czym rycerz może tylko marzyć i nie oplakuję ich, a im zazdroszczę.

Gotrek słysząc te słowa, mruknięciem wyraził swoją aprobatę.

– Nie zmienia to jednak faktu, – kontynuował Teobalt – że moim obowiązkiem jest dowiedzieć się, jaki spotkał ich los i, jeżeli to będzie możliwe, odzyskać regalia zakonu. Od powracających z tamtych stron dowiedziałem się, że wielu braci poległo podczas oblężenia Middenheim, ale zakon jako całość przetrwał i wyruszył w drogę powrotną do Altdorfu w orszaku Karla Franza. Ostatnia wiadomość pochodzi sprzed ponad miesiąca. Podobno odpowiedzieli na prośby miejscowej ludności z okolic opuszczonego fortu Stangenschloss i wyruszyli, aby chronić ich wioskę przed stadem zwierzóludzi.

Teobalt pociągnął kolejny łyk i mówił dalej:

– Nie wiem, co to była za osada ani czy braciom udało się zapobiec jej upadkowi, ale muszę ich odnaleźć i dowiedzieć się, co się wydarzyło. Powinniśmy wyruszyć do Stangenschloss i popytać o nich po drodze.

– Co to są regalia zakonu? – zapytał Felix.

Teobalt już miał odpowiedzieć, ale uśmiechnął się przebiegle i spojrzął na Ortwina.

– Giermku, przekonaj nas, że gruntownie zgłębiłeś historię naszego zakonu. Czym są regalia Zakonu Płonącego Serca?

Ortwin stanął na baczność i odchrząknął nerwowo.

– Regalia Zakonu Płonącego Serca składają się z dwóch elementów – zaczął recytować wysokim, czystym głosem. – Ze Sztandaru Baldemara, wykonanego z płaszcza potężnego wojownika, założyciela zakonu, na którym to proporcu widnieje znak serca otoczonego płomienistym kręgiem, oraz z Miecza Płomienia Prawości, który jako pierwszy dzierżył Baron Konrad von Zechlin pod wrotami Kisleva podczas Wielkiej Wojny z Chaosem. Powiadają, że ostrze miecza wybucha płomieniem, zawsze gdy w okolicy znajdują się bezbożnicy.

Teobalt pokiwał głową.

– Bardzo dobrze, chłopcze. Bardzo dobrze. Nauka nie poszła w las.

Obrócił się do Gotreka i Felixa.

– Jeżeli moi bracia wciąż żyją, to nie mamy czasu do stracenia. Dlatego też planuję wyruszyć jutro o świcie, jeżeli to dla was nie za wcześnie – powiedział, obdarzając ich ostrym spojrzeniem.

Gotrek burknął tylko:

– Będziemy gotowi.

Felix marzył o nocnym wypoczynku, żeby dojść do siebie po ekscesach ostatniej nocy, ale wiedział, że nie ma na to szans. Nie z Gotrekiem. Nieważne ile krasnolud by wypił i tak następnego dnia, zanim jeszcze kogut zdąży zapiać, będzie gotów do drogi, jeżeli tylko jest jakaś szansa na niebezpieczeństwo i zagładę.

– Aye – westchnął. – Będziemy gotowi.

3

Musiały minąć trzy dni podróży łodzią rzeczną o dumnej nazwie Magnus Pobożny, zanim Ortwin, młody giermek, zebrał się na odwagę i przemówił do Felixa.

Z jakiegoś powodu Felix był przekonany, że sir Teobalt pokona całą drogę z Altdorfu do fortu Stangenschloss w pełnej zbroi i okrakiem na swym potężnym rumaku bojowym. Pasowało to do jego wyobrażenia o Teobalcie jako o szalonym, starym rycerzu, rzucającym się w wir przygody, mimo że nie był już przecież w kwiecie wieku. Rzeczywistość okazała się jednak dużo bardziej prozaiczna. Stary rycerz podróżował na wozie, a cała jego zbroja, lance i inne wojenne instrumenty spoczywały na stercie przykryte płótnem na tyle paki. Koń bojowy Teobalta wraz z kucykiem Ortwina kroczyły uwiązane z tyłu wozu. Zresztą zaczęli trzymać się ubitego szlaku dopiero mniej więcej w połowie drogi. Używszy funduszy ze skarbca Zakonu Płonącego Serca, sir Teobalt opłacił podróż Magnusem Pobożnym z Altdorfu do miasta o nazwie Ahlenhof. Fort Stangenschloss był najwyraźniej położony jeszcze dalej na północ stamtąd, głęboko w lesie, w górnym biegu rzeki Zufuhr, dopływu Talabeku, który przepływał przez miasto.

Podczas pierwszych trzech dni żeglugi Felix zauważył, że młody Ortwin zerka w jego stronę za każdym razem, gdy wydaje mu się, że na niego nie patrzy. Zawsze czał się za masztem, gdy Felix przechadzał się po pokładzie, albo gapił się na niego zza drzwi, gdy siedział we wspólnej sali. Denerwowało go to. Gdy Ortwin przebywał w towarzystwie sir Teobalta, zawsze zachowywał pozory obojętności, ale gdy tylko zostawał sam, od nowa rozpoczynał śledzenie Felixa. Oczy chłopca były podobne do ślepi sowy, wielkie i

intensywnie wpatrujące się w ofiarę. Jednakże, gdy Felix zwracał się ku niemu, próbując się dowiedzieć, czego chłopak od niego chce, ten zmykał niczym wystraszony wróbel.

Felix nie miał pojęcia, co mogło być przyczyną tych dziwnych podchodów. Czyżby chłopak nienawidził go za to, że tak długo przetrzymywał Karaghula? Czyżby podejrzewał, że zamierza zdradzić jego pana i uciec przy najbliższej okazji, nie dopełniwszy swojej części umowy? A może to sir Teobalt kazał mu go pilnować? Jeżeli tak, to jego metody dalekie były od subtelnych.

Wreszcie trzeciego dnia, gdy Felix siedział we wspólnej sali i, popijając dla odpędzenia chłodu zagrzane brandy, uzupełniał zapiski w dzienniku, znowu zauważył czającego się nieopodal giermka. Chłopak miał nerwowo w rękach swoją czapkę. Felix westchnął i zerknął otwarcie w jego stronę, spodziewając się kolejnej tchórzliwej rejterady, ale cud nad cudami, Ortwin tym razem nie wziął nóg za pas, tylko głośno przełknął ślinę i stanął przed nim, przesuając ciężar ciała na jedną stopę.

– Tak, Ortwinie? – zagadnął Felix. – Chciałeś ze mną rozmawiać?

– Jeżeli to nie kłopot, mój panie – zająknął się Ortwin.

– Skądże znowu – odparł oschle Felix. – Tylko pisałem. I nie musisz do mnie mówić „mój panie”. Jestem synem zwykłego kupca.

– Cóż, sir – podjął na nowo Ortwin, dalej się jękając. – Chciałem tylko powiedzieć, że jest pan moim bohaterem, Herr Jaeger! Przeczytałem każdą pańską książkę. Sir Teobalt z pogardą wyraża się o wszystkich książkach, które nie traktują o Sigmarze lub rycerskich cnotach, ale ja uważam, że są wspaniałe!

Felix gapił się na giermka w szczerym osłupieniu. Nie to spodziewał się usłyszeć.

– Ehm, dziękuję – wykrztusił w końcu. – Cieszę się, że ci się podobały.

Czuł się trochę niezręcznie, słysząc pochwały, ale z drugiej strony było to miłe uczucie. Wypiął do przodu pierś. Komuś podobają się jego książki! Nie słyszał pozytywnej opinii o swojej pracy od czasów, kiedy jeszcze tworzył poezję.

– Uhm, czy mógłbyś mi powiedzieć, sir – ciągnął zdenerwowany chłopak. – Czy mógłbyś mi powiedzieć, jak doszło do tego, że

postanowiłeś zostać poszukiwaczem przygód?

Felix zmarszczył brwi.

– Ponoć czytałeś moje książki, prawda?

– O tak! – wykrzyknął z entuzjazmem chłopak. – Wiele razy!

– Więc dobrze wiesz, że to wcale nie był mój wybór. Poprzysiągłem towarzyszyć Zabójcy, ale... Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, na co się porywam.

Ortwin roześmiał się, jakby Felix powiedział właśnie przedni dowcip.

– Bo widzisz, panie – wyjąkał z niejakim trudem giermek. – Ja także zamierzam zostać poszukiwaczem przygód. Kiedy zostanę pełnoprawnym rycerzem zakonu, udam się na kraniec świata i tam będę poszukiwał pradawnego zła i niszczył je, dokładnie tak jak ty.

Felixowi zrzędała mina. Czy ten chłopak był kompletnym głupkiem? Westchnął ciężko, po czym zamknął dziennik i spojrzał giermkowi prosto w oczy.

– Posłuchaj mnie, Ortwinie. Myślę, że źle zrozumiałeś pewne rzeczy opisane w książkach. To prawda, że miałem wiele ekscytujących przygód. – Przerazających, niemal zabójczych doświadczeń, dodał w myśli. – Ale nie ma dnia, żebym nie żałował złożenia tamtej przysięgi. Nie ma dnia, żebym nie wyrzucał sobie, dlaczego nie wybrałem życia z ciepłym posłaniem, regularnymi posiłkami, żoną i dziećmi oraz porządną pracą. A książki... – Machnął ręką, żałując, że sam ich więcej nie czytał.

Wciąż nie za bardzo orientował się w treści większości z nich.

– Nie chodzi o to, że nie cieszy mnie to, co robię. Czasami naprawdę tak jest. Ale przez większość czasu nie. Ja nie wszystko... nie wszystko umieszczam w książkach. Pomijam fragmenty o głodowaniu dniami, a czasem tygodniami, fragmenty o kompletnym przemoknięciu i łapaniu straszliwego przeziębienia.

– Nieprawda, wszystko to jest w książkach – uśmiechnął się Ortwin.

– No dobrze – ciągnął zrezygnowanym głosem Felix. – Próbuję tylko powiedzieć, że bycie poszukiwaczem przygód nie wygląda tak jak w romansach. Twoje życie, jako członka rycerskiego zakonu i tak będzie wystarczająco niebezpieczne, ale przynajmniej będziesz

miał dom, do którego będziesz mógł wrócić, kompanię towarzyszy, którzy zawsze staną w twojej obronie, a także jakieś miejsce na uboczu, gdzie będziesz mógł osiąść na starość. Jako poszukiwacz przygód nie uświadczysz żadnej z tych rzeczy. To będzie samotne życie, pełne niewygód oraz wyniszczające ciało, umysł i ducha, a także bardziej niebezpieczne niż jesteś to sobie w stanie wyobrazić. Nie jest to los, jaki człowiek przy zdrowych zmysłach wybrałby jako swoją przyszłość. Poszukiwacze przygód, których znam, ludzie, elfy czy krasnoludy, to desperaci albo uciekający przed jakimś koszmarem albo w pogoni za nieosiągalnym celem. Żaden z nich nie wybrał tego losu dla zabawy, tudzież ze wzniosłych pobudek, ale dlatego że życie nie pozostawiło im innego wyjścia. I na dodatek wszyscy, co do jednego, byli kompletnie stuknięci. Czy rozumiesz, o czym mówię?

– O tak, sir – odparł chłopak z tym samym błyskiem w oku, który towarzyszył jego pierwszemu wyznaniu, że jest wielbicielem ksiązek Felixa. – Dziękuję ci. To bardzo dobra rada, sir. Z pewnością ją zapamiętam.

Obejrzał się przez ramię i ponownie się uśmiechnął.

– Muszę teraz iść zająć się odciskami sir Teobalta. Nie będę dłużej przeszkadzał ci w pracy. Dziękuję, Herr Jaeger. To zaszczyt poznać cię.

Oddalił się praktycznie w podskokach. Felix zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie ani jedno słowo z jego tyrady nie przedostało się do zakutego łba młodzieńca. Jęknął żałośnie. Jak wielu młodych durniów czytało jego książki i marzyło o życiu poszukiwacza przygód? Z łatwością mógł sobie wyobrazić pokryte śniegiem zwłoki Ortwina leżące gdzieś w Górach Krańca Świata ze sterczącą z pleców włócznią goblina – pierwsza przygoda zakończona, zanim jeszcze na dobre się rozpoczęła. Jeżeli rzeczywiście zginie, a wraz z nim wszyscy pozostali czytelnicy–idioci, czy będzie to wina Felixa? Czy to on skierował ich na drogę wiodącą ku rychłej i bolesnej śmierci?

Przyszedł mu do głowy pomysł, żeby wykupić wszystkie wydane egzemplarze i spalić je. Nie chciał mieć więcej śmierci na swoim sumieniu. Ale przecież nigdy nie zdoła odzyskać wszystkich ksiązek

i czy to rzeczywiście będzie jego wina, jeżeli jakiś głupiec ucieknie w świat po przeczytaniu jego opowieści? W końcu niektórzy – a szczerze mówiąc większość – śmiała się z tego, co opisywał. Kto mógł stwierdzić, czy Ortwinowie tego świata tak czy siak nie wybraliby się na poszukiwanie przygód, nawet nie przeczytawszy jego książek? Felix na przykład za młodu nie czytał pobudzających wyobraźnię opowieści o brawurowych wyczynach. Zamiast tego pochłaniał romantyczną poezję i wielkie filozoficzne dysputy, a jednak skończył tak, a nie inaczej: poprzysięgając wieczną zemstę plugawemu skavenowi i podążając w mroźne, leśne ostępy w towarzystwie starego, szalonego rycerza, który na oślep chciał szukać jakiegoś miecza i starego płaszcza. Więc może jednak jedno z drugim nie miało nic wspólnego.



Cztery dni później zeszli na brzeg w kipiącym życiem, handlowym miasteczku Ahlenhof. Zaczęli pytać o łódź, która mogłaby ich zabrać w górę rzeki Zufuhr tak daleko, jak to byłoby możliwe. Okazało się to jednak niewykonalne, mimo że Teobalt oferował dwa razy wyższą stawkę niż to było przyjęte.

– Wybacz, sir – odparł piąty z kolei przewoźnik, którego zagadnęli. – Ale każdy z nas ma już przydział. W Stangenschloss znów stacjonują oddziały wojska i garnizon gromadzi zapasy na nadchodzącą zimę. Ich kwatermistrz wynajął każdą łódź płynącą Zufuhr na północ na swój użytek, a uchodźcy zapełniają każdą łódź wracającą na południe. Czekam teraz na ładunek owsa przeznaczony dla fortu i nie śmiem wynająć mojej łodzi na inny cel.

– W Stangenschloss znów stacjonują oddziały? – powtórzył Teobalt, nadstawiając czujnie ucha. – Czy będąc tam, słyszałeś może coś o Rycerzach Płonącego Serca? Albo czyi żołnierze zajęli fort?

– Nie, mój panie – odparł przewoźnik. – Ta nazwa nie obija mi się o uszy, nie znam też imienia dowódcy fortu.

I tak, uzyskując wszędzie gdzie pytali podobne odpowiedzi, popędzani przez Teobalta, któremu spieszno było wyruszyć w dalszą drogę, spakowali się na wózek. Zamiast płynąć niewielką rzeczką, ruszyli na północ błotnistą i pełną kolein leśną drogą.

Nadchodziła zima, więc prawie nikt nie zdążał na północ, a bardzo wiele osób kierowało się na południe. Zgarbieni uchodźcy opatuleni w szmaty dla ochrony przed chłodem, karawany wozów szpitalnych pod opieką kapłanek Shallyi wiozące rannych i chorych z położonych na północy pól bitewnych, żołnierze ze wszystkich prowincji Imperium, którzy kuśtykając powracali do domu po walkach trwających całe lato i jesień. Niektórzy z nich byli hałaśliwi i dumni z siebie, ponieważ przyczynili się do wielkiego zwycięstwa Imperium. Śpiewali różne piosenki na marszową melodię i przekomarzali się między sobą na temat ilości zabitych wrogów i wojennych zdobyczy. Większość z nich jednak była przygnębiona, chora, okaleczona na ciele lub umyśle, ponieważ za zwycięstwo przyszło im zapłacić olbrzymią cenę. Wróg był tak przerażający i potężny, że nawet pokonanie go oznaczało ryzyko popadnięcia w szaleństwo. Felix patrząc na nich, odczuwał dziwny niepokój.

Droga był wąska, a po obu jej stronach rosły drzewa. Za każdym razem, gdy ktoś jechał z naprzeciwka spiesząc na południe, sir Teobalt musiał zjeżdżać na pobocze. Czasami podróżni rzucali w ich stronę drwiące uwagi: „Wybrałeś się, żeby walczyć o Middenheim, dziadku? Troszkę żeś się spóźnił!” albo „Może i jest stary, ale jego lanca wciąż jest ostra! Zapytaj tylko jego giermka!”.

Równie często wysłuchiwali ostrzeżeń: „Zawróć, panie. Na północ od Leer leży już śnieg i ziemia jest skuta lodem” lub „Strzeżcie się bestii! Pożarły połowę naszej drużyny pod Trenkenkraag” albo „Powróćcie na wiosnę. Czegokolwiek byście nie szukali, zimą tego nie znajdziecie, chyba, że szukacie śmierci”.

Sir Teobalt nie zwracał uwagi ani na żarty ani na dobre rady. Przybierał tylko ponury wyraz twarzy i z dezaprobatą przyglądał się mijającym ich ludziom. Gotrek również nie komentował, głównie, dlatego że po jednym spojrzeniu na jego grzebień i masywną sylwetkę, nikt nie był na tyle głupi, żeby rzucić pod jego adresem najmniejszą zaczepkę.

Popołudniem pierwszego dnia napotkali oddział reiklandzkich łuczników otaczających pulchnego kupca i jego czterech ochroniarzy, którzy stali na szczycie wozu z ale jak koty zastraszone przez bandę bezpańskich psów. Łucznicy głośno domagali się piwa i niektórzy z nich już próbowali ściągać beczki z wozu, podczas gdy ochroniarze krzyczeli na nich głośno i bili po palcach pałkami.

– Ale to już sprzedany towar, przyjaciele! – krzyczał kupiec. Jego źrenice były rozszerzone ze strachu. – Nie mogę wam sprzedać ani jednej beczki! Przykro mi!

– Nie możesz sprzedać, to daj nam coś! – odkrzyknął jeden z łuczników. – Chcesz, żeby chłopcy, którzy uratowali twoją żalostną skórę przed Kurganami, umierali z pragnienia?

– Niewdzięczny bydlak – wtrącił się kolejny. – Spał się, podczas gdy my głodowaliśmy.

– Tylko jedną beczkę! – przekrzykiwali go pozostali.

Felixowi nie podobało się to napastowanie, ale może i przeszedłby obok starając się nie wtrącać, ponieważ rozumiał punkt widzenia łuczników równie dobrze jak kupca. Jednakowoż sir Teobalta sytuacja ta doprowadziła do szewskiej pasji.

– Sierzancie! Uspokój swoich ludzi! – wrzasnął, wstając na równe nogi w swym odkrytym powozie.

Sierżant, który nękał kupca razem ze swymi ludźmi, odwrócił się z szyderczym uśmiechem na twarzy. Kiedy jednak zobaczył, że ma przed sobą szlachcica, zamilkł, po czym niepewnie zaszalował.

– Wybacz, panie – odezwał się. – Ale moim ludziom zaschło w gardle od długiej podróży.

– To nie wymówka, żeby obrabować niewinnego kupca na drodze. Na Sigmara, czyżbyście nie wyruszyli na północ po to, żeby chronić mieszkańców naszego drogiego kraju? Równie dobrze sami moglibyście robić za Kurganów! Zmykajcie stąd!

Niektórzy z łuczników mruczełi coś pod nosem na tę przemowę, ale żaden z nich nie odstał od wozu z ale.

Sierżant spoglądał nerwowo to na Teobalta, to na łuczników.

– Panie, nie sądzę, żeby oni teraz mnie usłuchali. Ryzykuję głową, jeżeli nie pozwolę im napić się tego piwa.

Gotrek wyciągnął topór i stanął obok rycerza.

– A oni ryzykują swoimi głowami, jeżeli spróbują sięgnąć po to piwo! – ryknął.

Sierżant wytrzeszczył oczy, a jego ludzie spojrzeli po sobie niepewnie.

– No dobra, to kto chce się napić? – sarknął Gotrek, klepiąc po trzonku topora.

Sierżant wyglądał jak zbity pies, ale w końcu westchnął ciężko i obrócił się do swoich ludzi.

– Dobra, chłopaki. Odejdźmy stąd i pozwólmy temu uczciwemu kupcowi kontynuować podróż. Przecież i tak tylko się przekomarzaliśmy.

Odpowiedział mu chórek okrzyków w stylu: „Aye”, „Racja” i „To tylko takie żarty”. Łucznicy niechętnie ustawili się w szeregu za sierżantem i ruszyli na południe.

Teobalt odprowadzał ich pełnym pogardy spojrzeniem spod krzaczastych, białych brwi.

– Co za wstyd – powiedział. – Żeby żołnierzy Imperium Karła Franza od popełnienia występku powstrzymała dopiero groźba przemocy. Obecne czasy doprowadzają mnie do rozpacz.

Łucznicy zwiesili głowy przechodząc obok rycerza i unikali jego świdrującego spojrzenia. Ale kiedy tylko trochę się oddalili, Felixowi zdawało się, że usłyszał, jak jeden z nich powiedział:

– A wsadź sobie to w ucho, mój panie.

Kiedy odeszli, Teobalt zwrócił się do Gotreka, pochylając głowę:

– Dziękuję, Herr krasnoludzie. Gdybyś w porę nie zainterweniował, sprawy mogłyby się potoczyć zgoła inaczej.

Gotrek wzruszył ramionami.

– Nie ma o czym mówić.

W tej samej chwili kupiec zeskoczył z wozu i podbiegł do nich, a jego oczy błyszczały z radości.

– Mój panie! Moi przyjaciele! Herr krasnoludzie! Dziękuję wam! Jakże się wam odwdzięczę? Byłem o krok od utraty całego mienia, a może nawet i życia. Gdybyście nie nadeszli, zabraliby wszystko.

– Nie frasuj się, dobry człowieku – odparł Teobalt. – Każdy obywatel Imperium powinien tak zareagować, spotykając się z jawną niesprawiedliwością.

– O nie, mój panie – stwierdził kupiec. – Wielu na waszym miejscu pomogłoby żołnierzom w napaści na mnie i podzieliło się z nimi łupami.

Chwycił stojącego na wozie Teobalta za buty w poddańczym geście.

– Błagam cię, panie. Jeżeli jedziemy w tę samą stronę, to może będziemy jechać od tej pory razem? Nie pierwszy raz w trakcie tej podróży miałem kłopoty i obawiam się, że nie po raz ostatni, ale mając was za towarzyszy, być może uda mi się bezpiecznie dowieść cały ładunek piwa do Bauholz.

– Jeżeli Bauholz leży na drodze do fortu Stangenschloss, to możesz śmiało do nas dołączyć – odparł sir Teobalt.

– Tak właśnie jest – ucieszył się kupiec. – To najbliżej niego położone miasto. Fort znajduje się za ledwie pięć dni drogi od niego na północ, przez lasy. Jeszcze raz dziękuję ci, panie, za twą dobroć.

Sir Teobalt machnął tylko ręką i po chwili ruszyli w dalszą drogę. Wóz Teobalta jechał z przodu, a wóz z ale tuż za nim.

Idąc obok nich, Felix nachylił się w stronę Gotreka, który siedział obok starego rycerza.

– Nigdy nie widziałem, żebyś tak się zaangażował w obronę człowieka z pospólstwa, kiedy w grę nie wchodził żaden potwór ani demon – zagadnął krasnoluda.

– Nie broniłem człowieka z pospólstwa – odparł Gotrek, oblizując wargi. – Tylko jego piwa.

– Acha – powiedział Felix i dalej podróżowali w milczeniu.



Na północ od małej wioski Leer droga przechodziła w ścieżkę, a drzewa rosnące po obu stronach niemal stykały się koronami, sprawiając, że nawet w południe droga była zacieniona. Sir Teobalt nakazał Ortwinowi, aby przywdział zbroję i hełm, a także żeby trzymał miecz w gotowości. Z pomocą giermka sam również nałożył swój kirys i zarekawia, a także położył obok siebie na wozie hełm.

Kupiec i jego ochroniarze ciasniej zapięli skórzane napierśniki pod wełnianymi płaszczami i ciepłymi szalami. Felix poszedł za ich przykładem, wciskając się w koszulkę kolczą i luzując Karaghula w pochwie, a następnie naciągając ciasniej na ramiona swój czerwony płaszcz. Gotrek nie miał żadnej zbroi, którą mógłby nałożyć, ale za to położył sobie topór na kolanach, zamiast trzymać go na plecach.

W tym samym czasie zaczęło się robić coraz chłodniej. Spadło kilka suchych płatków śniegu, które przedarły się przez ciasno splecione korony jodeł. Gęste błoto zalegające w koleinach zmieniało się w zamarznięte wyboje, po których trudno było poruszać się wozem. Wielokrotnie byli zmuszeni zsiadać z wozu i pchać go albo wyciągać za koła, które utknęły w jakimś dole.

Z niemal pustym wózkiem Teobalta nie było problemu, ale wóz z piwem to już inna sprawa. Kupiec, którego imię brzmiało Dider Reidle, miał wiele okazji, żeby podziękować Gotrekowi za jego siłę, a Felixowi za pomoc. Pierwszej nocy, jaka nadeszła po wyruszeniu z Leer, kiedy rozbili obóz i siedli do kolacji wokół ogniska, odwdzieczył im się odbijając beczułkę swego cennego towaru. Napelnili kubki i kufle.

Gotrek stwierdził, że piwo jest „niezłe”, a określenie to z ust krasnoluda stanowiło nie byle jaki komplement.

Felix również wyraził swoje uznanie.

– Dziękujemy, Herr Reidle. Bardzo dobre.

Reidle skłonił się.

– To ja dziękuję, sir. Gdyby nie wy, nie miałbym się teraz czym dzielić.

– Nie rozumiem, dlaczego w ogóle wyruszyłeś w tę podróż, jeżeli jest tak niebezpieczna – powiedział Felix. – Czy zysk jest tak wielki, aby sprawić, że ryzyko ci się opłaci?

Reidle westchnął.

– No cóż, gdybym był w stanie podróżować rzeką, ryzyko byłoby znikome. Ale wszystkie łodzie były już zarezerwowane, a ponieważ ładunek był już częściowo opłacony poczułem, że muszę spróbować inaczej, nawet, jeżeli to ma być niebezpieczne.

– Czy Bauholz jest tak wielkie, że potrzebuje aż tyle piwa? – zapytał sir Teobalt.

– Dopiero od niedawna, panie – odpowiedział Reidle. – Ludzie mówią, że była to mała wioseczka do czasu, gdy rozkwitła podczas wojny. To ostatni czynny port na Zufuhr i w związku z tym ostatnio wrze tam jak w ulu. Żołnierze płyną w jedną stronę, a uchodźcy w drugą. Wcześniej nie mieli tam nawet karczmy, a za tawernę służyła im kaplica Taala. Teraz są tam już trzy karczmy, a w każdym namiocie, który może pomieścić dwie czy więcej osób, kupicie piwo i kiełbaski.

Sir Teobalt skrzywił się.

– To brzmi jak miejsce wypełnione grzechem i nieprawością.

– Och, aye – potwierdził Reidle z uśmiechem. – Ale też bardzo dobre dla interesów.



Przez kolejne cztery dni poruszali się przez lasy w stronę Bauholz, a z każdym krokiem w Felixie narastało uczucie, że oto zagłębia się coraz bardziej w jakąś sieć, z której nie będzie już w stanie się wydostać. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że las ich obserwuje, że niewidzialne istoty czekają tylko na to, aż stracą czujność, aby mogły ich zaatakować. Niczego nie zauważył, ani nie usłyszał nic poza trelami ptaków i skamleniem lisa, czy wyciem wilka z oddali. Cały czas miał jednak wrażenie jakiegoś mrowienia między łopatkami, tak jakby utkwiony był tam wzrok wygłodniałej bestii.

Trzecią noc spędzili w obozowisku drwali na wybrzeżu Zufuhr. Było to niewiele więcej niż kilka namiotów i stosów okorowanych bali drewna wewnątrz prowizorycznej drewnianej palisady. Drwale znali Reidle'a z jego poprzednich wypraw i przyjęli go ciepło, częściowo też, dlatego, że stoczył jedną z napoczętych beczulek z wozu i kazał im się częstować.

– Warto było – szepnął Felixowi na ucho, gdy siedzieli i posilali się solidnymi porcjami gulaszu z sarniny w obozowej mesie. – Za bezpieczeństwo noclegu wewnątrz murów.

Mimo że Felix wiedział, iż bezpieczeństwo, jakie oferował obóz, było w dużej mierze iluzoryczne, był skłonny zgodzić się z kupcem. Uczucie bycia obserwowanym zniknęło, gdy tylko wkroczyli w obręb palisady, a napięcie, jakie czuł w karku opuściło go po raz pierwszy, odkąd wyruszyli z Leer.

– Z odrobiną szczęścia dotrzemy do Bauholz jutro przed zmrokiem i nasza podróż dobiegnie końca – ciągnął Reidle. – O ile pogoda się utrzyma.

Szkoda tylko, że Bauholz jak dla nas jest tylko początkiem podróży, pomyślał Felix. Sigmar tylko wiedział, gdzie poprowadzi ich poszukiwanie zaginionych towarzyszy sir Teobalta. Nagle jego umysł nawiedziła wizja, w której odnajdywali rycerzy zakonnych u bram Bauholz, zdrowych i szczęśliwych, gotowych, żeby Teobalt poprowadził ich w drogę powrotną do domu. Zachichotał rozbawiony naiwnością takiego pomysłu. To nigdy nie było takie proste.

Nigdy.

Następnego dnia rano, jedząc z brygadzystą drwali śniadanie składające się z rzeczno pstrąga, owsianki i piwa, Felix przyglądał się z zainteresowaniem pracy drwali. Mężczyźni układali tuziny pni obok siebie na brzegu rzeki, po czym związywali je mocnymi linami.

Zanim skończyli jeść i na nowo zaprzęgli konie do wozów, tratwy ze związanych kłód zostały zepchnięte na wodę. Podczas gdy Felix z Gotrekiem i resztą wyjechali z obozu i skręcili na północ w stronę Bauholz, bale zaczęły dryfować na południe z prądem rzeki, w stronę Ahlenhof. Na przedzie każdej z tratw, bo bokach, płynęło dwóch mężczyzn dzierzących długie, zakończone hakami żerdzie.

Udają się w dobrą stronę, pomyślał Felix, gdy flotylla zniknęła za zakrętem rzeki, a wrażenie, że ktoś utkwił spojrzenie między jego łopatkami, powróciło ze zdwojoną siłą.



Zanim nadeszło późne popołudnie, jasnym stało się, że mimo utrzymującej się dobrej pogody, szczęście opuściło Reidle'a. Słoneczne światło zmieniało kolor z czerwonego na purpurowy, a oni wciąż znajdowali się kilka godzin drogi od Bauholz i po raz piąty tego dnia próbowali wyciągnąć wóz z piwem z głębokiej zamarzniętej koleiny.

Słabo im to szło.

Gotrek był pod wozem, po kolana w błocie, a na jego plecach spoczywał cały ciężar podwozia. Tymczasem Felix i Reidle ciągnęli za szprychy tylnich kół, a reszta pchała wóz od tyłu. Giermek Ortwin trzymał lejce, podczas gdy sir Teobalt kierował całą operacją, stojąc na poboczu.

– Ortwin! – krzyczał stary rycerz. – Na mój znak, poprowadź je do przodu, a pozostali niech pchają. Gotowi! Przyj!

Felix naparł na wóz razem z Gotrekiem i pozostałymi, chociaż stopy ślizgały mu się po zamrzniętym błocie. Koła potoczyły się niemal pod samą krawędź koleiny, po czym ześliznęły się z powrotem w dół, zupełnie tak samo jak poprzednich siedem razy.

– Już było lepiej – stwierdził Teobalt pokrzepiającym tonem. – Następnym razem nam się uda. Gotowi?

Felix otarł błoto z oczu i po raz kolejny podłożył ramię pod wóz razem z pozostałymi, ale gdy sir Teobalt już podnosił rękę i miał zamiar zawołać „Przyj!”, jeden z koni szarpnął się i zrobił kilka kroków w tył po własnych śladach, a drugi zarżał i rzucił się w przód.

Wóz zatrzęsł się i szarpnął do przodu. Gotreka przygniotło do ziemi, gdy osł przejechała mu po plecach. Pozostali zachwiali się i upadli. Felix również stracił równowagę, uderzył łokciem o koło i wylądował w błocie.

Zerwał się gwałtownie, klnąc, na czym świat stoi i trąc obolałe ramię. Tymczasem Ortwin starał się uspokoić konie.

– Cholerny wóz! – wrzeszczał Felix. – Cholerne konie! Powinniśmy zdjąć te cholerne beczki i toczyć je przez całą drogę do Bauholz!

Kopnął w jedno z kół.

– Mam dość tego...

– Cicho, człeczyno – przerwał mu Gotrek, wyczołgując się spod wozu. Podniósł swój topór i rozejrzał się po otaczającym ich lesie.

Felix znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać, mimo że trudno było coś usłyszeć, gdy przestraszone konie wydawały z siebie bojaźliwe rżenie. Ich niepokój zdawał się rozprzestrzeniać na pozostałe zwierzęta. Konie ciągnące wóz Teobalta rzucały głowami i przewracały oczyma, podczas gdy kucyk Ortwina ciągnął za lejce. Tylko koń bojowy sir Teobalta zachowywał spokój, chociaż strzygł uszami jakby wyczuwając, że coś się święci.

Ochroniarze Reidle'a wyciągnęli miecze i rozglądali się dookoła.

– Co to może być? – wyszeptał Reidle. – Bandydzi?

– Wilki? – zapytał jeden z ochroniarzy.

– Gorzej – stwierdził Gotrek.

Sir Teobalt włożył hełm i zapiął go, sięgnął też po tarczę, po czym zagonił ich wszystkich między wozy.

– Plecami do środka, twarzami na zewnątrz. Mogą nadejść z każdej strony.

Zgromadzili się za wozem sir Teobalta, który stał przed wozem z ale, po czym utworzyli półokrąg, twarzami na zewnątrz, z bronią w gotowości. Teobalt zaczął się modlić, a Ortwin i ochroniarze Reidle'a dołączyli do niego.

– Sigmarze, nasz panie, ześlij na nas moc w tej godzinie próby. Pozwól nam zgnieść naszych wrogów, jakby to uczynił twój młot. Pozwól nam dać odpór siłom ciemności.

Za nimi Reidle wziął lejce od Ortwina i robił co w jego mocy, żeby uspokoić konie. Szeptem przemawiał do zwierząt:

– Już dobrze, Bess. Nie ma się czego bać. No już, Pommertz, bądź dzielny chłopcem.

Przez chwilę słychać było tylko jego szeptanie, poruszenia koni i ciężki oddech ludzi. Cisza działała im na nerwy. Felix wraz z pozostałymi wpatrywał się w nieprzeniknione ciemności panujące w cieniu pod drzewami. Oddychali ciężko, a z ich ust wydobywały się obłoczki pary. Czekali nie wiadomo na co. Napięcie sprawiało, że Felix bezwiednie zaciskał zęby.

– Skąd nadchodzą? – wymamrotał Ortwin, poprawiając hełm, który wyglądał na za duży dla niego.

– Kto to? – zapytał jeden z ochroniarzy.

– Może konie tylko się spłoszyły – powiedział inny.

– Cisza – zarządził sir Teobalt. – Przygotujcie się. W jego dłoni błyszczał piękny, stary miecz.

– Przygotujcie się, na co? – zapytał jeden z ochroniarzy płaczącym tonem.

Przerwał mu mrozący krew w żyłach ryk dobiegający z leśnej gęstwiny po ich lewej stronie. Wszyscy aż podskoczyli. Konie zarżały i wyrwały się Reidle'owi.

– Spokój! – zakrzyknął sir Teobalt.

Z tętentem kopyt, z lasu wybiegły na drogę wcielone koszmary. Felix zamarł, gdy przerażenie sparaliżowało jego członki. Wcześniej stawiał już czoła zwierzoludziom, ale chociaż znał wrogów, nie oznaczało to, że uważał ich za łatwych przeciwników. Pięć olbrzymich potworów o tylnych nogach i głowach kozłów prowadziło atak – dwa ruszyły na lewo, trzy na prawo. Za nimi nadciągała chmara mniejszych, bardziej przypominających ludzi szkaradzieństw – zmutowane postacie z niewielkimi, dopiero rosnącymi rogami i ustami wypełnionymi zaostrzonymi zębami. Kolosy natarły na nich, wydając z siebie wrzaski, a ich potężne kończyny wykonywały szerokie zamachy. W każdej z łap znajdowała się olbrzymia nabijana kolcami pałka lub ogromna, żelazna maczuga. Ich mniejsi, chudszy towarzysze wychynęli pomiędzy krzaków uzbrojeni w noże, pałki i sierpy trzymane w pozakrzywianych szponach.

Dwóch ochroniarzy Reidle'a zginęło natychmiast. Jeden cios maczugi zwierzoczłeka zgniótł ich na miazgę. Gotrek skoczył do przodu, zanim potwór zakończył wymach i zatopił ostrze topora w jego brzuchu. Wyrwał je z powrotem, czemu towarzyszyła fontanna krwi. Krasnolud zamierzył się na następnego wroga, zanim jeszcze pierwszy zdążył się przewrócić.

Teobalt podbiegł, żeby zmierzyć się z następnym z przywódców, krzycząc:

– Do mnie, paskudna bestio! Posmakuj gniewu Sigmara!

Zwierzoczłek zamachnął się na niego pałką, która wyglądała jak gigantyczna kość udowa. Teobalt przyjął cios na tarczę. Siła

uderzenia posłała starego rycerza na ziemię. Bestia przeszła po nim i skoczyła na konie Reidle'a. Rozdarła zębami gardło starej Bess, a kupiec cofnął się w przerażeniu, wrzeszcząc i wymachując rękami.

Zwierzoczek z trzecim rogiem wyrastającym z czoła zaatakował Felixa. Felix uniknął ciosu poplamionej zakrzepłą krwią maczugi, ale uderzył o wózek Teobalta i ponownie upadł w błoto. Trzyrogi nacierał. Felix sparował desperacko Karaghulem i wturlał się pod wózek w tej samej chwili, gdy lepka od krwi maczuga bestii uderzyła w miejsce, w którym przed chwilą się znajdował, rozpryskując drzazgi z wozu. Felix skulił się, po czym wychynął nagle spod tylnej części wozu i ciął w zginające się do tyłu nogi potwora. Bestia odskoczyła.

Zewsząd dobiegało wycie ludzi i rzenie koni, a także porykiwania zwierzoludzi oraz ich towarzyszy. Szybki rzut oka na otoczenie pozwolił Felixowi zarejestrować wszechobecną przemoc. Dwóch pozostałych ochroniarzy walczyło o życie w tłumie pomniejszych bestii. Koń bojowy Teobalta stał na tylnych nogach i kopytami atakował głowę kolejnego wroga. Jeden z mniejszych zwierzoludzi stał na wozie z ale i przecinał pasy spinające beczki. Gotrek wdał się w wymianę ciosów z mutantem trzykrotnie przewyższającym go wzrostem. Kupiec Reidle czołgał się na czworaka, łkając przy tym jak dziecko. Ortwin zadawał dzikie ciosy dwóm zwierzoludziom, próbując się przedrzeć w pobliże sir Teobalta walczącego z bestią, która przedtem go stratowała.

Wtem, wydając z siebie niemal ludzki krzyk, konie z wozu Teobalta rzuciły się przed siebie, gdy dwie wychudzone maskary wskoczyły im na plecy. Konie pociągnęły za sobą wóz, co sprawiło, że zniknęła osłona, za jaką chronił się Felix. Trzyrogi zwierzoczek górował nad nim, zamachując się maczugą. Felix przetoczył się na bok i czuł, jak ziemia zatrzęsła się, gdy potężna żelazna broń uderzyła w błoto tuż obok niego. Zerwał się na równe nogi, tnąc na ślepo w osaczających go towarzyszy bestii. Ich smród przyprawiał go o mdłości. Cuchnęli jak ściek pełen psich trucheł.

Trzyrogi zwierzoczek naskoczył na niego ponownie, zamachując się od góry. Felix uchylił się i naparł do przodu, dźgając z całej siły.

Czubek ostrza Karaghula ześliznął się po osłonie na brzuchu bestii i wbił się między zębra.

Potwór zawył i gwałtownie szarpnął się w tył. Felix nie był w stanie wyszarpnąć miecza, więc tylko trzymał go kurczowo. Rozwścieczona bólem bestia zamachnęła się na niego. Felix wypuścił miecz i odskoczył, zderzając się z mniejszym mutantem, który w tym czasie próbował z tyłu zaatakować go i rozbić mu głowę.

Chwycił istotę za krótkie rogi i rzucił ją przed siebie. Nabiła się na maczugę zwierzoczęka i opadła na ziemię niczym worek pełen mokrego mięsa.

Trzyrogi atakował. Felix rzucił się do ucieczki, ale zaraz zorientował się, że jest otoczony przez tłum bestii, zaciskających wokół niego krąg. Miecz! Potrzebował miecza. Jeden z martwych ochroniarzy wciąż ścisnął w dłoni broń. Felix przeturlał się w jego stronę, unikając tuzina ciosów. Wyrwał ostrze ze zwiotczącej dłoni ochroniarza i zamachnął się nim dokoła. Mniejsze mutanty cofnęły się, ale zaraz naparły ponownie. Wydawało się, że droga ucieczki nie istnieje. A może jednak?

Krzycząc, choć sam nie rozróżniał słów, Felix zaatakował zwierzoczęka stojącego pomiędzy nim a wozem z ale. Istota odskoczyła na bok i Felix wskoczył na wóz, skopując stamtąd paskudną kreaturę zajęętą przecinaniem skórzanych pasów. Wspiął się na szczyt stosu beczulek i odwrócił się, aby stawić czoła swoim prześladowcom.

– Spróbujcie teraz! – wykrzyknął triumfalnie.

Trzyrogi zwierzoczęk walnął maczugą w wóz tak mocno, że ten aż podskoczył. Felix zachwiał się i prawie stracił równowagę. Wychudzone istoty zaczęły się wspinać po bokach wozu. Być może nie był to jednak najlepszy z pomysłów Felixa.

Szybkie spojrzenie dokoła powiedziało mu, że reszta drużyny również nie radziła sobie najlepiej. Zarówno sir Teobalt jak i zwierzoczęk, z którym walczył, leżeli na ziemi. Ortwin stał nad ciałem starego rycerza i walczył z kilkoma pomniejszych bestiami. Tylko jeden z ochroniarzy trzymał się jeszcze na nogach atakowany przez dwie bestie. Reidle leżał bez ruchu na ziemi tuż obok wozu z

ale. Tylko o Gotreku można było powiedzieć, że panował nad sytuacją, spychając swojego potężnego przeciwnika do tyłu, cios za ciosem.

Felix ciął wspinającego się po wozie zwierozczłka pożyczonym mieczem i wbił ostrze głęboko w jego ramię. Istota wrzasnęła i spadła na ziemię. Ale w tej samej chwili Trzyrogi zamachnął się po raz kolejny i Felix musiał przeskoczyć nad nisko wyprowadzonym zamachem.

Zanim jeszcze wylądował, wiedział, że to się źle skończy. Podeszwy butów ześliznęły się po krzywiźnie beczki i stoczył się po piramidzie beczek. Powietrze uszło mu z płuc i ledwie zdołał się chwycić barierki.

Mniejsze bestie zbiegły się ku niemu, rechocząc obrzydliwie. Kopnął jedną z istot w pysk, a drugą ciął mieczem, ale przy tym balansował tak niebezpiecznie, że gdyby poruszył się gwałtowniej, to wpadłby między beczki a barierkę i zaklinowałby się na dobre.

Trzyrogi zwierozczłek przepchnął się pomiędzy towarzyszami z Karaghulem wciąż tkwiącym między żebrami. Felix gramolił się na beczkach, szukając punktu oparcia dla stóp, ale marnie mu szło. Za Trzyrogim ujrzał Gotreka biegnącego na pomoc Ortwinowi. Do cholery, czy głupi krasnolud nie widział, że jego stary przyjaciel jest w tarapatach?!

– Gotrek! Na pomoc! – chciał wrzasnąć, ale był zbyt wyczerpany i z jego ust wydobył się tylko szept. Trzyrogi pochylał się nad nim, wznosząc maczugę. Felix wyciągnął krótki miecz, wiedząc, że równie dobrze mógłby próbować powstrzymać lawinę za pomocą patyka.

Ale w chwili, gdy skulił się, oczekując ciosu, zwierozczłek zaryczał i wygiął się w tył. Felix zamrugał oczami. Karaghul sterczał spomiędzy żeber Trzyrogiego tuż przed nim. Wyglądało to tak, jakby zwierozczłek ofiarowywał mu miecz z powrotem.

Felix wyciągnął przed siebie obie ręce i z całej siły przekręcił miecz. Ostrze wysunęło się z rany, co sprawiło, że zwierozczłek zawył jeszcze głośniej. Felix stracił równowagę i, jak się tego obawiał, upadł na plecy pomiędzy beczki a barierkę. Znalazł się w pułapce.

Trzyrogi ryczał nad nim, a krew spływała strumieniami po jego futrze, ale na nowo wznosił maczugę do zadania ciosu. Felix zrobił jedyną rzecz, jaką mógł zrobić, czyli celując najlepiej jak umiał, cisnął mocno Karaghulem w napastnika. Ostrze głęboko wbiło się w ciało pod najniższym położonym żebrzem Trzyrogięgo.

Wydając z siebie świszczący odgłos, zwierozczłek zachwiał się, a kolana ugięły się pod nim. Krwawa dziura w jego ciele rozszerzyła się, gdy całym ciężarem ciała opadł na miecz, a jego wnętrzości wylały się z rany, rozpluskując się po ziemi. Skręcany przedśmiertnymi skurczami mutant wił się szaleńczo i w pewnej chwili Felix ujrzał coś cienkiego i białego wystającego z jego pleców – strzałę!

Felix uczepił się barierki, starając się wydostać z ciasnej przestrzeni i rozejrzeć dokoła. Zwierzoludzie wspinający się na wóz z ale leżeli na ziemi, wszyscy skręcając się z bólu, ze strzałami tkwiącymi w plecach i szyjach.

Obrócił się w stronę Ortwina i Gotreka i zobaczył, jak wycinają w pień pomniejsze bestie wokół siebie. Połowa z nich również naszpikowana była strzałami. Gdy tak patrzył, kolejna strzała wyleciała z lasu po lewej i przeszła nogę jednej z trzech istot atakujących ostatniego stojącego ochroniarza. Mężczyzna zabił kreaturę, wykorzystując to, że straciła równowagę, po czym odwrócił się do pozostałych.

Felix przeskoczył barierkę wozu i pobiegł mu z pomocą, ale pomniejsze bestie widząc, że nadciąga, odwróciły się i czmychnęły do lasu, dokładnie w tę stronę, z której nadlatywały strzały. Trzeci potworek pozbierał się i dołączył do nich, piszcząc z przerażenia.

Felix i ostatni z ochroniarzy ruszyli za nimi, ale zanim zdążyli zrobić dwa kroki, pomiędzy drzew wyleciała kolejna strzała, trafiając zwierozczłeka w oko. Pozostali dwaj dalej biegli w stronę drzew.

Ukryty do tej pory łucznik wynurzył się pomiędzy zarośmi, wyjął niczym upiorna płaczka. Trzymał dwa długie toporki o wąskich ostrzach, po jednym w każdej dłoni. Był drobny, szybki i zakutany w brudne futra. Wybiegł prosto na uciekających zwierozczłuki. Próbowali kluczyć w lewo i prawo, ale byli zbyt spanikowani, żeby

stanąć do walki. Łucznik cisnął toporkiem w zwierzoczęka po lewej, po czym doskoczył do tego po prawej. Rzucony toporek zatoczył w powietrzu idealny łuk, po czym rozplątał czoło biegnącego po lewej potwora. W tym samym czasie łucznik zrobił wyskok w powietrze i uderzył dwoma stopami naraz w twarz zwierzoczęka po prawej. Ten upadł na ziemię. Łucznik wylądował z gracją, obrócił się i wbił drugi toporek w pierś bestii. Ugodzony potwór zaskrzeczał i próbował się podnieść, ale łucznik zmiażdżył mu stopą gardło i wyciągnął topór. Następnie zrobił krok do tyłu i odetchnął w ulgę.

Felix rozejrzał się dokoła. Nagle zapadła cisza. Wszyscy zwierzoludzie i ich pomniejsi towarzysze byli martwi albo uciekli, podczas gdy on i przynajmniej kilku ludzi wciąż żyło. Jeszcze kilka minut temu wydawało się, że sprawy nie mogą przybrać tak korzystnego dla nich obrotu. Wszystko dzięki łucznikowi.

Razem z Gotrekiem ruszyli w stronę tajemniczej postaci, podczas gdy Ortwin ukląkł przy powalonym na ziemię rycerzu.

– Niezła strzelanina – stwierdził Gotrek.

– Dziękujemy za pomoc – dodał Felix.

Łucznik powstał, wyrwawszy drugi toporek z ciała zwierzoczęka, i odgarnął brudne, splątane włosy, żeby im się przyjrzeć. Felix stanął jak wryty.

Mimo że postać odziana była w grubą skórznę i kilka futer oraz szal naciągnęły na podbródek dla ochrony przed zimnem; mimo że jej twarz pokryta była plamami brudu i po lewej stronie poznaczona bliznami od linii czoła aż do czubka jej pełnych ust, to z bliska nie było wątpliwości, co do płci tajemniczego łucznika, a właściwie łucniczki. Jej przeszywające brązowe oczy błyszczały pod splątaną grzywą włosów, które były całkowicie czarne, jeżeli nie liczyć pasma nad lewym okiem, białego jak śnieg.

– Ja... poprzysięgam...

Słowa uwięzły jej w gardle, gdy po raz pierwszy uważnie przyjrzała się Gotrekowi.

– To ty – powiedziała, gapiąc się na niego. Obróciła się i spojrzała na Felixa.

– I ty!

Felix wymienił z Gotrekiem zaskoczone spojrzenia. Gotrek wzruszył ramionami. Najwidoczniej też jej nie poznawał.

Niespodziewanie umorusana dziewczyna padła przed nimi na kolana. Chwyliła dłoń Felixa i ucałowała ją.

– Moi bohaterowie! – powiedziała.

4

Felix wpatrywał się w zdumieniu w młodą kobietę pokrywającą jego dłonie pocałunkami. Poczuli się nieswojo. Najpierw Ortwin, a teraz ta dziwna leśna istota. Czyżby wszyscy czytali jego książki? Czy naprawdę był aż tak sławny?

– A... a więc ty też je czytałaś? – wykrztusił.

Spojrzała na niego pytająco.

– Czytałam? Co czytałam?

– Moje książki – wyjaśnił. – Czytałaś moje książki.

Potrząsnęła głową.

– Nie umiem czytać.

Felix był jeszcze bardziej skonfundowany.

– Skąd zatem... ehm, to znaczy, co rozumiesz przez to, że jesteście moimi bohaterami?

Dziewczyna zamrugała oczami w zdumieniu.

– Wy... Przecież to ja, Kat. Katerina. Uratowaliście mnie przed zwierzolidami. Uratowaliście mnie przed... tą kobietą.

Felix znowu spojrzał na Gotreka. Zabójca wzruszył ramionami.

– Acha... naprawdę?

– Tak! – potwierdziła z zapalem łuczniczka, ale w jej głosie słychać już było ton lekkiej desperacji. – We Flensburgu! To z waszego powodu poświęciłam się zabijaniu bestii!

Dziewczyna wyglądała teraz na przygnębioną.

– Naprawdę... Naprawdę mnie nie pamiętacie?

I nagle jego umysł zalała fala obrazów i emocji, które sprawiły, że przypomniał sobie. Zmasakrowana wioska. Przestraszona dziewczynka ukryta w ruinach gospody. Desperacka walka ze zwierzolidami w lesie. Obrona Flensburga. Przeróżająca siła

drzemiąca w kobiecie z białym pasmem włosów, która zacisnęła dłonie na jego gardle. I znowu mała dziewczynka z rozszerzonymi ze strachu źrenicami, wpatrującymi się w trzymany w ręku miecz, którym przed chwilą zabiła straszliwą kobietę. I jeszcze raz dziecko błagające Felixa i Gotreka, żeby ją ze sobą zabrali, a potem ściskające ich na pożegnanie.

– To ty – powiedział.

– Ty – powtórzył Gotrek, a jego zazwyczaj surową twarz rozjaśnił nietypowy dla niego uśmiech. – Zdaje się, że sama stałaś się bohaterką, mała.

Kat oblała się rumieńcem, słysząc te słowa, ale trzeba się było dobrze przyjrzeć, żeby to zauważyć pod grubą warstwą brudu pokrywającą jej policzki.

– Przysięgam wytepić wszystkich zwierzoludzi z Drakwaldu – powiedziała głosem stłumionym przez szal.

– Szlachetny cel – stwierdził Felix, wciąż lekko zdezorientowany.

– Nie... nie mogę w to uwierzyć, po tylu latach...

– Przyjaciele! – dobiegł ich z tyłu rozpaczliwy krzyk Ortwina. – Pomóżcie mi. Sir Teobalt jest ciężko ranny.

Obrócili się. Ortwin wciąż klęczał przy starym rycerzu, który leżał płasko na ziemi. Gotrek i Felix pospieszyli w ich stronę, Kat pobiegła za nimi.

Po drodze Felix rzucił kilka spojrzeń dokoła, żeby ocenić straty i ogólny rezultat starcia. Dwóch ochroniarzy nie żyło, a druga dwójka była ranna, z czego jeden na tyle poważnie, że nie mógł stać o własnych siłach.

Oba konie, które wcześniej ciągnęły wóz z ale zostały zaszlachtowane. Wóz sir Teobalta miał połamane koła i zaklinował się między drzewami. Konie zniknęły. Kucyk Ortwina leżał martwy z rozłupaną czaszką, a bojowy rumak sir Teobalta nerwowo przestępował z nogi na nogę. Jego boki znaczyły głębokie ślady szponów. Felix zdał sobie sprawę, że gdyby nie to, że zwierzoludzie byli głodni i najbardziej pragnęli zatopić zęby w końskim mięsie, to bitwa mogłaby się potoczyć dużo gorzej. Przynajmniej uratowali piwo i, jak się zdawało, również i kupca. Herr Reidle starał się

podnieść na nogi, kuląc się za swoim wozem i rzucając dokoła niespokojne spojrzenia.

Gdy zgromadzili się wokół sir Teobalta, ten uniósł głowę i spojrzał na nich. Na policzku miał głęboką ranę w miejscu, gdzie krawędź hełmu przecięła skórę. Cała jego zbroja była powgniatana i porysowana.

– Rad jestem, że widzę was żywych, przyjaciele – powiedział słabym głosem. – Walczyliście dzielnie.

– Jak ciężko jesteś ranny, sir? – zapytał Felix, klękając przy nim.

– To ledwie zadrapania – odparł rycerz. – Dostałem silny cios w ramię i na razie nie jestem w stanie ruszać lewą nogą. Trochę też słabo widzę. Obawiam się, że będę potrzebował odpoczynku.

Felix zwrócił się do Kat.

– Czy wiesz, jak daleko jest stąd do Bauholz?

– Około godziny drogi pieszo – odparła. – Nie więcej niż dwie.

Felix zerknął w górę na kilka skrawków czerwonego nieba, prześwitującego przez gęsty baldachim drzew.

– Może powinniśmy rozbić obóz... – zaczął, ale Kat natychmiast mu przerwała.

– Nie możecie tutaj zostać na noc. W lesie są wilki i inne bestie, które wyczują krew. Nie zaznalibyście spokoju.

Felix rozejrzał się, oceniając zasoby, jakimi dysponowali. Jeden koń i jeden wyładowany po brzegi wóz – to wszystko, jeżeli chodzi o środki transportu. Będzie musiało wystarczyć. Wstał.

– Rozładujemy wóz Herr Reidle'a i zaprzęgniemy do niego konia sir Teobalta. Na wozie pojedzie sir Teobalt i inni ranni.

Zarówno Reidle, jak i Teobalt zareagowali na ten plan oburzeniem.

– Zostawić piwo?! – krzyknął kupiec. – Przecież ktoś je ukradnie.

– Zaprząc Machtiga do wozu?! – wyraził swe niezadowolenie Teobalt. – Nigdy. To rumak bojowy. Nigdy nie zniżył się do wykonywania tak przyziemnych obowiązków i nigdy nie powinien.

– Ten przyziemny obowiązek może uratować ci życie – burknął Gotrek.

– Oczekujesz, że w takiej sytuacji dostarczymy twoje piwo do Bauholz? – Felix zwrócił się do Herr Reidle'a. – Nawet koń bojowy

nie ma wystarczającej siły, żeby pociągnąć wyładowany wóz.

– Być może wrócą konie z drugiego wozu – upierał się Reidle.

– Być może – odparł Felix. – Ale nie będę czekał całą noc, żeby się o tym przekonać.

Ani kupiec, ani rycerz nie byli zadowoleni i głośno dawali to do zrozumienia, ale niewiele mogli zrobić. Gotrek, Felix, Ortwin i lżej ranny ochroniarz zaczęli wyładowywać piwo z wozu, po czym wzięli się za zaprzęganie Machtiga. Tymczasem Kat zajęła się ranami Teobalta i zmasakrowanego ochroniarza. Zrobiła tyle, ile mogła, wykorzystując podręczny zestaw opatrunkowy, który zawsze nosiła przytroczonej do pasa. Dumny wierzchowiec okazywał swoje niezadowolenie równie żywiłowo jak jego pan, gdy nakładali mu jarzmo na kark, ale Ortwin zaczął szeptać mu do ucha uspakajające słowa i zwierzę w końcu pogodziło się z losem. Następnie położyli sir Teobalta, rannego ochroniarza oraz jego martwych towarzyszy z tyłu wozu i wyruszyli do Bauholz. Przesłonięte gałęziami niebo zmieniało tymczasem barwę z fioletu w granat, a rzucane przez drzewa cienie zamykały się wokół nich niczym czarne zasłony.



Felix chciał zadać Kat tysiąc pytań. Był zszokowany przemianą z przestraszonej, słodkiej małej dziewczynki w zatwardziałą morderczynię leśnych bestii. Kat jednak nalegała, by jako zwiadowczyni poszła przodem i w związku z tym nie miał okazji z nią porozmawiać. Zamiast tego niósł latarnię za Ortwinem, podczas gdy młodzienaszek prowadził Machtiga. Gotrek zabezpieczał tyły, na wypadek, gdyby z lasu miało wyjść tej nocy jeszcze więcej przerażających bestii.

Przez mniej więcej pół godziny Ortwin nie odezwał się ani słowem. Felix obserwował go myśląc, że biedny chłopak po raz pierwszy posmakował przygody i wyglądało na to, że wciąż był nieźle oszołomiony. Felix nie miał mu tego za złe. Śmierć i okaleczenie widziane z bliska różniły się od tych opisywanych w

książkach. Felixowi udało się w pewien sposób przyzwycząić do tego wraz z upływem lat, ale dobrze pamiętał uczucie strachu i przemożnych mdłości, jakie kiedyś ogarniały go zawsze przed walką i po niej. Może chłopak przemyśli swój plan zostania poszukiwaczem przygód. Miał taką nadzieję.

– Niezupełnie tak jak w książkach, co? – zagadnął ze smutnym uśmiechem.

– Przepraszam, sir? – Ortwin ocknął się z zamyślenia.

– Zastanawiałem się tylko, czy walka, którą stoczyliśmy, odpowiadała twoim wyobrażeniom.

Ortwin potrząsnął głową. Jego źrenice były rozszerzone, a wzrok zamglony i utkwiony w jakimś odległym punkcie.

– To... to było niesamowite!

Felix zamrugał oczami ze zdumieniem.

– Ehm... niesamowite?

– O tak, sir!

Felix zmarszczył czoło i poczuł, że wzbiera w nim gniew. Czyżby chłopak był aż tak bardzo spragniony widoku krwi? Czy w ogóle nie miał serca?

– Bestie cię nie przerażyły? Nie zmartwiło cię to, że zginęli ochroniarze Reidle'a i to, że bestialsko zaszlachtowano konie? Nie przeszkadza ci to, że biedny sir Teobalt odniósł poważne rany?

– Oczywiście, że tak – odparł Ortwin, zupełnie nie zwracając uwagi na ostry ton, jakim Felix wypowiedział te słowa. – Nigdy wcześniej nie byłem tak przerażony, Herr Jaeger. To były najobrzydliwsze kreatury, jakie kiedykolwiek widziałem na oczy, i dokonywały tych plugawych, przerażających czynów. Serce niemal mi stanęło ze strachu. Ale... ale pokonaliśmy je! Spojrzeliśmy zło prosto w oczy i mimo że ciężko nas ono doświadczyło, ręka nawet nam nie drgnęła. Przetrwaliśmy! Odparliśmy atak sił Chaosu!

Felix starał się powstrzymać, ale ogarnął go pusty śmiech.

– Siły Chaosu odczuły nasze ciosy słabiej niż zacięcie papierem i niczego nie przetrwaliśmy. Mieliśmy już zginąć w obronie wozu z piwem przed bandą bezmózgich bestii, kiedy dziewczyna z dobrym okiem i zręcznymi rękami uratowała nas przed niechybną śmiercią. I nie wiem jak twoja, ale moja ręka drgała niczym u epileptyka.

Ortwin obrócił się i wlepił w niego wzrok. Blask latarni odbijał się w jego ogromnych oczach, usta miał szeroko otwarte. Felix westchnął. Nie powinien być aż tak szorstki. Lata doświadczeń uczyniły go tak zgorzkniałym, że teraz bez trudu złamał serce marzycielskiego chłopca.

Odkaszlnął.

– Słuchaj, Ortwin, ja...

Ale wtedy Ortwin wybuchnął śmiechem i wyszczerzył radośnie zęby.

– Och, ależ rozumiem! To próbka tego czarnego humoru, który tak podobał mi się w twoich książkach, panie. Stale naigrywasz się z siebie, żeby ukryć prawdziwą szlachetność swych uczynków.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Wybacz mi, sir. Przez chwilę myślałem, że mówisz poważnie, ale teraz widzę, że tak jak wszyscy prawi rycerze jesteś skromnym człowiekiem i dlatego też nie chcesz wysłuchiwać pochwał.

Tym razem to Felix wyglądał, jakby go ktoś zdzielił obuchem. Chłopak naprawdę myślał, że żartował. Już miał otworzyć usta, żeby wyjaśnić mu, iż to wcale nie był żart i mówił najzupełniej poważnie, ale powstrzymał się. Jaki to miało sens? Ortwin prawdopodobnie i tak mu nie uwierzy, a poza tym rujnowanie chłopięcych wyobrażeń na temat świata byłoby okrutne. Prędzej czy później sam się przekona, jak sprawy naprawdę się mają.

– Wierz, w co chcesz, Ortwinie – powiedział zrezygnowany Felix.

– Tylko kupuj kolejne książki.

Ortwin roześmiał się.

– A to dobre, sir. Bardzo dobre!

Felix westchnął i dalszą drogę odbywali w milczeniu.



Wreszcie, godzinę po tym jak zapadły zupełne ciemności, wóz wynurzył się z lasu na wąski pas wykarczowanej ziemi tuż przy brzegu Zufuhr i Felix ujrzał w oddali zarys małej osady, otoczonej

palisadą. Oświetlał ją blask rzucony przez pochodnie płonące na szczytach przysadzistych, drewnianych wież strażniczych. Felix zauważył, że pola były zarośnięte uschłymi chwastami, pomiędzy których gdzieniegdzie wystawały kępki przejrzałych źdźbeł pszenicy. Najwyraźniej w tym roku nie było ani zasiewów, ani żniw. W jaki sposób miasteczku udało się przetrwać?

Oddalił się trochę od Ortwina i zaczął się rozglądać za Kat. Podskoczył, gdy okazało się, że stała już tuż przy nim. Miał wrażenie, że wynurzyła się z plamy księżycowego światła.

– Och! – wykrzyknął, po czym ściszył głos. – Tutaj jesteś.

– Muszę cię ostrzec, Fel... – przerwała nagle i utkwiała wzrok w ziemi. – Przepraszam. Nie wiem, jak mam się teraz do ciebie zwracać.

Felix uśmiechnął się i ruszyli do osady. Kroczył obok tej dziwnej, młodej kobiety, która była bezwzględna i zarazem tak skromna.

– Wciąż możesz mówić do mnie Felix, Kat – powiedział. – Przecież znamy się od tak dawna.

– Dziękuję, Felixie – odparła z nieśmiałym uśmiechem.

Serce zatrzepotało mu w piersi, gdy poczuł jak działa na niego ten uśmiech. Czuł się nieswojo, bezwiednie reagując na piękno dziewczyny, którą ostatnio widział jako siedmiolatkę. Nawet pokryta warstwą brudu była jednak bardzo atrakcyjną kobietą.

– Ależ... proszę bardzo – wymamrotał. – Ehm, co miałaś mi powiedzieć?

Twarz jej się zachmurzyła i skinęła w stronę wioski.

– Bauholz. Chciałam cię ostrzec, że to nie jest dobre miejsce.

– Tak?

– Kiedyś było zupełnie inaczej – ciągnęła. – Jeszcze przed wojną. Miałam tam swoje schronienie, kiedy nie przebywałam w lesie. Ale tamto miasto zginęło podczas wojny, a teraz żołnierze i bandyci żerują na jego zwłokach.

– Żołnierze? – zapytał Felix.

– Aye. Człowiek z południa, kapitan Ludeker, i jego ludzie. – Splunęła z obrzydzeniem wymawiając nienawistne imię. – Był podobny do setek innych żołnierzy wracających po wojnie do domu,

ale postanowił zostać w Bauholz i okraść wszystkich pozostałych. Teraz to on rządzi miastem.

Felix zmarszczył czoło. Spotkał się już z takimi żołnierzami. Zdarzali się w każdej wojnie, po każdej stronie konfliktu.

– Czym się zajmuje?

– Okrada płynące na północ łodzie z zaopatrzeniem i sprzedaje miejsca na statkach płynących na południe. Wszyscy uchodźcy muszą mu płacić, żeby wejść na pokład, a ceny, jakich żąda, są zawrotne. Zamienił główny spichlerz i świątynię Sigmara w karczmy, gra się tam w karty i kości, a na piętrze przyjmują sprzedajne kobiety. Każdy żołnierz, który przybywa do miasta, zostaje okradziony.

Spojrzała Felixowi prosto w twarz, a oczy jej płonęły.

– Strzeż się go, Felixie, i to samo powiedz Gotrekowi. Ludeker będzie chciał wam odebrać wszystko, co posiadacie.

Felix zachichotał, starając się sobie wyobrazić, jak ktokolwiek mógłby chcieć odebrać coś Gotrekowi wbrew jego woli.

– Z pewnością go ostrzegę – powiedział jednak. – Ale jeżeli to takie okropne miejsce, po co w ogóle tam jedziemy?

Dziewczyna wskazała na przeciwległy brzeg Zufuhr.

– Nie jedziemy tam. Udajemy się do obozu uchodźców po drugiej stronie rzeki, ale jedyny most znajduje się w osadzie. Następny znajduje się kilometry stąd.

Felix zmarszczył brwi.

– Zabierasz nas do obozu uchodźców?

– Tak – potwierdziła Kat. – Do Herr doktora Vincka. Jest moim przyjacielem, zajmie się twoimi towarzyszami.

Felix pokiwał głową, chociaż w głębi ducha zastanawiał się, jak bardzo wykwalifikowany będzie doktor żyjący między uchodźcami.

Gdy zbliżyli się do murów miasta, Kat zwróciła się ku niemu, przygryzając dolną wargę.

– Ehm, czy masz jakieś pieniądze? – zapytała.

– Acha, trochę. Czemu pytasz?

– Ludeker ustanowił myto.



– Kogo tam lichy niesie? – odezwał się głos w ciemnościach.

Felix wyteńczył wzrok i zobaczył, jak otwierają się małe drzwiczki obok wielkich zamkniętych wrót. W świetle pochodni widać było dwóch mężczyzn w brudnych mundurach, które sugerowały, że należeli do kompanii strzelców ze Streissen. Miecze mieli wyjęte z pochew i trzymali je niedbale w dłoniach.

– Podróźni z rannymi – odpowiedział Felix. – Proszę, wpuście nas.

– Z rannymi? – spytał jeden ze strażników podejrzliwie. Był to mężczyzna o pociągłej twarzy i cienkich, jasnych włosach. – A cóż to się wam przytrafiło?

– Zaatakowali nas zwierzoludzie w lesie – odparł Reidle ze swego siedzenia na pace. – Błagam was, panowie, nie zatrzymujcie nas.

Na wzmiankę o zwierzoludziach strażnicy spojrzeli uważnie w rozciągający się za nimi nocny krajobraz i mocniej ścisnęli w rękach broń.

– Gdzieś tam czają się bestie, a wy chcecie, żebyśmy otworzyli bramę? – zapytał drugi z mężczyzn, krępy gbur z trzydniowym zarostem. Zrobił krok do tyłu w stronę niewielkich drzwi.

– Proszę – błagał Ortwin, stając przy Felixie. – Bestie zraniły mojego mistrza. Potrzebuje opieki doktora.

– Otwieraj bramę, Wappler – westchnęła Kat. – Zwierzoludzie nie żyją. Nie macie się czego bać.

Wappler, szczuplejszy ze strażników, zerknął w jej stronę.

– Czyżby to sama bestyjka we własnej osobie? Przyprowadziłaś nam więcej tych nierobów uchodźców?

Grubszy mężczyzna parsknął śmiechem.

– Nie potrzebujemy więcej takich. Miasto jest ich pełne.

– Na co czekamy? – zapytał Gotrek, wychodząc zza wozu.

Dwaj strażnicy obrócili się ku niemu. Ich wzrok natychmiast przykuły złote bransolety na nadgarstkach krasnoluda, które w

świetle pochodni lśniły ciepłym blaskiem.

Wappler oblizał wargi.

– Otworzymy wrota, wasze ekscelencje – powiedział. – Ale najpierw załatwmy sprawę podatków.

– Aye – poparł go drugi, zarzucając sobie miecz na ramiona. – U nas w Bauholz mamy podatek od stóp – za używanie i tym samym niszczenie publicznej drogi. Jeden fennig za stopę.

Wappler obszedł ich, mamrocząc po nosem:

– Dwa, cztery, sześć, osiem, dziesięć, dwanaście, i cztery za konia, razem szesnaście. A kogóż tu mamy na pace?

Zerknął przez barierkę do wnętrza wozu, gdzie leżeli Teobalt i ciężko ranny strażnik obok trupów dwóch pozostałych mężczyzn.

– Jeszcze czterech. Razem dwadzieścia cztery fennigi, czyli dwa szylingi.

– Dwóch z tych ludzi nie żyje – zauważył trzeźwo Felix.

– Ale wciąż mają stopy, nieprawdaż?

– Nie wydaje mi się jednak, żeby mieli korzystać z tutejszych dróg albo przyczyniać się do ich zużycia – zaprotestował Felix.

Wappler wzruszył ramionami.

– To nie ja ustanawiam prawa, mein Herr. Ja tylko je egzekwuję – cmoknął z zadowoleniem. – No, mamy jeszcze podatek od niebezpieczeństwa – otwarcie bramy, gdy w pobliżu czają się wrogowie. To kolejny szyling.

– I podatek od rannych – przypomniał mu usłużnie kolega. – Cztery pensy za każdego, kto nie może przejść przez bramę o własnych siłach. To kolejne osiem pensów.

– Właśnie, czyli razem trzy szylingi i... a, zaokrąglimy to do czterech – podsumował Wappler z zadowoleniem. – Tak będzie łatwiej.

– Podatek od rannych? – zapytał Gotrek groźnym tonem.

– Aye, Herr krasnoludzie – odparł Wappler. – Człowiek ranny nie może pracować, a tym samym stanowi ciężar dla społeczności. Musimy to jakoś zrekompensować, nieprawdaż?

Gotrek zwinął dłonie w pięści, a jego jedyne oko błysnęło jak iskra z pochodni.

– Możecie wziąć sobie swoje podatki i wepchnąć je głęboko w te chude, ludzkie...

– Ja zapłacę, panowie! – przerwał mu Ortwin, wyrywając się pośpiesznie do przodu. – Nie będę trwonił czasu na kłótnie, podczas gdy mój pan wykrwawia się na śmierć.

Odpiął sakiewkę, którą nosił przy pasie, i wytrząsnął z niej cztery szylingi. Wappler wziął pieniądze i dał znak drugiemu strażnikowi, nie spuszczać przy tym wzroku z Gotreka.

– Ciesz się, krasnoludzie, że nie pobrałem od ciebie podatku za stawianie oporu – powiedział.

– To ty się ciesz – warknął Gotrek.

Przy akompaniamencie skrzywienia lin i drewna, olbrzymia brama powoli się uchyliła i drużyna wkroczyła do Bauholz.

Tam, gdzie nie sięgało światło rzucane przez pochodnie strażników, panowała ciemność i trudno było cokolwiek dostrzec. Felix widział jednak wystarczająco dużo, żeby stwierdzić, że w Bauholz źle się działo. Sylwetki małych domków były pochylone i zapadnięte, w niektórych belki z dachów sterczały na tle nieba niczym żebra padłego zwierzęcia. Po ulicach walały się odpadki, a w powietrzu unosił się smród ekskrementów, moczu i zgnilizny. Gdy szli w ciemnościach, spod ich stóp co chwila czmychały jakieś gryzonie.

Im bardziej zbliżali się do centrum wioski, tym więcej było światła, właściwie całkiem sporo. Rzucające jasne światło latarnie zwisały przed dwoma dużymi budynkami na przeciwległych rogach głównego skrzyżowania. Po prawej stał przysadzisty kamienny spichlerz zwieńczony blankami, z pewnością przewidziany jako ostateczny bastion obrońców, gdyby zaszła taka potrzeba. Teraz wyglądał bardziej jak dom publiczny. Nad drzwiami zwisała tarcza pyszniąca się herbem księżnej Emmanuelle von Liebowitz, a ze środka dobiegały pijackie piosenki i damski śmiech. Po lewej stała stara, kamienna świątynia Sigmara, o której Kat opowiadała, że żołnierze przekształcili ją w karczmę. Znad drzwi zabrano młot i zastąpiono go znakiem, przedstawiającym beczkę prochu na tle piramidki kul armatnich. Ze środka dobiegał gromki śmiech i odgłos

zażartej dyskusji, a mężczyzna w mundurze ostlandzkich włóczników wymiotował gwałtownie na frontowych schodach.

– Miejsca zajęte przez Ludekera – szepnęła Kat.

– Urocze – stwierdził Felix.

Na skrzyżowaniu poprowadziła ich na prawo, brudną ulicą prowadzącą w stronę rzeki. Solidny magazyn – w lepszym stanie niż większość budynków w osadzie – przycupnął po lewej stronie, a za nim miejskie mury ciągnęły się jeszcze trochę aż do wody, ochraniając końce drewnianego mostu. Stało przed nim jeszcze więcej strażników, zagradzając im drogę.

Felix uniósł pytająco brew.

– Nawet mi nie mów.

Kat ze wstydem pokiwała głową.

– Aye, kolejny podatek.



Jeżeli miasteczko nazwać wysypiskiem śmieci, to obóz uchodźców należałoby określić mianem chlewu. Błotnisty brzeg rzeki zastawiony był tuzinami namiotów i prowizorycznych bud wystających z mułu niczym połamane latawce na wpeł zatopione w bagnie.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – zapytał Reidle, rzucając z wozu niepewne spojrzenia na okolicę.

– Twoi ludzie nie znajdą dobrej opieki w osadzie, mein Herr – powiedziała Kat. – A przynajmniej nie takiej, żeby była warta swojej ceny.

Rozejrzała się gniewnie po obozie.

– Doktor Vinck był kiedyś burmistrzem Bauholz, najbardziej szanowanym człowiekiem w miasteczku – powiedziała. – A teraz mieszka tutaj. To niesprawiedliwe.

– Co się stało? – zapytał Ortwin.

Kat westchnęła.

– Podczas inwazji na Bauholz napadli rabusie. Ludzie ukryli się w lasach. Kiedy wrócili, odkryli, że miasto zostało zniszczone. Niedługo potem pojawił się tu kapitan Ludeker ze swymi ludźmi. Zaoferował, że pomogą obudować miasto i będą je chronić. Doktor Vinck odmówił, twierdząc, że ich pomoc nie jest potrzebna, ale mieszkańcy byli zbyt przerażeni. Poprosili Ludekera, żeby został i tak się stało. – Kopnęła kamyk. – Próbował nałożyć na doktora Vincka podatek za praktykowanie medycyny. Doktor Vinck odmówił. A teraz on mieszka tutaj, a Ludeker zajął jego dom.

– Ten kapitan Ludeker wydaje się czarującym gościem – skomentował Felix.

Kat prychnęła tylko i kopnęła kolejny kamyk.

Doktor mieszkał mniej więcej w centrum rozpadającego się obozowiska. Jego namiot był tylko nieznacznie większy od tych, które go otaczały, ale jego główną zaletą było to, że miał podłogę z desek, dzięki czemu w większości udawało się uchronić ją przed wlewającym się do środka błotem.

Gdy podjechali wozem w wąską uliczkę przy namiocie, Kat zastukała w deski podłogi czubkiem buta.

– Herr doktorze, jest pan w domu? – zawołała.

– Minutkę, proszę dać mi minutkę – dobiegł ich ze środka piskliwy głos. Po kilku chwilach kłapa namiotu została odepchnięta i ze środka wychynął chudy stary mężczyzna w koszuli nocnej i z szyją owiniętą szalem. Patrzył na nich, a jego rzadkie i rozwichrzone białe włosy powiewały na nocnym wietrze.

– Ach – odezwał się. – Młoda Kat. Masz do mnie jakąś sprawę?

Felix skrzywił się nieco na widok doktora. Była różnica między chudym a wychudzonym. Do doktora Vincka zdecydowanie pasowało to drugie określenie. Wyglądał na mężczyznę w tym samym wieku co sir Teobalt, ale przy tym na zagłodzonego niemal na śmierć. A może właśnie tak było. Jeżeli samo dostanie się do Bauholz kosztowało majątek, to jakie musiały tam być ceny jedzenia? Z pewnością nie było zapasów ze zniw, bo nie było i zniw. Zapasy żywności w mieście musiały pochodzić z importu i Felix wolał sobie nawet nie wyobrazać cen. Z pewnością nie były niskie.

– Ci ludzie walczyli ze zwierzoludźmi w lesie – powiedziała Kat.
– Wszyscy są ranni, z czego dwóch poważnie.

– No cóż, w takim razie dawaj ich tu do środka, no już – powiedział doktor, przytrzymując klapę namiotu. – Zobaczmy, co da się zrobić.

Felix, Gotrek, Ortwin i lżej ranny ochroniarz wnieśli sir Teobalta oraz drugiego ochroniarza i położyli ich na gołych deskach podłogi. We wnętrzu namiotu znajdowały się dwa prowizoryczne posłania, ale oba były już zajęte. Na jednym leżała młoda kobieta i dziecko, na drugim mężczyzna z głową owiniętą bandażem – wszyscy pogrążeni we śnie. Reszta namiotu nie była wcale lepiej umeblowana – mały żelazny piecyk i beczka z wodą po jednej stronie, stół i krzesło po drugiej, a na środku fotel z małą tacą pełną balwierskich i dentystycznych narzędzi. Zasłona przysłaniająca wejście do drugiego pomieszczenia była na wpół uchylona. Felix ujrzał za nią jeszcze jedno posłanie.

Doktor Vinck wytargał zza pieca torbę z narzędziami chirurgicznymi, po czym przebadał Teobalta i nieprzytomnego ochroniarza. Utyskiwał i mruczał przy tym pod nosem, odwijając prowizoryczne opatrunki założone przez Kat i dłubiąc w ranach.

– Złamana ręka. Złamana noga. Liczne rany cięte. Na Sigmara, a to brzydka rana.

Teobalt obudził się z syknięciem, gdy doktor obrócił go i majstrował przy jego ramieniu.

– Dobry wieczór, panie rycerzu – odezwał się doktor Vinck. – Przepraszam, że budzę.

Rycerz ułożył się na plecach.

– Ależ skąd – odparł. – Proszę kontynuować.

Doktor uśmiechnął się.

– Dziękuję. Czy mogę obejrzeć pańskie oczy? Bardzo dobrze. A teraz, czy mógłbyś, panie, poruszyć palcami? Doskonale. No cóż, szykuje mi się pracowita noc, bez dwóch zdań.

Obrócił się ku Felixowi i pozostałym.

– Przyjaciele, zaczniemy od tego biedaka tu – zakomenderował, wskazując na nieprzytomnego ochroniarza, na którego piersi i ramionach czerwieniły się głębokie rany i którego noga wygięta

była pod nienaturalnym kątem. – Bądźcie tak mili i przytrzymajcie go za ramiona i nogi, a ja go zszyję, dobrze?

Ortwin zachnął się, słysząc te słowa.

– Mój pan jest rycerzem, sir. Powinieneś się nim zająć w pierwszej kolejności!

Doktor Vinck utkwiał w nim zdziwiony wzrok, zanurzając wiadro w beczce z wodą.

– Twój pan ma jedynie trochę siniaków, pomniejsze rany, wstrząśnienie mózgu i zwichnięte ramię. Jeśli poczeka chwilę, nic mu się nie stanie. A ten mężczyzna tutaj umrze.

– Ale... – zaczął Ortwin.

– Słuchaj się doktora, nowicjuszu – przerwał mu stanowczo Teobalt. – Jesteśmy w jego królestwie.

Doktor Vinck skłonił się przed rycerzem, po czym podniósł z blatu buteleczkę z octem.

– W tym namiocie panuje tylko jedna hierarchia, młody panie – hierarchia potrzeb. A teraz, jeżeli chcesz, żebym szybko zajął się twym panem, pomóż mi z łaski swojej przy tym pierwszym rannym.

Ortwin nachmurzył się i mruknął coś pod nosem. Przez chwilę tylko patrzył na poczynania innych, ale po chwili poddał się i dołączył do nich, próbując pomóc doktorowi przy operacji.



Minęło ponad dwie godziny. Felix wraz z pozostałymi leżał na gołej podłodze obok opatrzonych towarzyszy i starał się zasnąć. Operacja była długa i bardzo nieprzyjemna. Pod koniec ochroniarz, którego doktor Vinck próbował załatać, zmarł. Stracił za dużo krwi. Musieli go wynieść na zewnątrz i położyć na wozie razem z innymi, żeby móc się skupić na ratowaniu sir Teobalta i opatrywaniu pozostałych. Teobalt przeżył, przynajmniej na razie. Doktor nastawił mu ramię i owinął je ciasno bandażami. Na rany nałożył opatrunki, a paskudne siniaki na nogach w miejscach, gdzie nastąpił na niego zwierzoczek i pogruchotał mu zbroję, obłożył pijawkami, a potem

wmasował w nie maść. Na koniec doktor Vinck dał pacjentowi łyk „makowego eliksiru” na dobry sen. Felix zauważył, że przed udaniem się na spoczynek doktor również golnął sobie zbawiennej nalewki.

Felix nie odmówiłby łyka, gdyby ktoś mu go zaproponował. Podłoga była twarda i zimna, a siniaki i rozcięcia po walce sprawiały, że było mu jeszcze bardziej niewygodnie. Nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok, wzdychał i znowu zmieniał pozycję. W pewnym momencie dostrzegł, że leżąca obok na podłodze Kat wpatruje się w niego.

Serce zatłukło mu się mocniej w piersi, gdy poczuł na sobie to intensywne spojrzenie.

– Ehm, cześć? – szepnął niepewnie.

– Gdzie się podziewałeś przez ten cały czas, Felixie? – zapytała szeptem. – I dlaczego wróciłeś?

Felix westchnął, po czym zachichotał. A to dopiero pytanie.

– Zbyt późna pora na to, żebym miał ci opowiedzieć o wszystkich miejscach, w jakich byłem, Kat. To długa historia. A co do tego, dlaczego wróciłem do Drakwaldu... – przerwał, nagle zawstydzony. To, co miał powiedzieć, brzmiało głupio i bardzo staromodnie.

– Mam misję do wypełnienia – wykrztusił w końcu.

Czekał, aż dziewczyna parsknie śmiechem, ale ona nawet się nie uśmiechnęła.

– Miecz, którym władam, należy do rycerskiego zakonu sir Teobalta. Powiedział, że będę go mógł zatrzymać, jeżeli pomogę mu się dowiedzieć, co spotkało jego braci zakonników.

– Jak się nazywa ten zakon? – zapytała Kat. – Służyłam jako zwiadowca podczas wojny, przeprowadzałam na północ przez lasy wielu rycerzy.

– Zakon Płonącego Serca – odpowiedział Felix. – Sir Teobalt powiedział mi, że ostatnie wieści o nich pochodzą sprzed miesiąca. Podobno bronili wioski niedaleko fortu Stangenschloss przed atakiem zwierzóludzi.

Kat pokiwała głową, marszcząc brwi.

– Pamiętam ich, ale z początku wojny. Nie widziałam ich ani nie słyszałam o nich, gdy ostatnio byłam w Stangenschloss. – Wzruszyła ramionami. – Ale mogli przybyć tam i wyruszyć w dalszą drogę, podczas gdy ja przebywałam w lesie. Spędzam tam większość czasu.

– Kiedy ostatnio tam byłaś? – zapytał Felix.

– Jakieś dwa tygodnie temu – odparła. – Odkąd wojna się skończyła, zajmuję się przeprowadzaniem uchodźców ze Stangenschloss do Bauholz, a potem karawan z zaopatrzeniem z Bauholz do Stangenschloss.

– Jak nas w takim razie znalazłaś? – zapytał Felix, marszcząc czoło. – Nie poruszaliśmy się po twojej zwyczajowej trasie.

– Pojawiły się plotki o zwierzoludziach grasujących niedaleko Bauholz, dlatego wybrałam się zapolować na nie.

Oczy jej błysnęły.

– To moja druga praca, ta prawdziwa. Odnajduję obozy zwierzoludzi i doprowadzam tam żołnierzy, żeby mogli ich wybić, co do jednego.

Żrenice Felixa rozszerzyły się. Nie potrafił sobie wyobrazić bardziej niebezpiecznego zajęcia. Dziewczyna była szalona, bardzo dzielna przy tym, ale kompletnie szalona.

– To... to, co robisz, jest bardzo odważne.

– Ja tylko idę za twoim przykładem – odpowiedziała.

Felix jęknął w duchu. Miał wrażenie, że znów rozmawia z Ortwinem! Jego życia nie powinno się naśladować, a zwłaszcza nie wtedy, gdy jest się drobną, młodą kobietą.

Już miał to powiedzieć na głos, gdy dostrzegł, że dziewczyna tłumnie ziewniecie.

– Dobranoc, Felixie – powiedziała, zamykając oczy.

– Dobranoc, Kat – odpowiedział, ale długo potem nie mógł zasnąć i co chwila otwierał oczy, żeby na nią popatrzeć.



Następnego dnia rano Felix obudził się tak przemarznięty, że miał wrażenie, iż przymarzył do desek podłogowych. Pozostali wyglądali równie mizernie – wszyscy poza Gotrekiem. Patrząc na krasnoluda można by było przysiąc, że nie odczuwa różnicy między warunkami panującymi w namiocie, a na przykład w skąpanej słońcem Tilei.

Herr Reidle i jedyny pozostały przy życiu ochroniarz wyszli z samego rana, żeby znaleźć jakieś konie i eskortę, za pomocą których mogliby wyruszyć po beczułki z piwem porzucone poprzedniej nocy w lesie. Tymczasem Kat i Felix kulili się przy maleńkim piecyku doktora Vincka i przestępowali z nogi na nogę, próbując przywrócić krążenie krwi i rozgrzać się nieco.

Doktor zaparzył dla ogółu herbaty z wierzbowej kory i to było wszystko, czym mógł ich poczęstować. Sir Teobalt skinął na Felixa i Gotreka, żeby podeszli do jego posłania, gdzie Ortwin pomagał mu usiąść i opatulał go wszelkimi dostępnymi kocami.

– Mimo że cierpię przyznając to, zdaje się, że będę musiał tu zostać na jakiś czas, zanim moje ramię się nie wygoi – odezwał się Teobalt strudzonym głosem. – Ale nie pozwolę, żeby poszukiwanie mych braci zakonników zostało wstrzymane ze względu na mnie. Nakazuję ci dalej ich szukać, a jeśli odnajdziesz ich, powrócić z nimi do mnie.

– Zrobię, co w mojej mocy – powiedział Felix, pomimo że miał cichą nadzieję, iż po otrzymaniu tak poważnej rany rycerz ogłosi koniec misji.

Teobalt skinął głową.

– Mój giermek będzie wam towarzyszył.

Felix usłyszawszy te słowa, zawahał się przez chwilę. Wcale nie chciał zabierać Ortwina ze sobą. Chłopak najprawdopodobniej będzie dla nich raczej ciężarem niż pomocą. Jego dziecięca naiwność i desperackie poszukiwanie chwały stanowiły pewną receptę na katastrofę, a Felixowi nie uśmiechało się dodatkowo martwić się o chłopaka, jeżeli sprawy przybiorą zły obrót. Wystarczająco dużo kłopotów miał z Zabójcą.

– Sir – wydusił z siebie w końcu. – Dziękuję za twą troskę, ale poszukiwania mogą okazać się niebezpieczne, a nie chciałbym

niepotrzebnie narażać życia twego giermka na niebezpieczeństwo. Zabójca i ja mamy większe szanse na sukces, jeżeli będziemy podróżować tylko we dwóch.

Stary rycerz utkwiał w nim spojrzenie oczu, w których przez chwilę zapłonął cień dawnego blasku.

– Obawiam się, że będę nalegał, Herr Jaeger. Gdy nie będę cię miał na oku, twój zapał do wykonania misji może trochę osłabnąć. Ortwin będzie moimi oczami i uszami i dopilnuje, żebyś doprowadził sprawy do końca.

Gotrek zjeżył się, słysząc te słowa.

– Wątpisz w nasze słowo honoru? Przecież przysięgaliśmy.

– Nie uczyniliście nic, żebym miał w was zwątpić – odparł Teobalt raczej chłodnym tonem. – Ale mam prawo domagać się dowodu na to, że misja zostanie ukończona. Jeżeli jesteście ludźmi honoru, to nie powinniście mieć obiekcji przeciwko obecności Ortwina. Boi się tylko ten, który ma coś do ukrycia, jak powiada ludowa mądrość.

Felix widział, że Gotrek już miał coś powiedzieć. Nie mógł mu na to pozwolić. Jeżeli nie będą ostrożni, ta wymiana zdań może się skończyć źle i sir Teobalt może wycofać się z pomysłu z misją – jedynej szansy Felixa na zatrzymanie Karaghula.

– Skoro nalegasz, sir Teobalcie – powiedział szybko Felix. – I jeżeli Ortwin jest gotów na to ryzyko, to weźmiemy go ze sobą.

– Nalegam – powiedział Teobalt. – I dziękuję ci za twoje przyzwolenie.

Gotrek mruknął coś z niezadowoleniem, ale ostatecznie tylko wzruszył ramionami. Felix wypuścił z płuc westchnienie ulgi, ale w tej samej chwili poczuł wyrzuty sumienia. Zgodził się narazić chłopaka na niebezpieczeństwo, tylko po to, żeby odzyskać swój miecz. Bardzo to bezduszne z jego strony. Oczywiście, gdyby Teobalt odsunął ich od misji, to najprawdopodobniej wysłałby na nią Ortwina samotnie, dlatego też zabierając giermka ze sobą, Felix i Gotrek tak naprawdę ratowali mu życie. Przynajmniej tak to sobie Felix tłumaczył.

Popijając herbatę zdecydowali, że najlepiej będzie wrócić do Bauholz za dnia i popytać żołnierzy oraz uchodźców z południa, czy

ktokolwiek z nich słyszał jakieś wieści o Zakonie Płonącego Serca. Jeżeli niczego się nie dowiedzą, to jutro rano wyruszą do Stangenschloss i tam zasięgną języka.

Słyszając to Kat powiedziała, że jeżeli zaczekają jeszcze jeden dzień, to będzie mogła im towarzyszyć.

– Mam prowadzić karawanę z zaopatrzeniem dla fortu. Wyruszają pojutrze, gdy ostatnia z łodzi z towarami z Ahlenhof przybędzie na miejsce.

Felix i Gotrek z radością przystali na takie rozwiązanie. Żaden z nich nie miał doświadczenia w poruszaniu się po gęstym lesie.



Przechodząc przez obóz uchodźców w drodze do mostu w Bauholz, Felix stwierdził, że za dnia obozowisko prezentowało się zdecydowanie gorzej niż nocą. Mieszkańcy nie tylko żyli na stercie śmieci, żyli dosłownie wśród odpadków. Niektóre z namiotów zrobiono ze szczątków wozów, desek z połamanych beczek czy kratownic. Inne były zaledwie brudnymi prześcieradłami naciągniętymi na kawałek sznurka.

Nawet mimo tęgiego mrozu smród był obezwładniający. Skute lodem dziury w ziemi służące za latryny były wszędzie. Felix widział mężczyzn, kobiety i dzieci kulących się wokół małych ognisk i smażących na śniadanie szczury oraz gołębie. Wydawało mu się, że dostrzegł, jak ktoś jadł liście i zbrązowiałą trawę. Wszystkich charakteryzowała ta sama chorobliwa chudość, jaką zauważył u doktora Vincka. Zastanawiał się, jak uda im się przetrwać zimę.

W tej samej chwili zauważył dwóch mężczyzn wynoszących z jednego z namiotów ciało kobiety. Zwłoki były zeszywniałe na kość i pokryte warstewką szronu. Jeden z mężczyzn musiał płakać, bo na jego policzkach widać było ślady po zamrzniętych łzach.

Felix zadrżał, ale nie z zimna. Prawdziwa przerażająca twarz wojny nie ujawniała się na polu bitwy, bez względu na to, ile krwi na nim przelano. To później rozgrywał się prawdziwy dramat.

Choroby, głód, wysiedlenia i całe połacie ziemi zmieniające się w nieużytki. Rycerze nie cierpieli. Albo ginęli, albo wracali do dostatku i ciepła. Tak samo wrogowie. To te biedne, udęczone dusze, których żyzne pola zamieniano w miejsca rzezi, cierpiały najbardziej. Nie była to kwestia dni, czy tygodni, ale lat. Raziła go ta jawna niesprawiedliwość.

Gdy zbliżali się do mostu, Kat wzięła nagle gwałtowny wdech i zwolniła.

Felix spojrzał przed siebie.

– Co się stało? – zapytał.

– Beznosy Milo – odpowiedziała, wskazując podbródkiem. – Rządzi w obozie uchodźców w ten sam sposób, jak Ludeker w mieście. Możemy mieć z nim problem.

– I dobrze – ożywił się Gotrek. – Przyda mi się mała rozgrzewka.

Felix spojrzał w kierunku wskazanym przez Kat. Grupka mężczyzn w poszarpanych skórzanych kamizelach tłoczyła się przy wejściu na most. U ich pasków wisiały miecze i pałki. Czuźnie obserwowali wszystkich przechodzących. Ludzie garbili się i kulili pod ich spojrzeniem, jakby obawiając się, że za chwilę spadnie na nich cios. Z niektórych przechodniów mężczyźni tylko się wyśmiewali. Innym podstawiali nogi i śmiali się z upadku. Jeden z nich uszczypnął młodą kobietę w zadek i zaśmiewał się do rozpuku, gdy czmychnęła przez most niczym przestraszony królik.

– Szumowiny – stwierdził Gotrek.

– Psubraty – dodał Ortwin.

– Aye – zgodził się Felix. Widząc fatalne warunki, w jakich żyli uchodźcy i panującą dokoła deprawację, był już na tyle rozeźlony, żeby pragnąć walki, zwłaszcza z kimś, kto sprawiał, że życie tych ludzi było jeszcze bardziej nieszczęśliwe.

– Proszę, nie wszczynajcie z nimi bójki – błagała ich Kat. – Przysporzycie tylko kłopotów doktorowi Vinckowi i waszemu rycerzowi. Oraz mnie – dodała po chwili.

Gotrek spojrzał na nią.

– Czy ci złoczyńcy mają coś na ciebie, mała?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Nie. Ale nie mogę przez cały czas żyć w lesie. Od czasu do czasu muszę tutaj wracać. A nie będę mogła, jeśli...

– Aye – przerwał jej Gotrek. – Rozumiem.

Gdy się zbliżali, największy z mężczyzn spojrzał w ich stronę. Uśmiechnął się, odsłaniając połamane zęby, co nadało jego twarzy jeszcze bardziej przerażający wyraz. Był to jeden z najbrzydszych ludzi, jakich Felix kiedykolwiek widział, nie licząc tych zmienionych przez mutacje. Mężczyzna był łysiejący, miał małe świńskie oczka w twarzy okrągłej jak księżyc w pełni, ale jego najbardziej charakterystyczną cechą było to, czego nie posiadał. Zgodnie z przydomkiem, jakim określiła go Kat, nie miał nosa. Wyglądało na to, że został oderwany od twarzy dawno temu. Teraz w jego miejscu znajdowały się tylko dwie pionowe dziury i kawałek białej chrząstki wystającej nieco na zewnątrz. Wszystko to otoczone było pomarszczoną, bliznowatą tkanką przywodzącą na myśl kalafior.

– Witaj, Kat – odezwał się mężczyzna dość przyjemnym, ale podszytym drwiną głosem. Jego spojrzenie prześlizgiwało się po kolei po Gotreku, Felixie i Ortwinie.

– Wyglądasz ślicznie jak zawsze. A kim są twoi przyjaciele?

Jego ludzie podeszli bliżej, szczerząc się i zagradzając im drogę.

5

– Pozwól nam przejść, Milo – powiedziała Kat, wysuwając wojowniczo podbródek. – Nie chcemy kłopotów.

– Przybyliście zeszłej nocy, nieprawdaż? – zapytał Milo, nie zwracając na nią uwagi. – Zatrzymaliście się u Herr doktora?

Uśmiechnął się, widząc jej zdenerwowanie.

– Myślałaś, że się nie dowiem? Może i nie mam nosa, ale za to oczy mam wszędzie.

Jego ludzie roześmieli się. Felix zauważył, że żaden z nich nie wyglądał na przymierającego głodem.

Spojrzenie Milo przesunęło się z gniewnej twarzy Gotreka na złoto błyszczące na jego nadgarstkach, a wreszcie na Felixa.

– Czy ty i twoi towarzysze macie zamiar zatrzymać się w mieście na dłużej, sir?

– To tylko podróżni w drodze do Stangenschloss, Milo – wtrąciła się Kat, zanim Felix zdążył odpowiedzieć. – Nie powinni cię obchodzić.

Milo uniósł brwi.

– Wybieracie się do Stangenschloss o tej porze roku? Toście pewnie odważne chłopcy. Pójdę o zakład, żeście prawdziwi bohaterowie.

– Zostaw ich w spokoju, Milo – westchnęła Kat. – Nie będą dla ciebie pracować.

– Milo zawył.

– Dlaczego nie pozwolisz dżentelmenom mówić za siebie, Kat?

– Nie szukamy pracy – odezwał się sztywno Felix.

– Och, dajcież spokój, sir – odparł Milo z uśmiechem na ustach. – W Stangenschloss zimą będzie ciężko. Kiedy wszystkie zbiry z

północy i bestie z lasów na was wyleżą, to gotowiście jeszcze nie przeżyć zimy. Po co wlec się tam, kiedy tu, na miejscu znajdzie się dobrze płatna robota dla ludzi, którzy wiedzą, jak używać pięści. I dla krasnoludów – dodał, puszczając oko do Gotreka.

Obejrzał się przez ramię i jego chytre spojrzenie omiotło znajdującą się za mostem obwarowaną osadę.

– I mogę obiecać, że już wkrótce pieniędzy może być jeszcze więcej, prawda, chłopaki? – obrócił swą brzydkią twarz z powrotem w stronę Felixa, a jego ludzie wybuchnęli nieprzyjemnym śmiechem.

– Cóż więc powiecie, panowie? Spędzicie zimę w naszym uroczym, starym Bauholz?

– Już dla kogoś pracujemy – opowiedział Felix. – Wybacz. A teraz proszę, ustąp nam miejsca.

Przez twarz Milo przemknął grymas złości, ale natychmiast zastąpił go brzydki uśmiech i wzruszenie ramion.

– No dobra, dobra, nie zaszkoziło spytać, prawda? Jeżeli zmienita zdanie, Kat wie, gdzie mnie szukać.

Odsunął się i przegonił swoich ludzi tak, że droga przez most stanęła otworem. Kiedy Gotrek, Felix, Ortwin i Kat przechodzili koło nich, Milo mrugnął do dziewczyny.

– Żegnaj na razie, ukochana. A jeśli zmęczysz się i odmroziś sobie ogonek u Herr doktora, pamiętaj, że ja i wygrzane łoże czekamy na ciebie zawsze, kiedy tylko będziesz chciała.

Zachichotał lubieżnie.

– I tyle kiełbasy, ile zdołasz w siebie wcisnąć.

Gotrek warknął, słysząc tę wulgarną zaczepkę. Dłonie Felixa zacisnęły się w pięści, a w oczach Ortwina błysnął gniew. Już mieli się odwrócić, ale Kat potrząsnęła głową, więc tylko ruszyli dalej. Kiedy dotarli na drugą stronę mostu i nie mogli być już słyszani przez bandę Milo, dziewczyna odetchnęła z wyraźną ulgą.

– Przestałby być znany jako beznosy Milo, kiedy bym z nim skończył – sarknął Gotrek.

– Nie przejmuj się tym – zachnęła się Kat. – Potrafię o siebie zadbać.

- Co za złoczyńca – wyrwało się rozgorączkowanemu Ortwinowi.
- Napycha się kiełbasą, kiedy wszyscy ci biedacy dokoła głodują!

Kat stłumiła chichot. Felix zamrugał zdziwiony i już miał coś powiedzieć, ale odpuścił sobie. Po co kłaść tak niewinny umysł?

Zamiast tego zadał pytanie Kat.

- Do jakiej pracy chciał nas zatrudnić?

Kat obejrzała się przez ramię.

– Milo chce rządzić całym Bauholz. Stara się zebrać tyłu ludzi i tyle broni, żeby wypędzić Ludekera i przejąć władzę. Składa taką ofertę każdemu sprawnemu mężczyźnie, który przejeżdża przez miasto.

Zwróciła się do Gotreka:

- Uważaj, Gotreku. Przypatrywali się twoim bransoletom.

Gotrek prychnął.

- Mogą sobie patrzeć, ile tylko chcą, mała.

Uśmiechnęła się, słysząc te słowa i Felix ujrzał cieniutkie zmarszczki pojawiające się w kącikach jej oczu i ust. W tej chwili ujrzał ją na nowo, jakby stała przed nim po raz pierwszy w życiu. Do tej pory cały czas myślał o niej jak o młodej dziewczynie, do czego przyczyniała się jej nieśmiałość, drobna sylwetka i zacienione leśne gęstwiny, w których spotkali się ostatniej nocy. Ale w porannym słońcu dostrzegł, że pierwsza młodość musiała już minąć. Miała teraz, z tego co obliczył, około dwudziestu sześciu lub dwudziestu siedmiu lat. Wyglądała bardzo dobrze jak na swój wiek, ale widać też było po niej, że życie jej nie oszczędzało.



Zapłacili kolejne osiem fennigów podatku od stóp, żeby wkroczyć przez bramy Bauholz, a następnie znaleźli się wewnątrz murów, gdzie panował gwar i zamieszanie. Wszędzie pełno było żołnierzy i ludzi wynajmujących łodzie. Wszyscy zajęci byli ładowaniem towarów do magazynów Ludekera.

Kat powiedziała Gotrekowi, Felixowi i Ortwinowi, że zna kilka osób w miasteczku, które mogą coś wiedzieć o losach członków Zakonu Płonącego Serca, ale że lepiej będzie, jeśli spotka się z nimi sama. Zasugerowała, żeby oni z kolei popytali w Prochu i Wystrzale – tawernie, ta niegdyś była świątynią Sigmara. Zawsze pełno tam było żołnierzy, zarówno maszerujących na północ, jak i wracających na południe.

– Ale uważajcie – zwróciła im uwagę, gdy rozstawali się na skrzyżowaniu ulic. – Ludzie Ludekera będą próbowali wyciągnąć od was pieniądze w każdy możliwy sposób. A oni nie przyjmują odmownych odpowiedzi.

Gotrek tylko prychnął, a Felix uśmiechnął się.

– Nie martw się, Kat – uspokoił ją, chichocząc cicho. – Potrafimy o siebie zadbać.

– Aye – poparł go Ortwin, wypinając pierś. – Potrafimy o siebie zadbać.

Felix i Gotrek słysząc to, wymienili tylko znaczące spojrzenia.



– Ile?! – zapytał ponownie Gotrek niebezpiecznie podniesionym tonem.

– Szyling za kufel, Herr krasnoludzie – odpowiedział barman.

Felix zamrugał oczami, ale sięgnął po przymocowana do pasa sakiewkę.

– Nawet najlepsze piwo w Altdorfie kosztuje połowę tego – skomentował.

– No cóż, nie jesteśmy w Altdorfie, mein Herr – odparł barman, napełniając dwa półlitrowe kufle. – Kupcy ryzykują życiem i zdrowiem, czasem dosłownie, żeby je tu dostarczyć. Jeden z naszych dostawców był tu niedawno i opowiadał, że stracił wczoraj w nocy trzech ludzi w drodze do Bauholz. Wynajął wóz i kilku osiłeków, żeby przywieźć porzucone beczki. Zdajecie sobie chyba sprawę, że potem doliczy to do rachunku?

Felix niechętnie położył na blacie trzy szylingi. Barman postawił przed Felixem, Gotrekiem i Ortwinem trzy kufle. Wzięli po głębokim łyku. Felix aż się skrzywił. Okropny cienkusz i w dodatku prawie bez smaku, jakby rozcieńczyli go wodą.

Gotrek zakrztusił się i odstawił kufel z obrzydzeniem, jakby właśnie zauważył pływające w nim szcurze odchody.

– A ile kosztuje dobre piwo? – zapytał.

– To jedyne piwo, jakie mamy, Herr krasnoludzie – odpowiedział barman.

Gotrek z kamienną twarzą przesunął kufel z powrotem w stronę mężczyzny. Felix zrobił to samo.

– Poczekamy, aż Reidle przywiezie świeże zapasy – powiedział.

Ortwin natomiast niezrażony pił dalej.

Kiedy odchodzili od baru, minęło ich chwiejnym krokiem dwóch żołnierzy z daleka żądających piwa. Felix potrząsnął tylko głową, gdy usłyszał słowa barmana:

– Proszę bardzo, panowie. Już nalane. Widziałem, jak nadchodzicie. To będzie po szylingu od każdego.

Gotrek i Felix lustrowali wzrokiem salę barową. Wciąż przypominała kształtem wnętrze świątyni Sigmara, ale wzdłuż nawy głównej stały stoły na kozłach, otoczone niewysokimi trzynogimi stołkami, a tam, gdzie kiedyś znajdował się ołtarz, był teraz bar. Baryłki z piwem ustawiono pod tylną ścianą, pod miejscem, gdzie powinien był wisieć złoty młot.

Tak wcześnie rano w tawernie nie było straszego tłoku. Pomieszczenie wypełnione było w jednej czwartej, z czego mniej więcej połowa gości jadła, a połowa piła. Felix nawet nie chciał myśleć, ile kosztuje jedzenie tutaj, skoro cena piwa była tak wygórowana. Z zadowoleniem pomyślał, że zostało im jeszcze trochę racji podróźnych, bo inaczej byliby spłukani, zanim wyruszyliby jutro w dalszą drogę.

Po lewej grupka młodych mężczyzn w barwach miasta Schmiedorf prowadziła ze sobą ożywioną rozmowę. Co chwila popijali z kufli i rozglądali się dokoła z zaciekawieniem. Za nimi siedzieli rzeczni przewoźnicy, rozmawiając przyciszonymi głosami z mężczyzną w takim samym mundurze, jaki nosili strażnicy,

zatrzymujący wczoraj Felixa i jego przyjaciół przy bramach miasta. Wykluczył obie grupy. Żołnierze byli najwyraźniej świeżymi rekrutami, którzy dopiero co przybyli na północ i nie mogli w związku z tym dysponować żadnymi wartościowymi informacjami, a przewoźnicy z pewnością nie będą się orientować w tym, co dzieje się na północ od Bauholz.

Po prawej stronie siedziała bardziej obiecująca gromadka. Wissenlandzcy włóczęgowie praktycznie przysypiali na stołkach, a więcej było na nich widać blizn i bandaży niż w przeciętnej wielkości szpitalu Shallyi. Oni z pewnością wracali z północy. Być może będzie można się czegoś od nich dowiedzieć.

Gotrek już zmierzał w ich stronę. Felix ruszył za nim, a Ortwin deptał mu po piętach. Usiedli obok zmęczonych jegomości przy jednym z sąsiednich stolików i Felix uśmiechnął się do sierżanta, rudowłosego mężczyzny z jednym uchem.

– Zmierzacie do domu, sierżancie? – zagadnął.

Żołnierz skinął głową.

– Aye, sir, jak tylko znajdzie się dla nas miejsce na łajbie. Ten skurczysyn zarządca portu mówi, że może to być najwcześniej za tydzień.

– Gdzie walczyliście? – zapytał rozemocjonowany Ortwin. – Czy zabiliście wielu Kurganów?

Żołnierze obrócili ku niemu pusty wzrok, gapiąc się przez chwilę z leniwym zdumieniem.

– Aye – odparł wreszcie sierżant. – Bardzo wielu. Od Middenheim do Wyjących Wzgórz. Ścigaliśmy ich jak łowną zwierzynę. Nie żeby to robiło jakąś różnicę. Zawsze nadchodzili nowi.

Jego ludzie potwierdzili te słowa zgodnym pomrukiem.

– Zawsze nowi – powtórzył jeden z nich.

– Czy w drodze do tego miejsca zatrzymaliście się może w Stangenschloss?

Sierżant pokiwał głową.

– To stamtąd wysłali nas do domu. „Spełniliście obowiązek. Wracajcie do domu i czekajcie na żołd”.

– Czy podczas waszej wyprawy przypadkiem nie spotkaliście albo nie słyszeliście o grupie rycerzy zwanej Zakonem Płonącego Serca? – dopytywał się Felix. – Ich insygnia to serce otoczone płomienistym kręgiem.

Sierżant zmarszczył czoło i obrócił się ku swoim ludziom.

– Któryś z was chłopaki coś sobie przypomina?

Odpowiedziały mu tylko wzruszenia ramionami i pomrukiwania.

– A ci pod Middenstag, to nie byli oni?

– Nie, to byli Rycerze Srebrnej Pięści.

– A tamci, co orki rozwaliły ich na wzgórzach, pamiętacie?

– Nie pamiętam, jak się zwali, ale chyba mieli znak ptaka, prawda?

– A tak, rzeczywiście, to był jakiś ptak, nie serce. Minęła minuta niespiesznej dyskusji, kiedy sierżant obrócił się z powrotem do Felixa.

– Przykro mi, mein Herr. Nie sądzę, byśmy ich spotkali.

Felix wzruszył ramionami.

– Mimo wszystko dziękuję, sierżancie.

Wraz z Gotrekiem mieli już poszukać następnej osoby do przepytania, kiedy pojawił się obok nich wielki mężczyzna w fartuchu barmana. Spojrzeli na niego, co wymagało uniesienia głów. Mężczyzna ten był wzrostu Milo, ale szerszy w klatce i ramionach. Uśmiechnął się do nich.

– Czy podać panom coś do picia? – zapytał uprzejmie.

– Nie, dziękujemy – odparł Felix i dalej rozglądał się po pomieszczeniu.

Mężczyzna się nie poruszył.

– Trzeba zamówić coś do picia, żeby móc siedzieć przy stole – poinformował ich. – Co podać? – zapytał tym razem trochę mniej grzecznie.

Gotrek wlepił w niego wzrok. Felix mruknął pod nosem:

– Nie minęło pięć minut, odkąd płaciliśmy za piwo – powiedział.
– Zostawiliśmy je przy barze.

– To nie zmienia faktu, że trzeba mieć coś do picia, żeby siedzieć przy stole – powtórzył niezrażony jegomość.

– Nie podajecie tu nic, czego warto by się było napić – stwierdził Gotrek. – Więc spadaj.

Wissenlandzcy włócznicy zaczęli okazywać zainteresowanie sytuacją.

– Nie chcemy pić – wtrącił szybko Felix, zanim barman zdołał powiedzieć coś, co skłoniłoby Gotreka do powstania ze swojego stołka. – Chcemy tylko tu posiedzieć.

– A więc zapłaćcie podatek stołowy – odparł mężczyzna. – Dwa szylingi za godzinę, płatne z góry.

– Podatek stołowy?! – głos Gotreka zadrżał niebezpiecznie. – Co to za kolejny bezsensowny ludzki wymysł?

– Prowadzimy tu karcznię, sir – odparł niewzruszony barman. – A nie obóz dla uchodźców. Miejsca przy stołach są zarezerwowane dla klientów, którzy płacą.

Felix jeszcze raz rozejrzał się po sali. Wciąż była wypełniona tylko w jednej czwartej. Wszędzie było pełno wolnych miejsc.

– Powiedzmy, że wyjdziemy, kiedy ktoś będzie chciał usiąść na tych miejscach, co?

Barman skrzyżował na piersiach muskularne ręce.

– Nie będę się z wami spierał, panowie. Jeżeli nie pijecie i nie płacicie, będziecie musieli wyjść.

Gotrek wstał. Mężczyzna odruchowo zrobił krok do tyłu.

– Słuchaj no, pacanie – zaczął Zabójca, napierając na dużego mężczyznę. – Zapłacę za piwo, kiedy przyniesiesz mi piwo, które nie smakuje, jakby ktoś naszczał do zapleśniałej beczki na deszczówkę!

Ortwin gapił się na krasnoluda w osłupieniu. Felix jęknął. Wissenlandzcy włócznicy wybuchnęli śmiechem i przyklasnęli Gotrekowi.

– Dokładnie tak smakuje! – zgodził się sierżant.

– Wynocha – powtórzył barman, robiąc kolejny krok do tyłu. – Nie chcemy tutaj przemocy.

– Jeżeli chcesz, żebym wyszedł – odparł Gotrek, wciąż napierając na niego. – Będziesz musiał mnie wyrzucić.

Barman zawahał się, zwinął dłonie w pięści, po czym obrócił się na pięcie i uciekł za bar przy akompaniamencie żołnierskich

gwizdów i docinków. Szepnął coś na ucho drugiemu barmanowi i zniknął w pomieszczeniu na tyłach.

Wissenlandczycy chwycili za kufle i zaczęli miarowo uderzać nimi o stół, skandując:

– Prawdziwe piwo! Prawdziwe piwo!

– Dalejże, człeczyno – powiedział Gotrek, odwracając się do Felixa. – Musimy porozmawiać z innymi.

Ruszył przez pomieszczenie w stronę trójki młodych strzelców, którzy przyglądali się rozgrywającej się przed chwilą scenie z wyraźnym rozbawieniem. Mimo że młodzieńcy ubrani byli wedle najnowszej altdorfskiej mody, Felix dostrzegł, że ich buty i ubrania były zniszczone i intensywnie łatane – tak jak i oni sami. Jeden ze strzelców miał przedziałek na głowie, który musiał zostać zrobiony za pomocą topora, a inny hak zamiast lewej dłoni.

Zasalutował nim Gotrekowi leniwie, podczas gdy Zabójca, Felix i Ortwin zajmowali miejsca przy ich stole.

– Dobrze powiedziane, Herr krasnoludzie! – odezwał się mężczyzna ze szlacheckim akcentem. – Już od tygodnia zbierałem się, żeby wyrazić tę opinię.

– Tak jak i ja – dodał jego towarzysz o skalpie pokrytym bliznami. – Przekłęta natrętna hołota nie da człowiekowi chwili spokoju: „Napełnić kufelek, mój panie? Jeszcze jedno piwo, mój panie? Ukraść panu sakiewkę, mój panie?”.

– Niech mnie kule biją, jeżeli nie wstrzymują łodzi celowo, żeby wydoić z nas ostatnie korony, jakie nam pozostały, zanim stąd odpłyniemy – stwierdził mężczyzna z hakiem zamiast dłoni.

Uśmiechnął się i wskazał po kolei na swoich przyjaciół i na siebie:

– Abelhoff, Kholer i von Weist. A teraz, czemuż to zawdzięczamy tę przyjemność?

– Uczestniczyliście w walkach? – zapytał Felix.

Von Weist roześmiał się i uniósł kikut.

– Nie wygrałem tego w karty, mój chłopcze.

Felix zarumienił się, zawstydzony i trochę zirytowany tym, że mężczyzna na oko o dwadzieścia lat od niego młodszy mówi do niego per „chłopcze”, ale odpuścił.

– Zastanawialiśmy się, czy po drodze nie spotkaliście może rycerzy znanych jako Zakon Płonącego Serca?

Trzech strzelców popatrzyło na siebie, marszcząc w zamyśleniu brwi, aż wreszcie trzeci z nich, Kohler, ten, który jeszcze do tej pory nie przemówił, pokiwał głową. Wydawało się, że jego cielesna powłoka została względnie nienaruszona w wojennych starciach, ale towarzyszyła mu aura takiej smutnej powagi, że nie było wątpliwości, iż swoje przeżył.

– Aye – odezwał się. – Spotkaliśmy ich. Stacjonowali w Stangenschloss, kiedy tamtędy przechodziliśmy, jakiś miesiąc temu. Z tego, co pamiętam, niewielu z nich zostało przy życiu. Ich trębacz powiedział mi, że blisko połowa zginęła pod Middenheim i Sokh.

– A czy kiedy opuszczaliście Stangenschloss, oni dalej tam byli, panowie? – zapytał z przejęciem Ortwin.

Abelhoff, ten z blizną na czaszce, potrząsnął przecząco głową.

– Usłyszeli wieści, że jakiejś wiosce na skraju Wyjających Wzgórz grozi niebezpieczeństwo ze strony wielkiego stada zwierzoludzi i wyprawili się, aby jej bronić.

Ponownie potrząsnął głową, tym razem ze zrezygnowaniem.

– Czyste szaleństwo, rzecz jasna. Wszyscy zakonni rycerze są tacy. Nie chcą pomocy. Żadnej piechoty...

Rozgorączkowany Ortwin zerwał się z miejsca.

– Jestem nowicjuszem tego zakonu, sir. Nie jesteśmy szaleni!

– Spokojnie, chłopcze, spokojnie – odparł von Weist. – Nie chciałem nikogo urazić. Szaleństwo to nasz chleb powszedni.

Uśmiechnął się jak zadowolony z siebie kocur.

– Wyruszylibyśmy z nimi, to pewne jak to, że po nocy wstaje dzień, gdyby nie fakt, że zwrócono nas do magazynu, ponieważ zbyt wiele naszych części wymaga wymiany.

– Czy rycerze powrócili? – zapytał Felix.

Kohler potrząsnął głową.

– Nie zanim wyruszyliśmy w dalszą drogę na południe. Nie słyszeliśmy, co się z nimi stało. Przykro nam.

Felix pokiwał głową. Wyglądało na to, że podróży do Stangenschloss nie da się uniknąć.

– Tak mi się wydaje, że jesteś Zabójcą Trolli. – Von Weist skierował rozmowę na inne tory, zwracając się do Gotreka. – Czy to prawda?

Gotrek utkwiał w nim spojrzenie jedyne oko.

– A co, jeśli jestem?

Von Weist uśmiechnął się.

– Och nic. Po prostu interesujący zbieg okolicznością to wszystko. Spotkaliśmy trzech twoich ziomków w Stangenschloss.

Roześmiał się.

– Na bogów, oni też byli szaleni!

– Aye – potwierdził Abelhoff. – Waleczni jak mało kto. Wystarczyło na nich spojrzeć, a już wszczynali bójkę.

– Oprócz jednego z gwoździami w głowie – wtrącił von Weist. – Ten głównie pił.

Ta wzmianka natychmiast przykuła uwagę Felixa i Gotreka.

– Gwoździe w głowie? – powtórzył z niedowierzaniem Felix.

Von Weist uniósł zakończony hakiem kikut i wskazał nim na Gotreka.

– Przysięgam, że mówię prawdę. Nosił je tak, jak Herr Zabójca tutaj nosi swój grzebień.

Gotrek i Felix wymienili znaczące spojrzenia, po czym Felix nachylił się, żeby zadać strzelcom kolejne pytania, ale w tej samej chwili usłyszeli dobiegający z ulicy gwar i do środka tawerny wpadła grupa ludzi.

Felix, Gotrek i Ortwin spojrzeli na przybyłych, tak jak i wszyscy goście zgromadzeni w karczmie. Przy wejściu stało pół tuzina ludzi w mundurach Ludekera, a obok nich barman, którego Gotrek wcześniej przegonił.

– Tam! – wskazał osiłek bezpośrednio na Gotreka. – To oni! Grozili mi i nie opłacili podatku stołowego.

Dowódca strażników pokiwał głową i dumnie wmaszerował na środek pomieszczenia, a jego ludzie rozpięchli się za jego plecami. Dowódca był dużym mężczyzną z wielkim brzuchem, który zdradzał trzy regularne posiłki dziennie z od czasu do czasu drobną przekąską między nimi. W mieście takim jak Bauholz, gdzie głód był niemal jak plaga, Felix uznał to za co najmniej niestosowne.

– Te stoliki są zarezerwowane dla pijących, chłopcy – odezwał się. – Kupujecie piwo albo wychodzicie.

Jego ludzie zaczęli ich okrażać.

– Kupiliśmy piwo – odparł Felix.

– Ale to nie było piwo – dodał Gotrek.

– Będziecie musieli kupić następne – poinstruował ich strażnik. – A skoro i tak będziecie grzebać w sakiewkach, to poinformuję was przy okazji, że obowiązuje u nas kara za zakłócanie porządku publicznego. Dwa szylingi za głowę.

Wyciągnął przed siebie dłoń.

Gotrek warknął gardłowo.

Felix i Ortwin rzucili mu nerwowe spojrzenie.

– Spokojnie, Gotreku – powiedział Felix. – Nie możemy pakować się w kłopoty. Musimy tu zostać co najmniej jeden dzień, a ja chciałbym popytać jeszcze kilka osób o rycerzy zakonnych.

– W takim razie zabierz go sprzed moich oczu – zażądał Gotrek.

Felix zwrócił się do dowódcy straży i otworzył przytroczoną do pasa sakiewkę.

– W porządku, zapłacimy, cztery szylingi kary i dwa szylingi za kolejne dwa „piwa”.

– Sześć szylingów kary, mein Herr – poprawił go strażnik.

Felix zmarszczył czoło.

– Powiedziałeś dwa szylingi za głowę.

Strażnik wskazał serdelkowatym palcem na Ortwina.

– A ten tutaj, też jest z wami.

– Ale on nic nie zrobił. Tylko my zakłócaliśmy spokój.

– Tak czy siak to jeden z was – upierał się dowódca.

Gotrek powstał, żeby zmierzyć się ze strażnikiem.

– Bierz cztery szylingi i wynoś się stąd, zanim sam cię wyrzucę.

Strażnik zrobił krok do tyłu. Jego ludzie położyli dłonie na pałkach.

– Groźenie przedstawicielowi prawa – zakwalifikował wypowiedź krasnoluda strażnik. – Za to należy się kara ośmiu szylingów.

– I ma obnażone ostrze, sir – zauważył jeden z jego ludzi, wskazując na topór na plecach Gotreka.

– O tak, rzeczywiście – zgodził się dowódca. – To kolejne pięć szylingów.

Gotrek zrobił kolejny krok do przodu.

– Zaraz wepchnę ci te twoje sześć szylingów, tam gdzie światło...

– Gotrek! – krzyknął Felix.

– I znowu groźba! – wrzasnął strażnik, wycofując się. – Za drugim razem suma jest podwójna, czyli szesnaście szylingów! To będzie... to będzie razem...

– W sumie jedna korona i piętnaście szylingów – podpowiedzieli mu usłużnie jego ludzie.

– Gotreku, proszę cię – powiedział Felix, widząc, że Zabójca podnosi dłoń zaciśniętą w pięść. – Zapłacę. Nie możemy sobie pozwolić na kłopoty w tej chwili. Musimy...

Przerwał, słysząc szelest stali wyciąganej z pochwy, dobiegający gdzieś obok. Wszyscy zwrócili się w tę stronę.

Zobaczył Ortwina z wyciągniętym mieczem i wzrokiem utkwionym w przywódcy strażników.

– Jesteście ludźmi bez honoru! – powiedział chłopak swym wysokim, czystym głosem. – To nie są uczciwe imperialne prawa, a wy nie możecie egzekwować...

Jeden ze strażników zaszedł go od tyłu i grzmotnął pałką w głowę. Chłopak zatoczył się i upadł, przypadkiem zahaczając ostrzem miecza o nogę dowódcy straży.

– Dopuszczać się ataku na przedstawiciela prawa! – zaryczał zraniony. – Brać go!

Jego ludzie naporli ze wszystkich stron, wymachując pałkami. Gotrek blokował ciosy przedramionami, a Felix schylił się, sięgając po jeden ze stołków. Strzelcy rozpierzchli się na wszystkie strony.

– Wybaczcie, chłopaki! – zakrzyknął von Weist. – To nie nasza walka!

– Ale życzymy wam powodzenia! – dodał Abelhoff.

Felix sparował cios pałki stołkiem i kopnął strażnika w kolano. Gotrek wbił pięści niemal po nadgarstki w miękkie podbrzusze grubasa, po czym zamachnął się na dwóch następnych napastników, podczas gdy tłuszcioch osunął się na ziemię, wymiotując. Felix walnął kolejnego ze strażników w hełm, ale zaraz obrócił się w

miejscu od impetu ciosu pałką, który spadł na jego ramię. Jeden ze strażników stał na stole i już unosił rękę do kolejnego uderzenia.

Felix kopnął w krawędź stołu i mężczyzna upadł na ziemię. Próbował się podnieść, ale dla pewności Felix dołożył mu jeszcze stołkiem. Gotrek jednym ciosem posłał strażnika na kamienny filar, a drugiego przerzucił sobie przez ramię i grzmotnął nim o stół, niszcząc mebel.

Nie minęła minuta, a Gotrek i Felix stali ciężko dysząc w kręgu posiniaczonych jegomości, którzy leżeli na ziemi jęcząc i trzymając się za różne części ciała. Zgromadzeni w karczmie goście zareagowali spontanicznymi brawami. Wissenlandzcy włócznicy gwizdali i tupali nogami. Strzelcy uprzejmię klaskali.

– Świetne widowisko! – krzyknął von Weist.

Ale zanim jeszcze ucichł aplauz, przez drzwi do środka wpadła kolejna grupa strażników – tym razem było ich co najmniej dziesięciu. Dyszeli ciężko i wszyscy co do jednego mieli wyciągniętą broń. Na przedzie znajdował się szczupły, niewysoki mężczyzna z głową wysuniętą do przodu w sposób przywodzący na myśl kruka. Miał na sobie mundur kapitana, a u jego pasa zwisał kosztowny rapier i cztery pistolety.

– Co tu się dzieje? – zapytał głosem, który brzmiał jakby ktoś pilnikiem z całej siły przesunął po kawałku zardzewiałego żelaza.

6

Przysadzisty barman wychynął zza baru, krzycząc:

– Kapitanie Ludeker! Ci tutaj...

– Mniejsza z tym, Geert – przerwał mu Ludeker, utkwivszy przesywające spojrzenie w Gotreku i Felixie. – Widzę, co tu się dzieje.

Wystąpił krok do przodu, splótł ręce z tyłu i potrzęsął głową, podczas gdy żołnierze i ciekawscy mieszkańcy Bauholz zaczęli zbierać się wokół wejścia do tawerny, zaintrygowani tym, co też mogło się tam dziać.

– Zakłócanie spokoju – podjął po chwili Ludeker. – Zniszczenie prywatnej własności. Obnażenie broni w obrębie murów miasta. Stawianie oporu przy aresztowaniu. Atak na przedstawicieli prawa. Zniszczenie mundurów i ekwipunku przedstawicieli prawa – uśmiechnął się bez wesołości, stając naprzeciwko Gotreka i Felixa. – Tak barbarzyńskie zachowanie nie może pozostać bez kary. Piętnaście dni aresztu w spichlerzu i kara...

Jego wzrok ześliznął się po złotych bransoletach Gotreka.

– I kara w wysokości dwudziestu złotych koron lub ich ekwiwalentu.

Gotrek wybuchnął głośnym i nieprzyjemnym śmiechem. Wykonał w stronę Ludekera zapraszający gest olbrzymiej dłoni.

– Chodź i weź sobie.

Ludeker wyciągnął dwa ze swoich pistoletów i wymierzył je w Zabójcę.

– Tylko pogarszasz swoją sytuację, krasnoludzie. Trzydzieści koron.

Felix uśmiechnął się szyderczo i rzucił:

– Nie jesteś przedstawicielem prawa. Jesteś zwykłym złodziejem, tylko że w mundurze.

Ludeker skierował lufę jednego z pistoletów w Felixa.

– Czterdzieści koron. Chcecie się licytować dalej?

Doszło do jakiegoś poruszenia w tłumie i za chwilę na przód przepchała się Kat, z niedowierzaniem w oczach taksując wzrokiem całą sytuację.

– Felixie! Gotreku! Co się stało? – wysapała.

Ludeker obrzucił ją szybkim spojrzeniem.

– Ją też weźcie – rozkazał. – To ona sprowadziła tutaj tych mącieli.

Felix zdawał sobie sprawę, że nie powinien był tego robić. Wiedział, że najlepszym rozwiązaniem byłoby spróbować negocjacji – potargować się z Ludekerem albo znaleźć sposób, dzięki któremu zyskaliby trochę przestrzeni, ale nie mógł się powstrzymać. Wziął zamach i cisnął stołkiem prosto w głowę Ludekera.

Ten uchylił się przed nadlatującym stołkiem i odruchowo strzelił, ale w nikogo nie trafił.

Gotrek wydał z siebie ryk i zaatakował. Felix był tuż za nim.

Ludeker gramolił się na plecach. Odrzucił zużyte pistolety i sięgnął po pozostałą parę.

– Brać ich! Zabić ich! – wrzeszczał.

Gotrek jednym ciosem wybił mu przednie zęby i posłał go ślizgiem po kamiennej podłodze.

Na chwilę zapanowało milczenie zaszokowanych widzów. Strażnicy w osłupieniu gapili się na leżącego bez ruchu dowódcę. Wreszcie ocknęli się i natarli, wrzeszcząc i tym razem dzierżąc w dłoniach nie pałki, a miecze.

Gotrek ściągnął topór z pleców i zamachnął się na nadbiegających mężczyzn. Felix wyrwał Karaghula z pochwy i błysnął nim, wykonując szeroki zamach.

– Stać! – krzyknął. – Chcecie umrzeć z powodu takiego głupstwa?

Oni jednak nie słuchali. Felix parował, kopał i unikał, gdy strażnicy napierali na niego szturmem. Gdy Gotrek wziął się do roboty, słychać było krzyki, szczęk stali i trzask pękających kości.

Felix dźgnął jednego napastnika w pierś, a drugiemu wymierzył łokciem uderzenie w nos. Trzeci mężczyzna nadbiegał bardzo szybko z prawej strony. Nagle upadł i Felix zobaczył stojącą za nim Kat, która trzymała w ręku zakrwawiony toporek.

Otoczeni przez zahipnotyzowany tłum gapiów Felix, Gotrek i Kat walczyli w wirze ludzi Ludekera – kopiąc, zamachując się, unikając i wyskakując do przodu w zawrotnym tempie. Felix za ranę na plecach odwdzięczył się cięciem przez brew. Kat podstawiała nogę jednemu z napastników i odcięła mu palce u prawej ręki. Gotrek odrąbał nogi kolejnego jednym zamachem topora.

I to był koniec. Strażnicy spodziewali się rzezi z wyraźną przewagą jednej strony, ale sądzili, że to oni będą stroną przeważającą. Ci, którzy wciąż mogli biec o własnych siłach, przepychali się przez tłum, żeby znaleźć się jak najdalej od siejącego postrach zakrwawionego topora Gotreka. Natomiast ci, którzy nie mogli utrzymać się na nogach, czołgali się, łkając i błagając o litość.

– To tiapła s topą, kasnolusie! – wyseplenił chropawy głos.

Felix i Gotrek odwrócili się i ujrzeli stojącego przed nimi Ludekera. Brakowało mu czterech przednich zębów i trzymał wycelowane w nich dwa ostatnie pistolety. Gotrek cisnął toporem w tej samej chwili, kiedy Ludeker wystrzelił.

Z wirującego w powietrzu topora poszły skry. Jedna z kul odbiła się rykoszetem i przeleciała obok ucha Felixa, druga roztrzaskała kubek stojący za Gotrekiem. Ludeker został zwalony z nóg przez impet lecącego topora, który wbił mu się w twarz i przygwoździł go do ściany. Jego głowa była rozplątana na pół od czoła aż po podbródek. Ześliznął się po ścianie, a bezużyteczne pistolety wysunęły się z bezwładnych rąk. Wreszcie opadł na ziemię. Krew tryskała spod ostrza topora jak fontanna i spływała po szyi Ludekera, zmieniając szary odcień munduru trupa w żywą czerwień.

W pomieszczeniu na dłuższą chwilę zapadła cisza. Ludzie patrzyli z niedowierzaniem i odruchowo wycofywali się. Ortwin podnosił się niezgrabnie i ze zdumieniem oraz przestraszonym oczyma przyglądał się pół tuzinowi leżących na podłodze zwłok. Felix czuł się tak, jak giermek wyglądał. Żołądek ścisnął mu się w niespodziewanym ataku mdłości. Nieważne jak skorumpowani, byli

to przecież żołnierze Imperium. Z pewnością walczyli z hordami Archaona. Nie powinno było do tego dojść.

Kat zbliżyła się do niego niepewnym krokiem i ścisnęła go za ramię.

– Lepiej stąd chodźmy – powiedziała, rzucając nerwowe spojrzenia w stronę drzwi. – Reszta szybko się zjawi i będą mieli ze sobą pistolety.

Potrząsnęła głową, obserwując Gotreka wyszarpującego topór z głowy Ludekera.

– Nie możemy teraz czekać dwa dni. Musimy wyruszyć do Stangenschloss natychmiast.

– Aye – poparł ją Gotrek. – I tak mi się tutaj nie podobało.

– Jak do tego doszło? – wymamrotał oszołomiony Ortwin.

– Po prostu chodźmy stąd – uciął dyskusję Felix.

Pokierował chłopakiem do wyjścia. Gotrek i Kat szli z tyłu. Przerażony tłum w milczeniu rozstąpił się przed nimi. Nawet trzech strzelcy przyglądali im się nieufnie, gdy ich mijali.

Gdy wyszli wreszcie na ulicę, Felix ucieszył się, czując powiew świeżego powietrza na twarzy, chociaż było tak przeraźliwie zimno, iż miał wrażenie, że powietrze zamarzło mu w płucach.



Biegając przez most w stronę obozu uchodźców znów natknęli się na Beznosego Milo i jego gang, tym razem zmierzających truchtem w przeciwną stronę. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby. Olbrzymi bandyta obdarzył ich uśmiechem i zawadiacko zasalutował.

– Słyszałem, że jestem wam winien przysługę, chłopaki – powiedział. – Dzięki!

Jego ludzie roześmieli się.

Biegli dalej, ale Milo odwrócił się i krzyknął jeszcze za nimi:

– Dom Herr doktora będzie teraz mój, Kat! Ciepłe łóżko i ogień w kominku, kiedy tylko zechcesz!

Kat zacisnęła usta, ale nawet się nie odwróciła.

– Powinien oddać go doktorowi – wymamrotała tylko pod nosem.



– Ludeker nie żyje? – zapytał zszokowany doktor Vinck. Właśnie golił mężczyznę w mundurze talabheimskiej straży miejskiej i niemal odciął mu przy tym ucho.

– Tak, doktorze – potwierdziła Kat, ze zdenerwowaniem widocznym w każdym geście wpychając swoje rzeczy do plecaka. – Ale to nie my zaczęliśmy. Próbował zabić Felixa i Gotreka.

– To była moja wina – powiedział Ortwin, zwieszając głowę.

Kłęczał przy łożu sir Teobalta.

– Gdybym nie wyciągnął miecza, wydarzenia może potoczyłyby się inaczej.

Felix zwijał właśnie swoje posłanie i słysząc te słowa, żałował, że nie może powiedzieć chłopcu, że to nieprawda. Rzeczywiście, gdyby giermek nie wyciągnął ostrza, może udałoby im się wykupić z tej sytuacji za parę szylingów.

– Mój drogi chłopcze – powiedział Vinck, powracając do pracy z nowym zapałem. – Nie przepraszaj. Wolałbym oczywiście, żeby Ludeker zawisł na szubienicy po zgodnym z prawem procesie, ale był rakiem toczącym to miasto i trzeba było się go pozbyć. Nie smuci mnie myśl o jego śmierci.

– Milo już stara się przejąć wodze – wtrąciła ze smutkiem w głosie Kat.

Nagle wyprostowała się, a jej spojrzenie było chłodne, jakby nagle zdała sobie sprawę z czegoś bardzo nieprzyjemnego.

– I może w końcu zacząć nas szukać. Będzie się bał, że zrobimy z nim to samo.

Sir Teobalt podźwignął się na jedno ramię, krzywiąc się z bólu.

– Musisz opuścić wioskę wraz z pozostałymi, młody Ortwinie, i to szybko. Udaj się na północ do Stangenschloss śladem pogłosek,

które usłyszeliście. Być może, kiedy poślecie po mnie, będę już na tyle zdrow, żeby do was dołączyć.

– Ależ musimy cię zabrać ze sobą, panie! – zaproponował Ortwin. – Mogą chcieć cię skrzywdzić, kiedy nie uda im się nas odnaleźć.

– Nie można go ruszać – sprzeciwił się doktor Vinck. – Musi odpoczywać.

– Nie widzę powodu, dla którego mogliby chcieć mnie skrzywdzić – powiedział Teobalt. – A nawet jeśli, moje życie jest mniej ważne niż odzyskanie regaliów zakonu. Poprzysiągłem odnaleźć je lub zginąć próbując. Niebezpieczeństwo nic dla mnie nie znaczy.

Gotrek mruknął z aprobatą.

Felix wstał i poprawił szelki plecaka.

– W takim razie zbierajmy się już.

Kat również wstała. Jej plecak i łuk przewieszzone były przez plecy.

– Aye – mruknęła.

– Niech Taal nad wami czuwa – powiedział doktor Vinck.

– A Sigmar niech was prowadzi – dodał sir Teobalt.

Ortwin skłonił się nisko przed sir Teobaltem.

– Nie zawiodę cię, sir – obiecał, po czym odwrócił się i ruszył za Felixem i pozostałymi. Przecisnęli się pod klapą namiotu i wyszli na świeże, mroźne powietrze.

Zaczął padać śnieg.



Idąc wraz z pozostałymi ciężkim krokiem wzdłuż brzegów Zufuhr, a potem zagłębiając się w Drakwald, Felix stwierdził, że jest w podłym nastroju. Leniwie spływające z nieba płatki śniegu osiadały mu na rzesach i roztapiały się na czerwonym płaszczu z sudenlandzkiej wełny, a tymczasem jego myśli krążyły wokół bezgranicznego ludzkiego zepsucia.

Nie wyczuł w Bauholz piętna Chaosu, nie widział tam niczego, co cuchnęłoby działalnością kultystów, nie znalazł plugawych ołtarzy ani wiedźmich symboli wyrytych na ścianach, a jednak była to taka sama jaskinia rozpusty i plugastwa, jakie wielokrotnie widywał w życiu. Jak to się działo, że zepsucie było zawsze tak potężną siłą, a dobro tak słabą? Dlaczego Ludekerzy i Beznosi Milo tego świata tyli w dobrobycie, podczas gdy dobrzy ludzie, tacy jak doktor Vinck, byli spychani na bok?

Felix westchnął. Znał odpowiedź na te pytania i bardzo go to przygnębiało. Działo się tak dlatego, że dobrzy i silni wyruszyli na wojnę z siłami ciemności i zginęli w obronie rodzaju ludzkiego, podczas gdy tchórze zostali w domach i teraz żerowali na słabych. Idąc tym tokiem rozumowania należało uważać upadek moralny Bauholz za winę sił Chaosu. Mimo że oddziały plugawych czcicieli Mrocznych Bóstw nigdy nie dotarły do osady, to ci, którzy bronili jej przed zepsuciem, wyruszyli na północ i nigdy nie powrócili. Miasto zostało bezbronne i wydane na pastwę zwyczajnie ludzkich drapieżców, którzy zwęszyli dla siebie szansę, tam gdzie inni widzieli tylko tragedię.

Zastanawiał się, czy może chciwość była piątym, jeszcze oficjalnie nieuznanym, bóstwem Chaosu. Wyobrażał ją sobie jako złotoskórą siostrę pożądania, szaleństwa, choroby i nienawiści. Z pewnością chciwość wyrządzała tyle samo szkód co pozostałe bóstwa. Skłaniała mężczyzn i kobiety, aby okradali swoich braci i siostry oraz miażdżyli słabszych od siebie. Popychała ich w objęcia szalonych intryg i desperackiego hazardu. Była matką złodziei, porywaczy, szantażystów i morderców.

Ale być może było zupełnie inaczej. Wina mogła leżeć przecież w naturze samego człowieka. Mimo że to krasnoludzka chciwość stała się przysłowiowa, Felix nigdy nie spotkał krasnoluda zdegenerowanego do tego stopnia, że posunąłby się do zabicia jednego ze swoich dla zaspokojenia żądzy złota. Trzeba przyznać, że ciężko było się z nimi targować, tak żeby wyjść na swoje, zwłaszcza, jeśli nie było się jednym z nich, ale złodzieje czy mordercy zdarzali się wśród nich bardzo rzadko, a porywacze i szantażyści, przynajmniej z tego co słyszał, wcale. To ludzie – o słabej woli,

przestraszeni i zdesperowani – to oni składali przerażające przysięgi bóstwu chciwości i krwawe ofiary na jego błyszczącym ołtarzu.

Jego myśli popłynęły znów ku ojcu, który, mimo że odnosił sukcesy w legalnym handlu i który miał więcej pieniędzy, niż zdołałby wydać nawet żyjąc dwukrotnie dłużej niż przeciętny człowiek, musiał nawiązać kontakty z przemytnikami i piratami oraz wplątać się w handel zakazanymi księgami – tylko po to, żeby mieć jeszcze więcej! A brat Felixa, Otto, sprawiał wrażenie gotowego pójść w ojcowskie ślady. Kiedy Felix pokazał mu list będący dowodem winy Gustava, Otto zdawał się bardziej przerażony tym, że mógłby utracić rodzinną firmę, niż zainteresowany odzyskaniem rodzinnego honoru.

Całe to rozpamiętywanie doprowadziło go do ponurego przekonania, że ludzkość zostanie wreszcie zniszczona nie przez bóstwa Chaosu, ale przez swoją własną słabą, grzeszną naturę i że żadna liczba heroiczych zwycięstw nad rabusiami, orkami i skavenami nie ocali ich przed zgotowanym im przez samych siebie tragicznym losem.

Oczywiście, nie znaczyło to, że mają przestać walczyć, zwłaszcza z tymi chowającymi się w cieniu intrygantami, skavenami. Zacisnął mocniej dłoń na rękojeści miecza, gdy przypomniał sobie na nowo, co szczeropodobne istoty zrobiły z jego ojcem. Zemsta będzie słodka, kiedy wreszcie...

– Ostrożnie tutaj, Felixie – głos Kat wytrącił go z zamyślenia.

Felix rozejrzał się dokoła, mrugając oczami. Szedł za nią bez zastanowienia, zatopiony w myślach i nie patrząc, gdzie idzie. Dotarli do stromych brzegów strumienia, który był dopływem Zufuhr. Ktoś położył w poprzek gruby pień, służący za prowizoryczny most, ale kora pokryta była lodem i białym puchem. Jeden fałszywy krok i wpadnie do strumienia, co nie byłoby mądre, biorąc pod uwagę warunki pogodowe. Zanurzenie w lodowatej wodzie oznaczało pewniejszą śmierć niż wdanie się w walkę ze zwierzolutzmi.

– Dziękuję, Kat – powiedział, stawiając ostrożnie stopy na belce.

Gotrek kroczył pewnie za nim, stawiając ciężkie kroki bez wahania, jakby stąpał po solidnym gruncie. Ortwin miał trochę

mniej wiary w swoje siły, ale stawiając małe kroczki i intensywnie machając w strategicznych momentach rękami, udało mu się zachować równowagę. Kat śmignęła na drugą stronę bez widocznego wysiłku, zgrabnie i szybko niczym kot, po czym kontynuowali wędrówkę.

Felix przyglądał się prowadzącej ich dziewczynie. Szła niemal niewidoczną ścieżką z doskonałą pewnością siebie i gracją. Jej kroki były lekkie, a głowa obracała się raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby Kat nasłuchiwała odgłosów lasu. Była odprężona, ale jednocześnie czujna – zachowywała się zupełnie inaczej niż kiedy byli w Bauholz. Tam była nerwowa i niespokojna, bała się Ludekera i Milo, nie wiedziała jak rozmawiać i radzić sobie z ludźmi. Cała siła i spokój, które okazała w bitwie ze zwierzoludźmi, zniknęła po przekroczeniu bram osady – teraz wróciła tamta Kat.

Felix przyspieszył kroku i dogonił ją.

– Ehm, Kat – zagadnął ją.

Spojrzała na niego.

– Tak, Felixie?

– Jak to się stało? – zapytał. – To znaczy, mam na myśli twój zawód. Moje ostatnie wspomnienie związane z tobą, to jak stoisz ze starym leśniczym – zapomniałem jak miał na imię – i machacie nam na pożegnanie, podczas gdy my wyruszamy z Flensburga do Nuln.

– Papa – przypomniawszy mu, kiwając głową. – Herr Messner.

Uśmiechnęła się.

– Byłam wtedy taka zła na was, że odeszliście. Bardzo chciałam iść z wami.

Felix również się uśmiechnął.

– Pamiętam.

– Wydawało mi się to takie naturalne – ciągnęła. – To znaczy zostanie z wami. Uratowaliście mi w końcu życie, ja uratowałam wasze. Zabiliśmy tę... tę kobietę razem.

Zadrżała.

– Nie chciałam zostać w kolejnej wiosce. Czułam się bezpieczniej, podróżując z wami przez las niż wtedy, gdy bestie napadły na Kleindorf. W lesie przynajmniej było, dokąd biec. Było gdzie się schować.

Felix zamilkł. Wzmianka o kobiecie – przedziwnej, pięknej czempionce Chaosu, która prowadziła bestie podczas ataków na dwa miasta – sprawiła, że poczuł się nieswojo. Tamta kobieta wyglądała przecież niemal identycznie jak dziewczyna, która teraz szła obok niego.

– Ta kobieta – zająknął się. – Ja... Czy ktoś ci kiedyś o niej opowiadał? Mam na myśli to, czy ktoś ci kiedyś powiedział, kim była?

Żrenice Kat zwęziły się.

– Masz na myśli to, że była moją matką?

Felix odetchnął z ulgą. Nie był pewien, czy byłby w stanie jej to powiedzieć, nawet teraz po tylu latach. Ucieszył się, że już wiedziała.

– Messner ci powiedział?

Potrząsnęła głową.

– Sama się domyśliłam.

Wyciągnęła spomiędzy czarnych, brudnych pukli pojedyncze długie pasmo białych włosów.

– Znak więdźmy.

Prychnęła i ściągnęła kaptur, po czym przyglądziła włosy i ponownie nasunęła go na głowę.

– Nic mnie ona nie obchodzi. Herr Messner i jego bliscy byli moją prawdziwą rodziną – Magda, Hob i Gus. Nazywam się teraz Katerina Messner.

Felix zachichotał.

– Acha. A więc jednak spodobało ci się życie z nimi.

Kat pokiwała głową i przez chwilę patrzyła w dal nieobecny wzrokiem.

– Pokochałam ich. Herr Messner – no cóż, z początku on i Magda starali się mnie nauczyć tego, czego uczyły się inne dziewczynki: gotowania, szycia, leczenia, ale... Ja tego nie lubiłam. Chciałam robić to co Hob i Gus. Chciałam chodzić do lasu z Herr Messnerem i uczyć się, jak strzelać do królików, jak tropić ślady i zabijać zwierzoludzi.

Felix spojrzał na nią z uwagą. W jej głosie słychać było nutę hardości.

– Myśleli, że to z powodu tego, co stało się w Kleindorfie oraz podczas najazdu na Flensburg i mieli nadzieję, że z czasem z tego wyrosną i zapomną.

Obdarzyła go smutnym uśmiechem.

– Oczywiście, że to był powód, ponieważ nie chciałam, żeby coś takiego zdarzyło się kiedyś ponownie, – wzruszyła ramionami. – Ale ja nie zapomniałam. Nigdy mi nie przeszło. A kiedy Herr Messner zdał sobie sprawę, że się nie zmienię, przestał mi to perswadować. Zabierał mnie na wyprawy do lasu z Hobem i Gusem i nauczył mnie wszystkiego, co umiał.

– Zdaje się, że nauczył cię bardzo dużo – stwierdził Felix.

– Aye – zgodziła się. – Był dobrym człowiekiem.

Felix zauważył, że użyła czasu przeszłego.

– On... nie żyje? – zapytał.

– Aye – odpowiedziała, a jej głos stał się nagle przytłumiony. –
Wszyscy nie żyją.

Żrenice Felixa rozszerzyły się.

– Flensburg został zniszczony przez kolejną wielką horde zwierzoludzi. Było ich po prostu zbyt wielu.

– To straszne – stwierdził Felix. – Czy to wydarzyło się podczas Inwazji?

Kat potrząsnęła głową.

– Nie, to było dawno temu. Miałam siedemnaście lat. Służyłam już jako ksiądzę zwiadowca i byłam na jednym z dalekich patroli, kiedy to się zdarzyło – zwiesiła głowę.

– Powinnam była być tam, z nimi.

Felix otworzył usta, żeby powiedzieć coś sztampowego w stylu: „Przecież nic nie mogłabyś na to poradzić”, ale po chwili je zamknął. Tak naprawdę nikomu takie słowa nie przynosiły pociechy. Zamiast tego powiedział po prostu:

– Przykro mi.

Wzruszyła ramionami.

– Po tym, co się stało, opuściłam szeregi zwiadowców i zaczęłam pracować na własną rękę.

– Dlaczego? – zapytał Felix.

– Zwiadowcy są dobrzy w tym, co robią – wyjaśniła Kat. – Ale mają swoje obowiązki. Muszą odwiedzać takie a takie miasto raz na miesiąc, a potem następne i następne. Muszą dbać o porządek na drogach, zgłaszać przestępstwa i łapać bandytów. A ja tylko chciałam polować na Zwierzoludzi.

Obnażyła zęby w uśmiechu.

– Zbyt wiele razy znajdowałam odcisk racicy i chciałam podążać za nim do obozu bestii, ale patrol musiał iść dalej i nie mogłam.

Spojrzała na Felixa.

– Chciałam mieć możliwość śledzenia ich, kiedy tylko zechcę, nieważne czy na ziemiach księcia czy nie i przez tak długi czas, jak będę potrzebować. Byłam pewna, że to jedyny sposób, żeby naprawdę się ich pozbyć. Nie możesz po prostu rozgromić jednej bandy tu czy stada tam. Musisz odnajdywać ich kryjówki, tam gdzie żyją i się rozmnażają, i zabijać ich, co do jednego, za pomocą miecza i ognia!

Felix zamrugał oczami, zaniepokojony tym gwałtownym atakiem furii.

– Ehm, tak, masz rację – wykrztusił w końcu.

– Pierwsze stado, jakie wytropiłam, to było to samo, które zabiło Papę, Mamę i moich braci. Szukając ich spędziłam miesiące, żyjąc w lesie. Nie podeszłam w pobliże miasta czy drogi, dopóki nie znalazłam obozu i nie wymyśliłam sposobu, żeby armia mogła go okrążyć tak, aby nikt nie miał szansy uciec. Wtedy udałam się do Magnusdorp, najbliższego zamku, i pokazałam władcy moje mapy.

Wspomnienie sprawiło, że twarz aż jej się rozjaśniła.

– Z początku mi nie wierzył. Śmiał się ze mnie. Nie sądził, że dziewczynka jest w stanie odnaleźć takie miejsca.

– No cóż – powiedział Felix, ostrożnie dobierając słowa. – Nie możesz go za to winić. Jesteś w końcu wyjątkiem od reguły.

Kat lekceważąco pociągnęła nosem.

– Dlatego też zakradłam się z powrotem do obozu i odcięłam głowę gora, po czym mu ją przyniosłam.

– Gora? – zapytał zdeorientowany Felix.

– Zwierzoczłeka – wyjaśniła. – Ci wielcy z głowami i nogami bestii są nazywani gorami. Ci mniejsi, bardziej ludzcy – ungorami.

Felix pokiwał głową.

– Tyle z nimi walczę i nie wiedziałem. Przepraszam. Kontynuuj. Przyniosłaś głowę bestii panu na Magnusdorp?

– Aye – wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – I wtedy już mnie wysłuchał.

Jej oczy zasnuły się marzycielską mgłą, jakby opowiadała o pięknym balu.

– Jego ludzie wybili całe stado, a kamień ofiarny starli na proch.

Felix głośno przełknął ślinę. Kat swoją determinacją przypominała mu Zabójcę. Trochę go to peszyło.

– I co, od tamtego czasu nieprzerwanie tropiłaś zwierzoludzi? – zapytał.

Kat pokiwała głową.

– Aż do czasu inwazji Archaona. Wtedy uznałam, że lepiej się przysłużyć pomagając żołnierzom.

Wyprostowała się dumnie.

– Byłam zwiadowcą dla Księcia Raukova z Wolfenburga podczas całego przemarszu do Middenheim. Wyszukiwałam hordy, przeczesywałam lasy podczas odwrotu, przynosiłam armii informacje na temat pozycji wroga.

Roześmiała się.

– Zdarzało się, że byłam tak blisko Kurgan, że mogłabym ich poklepać po ramieniu, ale oni nigdy nie wpadli na mój ślad.

Felix potrząsnął głową. Ta dziewczyna nie wiedziała co to strach – przynajmniej dopóki była w lesie.

Jej czoło ponownie przecięła zmarszczka.

– Wkrótce powrócę do tropienia bestii, ale póki co zbyt wiele jeszcze w Drakwaldzie ludzi, których nie powinno tu być – wszyscy ci uchodźcy i żołnierze próbujący wrócić do domu. Będę ich przewodnikiem, dopóki nie opuszczą tego miejsca, a potem poświęcę się mojej prawdziwej misji.

Felix głośno przełknął ślinę. Ogarnęły go sprzeczne emocje. Depresja, jaką przeżywał analizując żałosny los ludzkości, nagle zelżała. Oto miał przed sobą przeciwwagę dla zepsucia i chciwości, które tak boleśnie odczuł w Bauholz. Bezinteresowność dziewczyny,

której jedynym celem było pomagać ludziom powracać do domów i czynić ten świat bezpieczniejszym miejscem.

– Świetna robota, Kat – powiedział w końcu.

Oblała się rumieńcem i wcisnęła nos w szal.

– Robię, co w mojej mocy.

Szli przez chwilę w milczeniu, po czym Felix znów się odezwał.

– A więc Bauholz jest teraz twoim domem? – zapytał. – Mieszkasz u doktora Vincka?

Potrząsnęła głową.

– Nie mieszkałam w mieście od czasu... Od czasu, kiedy Flensburg został zniszczony – odparła. – Odwiedzam Bauholz i inne miasta, żeby uzupełnić zapasy, ale mieszkam tutaj.

Zatoczyła dłonią szerokie koło wskazując na otaczający ich las.

– To jest mój dom.

I przynajmniej ty czujesz się tu jak u siebie, pomyślał Felix rozglądając się niespokojnie dokoła po gęstej ścianie drzew po obu stronach ścieżki.

– Doktor Vinck pozszywał mnie parę lat temu, gdy zwierozczłek nadział mnie na rogi – ciągnęła. – Umarłabym bez jego pomocy, więc od tamtego czasu zawsze staram się dbać o niego i o Bauholz.

Prychnęła z goryczą, a z jej ust wydobył się obłoczek pary.

– Żałuję, że nie potrafiłam zrobić porządku z Ludekerem, tak jak to robię z bestiami.

Splunęła na ziemię.

– Powinnam była, ale doktor powiedział, że obowiązuje nas prawo i to prawo powinno sobie radzić z ludźmi takimi jak Ludeker.

Obejrzała się na Zabójcę, a na jej usta wypłynął przebiegły uśmiezek.

– Cieszę się, że Gotrek miał inne zdanie na ten temat.



Przez pięć kolejnych dni Felix, Gotrek, Kat i Ortwin podążali na północny zachód przez gęsty las, posuwając się wolnym, ale

równomiernym tempem. Znajdowali się na ścieżce, której używano przy dostarczaniu zapasów i posiłków do fortu Stangenschloss, dzięki czemu droga była stosunkowo dobrze utrzymana, a ich podróż przebiegała w miarę szybko. Gdyby podróżowali w jakimkolwiek innym kierunku, przyszłoby im zapewne mierzyć odległość pokonywaną w ciągu dnia raczej w metrach niż w kilometrach, ponieważ po obu stronach ścieżki kłębiły się gęste krzewy, nierozzerwalnie splątane z poskręcanyimi korzeniami.

Ułatwienie podróżowania było jednak jednoznaczne z faktem, że dobrze widoczna i utrzymana ścieżka stanowiła naturalny cel ataku dla istot, jakie zasadały się na użytkowników drogi. Dlatego właśnie Kat chciała dołączyć do karawany wozów z prowiantem, która miała opuścić Bauholz dwa dni po ich przybyciu. Dobrze zarządzany i chroniony konwój byłby mniej atrakcyjnym celem dla napastników niż czterech pieszych podróżnych. Dwa razy w ciągu tych pięciu dni kazała im zaczekać, po czym zniknęła w lesie, aby zbadać odcinek drogi przed nimi. Za pierwszym razem byli to bandyci czekający w krzakach w miejscu, gdzie ścieżka przecinała dolinę rwącego strumienia. Za drugim razem uniknęli spotkania z mutantami czającymi się na nieostrożnych podróżnych w koronach olbrzymich drzew.

Za jednym jak i za drugim razem Gotrek chciał ruszyć do walki z zaczajonymi wrogami, a Ortwin się do niego dołączał. W obu przypadkach na Kat i Felixa przypadł obowiązek przemówienia im do rozumu. Felix przypominał im, że sir Teobalt powierzył im misję odnalezienia zaginionych zakonników, a nie walczenia z pospolitymi rzezimieszkami. Kat uświadomiła im, że doktor Vinck został w Bauholz oddalonym o kilka dni drogi, a do fortu również nie było blisko. Nawet jeśli odnieśliby zwycięstwo, mogliby zostać na tyle poważnie ranni, że zmarliby, zanim udałoby im się otrzymać pomoc.

Gotrek i Ortwin niechętnie ugięli się przed tą kombinacją obowiązku i chłodnego rozumowania. Pozwolili Kat poprowadzić się w głąb lasu i obejść zasadzkę. Dzięki temu udało im się przemknąć niezauważenie.

Nocami rozbijali obóz zaraz przy ścieżce, zasłonięci przez gęstwinę krzaków. Kat zawsze zatrzymywała się, zanim zaszło słońce, żeby przed zapadnięciem zmroku ogień zdążył wygasnąć i żar mógł ich ogrzewać bez wydzielania płomieni, które mogłyby łatwo zdradzić ich pozycję. Podczas gdy Felix, Gotrek i Ortwin rozkładali swoje posłania i zbierali chrust na opał, Kat znikła między drzewami. Po mniej więcej pół godziny wracała z królikami, bażantami czy lisem. Każde ze zwierząt ginęło od precyzyjnie wymierzonej strzały ze stalowym grotem. Następnie Kat oprawiała zdobycze, patroszyła je z doświadczeniem i pieką na ogniu. Nigdy nie chodzili spać głodni.



Nocą drugiego dnia śnieg zaczął padać coraz mocniej i gdy obudzili się o poranku, ich posłania pokryte były kilkucentymetrową warstwą suchego białego pyłu, a niebo było jasne i błękitne. Kat zmartwiła się, ale nie dlatego, że śnieg miałby ich spowolnić. Ta warstwa, która spadła, ledwie sięgała do cholewek butów Felixa.

– Zostawimy ślady, które potem łatwo będzie wytropić – stwierdziła. – Lepiej byłoby, gdyby wciąż padało, żeby śnieg zakrywał nasz trop.



Później tego samego dnia dotarli do miejsca, gdzie las był spalony. Dostrzegli znaki wskazujące na to, że pomiędzy spopielonymi pniami musiało dojść do ogromnej bitwy. Pod cienką warstewką śniegu znajdowała się czarna jak węgiel ziemia, pokryte popiołem kości i powgniatane, osmalone sadzą elementy zbroi, rozrzucone dokoła niczym połamane zęby.

Felix, Gotrek i Ortwin wpatrywali się w obraz zniszczenia.

– Co tu się stało? – zapytał oszołomiony Ortwin.

Kat splunęła.

– Tędy przeszła armia Strykaara, jednego z poruczników Archaona. Ludzie mówią, że pod jego rozkazami było ponad pięć tysięcy bestii.

Objęła spalony teren gestem dłoni.

– Tutaj spotkali się z załogą Stangenschloss. Ludzie urządzili zasadzkę. Łucznicy, włócznicy i zbrojni chcieli uderzyć i wycofać się do lasu, a potem nękać stamtąd pojedynczymi wypadami linię wroga uciekającego na zachód. Potrząsnęła ze smutkiem głową.

– Ale Strykaar prowadził ze sobą stworzenia Chaosu, szepczące istoty, które potrafiły poruszać się między drzewami niczym wiatr, psy pokryte czerwoną łuską, latające potwory. Pierwszy atak ludzkiej armii był jednocześnie ostatnim. Nie byli w stanie wycofać się wystarczająco szybko ani wystarczająco daleko. Zwierzoludzie wyłapywali ich i zabijali jak robactwo. Tylko kilku udało się przeżyć i dotrzeć z powrotem do Stangenschloss, żeby przekazać wieści o klęsce.

Felix zadrzał, wyobraziwszy sobie przerażonych ludzi biegnących potykając się przez gęsty las, uciekających przed cichymi, błyskawicznie poruszającymi się cieniami.

– Ale nie zginęli na darmo – ciągnęła Kat, kiedy ruszyli przez spaloną równinę. – W ataku padło trupem wielu czempionów Strykaara, co spowolniło marsz jego armii i dało Middenheim oraz innym fortom na wschodzie więcej czasu na przygotowania.

Gotrek przeklął soczyście i kopnął zniekształconą czaszkę martwego Kurgana.

– Kolejna piękna zagłada, która mnie ominęła – mruczał pod nosem, obserwując głowę turlającą się po zaśnieżonej ziemi. – Cholerni słabowici Kurganie. Nie mogli wytrzymać jeszcze dwa miesiące.

Przez resztę dnia Zabójca był w podłym nastroju, klął tylko pod nosem i do nikogo się nie odzywał.



Zaraz po południu czwartego dnia natknęli się na szczątki pozostałe po kolejnej bitwie, która jednak musiała mieć miejsce całkiem niedawno.

Kat jak zwykle szła daleko z przodu, przeczesując teren i ona pierwsza to zobaczyła. Felix dostrzegł, że dziewczyna staje się czujna, przykuca i wyciąga toporki zza paska, po czym zaczyna się podkradać miarowym krokiem do zakrętu ścieżki.

– Przygotuj się, człeczyno – powiedział Gotrek i ściągnął topór z pleców.

Felix i Ortwin również sięgnęli po broń i wszyscy razem ruszyli do przodu, uważnie wypatrując i przysłuchując się. Gdy dotarli do zakrętu, ich oczom ukazało się to samo, co wcześniej ujrzała Kat.

Stała ze wzrokiem wbitym w ziemię obok zniszczonych wozów, z których część była przewrócona na bok. Brakowało koni i ładunków. Kiedy Felix podszedł bliżej, dostrzegł, że obok wozów leżały ciała pokryte cienką warstewką śniegu. Ziemię zaśmiecały połamane włócznie i powyginane miecze. Z okolicznych drzew sterczały strzały. Kat jednak nie zwracała na to uwagi. Utkwiła spojrzenie w zwłokach leżących koło jej stóp. Był to trup mężczyzny w średnim wieku, ubranego w barwy Averlandu.

– Znasz go? – zapytał Felix, podchodząc do niej.

– Był moim przyjacielem – odpowiedziała, apatycznie kiwając głową. – Sierżant Neff. Był kwatermistrzem w Stangenschloss. Wyruszył z Bauholz na kilka dni przed waszym przybyciem.

Lewa ręka sierżanta Neffa leżała kilka metrów od ciała i tak samo była już nadgryziona przez jakiegoś leśnego drapieżnika. Jednakowoż twarz mężczyzny pozostała nietknięta i martwe oczy wpatrywały się oskarżycielskim wzrokiem w Felixa spod warstwy śniegu.

– Przykro mi – powiedział Felix.

Kat wzruszyła ramionami.

– Jesteśmy w Drakwaldzie. Takie rzeczy się zdarzają – odparła. Jednak kiedy się odwróciła, Felix dostrzegł błyszczące na jej policzkach łzy.

– Czy to robota zwierzoludzi? – zapytał z gniewem w głosie Ortwin, przyglądając się pokrytemu śniegiem miejscu rzezi.

– Raczej Kurgan – stwierdził Gotrek. Podniósł z ziemi rogaty hełm z wyraźnym śladem po cięciu mieczem.

Felix, na wzmiankę o ludziach północy, przełknął nerwowo ślinę i rozejrzał się po lesie. Nawet w środku dnia cienie zalegające pod olbrzymimi drzewami były tak gęste, że mogło tam się ukryć cokolwiek. Zadrżał, wyobraziwszy sobie czerwone, płonące szaleństwem oczy barbarzyńców czających się w ciemnościach i wpatrujących się w niego. Potrzebny był nie lada wysiłek woli, aby odwrócić się od drzew i skupić się na wozach.

Obszedł je i naliczył siedem trupów. Zdawało mu się, że to o wiele za mało.

– Jak wielu ludzi strzeże zazwyczaj takiego konwoju? – zapytał.

– Dwudziestu plus po dwóch woźniców na każdy wóz – odpowiedziała Kat.

– W takim razie gdzie oni są? – padło kolejne pytanie.

– Zostali wzięci w niewolę – wyjaśniła dziewczyna.

– W takim razie twój przyjaciel miał szczęście – stwierdził Gotrek.

Kat zadrżała, ale zgodziła się z nim:

– Aye.

– Ruszamy za nimi? – zapytał Ortwin.

Kat potrząsnęła głową.

– To się zdarzyło przed tym, jak spadł śnieg, czyli trzy dni temu. Mogą być teraz kilkadziesiąt kilometrów stąd, a śnieg pokrył ich ślady.

Westchnęła i zwróciła się w stronę północy.

– Mam tylko nadzieję, że komuś udało się uciec i ostrzec tych w forcie.

– Nie powinniśmy przynajmniej ich pochować? – nie dawał za wygraną Ortwin, kiedy Kat zaczęła się zbierać w dalszą drogę. – To przeciwko prawom Morra, żeby zostawić ich tutaj na żer dla wilków.

Kat zwróciła ku niemu spojrzenie gwałtownie pociemniałych oczu.

– Nie ma teraz czasu na takie rzeczy. Ziemia jest zbyt zamrznięta, a my mamy przed sobą długą drogę.

Ortwin przez moment wyglądał, jakby miał zamiar zaprotestować, ale w końcu dołączył do Gotreka i Felixa. Razem ruszyli dalej na północ za okutaną w futra drobną figurką.



Do końca dnia nic się już nie wydarzyło i rozbili obóz jak zwykle kilka kroków od szlaku. Kiedy zbierali chrust na opał i rozpalali ognisko, światło słoneczne zaczynało zmieniać barwę ze złotej na czerwoną. Chwilę później Kat przyniosła dwie wiewiórki, królika i gołębia. Usiadła i zaczęła je oprawiać.

– Jeszcze jeden dzień do Stangenschloss – powiedziała, patrosząc królika szybkimi, zdecydowanymi pociągnięciami myśliwskiego noża. Zawsze robiła to precyzyjnie, gdyż miała zwyczaj sprzedawać skóry każdego zjedzonego zwierzęcia.

– Wolałabym nie być posłańcem złych wieści.

– Jeszcze dzień? – zapytał Ortwin. Rozejrzał się po gęstym lesie.

– Myślałem, że do tego czasu zawędrowaliśmy już na Pustkowie Chaosu.

– To dlatego, że nigdy nie opuszczałeś Altdorfu – skomentował Felix z uśmiechem.

– To nieprawda! – oburzył się Ortwin. – Raz wybrałem się do Carroburga.

Felix zachichotał, słysząc taką ripostę, ale w tej samej chwili Gotrek podniósł się i wyciągnął dłoń uciszającym gestem.

– Cisza – zakomenderował.

Wszyscy zamarli i rozejrzeli się uważnie dokoła. Felix wyteżył słuch. Z początku rozróżniał tylko zwyczajne dźwięki lasu – skwierczenie ognia, wiatr poruszający gałęziami, wycie dzikich zwierząt dobiegające gdzieś z oddali. Ale po chwili to usłyszał – szcęk stali, bardzo słaby, potem znowu, a w końcu wściekły ryk.

– Walka – powiedział Ortwin.

– Na północny wschód stąd – stwierdziła Kat. – Głębiej w lesie.

– Cisza! – warknął Gotrek.

Znowu się zasłuchali. Kolejny szczęk i brzęk, po czym jęk bólu i chropawy ryk triumfu.

Gotrek wyciągnął topór z za pleców i zwrócił się w stronę, z której odbiegały odgłosy walki.

– To był głos krasnoluda – powiedział.

– Za mną – rozkazała Kat, sięgając po łuk i znikając między drzewami.

Gotrek i Ortwin byli tuż za nią. Felix złapał za płonąca żagiew z ogniska, żeby jej użyć jako pochodni i ruszył za nimi.

Biegu przez zdziczałe gęstwiny nie dało się porównać z marszem wzdłuż wydeptanego szlaku. Podłoże było nierówną płataniną korzeni, pnączy i zeschniętych gałęzi, o które ciągle się potykali i zwalniali tempo. Gęste poszycie momentami sięgało im do ramion, ale Kat prowadziła ich bezbłędnie i dzięki temu omijali najgorsze chaszczki i nigdy nie musieli się zatrzymywać ani zawracać. Wciąż jednak ciernie i pokrzywy cięły ich jak szpony, a sprężynujące gałęzie biczowały po twarzach. Światło rzucane przez prowizoryczną pochodnię Felixa było niemal bardziej dezorientujące niż pomocne. Pełgający, migoczący płomień sprawiał, że cienie tańczyły, sprawiając wrażenie, że drzewa czają się na nich i wskazują przed nich, zagradzając drogę.

Nocne istoty pierzchały przed nim, skrzecząc i jazgocząc. Nagle przed twarzą Ortwina zmaterializowała się sowa, która biła go skrzydłami po twarzy, próbując uciec. Przez dudnienie ich kroków i trzask łamanych gałęzi wciąż przebijał się szczęk broni i ryk walczących w oddali.

Kat poruszała się z gracją, nie wykonując ani jednego fałszywego kroku, jakby biegła tą ścieżką po raz tysięczny i znała każdy jej centymetr na pamięć. Pozostali nie byli na tyle zwinni. Ortwin raz źle postawił stopę i poleciał w bok, uderzając w pień drzewa. Otrząsnął się jednak szybko i ruszył dalej, lekko się tylko zataczając. Felix wpadł w ukryte pod gałęziami zagłębienie w ziemi i chociaż udało mu się nie odgryźć sobie języka, to jedną stopę kompletnie przemoczył w lodowatym błocie. Gotrek wycinał sobie drogę przez krzaki toporem, odrzucając na bok czarne pnącza i gałęzie bezlistnych krzewów, nieustępliwie prac naprzód.

Kilka sekund później zauważyli przed sobą pomarańczowy poblask przebijający się przez czarne pionowe pnie drzew – ogień. Biegli dalej, a z każdym drzewem, które mijali, blask stawał się coraz jaśniejszy, a odgłosy bitwy wyraźniejsze. Wreszcie, mijając pień prastarego dębu, Felix zobaczył płomienie i szybko poruszające się cienie na polanie przed sobą. Rozróżniał też już pojedyncze głosy w harmidrze walki.

– Trzymać się razem, do diabła! – grzmiał imperialny głos. – Utrzymać pozycje!

– Chodź no tutaj, malowana małpo – wychrypiał jakiś krasnolud.

Kat zatrzymała się na skraju polany i umieściła strzałę w łuku. Gotrek, Felix i Ortwin stanęli obok niej. Szykując broń i łapiąc oddech, przyglądali się bitewnemu szaleństwu rozgrywającemu się na ich oczach.

Po przeciwległej stronie olbrzymiego ogniska tuzin lub więcej imperialnych włóczników stało w wygiętym w łuk szeregu przed grupą olbrzymich kurgańskich maruderów, którzy spychali ich w stronę drzew, wymachując olbrzymimi mieczami i toporami. Blżej nich dwóch krasnoludzkich Zabójców stało plecami do siebie i walczyło przeciwko czterem wojownikom Chaosu. Po jednej stronie stały konie, które wierzgały i rżały, próbując przegryźć uzdy oraz grupka skutych łańcuchami więźniów tulących się do siebie w przestraszu. Ogień odbijał się w ich przerażonych oczach, którymi śledzili przebieg walki. Ziemia pokryta była ciałami zarówno mieszkańców Imperium jak i barbarzyńców, a wszystkie były potwornie okaleczone.

– Do boju, już – wysapał Ortwin, łapiąc oddech. – Zanim zginie kolejny człowiek.

– Tylko nie pomagaj Zabójcom – pouczył go Gotrek, ruszając do walki. – Na pewno ci nie podziękują.

Obok ucha Felixa rozległo się ciche brzdęknięcie i jeden z atakujących włóczników Kurgan zawył z bólu, gdy strzała wbiła mu się w plecy.

– Idźcie – szepnęła Kat. – No już!

Gotrek, Felix i Ortwin wypadli spomiędzy drzew. Biegli pochyleni, a nad ich głowami śmigwały strzały Kat.

Kurganie zaczęli wyc i odwracać się po kolei, gdy strzały wbijały się w ich ciała. Felix skrzywił się z obrzydzeniem. Byli paskudni – niewyobrażalnie muskularne olbrzymy w futrach i pordzewiałych zbrojach. Ich brodate twarze pomalowano na podobieństwo siejących postrach masek. Felix cisnął swoją pochodnią w jednego z wrogów, który miał paski na policzkach i pokryte purpurowym barwnikiem powieki, a następnie ciął go mieczem. Ortwin uniknął ciosu drugiego, olbrzyma z czarnymi ustami i zmierzwionymi włosami koloru różowego. Gotrek z kolei przebił się przez tarczę kolejnego, ten walczył nago, ale w jego ciało wbite było tyle żelaznych pierścieni, że wyglądał, jakby nosił koszulkę kolczą.

Imperialni włócznicy ucieszyli się, widząc, że wrogowie zostali zaatakowani od tyłu i natarli na nich ze zdwojoną siłą.

– Na nich! – krzyknął kapitan. – Utrzymać przewagę!

Oczy pokrytych malunkami Kurgan błyszczały berserkerskim szałem i mimo że strzały zwróciły ich uwagę, to zdawało się, że zupełnie ich nie spowolniły. Felix zablokował cios topora, który niemal wytrącił mu Karaghula z ręki. Ostrze Ortwina zatopiło się głęboko w prawej ręce różowowłosego przeciwnika, ale gigant tylko jęknął jak w ekstazie i odbił cios. Chłopak poleciał na ziemię z impetem, jaki sprawił, że jego hełm odbił się i przekoziółkował po ubitej ziemi. Felix przeklął. Zapomniał już, jak trudno było zabić Kurgan. Mieli skórę z żelaza i na dodatek, kiedy opanowywał ich bitewny szal, zdawali się w ogóle nie odczuwać bólu.

Gotrek zabił zakolczykowanego przeciwnika ciosem w żebra, który sprawił, że ostrze topora przeszło aż do kręgosłupa. Następnie odwodząc rękę, trafił z kolei tego, który posłał Ortwina na ziemię. Przebił się przez jego umazaną na czarno zbroję i wbił w kark.

Felix dźgnął pomalowanego napastnika w nogę, ale ten nawet się nie skrzywił. Felix musiał odskoczyć niezgrabnie w tył, żeby uniknąć wypatroszenia przez podwójny topór. Olbrzymie ostrza śmignęły obok i Felix wykorzystał okazję, żeby ciąć szaleńca po nadgarstku. Ostrze zagłębiło się aż po kość. To już Kurgan musiał poczuć. Zawył i wypuścił z dłoni topór, ale zaraz wyciągnął dwa sztylety wielkości krótkich mieczy i przyskoczył z nimi do Felixa, wciąż krzycząc bez słów. Felix ciął go w mostek, starając się utrzymać dystans i poczuł,

jak ostrze Karaghula zarysowuje grubą kość. Maruder nadciągał, napierając mostkiem na czubek ostrza i zmuszając Felixa do cofania się. Cały czas wymachiwał przy tym sztyletami, ale póki co Felixowi udało się pozostawać poza ich zasięgiem.

Nagle obok Felixa pojawiła się z okrzykiem na ustach Kat i wbiła jeden z toporków w ramię pomalowanego berserker. Ten wymierzył cios sztyletem w jej twarz.

– Nie! – wrzasnął Felix, ale dziewczyna gładko uchyliła się przed ciosem i cięła marudera po kolanach.

Berserker skoczył w tył. Kat i Felix przesunęli się do przodu, przyciskając go w stronę imperialnych włóczników.

– No chodź, chodź tu! – wrzeszczał Felix, starając się skupić na sobie uwagę przeciwnika.

Podziałało. Berserker nie usłyszał włóczników za sobą i kiedy podniósł broń, żeby zaatakować Felixa, z jego podbrzusza wysunęło się ostrze włóczni. Odwrócił się, rycząc z bólu i wściekłości, a wtedy Felix doskoczył do niego i skrócił go o głowę za sprawą jednego świszczącego ciosu. Pomalowane oczy Kurgana otworzyły się ze zdumienia, a głowa odpadła od sflaczałego ciała.

Głowa potoczyła się i wreszcie zatrzymała obok Ortwina, który właśnie podnosił się i rozglądał dokoła. Wrzasnął, kiedy dotknęła jego nogi i podskoczył, a potem kopnął ją tak, że odtoczyła się na bok.

Felix i Kat zwrócili się w stronę pozostałych, wypatrując kolejnych przeciwników, ale tych już nie było. Włócznicy skorzystali na zamieszaniu w szeregach Kurgan i wyróżnili resztę, kiedy ci byli rozkojarzeni nagłym zwrotem akcji. Jednakże po drugiej stronie ogniska wciąż trwała walka między dwoma Zabójcami a ich olbrzymimi przeciwnikami.

Włócznicy już mieli ruszyć w tamtą stronę, gdy Gotrek zatrzymał ich wyciągniętą ręką.

– Zostawcie ich – powiedział.

– Nie martw się, Zabójco – powiedział kapitan w powgniatanym hełmie, weteran o długiej szczęce i pokrwawionej twarzy. – Znamy zasady.

Uśmiechnął się do Kat, dziarsko jej salutując.

– Cześć Kat. Mogłem się domyślić, że to ty. To, że dotarłaś tu na czas, to dowód łaski Sigmara.

– To Gotrek usłyszał odgłosy bitwy, kapitanie Haschke – powiedziała skromnie Kat, po czym powróciła do obserwowania walczących Zabójców.

Dwóch maruderów leżało już na ziemi – jeden z głową rozplataną aż po szyję, drugi z wnętrznościami wypływającymi z rany w brzuchu i skwierczącymi na ogniu. Mimo że dwaj Zabójcy wciąż stali i dzielnie walczyli, to Felix widział, że za zwycięstwo płacili słoną cenę.

Niższy z Zabójców, szerszy w ramionach, ze szkarłatną brodą splecioną w dwa grube warkocze, na jego głowie sterczały dwa symetryczne grzebienie w identycznym kolorze, miał olbrzymiego guza po prawej stronie głowy i wyraźny problem z zachowaniem równowagi. Z głową przechyloną pod dziwnym kątem wymachiwał z furją, ale bez większej koordynacji swym toporem o podwójnym ostrzu. Wyższy, trochę bardziej zaokrąglony Zabójca, którego grzebień spleciony był w warkocze, a broda przypominała pomarańczowy stóg siana, krwawił obficie z kikutów dwóch palców u prawej dłoni. Oprócz tego miał ranę biegnącą na ukos przez czoło, z niej płynęła krew i zalewała mu oczy. Ledwie widział, na co się zamachuje swym młotem o długim trzonku. Obaj bynajmniej nie tracili ducha.

– Odpocznij sobie chwilkę, Argrinie – rzucił Zabójca z dwoma grzebieniami na głowie. – Dam sobie radę z oboma.

– Mam oddać ci moją zagładę? – wyśmiał go krasnolud o posplatanym w warkocze grzebieniu. – Nie ma mowy, Rodi.

Felix widział, że włócznicy przesuwają się naprzód, chcąc pomóc krasnoludom. Najwyraźniej jednak kapitan dobrze ich przeszkolił, bo póki co się powstrzymywali, chociaż widać było, ile ich to kosztuje.

– Przygotujcie się na wypadek, gdyby Zabójcy zginęli – wymamrotał kapitan Haschke.

Ale w chwilę potem walka dobiegła końca. Rodi, ten od podwójnego grzebienia, zachwiał się niczym pijany unikając ciosu topora i nagle znalazł się niemal pod nogami swojego olbrzymiego

przeciwnika. Zamachnął się z furją, żeby wymierzyć cios w kolano Kurgana, ale stracił równowagę i zamiast tego odciął mu stopę.

Gigant wrzasnął, a kiedy spróbował zrobić krok, ciężar ciała przeważał go i wpadł na drugiego Kurgana, posyłając go prosto na młot Argrina. Potężna broń uderzyła marudera w żebra, sprawiając, że zabrakło mu tchu. Argrin wskoczył mu na pierś i kolejnym uderzeniem zmiażdżył czaszkę przy akompaniamencie nieprzyjemnego trzaśnięcia. W tym samym czasie Rodi zatopił ostrze topora w piersi pierwszego marudera, wzbudzając przy tym fontannę krwi.

Włócznicy uradowali się. Zabójcy zdawali się nie zauważać tego, co się stało. Byli zbyt zajęci czynieniem sobie nawzajem wymówek.

– No i widzisz, Rodi Balkissonie? – powiedział Argrin zwracając się ku Rodiemu, który właśnie odcinał pozbawionemu stopy Kurganowi głowę, tak na wszelki wypadek. – Przeszkodziłeś mi w walce. Przez ciebie ominęła mnie kolejna zagłada.

Rodi wyszczerzył zęby, wycierając ostrze topora o futra Kurgana.

– I tak daleko mi do tego, ile razy ja przez ciebie straciłem moją zagładę, Argrinie Kowalu Koron. Dziewięć razy! Policzyłem!

Odwrócił się, żeby zlustrować teren potyczki.

– A teraz, co zrobiliśmy z... – przerwał, spostrzegłszy Gotreka.

– Jeszcze jeden Zabójca! – wykrzyknął.

Argrin owinął strzęp materiału wokół kikutów dwóch palców i rozejrzał się.

– Gdzie? O, rzeczywiście. Na Grimmira, skąd on się tu wziął?

– Nie mam pojęcia – odparł Rodi. – Ale gdzie jest ojczulek Rdzawa Czaszka? Zgubiłem go w trakcie walki.

– Tu jest – powiedział Argrin, wskazując na stertę kurgańskich trupów leżącą obok ognia. Felix przyjrzał się uważniej i dostrzegł, że spomiędzy płataniny ciał wystają dwie krótkie, grube nogi.

Zabójcy kuśtykając podeszli w tamtą stronę i chwycili jednego z martwych maruderów za ręce i nogi.

Rodi machnął na pozostałych.

– Hej tam, pomóżcie no nam tutaj poprzemnieść te grube kurgańskie świnię.

Gotrek, Felix i Ortwin wraz z kilkoma włócznikami rzucili się do pomocy. Kurganie byli niewiarygodnie ciężcy, jakby nie byli ludźmi, ale figurami z dębowego drewna. Ale wreszcie, dzięki wspólnej pracy udało im się odkopać znajdującego się pod ciałami wrogów krasnoluda, który jednak nie ruszał się i nie otwierał oczu.

Felix wpatrywał się w wojownika w osłupieniu. Nieprzytomny krasnolud był Zabójcą z olbrzymią białą brodą, nosem noszącym ślady częstych złamań i jednym kalafiorowatym uchem, podczas gdy po drugiej stronie głowy nie było ucha wcale. W dłoni ścisnął olbrzymich rozmiarów młot bojowy, a jego grzebień zrobiony był z wielu tuzinów olbrzymich, żelaznych gwoździ, pokrytych brązowo-pomarańczową rdzą.

– A niech mnie kule biją – powiedział Gotrek cicho. – Snorri Gryzonos we własnej osobie.

7

- Myślę, że on nie żyje – stwierdził Rodi.
- Cholerny szczęściarz – skomentował Rodi. – W końcu odnalazł swoją zagładę.
- Gotrek tylko burknął.
- On żyje. Jest tylko zamroczony.
- Klepnął Snorriego kilka razy po policzkach. Brzmiało to jak wystrzał z pistoletu.
- Ocknij się, Gryzonosie.
- Snorri nie poruszył się.
- Może powinniśmy dać mu trochę powietrza – powiedział Felix i zrobił krok w tył.
- Aye – zgodził się Rodi. – W końcu przez ostatnie dziesięć minut wdychał smród spod pachy jakiegoś Kurgana. To zabiłoby każdego.
- Rozetrzyjcie mu ręce – zakomenderował kapitan włóczników.
- I podnieście mu nogi – dodał jeden z jego ludzi.
- Może powinniśmy dać mu się napić – zasugerowała Kat, sięgając po manierkę.
- Snorri uważa, że to bardzo dobry pomysł – odezwał się Snorri.
- Ha! – wykrzyknął Argrin na widok Snorriego mrugającego oczami. – On żyje!
- Biedaczysko – stwierdził Rodi. – Ominęła go kolejna zagłada.
- Gotrek pomógł Snorriemu się podnieść. Stary Zabójca drżącą dłonią sięgnął po manierkę Kat i, obróciwszy ją do góry dnem, wyżłopał zawartość kilkoma łykami.
- Chwilę później wypluł wszystko na ziemię, opryskując śliną wszystkich dokoła, kaszląc i dysząc tak ciężko, że oczy aż mu poczerwieniały z wysiłku.
- Co... co to było? – wykrztusił.

– Czysta woda – odpowiedziała Kat z lekkim niepokojem w głosie.

Snorri wykrzywił twarz.

– Snorriemu wcale to nie smakowało.

Argrin podszedł do plecaka, do którego dna przytwierdzona była mała drewniana beczułka. Odpiął ją i podał Snorriemu.

Snorri odwrócił ją do góry dnem tak jak przed chwilą manierkę, ale tym razem pił z wyrazem zadowolenia na twarzy, przełykając gładko. Po dłuższej chwili opuścił beczułkę, westchnął z ukontentowaniem i zlizął pianę z białych wąsów.

– To było o wiele lepsze.

Oddał beczułkę Argrinowi i rozejrzał się po zgromadzonych. Jego spojrzenie zatrzymało się na Gotreku. Zamrugał oczami, a na jego twarzy odmalowało się zdumienie.

Gotrek wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Cóż za spotkanie, Snorri Gryzonosie.

Snorri zmarszczył czoło.

– Snorri cię zna – powiedział, wolno dobierając słowa. – Snorri wie, że Snorri cię zna.

Zwrócił zaciękawione spojrzenie na Felixa.

– I ciebie też.

Gotrekowi zrzędała mina.

– Gotrek, syn Gurniego – powiedział cicho.

– I Felix Jaeger – przedstawił się Felix.

– Minęło ledwie dwadzieścia lat – powiedział Gotrek. – Nie pamiętasz nas?

Snorri pokiwał głową.

– Snorri zna Gotreka Gurnissona i Felixa Jaegera. To jego starzy przyjaciele – powiedział. – Czy wy to oni?

Felix i Gotrek wymienili znaczące spojrzenia. Felix miał wrażenie, że po raz pierwszy widzi Gotreka tak strapionego.

– Błagam, dobrzy panowie – dobiegł ich z tyłu kobiecy głos. – Proszę, czy moglibyście nas uwolnić z tych łańcuchów?

Wszyscy zwrócili się w tamtą stronę. Felix zarumienił się ze wstydu. Tak byli zajęci niańczeniem Snorriego, że zapomnieli o więźniach.

Zabójcy i włócznicy pospieszyli do jeńców i zaczęli uwalniać ich z więzów. Przedstawiali oni sobą żałosny widok – gromadka trzęsących się z zimna i ze strachu półnagich mężczyzn i kobiet stłoczonych wokół drzewa, przykutych łańcuchami. Kobiety miały na sobie strzępy szat kapłanek Shallyi, a z szyj niektórych z nich wciąż zwisały naszyjniki z symbolem gołębia. Ze łzami w oczach dziękowały włócznikom za uwolnienie. Uwięzieni mężczyźni nosili te same mundury co włócznicy, a przynajmniej ci z nich, którzy nie byli prawie zupełnie nadzy. Oni jednak praktycznie nie zareagowali na oswobodzenie. Wyglądali jak katatonicy. Wpatrywali się w uwolnione od łańcuchów dłonie niewidzącym wzrokiem albo gapili na wybawicieli pociemniałymi, przestraszonymi oczami, mamrocząc coś pod nosem.

Kat patrząc na nich, zacisnęła usta w wąską linię.

– Ludzie Neffa – powiedziała. – Ci, którzy chronili zaatakowany konwój z zapasami. Co te bestie musiały z nimi zrobić, żeby doprowadzić ich do takiego stanu?

Felix zadrżał. Wcale nie chciał poznać odpowiedzi na to pytanie. Kat zwróciła się do kapitana włóczników.

– Kapitanie Haschke, jak ich pan odnalazł?

Haschke skrzywił się.

– Kurgańskie bydlaki zaatakowały szpitalny wóz kapłanek Shallyi jakieś dwa dni temu, kiedy zmierzał na południe, do Bauholz. Jednemu z ochroniarzy udało się uciec i dotrzeć z powrotem do fortu. Poprowadził nas do miejsca zasadzki, a my podążyliśmy tropem i odnaleźliśmy ich tutaj.

Pokiwał ze smutkiem głową, patrząc na członków konwoju z zapasami.

– Kurganie pewnie obserwowali szlak.

– Aye – zgodziła się Kat. – Wcześniej natrafiliśmy na to, co zostało z konwoju. Neff i około siedmiu innych nie żyją.

Haschke westchnął i potrząsnął głową.

– Och, to straszne. Nie wiem, jak to powiem Elfredzie.

– Ja... Ja jej powiem – zaproponowała Kat.

Na twarzy kapitana Haschke odmalowała się ulga.



Gdy już uwolnili wszystkich jeńców i zrobili, co w ich mocy, żeby pomóc im przygotować się do drogi, a tych, którzy nie byli w stanie poruszać się o własnych siłach wsadzili na grzbiety kradzionych koni – Kat poprowadziła wszystkich do obozowiska, jakie rozbili przy drodze. Obóz Kurganów był pobojobowiskiem i nikomu nie uśmiechało się spędzić tam nocy.

Splątane poszycie, przez które Kat, Gotrek, Felix i Ortwin przebiegli w dwie minuty, teraz okazało się na tyle kłopotliwe dla koni i powłóczących nogami jeńców, że minęło pół godziny, zanim dotarli na miejsce. W końcu jednak wszyscy usiedli przy ognisku i zaczęli szykować się do spoczynku.

Gotrek obserwował przez jakiś czas przysypiającego Snorriego, po czym ruszył w stronę Argrina i Rodiego. Czyścili oni i opatrywali swoje rany oraz rozczesywali brody i grzebienie.

Felix i Kat patrzyli z boku jak Gotrek uprzejmie skłonił się przed krasnoludami.

– Gotrek, syn Gurniego, na wasze usługi – powiedział.

Oba krasnoludy powstały i odkłoniły się.

– Rodi, syn Balkiego, na twoje – odparł niski krasnolud o dwóch grzebieniach. Miał wygięte w łuki czarne brwi i twarz o ostrych rysach.

– A ja jestem Argrin Kował Koron – odezwał się większy Zabójca. Jego uprzednio posplatany w warkocze grzebień był teraz rozpleciony i zwisał po lewej stronie kwadratowej, guzowatej twarzy.

Gotrek powtórzył ich imiona i we trzech usiedli na ziemi. Gotrek rzucił wzrokiem na Snorriego.

– Od jak dawna tak się zachowuje? – zapytał. – Mam na myśli jego pamięć.

– Odkąd go znamy – odparł Argrin.

– Chociaż to niezbyt długo – dodał Rodi. – Spotkaliśmy się podczas oblężenia Middenheim, kilka miesięcy temu.

Felix dostrzegł, że Gotrek lekko zeszywniał na wzmiankę o Middenheim.

– Braliście udział w walkach?

– Aye – powiedział Rodi i z dumą wypiął potężną pierś. – A nawet zabiłem tam demona.

Felix usłyszał dźwięk wyłamywanych knykcii. Odgłosy frustracji Gotreka dały się słyszeć nawet przez trzask buzującego ognia.

– Czyżby? – warknął.

– To wcale nie był demon – mruknął zniecierpliwionym głosem Argrin, zupełnie jakby po raz kolejny spierali się o to samo. – Nie prawdziwy demon.

– Zionął ogniem i zniknął w chmurze różowego dymu, kiedy go trafiłem – upierał się Rodi, wysuwając do przodu podbródek ozdobiony rozwidloną brodą.

– I był wielkości kota – dodał złośliwie Argrin.

– Do diabła z tobą, przestań łącać w żywe oczy – zdenerwował się Rodi. – Wcale nie był taki mały! Był co najmniej wielkości...

– Psa – wtrącił się znowu Argrin.

– Wilka! – zaprotestował Rodi. – Był rozmiarów wilka! I to dużego!

Gotrek odchrząknął znacząco.

– A więc nie wiecie, kiedy Snorri Gryzonos zaczął tracić pamięć?

Dwóch Zabójców przerwało sprzeczkę i potrząsnęło głowami.

– Od zawsze był taki – powiedział Rodi. – Przynajmniej odkąd go znamy. Czasem musimy mu przypominać, kim jesteśmy, mimo że spędza z nami każdy dzień.

– Zbyt wiele ciosów w głowę – postawił diagnozę Argrin.

– Zbyt wiele gwoździ w głowie – poprawił go Rodi.

Argrin ze smutkiem wzruszył ramionami.

– Pamięta dawne czasy, jakby to było wczoraj, ale tego, co było wczoraj, nie pamięta wcale.

Gotrek przeklął pod nosem.

Argrin obrzucił Gotreka ciekawskim spojrzeniem.

– Sporo nam o tobie opowiadał, Gotreku synu Gurniego.

– Aye – roześmiał się Rodi. – I jeżeli wszystko, co mówił, to prawda, to jesteś najgorszym Zabójcą wszechczasów.

– Co to ma znaczyć?! – ryknął Gotrek, zwijając dłonie w pięści.

Kat gwałtownie nabrała powietrza w płuca. Felix podniósł się z posłania, uważnie obserwując sytuację. To mogło się źle skończyć. Zabójca był szczególnie przewrażliwiony na punkcie swojej zagłady.

– Spokojnie – starał się załagodzić sytuację Rodi. Wyciągnął przed siebie ręce uspokajającym gestem.

– To był żart. Miałem na myśli, że po prostu musisz być za dobry. Powinieneś być zginąć już tuzin razy w ciągu tych lat, które spędziłeś ze Snorrim, a jednak pokonałeś wszystkich napotkanych wrogów – demony, smoki, wampiry. Minęło dwadzieścia lat, a ty wciąż żyjesz.

– Kwestionujesz moje poświęcenie w poszukiwaniu zagłady? – zapytał Gotrek, wstając. Jego jedyne oko błyszczało groźnie w blasku ognia.

Rodi również się podniósł i stanął pierś w pierś z Gotrekiem.

– Wcale tego nie powiedziałem. Będziesz mi to wmawiał?

Felix położył dłoń na głowni miecza. Kat patrzyła to na jednego Zabójcę, to na drugiego. Włóczyńcy ze Stangenschloss zerkali z zaciekawieniem.

– Co w takim razie powiedziałaś? – zapytał ostrym tonem Gotrek.

– Przestańcie, chłopaki – Argrin starał się załagodzić sytuację i rozdzielić ich. – Nie kłóćmy się o drobiazgi.

– Mój honor to nie drobiazg, młodobrody – warknął na niego Gotrek.

Felix wystąpił na przód i odezwał się zdenerwowanym głosem:

– Mogę zaświadczyć, że przez ostatnie dwadzieścia lat nie było dnia, którego Zabójca nie poświęciłby na szukanie swojej zagłady.

Poza miesiącami w Altdorfie, kiedy próbował zapić się na śmierć, pomyślał, ale nie powiedział tego na głos.

– Trzymaj się od tego z daleka, człeczyno – powiedział Gotrek.

Argrin położył dłoń na ramieniu Rodiego.

– No dalejże Rodi, przeproś.

– Ale ja... Ja przecież... – zająknął się Rodi.

– Nieważne – przerwał Argrin. – Zguba każdego Zabójcy to sprawa między nim a Grimmirem i nikim więcej. Nigdy nie

powinieneś był poruszać tego tematu. A teraz przeprós.

Rodi zrobił ponurą minę, ale wreszcie skłonił się przed Gotrekiem.

– Wybacz mi, Gotreku synu Gurniego, nie powinienem pytać o nie swoje sprawy. Proszę, przyjmij moje przeprosiny.

Gotrek zawahał się. Przez chwilę wyglądał, jakby chciał walnąć młodego Zabójcę w nos, ale wreszcie sztywno pokiwał głową.

– Przyjęte – odparł i odwrócił się do Felixa, wciąż mamrocząc coś pod nosem.



Ponieważ siostry Shallyi i uratowani żołnierze byli ranni i na wpół zagłodzeni, w oczywisty sposób spowolniali wędrowkę, co sprawiło, że droga do Stangenschloss zajęła im kolejne dwa dni. Nic szczególnego się po drodze nie wydarzyło, ale podróż i tak nie należała do najłatwiejszych, przynajmniej dla Gotreka i Felixa. Felix spędził te dwa dni obserwując Gotreka, który z kolei obserwował Snorriego. Widać było, że krasnoluda smuci widok Zabójcy w tak strasznym stanie.

Snorri był radosny jak zwykle i równie inteligentny jak dawniej – ani mniej, ani więcej – ale bez wątpienia coś było nie tak z jego głową. Każdego dnia rano witał Gotreka i Felixa jak obcych, a kiedy przypominali mu, kim są, śmiał się i odpowiadał, że oczywiście wie, kim są. Nie przeszkadzało mu to jednak opowiadać im historii o swoich starych przyjaciółach, Gotreku i Felixie, jak gdyby byli kimś zupełnie innym niż człowiek i krasnolud wędrujący u jego boku.

Gotrek kiwał głową, wysłuchując opowieści Snorriego – z czego większość była zupełnie pomieszana i bezładna – ale na jego twarzy na stałe zagościł ponury grymas. Wyglądał, jakby starał się rozwikłać skomplikowaną zagadkę. Felix, widząc to, cierpiał. To nie był problem w stylu Gotreka. Nie była to sprawa, którą można by rozwikłać za pomocą topora czy odważnej akcji ratowniczej. Zabójca nie mógł zrobić nic, żeby pomóc swemu przyjacielowi i

Felix widział, że krasnoluda to boli. To, co powinno wyglądać jak radosne spotkanie po latach z wieloma wychylonymi kufelkami i stosowną rozróżką, stało się zamiast tego dziwnym i rozdzierającym serce rozczarowaniem.

Jednakże Gotrek, jako krasnolud i Zabójca, nie był istotą skłoną do rozczulania się nad sobą w obliczu tragedii. Felix widział, że zamiast tego Gotrek staje się z dnia na dzień coraz bardziej rozżłoszczony, a tym samym coraz bardziej sfrustrowany, gdy cała ta złość nie znajdowała ujścia. Idąc obok krasnoluda, Felix słyszał, jak ten zgrzyta zębami i widział, jak na przemian zaciska i rozluźnia pięści. Biorąc pod uwagę fakt, że zagłębiali się w Drakwald, nieuniknione było spotkanie na drodze jakiegoś zła, które trzeba będzie zabić. To pozwoliłoby Zabójcy rozładować narastające w nim napięcie.

Dla dobra Gotreka Felix miał nadzieję, że nastąpi to jak najszybciej.



Stangenschloss nie było tak imponujące, jak Felix się spodziewał. Wyobrażał sobie ponury, monolityczny bastion opierający się samotnie siłom Chaosu, górujące kamienne wieże najeżone olbrzymimi machinami wojennymi i zatłoczone włócznikami, miecznikami oraz strzelcami. Okazało się, że Stangenschloss pozostawało w rzeczywistości mniejsze niż Bauholz i mimo że miało kamienne mury, to nie były one wiele wyższe od drewnianej palisady otaczającej nadrzeczną osadę. W niektórych miejscach ziały wyłomy. Garnizon składał się z mniej niż pięciuset ludzi. Większość z nich była wychudła z głodu i zniszczona latami wojny. Nigdzie też nie widniały katapulty ani trebusze.

Kapitan Haschke zauważył, że Felix rozgląda się dokoła i zagadnął go, uśmiechając się ponuro:

- I tak jest lepiej niż było.
- Musieliście tu stoczyć kilka zażartych bitew – stwierdził Felix.

– Nie my – wyjaśnił Haschke. – A przynajmniej nie tu. Byliśmy dalej na północy z von Raukovem. Tu stacjonował garnizon lorda von Lauterbacha. Najechano ich, wybito, co do jednego, a fort został zniszczony.

– Jak tutaj trafiliście? – zapytał Felix.

Haschke uśmiechnął się krzywo.

– Kolejny z całej serii genialnych pomysłów mojego pana, lorda Ilgnera – odparł. – Powracaliśmy po zakończonej wojnie na południe i natknęliśmy się na ten fort. Był opuszczony, a wszystkie okoliczne osady spustoszone przez niedobitki armii Archaona, które zamiast uciekać do siebie, zagłębiły się w lasy. No cóż, lord Ilgner nie zniósłby świadomości, że musze dzieje się krzywda, więc rozkazał nam zostać tutaj do chwili, gdy wytrzebimy te potwory, co do jednego, a ludzie będą mogli tu żyć spokojnie.

– Bardzo szlachetna idea – pisał Ortwin.

– Aye – zgodził się Haschke. – Ale wielu nie podzielało tego entuzjazmu. Walczyli przez cały rok i chcieli wreszcie zobaczyć znowu swoje rodziny w Averlandzie. Nie muszę wam chyba mówić, że na początku dużo było gderania.

– Twój pan nie jest więc zbyt lubiany? – zapytał Felix.

– Och ależ nie, kochają go – zaprotestował Haschke. – Prowadzi ich do zwycięstw i karmi, przynajmniej przez większość czasu, oraz potrafi sprawić, że nawet zwykły najemnik czuje się, jakby walczył za jakąś lepszą sprawę. Jesteśmy z niego dumni i dumni z tego, że stoimy na posterunku. Jesteśmy po prostu trochę... zmęczeni, to wszystko.

Kapitan Haschke pokazał im miejsce, w którym zostawili plecaki, po czym poprowadził Gotreka, Felixa, Kat i Ortwina przed oblicze lorda Ilgnera, dowódcy fortu, aby opowiedzieć mu o szczegółach starcia z maruderami. Poszła z nimi również przeorysza Mathilde, starsza siostra zakonna Shallyi.

Znaleźli Ilgnera siedzącego za biurkiem zrobionym z ciężkich drewnianych drzwi położonych na dwóch kozłach. Siedział niedaleko przenośnej kuchni w oddzielonej zasłoną części sali jadalnej. Miejsce to służyło mu zarówno jako biuro, jak i sypialnia. Górne piętra twierdzy zostały zniszczone podczas wojny i do tej

pory ich nie odbudowano, więc nawet oficerowie musieli się gnieździć razem z szeregowcami.

Widok Ilgnera, podobnie jak widok fortu, był dla Felixa rozczarowaniem. Spodziewał się ujrzeć wykutego z żelaza olbrzymia ze srogim wyrazem twarzy i siłą dziesięciu chłopca. Zamiast tego miał przed sobą niskiego i zaaferowanego mężczyznę, którego sylwetka zdradzała tendencje do tycia, ukrócone tylko przez ciężkie warunki panujące w forcie. Jego włosy były ciemne i przerzedzone na czubku głowy. Oczy miał jasne, a białe zęby często odsłaniał w szerokim uśmiechu.

– Sigmarze, uchwaj – powiedział, gdy Haschke ich przedstawił.

– Kolejny Zabójca. Proszę powiedz, że nie pijesz tak jak tamci trzej. Wykazali się wielkim męstwem w ciągu ostatnich kilku tygodni, ale przy tym niemal zupełnie osuszyli nasze beczułki z piwa.

– Zabójcy piją – odparł Gotrek, wzruszając ramionami.

– I to niemało – uśmiechnął się Ilgner. – Powtarzają, co i rusz, że wyruszają na spotkanie swojej zagłady, ale za każdym razem wracają, siejąc spustoszenie w moich piwnicach.

Spojrzał na Haschkego.

– Tym razem też wrócili, prawda?

– Aye, panie – odpowiedział Haschke. – Już usiedli do kufelka. Twierdzą, że dzięki temu ich rany szybciej się goją.

Ilgner westchnął, po czym skłonił się z szacunkiem przed Gotrekiem, Felixem i Ortwinem.

– No cóż, oczywiście witam was serdecznie. Przyda nam się tu każdy wprawiony w walce weteran.

Następnie zwrócił się do Kat, a jego twarz momentalnie spoważniała.

– A więc Neff nie żyje?

– Aye, panie – odpowiedziała. – I jedna trzecia jego ludzi też. Zabrali zapasy. Tak mi przykro.

– A ci, którym udało się przeżyć... – zaczął Haschke, ale zagryzł dolną wargę. – No cóż, Kurganie wzięli ich w niewolę i... i to nie są już ci sami ludzie.

– Co się z nimi stało? – zapytał Ilgner.

– Zostali... złamani, sir – wyjaśnił Haschke. – Nic nie mówią. Nie chcą jeść. Nie ma w nich życia.

– Wykorzystano ich w najokrutniejszy sposób, mój panie – odezwała się po raz pierwszy przeorysza. Spojrzenia wszystkich spoczęły na niej i kobieta oblała się rumieńcem.

– Maruderzy powiedzieli nam, że mnie i siostry pojmano, żeby zrobić... żeby zrobić z nas klacze rozplodowe. Miałyśmy rodzić kolejne pokolenia bestii, ale mężczyzn... Oni traktowali ich jak zabawki, jak zwierzęta. To...

– Nie musisz mówić nic więcej, siostro – przerwał jej Ilgner, rumieniąc się. – Wiem, o co ci chodzi. Ci złoczyńcy byli wyznawcami bóstwa rozkoszy. Uczynili to, co mają w zwyczaju ci zwyrodnialcy.

Haschke położył dłoń na rękojeści miecza.

– Panie, błagam cię o pozwolenie zebrania ludzi i wyruszenia w ślad za resztą tych degeneratów. Wyrznęliśmy tych, których odnaleźliśmy, co do jednego, ale to była zaledwie grupa zwiadowcza. Wiem, że główne siły muszą być gdzieś niedaleko z naszymi zapasami.

Ilgner ze znużeniem osunął się na krzesło.

– Gdybym tylko mógł, kapitanie. Obawiam się jednak, że mamy bardziej palący problem, z którym musimy się uporać najpierw.

– Co takiego, panie?

Ilgner odsunął papierzyska, kubki i talerze zaśmiecające biurko i odsłonił mapę Drakwaldu. Postukał w nią palcem.

– Dochodzą nas wieści o wielkiej hordzie zwierzoludzi, tak olbrzymiej jak za czasów wojny, która nadciąga z terenów położonych na południe od Wyjących Wzgórz. Ponoć na swojej drodze niszczą wszystkie osady i zabudowania.

Jego palec przesuwiał się po mapie.

– Nie wiemy, dokąd zmierzają ani czego chcą, ale poruszają się w naszym kierunku i musimy ich powstrzymać.

Felix i Gotrek wymienili znaczące spojrzenia. Ortwin wstrzymał oddech. Felix zrobił krok do przodu.

– Wybacz mi, lordzie Ilgnerze. Przybyliśmy na północ w poszukiwaniu wieści o rycerzach Zakonu Płonącego Serca. Czy

wiesz może, czy wyruszyli na spotkanie z tą hordą?

Ilgner zacisnął usta i skinął głową.

– Aye. Wioska, której obrony się podjęli, była pierwszym zwiastunem nadchodzących wydarzeń. Tego samego dnia, kiedy wyruszyli, przybyło do nas pięć kolejnych gołębi pocztowych z wiadomościami płynącymi z wiosek i osad na skraju wzgórz. Ich mieszkańcy błagali nas o pomoc.

– Czy od tego czasu mieliście jakieś wieści od zakonników? – wyrwało się Ortwinowi.

Ilgner potrząsnął głową z wyrazem współczucia na twarzy.

– Przykro mi, chłopcze. Nikt z tych, którzy wyruszyli na północ, nie powrócił, a uchodźcy zbiegający na południe potrafią tylko bredzić, tak bardzo są przerażeni. Nie mamy o nich żadnych wieści.

Znów pochylił się nad mapą i przesunął palec.

– Prośby o pomoc napływają z coraz to nowych wiosek, a każda z nich jest coraz dalej wysunięta na południe.

Rozejrzał się dokoła.

– Szacuję, że w tej chwili stado znajduje się około sześciu dni drogi stąd. Jutro o świcie wyruszam na północ osobiście, żeby zbadać rozmiar i charakter zagrożenia.

Haschke wyprężył się jak struna. Zasalutował.

– Panie, pragnę być u twego boku podczas tej misji. Proszę, pozwól mi sobie towarzyszyć.

Ilgner uśmiechnął się.

– Nie, Haschke. Właśnie wróciłeś z pola zażartej walki. Jesteś ranny. Zostaniesz tu. Zabieram ze sobą tylko kilku ludzi. To misja zwiadowcza, nie wyprawa wojenna.

Haschke mimo wszystko wyglądał na przybitego. Ilgner zwrócił się do Kat.

– Kat, jeśli będziesz mogła, z chęcią zatrudniłbym cię jako zwiadowcę.

– Oczywiście, sir – odparła.

Ortwin wystąpił naprzód, po czym ukląkł na jedno kolano.

– Lordzie Ilgnerze, wraz z przyjaciółmi poprzysięgliśmy poznać los, jaki spotkał Rycerzy Płonącego Serca. Bylibyśmy niezmiernie

wdzięczni, gdybyś pozwolił nam sobie towarzyszyć w drodze na północ. Być może tam znajdziemy odpowiedzi, których szukamy.

Ilgner uniósł brwi, z wyraźnym rozbawieniem reagując na ceremonialną prośbę chłopca.

– A ty możesz poświadczyć za tych szlachetnych poszukiwaczy, zwiadowco? – zadał pytanie Kat.

– Tak, panie – odparła, a oczy jej pojaśniały. – To najlepsi wojownicy i najodważniejsi, najbardziej honorowi przyjaciele jakich znam. Chłopak też potrafi używać miecza.

Ortwin wlepił w nią wzrok, a Ilgner uśmiechnął się.

– Dobrze więc – zdecydował. – W takim razie lepiej będzie ich mieć ze sobą, nieprawdaż?



Po tym jak opuścili kwaterę Ilgnera, towarzysze podróży rozdzielili się. Felix poprosił kucharza o wiadro gorącej wody i poszedł za koszary wyszorować się do czysta.

Następnie wrócił do miejsca, które Haschke dla nich znalazł – komnaty na pierwszym piętrze w na wpół zawalonej wieży – i uciął sobie krótką drzemkę. Podróż z Bauholz była naprawdę wyczerpująca.

Dręczyły go koszmary o postaciach czających się w cieniu oraz o ojcu wrzeszczącym i przeklinającym na czym świat stoi, podczas gdy szponiaste łapy rozrywały mu ciało. Klątwy padające z ust ojca nie były jednak skierowane ku oprawcom, ale ku Felixowi, zaglądatającemu do środka pomieszczenia przez okno. Czuł, że się kurczy pod oskarżycielskim spojrzeniem zakrwawionych oczu ojca, ciągnącego rozpaczliwie za sznurek od dzwonka przymocowanego przy łóżku, dzwoniąc po pomoc, która miała nigdy nie nadejść.

Obudził go dobiegający z oddali brzęk obiadowego dzwonka i zapach gotowanej kapusty. Nie był to najbardziej apetyczny aromat świata, ale stanowił miłą odmianę po przerażającym świetle koszmarów. Wspomnienia snu nieprzyjemnie przewijały się w jego

myślach, gdy naciągał buty. Wciąż czuł na sobie spojrzenie oczu ojca, nawet, gdy zmierzał w stronę mesy. Miał wrażenie, że ojciec tym samym bezgłośnie pytał, dlaczego podjął się misji sir Teobalta i zapomniał o zemście.

Przecinając zabłocony dziedziniec, ujrzał Kat stojącą przy kuchennych drzwiach obok kobiety w fartuchu. Kobieta miała wzrok wbity w ziemię, a jej ramiona były zgarbione. Kat trzymała ją za rękę i poklepywała niezręcznie. Felix zwolnił, uderzony smutkiem bijącym z tej sceny. Co się stało?, zastanawiał się. Nagle zdał sobie sprawę, że się gapi. Nie chciał przecież wchodzić z butami w czyjeś życie. Żeby nie być niegrzecznym, już miał ruszyć dalej, kiedy ujrzał jak Kat mówi jeszcze kilka słów i odchodzi na bok, więc znów się zatrzymał.

Kobieta pokiwała głową, słysząc słowa Kat, ale nie spojrzała na nią. Po chwili niezręcznej ciszy, Kat odwróciła się i odeszła ze spuszczoną głową.

Felix zawahał się. Nie wiedział, czy ma się wycofać, czy iść w jej stronę. W tej samej chwili dziewczyna podniosła wzrok i ujrzała go. Zatrzymała się na chwilę, po czym znowu zwiesiła głowę i dalej szła w jego kierunku.

– Cześć, Felixie – powiedziała, zwalniając kroku, gdy była już blisko.

– Wszystko w porządku, Kat? – zapytał. – Kim była ta kobieta?

Kat zawahała się, po czym obeszła go i szła dalej w stronę mesy, nie podnosząc wzroku.

– Żona Neffa, Elfreda – odpowiedziała. – Piecze dla nas chleb. Musiałam... musiałam jej powiedzieć – urwała nagle i przyspieszyła kroku.

– P... przepraszam.

– Kat! – Felix pobiegł za nią i złapał ją za łokieć.

Przez chwilę próbowała się uwolnić, ale kiedy obrócił ją twarzą do siebie, wtuliła się w niego. Oparła czoło o jego pierś i załkała cicho. Felix objął ją i mocno przytulił. Przywarła do niego mocno, w zaciśniętych pięściach mnąc materiał kamizeli i mocząc go obfitymi łzami.

– Przepraszam, Felixie – wymamrotała. – Chodzi o... chodzi... – i znowu wybuchła płaczem.

Felix poklepał ją po plecach i starał się ją uspokoić, zdumiony drzemiącymi w niej kontrastami. Tak nieustraszona w bitwie, pewna siebie w lesie i odważna w obliczu śmierci, kryła w sobie jednak wrażliwą, ludzką stronę.

Uderzyła głową w jego pierś ze złością.

– Czemu mogłam patrzeć na zwłoki Neffa bez łzy w oczach, ale kiedy musiałam powiedzieć Fredzie... – znów zanosła się szlochem.

Felix pogładził jej brudne włosy i postanowił nie przypominać jej, że tak naprawdę to uroniła wtedy łzę, nawet jeżeli bezgłośnie. Zamiast tego powiedział:

– Myślę, że to dlatego, że umarli nie cierpią. To, ci, którzy żyją, czują ból spowodowany przez śmierć.

Pokiwała głową, wciąż pochlipując.

– Chciała, żeby wyruszyli na południe, zanim zima ich tu zaskoczy i odetnie drogę, ale on... był zbyt lojalny wobec Ilgnera. Nie chciał iść! Biedna Freda!

Jej oczy znów wypełniły się łzami. Felix pozwolił się jej wyplakać, otulając ją swym czerwonym sudenlandzkim płaszczem. Patrzył ze smutkiem na czubek jej głowy. Pozwoliła sobie na płacz, ponieważ tutaj czuła się bezpieczna. W Drakwaldzie nie było miejsca na łzy. Musiała być czujna i przygotowana na wszystko przez cały czas. Okazywanie uczuć by ją zabiło, dlatego pozwalała im ujść z siebie dopiero, kiedy wychodziła spomiędzy drzew. Doznawał dziwnej przyjemności na myśl, że czuła się na tyle bezpiecznie w jego ramionach, żeby tak się otworzyć.

Wreszcie łkanie ucichło i dziewczyna tylko tuliła się do niego, pociągając nosem. W końcu podniosła głowę i spojrzała na niego, uśmiechając się krzywo.

– Wybacz, Felixie – powiedziała. – Obawiam się, że... że zniszczyłam ci kamizelę.

Zachichotał.

– Łzy to naprawdę nie najgorsza rzecz, jaka splamiła te stare szmaty – odparł.

Stali tak jeszcze przez chwilę, przytuleni, uśmiechając się do siebie czule, gdy nagle, mimo że nic się nie zmieniło, coś się stało i Felixowi serce stanęło w piersi. W jednej sekundzie uścisk był niewinny, jakby brat obejmował siostrę, gdy nagle, bez ostrzeżenia, niewinność przerodziła się w zupełnie coś innego.

Nie chodziło o to, że Felixem nagle zawładnęło pożądanie. Po prostu uświadomił sobie prosty fakt, że był mężczyzną, a Kat kobietą, i że jej objęcia były bardzo przyjemne. Zawahał się, a serce waliło mu w piersi jak oszalałe. Wyczuł, że Kat również jest spięta. Musiała sobie uświadomić to samo.

Ich spojrzenia się spotkały i poczuli, jakby przeszedł ich prąd. W mgnieniu oka oderwali się od siebie, praktycznie odskakując na bok. Oboje nie wiedzieli, gdzie podziać oczy.

– Ehm... – odezwał się Felix, z nagłym zainteresowaniem śledząc wydarzenia rozgrywające się po drugiej stronie dziedzińca. – Najlepiej będzie, jak pójdziemy już na obiad, co?

– Aye – odparła Kat, ze skupieniem owijając się szalem. – Aye, obiad. Tak.

Odwrócili się i szybkim krokiem ruszyli w stronę mesy, oboje ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie.



Niezręczna atmosfera panowała również przy obiedzie. Podczas gdy Gotrek wysłuchiwał beładnych opowieści Snorriego o oblężeniu Middenheim, a Rodi i Argrin śmiali się i przekomarzali z przyjaciółmi z garnizonu Stangenschloss, Felix i Kat jedli w milczeniu. Nie odzywali się do siebie i unikali kontaktu wzrokowego. Raz na jakiś czas Felix spoglądał na nią i widział, że Kat na niego patrzy. Zaraz jednak odwracała wzrok, gdy tylko ją na tym przyłapał. Za chwilę łapał się na tym, że sam się w nią wpatruje i udaje, że patrzy gdzieś indziej, gdy tylko ona zwraca ku niemu oczy.

Za każdym razem Felix klął w duchu. Co z nim było nie tak? To nie było w porządku. Dziewczyna była prawie o połowę młodsza od niego!

Z drugiej strony, mówił sobie, była starsza od Claudii, a przecież tamtej pozwolił się uwieść. Ale nie znał Claudii w wieku siedmiu lat! Nie żeby zależało mu na Claudii, tak jak zależało mu na Kat. Claudia była niemądra i chciała go wykorzystać jako narzędzie, które umożliwi jej wyrwanie się z murów zakonnego życia. W chwili słabości zgodził się na to i w zamian sam chciał ją wykorzystać.

Kat była inna. Felix czuł się za nią odpowiedzialny. Ukształtował jej przeszłość i martwił się o jej przyszłość. Nie chciał jej zranić zwykłym, bezuczuciowym pójściem do łóżka. Nie była karczemną dziewczką ani kurtyzana, która rozdaje swoje wdzięki na prawo i lewo. Była... Kat. Wciąż widział ją jako poważną siedmioletnią dziewczynkę, która płakała i machała im na do widzenia, gdy wraz z Gotrekiem wyruszali do Nuln wiele lat temu.

Gdyby on i Kat się zeszli – a pełne napięcia spojrzenia, jakie wymienili przed chwilą, nie pozwalały mu myśleć o niczym innym – to musiałyby coś znaczyć. Musieliby zostać parą, a nie przyjaciółmi, którzy od czasu do czasu stają się kochankami. A to, jak się obawiał, było niemożliwe z kilku powodów.

Po pierwsze – ich zobowiązania. Kat była związana z Drakwaldem za sprawą przysięgi, którą złożyła. Przysięgła, że pozbędzie się stąd zwierzoludzi. Felix przysięgł podążać za Gotrekiem i spisać jego zagładę. Nie potrafił przewidzieć, gdzie znajdzie się następnego dnia. Nic, co zaistniałoby między nim a Kat, nie mogłoby trwać długo, ponieważ Gotrek wędrował wciąż w nowe miejsca.

Po drugie – ich wiek. Nie miało to znaczenia z Claudią, która stanowiła tylko chwilową miłość. Gdyby chciał związać się z Kat na dłużej, stałoby się to problemem. Nieważne, co Max mówił o długowieczności Felixa. Nie zmieniało to faktu, że kiedy miałby sześćdziesiąt lat, Kat stuknęłaby dopiero czterdziestka. Nie byłoby to w porządku wobec żadnego z nich.

Po trzecie – i kiedy o tym myślał wydawało mu się, że to najważniejsze – nie był pewien, czy tak naprawdę był w niej

zakochany. Oczywiście kochał ją, ale w ten czuły, opiekuńczy sposób, w jaki kocha się członka rodziny. Nie był to raczej ten przeszywający, rozpalający serce rodzaj miłości, jakim darzył... jakim darzył...

Ulrikę.

Felix zaklął na myśl o niej. Czy już na zawsze był skazany na porównywanie każdej kobiety do niej? Nigdy nie będzie to sprawiedliwe porównanie. Byli do siebie idealnie dopasowani pod względem temperamentu i upodobań. Niespokojni wędrowcy, między którymi iskrzyło jak między krzemieniem a stalą. W porównaniu z nią Claudia była zepsutą, płaczliwą smarkulą, a Kat słodką, ale naiwną wieśniaczką. Bez sensu. Żadna kobieta się do niej nie umywała. A jednak, gdyby którąś z nich wybrał, byłaby dla nich szansa. Szansy na miłość i życie z Ulriką nie było. Została przemieniona w wampira. Nie podlegała już dłużej prawom żywych. Między nią a Felixem nie mogło już dojść do niczego, co nie doprowadziłoby do śmierci jednego z nich lub obojga. Musiał o niej zapomnieć. To był jego cel. Któregoś dnia będzie musiał pogodzić się z jej odejściem i zdecydować na kogoś innego.

Znów spojrzął na Kat. Wiedział, że Ulrika nie potępiłaby go za wzięcie sobie kobiety. To w końcu ona powiedziała, że muszą znaleźć ukojenie i szczęście z podobnymi sobie. Ale cóż to będzie za szczęście, gdy będzie wiedział, że Kat daje mu miłość, której on nie jest w stanie w pełni odwzajemnić? Poczucie winy go zabije. Zasługiwała na więcej niż był jej w stanie dać.

Podniosła na niego wzrok i znów między nimi zaiskrzyło. Spojrzął szybko na bok, udając, że chce dolać sobie piwa. Zagryzł wargi, żeby odpędzić pożądliwe myśli, które kłębiły mu się w głowie. Roześmiał się sam z siebie. Taki był szlachetny i sentymentalny. Miał nadzieję, że te przekonania zdadzą egzamin, gdy przyjdzie co do czego.

Obok niego Gotrek odwrócił się od Snorriego i wlepił wzrok w żołnierza siedzącego przy stole naprzeciwko Rodiego i Argrina.

– Opustoszałe? – mówił Gotrek. – Masz na myśli: wszyscy nieżywi?

Felix nadstawił ucha. Żołnierz potrząsnął głową.

– Nie, Herr krasnoludzie. Ten człowiek użył słowa „opustoszałe”. Kiedy przeszło stado, on i jego towarzysz, także traper, byli w lesie. Nigdy nie widzieli bestii, ale kiedy wrócili do Weinig, byli pewni, że to co tam zastali to ich sprawka, bez gadania. Wszystko było rozwalone – wrota, domy, świątynia – jak zawsze. Ale najdziwniejsze... – Żołnierz nachylił się i zniżył głos, żeby nadać opowieści dramatyzmu. – Najdziwniejsze jest to, że nie było tam ani jednego człowieka. Zniknęli mężczyźni, kobiety, dzieci. Wymiotło ich wszystkich, nawet trupy.

Rodi wzruszył ramionami.

– Zwierzoludzie ich zabrali – stwierdził. – Jako niewolników lub żer.

– Nie – nie zgodziła się Kat. – Nie znasz ich.

Żrenice Rodiego rozszerzyły się ze zdumienia. Nie był przyzwyczajony, do tego, żeby kobieta wtrącała się tak obcesowo do dyskusji. Kat jednak nie zwracała na niego uwagi i ciągnęła:

– Mogli wziąć kilka osób na pożarcie, ale nie za dużo. Nie mają zwyczaju robienia zapasów. Pożywiają się po drodze. I nie biorą ludzkich jeńców, ponieważ ci nie potrafią dotrzymać im kroku.

– W takim razie, co się z nimi stało? – Argrin zadał nurtujące go pytanie. – Mam na myśli tych ludzi.

Kat wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

– Traper też nie wiedział – podjął opowieść żołnierz, chcąc ponownie zwrócić na siebie uwagę wszystkich. – Ale okazało się, że to samo wydarzyło się w Bohrung i Grube położonych dalej na południe. Wszyscy mieszkańcy zniknęli, jakby ich wessał do nieba potężny wir powietrzny.

– Może ten traper był szalony, Pfaltz – roześmiał się jeden z żołnierzy. – Stado zwierzoludzi, które sprawia, że ludzie znikają? Brzmi jak bajka dla dzieci.

– Albo dobra zagłada – wymamrotał Gotrek, a jego jedyne oko zabłysło w ogniu pochodni. Tymczasem pozostali wyśmiewali się z żołnierza, nie dając wiary jego opowieści.

Felix zadrżał. Kiedy Gotrek wyczuwał dobrą zagładę, oznaczało to rychłe kłopoty. Nie czekał na następny poranek z wielkim

utęsknieniem.



Przez trzy dni drużyna lorda Ilgnera przedzierała się przez dzikie bezdroża Drakwaldu. Przerazający zielony bezmiar zdawał się Felixowi – a jego wyobraźnia napędzana była żołnierskimi opowieściami – jednym wielkim, wrogim organizmem. Miał wrażenie, że las obserwuje ich spod półprzymkniętych powiek niczym jakiś ospały kot. Był zbyt leniwy, żeby od razu ruszyć w pościg za myszą, która wkroczyła na jego terytorium. Wiedział jednak, że jeśli raz weszła w pułapkę, to będzie mógł wyciągnąć przed siebie szpony i zgnieść ją w dowolnym momencie. Lub sprawić, że zniknie bez śladu.

Na północ od Stangenschloss nie było dróg, nie było nawet ścieżek, które służyły jako połączenie między Bauholz a fortem. Dlatego też ekspedycja poruszała się gęsiego szlakami dzikiej zwierzyny. Kat, jako zwiadowca, szła daleko z przodu. Snorri, Rodi i Argrin, którzy nalegali na wzięcie udziału w wyprawie mimo odniesionych ran, maszerowali przed Ilgnerem i dziesięcioma rycerzami prowadzącymi konie. Na końcu szli Gotrek, Felix i Ortwin – zabezpieczali tyły i pilnowali, czy nikt ich nie śledzi.

Felix z ulgą przywitał perspektywę unikania widoku Kat przez jakiś czas. Wydawało się, że szybko odzyskała swoje opanowanie. Następnego ranka przywitała go radosnym i niezobowiązującym „cześć”. Wyruszyli w drogę, ale, kiedy znajdowała się w pobliżu, miał problem z oderwaniem od niej oczu. Ucieszył się na wieść, że będzie szła z przodu, poza zasięgiem jego wzroku.

Z każdym dniem spędzonym na wędrówce teren stawał się coraz bardziej pagórkowaty. Musieli wspinać się na strome, porośnięte krzewami granie i przedzierać przez gęsto zalesione wąwozy. Kilka razy natknęli się na miejsca, gdzie musieli wycinać poszycie, żeby zrobić przejście dla koni. Było przeraźliwie zimno, ale wysiłek

wkładany w marsz sprawiał, że z obficie spoconych ciał buchała gorąca para.

Trzeciego dnia obudzili się i ujrzeli nad głowami złowieszcze chmury. Wiał świszczący wiatr. Gdy zwijali obóz i nakładali plecaki, opady zacinającego deszczu ze śniegiem smagały ich po twarzach. Felix zastanawiał się, czy Ilgner wyda rozkaz powrotu do Stangenschloss z powodu zagrożenia burzą śnieżną. Dowódca jednak nawet nie poruszył tego tematu i ruszyli dalej na północ.

– Jedyna zaleta podróżowania przez gęsty las – powiedział Ilgner z uśmiechem na ustach. – Pogoda traci na znaczeniu!

Jego rycerze roześmiali się. Felix nie uważał tego stwierdzenia ani za szczególnie śmieszne, ani za zgodne z prawdą. Przebywanie pod drzewami chroniło ich przed wiatrem i śniegiem, ale roztapiający się lód skapywał z gałęzi na jego szyję i zmieniał podłoże w stęchłe bagnisko liści i błota, które sprawiało, że chodzenie przypominało bardziej ślizganie się na lodzie. Na dodatek czuł, że palce u stóp przemarzają mu do kości.

Tuż przed południem wreszcie natrafili na pierwszy ślad tajemniczej hordy. Trudno byłoby go przegapić. Drużyna przedarła się w dół porośniętego gęsto sosnami zbocza i na dole natrafiła na Kat. Dziewczyna przyklękła i wpatrywała się w ziemię. Podeptana trawa i połamane krzewy, odciski racic, zwierzęce odchody, obgryzione kości zwierząt i oberwane gałęzie drzew – wszystko to na takiej szerokości, że nie byli w stanie przez drzewa dostrzec drugiego końca śladu. Wyraz twarzy Kat był posepny.

– Co cię trapi, Kat? – zapytał lord Ilgner. – Czy to wyjątkowo wielkie stado?

Pokiwała głową i zacisnęła usta, tak że utworzyły cienką linię.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek widziałam większe, ale to nie wszystko.

Skinęła na nich i ruszyła w poprzek wydeptanej przez zwierzoludzi drogi. W miarę jak szli, przytłumione przez gęste listowie światło stawało się coraz jaśniejsze.

Wreszcie, po jakichś dwudziestu krokach zatrzymali się na krawędzi dziwnej wyrwy w lesie. Wzdłuż długiej, prostej linii, która

biegła obok trasy marszu zwierzoludzi, drzewa zostały wycięte. Z szarego nieba znów padał na nich deszcz ze śniegiem.

Felix osłonił dłonią oczy i spojrzał wzdłuż linii powalonych drzew. Ciągnęła się jak sięgał wzrokiem w obie strony – jak bruzda wyryta w lesie przez jakiś niewyobrażalnie wielki pług. Nie była szeroka – nie więcej niż na pięć, sześć kroków – ale wzdłuż ciągnęły się powalone drzewa i poszarpane pnie. Cięcia topora były na tyle świeże, że soki wzbierały w nacięciach niczym ropa w zakażonej ranie.

– To dziwne – powiedziała Kat. – Bardzo dziwne. Zwierzoludzie nie poruszają się w ten sposób.

– Być może to ślady bandy maruderów – zastanawiał się na głos Ilgner.

– Nie cuchnie maruderami – stwierdził autorytatywnie Argrin.

Kat pokiwała głową.

– Tylko odciski kopyt. Żadnych butów. Przeszło tędy stado, ale nigdy nie widziałam, żeby stado wycinało drzewa na swojej drodze. Zwierzoludzie to leśne stworzenia. Poruszają się między drzewami z taką samą łatwością jak my na otwartej przestrzeni. Nie rozumiem tego.

– Być może transportują działo – zasugerował Felix.

Rodi roześmiał się.

– Zwierzoludzie nie używają dział! – stwierdził. – Nie umieją nawet posługiwać się łukami i strzałami.

– Słuchaj się młodobrodego – zamruczał pod nosem Gotrek. – Pozjadał wszystkie rozumy.

– Ci, którzy stoją na czele stada, potrafią czasem używać dział – powiedział Felix, wspominając piekielną broń, jaką czempionka Chaosu Justine przywiodła ze zwierzoludźmi, którzy zaatakowali Flensburg.

– To może być działo – zgodziła się z wahaniem Kat. – Ale gdzie są ślady kół?

– Dziwne czy nie – przerwał dyskusję Ilgner, machając niecierpliwie ręką. – Znaleźliśmy trop naszej zwierzyny i zdaje się, że nie będzie trudno nim podążać. Polowanie uważam za rozpoczęte.

8

Motywy bestii, które przemieszczając się zostawiały za sobą tak wyraźny ślad, pozostawały dla nich nieznane, ale Ilgner miał rację – dzięki temu niezwykle łatwo było je śledzić. Drużyna złożona z rycerzy i Zabójców podwoiła swoją prędkość podróży. Do południa przebyli taką samą odległość, na jaką musieli poświęcić cały poprzedni dzień. Kat w pewnym momencie stwierdziła, że najprawdopodobniej doganiają stado. Świadczyły o tym świeże odchody i na wpół zjedzone truchła, znaczące szlak. Po tych słowach wszyscy wyciągnęli broń, a Ilgner i jego rycerze nie zsiadali już z koni i nie zdejmowali hełmów. Załadowane kusze trzymali w pogotowiu, na wypadek spotkania ze zwierzoludźmi.

Felix był tak zdenerwowany myślą o tym, że za chwilę mogą wpaść na tylnie straże stada, że skoncentrował się na wypatrywaniu i wsłuchiwaniu się w odgłosy z naprzeciwka. Kiedy okazało się, że niebezpieczeństwo nadeszło z tyłu, nieomal je przegapił. Dopiero gdy Gotrek zatrzymał się i obejrzał za siebie, Felix usłyszał dobiegający z oddali tętent ciężkich kopyt przebijający się przez wycie wiatru i szelest deszczu. Podążył spojrzeniem za wzrokiem Gotreka. Przetarł oczy i wyteżył wzrok, żeby dojrzeć coś przez zacinający deszcz ze śniegiem, ale odgłosy dochodziły z za grani i nie sposób było dojrzeć czegokolwiek.

– Zwierzoludzie? – zapytał Ortwin, a głos mu wahał się pomiędzy niepokojem a ekscytacją.

– Aye – burknął Gotrek, a z jego krzaczastych brwi skapywały krople wody. – Ale nie dość wielu.

Jeżeli chodziło o Felixa, nawet jeden zwierzoczłek stanowił o jednego za dużo, ale nie skomentował wypowiedzi krasnoluda.

Zamiast tego podbiegł do Ilgnera:

– Zwierzoludzie za nami – wyrzucił z siebie. – Gotrek uważa, że jest ich niewielu.

Ilgner obejrzał się za siebie z przekleństwem na ustach, po czym zwrócił się do swoich ludzi.

– Na lewo, między drzewa. Niech nas miną. Spojrzał jeszcze raz w dół na Felixa.

– Herr Jaeger, z łaski swojej daj też znać Zabójcom i Kat na przedzie.

– Aye, generale – odparł Felix i ruszył truchtem przed siebie, podczas gdy rycerze prowadzili konie między drzewa.

Zabójcom pomysł się nie spodobał.

– Mamy się chować przed zwierzoludźmi? – zapytał Argrin. Wyglądał na szczerze zdumionego.

– Nie przyłączyliśmy się do tego pościgu za zębataymi, po to żeby się przed nimi chować – odparł z oburzeniem Rodi. – Chcesz nas ograbić z naszej zagłady.

– Celem Ilgnera jest odnalezienie wielkiego stada – powiedział Felix, z trudem zachowując cierpliwość. – A nie śmierć w potyczce z jakąś pomniejszą grupą zwiadowczą. Jeżeli chcecie zagłady, zaatakujcie całe stado, podczas gdy my ruszymy w drogę powrotną do Stangenschloss.

Dwóch Zabójców mruknęło coś z niezadowoleniem, ale po chwili ruszyło w stronę drzew. Felix pospieszył do przodu, żeby odnaleźć Kat. Usłyszał jeszcze, jak Rodi burknął pod nosem zde gustowanym tonem:

– Człeczyny, phi.

Kat zachmurzyła się, słysząc wieści.

– Najprawdopodobniej mamy do czynienia z grupą przeczesującą okolicę w poszukiwaniu pożywienia – powiedziała. – Przemieszczająca się grupa wysyła takie oddziały w promieniu kilku kilometrów od głównego stada.

Pobiegli z powrotem do pozostałych. Znaleźli ich między drzewami po lewej stronie nierównej ścieżki. Lord Ilgner rozkazał rycerzom wycofać się nie tylko za krawędź szlaku znaczonego wyciętymi drzewami, ale dalej za sięgającą szerzej trasę zdeptanego

poszycia. Zanurzyli się między gęste krzaki. Rycerze owinęli się płaszczami i nasunęli kaptury, nie chcąc, żeby słońce odbijające się od hełmu lub zbroi zdradziło ich położenie. Czekali z tarczami na ramionach i z odbezpieczonymi kuszami w dłoniach.

Felix spojrzał za siebie w stronę ścieżki, gdy wraz z Kat przyczołgali się już do Gotreka i Ortwina siedzących w krzakach. Droga była teraz widoczna tylko we fragmentach, tam gdzie światło przedzierało się przez plataninę czarnych gałęzi. Odgłosy zbliżających się zwierzolutdzi były coraz głośniejsze – klap, klap, klap – tętent kopyt uderzających o ziemię oraz ryki i pomrukiwania zastępujące im mowę.

– Czy mogą dostrzec nasze ślady? – wyszeptał Felix,

– To możliwe – odpowiedziała Kat, zakładając strzałę i napinając cięciwę. – Ale nasze ślady mieszały się z tysiącami innych, więc najprawdopodobniej po prostu nie zwrócą na nie uwagi.

– Módlmy się, żeby tak było – powiedział Ilgner.

Rodi i Argrin sarknęli, słysząc to. Jednakże Ortwin zdawał się brać wypowiedź generała dosłownie, ponieważ pochylił głowę i zaczął coś mamrotać nad złożonymi dłońmi.

Gdy dźwięki stały się coraz głośniejsze, konie zrobiły się niespokojne. Rycerze jednak trzymali mocno za uzdy i mruzcili uspokajające słowa. Na razie to wystarczało i zwierzęta zachowywały względny spokój.

Wkrótce potem Felix dostrzegł przebłąski postaci poruszających się między drzewami, jak między deskami w płocie. Ogromny zwierzoczątek – gor, jak Felix sobie przypomniał – z głową niedźwiedzia, z której wyrastało jelenie poroże, szedł wytrzebioną z drzew ścieżką. Przez ramię miał przerzuconą pałkę, a jego owłosiona pierś pokryta była strzępami szmat i fragmentami pordzewiałej zbroi. Czterech kolejnych wielkich gorów szło za nim dwójkami. Każda z par niosła po olbrzymim drągu, pomiędzy zaś, zwisało ciało wielkiego niedźwiedzia. Za przywódcami podążała gromada mniejszych, bardziej przypominających ludzi bestii – tych, które Kat nazywała ungorami. Wszyscy uzbrojeni byli we włócznie, a część z nich prowadziła ze sobą psy na sznurkach – a przynajmniej zwierzęta te kiedyś musiały przypominać psy.

Zabójcy zaczęli się zachowywać niespokojnie. Felix słyszał ich mamrotanie.

– Zaklepuję tego wielkiego.

– Byłem pierwszy!

– A to zwyrodnialcy.

– Snorriemu przydałaby się dobra walka.

– Cicho, panowie – syknął Ilgner ze zniecierpliwieniem. – Maja równie dobry słuch, jak zmysł powonienia.

– Miejmy nadzieję – burknął Rodi, ale krasnoludy posłusznie umilkły.

Felix wraz z pozostałymi obserwowali w ciszy, jak grupa myśliwych przesuwają się przed ich oczami. Jej członkowie szczerzyli się do siebie, warczeli podenerwowani okropną pogodą i co chwila otrząsali mokry śnieg z futer.

Drużynie Ilgnera pozostało tylko czekać. Jeszcze minuta i bestie znikną im z oczu. Kolejna minuta i będą poza zasięgiem głosu.

Jeden z psów uniósł pysk zakończony potężnymi kłami i zaczął niuchać. Felix i reszta wstrzymali oddechy. Czyżby ich wyczuł? Zwierzę zatrzymało się i pociągnęło ungora, który trzymał je na smyczy, w stronę drzew. Zwierzocząłek szarpnął za sznur i przeklął. Pies zaczął ujadać, naprężając linę i rzucając się w kierunku drzew. Rycerze i Zabójcy ścisnęli rękojeści broni tak mocno, że zbieleły im knykcie. Kat uniosła łuk. Felix wątpił jednak, żeby nawet ona była w stanie trafić w cel przez gęstą zasłonę drzew.

Pies szczeknął ponownie. Ungor warknął na niego i wymierzył mu kopniaka, ciągnąc zwierzę za sobą. Pies jęknął, ale wreszcie poddał się i podreptał dalej.

Felix, Ortwin, Kat i rycerze westchnęli z ulgą. Zabójcy przekleli unisono.

Gotrek uśmiechnął się szyderczo:

– Psy po obu końcach smyczy...

Przerwał, słysząc dźwięk łamanych gałęzi i tętent łąp dobiegający z za ich pleców. Wszyscy odwrócili się w tamtą stronę, próbując dojrzeć coś w głębi lasu. Przychodziło im to z trudem, ponieważ wcześniejsze wpatrywanie się w stosunkowo dobrze oświetloną ścieżkę oślepiło ich na moment. Z cieni wychylnęło

dwóch ungorów – brudnych, półnagich dzikusów z małymi rogami i zaostrozonymi zębami. Jeden miał przerzucone przez ramię dwa króliki, drugi niósł za tylne łapy martwego lisa. Zmierzali prosto na ukrytą w krzakach drużynę.

– Zabić ich! – rzucił Ilgner. – Szybko!

Dwóch ungorów stanęło jak wrytych, widząc rycerzy i Zabójców powstających przed nimi z ciemności. Źrenice rozszerzyły się im ze strachu i już otworzyli usta, żeby krzyknąć.

Ten z lisem nie miał najmniejszych szans. W jego gardle utkwiała strzała. Przewrócił się na plecy, nie wydając z siebie najcichszego jęku. Drugiemu ungorowi jednakże udało się przeżyć o chwilę dłużej i spędził ten czas wrzeszcząc oraz próbując uciekać.

Dwóch ludzi Ilgnera wystrzeliło z kusz. Bełty zagłębiły się w plecach ungora, który upadł z hukiem, wrzeszcząc przy tym niemiłosiernie. Kolejna strzała Kat uciszyła go na dobre i wszyscy zwrócili się w stronę ścieżki. Czy myśliwi usłyszeli ich przez wycie wiatru?

Dał się słyszeć dobiegający z oddali głos bestii powarkujących między sobą, po czym tętent ciężkich kopyt zbliżających się z sekundy na sekundę.

– Usłyszeli – stwierdziła Kat.

– A niech to diabli! – rzucił Ilgner.

– Niech będzie pochwalony Grimnir! – ucieszyli się Rodi i Argrin.

Ilgner wysunął się na przód i rozkazał pozostałym ruszyć za sobą.

– Z powrotem na ścieżkę. Szybko. Wymordują nas tutaj. Do diabła! Zostawcie konie!

Rycerze i Zabójcy zaczęli się przedzierać przez labirynt drzew i krzewów w stronę oczyszczonego z drzew pasa, ale gdy byli dopiero w połowie drogi, na ścieżce pojawiło się kilku ungorów z psami rzucającymi się wściekle na smyczach. Zwierzoludzie zaraz zagłębili się w las i wykrzykiwali pytania do zabitych towarzyszy. Wtem jeden z nich wrzasnął i wskazał dokładnie na Felixa – a przynajmniej tak się Felixowi wydawało. Ungor i jego towarzysze ruszyli w jego stronę, a olbrzymie psy ujadając biegly przed nimi.

– Na nich! – ryknął Ilgner. – Zepchnijcie ich z powrotem na drogę! Nie pozwólcie im nas tutaj osaczyć!

Rycerze wydali z siebie bojowy okrzyk i ruszyli do ataku z uniesionymi tarczami i mieczami w pogotowiu. Zabójcy byli tuż za nimi, wznosząc topory i młoty. Z krasnoludzkich gardeł wydobywał się wściekły ryk. Felix, Kat i Ortwin biegli na końcu, krzycząc jak pozostali.

Dwie grupy spotkały się tuż na krawędzi lasu. Zaśpiewały miecze i topory, trysnęła krew. Felix uśmiechnął się ponuro, gdy zdał sobie sprawę, że ta potyczka nie będzie powtórką z ataku na wóz z ale. Mieli zdecydowaną przewagę liczebną nad ungorami. Tym razem zwierzoludzie nie atakowali najemników i starych wojaków, ale dobrze wytrenowanych i uzbrojonych mężczyzn oraz zaprawione w boju krasnoludy opętane berserkerskim szałem. Ungory zbierały niezłe cięgi.

Felix zabił psa, który zamiast futra porośnięty był łuskami. Następnie wybebeszył ungora z uszami nietoperza i dwoma rzędami zaostrzonych zębów. Ortwin i Kat zabili kolejnego psa. Wokół nich śmigały ostrza mieczy i opadały topory. Ungory umierały jeden po drugim, piszcząc przeraźliwie. Gdy wreszcie udało im się wydostać spomiędzy drzew na ścieżkę, zobaczyli, że z tętentem kopyt naciera na nich pięciu olbrzymich zwierzoludzi i reszta ungorów. Trzech rycerzy zginęło na miejscu od miażdżących ciosów najeżonych kolcami pałek i prymitywnych toporów.

– Równaj szereg! – wrzasnął Ilgner. – Równaj szereg!

Ale było już za późno. Gory już do nich dotarły i siały pogrom. Mniejsi zwierzoludzie otoczyli ich i atakowali z zaskoczenia. Zginął kolejny rycerz. Przyłbica Ilgnera została zgnieciona ciosem naszpikowanej kolcami pałki. Krew spłynęła mu po twarzy jak pot, kiedy stanął do walki z niedźwiedziogłowym przywódcą zwierzoludzi.

Wtedy na przód wysforowali się Zabójcy, rykiem domagając się krwi. Topór Gotreka wbił się w pałkę gora i wyszarpnął ją z jego łap. Felix i Ortwin zaszlachtowali potwora, po czym zwrócili się w stronę zachodzących ich z tyłu ungorów. Tymczasem Gotrek rzucił wyzwanie kolejnemu gorowi. Snorri odepchnął Ilgnera na bok i

zamachnął się młotem, trafiając niedźwiedziogłowego zwierozczłka w kolano i roztrzaskując je z nieprzyjemnym trzaskiem. Wielki gor przewrócił się na bok. Ilgner wraz z dwoma rycerzami natychmiast do niego doskoczyli i zadźgali go na śmierć. Rodi i Argrin równocześnie zaatakowali tego samego zwierozczłka. Bestia upadła na plecy.

– Mój! – wrzasnął Argrin, wykańczając potwora.

– Nie, mój! – ryknął Rodi, robiąc to samo.

W trakcie walki kolejne ungary padały z jękiem od strzał wylatujących spomiędzy drzew i wbijających się w ich plecy oraz boki. Stara dobra Kat. Felix dźgnął leżącego na ziemi ungora w pierś i rozejrzał się dokoła. Szala zwycięstwa przechylała się na ich stronę. Teraz to zwierozczłokowie byli otoczeni, a Zabójcy i rycerze prowadzili atak. Wygrywali. Walka miała się zakończyć w ciągu kilku sekund.

Ale w tej samej chwili Ilgner znajdujący się w wirze walki wrzasnął nagle, wskazując na coś palcem.

– Powstrzymajcie ich! Chcą ostrzec stado!

Felix obrócił się. Trzy ungary biegnęły ile sił w nogach oczyszczoną z drzew ścieżką. Odbiegły już na tyle daleko, że trudno je było dostrzec przez zacinający deszcz ze śniegiem. Dwóch rycerzy odłączyło się od walki i ruszyło w pościg, ale zbroje płytowe bardzo ich spowalniały. Krasnoludy generalnie nie były znane jako rasa biegaczy. Ortwin wciąż walczył. Felix westchnął z rezygnacją, gdy zdał sobie sprawę, że to zadanie dla niego.

Ruszył biegiem przed siebie, ślizgając się w zamarzającym błocie. Zanim zdołał przebiec kilka kroków, jeden z ungorów padł przeszyty strzałą. Felix rozejrzał się i ujrzał schowaną za drzewami Kat. Stała na rozsuniętych szeroko nogach i już zwalniała cięciwę, żeby wypuścić kolejną strzałę. Mimo wszystko biegł dalej.

Kolejny ungor padł ze strzałą sterczącą z tyłka niczym przedziwny ogon, ale trzeci zwierozczłek wykazał się pewną inteligencją i serwował ucieczką w las. Nadlatująca strzała utkwiała w jego nodze. Zatoczył się, ale podjął przerwany bieg. Przeskoczył przez pień powalonego drzewa i zniknął w cieniu.

Felix przeklął siarczyście. Jeżeli go nie złapie, wszyscy będą zgubieni. Stado dowie się, że je śledzą. Jedynym rozsądnym wyjściem z tej sytuacji będzie zawrócenie do zamku, a Felix zdawał sobie sprawę, że ani Ilgner, ani Zabójcy nie będą chcieli się na to zgodzić. Dobrze, że zwierzoczek był ranny. Felix miał dzięki temu cień szansy, że uda mu się go dogonić.

Wbiegł między drzewa. Przynajmniej przejście stada sprawiło, że w terenie po obu stronach ścieżki łatwiej było się poruszać. Poszycie zostało zdeptane i wgniecione w ziemię, jednak drzewa wciąż rosły bardzo blisko siebie, przez co widoczność ograniczała się do kilkunastu kroków. Felix nie widział ungora, ale słyszał go, jak biegnie i łamie gałęzie gdzieś przed nim.

Wtem usłyszał kroki za sobą. Obejrzał się i ujrzał Kat przedzierającą się przez drzewa w jego kierunku.

– Biegnij! – rzuciła, mijając go.

– Przecież... biegnę – wysapał. Ale nie tak jak ty, pomyślał. Kat mknęła przed siebie niczym łania, tak jakby zupełnie nic nie ważyła. Przyspieszył, próbując dotrzymać jej kroku.

Chwilę później dotarli do pnia bardzo starego drzewa i zobaczyli ungora przed sobą, jak biegnie kuśtykając między sosnami. Istota wyglądała paskudnie, chuda jak zagłodzony na śmierć wilk, z długimi tłustymi włosami, które powiewały, gdy biegła. Zwierzoczek wyrwał strzałę Kat ze swego ciała i krew płynęła po gołej nodze, wsiąkając w brudne onuce.

Kat wyciągnęła z kołczanu strzałę i próbowała wystrzelić ją podczas biegu. Ungor obejrzał się za siebie i wrzasnął. Jego czarne oczy, przypominające końskie ślepie, pociemniały ze strachu. Istota zanurkowała w gęste krzaki na skraju stratowanego odcinka. Rozległ się trzask łamanych gałęzi.

Kat przekłęła i podbiegła do miejsca, gdzie zniknął zwierzoczek. Zanurzyła się między gałęzie, nie zwalniając tempa. Felix był tuż za nią. Przedzierali się wspólnie przez ciernie i krzaki, a dokoła robiło się coraz ciemniej. Felix słyszał, że coś się przed nimi rusza i widział trzęsące się gałęzie, ale nie był w stanie dostrzec zwierzyny, na którą polowali.

Po chwili wydostali się na trochę mniej zarośnięty teren i Kat zatrzymała się, nasłuchując i rozglądając się. Felix nie słyszał nic oprócz własnego ciężkiego oddechu i szelestu mokrego śniegu osuwającego się płatami z wysoko położonych gałęzi. Najwyraźniej jednak Kat miała ostrzejszy słuch.

– Tędy – rzuciła i ruszyła w lewo.

Biegli dalej, przeskakując poskręcane korzenie i uchylając się przed niżej położonymi gałęziami. Wspinali się po zarośniętym zboczu. Ziemia była bardzo śliska. Felix nie miał pojęcia, gdzie był teraz ungor.

Wypadli na wąską ścieżkę, jakiej używały dzikie zwierzęta i Kat ruszyła nią w górę wzgórza, nabierając prędkości.

Na grani dostrzegli ungora. Przez chwilę mignął im w szarawym świetle, po czym zniknął za grzbietem wzgórza. Zataczał się już bardzo mocno.

– Ha! – ucieszyła się Kat. – Zwalnia.

– To dobrze – wysapał Felix. Miał wrażenie, że jego gardło wysypane jest gorącym piaskiem. – Bo ja też.

Biegli za uciekinierem. Felix ślizgał się, ale jakoś udało im się dotrzeć na szczyt wzniesienia. Wreszcie, gdy pokonali kolejny zakręt, ujrzeni przed sobą zwierzoczęka. Dyszał ciężko i z wyraźnym trudem kuśtykał po ścieżce. Puścili się za nim w pogoń. Stworzenie pisnęło i znowu rzuciło się w gęste krzewy, znikając jak królik w żywopłocie.

– Za nim! – krzyknęła Kat.

Zanurkowali między krzaki i zaczęli przedzierać się w stronę istoty. Wtem, wydając z siebie okrzyk zaskoczenia, ungor zniknął im z oczu i usłyszeli tylko głuchy odgłos uderzenia o ziemię.

– Ha! Padł! – krzyknął Felix i ruszył przed siebie ze zdwojoną energią.

– Felixie, poczekaj! – wrzasnęła Kat.

Felix przedarł się przez płataninę gałęzi i wypadł na otwartą przestrzeń, po czym gwałtownie się cofnął. Tuż pod jego stopami znajdowało się skaliste urwisko. Na dnie głębokiego wąwozu płynął otoczony drzewami strumień. Pośliznął się na błotnistej powierzchni. Przez chwilę walczył o zachowanie równowagi, czując

jak kamyczki uciekają mu spod stóp i ze stukotem spadają w dół wąwozu.

Wtem, gdy już miał spaść, Kat chwyciła go za trzepoczącą dłoń i pociągnęła do tyłu. Osunął się na nią i upadł na kolana.

Kat puściła jego dłoń i bez słowa podeszła do krawędzi zbocza, przygotowując strzałę.

– Dziękuję, Kat – powiedział Felix podnosząc się i stając koło niej. – Czy on jeszcze żyje?

– Nie wiem – odparła, wpatrując się intensywnie w dno wąwozu.
– Mam nadzieję, że nie... O nie, niech to Taal, tam!

Felix spojrzał w dół, w miejsce, które wskazała, i zobaczył ungora kuśtykającego między drzewami i wreszcie pokonującego z pluskiem zamarznęty przy brzegach strumień.

Felix przyjrzał się uważnie śliskiemu od śniegu zboczowi. Poczuł niepokój. Gdyby mieli linę, mogliby spróbować się po niej spuścić, ale zejście przy pomocy samych rąk i stóp może się okazać bardzo niebezpieczne.

– Nie wiem, czy możemy...

– Musimy! – przerwała mu Kat gniewnie. – Jeżeli nam się nie uda, wszyscy zginiemy!

Przekląła z frustracją w głosie i zaczęła biec truchtem wzdłuż krawędzi klifu w kierunku, gdzie pobiegł zwierzoczek. Co chwila zerknęła w stronę gęstego baldachimu drzew, który pokrywał dno rozpadliny.

– Za dużo od siebie wymagasz – wysapał Felix, ruszając za nią. – Przecież zabiłaś dwóch z trzech uciekinierów i raniłaś ostatniego...

– To nie wystarczy! – odparła. Wtem zatrzymała się i wbiła wzrok w dno jaru.

– Ha!

Felix podążył wzrokiem za jej spojrzeniem, starając się coś dojrzeć przez śnieżną zadymkę. Z początku nie był w stanie dostrzec, co mogłoby przykuć jej uwagę, ale wtedy ujrzał przerwę między drzewami, w jakiej przebłyskiwał rwący strumień.

Felix potrząsnął głową. Szczelina znajdowała się dobre pięćdziesiąt metrów od nich i z tej odległości mógłby ją całkowicie zasłonić dłonią, gdyby wyciągnął przed siebie rękę. Ungor pokona

ten odcinek trzema krokami. Czy Kat zdoła chociażby wypuścić strzałę z łuku, zanim zwierzocząłek znowu zniknie między drzewami? Wydawało się to niemożliwe, nawet bez wiatru i zacinającego śniegu z deszczem.

Mimo to dziewczyna uniosła łuk i naciągnęła cięciwę. Zastygła jak statua w oczekiwaniu na ofiarę.

Felix patrzył raz na nią, raz na szczelinę, nie śmiejąc się odezwać, żeby nie zdekoncentrować Kat. Jak długo mogła utrzymać łuk w napięciu? Jak długo mogła celować w jedno miejsce?

Zerknął w stronę drzew okalających szczelinę, wypatrując znaków przejścia zwierzocząłka, ale gałęzie były zbyt gęste. Tylko w tym jednym punkcie widać było cokolwiek. Utkwił więc w nim wzrok, jak kot obserwujący mysia dziurę. Starał się nawet nie mrugać.

Nagle Kat wystrzeliła i Felix wypuścił oddech. Przestraszył się, że strzeliła w pustkę. Już miał coś powiedzieć, gdy nagle zastygł w osłupieniu, bo bestia wyłoniła się spomiędzy drzew i stanęła dokładnie na drodze strzały. Drzewce zagłębiło się w szyi, pomiędzy uchem a ramieniem. Stworzenie padło twarzą w strumień i legło bez ruchu. Lodowata woda obmywała do połowy zanurzoną w nurcie głowę i tułów.

Kat wydała z siebie okrzyk triumfu i podskoczyła z radości.

– Tak! – krzyknęła i odwróciła się do wciąż oszołomionego Felixa. Uściskała go, zarzuciwszy mu ręce na szyję.

Felix otrząsnął się ze zdumienia i wybuchnął śmiechem. Czuł olbrzymią ulgę. Tulił ją mocno i podnosił wysoko w górę.

– Świetny strzał, Kat! Na młot Sigmara, co za strzał! W całym życiu...

Urwał, zdawszy sobie sprawę, że patrzy jej prosto w oczy, a ona wpatruje się w niego z tą samą dziwną intensywnością, jak wtedy, kiedy ostatnio się przytulali.

– Kat? – zapytał niepewnie.

Niespodziewanie przyłgnęła do niego i pocałowała go namiętnie, wsuwając język między jego wargi. Odpowiedział jej tym samym. Był zbyt oszołomiony i podekscytowany, żeby zastanawiać się nad

tym, co się działo. Przez chwilę ściskali się i mocowali niczym zapaśnicy.

Wreszcie jednak umysł odzyskał kontrolę nad ciałem i Felix odsunął się od dziewczyny, rozluźniając uścisk.

– Kat – powtórzył. – Słuchaj, ja... Nie sędzę...

Spojrzała na niego i zarumieniła się momentalnie, po czym odepchnęła go.

– Przepraszam – powiedziała, odwracając się, żeby ukryć twarz.

– Nie... Nie miałam zamiaru tego zrobić. Po prostu...

Pośpiesznie chwyciła za luk, który wcześniej upuściła na ziemię.

Felix zrobił krok w jej stronę.

– Nie musisz przepraszać – powiedział. – Ty tylko... To znaczy, nie spodziewałem się...

– Zapomnij o tym – powiedziała Kat, nie patrząc mu w oczy. – Zapomnij. Jestem głupia.

– Nie jesteś głupia – odparł Felix, chwytając ją za ramiona i zwracając ku sobie. – Nie zaprzeczam, że odczuwam te same... pragnienia, ale... – przerwał. Zastanawiał się, czy powinien opowiedzieć jej o tym wszystkim, co kłębiło mu się w głowie od pierwszej chwili olśnienia co do charakteru ich związku. Nie był pewien, czy potrafi to nawet wyartykułować. Być może lepiej było ująć to w proste słowa.

– Znam cię, odkąd miałaś siedem lat, Kat. I w takich sytuacjach jak ta czuję się z tym... źle.

Spojrzała na niego, po czym znowu uciekła spojrzeniem, ale pokiwała głową.

– Rozumiem... rozumiem, ale... – przerwała nagle. Wyglądało na to, że chce jeszcze coś dodać, ale tylko odwróciła się w stronę, z której przyszli. – Powinniśmy wracać do pozostałych.

Ruszyła przez krzaki, nie oglądając się za siebie. Felix przez chwilę patrzył za nią. Miał ochotę powiedzieć coś, co poprawiłoby jej humor, ale nie miał pomysłu, co to by mogło być. Westchnął więc tylko i ruszył za nią.

Przez chwilę szli w milczeniu, aż wreszcie potrząsnął głową i roześmiał się.

– Wciąż nie pojmuję, jak ci się udało oddać ten strzał. Wypuściłaś strzałę, zanim jeszcze ungor pojawił się w zasięgu wzroku.

– Szedł po dnie strumienia – odezwała się głuchym głosem. – Wystrzeliłam, gdy zobaczyłam zmarszczki na wodzie. Wiedziałam, że zaraz nadejdzie.



Zanim Felixowi i Kat udało się dołączyć do reszty drużyny, wiatr przybrał na sile, a deszcz ze śniegiem przeszedł w zamieć śnieżną. Olbrzymie białe płatki wirowały na wietrze, pokrywając ich ubrania i roztopiając się w błocie zalegającym na ziemi.

Odnaleźli Ilgnera, jego rycerzy i czterech Zabójców opatrujących swe rany pośrodku pobojuiska pełnego ciał zabitych zwierzołudzi.

– To wspaniałe wieści – ucieszył się generał, dowiedziawszy się o śmierci uciekinierów. – Możemy ruszać w dalszą drogę.

Ilgner miał krwawe rozcięcie biegnące przez nos i policzki. Jeden z jego rycerzy właśnie zszywał ranę i słysząc słowa dowódcy, spojrzął z niepokojem na zachmurzone niebo.

– Nie wygląda na to, żeby miało się poprawić, panie – powiedział. – Przed nami straszna burza.

Ilgner wzruszył ramionami. Wydawało się, że paskudna rana na twarzy w ogóle nie zrobiła na nim wrażenia.

– Burza i tak nas dopadnie, nieważne czy ruszymy przed siebie, czy zaczniemy się cofać. A więc w drogę... przed siebie.

Drużyna w pośpiechu kończyła opatrywanie ran. Felix zauważył Ortwina klęczącego w błocie przy ciele jednego ze zwierzołudzi. Chłopiec miał pochyloną głowę i wyglądał na głęboko zasmuconego.

Felix ruszył w jego stronę.

– Czy wszystko w porządku, Ortwinie? – zapytał. – Nie uważasz tej bitwy za równie wspaniałą jak pozostałe?

Ortwin podniósł na niego wzrok. W jego oczach błyszczały łzy.

– Nie o to chodzi, Herr Jaeger – odparł. – Ale o to. Wskazał na martwego zwierzoczkę, przy którym klęczał.

Felix zamrugnął oczami ze zdziwienia, zdawszy sobie sprawę, że pordzewiały i powgniatany napierśnik, który bestia nosiła na potężnej, porośniętej futrem klatce piersiowej ozdobiony był insygniami Zakonu Płonącego Serca.

9

– Obawiam się, że nasza misja dobiegła końca, Herr Jaeger – powiedział Ortwin łamiącym się głosem. – Obawiam się, że dowiedzieliśmy się właśnie, jaki los przypadł w udziale współbraciom zakonnikom sir Teobalta.

Felix westchnął i opuścił ramiona. Nie chodziło o to, że nie spodziewał się od samego początku, iż sprawy przybiorą taki obrót. Było niemal nieuniknione, że w końcu okaże się, iż zakonnicy zostali zabici przez zwierzoludzi. Wciąż jednak czym innym było oczekiwać tragedii, a czym innym przekonać się na własne oczy, że się ona wydarzyła. Malutka iskierka głupiej nadziei, którą żywił od czasu wyjazdu z Altdorfu, teraz zamigotała i zgasła. Właśnie nabył praw do Karaghula, gdyż wykonał powierzoną mu przez Teobalta misję, ale nie odczuwał z tego powodu żadnej radości.

– Przykro mi, Ortwinie. Naprawdę. Przynajmniej wiemy, że zginęli walcząc dzielnie – powiedział, zerkając na ukradziony przez bestię napierśnik, który był w fatalnym stanie – cały powgniatany. Wydawało mu się, że te słowa mogą stanowić raczej marną pociechę, ale najwyraźniej Ortwinowi ulżyło.

Młody giermek skinął głową i odparł:

– Aye. Z pewnością ich marzeniem było zginąć w walce z wrogami ludzkości. Niech Sigmar powita ich na swym dworze.

Felix pokiwał głową. Przez chwilę stał w milczeniu, po czym odwrócił się i odszedł, pozostawiając chłopca pogrążonego w modlitwie.



Trzech rycerzy Ilgnera trzeba było zostawić. Jeden z nich otrzymał śmiertelny cios maczugą zwieroczęka. Jego zbroja była tak powyginana, że nie sposób go było z niej wyciągnąć. Drugi miał pękniętą czaszkę i problemy ze wzrokiem, podczas gdy trzeciemu cios zgruchotał miednicę, nie mógł więc ani chodzić, ani siedzieć na koniu, nie wspominając już o walce. Ilgner zostawił dwóch rannych ludzi ze zwłokami, odrobiną jedzenia i chrustu na opał. Powiedział, że wrócą po nich, gdy tylko dowiedzą się wszystkiego, co muszą wiedzieć.

Felixowi wydało się to grzecznym eufemizmem wobec pozostawienia ich na pastwę losu. Nie miał wątpliwości, że rycerze również zdawali sobie z tego sprawę. Nawet jeżeli podczas śledzenia stada nie wydarzy się nic niespodziewanego, to drużynie Ilgnera powrót do Stangenschloss może zająć całe dni, a obaj mężczyźni potrzebowali natychmiastowej opieki medyka. Co więcej, nawet gdyby Ilgner zawrócił i natychmiast ruszył w drogę powrotną do fortu, to i tak nie wiadomo, czy rannym rycerzom udałoby się przeżyć podróż. Felix był pod wrażeniem tego, jak łatwo mężczyźni pogodzili się ze swoim losem. Wydawało się, że Zabójcy czują podobnie.

Argrin zostawił rannym swoją beczkę z ale. Trzeba przyznać, że była ona już niemal pusta, ale wciąż można było z niej pociągnąć kilka dobrych łyków. Rodi zobowiązał się, że będzie się za nich modlił do Grimnira.

Kiedy odeszli już kawałek, krasnolud potrząsnął głową i szepnął:

– Mam nadzieję, że kiedy przyjdzie na mnie czas, nie będzie żadnej babraniny. Śmierć z głodu to żadna śmierć.

– Może nadejdzie kolejna grupa zwierzoludzi – podsunął Snorri.

– Aye – powiedział Argrin. – To byłoby najlepsze, co mogłoby ich spotkać.

– Umrzeć godnie bez względu na okoliczności – to najlepsze, co mogłoby ich spotkać – podsumował Gotrek. – Nikt nie wybiera swojej zagłady, można mieć tylko wpływ na to, jak się jej stawi czoła.

Pozostali Zabójcy w ponurych nastrojach pokiwali głowami. Nawet Rodi nie dodał nic od siebie.

Nie uszli daleko, gdy śnieg zaczął gęstnieć. Błotniste podłoże rychło zmieniło się w brunatną breję, a na zielonych sosnowych ramionach wkrótce ułożyły się lśniące bielą epolety. Śnieg padał tak gęsto i nieprzerwanie, że Felix nie był w stanie dojrzeć czegoś oddalonego bardziej niż kilka kroków od niego. Otulał się swym starym, czerwonym płaszczem i żałował, że nie ma kaptura. Na szczęście szlak, jakim poruszało się stado, był w dalszym ciągu łatwy do śledzenia. Pas okaleczonych pni drzew ciągnął się to w górę, to w dół po zalesionych wzgórzach i między olbrzymimi głazami, pomiędzy którymi wył wiatr i tańczyły płatki śniegu.

Minęła godzina i śnieg pokrył zupełnie błoto pod ich nogami. Jeszcze godzina i w otwartej dolinie pełnej porąbanych sosen, między wysokimi graniami, Kat natrafiła na ślad racicy odcisnięty w śniegu – co było diametralnie innym znaleziskiem niż odkrycie śniegu w odcisku racicy. Oznaczało to, że stado przeszło tędy na tyle niedawno, że szybko spadające płatki nie zdążyły jeszcze zakryć tropu.

– Są blisko, panie – zameldowała generałowi. – Jakieś kilka minut drogi stąd.

– Znajdź ich i wracaj tutaj z raportem – rozkazał Ilgner. – Będziemy poruszać się wolno za tobą.

Kat zasalutowała i bez wahania ruszyła przed siebie. Niemal natychmiast zniknęła za białą zasłoną śniegu. Felix zadrżał widząc, że wyrusza w tak niebezpieczną misję. Zmierzył Ilgnera złym spojrzeniem, wściekły, że generał tak bez troski posłał ją w paszczę zła. Zaraz potem jednak skarcił się w duchu. W końcu na tym polegał jej zawód i już wcześniej widział, jak wykonywała takie zadania i wtedy się o nią nie martwił. Czuł się głupio, zdając sobie sprawę, jak jeden spontaniczny pocałunek sprawił, że nagle myślał o niej z taką czułością i troską.

Pogrążył się w myślach o Kat. Cholera, o co chodziło z tą dziewczyną? Dlaczego go pocałowała? Jakżeż była dzika! A jaka słodka! Jej silne ramiona, którymi przyciągnęła go do siebie w mocnym uścisku! Poczul, że kręci mu się w głowie na samą myśl o niej.

Starał się uspokoić. Przyczyny, dla których stwierdził, że bycie z nią byłoby złym pomysłem, nie zniknęły w trakcie tego pocałunku. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że podświadomie szuka przeciwstawnych argumentów. Przecież nie była aż tak młoda, prawda? I może wcale nie musiał być w niej zakochany. Nigdzie nie było powiedziane, że ona go kocha. Być może chciała tylko spędzić z nim kilka gorących nocy podczas pogoni za bestiami.

Przesunął spojrzeniem po Ilgnerze, jego rycerzach, Ortwinie i Zabójcach. Nie. To nie był dobry pomysł. Nie chciał powtórzyć upokorzenia, na jakie naraziła go Claudia podczas rejsu Dumą Skinstaad. Na cokolwiek by się nie zdecydował, będzie to musiało poczekać, aż wrócą do cywilizacji. Być może do tego czasu ochłonie trochę i będzie w stanie znów myśleć rozsądnie.

Wypuścił z płuc westchnienie ulgi, po czym ponownie skoncentrował się na otoczeniu. Z zadowoleniem myślał o tym, że przynajmniej na razie udało mu się odsunąć od siebie myśli o problemach.

Rycerze i Zabójcy podążali śladem bestii spokojnym tempem. Nie chcieli niespodziewanie natknąć się na tylne straże. Tutaj, na bardziej otwartym terenie, gdzie tylko kilka powykrzywianych sosen znaczyło dno wąwozu, można było wreszcie dostrzec prawdziwe rozmiary stada. Pas zaczernionego ich przejściem śniegu był szeroki na sto kroków i widać było, że zostawiły go tysiące racic. Widok był zatrważający.

Felix zerknął na Ortwina, żeby upewnić się, jak chłopak się trzyma. Martwił się o niego. Giermek modlił się nieustannie od momentu, kiedy rozstali się nad ciałem zabitego zwierozczłeka. Co więcej, zanim wznowili pościg, Ortwin zerwał napierśnik z insygniami Zakonu Płonącego Serca z martwego góra i teraz nosił go na własnej piersi.

– Wszystko w porządku, Ortwinie? – zapytał Felix.

– Tak, Herr Jaeger – odparł Ortwin, przerywając modły. – Wszystko w porządku, dziękuję.

– Nie winisz chyba siebie za śmierć zakonników ani nic podobnego, prawda?

– Nie, sir – odparł Ortwin. – Przecież to zwierzołudzie ich zabili. Ale zakon powinien się na nich zemścić, sir.

– Oczywiście – pokiwał głową Felix. – Oczywiście.

Niecałą godzinę później, gdy szarość dnia zaczęła przechodzić w czarny jak węgiel zmierzch, drobna sylwetka okutanej w futra Kat wyłoniła się truchtem spomiędzy śnieżnej zadymki i zamachała do nich. Felix, Gotrek i pozostali zgromadzili się wokół niej, gdy stała u strzemion rumaka Ilgnera i zdawała dowódcy relacje. Jej oczy były pociemniałe z przerażenia.

– Znalazłam ich – wyrzuciła z siebie.

– I? – zapytał Ilgner, kiedy przez dłuższą chwilę nie wypowiedziała więcej ani słowa.

– Mój panie, są ich tysiące. Tysiące. Nie potrafię oszacować, ile dokładnie. Biegłam wzdłuż stada przez kwadrans i wciąż nie mogłam dostrzec jego początku. Pochód ciągnie się i ciągnie przez wzgórze... w nieskończoność.

– Czy widziałas pośród nich czempionów? Demony z Pustkowi? – zapytał Ilgner.

Kat potrząsnęła głową.

– Nie widziałam, panie, ale nie dotarłam na sam przód, więc nie zobaczyłam dowódców.

Ilgner pokiwał głową, myśląc przez chwilę intensywnie, po czym westchnął.

– Nie ma innej rady. Muszę to zobaczyć na własne oczy. Muszę wiedzieć, z czym mamy do czynienia.

Spojrzał ponownie na Kat.

– Czy będziesz potrafiła nas przeprowadzić niezauważenie na przód stada?

– Tak sędzę, panie – odpowiedziała Kat po chwili. – Poruszają się między wzgórzami, wyszukując najszersze doliny. Od czasu do czasu muszą z tego powodu zboczyć z prostej drogi. Myślę, że może uda mi się znaleźć ścieżkę wiodącą przez węższe wąwozy i dzięki temu nadrobić drogi oraz ich wyprzedzić, ale będzie to niebezpieczne. Na pewno mają zwiadowców, którzy przeczesują okoliczne tereny. Przy takiej pogodzie nie będziemy wiedzieli, że nadchodzą, aż znajdziemy się z nimi twarzą w twarz.

– A jednak musimy zaryzykować – odparł Ilgner. – Albo to, albo ryzykujemy zagładą wszystkich osad na południe od Stangenschloss.
Wykonał gest dłonią w stalowej rękawicy.
– Prowadź, Kat. Prowadź nas.



Ruszyli więc w ślad za Kat między wzgórzami, przez wąskie doliny i porośnięte drzewami kaniony. Cała okolica była zasypana śniegiem, który teraz sięgał już Felixowi po kolana. Była to mozolna wędrówka i mimo że mroźny wiatr kęsał go po nosie i policzkach, to w tym samym czasie gorący pot spływał po jego plecach i piersi. Śnieg spowalniał ich i sprawiał, że podłoże stało się śliskie. Felix kilkakrotnie się wywrócił i Gotrek musiał mu pomagać się podnieść.

Do czasu, kiedy dotarli na szczyt wzgórz, opady śniegu nieco zelżały, czego nie można było powiedzieć o wietrze. Wiał nad granią z pełną mocą, ciskając w nich płatkami śniegu z taką siłą, że mieli wrażenie, iż to ostre ziarna piasku, a nie miękki puch.

Rodi spojrzał na niebo, po którym płynęły postrzępione chmury. Odrywały się od nich pasma, jak od gręplowanej wełny. Między chmurami prześwitywało chorobliwie zielone światło Morrslieba.

– Będzie ich teraz łatwiej zobaczyć – stwierdził.

– Im też będzie łatwiej dostrzec nas – zaripostował Felix zbolalym głosem. Tysiące zwierzoludzi, z tego co mówiła Kat. Stado, które ciągnęło się kilometrami. Zdawało się, że mają przed sobą właśnie taką zagładę, jakiej Gotrek nie byłby w stanie się oprzeć – kilometry od najbliższej osady, po kolana w śniegu. Znaczyło to, że nawet jeśli Felix nie zginie od ciosów zwierzoludzi, jacy wykończą Zabójcę, to najprawdopodobniej padnie z wycieńczenia, zanim uda mu się powrócić do cywilizacji. Po prostu wspaniale.

Schowali głowy między ramiona i ruszyli w dół zbocza. Przez najbliższą godzinę co i rusz wspinali się na pomniejsze pagórki i z nich schodzili, wkraczali do zalesionych dolin i z nich wychodzili.

Wreszcie, gdy już zaczęło się robić ciemno, że oko wykol, Gotrek podniósł głowę i wziął głęboki wdech.

– Są blisko – stwierdził. – Czuję to.

– Nie – powiedział Snorri, machając ręką przed nosem. – To był Snorri. Przepraszam.

– Tylko, jeżeli ostatnio nazarłeś się mokrego futra – odparł Rodi.

– To nie tylko ty cuchniesz. Ja też ich wyczuwam.

W tej samej chwili powróciła Kat, wyłaniając się pomiędzy drzew po ich lewej stronie niczym biały duch.

– Nadchodzą – wydyszała. – Przechodzą sąsiednią doliną. Wskazała za siebie.

– Po drugiej stronie tej grani jest kępa drzew. Możemy ich stamtąd obserwować, sami nie będąc widzianymi, panie.

– Doskonale – powiedział Ilgner. – Dobra robota, Kat. Teraz zobaczymy to, co mieliśmy zobaczyć.



Zanim ujrzeli ich na własne oczy, najpierw było im dane ich usłyszeć.

Minął kwadrans. Felix przykucnął przy krawędzi sosnowego zagajnika, który rozciągał się od szczytu niskiego wzgórza za nimi. Wraz z pozostałymi wpatrywał się w szeroką dolinę, pełną sterczących głazów i porozrzucanych z rzadka młodych sosen. Wiatr targał jego płaszczem, a równomiernie i nieustannie padający śnieg spływał z czarnego nieba i osiadał na jego ramionach. Była już noc, ale biel śniegu pokrywającego dolinę i światło Morrslieba przebijające się od czasu do czasu przez mknące po niebie chmury nadawało krajobrazowi bezbarwnej, fluorescencyjnej poświaty – jakby znajdowali się w jaskini porośniętej fosforyzującymi grzybami.

Felixowi było przeraźliwie zimno mimo wełnianego płaszcza. Ręce miał zgrabiące, a twarz czerwoną od mrozu. Kat miała tak nisko nasunięty kapelusz i tak wysoko podniesiony szal, że widać

było tylko jej oczy. Niespokojnie omiatała wzrokiem dolinę wzdłuż i wszerz, podczas gdy Ilgner i jego rycerze szurali nogami i tupali, żeby choć trochę rozgrzać zziębnięte ciała. Ortwin drżał i szczął zębami, nie przestając się modlić. Tylko Zabójcom zimno zdawało się nie przeszkadzać ani trochę. Przykucnęli w śniegu, jak zwykle bez koszul. Ich brwi, brody i rzęsy pokryte były śniegiem i zamrożone na sople, ale oni sami nawet nie zadrżeli.

– Snorri zapomniał, dlaczego tu jesteśmy – odezwał się Snorri po chwili milczenia.

– Zwierzoludzie, Gryzonosie – przypomniał mu Gotrek. – Ścigamy zwierzoludzi.

– Acha – powiedział Snorri. – Teraz Snorri już sobie przypomina. Czy Snorri kiedyś wam opowiadał o tym, jak walczył ze zwierzoludźmi ramię w ramię ze swoimi przyjaciółmi, Gotrekiem i Felixem?

Gotrek burknął coś, ale nic nie odpowiedział.

I wtedy to usłyszeli – dobiegający z oddali zaśpiew niesiony przez wiatr, odgłos tysięcy dzikich głosów złączonych w unisono.

Wszyscy jednocześnie spojrzeli na niebo, a potem natychmiast zwrócili wzrok ku północnemu wejściu do doliny. Jeszcze nic nie było widać, ale dźwięk robił się coraz głośniejszy. Wkrótce dołączyło do niego równomierne dudnienie, od którego drżała ziemia. Wibracja była powolna i rytmiczna, jak od tysięcy maszerujących stóp, ale Felix wiedział, że bestie nigdy nie maszerowały. Zawsze poruszały się w beładnych, niezorganizowanych grupach – skąd więc ten dźwięk? Zaśpiew utrzymywał ten sam rytm co dudnienie – pojedyncza fraza, powtarzana bez końca w prymitywnym języku bestii, obmierzły gardłowy warkot szorstkich sylab i pomrukiwań. Coraz głośniejsze były też inne dźwięki – świst biczków, ryki, zawodzenia i uderzenia oraz odgłosy odrywania i łamania.

– Co oni robią? – zastanawiał się na głos Felix.

Nikt jednak nie potrafił mu odpowiedzieć.

Wreszcie, po dziesięciu minutach wpatrywania się w przestrzeń, podczas gdy śnieg i światło księżyca płatały figle jego oczom i sprawiały, że był gotów przysiąc, iż widział już prawie wszystko

po między wirującymi płatkami śniegu, Felix zamrugnął oczami i potrząsnął głową. Zdało mu się, że w oddali pośród bieli dostrzega żółtawy poblask, jakby ktoś ustawił świecę w porcelanowym półmisku.

Kiedy ponownie spojrzął w tamtą stronę, blask był jaśniejszy i wiedział, że tym razem wzrok go nie zwodzi.

– To oni – wyszeptała Kat.

Wkrótce w tajemniczym żółtym świetle dostrzec można było czarne sylwetki młodych sosen. Płatki śniegu tańczyły i lśniły niczym śmy. Zaśpiew i dudnienie przybierały na sile, podobnie jak synkopa uderzeń, ryków i trzasków.

Zdawało się, że minęły wieki, zanim światło zbliżyło się do nich i Felix zastanawiał się, dlaczego tak jest. Wiedział z doświadczenia, że zwierzoludzie potrafią podróżować przez las bardzo szybko, jeżeli tylko chcą. To stado jednak zdawało się czołgać, a nie maszerować. Nawet krasnoludy poruszały się szybciej.

Wtem, pod spojrzeniem Felixa i pozostałych, jedno z drzew rysujących się na tle poświaty zadrżało i zachybotowało się, jakby porwał je cyklon, po czym powoli przechyliło się przy akompaniamencie straszliwego skrzypienia.

Chwilę później podobnie przewróciło się kolejne drzewo i po chwili następne. Wyglądało to tak, jakby jakaś olbrzymia stopa wgniatała je w ziemię.

Felix spojrzął po pozostałych, a serce biło mu w piersi jak oszalałe.

Rycerze Ilgnera rozszerzonymi ze strachu źrenicami wpatrywali się przed siebie. Kat odruchowo cofnęła się niczym przestraszony królik. Zabójcy szczyrzyli zęby w niecierpliwym oczekiwaniu. Ortwin wciąż modlił się z zamkniętymi oczami.

– Na wszelkie świętości – wyrwało się Ilgnerowi. – Co może w taki sposób powalać drzewa?

Felix ponownie zwrócił wzrok ku dolinie. Żółtawe światło stawało się coraz bardziej intensywne i nabierało kształtu – długiego i krętego, niczym jakiś niewyobrażalnie wielki, świecący robak przeciskający się między drzewami. Jego koniec nikał w zasypanej śniegiem dali. Mógł się tak ciągnąć w nieskończoność.

W miarę zbliżania się światła padało coraz więcej drzew. Felix dostrzegł już pojedyncze pochodnie i cienie bestii poruszających się z nimi. Słyszał też pracujące topory, co przywitał niemal z ulgą, ponieważ było to o wiele bardziej prozaiczne wytłumaczenie przewalających się drzew niż szalone fantasmagorie, które niekontrolowanie kłębiły mu się w głowie.

– Uwaga na zwiadowców – szepnęła Kat.

Felix i pozostali spojrzeli w kierunku, jaki wskazała. Na tle poruszającego się słupa światła odcinały się ciemne sylwetki śmigające między smukłymi pniami drzew. Olbrzymie przygarbione istoty z gigantycznymi toporami i pałkami w dłoniach brnęły mozolnie przez śnieżne zasy i rozglądały się dokoła. Felix instynktownie przykucnął jeszcze niżej, gdy je spostrzegł, ale nic nie wskazywało na to, żeby go zauważyły.

Wreszcie, gdy już coraz więcej drzew łamało się z trzaskiem i padało na ziemię, przez białą kurtynę wirujących płatków śniegu objawiła się kolumna sama w sobie. Felix mógł jedynie patrzeć jak zaczarowany.

Pierwsze szły ungory, wszystkie niosąc wysoko w górze płonące pochodnie, oświetlające drogę. Tuż za nimi stąpała ciężko przednia straż złożona z ogromnych gorów. Z głowy każdego z nich wyrastały rogi. Wszyscy byli w zbrojach i nosili przerażającą broń, którą wznosili wysoko i potrząsali nią w rytm bezustannego zawodzenia. Były ich setki. Maszerowali przed siebie w jednym, nierównym szeregu rozciągającym się od punktu, gdzie znajdowała się drużyna Ilgnera, do przeciwległego końca doliny, jak daleko Felix był w stanie sięgnąć wzrokiem.

Za gorami padały kolejne drzewa. Felix wyteżał wzrok, żeby rozróżnić szczegóły sceny oświetlonej chybotliwym blaskiem przetaczającej się masy pochodni. Niewielkie cienie skulonych ungorów tłoczyły się wokół powalonych drzew, odciągając je na bok. Następnie istoty podbiegały po kolejne kłody, a wszystko to odbywało się przy akompaniamencie trzasków bicz i ryków gorów-nadzorców.

Kolejne dwie sosny zachwiały się i z trzaskiem osunęły na ziemię, a ze szczeliny, która się za nimi utworzyła, wychynęły cztery

olbrzymie rogate cienie.

Kat nabrała gwałtownie powietrza w płuca, gdy je zobaczyła. Felix niestety też. Były to gigantyczne stworzenia, górujące nad gorami, tak jak góry przewyższały wzrostem ungory. Ich kudłate głowy przywodziły na myśl bycze łby, a olbrzymie, zakręcone rogi rozciągały się szerzej niż rozpiętość ramion dorosłego człowieka.

Każdy z potworów dzierżył topór wyższy od zwierzoczęłka, o podwójnym ostrzu, które było tak wielkie, że mógłby się za nim schować krasnolud.

Podczas gdy ungory przymocowywały łańcuchy do gałęzi powalonych sosen i odciągały je na bok, cztery olbrzymie bykogłowe bestie podchodziły do kolejnych drzew, które stały im na drodze i uderzeniami toporów ścinały je u podstawy. Ich ruchy były powolne i metodyczne – raz dwa, raz dwa, raz dwa. Drzewa były młode i niezbyt grube. Wystarczały nie więcej niż cztery uderzenia olbrzymich toporów, żeby je ścinać. Po wykonaniu zadania byki przemieszczały się do następnych drzew, nie wykazując przy tym żadnego zainteresowania ani emocji, zupełnie jakby były maszynami. Wyglądało na to, że robią to od zawsze i co gorsza mogą to robić dalej, w nieskończoność – nigdy się nie męcząc, nigdy nie zatrzymując, nigdy nie przerywając pracy.

– O, ci wyglądają mi na dobrą zagładę – mruknął Argrin pod nosem.

– Dla ciebie? – zachnął się Rodi. – Nie, jeśli ja pierwszy ich dopadnę.

– Snorri uważa, że dla każdego starczy tej zagłady – stwierdził pojednawczo Snorri.

Felix pomyślał, że ten osłabiony na umyśle krasnolud nigdy nie wypowiedział równie mądrych słów. Gotrek tylko coś mruknął i dalej obserwował dno doliny.

– Ale nie rozumiem, po co oni to robią? – wymamrotał Ilgner, najwyraźniej sam do siebie. – Czyżby wycinali tę ścieżkę aż od Wyjących Wzgórz? Po co?

Dwie kolumny ungorów z pochodniami wynurzyły się ze szczeliny, którą monstrualne minotaury wycięły między drzewami. Pomiędzy nimi szalała w dzikich podskokach chmara dziko

wyglądających zwierzoludzi. Wszyscy mieli na twarzach maski, a ich kompletnie nagie ciała przyozdobione były piórami, kośćmi i dziwnymi fetyszami. W dłoniach lub łapach trzymali długie kije, na jakie nadziane były ludzkie i zwierzęce czaszki wysadzone odłamkami kryształów i miedzią, która lśniła i błyskała w świetle pochodni. Tańczący zwierzoludzie wydawali z siebie gardłowy, szorstki śpiew i podrzucali swoje totemy w rytm dudniącego, ciężkiego dźwięku, który stawał się coraz głośniejszy z każdą mijającą sekundą. Niektórzy z nich rozorywali sobie ciała w ekstazie. Inni przypalali się pochodniami, jeszcze inni zderzali się głowami z współbraćmi przy akompaniamencie ogłuszającego trzasku ścierających się rogów. Niektórzy padali martwi lub nieprzytomni, a ungory w pośpiechu podbiegały i odciągały ich na bok, podczas gdy nowi zajmowali ich miejsce.

Co kilka kroków, według jakiegoś rytmu, jakiego istoty Felix nie był w stanie uchwycić, wszystkie bestie odwracały się do tyłu i wykonywały głęboki ukłon. Zawodziły przy tym straszliwie i krzyczały coś, po czym znowu zrywały się w podskokach i kontynuowały przerwany taniec.

Co będzie następne?, Felix zastanawiał się z niepokojem. Czy kłonią się tak przed jakimś bóstwem? Czy to czempion Chaosu zaszczepił w nich ten szal? Jeżeli bestie rozmiarów minotaurów służą jako zwykli drwale, to jak przerażający może być ich przywódca?

I wtedy Felix ponownie nabrał gwałtownie powietrza w płuca, podobnie jak jego towarzysze. Tylko zaskoczeni Zabójcy rzucili soczyste przekleństwa.

W chwili, kiedy kształt wynurzył się spośród drzew, Felix pomyślał, że jego szalone wizje jednak się sprawdziły i naprawdę mają przed sobą olbrzymiego świetlika, który pełznął otoczony przez stado zwierzoludzi. To coś było, bowiem długie, okrągłe jak ciało robaka i miało wiele odnóży. Po chwili jednak, gdy udało mu się skupić i dojrzeć więcej w oślepiającym świetle pochodni, zrozumiał, że to, co brał za odnóża, to w rzeczywistości zwierzoludzie maszerujący w szeregu, noga za nogą. Na barki mieli zarzucone olbrzymie drewniane kłody, na nich nieśli to, co Felix

wziął za ciało robaka, a co tak naprawdę było największym menhirem, jaki widział w życiu.

– Na krew Sigmara! – wymknęło się Ilgnerowi, gdy obserwowali olbrzymi kamień wysuwający się spomiędzy drzew. – Co to jest?

– To... to totem – wyjąkała Kat. – Plemienny totem. Ale... jest taki wielki, zbyt wielki. I zwierzoludzie nigdy ich nie przemieszczali.

– Aż do teraz – zauważył trzeźwo Gotrek.

Kamień był położony na boku i miał długość masztu na bretońskim galeonie. Był to ciemnoszary granit o niedbale ociosanym kształcie, pokryty runami. Na czubku wąski, rozszerzał następnie się w dół, aż do mniej więcej dwóch i pół metra średnicy pośrodku. Postrzępione żyłki kwarcu pulsowały na jego powierzchni dziwnym niebieskim światłem w rytm zaśpiewu wydobywającego się z gardeł zwierzoludzi.

Kilku rycerzy Ilgnera wykonało znak młota, patrząc się na to zjawisko i Felix wiedział dlaczego. Kamień emitował straszliwą moc, jak jakieś czarne słońce. Felix nie tylko widział pulsowanie niebieskiego światła, czuł je także na skórze jak ciepły wiatr, a także w umyśle jak złowieszczy szept rodem z koszmaru. Sprawiał on, że jednocześnie chciał stąd uciec, ale również biec w stronę kamienia, odrzucić broń i przyłączyć się do szalonego tańca. Wymagało to nie lada siły woli, żeby pozostać na miejscu i tylko patrzeć.

– Zabójco Gurnissonie – odezwał się Ilgner. – Twój topór. Ukryj jego blask.

Felix obrócił się i zobaczył, jak Gotrek zdejmuje topór z pleców i zanurza ostrze w śnieżnej zaspie. Runy lśniły równie mocno i oślepiająco jak światło pochodni. Blask był widoczny nawet przez warstwę śniegu,

Gotrek mruknął coś pod nosem z irytacją, po czym położył topór płasko na ziemi i usiadł na nim. Światło zniknęło.

Felix uśmiechnął się z rozbawieniem do Kat, która odpowiedziała mu tym samym. Następnie znów skoncentrowali się na przechodzącym poniżej pochodzie.

Podwójne kolumny zwierzoludzi maszerowały po każdej stronie kamienia podtrzymując ociosane niedbale kłody. Wszyscy poruszali

się w jednakowym rytmie, co powodowało, że ziemia trzęsła się od jednostajnego dudnienia. Było ich co najmniej dwustu, po sto na każdej stronie, a jeszcze więcej tłoczyło się u ich boków. Oni również śpiewali, mieli obnażoną broń, a sierść na ich twarzach pomalowana była w niebieskie pasy i symbole – być może stanowili coś w rodzaju straży honorowej.

Gdy procesja szła dalej, pomiędzy drzewami ukazała się podstawa kamienia. Felix i pozostali ujrzeli przywódców stada. Pierwszy był olbrzymi zwierozczłek, niemal dorównujący rozmiarem i muskulaturą minotaur, chociaż szczuplejszy. Przechadzał się w tę i z powrotem po kamieniu i ryczał na znajdujących się poniżej tragarzy. Miał okrągły łeb i grube kręte rogi barana, ale jego wyszczerzone zęby były kłami drapieżnika. Oczy świeciły tym samym niebieskim światłem, jakim pulsował kamień.

Grube futro, które pokrywało jego imponujące mięśnie, było czarne jak węgiel i pokryte białymi bliznami – pamiątkami po niezliczonych bitwach. Na tej naturalnej warstwie ochronnej nosił dodatkowo zbroję ze stali i brązu, zdawała się ona być dopasowana idealnie do jego sylwetki, aczkolwiek wykonanie podobnej zbroi przekraczało umiejętności jakiegokolwiek zwierozczłka. Topór, który dzierżył, również nosił znamię tej samej sprawnej ręki mistrza. Broń dorównywała rozmiarami Felixowi i była zakończona olbrzymim pojedynczym ostrzem, wykończonym w ten sposób, że w tnącej krawędzi ziało głębokie nacięcie upodabniające całość do otwartego dzioba jakiegoś drapieżnego ptaka. Niebieskie gemmy rozmiarów pięści lśniły po obu stronach ostrza niczym złe, ptasie oczy.

– O ten, zmieniłem zdanie, muszę dostać właśnie jego – stwierdził Rodi z chichotem.

– Myślałem, że chcesz się zmierzyć z bykami – droczył się z nim Argrin.

– Zostawię ich sobie na potem – odparł Rodi.

Podczas gdy przywódca zwierozczłoków chodził w tę i z powrotem po kamieniu, nawołując gardłowymi pomrukami swych towarzyszy do wzmożonych wysiłków, druga postać na kamieniu stała zupełnie

nieruchomo. Istota trzymała tylko w górze sękatą laskę i unosiła swą koźlą głowę, aby zaklinać niebiosą żałośliwą, piskliwą pieśnią. Drugi zwierzoczek był o połowę mniejszy od pierwszego i wyglądał na kogoś w rodzaju świętego męża zwierzoludzi. Jego futro było szare, a sylwetka przygarbiona ze starości. Ubrany był w długie, brudne szaty z ponaszywanymi prymitywnymi symbolami. Na wymizerowanej jak u trupa twarzy nosił skórzaną maskę z niebieskimi zawijasami namalowanymi w okolicach brwi. Na głowie pysznił się grzebień z niebieskich piór i spływał mu aż na plecy. Jeden z rogów miał wygięty pod dziwnym kątem, zupełnie jakby został uszkodzony w czasach młodości. Najdziwniejszym elementem jego wizerunku były jednak setki odciętych ptasich szponów, które zwisały z każdej poły jego szat na sznurkach i rzemykach. Orle szpony służyły mu za kolczyki, krucze łapki wplątane były w rozwichrzoną, koźlą brodę. Każdy z jego wychudzonych palców zakończony był jastrzębim pazurem, a skurczone kurcze łapki zwisały u rękawów szaty. Nawet główka jego obciążonej skórą, oplecionej fetyszami laski powtarzała ten motyw – najprawdopodobniej był to potężny dziób gryfa, gdzie lśniła uwięziona niebieska kula.

– Szaman – syknęła Kat. Wykonała dziwny gest, szepcząc kciuki i rozpościerając pozostałe palce, tak, że jej dłonie wyglądały jak poroże jelenia, po czym wyrzuciła je przed siebie gwałtownym gestem w kierunku bestii w szatach.

– Niech Taal odbierze ci siłę, demonie. Niech Rhya zatruje twoją paszę.

– A więc mamy od czynienia z pewnego rodzaju krucją, nieprawdaż? – zapytał Ilgner, znów jakby rozmawiał sam ze sobą. – Czyżby zwierzoludzie wykonywali rozkazy swych plugawych bóstw?

Bestie niosące kamień poruszały się mozolnie do przodu, zbliżając się do miejsca położonego równolegle do kryjówki ludzi Ilgnera. Za nimi ciągnęły się główne siły zwierzoludzi. Felix wbił w nich wzrok, gdy wlekli się przez śnieżne zasy. Mimo że kamień i jego jeźdźcy wywołali w nim pewien niepokój, to masa idąca za nimi wydała mu się najbardziej przerażającym widokiem, jaki było mu dane zobaczyć w całym swoim życiu.

Zwierzoludzie zalewali dolinę jak powolna, brązowa fala. Tysiące za tysiącami – niekończąca się kręta rzeka niknąca gdzieś w mglistej oddali. Wypełniali dolinę od jednej krawędzi do drugiej, powodując, że bestie idące z boku musiały się wspinać do połowy zbocza, na szczycie którego ukryła się drużyna Ilgnera. Każda z istot powtarzała chrypliwym głosem pieśń szamana, aż od chóru głosów drżało powietrze. Felix cofnął się między sosny, bojąc się, że zostanie zauważony. Ostatnio widział tyle bestii w jednym miejscu chyba podczas wyprawy z Gotrekiem i Malakaiem na Pustkowie Chaosu.

Ilgner również wydawał się być pod wrażeniem.

– To przechodzi ludzkie pojęcie! – wyszeptał z przejęciem. – Kat, czy kiedykolwiek widziałaś coś takiego?

Potrząsnęła głową.

– Nigdy, nawet gdyby wziąć wszystkie stada, które śledziłam, i zebrać razem, to nie umywałyby się rozmiarami do tego tutaj.

– Ale jaki mają cel? – zapytał Ilgner ponownie. – Dokąd idą z tym czymś? Co mają zamiar z tym zrobić?

– Cokolwiek by to nie było, zmierzają na południe, w kierunku ludzkich siedzib – odparła Kat. – Trzeba ich powstrzymać.

– Aye – zgodził się Ilgner. – Aye.

Felix wyczuł, że powietrze zawisło niewypowiedziane pytanie: „Jak?”.

Jeżeli chodzi o Zabójców, to pytanie brzmiało raczej: „Kiedy?”. Ledwie powstrzymywali chęć zaatakowania potworów tu i teraz. Przeciągali się niespokojnie i bawili bronią.

Gotrek zwrócił się ku Felixowi, Ilgnerowi i reszcie, a w jego jedynym oku tańczył dziki blask.

– Lepiej stąd odejdźcie – powiedział. – Wracajcie do fortu i przygotujcie się na to, co ma nadejść. To prawdziwa zagłada, wreszcie ta ostateczna, na którą czekałem. Nasza czwórka zginie tutaj.

Spojrzał na Felixa.

– Człeczyno...

Nigdy się jednak nie dowiedzieli, co miał zamiar powiedzieć, ponieważ przerwał mu Ortwin, który podniósł się, gwałtownie

przerywając gorączkowe modły. Chłopak stanął na krawędzi sosnowego zagajnika, wyciągnął miecz i uniósł go wysoko nad głową.

– Zakon Płonącego Serca zemści się! – zakrzyknął i rzucił się w dół zbocza, przedzierając się przez sięgające kolan zasy, prosto w stronę totemu. Dziesiątki zwierzoludzi zwróciło się w jego stronę.

Przez sekundę wszyscy byli tak oszołomieni, że nikt się nie poruszył. Po chwili jednak otrząsnęli się i zaczęli przepychać jeden przez drugiego.

– Zatrzymać go! – syknął Ilgner.

– Zabić go! – warknął Rodi.

– W nogi! – szepnęła Kat.

Felix i kilku rycerzy powstało i puściło się biegiem przed siebie, ale stanęli na krawędzi lasu. Kat wyciągnęła strzałę, ale zatrzymała się w pół ruchu, niepewna, co dalej robić. Tylko Gotrek zareagował trzeźwo. Nabrał w dłonie trochę śniegu, uformował kulę i cisnął ją w Ortwina. Giermek dostał w tył głowy i padł twarzą w śnieg.

– Szalony dzieciak! – warknął Argrin.

– Zapomnijmy o nim – powiedział Ilgner, nie spuszczać wzroku z bestii, z których coraz więcej zwracało się w ich stronę. – Musimy uciekać. Natychmiast!

Felix w duchu przyklasnął temu pomysłowi, ale zawahał się. Sir Teobalt powierzył chłopca jego opiece. Nie mógł go tak po prostu zostawić. Klnąc na czym świat stoi, zbiegł po zboczu, unosząc wysoko kolana, jak kislevski tancerz, żeby śnieg go nie spowalniał.

– Felixie! Nie! – zawołała za nim Kat.

Gdy Felix dobiegł do Ortwina, ten właśnie zbierał się z ziemi.

– Chodź no tu, ty idioto! – warknął i złapał giermka za ramię, ciągnąc go z powrotem w stronę wzgórza. Najbliżej znajdujące się gory i ungory już zaczęły zmierzać w ich kierunku, wydając z siebie groźne porykiwania i podnosząc broń. Fala odwracających się w ich stronę głów sięgnęła wielkiego kamienia.

Ortwin szarpał się, próbując uciec.

– Nie, muszę pomścić swoich mistrzów!

Felix trzepnął go w ucho.

– A cóż to za zemsta – samobójstwo? No dalejże! Szarpnął Ortwiną za ramię i chłopiec wreszcie niechętnie pozwolił się zaciągnąć na szczyt wzgórza.

Za nimi coraz więcej zwierzoludzi odłączało się od kolumny, a ich ryki stawały się głośniejsze. Ilgner i jego ludzie wycofali się. Zabójcy przygotowywali broń. Na grani przykucnęła Kat. Gdy ich zauważyła, przywołała do siebie:

– Szybko! – krzyknęła.

Wtem mrozący krew w żyłach pisk przeszył nocne powietrze i sprawił, że wszyscy zamarli w pół kroku. Echo przeraźliwego krzyku rozbrzmiewało w całej dolinie. Felix odwrócił się. Nie tylko zwierzęcy szaman ze wzniesioną laską patrzył w ich stronę. Oczy całego stada zwróciły się ku nim. Zastygli w milczeniu, a płatki śniegu osiadały na ich skamieniałych ciałach. Felix poczuł na karku gęsią skórę, gdy na nich spojrział. Widział wściekłość gotującą się w błyszczących, zwierzęcych ślepiach, drżące ze zniecierpliwienia łapy zaciśnięte na trzonkach broni. A jednak żaden z nich się nie poruszył. Nawet ci, którzy ruszyli za nimi w pościg, zatrzymali się i zamilkli.

– Co się dzieje? – zapytał Ortwin.

– Nie mam pojęcia – odparł Felix. – Po prostu biegnij dalej.

Obrócił się ponownie w stronę szczytu wzgórza i wtedy głos szamana rozbrzmiał po raz kolejny. Tym razem był to jednak wysoki ton, odmienny od poprzedniego, szybszy i bardziej niecierpliwy. W tej samej chwili, niczym pomruk zbliżającej się burzy stado podjęło rytm i dźwięk stawał się coraz głośniejszy i bardziej uporczywy za każdym powtórzeniem.

Felix czuł, że powietrze wokół nich zaczyna drżeć. Płatki śniegu kręciły się w powietrznych wirach, które nie miały nic wspólnego z kierunkiem wiatru.

– W nogi! – wrzasnął i popchnął chłopaka do przodu.

Rozległ się huk jak przy wystrzale z pistoletu i Felix rzucił za siebie wystraszone spojrzenie. Szaman uderzał w powierzchnię kamienia główką laski zakończoną dziobem gryfa, który trzymał kulę. Czynił to w rytm nowej pieśni. Za każdym uderzeniem żyłki

kwarcu znaczące powierzchnię skały rozjarzały się intensywnym niebieskim blaskiem.

– Szybciej! – krzyknął Felix.

Na szczycie wzgórza Ilgner i jego rycerze otrząsnęli się z zaskoczenia i siodłali konie. Kat wycofywała się z otwartymi z przerażenia ustami. W jej szeroko otwartych oczach odbijały się niebieskie płomienie. Zabójcy z wyszczerzonymi z uciechy zębami ruszali przed siebie, gotowi do walki.

Felix znów się obejrzał. Błyski z kamienia stawały się coraz jaśniejsze, podczas gdy stary szaman uderzał mocniej, a pieśń przybierała na sile. Niebieskie światło zaczęło wytryskiwać z kamienia niczym ostre błyskawice, promienie dziwnego słońca przecinające panujący dokoła mrok.

Jedna z błyskawic uderzyła w śnieg na prawo od Felixa, oślepiając go na chwilę. Zebrał się i ruszył przed siebie, mrugając intensywnie oczami i krzywiąc się. Przy tym wszystkim musiał jeszcze zaganiać Ortwina, który biegł przed nim. Rozdziawił usta ze zdumienia, gdy zobaczył, że w miejscu, gdzie uderzyła błyskawica, śnieg się roztopił, a w górę buchnęły obłoczki pary.

– Na Sigmara, on celuje w nas! – wykrzyknął. Zamachał gorączkowo ręką w stronę rycerzy na koniach.

– Padnij! Padnij! Światło!

Zza jego pleców dobiegł kolejny trzask i Felix rzucił się na ziemię, starając się zbić Ortwina z nóg, ale chłopak tylko się potknął, po czym odwrócił się i wyciągnął dłoń.

– Herr Jaeger, proszę chwycić mnie...

– Ortwin! Niech cię diabli, na...

Poszarpana kolumna biało-niebieskiego światła uderzyła Ortwina w oczy i chłopak przewrócił się na plecy, wrzeszcząc i przyciskając ręce do twarzy. Felix odwrócił wzrok, spodziewając się usłyszeć skwierczenie przypalonego mięsa albo chrzęszczenie zwęglonej skóry, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Moje oczy! – jęczał Ortwin. – Moje oczy!

Kolejna świetlna strzała minęła ich i Felix usłyszał krzyk Ilgnera oraz jego rycerzy. Chwycił Ortwina za rękę i pociągnął za sobą. Jeszcze tylko kilka kroków, kilka mozolnych, ciężkich kroków.

Ortwin włókł się za nim, najwyraźniej oślepiiony. Jęczał:

– To pali! Och, niech Sigmar ma mnie w swej opiece, jak to pali!

Chłopak straszliwe się włókł. Czyżby chciał zginać? Felix obrócił się rozgniewany.

– Rusz się, do cholery! Zbierz tyłek w troki i... Nagle zatrzymał się jak wryty.

– Na bogów – wymamrotał. – Twoja twarz.

– Co z nią nie tak? – zapytał chłopak. Zaraz potem wrzasnął z bólu i wstrząsnął nim atak konwulsji.

Pod Felixem ugięły się nogi. Przerażony zrobił kilka kroków do tyłu. Chłopiec zmieniał się na jego oczach. Jego policzki zaczęła porastać sierść, która momentalnie rozprzestrzeniła się aż do linii czoła. Podbródek mu się cofnął, a nos wydłużył. Jego uszy nabierały spiczastego kształtu. Nad obiema brwiami kształtowały się guzy.

Ortwin wyciągnął przed siebie drżącą dłoń. Starał się dosięgnąć Felixa, gdy wstrząsnął nim kolejny spazm.

– Proszę, Herr Jaeger. Pomóż mi! Co się ze mną dzieje?

Gwałtownie rosnące pazury przedarły się przez materiał rękawic. Krótkie rogi przebiły skórę czoła splamione krwią. Tęczówki nabrzmiały, tak że wypełniły całe oko, nie zostawiając miejsca na białka.

Na jego oczach chłopak przemieniał się w bestię.

10

Giermek chwycił kurczowo Felixa za nogę poźółkłymi szponami.

– Pmszsz mi, Herr Jaegerrr – błagał chłopak. Jego głos przestał przypominać ludzki, był bardziej podobny do beczenia kozła. Felix ledwie rozróżniał poszczególne słowa.

– Ortwinie – wyszeptał. – Tak mi przykro.

Kopnął chłopaka w pierś, sprawiając że ten stoczył się po zboczu wzgórza prosto w stronę stada. Następnie obrócił się na pięcie i puścił się biegiem w kierunku szczytu. Targały nim sprzeczne emocje. Miotał się między współczuciem dla chłopaka a strachem o własne życie. Co teraz powie sir Teobaltowi?

Usłyszał krzyki. Spojrzał przed siebie i aż jęknął z rozpacz. Na szczycie wzgórza rycerze Ilgnera zwijali się w agonii i spadali ze stających dęba koni, podczas gdy Gotrek i reszta Zabójców odsuwali się na bezpieczną odległość. Jeden z rycerzy rozorywał sobie paznokciami twarz. Inny zdierał z siebie napierśnik, wrzeszcząc:

– Pszczoły! Osy! Weźcie je ode mnie!

Tymczasem w złączach zbroi widać było szybko rosnące futro. Trzeci z rycerzy podnosił się po upadku z konia. Ku swemu przerażeniu Felix dostrzegł, że mężczyzna ma pysk zamiast twarzy i czarne, szkliste oczy kozła. Konie bojowe tańczyły w kręgu, a ich kopyta szalały w powietrzu. Z pysków wyrastały im kły, a z grzyw kościste szpikulce.

– Zabójcy! – ryknął Gotrek. – Do roboty!

Kat klękła nad lordem Ilgnerem, który skulony trząsał się, leżąc na śniegu.

– Panie! – krzyknęła. – Panie, czy wszystko z tobą w porządku?

Lord Ilgner zawył z bólu i tył jego kirysu pękł na pół. Ze szczeliny wynurzył się grzbiet porośnięty czarnym futrem jak u dzika. Ilgner obrócił się i wyszczerzył kły w zmienionych ustach, a następnie zamachnął się łapą w rękawicy na Kat, posyłając ją na ziemię.

Szeroko otwartymi z przerażenia oczami obserwowała istotę, w którą przemienił się Ilgner. Stwór powstał i zaczął zbliżać się do niej.

– Och nie, mój panie! – załkała. – Nie ty! Tylko nie ty!

Felix dotarł na szczyt wzgórza i zaatakował generała z wysoko wzniesionym mieczem, ale Gotrek był pierwszy. Jego topór zatańczył w powietrzu tak szybko, że widać było tylko rozmazaną plamę. Wilcza głowa Ilgnera spadła z jego ramion w fontannie krwi i upadła na pokrytą śniegiem ziemię u stóp Kat.

Felix jęknął żałośnie. Gdyby tylko rycerze schylili się przed błyskawicą jak Kat i Zabójcy, złowrogie niebieskie światło strzeliłoby nad ich głowami.

– Biedny człowiek – wymamrotał.

– Nie ma czasu na litość, człeczyno – przywołał go do rzeczywistości Gotrek. Rycerze zmienieni w zwierzolidzi właśnie na nich nacierali. – Broń się!

Felix obrócił się w samą porę, żeby przyjąć na Karaghula cios miecza jednego z przemienionych rycerzy. Ramię aż go zapiekło, gdy siła uderzenia sprawiła, że zatoczył się do tyłu. Mięśnie istoty napierały na nagle za ciasną zbroję, a miecz wyglądał jak zabawka w łapach wielkości bochnów chleba. Za napastnikiem widział, jak Snorri, Rodi i Argrin walczą z resztą uzbrojonych po zęby potworów i koni z piekła rodem, śliniącymi się obficie z pysków.

Felix zamachnął się na przeciwnika i przeciął porośniętą futrem skórę na jego nodze. Bestia zaskowyczała i oddała cios.

Zza jej pleców wynurzyła się Kat i w ruch poszły toporki. Dziewczyna walczyła dzielnie, ale łzy płynęły jej po policzkach strumieniami.

– Znam ich – łkała. – Znam ich wszystkich.

Felix przebił zwierzoczęka mieczem i udało mu się zerknąć w dół zbocza, podczas gdy przemieniony rycerz osuwał się na ziemię.

Przez zasłonę bezustannie padającego śniegu zauważył, że szaman i przywódca odwrócili się od nich, tak jakby nie trzeba było im już więcej poświęcać uwagi. Gigantyczny totem znowu się poruszał, tak samo jak stado, które za nim podążało. Niestety tuzin albo więcej pomalowanych na niebiesko członków straży honorowej odłączyło się od reszty i przedzierało przez śnieg w ich kierunku. Nigdzie nie widział Ortwina.

Obrócił się w samą porę, żeby zobaczyć, jak koń z pyskiem jak krokodyl wyskakuje na niego i chce go ugryźć. Przechylił się na jedną stronę i istota tylko uderzyła go bokiem, posyłając na ziemię.

– Gotreku! – wysapał Felix, próbując odzyskać oddech. – Nadchodzi ich więcej.

– Widzę, człeczyno – odparł Gotrek.

– Musimy stąd uciekać! – krzyknęła Kat. – Musimy ostrzec fort! I wioski!

– Aye – zgodził się Felix. Zerwał się na równe nogi i zauważył, że diabelski koń zawraca i naciera ponownie.

Zrobił unik przed atakującymi go przednimi nogami, po czym zerwał się gwałtownie i walnął zwierzę przez brzuch. Kat za pomocą toporków przecięła ścięgna w tylnych nogach zwierzęcia. Bestia przewróciła się na ziemię i zarżała boleściwie. Felixem wstrząsnął dreszcz obrzydzenia.

On i Kat rozejrzeli się dokoła. Walka dobiegła końca. Zabójcy stali po ramiona w stercie martwych końskich i półludzkich ciał, ale pomalowani na niebiesko zwierzoludzie byli już w połowie drogi na górę.

– Snorri nigdy wcześniej nie zabił konia – powiedział Snorri ze smutkiem w głosie.

– To nie były konie – pocieszył go Argrin.

– A teraz weźmy się za prawdziwe bestie – rzucił Rodi, podążając prędko w stronę grani.

– Nie – odezwał się Gotrek grobowym tonem. – Ta zagłada będzie musiała poczekać.

Dwóch młodszych Zabójców popatrzyło na niego w osłupieniu.

– Czyś ty oszalał, Gurnisson? – zapytał Rodi.

– Przecież to wspaniała zagłada – argumentował Argrin.

Felix zerknął na zbocze. Zwierzoludzie zbliżali się coraz szybciej. Mógł już rozróżnić poszczególne zawijasy niebieskich malunków pokrywających ich ciała.

– To samolubna zagłada – stwierdził Gotrek. – Jeżeli tu zostaniemy, nikt nie ostrzeże fortu. Zginą tysiące ludzi.

Rodi prychnął.

– Zagłada to zagłada.

– Aye – zgodził się Gotrek. – Ale między zagładą a chwalebną zagładą jest różnica.

– Wszyscy będziemy zgubieni, jeżeli zaraz nie weźmiemy nóg za pas – przerwał te wywody poirytowany Felix.

To naprawdę nie był najlepszy moment na dyskusowanie o subtelnych rozróżnieniach w doktrynie Zabójców.

– Jesteśmy zgubieni, niezależnie od tego, czy tu zostaniemy, czy będziemy uciekać – stwierdził Rodi. – Bestie są zbyt szybkie. Równie dobrze możemy walczyć teraz jak i później.

– Musimy spróbować – powiedziała Kat. – Proszę! Opuśćcie siebie!

– A jednak jest tutaj szansa na jedną chlubną zagładę – odezwał się Argrin poważnym tonem. – Dla tego, który zostanie.

– Ja zostanę! – wyrwał się Rodi.

– Nie – zaprotestował Snorri. – Snorri zostanie.

– Nie ma na to czasu! – zdenerwował się Felix.

– Niech zostanie ten, kto to zaproponował – rozstrzygnął spór Gotrek. Skinął z aprobatą w stronę Argrina.

– Niech Grimnir powita cię na swym dworze.

Snorri wzruszył ramionami.

– Snorri uważa, że to sprawiedliwe rozwiązanie.

Rodi wyglądał, jakby miał się zamiar rozpłakać, ale tylko przeklął i splunął na ziemię.

– Niech będzie – powiedział. – Ale ja wezmę tylną straż.

Skłonił się przed Argrinem.

– Umrzyj godną śmiercią, Argrinie Kowalu Koron.

Argrin odklonił się.

– Kiedyś napijemy się przy stole Grimnira.

– Żegnaj, Argrinie – powiedział Snorri.

– Biegiem! – rzuciła Kat.

Gotrek, Snorri i Rodi ruszyli w stronę sosen, nie patrząc więcej za siebie. Tymczasem Argrin wystąpił na krawędź grani i zaczął przygotowywać swój topór o stalowym ostrzu.

– Chodźcie no tu, wy krowiogłowe sterty łajna! – zaryczał. – Potnę was na kawałeczki i upiekę na ogniu z kuźni Grungniego!

Felix i Kat usłyszeli, jak bestie ryczą coś w odpowiedzi i bez dalszej zwłoki rzucili się biegiem za krasnoludami. Felix obawiał się, że poświęcenie Argrina nie na wiele się zda. Krasnolud nie powstrzyma bestii na długo, a nawet w ciemności i przy padającym śniegu zwierzoludzie nie będą mieli problemów, żeby odnaleźć ich trop. Tylko odwlekali to, co nieuniknione.

– Nie jesteśmy wystarczająco szybcy – wysapał, gdy dogonili Zabójców. – Podążą naszym tropem i złapią nas.

– Wtedy kolejny z nas zostanie, aby ich zatrzymać – odparł Gotrek. – Aż każdy będzie miał swoją zagładę.

– Jeżeli uda nam się dotrzeć w dalej położone leśne ostępy, będziemy w stanie ich zgubić – powiedziała Kat. – Są takie miejsca, gdzie śnieg nigdy nie...

Przerwał jej ryk bestii i szcęk stali uderzającej w stal, przebijający się przez wycie wiatru w koronach drzew.

Rodi stanął i już chciał zwracać, ale Gotrek szturchnął go w ramię.

– Nie zatrzymuj się – burknął.

W ciemnościach pospieszyli w górę zbocza. Biegli w milczeniu i ponurych nastrojach. Podążali tropem swoich własnych śladów, jakie zostawili wcześniej. Nasłuchiwali przy tym odgłosów walki, które przynosił do nich wiatr – krzyki, przekleństwa, szcęknięcia i głucho uderzenia i wreszcie, stanowczo za szybko, triumfalny ryk zwierzoludzi.

Na ten dźwięk w gardle Felixa uformowała się olbrzymia gęła. Ledwie znał Argrina, ale młody Zabójca złożył dla nich swe życie w ofierze. Fakt, że nie miało to większego znaczenia, sprawiał, że cała sytuacja była jeszcze bardziej przygnębiająca.

– Szczęściarz – sarknął Rodi, a w jego głosie słychać było tłumione emocje.

– Snorri jest zazdrosny – wyznał Snorri.

Gdy dotarli na krawędź grani i zaczęli zbiegać po zboczu z drugiej strony, Felix wyteżał słuch, próbując usłyszeć jakiegokolwiek dźwięki dobiegające z za jego pleców. Nic nie słyszał. Wycie wiatru zagłuszało wszelkie inne odgłosy. Czyżby zwierzoludzie się poddali? Czyżby zdecydowali, że szkoda czasu na pościg i powrócili do stada? Nie sposób było ocenić.

Sosny rosły gęściej po tej stronie wzgórza i panująca pod ich gałęziami ciemność była niemal całkowita. Tylko biel śniegu dawała trochę światła, ale niemal tyle co nic. Felix podążał za Gotrekiem, kierując się bardziej słuchem niż wzrokiem. Trzask gałęzi i plaśnięcia gałązek o policzki powiedziały mu, że znaleźli się w jakiś zaroślach, zanim przekazały mu to oczy. Felix marzył o tym, żeby zapalić pochodnię, ale światło ściągnęłoby na nich niechybną zgubę.

Po tym jak zagłębili się w gąszcz na kilka kroków, Kat syknęła:

– Stop! Skręćcie w lewo!

Gotrek posłusznie skręcił w lewo, a za nim Felix. Przed nimi z trzaskiem łamanych patyków poruszali się Kat, Snorri i Rodi. Krzewy były tu jeszcze gęstsze, a słabe światło znikło zupełnie. Być może znajdowali się w jakiejś jaskini.

– Wszystko w porządku? – zapytał Gotrek.

– Tak – odparła Kat. – Ale jeśli zagłębimy się dalej w chaszczę, może nie zauważą, że skręciliśmy na naszą starą ścieżkę.

– Ach, sprytne – stwierdził Gotrek.

Przez kilka minut zdawało się, że podstęp się udał. Kiedy wypadli spomiędzy krzaków i zaczęli schodzić po stromym zboczu wzgórza, nie słyszeli nic oprócz wiatru. Wydawało się, że są w lesie zupełnie sami.

Ale wtedy, podczas gdy Felix podążał za Gotrekiem między gęsto rosnącymi drzewami, wyczuwając teren przed sobą jak ślepiec, gdzieś z tyłu dobiegł ich hałas, jakby coś wielkiego przedzierało się przez krzaki. Słyszeć to było nawet przez jęczące na porywistym wietrze drzewa.

– Znaleźli nas! – zawołał Rodi z tyłu.

Gotrek przeklął i przyspieszył kroku. Felix próbował zrobić to samo, wzdrygając się na myśl o biegu w ciemnościach, które

otaczały go ze wszystkich stron. Słyszał gdzieś przed sobą kroki Kat przechodzące w trucht.

– Znajdź mi otwartą przestrzeń, Gurnissonie – odezwał się ponownie Rodi. – Będę potrzebował miejsca, żeby zamachnąć się moim toporem.

Przyspieszyli. Felix uderzał palcami w mijane drzewa i parę razy otarł sobie skórę do krwi, ale odpychał się i biegł dalej. Zadrzał na myśl o walce ze zwierzoludźmi prowadzonej w totalnych ciemnościach. Przynajmniej byłaby krótka. Nigdy nie dowiedziałyby się, skąd nadeszła śmierć.

Gdzieś z tyłu dobiegło gardłowe wycie, triumfalny ryk bestii, która złapała trop ofiary. Felix obejrzał się za siebie. Był to głupi odruch, bo z tyłu nie był w stanie zobaczyć więcej niż widział przed sobą. A jednak obrócił się i w tej samej chwili wpadł na drzewo, rozbijając sobie głowę o jakiś sęk. Świat zawirował mu przed oczami. Zachwiał się, sycząc z bólu, złapał się pnia i próbował wyczuć dalszą drogę jedną ręką, podczas gdy drugą masował obolałą skroń. Czuł płynącą po czole krew i nabrzmiewający guz. Dotykanie go sprawiało, że nogi ugiwały mu się w kolanach i musiał się powstrzymać, aby nie osunąć się na ziemię i nie wymiotować.

Ruszył znów przed siebie, ale po kilku krokach zdał sobie sprawę, że już nie słyszy Gotreka. Zatrzymał się. Usłyszał pozostałych gdzieś po lewej, tak jakby byli tylko kilka metrów przed nim. Skierował się w tamtą stronę, ale zaraz wplątał się w gęste poszycie. Nie można było się przez nie przedrzeć. Przez moment pomyślał, że powinien się cofnąć do miejsca, w którym zgubił ślad, ale nie odważył się na to. Stamtąd nadchodzili zwierzoludzie. Musiał biec przed siebie i najwyżej potem odnaleźć właściwy kierunek, kiedy krzaki trochę się przerzedzą.

– Felixie? – dobiegł go głos Kat.

– Już idę! – zawołał, przekrzykując wiatr. – Przepraszam.

Zebrał się w sobie, starając się przyspieszyć i iść w miarę prosto, ale splątane gałęzie krzewów zmuszały go do okrążania ich coraz to szerszym łukiem. Starał się zachować równowagę, gdy zbocze stawało się coraz bardziej strome pod jego stopami.

Wtem tuż za sobą usłyszał tętent kopyt i warkot nieludzkich głosów.

– Szybciej, Felixie! – syknęła Kat. – Nadchodzą!

– Ruszaj się, dziewczyno! – ponaglał ją Rodi.

Felix przedzierał się przez chaszczę, ale te nie chciały ustąpić. Zszedł na bok, desperacko starając się znaleźć drogę przez gąszcz. Jego kostka uderzyła w coś twardego i nieruchomo leżącego na ziemi. Poleciał na bok, machając rękami, żeby zachować równowagę. Jego palce uchwyciły jakąś gałąź, ale ta złamała się pod naporem i chwilę potem toczył się w dół zbocza. Świat migał mu przed oczami, gdy przewracał się do góry nogami z jednego boku na drugi. Jego kończyny fruwały niczym u szmacianej lalki. Wpadał na niewidzialne w ciemnościach pnie drzew, skały i krzaki, aż wreszcie wylądował z hukiem na dnie wąwozu i uderzył głową o kolejną niewidoczną przeszkodę.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, były skrzące się na niebie gwiazdy.



Obudziły go dobiegające z oddali odgłosy walki. Przez dłuższą chwilę nie był w stanie pojąć, gdzie był, co oznaczał ten dźwięk, dlaczego nic nie widział, ani co spowodowało ten okropny ból głowy. Wiedział tylko, że wołał tak sobie leżeć w ciemnościach niż ruszyć jakąkolwiek częścią ciała. Każdy ruch wywoływał falę bólu podobną do najstraszliwszego kaca, więc po prostu nie próbował. Poza tym, podmuchy wiatru i szelest płatków śniegu osiadających na twarzy przynosiły mu pewną ulgę.

Wreszcie jednak bańki wspomnień zaczęły wydostawać się na powierzchnię zamulonego mózgu i pękać jedna po drugiej. Spadł. Ale skąd? Ze wzgórza. Dlaczego się na nie wdrapał? Musiała być jakaś niezwykle ważna przyczyna, dla której tam był. Na to wspomnienie serce na chwilę stanęło mu w piersi, chociaż nie potrafił sobie przypomnieć żadnych okoliczności. Starał się kogoś

dogonić. Kogo? Wiedział, że miał komuś pomóc. Kogoś uratować. Dziewczyna. Uciekała przed...

Nagle zalała go cała fala wspomnień i gwałtownie się podniósł. A przynajmniej próbował. Tak naprawdę, to przewrócił się na bok i zwymiotował. Tymczasem jego mózg miotał się wewnątrz czaszki jak najeżona żelaznymi kolcami maczuga gotowa roztrzaskać ją od środka.

Za drugim razem udało mu się podnieść na czworaka, co okazało się idealną pozycją do ponownego opróżnienia żołądka, co też niezwłocznie uczynił. Kusilo go, żeby przez jakiś czas pozostać w tej pozycji, ale słyszał, że walka nadal trwała. To znaczyło, że Gotrek, Kat i pozostali wciąż żyli. Musiał im pomóc.

Zmusił się do powstania, opierając się o drzewo. Wokół było tak ciemno, że nie był w stanie ujrzeć ani śniegu, ani nieba, niczego. Wiedział, że uderzenie w głowę mogło go oślepić. Wciąż jednak słyszał odgłosy walki, gdzieś po lewej stronie nad nim, w pewnym oddaleniu.

Zachwiał się i ruszył przed siebie. Przedzierał się przez śnieg i ciemność z daleko wyciągniętymi przed siebie rękoma. Każdy krok bolał jak diabli. Był posiniaczony od stóp do głów, miał nadwerężone lewe kolano i skręconą prawą kostkę. Przynajmniej wydawało się, że żadna kość nie jest złamana. Wlókł się przed siebie w ślimaczym tempie, wyczuwając teren ostrożnie zarówno stopami, jak i rękami. Chciał biec, ale nie był pewien, czy zdołałby się podnieść, gdyby znowu się przewrócił.

Po kilku kolejnych krokach drzewa się przerzedziły, a teren nieznacznie się obniżył. To był dobry znak. Na otwartej przestrzeni łatwiej będzie mu się poruszać. U dołu niewielkiego nachylenia terenu ziemia pod śniegiem stała się nagle bardzo płaska i gładka. Zrobił kolejny krok i poczuł, jak nogi rozjeżdżają mu się na różne strony. Szedł po lodzie!

Starał się zachować równowagę, ale po chwili runął jak długi. Rozległo się głośnie trzaśnięcie i lód pod jego plecami pękł. Serce stanęło mu w piersi, gdy wyobraził sobie, jak zanurza się w jakimś zamarzniętym jeziorze albo rzece i idzie prosto na dno w swej ciężkiej koszulce kolczej.

Nic takiego się jednak nie stało. Wylądował na warstewce śniegu i przez moment wydawało mu się, że tak naprawdę lód nawet się nie załamał. Wtedy jednak poczuł jak lodowato zimna woda przesącza się przez tylną część jego spodni i przez skórzaną kamizelę, którą nosił pod koszulką kolczą.

Przeklął siarczyście i zebrał się w sobie, żeby powstać. Przemoknięcie do suchej nitki w środku burzy śnieżnej nie było najlepszym pomysłem. Położył dłonie płasko na lodzie, żeby się podnieść. Tafla załamała się z trzaskiem. Niemal natychmiast sięgnął rękami dna, a jego rękawy momentalnie zamoczyły się aż do samych łokci. Musiał się znaleźć w jakimś zamarzniętym strumieniu albo potoku. Starał się poruszać ostrożnie, ale bez względu na to, jak rozkładał ciężar ciała, lód natychmiast się pod nim załamywał. Zanim udało mu się dotrzeć do brzegu, od pasa w dół był przemoczony do suchej nitki. Jego płaszcz i oba rękawy również był kompletnie mokre.

– Niedobrze – mruknął do siebie. A potem zdał sobie sprawę, że stało się coś jeszcze gorszego.

Nie słyszał już odgłosów walki. Zatrzymał się i wyteżył słuch, ale wiatr nie niósł już żadnych odgłosów wycia ani zwierzęcych ryków.

A jednak. Coś usłyszał. Szczęk.

Wstał i ruszył w tamtą stronę. O nie. Przecież tam znajdowała się woda. Musiał przejść trochę bardziej na lewo. Włókł się noga za nogą. Szczękał zębami, a stopy i stawy zeszywniały mu zupełnie z zimna. Do nóg nieprzyjemnie kleił się mokry materiał spodni. Miał wrażenie, że jego plecak waży tyle co Gotrek.

Znowu nadstawił uszu.

– No dalejże, do diabła! – wymamrotał. – Walczcie! Niechże was usłyszę!

Roześmiał się w duchu, zdając sobie sprawę, że nagle spieszył w stronę bitwy nie po to, żeby być wybawcą, ale po to, żeby samemu zostać uratowanym.

Kolejny szczęk. Zmienił kierunek i znowu ruszył przed siebie. Przynajmniej poruszam się w dobrą stronę, pomyślał. Wiatr jednak sprawiał, że trudno było dokładnie wskazać, skąd dochodził dźwięk. Po kilku kolejnych stągnięciach odważył się na krok w lewo i

ponownie trafił na strumień. Tym razem pokonał go powoli, powłócząc ostrożnie nogami jak starzec. Chociaż, trzeba przyznać, że nie była to tylko kwestia ostrożności. Jego mokre ubrania i zeszywniałe stawy sprawiały, że nie bardzo był w stanie przemieszczać się w jakikolwiek inny sposób.

Dotarł do przeciwległego brzegu bez żadnych problemów i znowu wyteżył słuch. Nic nie słyszał. Przeszedł jeszcze kilka kroków. Wciąż nic. Czyżby poszedł w złą stronę? Czy nie powinien teraz dojść do zbocza? Ruszył przed siebie. Drżał, gdy przeszywający wiatr przyciskał zeszywniałe od zamarznętej wody ubranie do jego skóry. Jeszcze dziesięć kroków. Wciąż nic. Czy chociaż szedł prosto? Nie potrafił powiedzieć.

– Gotreku! – zawołał. – Kat! Snorri!

Jednak głos wydobywający się z jego gardła brzmiał bardziej jak szept i nie był w stanie przekrzyczeć wycia wiatru. Ledwie sam siebie słyszał przez nieustanne szczekanie własnych zębów. Zwątpił, czy przy takiej wichurze jego przyjaciele byłiby go w stanie usłyszeć, nawet gdyby wrzeszczał, ile sił w płucach. Być może dlatego sam ich nie słyszał. Albo wszyscy nie żyli, zabici przez pomalowane na niebiesko bestie. Być może był zupełnie sam w Drakwaldzie, jeśli nie liczyć zwierzoludzi – jedyny człowiek w promieniu setek kilometrów.

Właśnie wtedy uświadomił sobie, że najprawdopodobniej przyjdzie mu tu umrzeć. Jego zwłoki przemarznęte do szpiku kości przysypie śnieg i zostaną tak aż do wiosny, kiedy przyjdzie odwilż. Wtedy zgniją, stając się pożywieniem dla żuków i robaków zamieszkujących las. Może jakiś zwiadowca albo leśnik kiedyś natrafi na jego kości i zaduma się nad tym, do kogo należały. Pewnie stwierdzi, że to szkielet kolejnej ofiary wojny. A to tylko dlatego, że obszedł pień drzewa ze złej strony i zgubił swoich towarzyszy. Wydawało mu się to tragicznie głupią przyczyną śmierci.

Z gardła wydobył się mu bolesny szloch, gdy pomyślał o tych wszystkich rzeczach, jakie pozostawił niedokończone. Nigdy nie zobaczy zagłady Gotreka, ani nie dokończy swojego dzieła. Nigdy

nie zemści się na skaveńskim czarnoksiężniku, który rozkazał zabić jego ojca. Nigdy więcej nie ujrzy Ulriki. Nigdy więcej...

Otrząsnął się z ponurych rozmyślań. Na Sigmara, chyba zaatakowała go mózgowia gorączka! Musiał przestać rozczulać się nad sobą i wziąć się w garść, bo inaczej może się to naprawdę źle dla niego skończyć. Musi rozpalić ogień i ogrzać się. Ale nie, przecież jeżeli rozpali ognisko, zwierzoludzie łatwo go odnajdą. Wzruszył ramionami. Miał to gdzieś. Wolał raczej umrzeć w ciepłe niż zamarznąć na sople lodu. A poza tym, jeżeli Gotrek i pozostali przeżyli walkę, to może blask płomieni przyprowadzi ich do niego.

Zatrzymał się i zaczął mocować ze swoim plecakiem, żeby go ściągnąć z barków. Trząśnięcie teraz tak gwałtownie, że ledwie był w stanie wysunąć ręce z szelek. Wreszcie zrzucił ciężar z pleców i cisnął go na ziemię. Obrócił się i obmacał go. Poczuł, że opuszcza go cały zapach. Nic dziwnego, że plecak tak mu ciążył. Skóra była wilgotna i chrzęszcząca od lodu. Poślanie i koc, które miał przymocowane u dołu plecaka, przemokły do suchej nitki.

Jęknął z rozpaczą. Mokry koc i żadnych rzeczy na zmianę. Chyba naprawdę tutaj umrze.

Zaczął po omacku szukać klamer od plecaka, ale palce miał tak zdrętwiałe, że nie czuł w ogóle, czego dotyka. Zdawało mu się, że minęła godzina, zanim rozpiął sprzączki i odchylił klapę – godzina, podczas której zimno z zamrożonych na kamień ubrań wsączało się w jego skórę i ciało. Czuł się, jakby ktoś go odlał z ołowiu, lodowatego ołowiu. Z trudem przychodziło mu poruszanie rękami.

Odczuwał ból przy każdym ruchu, ale zmusił się do przegrzebania zawartości plecaka. Wszystko było przemoczone i zniszczone. Wreszcie znalazł pudełko, gdzie trzymał kawałek stali oraz hubkę i krzesiwo. Opakowanie było zgniecione. Pewnie sam je rozpląszczył podczas upadku. Drobne strużyny sosnowego drewna były mokre i zwiotczałe.

– To nie w porządku! – załkał i był to jedyny moment, w którym cieszył się, że nikt nie jest w stanie go usłyszeć.

Powstanie z powrotem na równe nogi bolało bardziej niż rana od miecza. Czuł się, jakby dźwigał na własnych barkach altdorfską świątynię Sigmara, a wszystkie jego stawy były powiązane ciasno

skórzanymi rzemieniami. Chwiejnym krokiem szedł przed siebie kilka metrów, aż trafił na krzak. Ułamał z niego trochę gałązek, aż nabrał ich całą trzęsącą się garść. Zawrócił i ruszył w stronę miejsca, gdzie zostawił plecak. Plecak zniknął. Zawył i zaczął obmacywać ziemię dokoła. Musiał go zgubić w ciemnościach. Najprawdopodobniej leżał gdzieś pół metra dalej, ale on nie był w stanie go znaleźć. Wreszcie trafił dłonią na znajomy kształt i klęknął przy nim, wydając z siebie westchnienie ulgi. Trzęsąc się z zimna odgarnął śnieg, żeby móc ułożyć gałązki na gołej ziemi. Odnalazł krzesiwo i kawałek stali i uderzył nimi o siebie. A przynajmniej spróbował. Jego palce były tak zeszywniałe, a ciałem wstrząsały tak potężne dreszcze, że chybił. Spróbował ponownie. Tym razem udało mu się trafić, ale uderzenie było zbyt słabe, żeby wywołać iskrę.

Z pomrukiem frustracji wsunął stal i krzesiwo między koszulę a napierśnik – jedyne suche miejsce na jego ciele. Dotyk zimnej stali na piersi sprawił, że przeszył go dreszcz, ale nie miał innego wyboru. Po chwili wygrzebał je z powrotem i spróbował ponownie. Wreszcie iskra!

Płomyczek uleciał porwany przez wiatr. Nie udało mu się nawet przysunąć go do gałązek. Obrócił się w ten sposób, że podmuchy wiatru uderzały go w plecy, ale iskierka wciąż gasła. Załkał bezgłośnie. Każdy mięsień jego ciała był zeszywniały z zimna. Czuł się, jakby ktoś zrobił go z drewna. Ledwie był w stanie unieść ramiona. Nie potrafił utrzymać stali w dłoni. Wyśliznęła się spomiędzy palców i upadła w zaspę. Wysiłił się, żeby ją podnieść. Równie dobrze mógłby to robić łokciem. Mógł tylko przegrzebywać śnieg, bo i tak nic nie czuł zgrabiętymi palcami.

Wreszcie udało mu się przesunąć kawałek stali tak, że zablokował go nogą i z trudem wziął go z powrotem w ręce. Uderzył w krzesiwo po raz kolejny, i jeszcze raz i jeszcze jeden. Iskry spadały na gałązki i zaraz gasły – przyduszone przez śnieg lub zdmuchnięte przez wiatr.

Przerwał. Był przecież taki zmęczony. Nie był w stanie już dłużej trzymać wyciągniętych przed siebie rąk. Musiał odpocząć. O tak, to był dobry pomysł – odpocznie chwilę i potem znowu popróbuje. Położył dłonie na kolanach i zwiesił głowę. Potrzebował tylko kilku

minut, żeby odzyskać siły. Tylko kilku minut. Zamknął oczy. Od razu lepiej. Już zaczęło mu być lepiej, nawet jakby cieplej. Miał wrażenie, że jego żyły rozprowadzają po ciele delikatne ciepło. Poczul się przytulnie. Może nawet na chwilę się położyć? O tak, to by było najlepsze rozwiązanie. Króciutka drzemka.

Przechylił się na bok, wypuszczając ze skostniałych dłoni stal i krzesiwo. Skulił się w kłębek. Tak było dobrze. Milutka, mała drzemka i wszystko się jakoś ułoży.

Ale w tej samej chwili, gdy już odpływał w sen o palenisku i szklaneczce podgrzanego brandy, usłyszał hałas w ciemnościach. Serce stanęło mu w piersi. Coś się do niego zbliżało. Spróbował otworzyć oczy, poruszyć rękami i nogami, zmusić się do wstania, do sięgnięcia po miecz. Ale nie był w stanie. Zmęczenie i zlodowaciałe ciało przygwoździły go do ziemi. Umysł stracił kontrolę nad kończynami.

Istota czająca się w mroku podchodziła coraz bliżej. Słyszał, jak wynurza się spomiędzy drzew. Dobiegał go jej ciężki oddech.

11

– Felixie! Felixie, obudź się!

Ktoś nim potrząsał. To bolało. Mięśnie paliły go żywym ogniem. Protestował słabo, próbując strząsnąć szamoczące nim ramię. Nie mógł się jednak ruszyć. Nie był w stanie powstrzymać szczękania zębów na tyle długo, żeby wypowiedzieć choć jedno słowo. Istota stanęła przed nim i przysunęła do jego twarzy latarnię. Mimo że światło było przytłumione, to i tak długie przebywanie w całkowitych ciemnościach sprawiło, że na chwilę zupełnie oślepl. Skulił się.

– Niech będzie pochwalona Rhya – odezwała się istota. – Ty żyjesz!

Felix poznawał ten głos. Głos z dalekiej przeszłości. Należał do dziewczyny, którą kiedyś znał. Kirsten? Ulrika? Czyżby to był sen? Nie był w stanie stwierdzić.

Ciepła dłoń dotknęła jego twarzy i szyi.

– Na bogów, niewiele brakowało. Poczekaj tutaj. Usłyszał, że istota stawia latarnię na ziemi i oddala się.

Zmrużył oczy przed blaskiem ognia. Rozejrzał się dokoła, poruszając tylko oczami, ponieważ nie mógł się zmusić do uniesienia głowy. Przez zasłonę zacinającego śniegu dostrzegł krzątającą się drobną figurkę. Postać zrzuciła z ramion plecak i zabrała się do przeszukiwania jego rzeczy.

Kat. To była Kat. Nie był pewien, czy to, co poczuł, było ulgą czy raczej rozczarowaniem.

– Wszystko przemoczone – powiedziała sama do siebie. – Felixie, co się stało? Jak doprowadziłeś się do takiego stanu?

Rozległ się ostry, zgrzytliwy dźwięk. Błysnął ogień. Po chwili przestrzeń wokół niego rozjarzyła się ciepłym blaskiem. Kat

przesunęła się i zobaczył, że rozpałała niewielkie ognisko. Niemal się rozpląkał. Dlaczego jej to przyszło z taką łatwością, a jemu sprawiało tyle problemu? Zobaczył, że odgarnia śnieg wokół niego, niczym pies grzebiący w ziemi. Po chwili znowu zniknęła mu z pola widzenia. Nagle spłynęła na niego płachta materiału, a Kat klękła obok niego i zaczęła zamocowywać plandekę na gałęziach. Stawiała nad nim namiot.

Potem znowu zniknęła, tym razem na tyle długo, że zaczął się martwić. Czyżby go zostawiła? Może coś jej się stało?

Wreszcie znowu się pojawiła, niosąc wielką wiązkę chrustu. Upuściła gałęzie obok ogniska, po czym ostrożnie dokładała je do ognia. Poczł, że ciepło bijące od ognia ogrzewa mu twarz. Piekło niczym ukłucia lodowatego wiatru.

Kiedy dołożyła już do ognia, położyła obok manierki Felixa i swoją, po czym wczółgała się do namiotu. Rozłozyla swoje poślanie obok niego i zwróciła się w stronę Felixa. Ściągnęła z niego płaszcz, który wciąż był sztywny i ciężki od pokrywającej go skorupy lodu. Odrzuciła go w pobliże ognia, po czym zajęła się wełnianą bluzą, jaką miał narzuconą na koszulkę kolczą.

– C... c... ccco robisz? – udało mu się wykrztusić.

– Twoje ubranie cię zabija – odparła. – Jest mokre i zamarznęte na kamień, odbiera ci całe ciepło. Musisz je zdjąć, bo inaczej umrzesz.

Protestował bez przekonania, bardziej dlatego, że tak wypadalo, niż z jakiegokolwiek innej przyczyny. Wiedział, że w gruncie rzeczy miała rację. Chodziło tylko o to, że, mimo iż nieraz wyobrażał sobie, jak Kat zdziera z niego ubranie, to nigdy w takich okolicznościach. Nie, kiedy był bezbronny jak dziecko. Nie, kiedy była to kwestia życia lub śmierci.

Strasznie się namęczyła z koszulką kolczą, a on niewiele mógł zrobić, żeby jej pomóc. Musiała podnieść mu ręce, żeby móc ją ściągnąć przez głowę, ponieważ on sam nie był w stanie się poruszać. Wreszcie, sapiąc i klnąc pod nosem udało jej się zdjąć to z niego i odrzucić na bok. Z resztą poszło już łatwiej. Wkrótce leżał nagi pod namiotem. Wszystkie jego ubrania suszyły się przy ognisku.

Wciąż nie mógł się poruszyć, trząsał się tylko bezustannie. I mimo że drżał i szcząkał zębami tak mocno, że myślał, iż je połamie, stwierdzał, że jest rozpalony. Czuł się jakby był z powrotem na pustyni Khemri, umierając w palących promieniach słońca. Stękając z wysiłku Kat przewróciła go na swoje posłanie i okryła kocem. Następnie zaczęła zdejmować swój kapelusz, płaszcz i szal.

– Nie rób tego – odezwał się Felix. – Zamarzniesz.

– Położę się z tobą. Te koce nie wystarczą. Potrzebujesz prawdziwego ciepła.

Te słowa zaniepokoiły Felixa. O tym też marzył, ale przecież nie w takich okolicznościach!

– Ale... ale mi i tak już jest za gorąco.

– Nieprawda – odparła Kat, rozpinając i zrzucając z siebie skórnię. – Jesteś zimny jak ryba. Tylko wydaje ci się, że jest ci gorąco. To rodzaj szaleństwa, które przychodzi przed śmiercią.

– Sz-szaleństwa? – wyjąkał Felix. Tymczasem Kat ściągnęła przez głowę wełnianą koszulę i jego oczom ukazał się jej nagi tułów.

Jej ciało było szczupłe i żylaste jak u charta, ale bez wątpienia należało do kobiety. Zrzuciła buty i spodnie, po czym wysunęła się z namiotu i chwyciła manierkę grzejącą się przy ognisku. Sparzyła palce i syknęła z bólu. Złapała za pasek owinięty wokół szyjki i przyciągnęła manierkę w stronę namiotu. Kiedy wreszcie mogła ją utrzymać w dłoniach, szybko wsunęła się z powrotem pod koc i objęła go ramieniem, jednocześnie ostrożnie odkręcając nakrętkę.

– Kat – odezwał się. – Ja... To...

– Szysz... – uciszyła go i przysunęła manierkę do jego ust. – Wypij to.

Szarpnął się w tył z jękiem, gdy woda sparzyła mu usta.

– To jest za gorące! Nie mogę!

– Musisz. To cię rozgrzeje od środka. Pij!

Felix ponownie otworzył usta i z całych sił próbował przełykać wodę z podsuwanej mu przez Kat manierki. Czuł przy tym, że gorący płyn parzy mu język i przełyk. Wreszcie Kat uznała, że już wystarczy i odłożyła naczynie na bok. Felix opadł na plecy, dysząc ciężko.

Dziewczyna położyła głowę na jego piersi i mocno się do niego przytuliła. Było to przyjemne uczucie, ale Felix pozostał niewzruszony. Nie był pewien, czy powinien odwzajemnić ten gest, ani, czy gdyby nawet chciał, byłby w stanie to zrobić.

– Posłuchaj, Kat – zaczął, ale nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby w takiej chwili powiedzieć.

– Zapomnij o tym, Felixie – przerwała mu. – Pamiętam, co mi powiedziałaś. Po prostu odpoczywaj.

Z tonu jej głosu mógł jednak wyczytać, że wciąż była urażona jego słowami. Westchnął z frustracją. Nie chciał, żeby myślała, że jej nie kocha. To nie o to chodziło. Po prostu... Jego umysł był zbyt zamroczony gwałtownym przejściem z zimna do gorąca i oszołomieniem, w jakie wprawiło go zbyt szybkie wypicie gorącej wody. Poddał się. Wyciągnął swe ociężałe, oporne ramię i objął nim dziewczynę. Przez chwilę wyczuwał jej napięcie, ale wreszcie rozluźniła się i ułożyła głowę pod jego podbródkiem, moszcząc się jak kot. Było w tym geście coś tak słodkiego i wzruszającego, że niemal się rozplakał.

– Do diabła, Kat – westchnął, a zmęczenie powodowało, że jego słowa przechodziły w mamrotanie. – Co się z tobą dzieje?

– Co masz na myśli? – zamruczała.

– Dlaczego ci się podobam? I nie mów, że to przez wzgląd na tego bohatera, którym byłem dla ciebie, gdy byłaś jeszcze małą dziewczynką. Jesteś na to zbyt mądra, a ja przecież nigdy nie byłem żadnym bohaterem – prychnął.

– To ty wtedy uratowałaś mi życie, a nie na odwrót. I... – Przez moment zatrzęsły nim tak silne dreszcze, że zamilkł. – I teraz po raz kolejny to zrobiłaś to samo, więc na pewno nie może chodzić o bohaterstwo.

Kat milczała przez dłuższą chwilę. Felixem targały mieszane uczucia. Zastanawiał się, czy może nie nazbyt przekonująco wykazał jej młodzieńczą naiwność. Przestraszył się, że zaraz usłyszy: „Masz rację, Felixie. Kochałam nie ciebie, a wspomnienia o tobie. Byłam taka głupia”.

Kat jednak, przytuliwszy się do niego mocniej, powiedziała:

– Ależ ty jesteś moim bohaterem, Felixie. Nie z powodu zabicia tamtej kobiety, ale dlatego, że starałeś się ją powstrzymać, mimo że wiedziałeś, że ci się nie uda, a ona cię zabije. Ale... – znów przerwała. – Ale nie o to chodzi, nie tylko o to.

Utkwiła wzrok w ogniu przebłyskującym między połami namiotu.

– Znam wielu mężczyzn, którzy akceptują mnie jako zwiadowcę, ale nie jako kobietę.

Jej źrenice zwęziły się.

– Nazywają mnie bestyjką, kocicą albo... albo jeszcze inaczej.

Znowu zamilkła, a Felix wyczuł jak mięśnie jej ramion napinają się w nerwowym skurczu. Po chwili podjęła na nowo:

– Są też inni mężczyźni, tacy jak Milo, którzy z kolei widzą we mnie kobietę, ale nie potrafią zrozumieć, że jestem też zwiadowcą.

Obróciła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Jej brązowe tęczaówki zaśniły ciepłym blaskiem w świetle ognia.

– Ty akceptujesz obie te strony mojej osobowości. A to... – przełknęła głośno ślinę, po czym ponownie przytuliła głowę do jego piersi. – A to nie zdarza się zbyt często.

Serce podeszło mu do gardła.

– Och, Kat – powiedział i przycisnął ją mocniej do siebie.

Dlaczego wcześniej nie przyszło mu do głowy, że może spędzała tyle czasu samotnie w lesie nie tylko z własnej woli?

– Och, Kat – powtórzył.

Rozległ się trzask łamanej gałązki i dziewczyna podniosła czujnie głowę. Przy okazji uderzyła go czołem w podbródek sprawiając, że nieomal odgryzł sobie język. Felix przeklął, po czym spróbował pójść za jej przykładem i wyteńczył wzrok, wpatrując się w panujące dokoła ciemności.

Spomiędzy drzew wynurzyli się Gotrek, Snorri i Rodi. Gdy podeszli bliżej ogniska, widać było, że są posiniaczeni i gdzieś tam mają ponacinaną skórę, ale poza tym wydawali się w świetnej formie.

Gotrek parsknął, gdy zobaczył Felixa i Kat w namiocie.

– A więc znalazłaś go, tak?

– Ja... ja... – wymamrotała Kat, podciągając koc wyżej pod szyję.

– To... to nie tak jak myślicie – wtrącił się szybko Felix.
– Jak zawsze, człeczyno – odparł Gotrek. – Jak zawsze.
Rodi zachichotał. Snorri wzruszył ramionami.
– Snorri nie wie, co o tym myśli.
– Nie zaprzataj sobie tym głowy, ojczulku Rdzawa Czaszko – powiedział Rodi. – Chodź, rozłożymy swoje posłania po tej stronie ogniska. Dajmy biednym chudzinom trochę prywatności.
Felix jęknął, oblewając się rumieńcem wstydu.
– To naprawdę nie tak...
Kat powstrzymała go, potrząsając głową.
– Mniejsza z tym, Felixie – powiedziała. – Czas, żebyś znowu się napił.
Westchnął. Kolejna tortura. Zauważył jednak, że nie trzął się już tak mocno jak wcześniej. A poza tym zrobił się nagle bardzo, ale to bardzo senny.



Następnego dnia Felix obudził się sam. Kat była przed namiotem. Siedziała z Zabójcami i opiekowała królika nad ogniem. Felixowi zaburczało głośno w brzuchu, gdy poczuł zapach pieczonego mięsa. Spróbował się podnieść. Syknął z bólu. Wszystko go bolało – głowa, stawy, mięśnie. Przynajmniej jednak okropne drgawki i przerażająca niemożność wykonania najmniejszego ruchu przeszły jak ręką odjął.

Po kilku minutach jęczenia i sapania udało mu się wreszcie ubrać i wypełznąć z namiotu. Zaspy śniegu były bardzo wysokie, ale burza już przeszła. Poranek był jasny i słoneczny. Gotrek powitał go skinieniem głowy, Rodi chytrym uśmieszkiem, a Snorri lekko nieobecny spojrzeniem. Kat uśmiechnęła się do niego, po czym spłoszona odwróciła wzrok.

– Wszystko w porządku, człeczyno? – zapytał Gotrek.
– Dam sobie radę – odparł Felix, ostrożnie sadowiąc się przy ogniu i ogrzewając dłonie.

– Cały wczoraj zeszywniałeś, co? – zapytał Rodi, a przebiegły uśmiezek nie opuszczał jego twarzy.

– Prawie – odparł Felix, po czym nagle zerwał się na równe nogi, chociaż obolałe mięśnie natychmiast zaprotestowały.

– Nie mieszaj w to Kat!

Kat nerwowo zerkała to na jednego, to na drugiego.

Gotrek wyciągnął dłoń.

– Spokojnie, człeczyno – powiedział, po czym zwrócił ku Rodiemu lodowate spojrzenie swego jedyne go oka. – To się już więcej nie powtórzy.

Rodi wyglądał na obrażonego.

– Przecież tylko żartowałem.

– Robiłeś sobie żarty kosztem moich przyjaciół – nie ustępował Gotrek. – Za mniejsze przewiny zapisywano imiona w księdze.

Rodi na dłuższą chwilę utkwiał w Gotreku ponure spojrzenie, ale wreszcie musiał odwrócić wzrok.

– Aye, aye – powiedział. – Dobrze już.

– Snorri nie zrozumiał żartu – wtrącił się Snorri.

Na szczęście nikomu nie spieszyło się, żeby mu wytłumaczyć.

Podczas gdy Felix i Zabójcy jedli, Kat złożyła namiot i zapakowała go do plecaka.

– Ruszam do Stangenschloss – powiedziała, kiedy już wszystko było spakowane. – A stamtąd do Bauholz. Trzeba ich ostrzec, zanim nadejdzie stado, a szybciej będzie, jeśli pójde sama.

– Aye – przytaknął temu pomysłowi Gotrek. – To dobry plan.

Felix już otworzył usta, żeby zaprotestować. Przecież nie mógł pozwolić, żeby poszła sama w dzikie ostępy bez nikogo, kto by ją chronił! Ugryzł się jednak w język. A jak to było ostatniej nocy – właściwie, kto komu uratował życie? Poza tym Kat powiedziała mu w nocy, że jest jedynym mężczyzną, przy którym może być zarówno kobieta, jak i zwiadowcą. Nie mógł jej teraz powiedzieć, że nie chce, aby szła w pojedynkę. Zamknął usta.

– Czy traficie tam sami beze mnie? – zapytała Kat.

Rodi i Snorri potrząsnęli głowami.

– Za dużo drzew – powiedział Rodi. – I wszystkie wyglądają tak samo.

Felix też nie był do końca pewien, co do swoich umiejętności poruszania się po zalesionym terenie. Po dwudziestu latach wędrowania po świecie wiedział trochę o kierowaniu się na podstawie położenia słońca i gwiazd, ale pod gęstymi gałęziami trudno było dostrzec niebo. Przeszkadzało też to, że nie wiedział, w jakim konkretnie miejscu się teraz znajdowali. Nie miał pojęcia, gdzie byli, ani w którą stronę wędrowali podczas śnieżnej zamieci poprzedniej nocy.

– Będziemy szli za stadem – stwierdził Gotrek.

Kat ze smutkiem pokiwała głową.

– Aye. Obawiam się, że zmierzają dokładnie tam, gdzie my, czyli do fortu.

Wstała i poprawiła szelki plecaka.

– No cóż, powodzenia. Do zobaczenia na miejscu.

Zabójcy odburknęli coś wymijającego w odpowiedzi. Kat zwróciła się do Felixa.

– Do widzenia, Felixie – powiedziała.

Felix wstał.

– Do widzenia, Kat – odpowiedział. Chciał do niej podejść i mocno ją przytulić, ale poczuł na sobie wzrok Rodiego i powstrzymał się.

Kat przez chwilę zamarła w oczekiwaniu. Ten moment wystarczył, żeby oboje poczuli się niezręcznie. Zaraz jednak obróciła się gwałtownie na pięcie i ruszyła w stronę drzew.

Felix przeklął w duchu swoje niezdecydowanie i z powrotem usiadł przy ognisku. Czy naprawdę tak się przejmował tym, co sobie pomyśli jakiś krasnolud, czy może sam nie był do końca pewien, co tak naprawdę do niej czuł? A co jeśli bał się, że ona za wiele będzie się spodziewać po tym uścisku?

Ta dziewczyna doprowadzała go do szaleństwa. Bez dwóch zdań.



W drodze powrotnej do szerokiej doliny, którą zeszłej nocy przemierzało stado, odnaleźli zwłoki Argrina Kowala Koron. Ciało spoczywało zagrzebane pod grubą warstwą śniegu – biały wzgórek otoczony przez podobne, aczkolwiek większe zasy. Mało brakowało, a w ogóle by go nie dostrzegli, gdyby nie to, że któryś z nich zauważył wystające z zasy drzewce włóczni używanej przez zwierzoludzi.

Kiedy odgarnęli śnieg, odkryli, że ostrze włóczni tkwiło głęboko w piersi Argrina. Śnieg pod nim i wokół niego pokrywały czerwone kryształki zamarznętej krwi. Otaczało go pięciu zwierzoludzi, równie martwych i zeszywniałych jak on.

Rodi próbował wyrwać młot bojowy z rąk Argrina, żeby „zwrócić go prawowitym właścicielom”, ale okazało się to niemożliwe. Pośmiertne stężenie i siarczysty mróz sprawiły, że uścisk Argrina stał się zbyt mocny. Rodi musiałby odciąć mu rękę, żeby dokonać tego, co zamierzał.

– Zostaw to – powiedział w końcu Gotrek. – I jego też zostaw. Niech bestie zamieszkujące ten przeklęty las wiedzą, kto zabił ich braci. Niech wiedzą, do czego zdolny jest Zabójca.

Rodi pokiwał głową. On, Gotrek i Snorri skłonili głowy nad martwym ciałem Argrina. Następnie obrócili się i ruszyli w dół zbocza w stronę śladów zostawionych przez stado.



Gdy ruszyli w dalszą drogę tropem zwierzoludzi, głównym zmartwieniem Felixa stało się to, że znów ich dogonią, tak jak to miało miejsce wcześniej, i że tym razem Zabójcy nie powstrzymają się przed ruszeniem na spotkanie zagładzie. Okazało się jednak, że jego obawy były całkowicie bezpodstawne. Mimo że burza minęła, zostawiła po sobie metrowe zasy. Rodi brnął przez nie, zagrzebany po swoją rozwidloną brodę, podczas gdy Gotrekowi i Snorriemu śnieg sięgał po pierś. Mimo że krasnoludy były silne, to przedzieranie się przez zasy szło im powoli i pochłaniało mnóstwo

energii. Często musieli się zatrzymywać na odpoczynek. Felix wątpił, żeby pierwszego dnia udało im się pokonać więcej niż piętnaście kilometrów.

– Co za bzdura! – dał wyraz swojemu niezadowoleniu Rodi gdzieś koło południa. – Brnąć przez te śnieżne zasy w pogoni za zagładą, którą mogliśmy mieć już zeszłej nocy.

– Samolubną zagładą – przypomniał mu Gotrek. – Jak już mówiłem.

Rodi prychnął w odpowiedzi:

– Teraz już wiem, dlaczego przez dwadzieścia lat nie odnalazłeś swej zagłady, Gurnissonie.

Gotrek zwrócił ku niemu groźne spojrzenie jednego oka.

– Co masz na myśli, młodobrody?

– Jesteś zbyt wybredny – odparł Rodi. – „To musi być honorowa zagłada, wielka zagłada” mówi wielki Zabójca. Ba! To wszystko nieważne. Zagłada to zagłada. Dla Grimnira liczy się śmierć w bitwie. I nic więcej.

Gotrek mruknął coś tylko pod nosem i podjął na nowo marsz.

– Grimnir faktycznie żąda tylko śmierci. Ale inni wymagają więcej.

Rodi ruszył za nim.

– Co przez to rozumiesz? Zabójcy podlegają tylko prawom Grimnira. Porzucają wszystkich innych bogów.

Ale Gotrek mu nie odpowiedział.

Felix śledził tę wymianę zdań z zapartym tchem. Nigdy wcześniej nie był świadkiem, żeby Zabójca wypowiadał podobne słowa i tak jak Rodi, nie rozumiał ich znaczenia. Jacy inni? Czego żądali od Gotreka? Czyżby Gotrek przez cały ten czas był poddanym jakiegoś króla i nigdy nie wspomniał o tym Felixowi? Czyżby czcił jakiegoś innego boga? Czy miało to coś wspólnego z hańbą, jaką się okrył i która stała się przyczyną jego przemiany w Zabójcę? Felix westchnął sfrustrowany. Być może nigdy się tego nie dowie. Gotrek nigdy nie mówił o takich rzeczach, a Felix dobrze wiedział, że nie powinien się dopytywać. Może Rodiemu uda się coś wydusić z Gotreka, tak jak to zrobił przed chwilą. Felixowi nie pozostawało nic innego, jak trzymać oczy i uszy szeroko otwarte.

Kilka minut później, jak gdyby chcąc zmienić temat, Gotrek zwrócił się do Felixa:

– Co się stało z giermkim, człeczyno? Byłem tak zajęty walką z rycerzami, że nie zauważyłem.

– Został przemieniony – odparł Felix. – Tak jak pozostali.

– Zabiłeś go?

Felix zwiesił głowę.

– Nie... nie miałem serca, żeby to zrobić.

– Okazałbyś mu tym łaskę.

Felix westchnął. Wiedział, że krasnolud miał rację. Jeżeli w umyśle chłopca pozostała najmniejsza ludzka część, to z pewnością jego sigmarycka dusza cierpiałyby katusze na myśl o uwięzieniu w ciele zwierozczłeka. Ta myśl sprawiła, że Felix zatrzymał się gwałtownie. Nagle poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku, gdyż zdał sobie sprawę, jaki los spotkał zakonników Płonącego Serca. Nie zginęli z rąk zwierozczłeka, tak jak myślał Ortwin. Sami stali się bestiami. Zwierozczłek, który zginął z ręki Ortwina, nie ukradł napierśnika z insygniami zakonu – był jego pierwotnym właścicielem.

– A więc zakonnicy nie zginęli, prawda? – powiedział po chwili.

Gotrek potrząsnął głową.

– Nie, człeczyno. Ale jeżeli ich odnajdziemy, podaruję im spokój.

Felix pokiwał głową. Zdecydowanie było to najlepsza rzecz, jaką mogli im ofiarować. Następnym razem nie zadrży mu ręka.

Ruszyli w dalszą drogę, ale Felixowi wnet napłynęła do głowy kolejna myśl. Jak wielu z członków olbrzymiego stada było kiedyś ludźmi? Jak wielu zostało przemienionych w potwory przez błyskawicę, która wystrzeliła z totemu? Raporty o pustych wioskach, te, o jakich wspomniał żołnierz spotkany w Stangenschloss – czyżby wszyscy ci ludzie zginęli? A może uciekli? Czy jednak zostali przemienieni przez niebieskie światło i od tamtej pory podążali posłusznie w ślad za szamanem?

Przeszedł go dreszcz strachu. Jakaż armia mogła stawić czoła takiemu zagrożeniu? Rycerze, włócznicy i szermierze mogliby oczywiście natrzeć na stado, ale zanim zdołaliby dobiec do pierwszych szeregów, poraziłoby ich niebieskie światło. Pewnie

padliby na ziemię, zwijając się z bólu i wrzeszcząc przeraźliwie, a następnie powstałoby już jako bestie i zwrócili się przeciw swym ludzkim towarzyszom. Była to wizja rodem z koszmaru i jeżeli ten koszmar miał stać się prawdą, to Stangenschloss będzie zgubione, tak samo jak każda wioska i miasto aż po Talabek. Czy chociaż Talabheim lub Altdorf zdołają odeprzeć taki najazd? Czarodzieje ze wszystkich kolegów będą musieli połączyć siły, żeby zniszczyć kamień, zanim stado osiągnie liczbę nie tysięcy, ale dziesiątek tysięcy zwierzolutzi.

Powłóczył niemrawo nogami, przerażony tą okropną wizją.



Drugiego dnia dotarli do miejsca, w którym musiało znajdować się stado, kiedy ucichła burza śnieżna. Od tego miejsca śnieg był ugnieciony na poczerniałą skorupę o grubości kilku centymetrów, co sprawiało, że podróżowało się znacznie szybciej. Felixa na nowo ogarnął niepokój, że dogonią zwierzolutzi, a Zabójcy zrobią coś nierozsądnego, ale rankiem następnego dnia burza rozszalała się na nowo. Obudzili się i zobaczyli, że ich namioty zostały dosłownie wyrwane z ziemi przez gwałtowne podmuchy wiatru, a śnieg padał nawet mocniej niż ostatnio. Wydeptana przez zwierzolutzi ścieżka na nowo pokryła się grubą warstwą śniegu.

Felix zaczął się zastanawiać dlaczego kiedykolwiek marzył o powrocie do swej rodzinnej krainy.



Rankiem czwartego dnia wędrowki przedzierali się przez teren porośnięty olbrzymimi dębami. Wiatr wciąż wiał porywiście, obsypując ich obficie śniegiem. Wtem, ni stąd, ni zowąd, Snorri zachichotał i odezwał się:

– To przypomina Snorriemu walkę ze zwierzoludźmi, którą stoczył w śniegu, walcząc ramię w ramię ze swymi przyjaciółmi, Gotrekiem i Felixem.

Felix słysząc to, spojrzął na Zabójcę i zobaczył, że ten się krzywi.

– Snorri – powiedział łagodnie Felix. – To my jesteśmy twoimi starymi przyjaciółmi, Gotrekiem i Felixem.

Snorri spojrzął na Felixa, marszcząc czoło. Najwyraźniej łamał sobie głowę nad tym, co przed chwilą usłyszał, po chwili jednak uśmiechnął się.

– Snorri o tym wie – powiedział. – Ale to było kiedyś. Snorri, Gotrek, Felix i ich przyjaciel Max właśnie zabili wampira, gdy zaatakowali ich zwierzoludzie. A potem Gotrek i Felix przeszli przez tamten portal i nigdy nie wrócili.

– Snorri, posłuchaj mnie – przerwał mu zniecierpliwiony Felix. Dlaczego stary Zabójca nie był w stanie połączyć wydarzeń z przeszłości i teraźniejszości?

– Nie ma sensu z nim rozmawiać – stwierdził Rodi. – Biednemu ojczulkowi Rdzawej Czaszce brakuje piątej...

– A co się stało potem, Gryzonosie? – wtrącił się Gotrek. – Dokąd poszedłeś?

– Max i Snorri wrócili do Praag, żeby walczyć z hordami nie-pamiętam-imienia-kogo – odpowiedział Snorri. – Ale ci tchórze wzięli nogi za pas, gdy tylko dotarliśmy na miejsce.

Zawahał się.

– A potem... a potem...

– A potem udałeś się na polowanie na zwierzoludzi z kimś o przydomku Łachmaniarz Ruchendorf – dokończył ze zniecierpliwieniem w głosie Rodi. – I zabiłeś pana zwierzoludzi w lasach Ostenmarku.

– Aye, racja – przytaknął Snorri. – Teraz Snorri sobie przypomina.

Felix spojrzął na Rodiego.

– Byłeś tam z nim?

– Gdzie tam – odparł Rodi. – Ale wiele razy słyszałem, jak o tym opowiadał. Czasem pamięta, czasem nie.

– Łachmaniarz to był porządny chłop – powiedział Snorri, błędząc po okolicy nieobecny wzrokiem. – Pił niemal tyle samo co Snorri. Snorri uważa, że to całkiem nieźle jak na człeczynę.

Stary Zabójca roześmiał się.

– Raz urządził sobie zawody ze Snorrim. Powiedział, że jeśli Snorriemu uda się ściąć tyle łbów zwierzoludzi ile jego ludziom razem wziętym, podaruje Snorriemu beczkę ale z Karak Norn. Snorri zabił dziewięćdziesięciu zwierzoludzi w trzy dni – w tym kilku naprawdę wielkich – i wygrał o piętnaście sztuk! Snorri wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Dalej nie możesz tego pojąć? – westchnął Rodi. – Twój przyjaciel Łachmaniarz był najprawdopodobniej łowcą głów i dostał nieźle wynagrodzenie za twoją pracę. Okradł cię z twojej części zarobku i zamiast tego tylko spił cię piwem.

– To było bardzo dobre piwo – zaprotestował Snorri.

Rodi potrząsnął głową i poddał się.

– A co potem? – drążył Gotrek.

Snorri w zamyśleniu ściągnął krzaczaste brwi.

– Snorri był potem w wielu miejscach, zabijał różnych wrogów: orki, zwierzoludzi, trolle, skaveny. Raz nawet walczył ze smokiem, wspólnie ze swymi przyjaciółmi, Gotrekiem i Felixem.

– Nie – poprawił go Felix. – To było przedtem.

– A tak – odparł niezrażony Snorri. – To było przedtem.

Przez moment wydawało się, że uwaga Felixa wprawiła go w zamyślenie, ale zaraz potem roześmiał się na całe gardło.

– Czy Snorri opowiadał wam kiedyś o tym, jak wsadzili go do więzienia za zabicie zwierzoludzi?

– Tak – powiedział ponurym głosem Rodi.

– Nie – odparli unisono Gotrek i Felix.

Snorri znów wybuchnął śmiechem, po czym podrapał się między gwoździemi stanowiącymi jego grzebień i ciągnął:

– Snorri był w jakimś ludzkim mieście – nie pamięta nazwy. On i paru innych zostali wynajęci przez mieszkańców do ochrony przed zwierzoludźmi i zabili wielu wrogów. W noc po tym, jak bestie zostały odparte od murów miasta, Snorri poszedł się napić. Po dziesięciu czy dwudziestu piwach postanowił wrócić do obozu,

który znajdował się na polu za osadą. Po drodze Snorri zobaczył całe stado zwierzoludzi stojących na łące i spoglądających w stronę osady. Snorri zdał sobie sprawę, że zdradzieccy zwierzoludzie najpewniej powrócili, dlatego wyciągnął topór i wybił wszystkich, co do jednego. Tej nocy spadło ponad pięćdziesiąt głów.

Felixowi wydało się to przesadą. Tak naprawdę pewnie było tego z dwadzieścia sztuk.

– Ale dlaczego cię za to aresztowali? – zapytał. – Przecież z pewnością wyświadczyłeś im tym ogromną przysługę.

Snorri prychnął.

– Burmistrz powiedział Snorriemu, że to nie byli zwierzoludzie, ale krowy i wsadził go do paki.

Snorri zarechotał.

– Jeżeli to byłyby krowy, to przecież Snorri by ich nie zabił. W zabijaniu krów nie ma nic chwalebego.

– To były krowy, zakuty łbie – wtrącił się znowu Rodi. – Z pewnością. I miałeś szczęście, że burmistrz cię nie powiesił. Pozbawiłeś tych ludzi całego mięsa i mleka. Połowa mieszkańców pewnie głodowała przez całą zimę z twojego powodu.

Snorri potrząsnął głową.

– Snorri jest niemal pewien, że to byli zwierzoludzie.

Felix zerknął na Gotreka i zobaczył, że ten ze smutkiem potrząsa głową. Krasnolud jednak nie powiedział ani słowa.

– A więc walczysz z orkami, zwierzoludźmi i trollami od dwudziestu lat i wciąż nie odnalazłeś swej zagłady? – zapytał natomiast Felix. Wydawało mu się to niesamowite, aczkolwiek Gotrek przecież też walczył z orkami, zwierzoludźmi i trollami od dwudziestu lat i również nie odnalazł jeszcze swej zagłady.

Snorri pokiwał głową.

– Snorriemu jest przykro z tego powodu. Spotkał wielu Zabójców i każdy z nich spotkał już swoją zagładę, a Snorri wciąż szuka.

Rozejrzał się po lesie z nietypową dla siebie złością.

– Snorri uważa, że to вина tej starej kobiety.

Felix i Gotrek wymienili spojrzenia, po czym obaj jak na komendę utkwili pytające spojrzenia w Rodim. Młody Zabójca wzruszył ramionami i przewrócił oczami.

– Jaka stara kobieta? – zapytał Gotrek.

– Snorri raz ocalił w lesie starą kobietę – wyjaśnił Snorri. – Atakowały ją pająki. Wielkie bestie, takie jak te, których gobliny używają jako wierzchowców. Snorri zabił je wszystkie, ale pogryzły go straszliwie i zaczęło mu się tak kręcić w głowie, że nie mógł chodzić. Kobieta zabrała go do swego domu – Snorriemu wydaje się, że mieszkała na drzewie – nakarmiła go i napoiła paskudnie smakującym piwem.

Znów zmarszczył brwi. Snucie dłuższej opowieści przychodziło mu z widocznym wysiłkiem.

– Snorriemu wydaje się, że był tam bardzo długo, ale nie pamięta dokładnie. Kiedy odchodził, kobieta powiedziała mu, że powinien był umrzeć od ukąszeń pajaków. Powiedziała, że dała Snorriemu jakieś lekarstwa, ale było już za późno i powinien był umrzeć.

– No cóż, najwyraźniej się myliła, nieprawdaż? – powiedział Felix.

Snorri pokiwał głową.

– Snorri żałuje, że nie myliła się w innych rzeczach. Powiedziała Snorriemu, że patrzyła w gwiazdy i wyczytała w nich, że Snorri jeszcze przez długie lata nie odnajdzie swej zagłady. Powiedziała, że Snorriemu jest przeznaczone dokonać wielkich czynów.

Parsknął gniewnie, Widać było, że znowu ogarnia go rozdrażnienie.

– Snorri myśli, że kobieta rzuciła na niego przekleństwo. Snorri myśli, że jej gwiazdy nie pozwalają mu odnaleźć zagłady.

Felix zamrugał oczami, słysząc tę opowieść. Snorri Gryzonos miał dokonać wielkich czynów? Kto by pomyślał?

– Ludzkie brednie – skomentował Rodi.

– Snorri chciałby, żeby tak było – powiedział Snorri. – Starał się tego dowieść wiele razy, ale wciąż żyje. Snorri jest bardzo zły na tamtą kobietę.

Gotrek zmarszczył czoło, słysząc te słowa.

Felixowi przyszło na myśl, żeby wyjaśnić Snorriemu, że przepowiadanie przeszłości nie do końca tak działa, i że zrozumiał to zupełnie opacznie. Uświadomił sobie jednak, że jeżeli stary

Zabójca wciąż uważa, iż wyrznął stado zwierzoludzi, a nie krów, to musi się liczyć z tym, że niuanse sztuki prorokowania pozostaną dla niego niezgłębione.

– Czy stara kobieta powiedziała, jakie dokładnie jest twoje przeznaczenie?

– Nie – odparł Snorri. – Ale Snorri ma nadzieję, że to się okaże niezbyt szybko.

Gotrek zwrócił ku Snorriemu lodowate spojrzenie.

– Co? Co to ma znaczyć? Czyżbyś już nie szukał zagłady?

Na brzydkiej twarzy Snorriego odmalował się wstyd. Krasnolud zwiesił głowę.

– Snorri nie powinien był się odzywać.

Gotrek zatrzymał się i stanął twarzą w twarz ze starym Zabójcą. Wbił w niego świdrujące spojrzenie jedyne go oka.

– Snorri Gryzonosie, jeżeli sprzeniewierzyłeś się przysiędze złożonej Grimnirowi, to nie możemy dłużej iść razem.

– Nie o to chodzi, Gurnissonie – powiedział Rodi. – On...

Gotrek wyciągnął dłoń uciszającym gestem.

– Chcę to usłyszeć od niego.

Snorri wciąż gapił się w ziemię. Na jego twarzy malował się wyraz takiego nieszczęścia, że było to niemal komiczne.

– Snorri okrył się nową hańbą – wydusił wreszcie. – Nową, wielką hańbą.

– Co to za hańba? – warknął niecierpliwie Gotrek.

– Snorri... – stary Zabójca głośno przełknął ślinę. – Snorri zapomniał, dlaczego został Zabójcą.

12

Gotrek zamrugał ze zdziwienia oczami. Na jego surowej twarzy odmalowywał się wyraz prawdziwego szoku.

– Kiedy to się stało?

– Snorri nie wie – powiedział Snorri. – Starał się sobie przypomnieć po bitwie o Middenheim, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Pustka.

– Zbyt wiele gwoździ w głowie – wymamrotał Rodi pod nosem.

– Czy to wstyd dla Zabójcy zapomnieć powód swojego zhańbienia? – zapytał zdezorientowany Felix.

– To gorsze niż wstyd, człeczyno – Gotrek wycedził przez zęby, nie spuszczać wzroku ze Snorriego. – To zbrodnia przeciw Grimnirowi.

Westchnął ciężko.

– Krasnolud staje się Zabójcą, żeby odpokutować za wielką hańbę. Jeżeli zapomni, co było jej przyczyną, nie będzie mógł w pełni odkupić swych win. Jeżeli umrze, nie przypomniawszy sobie, nigdy nie zostanie przyjęty na dwór Grimnira. Nie zazna spokoju po śmierci.

Minęła chwila milczenia, kiedy to Felix trawił tę informację i uświadamiał sobie ogrom niedoli biednego Snorriego. Straszliwe położenie krasnoluda wydawało mu się nieszczęściem porównywalnym do losu wiernego wyznawcy Sigmara, który ku swemu przerażeniu odkrywa, że wyrastają mu macki lub trzecie oko. Snorri był pozbawiony zbawienia i wybaczenia.

– Snorri idzie z pielgrzymką do Karak Kadrin – powiedział Snorri. – Żeby pomodlić się w Świątyni Grimnira. Poprosi Grimnira, żeby pomógł mu odzyskać pamięć i odnaleźć jego zagładę.

Gotrek pokiwał głową.

– Dobrze czynisz, Snorri Gryzonosie. Oby Grimnir wysłuchał twoich próśb.

– Ale jeśli obawiasz się znaleźć swą zagładę, zanim odzyskasz pamięć, dlaczego nadal walczysz? – wtrącił się Felix tknięty nagłą myślą. – Czyż to nie straszliwe ryzyko?

Snorri tylko wzruszył ramionami.

– Stara kobieta powiedziała, że Snorriemu przeznaczone jest coś wielkiego, więc póki tego nie znajdzie, jest bezpieczny. A poza tym – uśmiechnął się z zażenowaniem – kiedy przychodzi co do czego, Snorri wpada w ekscytację i zapomina o tym, że zapomniał.

– Zapomniałbyś o swojej głowie, gdyby nie to, że masz ją przytwierdzoną do szyi – skomentował zgryźliwie Rodi.

Gotrek rzucił młodemu Zabójcy ostre spojrzenie, po czym obrócił się na pięcie i na nowo zaczął przedzierać się przez śnieżne zaspę.

– Chodźcie – rzucił tylko za siebie. – Przed nami długa droga.



Jakiś czas potem, kiedy Rodi i Snorri zostali trochę z tyłu, Felix zwrócił się ku Gotrekowi i zapytał, zniżając głos:

– Gotreku, czy ty nie wiesz, dlaczego Snorri został Zabójcą? Nie mógłbyś mu powiedzieć i wybawić go z tego nieszczęsnego położenia?

Gotrek potrząsnął głową.

– Zabójcy nikomu nie opowiadają o swojej hańbie – odparł. – Nawet innemu Zabójcy. Nigdy mi nie powiedział. Zresztą, nawet gdyby to zrobił, nie powiedziałbym mu teraz.

– Na Sigmara, dlaczego?

– Obowiązkiem Zabójcy jest ciągle rozpamiętywanie swej hańby – burknął Gotrek w odpowiedzi. – Jeżeli Snorri Gryzonos zapomniał o swym wstydzie, to jest to jego brzemię do dźwignia i jego problem, który musi rozwiązać. Powiedzieć mu byłoby tak samo

złym uczynkiem, jak zabić go, żeby mógł odnaleźć swą zagładę. Droga wiodąca na dwór Grimmira nie jest łatwa.

Felix pomyślał, że to okrutne i niesprawiedliwe, ale przecież większość z tego, co uchodziło za krasnoludzką filozofię, wydawało mu się zbyt surowe. Westchnął więc tylko i podjął marsz, nagle czując się bardzo przygnębiony. Biedny Snorri. Nigdy nie spodziewał się, że kiedyś pożałuje niefrasobliwego starego Zabójcy. Po prawdzie nigdy nie myślał o nim jak o istocie, która zdolna byłaby do odczuwania smutku. Okazywało się jednak, że ponury Stary Świat miał moc pozwalającą na odcisnięcie swego piętna nawet na najbardziej beztroskich istotach. Szkoda.



Piątego dnia druga burza śnieżna ucichła. Mniej więcej w południe szóstego dnia dotarli do połaci zdeptanego śniegu, dzięki czemu wiedzieli, że stado mogło być nie dalej niż dzień drogi przed nimi. Felix zaczął się martwić o obrońców Stangenschloss. Nawet jeśli Kat udało się na czas ich ostrzec, to co mogli zrobić, żeby przygotować się na nadchodzące stado? Może żołnierze zdecydowali się opuścić fort? Może posłali na południe po jakiegoś maga? A może zabarykadowali się z nadzieją, że stado ich ominie? Może w ogóle nie uwierzyli w opowieść Kat?

Późnym popołudniem siódmego dnia dostrzegli pierwsze ślady bitwy – żołnierski hełm porzucony w krzakach, czerwoną smugę na śniegu, zmasakrowany koński szkielet z wciąż tkwiącymi w nim odłamkami metalu. Kawalek dalej natrafili na bezgłowe zwłoki człowieka w mundurze kompanii Ilgnera. Zaraz potem Zabójcy wyciągnęli broń i od tej chwili poruszali się ze wzmożoną czujnością. Felix poszedł za ich przykładem. Stado mogło się znajdować za następnym zakrętem, albo jeszcze za kolejnym.

Godzinę później, gdy zachodzące słońce zmieniło biel śniegu w czerwień przywodzącą na myśl rozlaną krew, dotarli wreszcie do

fortu. Ślady stada prowadziły prosto do twierdzy, wiodąc przez wykarczowane pola, które otaczały ją od tyłu.

Felix i Zabójcy zatrzymali się przed wkroczeniem na otwartą przestrzeń i z uwagą przyjrzeni się fortowi. Mury stały niewzruszone i nie było widać słupów dymu unoszących się nad twierdzą. Jednakże nie było też widać żadnych oznak życia – promienie słońca nie odbijały się od hełmów wartowników, z kuchennego komina nie unosiła się smużka dymu. Panowała śmiertelna cisza.

– Czyżby opuścili fort? – Felix zadał nurtujące wszystkich pytanie.

– Zaraz się przekonamy – odparł Gotrek.

Ruszyli brzegiem pola, trzymając się na razie linii drzew. Ziemia pod murami fortu była zasłana ciałami dziesiątek martwych zwierzóludzi. Z ich ciał sterczały strzały, ale nie było widać żadnych innych oznak walki. Mury były nietknięte i nigdzie nie było widać martwych żołnierzy.

Felix zaczął się nawet zastanawiać, czy stado może nie przeszło obok, nie kłopotząc się nawet oblężeniem fortu. Jednakże, gdy podeszli na tyle blisko, że ich oczom ukazał się widok zza bocznej wieży, nadzieja w nim umarła, zatopiona przez falę śmiertelnej grozy. Wrota były szeroko otwarte, a na straży nie stał żaden wartownik.

– Spójrzcie – powiedział Rodi.

Felix obrócił się i spojrział w tym samym kierunku, co pozostali. Na przeciwległym krańcu wykarczowanego terenu ziała wycięta w lesie dziura, dokładnie taka sama jak ta, którą tu weszli.

– Zwierzóludzie poszli dalej – stwierdził młody Zabójca.

– Ale czy zabrali ze sobą całą załogę garnizonu? – zapytał Gotrek.

Felix poczuł, że ogrania go panika.

– Kat – wyrwało mu się z piersi i całym wysiłkiem woli musiał się powstrzymać przed pobiegnięciem w stronę fortu i poszukaniem jej. Jeżeli była martwa lub przemieniona, to stało się to kilka godzin temu, może nawet dni. Żadna szaleńcza szarża już tego nie zmieni.

Wraz z Zabójcami podeszli ostrożnie w stronę bram. Po drodze mijali coraz więcej naszpikowanych strzałami zwierzóludzi.

Lustrowali nieustannie mury twierdzy, jednakże nie leciały z nich już żadne strzały, włócznie ani kamienie. Nie słyhać było wojennych okrzyków.

Wreszcie dotarli do otwartych wrót i zajrzeli do środka. Na dziedzińcu panował bezruch i cisza, ale tylko dlatego, że było zbyt zimno dla much. Zwłoki leżały wszędzie – ludzie i bestie porąbani na krwawe kawałki, niektórzy z nich wciąż szepieni w śmiertelnym uścisku z przeciwnikami. Jaskrawoczerwona krew plamiła śnieg tworząc czerwone wyspy na zamrożonym białym morzu.

– Snorri przegapił walkę – stwierdził Snorri.

– Ale niezbyt wielką – pocieszył go Rodi. – Widzę tu nie więcej niż dwudziestu naszych.

– Czterdziestu – poprawił go Gotrek.

Rodi prychnął.

– Wzrok cię zawodzi, Gurnissonie. Nie doliczyłem się więcej niż...

– Spójrz na zwierzoludzi – przerwał mu Gotrek. – Noszą te same mundury co ich przeciwnicy.

Rodi przyjrzał się dokładnie trupom, tak samo jak Felix. Gotrek miał rację. Zwierzoludzie leżący na dziedzińcu mieli na sobie porozdzierane kamizele i powgniatane napierśniki, wszystkie oznaczone barwami i herbem Ilgnera.

– Kamień – jęknął Felix.

– Aye – zgodził się Gotrek. – Dokonał tu swego strasznego dzieła.

Felix znów pomyślał o Kat i tym razem nie mógł się opanować.

– Wybaczcie mi – powiedział. – Muszę... Rzucił się biegiem przez dziedziniec.

– Człeczyno – warknął Gotrek. – Poczekaj.

Ale Felix biegł przed siebie, nie zważając na słowa krasnoluda. Rozglądał się trwożliwie po ciałach mijanych zwierzoludzi, żeby sprawdzić, czy gdzieś nie mignie mu szal, kapelusz lub gruby wełniany płaszcz.

Kiedy wbiegł za róg na stajenne podwórze, dostrzegł niedużą postać klęczącą nad zwłokami. Serce zatłukło mu się w piersi, ale

wtedy zobaczył, że ma przed sobą chłopca ubranego w wieśniacze szmaty. Dziecko ściągało pierścienie z palców martwego rycerza.

– Ej, chłopcze! – zawołał Felix.

Chłopak spojrział na niego, źrenice rozszerzyły mu się ze strachu i zaraz czmychnął w stronę kuchennego podwórza znajdującego się za następnym rogiem.

– Wracaj tu! – wrzasnął Felix i pobiegł za nim. Chłopiec mógł coś wiedzieć o Kat!

Zobaczył, jak dzieciak znika w drewnianej stodole wybudowanej przy zewnętrznym murze. Zwolnił. Z szopy nie było innego wyjścia. Dziecko było w pułapce.

– Dobrze więc – powiedział, stając w szerokich odrzwiach. – Wyjdź, chcę tylko z tobą porozmawiać...

Przerwał, gdy ujrzał, że otacza go banda przerażonych chłopów. Przerażonych nie oznaczało jednak bezbronnych. Mężczyźni ściskali w dłoniach ostre sztylety, włócznie i pałki.

– To nasze łupy – odezwał się jeden ze stojących na przedzie mężczyzn. Miał opadające ramiona, a spod wełnianej czapki wystawała strzecha brudnożółtych włosów. – Idź znajdź sobie własne.

Chłopiec zerkał zza jego pleców, rzucając Felixowi gniewne spojrzenia.

Felix zerknął po pozostałych ludziach zgromadzonych w stodole i zobaczył, że ładują worki mąki i słoje pełne oleju do gotowania na wózek, do którego zaprzęgnięta była stara, wychudzona szkap. Zrobił krok do tyłu, opuszczając miecz i wznosząc wolną dłoń.

– Spokojnie – powiedział. – Nie chcę waszych łupów. Chcę... chcę tylko zapytać, co tu się stało.

Mężczyźni popatrzyli po sobie, po czym z powrotem na niego. Najwyraźniej wciąż nie do końca mu ufali.

– To nie nasza sprawka – powiedział przywódca. – Nie możesz nas winić za to, co się stało.

– Oczywiście, że nie – powiedział Felix możliwie jak najłagodniejszym tonem. – To zwierzoludzie. Ja tylko...

– Niebieskie światło! – zajęczał ktoś z kąta. – Niebieskie Światło!

Dziwaczny pisk sprawił, że Felixowi podniosły się włoski na karku. Obrócił się w stronę jego źródła, tak jak pozostali. Jeszcze jeden wieśniak siedział w rogu, obejmując kolana rękami. Był to wielki jegomość z fartuchem kowala narzuconym na wydatny brzuch, ale jego twarz przypominała raczej twarzyczkę przerażonego dziecka, które przed chwilą obudziło się z koszmarne snu.

– Niebieskie światło! – zaskrzeczał ponownie.

– Cicho, Wattie! – warknął przywódca szabrowników. – Już ich nie ma. Przecież ci mówiłem.

– A gdzie jest Hanna, Gusie? – wyjęczał zwalisty mężczyzna. – Dokąd poszła Hanna?

– Ona... – Gus rzucił spojrzenie na płócienną plandekę przykrywającą coś koło drzwi. Spod materiału wystawała raciczka, mała jak na zwierzoczęka.

– Wyruszyła do Leer, Wattie. Przecież ci mówiłem. A teraz cicho bądź.

Gus zwrócił się ponownie do Felixa.

– Lepiej będzie jak pójdziesz swoją drogą, mein Herr. Nie chcemy... – przerwał, ponieważ z zewnątrz dobiegło skrzypienie kroków na śniegu zalegającym przed stodołą.

Chłopi znów chwycili za włócznie i sztylety.

– Kto to? – warknął Gus. – Kto jest z tobą?

Felix zobaczył cienie krasnoludów malujące się na słomie zalegającej na podłodze stodoły. Trzy przysadziste sylwetki pojawiły się obok niego i stanęły w drzwiach.

– Co teraz, do diaska? – zapytał z irytacją w głosie Rodi.

Gus wlepił w niego wzrok, po czym opuścił włócznie i zrobił krok do przodu.

– Mistrzu Rodi, wróciliście!

Po czym rzucił nerwowe spojrzenie w kierunku wozu załadowanego kradzionymi dobrami.

– Ehm, czy mój pan jest z tobą?

– Nie, panie kucharzu – odpowiedział Rodi. – Lord Ilgner nie żyje. Tak samo jak Argrin. Zabici przez zwierzoludzi.

Na twarzy Gusa odmalowało się przygnębienie.

– Och, to zaiste zła wiadomość.

Pozostali wieśniacy tylko jęknęli ze zgrozą.

– Co tu się stało? – zapytał Rodi.

Gus westchnął i jakby jeszcze bardziej pochylił się ku ziemi pod ciężarem trosk.

– Nie wiem dokładnie. Kiedy leśna dziewczyna przyniosła wieści o tym, że nadchodzą bestie, niektórzy z nas się przestraszyli i schowali w starych jaskiniach, w których kiedyś gnieździli się rozbójnicy.

– A więc dotarła tutaj! – wyrwało się Felixowi.

– Aye – potwierdził Gus. – Chociaż sami widzicie panoczki, na ile się zdało jej ostrzeżenie. Tylko Wattie nie schował się wtedy z nami, ale nie można z niego wyciągnąć, co się stało. Na pewno cosik okropnego – powiedział, ponownie rzucając spojrzenie w stronę zwłok małego zwierzoczątka spoczywających pod plandeką.

– Niebieskie światło! – zawył Wattie ponownie ze swojego kąta.

– Kiedy to się stało? – zapytał Gotrek.

– Ukryliśmy się w jaskiniach zeszłej nocy – odparł Gus. – Kiedy wróciliśmy dzisiaj rano, zastaliśmy to.

– A dziewczyna, która przyniosła wieści – wtrącił się niecierpliwie Felix. – Czy wiecie, co się z nią stało?

Gus i pozostali potrząsnęli tylko przecząco głowami.

– Widziałem ją, jak rozmawiała z kapitanem Haschke, zanim jeszcze ruszyliśmy do jaskiń, ale później już nie – powiedział Gus.

Zwrócił się ponownie do Rodiego.

– Nie doniesiesz na nas, prawda, mistrzu Rodi? Musimy sobie jakoś radzić.

Rodi wzruszył ramionami.

– A komu niby miałbym donieść?

Felix na nowo przeżywał atak paniki. Wysunął się ze stodoły.

– Muszę zobaczyć, czy ona tutaj jest – powiedział i pobiegł.

Przeszukał cały fort od flanek po lochy, rozdarty między strachem, że odnajdzie tu Kat, a niepewnością co do jej losu. Każde nowe ciało, na jakie napotykał, sprawiało, że serce biło mu szybciej i krew uderzała do głowy. Niecierpliwie krążył między zwłokami zabitych zwierzoludzi, jednocześnie obawiając się zbyt szybko

poznać odpowiedź na nurtujące go pytania. Wreszcie, gdy purpurowe niebo poczerwiało już całkowicie, poddał się. Nie było jej tu, a przynajmniej nie mógł znaleźć jej ani nikogo, kto by ją przypominał. Czyżby ruszyła do Bauholz? A może rzuciła się do walki ze stadem i zginęła gdzieś na polu bitwy albo w lesie? Będzie musiał się tego dowiedzieć.

Pobiegł z powrotem do Gotreka, Snorriego i Rodiego, którzy właśnie wytaczali beczkę piwa z piwnic, podczas gdy Gus i jego ludzie przygotowywali posiłek.

– Musimy wyruszyć do Bauholz – wysapał Felix. – Natychmiast.

– Jest już za późno, człeczyno – odparł Gotrek. – Ruszymy z samego rana.

– Nie możemy czekać do rana – jęknął Felix. – Musimy się znaleźć w Bauholz przed stadem.

– I tak się stanie – powiedział Gotrek, stawiając beczkę na dnie. Skinął w stronę Rodiego. – Młodobrody odkupił od kucharza wózek i konia. Pojedziemy drogą, podczas gdy zwierzoludzie będą musieli przedzierać się przez las, karczując sobie drogę metr za metrem. Jeden dzień wystarczy nam, żeby ich wyprzedzić.

– Ale powinniśmy zyskać nad nimi tyle przewagi, ile tylko możliwe! – nalegał Felix. – Zanim uda nam się ewakuować całe miasteczko, minie sporo czasu!

– Spokojnie, Herr Jaeger – wtrącił się Rodi. – Noc spędzona pod dachem pozwoli nam lepiej odpocząć przed drogą. A poza tym, zjadłbym wreszcie jakiś normalny posiłek.

– A Snorri napiłby się wreszcie jakiegoś normalnego piwa – dodał Snorri.

Felix tylko jęknął w duchu, ale musiał przyznać, że krasnoludy miały rację. Jedna noc nie zrobi większej różnicy, ale czuł się tak źle z myślą, że jeszcze parę godzin spędzi beczynnym, nie robiąc nic, aby odnaleźć Kat – i pomóc mieszkańcom Bauholz, oczywiście.



Była to droga przez mękę. Felix niecierpliwił się i przeklinał każdą minutę tych pięciu dni, które zajęło im dostanie się do Bauholz. Koścista chabeta być może była i szybsza od maszerujących krasnoludów, ale wciąż nie dosyć szybka. Każdy wybój, każdy przystanek w celu przepchnięcia wozu przez kolejną zamarzną koleinę, każdy raz, kiedy musieli udeptywać śnieg, żeby koła nie zaklinowały się w zaspach, doprowadzał Felixa do szaleństwa. Obgryzał paznokcie ze zniecierpliwienia i marzył, żeby rzucić się biegiem przed siebie, zostawiając Zabójców za sobą. Zdarzały się chwile, kiedy prawie poddawał się pokusie i już miał rzucić coś na odchodne i ruszyć przed siebie, ale zdawał sobie sprawę, że byłoby to bardzo nierozsądne. Bez ich ochrony stawał się łatwym łupem dla wszystkiego, co czaiło się w lesie i zwiększał prawdopodobieństwo, że zginie, zanim dowie się, co się stało z Kat. W towarzystwie krasnoludów, jakby nie były powolne, miał większe szanse dostać się do Bauholz i uczynić coś pożytecznego, kiedy wreszcie się tam znajdzie.

Kiedy w końcu w południe piątego dnia na horyzoncie pojawiły się pokryte śniegiem pola i drewniane obwarowania małego miasteczka, Felix wypuścił z płuc westchnienie ulgi. Szare wstążki dymu unoszące się z kominów na dachach mówiły wyraźnie, że bestie nie wyrządziły w nim spustoszenia. Zeskoczył z wózka, niezdolny dłużej kontrolować targającego nim niepokoju i ruszył truchtem w stronę bram.

– Ja tylko, ehm, dam im znać, że przybywamy – rzucił przez ramię.

– Aye, człeczyno – powiedział Gotrek.

Rodi zachichotał złośliwie.

Wokół bramy i na palisadzie tłoczyli się mieszkańcy osady, poprawiając liny, które ścisnęły belki, umieszczając nowe kłody w dawno nienaprawianych wyłomach i stawiając drewniane pawęże na szczycie obwarowań, żeby łucznicy mieli się za czym schować podczas oddawania strzałów. Felix zdziwił się tym widokiem, ale pokiwał głową z aprobatą. Wyglądało na to, że Beznosy Milo wziął sobie do serca obowiązek ochrony miasta, kiedy przejął w nim władzę. Felix nie spodziewał się tego po nim, chociaż oczywiście w

ostatecznym rozrachunku nie na wiele się to zda. Nawet bez straszliwego kamienia, olbrzymie stado pod wodzą szamana mogłoby zmieść miasteczko z powierzchni ziemi, nie zwalniając przy tym nawet za bardzo kroku. Ci ludzie powinni uciekać, a nie szykować się do walki.

Wrót strzegło dwóch wymizerowanych chłopów, którzy tylko odprowadzili go spojrzeniem, gdy przebiegł między nimi. Biegł główną ulicą i zauważył, że w środku wrzało jak w ulu, podobnie jak na zewnątrz. Mieszkańcy robili co w ich mocy, żeby wzmocnić swoje skromne domostwa – zabijali deskami okna, zakładali zasuwę na drzwi, budowali barykady na ulicach. Felix rozglądał się w poszukiwaniu Milo lub kogoś z jego ludzi, ale o dziwo nikogo nie zauważył. Czyżby byli na murach, pomagając w zbrojeniach? A może zbirowi wcale nie udało się pokonać ludzi Ludekera? Nie, to nie mogło być to, bo Felix nie widział nigdzie również wissenlandzkich mundurów. Dziwne.

Pobiegł do Prochu i Wystrzału, starej świątyni Sigmara zamienionej w piwiarnię. Zatrzymał się z wrażenia, gdy zobaczył, jak dwóch ludzi na drabinach ściąga prymitywnie odmalowany szyld tawerny i przygotowuje się, żeby zawiesić tam z powrotem połączany drewniany młot.

Na stopniach wiodących do świątyni stał wychudzony starzec, który przyglądał się poczynaniom robotników. Felix rozpoznał w nim doktora Vincka.

– Herr doktorze! – zawołał i podbiegł do niego.

Stary chirurg spojrzał w jego stronę i uśmiechnął się, rozpoznając Felixa.

– Herr Jaeger, czy to ty? Cóż za spotkanie, sir. Przyznaję, że nie spodziewałem się zobaczyć cię ponownie.

– Co tu robisz? – zapytał Felix. – Pracujesz teraz dla Beznosego Milo? Czy Kat jest tu gdzieś z tobą?

Doktorowi Vinckowi zrzęda mina.

– Obawiam się, że odpowiedzi na wszystkie twoje pytania są ze sobą powiązane, mój chłopcze. Jestem tutaj, ponieważ Milo wraz z kolegami opuścili miasto, kiedy tylko Kat przyniosła nowiny o tym, że zbliża się do nas stado zwierzoludzi. Zabrali ze sobą całe zapasy,

które Ludeker nakradł podczas swego panowania, załadowali je na wozy i ruszyli na południe. Stawimy czoła naszemu przeznaczeniu jedynie z kilkoma łukami do polowań i widłami.

Roześmiał się i spojrział na szyld tawerny przedstawiający kule i beczkę z prochem strzelniczym.

– Prochu i Wystrzału już nie ma, więc musimy zawierzyć Sigmarowi.

– Ale co z Kat? – przerwał mu niecierpliwie Felix. – Co z nią? Doktor Vinck westchnął.

– Milo zabrał ją ze sobą.

– Co?! – wykrzyknął Felix. – Pojechała z tym... śmieciem?

– Nie z własnej woli, zapewniam cię.

Chirurg spuścił wzrok i zarumienił się ze wstydu.

– Porwali ją, kiedy spała w moim namiocie. Związali, zakneblowali i zabrali ze sobą. Nie... nie mogłem nic zrobić.

13

Felix gapił się na doktora, a przerażenie i wściekłość zalewały go niczym spieniona fala.

– Kiedy wyruszyli? Jak dawno temu?

– Zaledwie kilka godzin temu – odpowiedział doktor Vinck. – Nie więcej niż trzy.

Felix nie powiedział już nic więcej, tylko obrócił się i popędził w stronę bram miasta. Gdy był już na wysokości jedyne w miasteczku skrzyżowania, zatrzymał go krzyk dobiegający gdzieś z lewej. Zatrzymał się i rozejrzał. Od strony doków nadciągał kuśtykający sir Teobalt, prowadząc ze sobą oddział chłopów uzbrojonych w prowizoryczne włócznie. Wyglądało na to, że stary rycerz odzyskał już prawie pełnię sił.

– Herr Jaeger! – zawołał. – Powróciłeś!

Felix zawahał się, przełykając nerwowo ślinę. Sir Teobalt był ostatnią osobą, jaką chciał w tej chwili widzieć.

– Jakież przynosisz wieści? – zapytał stary rycerz, podchodząc bliżej. – Czyś odnalazł moich braci? Czy mój giermek nie przyniósł mi wstydu?

– Ja... – wyjąkał Felix, omijając rycerza. – Później ci opowiem, sir. Teraz nie mogę.

Oddalił się biegiem, a okrzyki zdumionego zakonnika goniły go aż do bram.

Kiedy odnalazł Zabójców, przeprowadzali właśnie wóz przez wrota.

– Gotreku, zawracaj – rzucił Felix w stronę Zabójcy. – Musimy ruszać dalej.

– Co się stało? – zapytał Gotrek.

– Milo porwał Kat i uciekł z miasta. Mają nad nami trzy godziny przewagi.

Gotrek rozejrzył się dokoła, krytycznie oceniając gorączkowe wysiłki mieszkańców miasta mające na celu wzmocnienie drewnianej palisady.

– Okazuje się więc, że jako jedyny ma trochę oleju w głowie. Wszyscy ci ludzie zginą, jeżeli tu zostaną.

Rodiemu oczy aż się zaświeciły.

– W takim razie ja zostaję – powiedział. – Odbijcie dziewczynę i ruszajcie na południe, żeby ostrzec ludzkie armie. Ja zostanę tutaj i zrobię co w mojej mocy, żeby przekonać tych głupców do ucieczki. A jeśli mi się nie uda... – uśmiechnął się ponuro. – Wtedy zginę broniąc ich.

– Snorri też zostaje! – wykrzyknął Snorri z widocznym podekscytowaniem.

– Nie, Gryzonosie – powiedział Gotrek, zeskakując z wozu. – Nie zostajesz. Pójdiesz z nami.

– Ale Snorri chce walczyć ze zwierzoludźmi!

Pod gęstą brodą Gotreka wyraźnie zarysowały się zaciskające się szczęki.

– Czyżbyś zapomniał o celu swojej pielgrzymki?

Snorri zmarszczył czoło. Wyglądał na przybitego.

– Tak, Snorri zapomniał. Pójdzie z wami.

Gotrek odwrócił się i skłonił przed Rodim, podczas gdy zniecierpliwiony Felix ledwie powstrzymywał zgrzytanie zębów.

– Obyś odnalazł swoją zagładę, Rodi Balkissonie.

– I ty również, Gotreku Gurnissonie – odparł Rodi, także z ukłonem.

Zasalutował Snorriemu.

– Niech Grimnir będzie z tobą, ojczulku Rdzawa Czaszko.

– Żegnaj, ehm, jak–ci–tam–na–imię – odpowiedział Snorri.

Pożegnawszy się w ten niezwykle wymowny sposób, Felix, Gotrek i Snorri ruszyli drogą na południe.



Wiedząc, że Milo ma trzygodzinną przewagę, Felix obawiał się, że maszerując z Zabójcami nigdy nie będzie w stanie go dogonić. Ku jego zdziwieniu zaledwie godzinę później usłyszeli przekleństwa i szorstkie wymówki wyraźnie słyszalne w ciszy, jaka panowała w przysypanym śniegiem lesie.

Felix zatrzymał się i wyciągnął miecz. Nasłuchiwał. Gotrek i Snorri stanęli po obu jego bokach i również wyciągnęli broń.

– Trzymaj te konie, do diabła! – dobiegł ich okrzyk. Felixowi wydawało się, że rozpoznaje głos Beznosego Milo. – Anders, Uwe, na mój sygnał obaj podnosicie. Reszta z was, bezmózgi, staje za wozem i pcha.

Felix i obaj Zabójcy ruszyli do przodu, skradając się cicho i ostrożnie w stronę zakrętu drogi.

– To bez sensu, Milo – wyjęczał inny głos. – Będziemy musieli zostawić trochę łupów. W życiu nie przewieziemy ich tą cholerną drogą.

– Jesteś cholernym głupcem, Heiko! – warknął Milo. – Przecież to nasz majątek! Kiedy sprzedamy to wszystko w Ahlenhof, już nigdy nie będziemy musieli pracować. Nie zostawię nawet okrucha.

– W takim razie sam jesteś głupcem, Milo – odezwał się ponownie głos Heiko. – Ponieważ jeżeli dalej będziemy się poruszać w takim tempie, to nie ujedziemy dziesięciu kilometrów, a zwierzoludzie zaczną nam deptać po piętach.

Rozległ się zgrzyt wyciąganej z pochwy stali i głos Milo przechodzący w krzyk:

– Śmiesz się mi sprzeciwiać, ty płaczliwy, mały gnojku?!

Gotrek zachichotał złowieszczo.

– Jeszcze chwila i odwalą za nas całą robotę.

– Snorri ma nadzieję, że nie – powiedział Snorri.

Byli już prawie u celu. Felix przekrzywił głowę na lewo, starając się zajrzeć za rosnące na zakręcie drzewa.

– Proszę cię tylko, żebyś podszedł do tego rozsądnie, Milo – mówił Heiko. – Nie chcę...

Przerwał mu głuchy odgłos i okrzyk zdumienia. Ktoś przeklął i potem rozległ się gwar głosów.

– Uciekła, do cholery!

– Mam ją!

– Aha!

– Cholerna suka!

– Biegnie do lasu!

I wreszcie ryk rozgniewanego Milo:

– Łapać ją! Łapać moją żonę!

Felix nie mógł się dłużej powstrzymać. Wybiegł z zakrętu, a dwóch Zabójców podążyło tuż za nim. Widok, jaki ukazał się ich oczom, można było określić jako gorączkową szamotaninę połączoną z bójką. Cztery wozy załadowane po brzegi prochem strzelniczym, beczkami, skrzynkami, baryłkami z piwem i różnymi innymi kradzionymi dobrami stały w zakrzywionej linii wzdłuż szlaku. Koń bojowy sir Teobalta, Machtig, stał uwiązany do ostatniego wozu. Wyglądało na to, że prawe przednie koło pierwszego wozu utkwilo w koleinie, co spowodowało, że lewe tylnie unosiło się nad ziemią.

Przypomniało to dziwnego psa, który unosi tylną łapę, żeby się wysikać.

Tuzin brudnych mężczyzn wysypywało się z wozów i biegło za drobną istotą, brnącą boso przez sięgający po kolana śnieg, ubraną tylko w koszulę nocną. Jej oczy lśniły dzikim pragnieniem wyrwania się na wolność. Felixowi serce podskoczyło w piersi. To była Kat. Ręce miała związane z tyłu, a wokół jej szyi zwisała lina, która ciągnęła się za nią niczym smycz. W tej właśnie chwili zrozumiał, że kocha ją całym sercem.

W tym samym momencie biegnący na przedzie pościgu mężczyzna wyskoczył gwałtownie do przodu i złapał za koniec liny. Pociągnął mocno. Kat straciła równowagę i padła na plecy, wyjąc z bólu.

– Nie! – ryknął Felix. Kilkoma susami znalazł się przy zbirach. Owładnęła nim taka furia, że ledwie rejestrował głuchy tupot stóp

Gotreka i Snorriego poruszających się u jego boku.

Opryszkowie obrócili się, słysząc jego krzyk.

– Na Ranalda! – splunął Milo. – To jej kochaś. Zatrzymać go!

Felix wykonał szeroki zamach Karaghulem. Miecz odbił się z brzękiem od pół tuzina ostrzy bandytów, jacy zastępowali mu drogę do Kat. Daleko się nie przedarł. Ludzie Milo byli dobrze uzbrojeni. Mieli miecze, włócznie i rapiery, które musieli zabrać lepszym od siebie. Po tym jak walczyli, Felix stwierdził, że niektórzy z nich z pewnością byli kiedyś żołnierzami.

Felix sparował dwa ciosy, ale zaraz potem musiał uskoczyć w tył, gdy dźgnął go stojący w drugim szeregu włócznie – kłaniało się porządne wojskowe przeszkolenie.

Przestało się ono jednak liczyć, gdy do akcji wkroczyli Gotrek i Snorri. Ostrza pękały, a ludzie wrzeszczeli wniebogłosy, gdy Zabójcy zaczęli walczyć. Stal śmigła w powietrzu. Felix odepchnął mężczyznę, trzymającego się za kikut przedramienia i wymierzył cios w drugiego, który odciągał Kat od bójki, szarpiąc za linę przywiązaną do jej szyi.

Kątem oka zauważył jakiś ruch i instynktownie przykucnął. Coś błyszczącego zahaczyło o czubek jego głowy. Felix przewrócił się na ziemię i wpadł w śnieg. Skóra na głowie piekła go i świat wirował mu przed oczami. Beznosy Milo przedzierał się przez zaspy w jego stronę, w jednej dłoni dzierząc topór drwala, a w drugiej odcinek łańcucha.

– Choć no tu, ty altdorfski przystojniaczku – rzucił przez skrzywione usta, unosząc topór. – Zobaczymy, jak bardzo będziesz się jej podobał, kiedy będziesz miał taki nos jak ja!

Felix wystawił w górę miecz, przyjmując na niego spadający cios topora. Podniósł się na równe nogi przy akompaniamencie stali trącej o stal. Milo znów zamachnął się drugą bronią. Łańcuch uderzył Felixa w jeden policzek, owinął się wokół głowy i trzasnął w drugie ucho.

Zawył z bólu i zatoczył się w bok. Na oślep machał przed sobą mieczem, starając się odeprzeć nacierającego Milo. Potrzebował chwili, żeby dojść do siebie. Nie dane mu to jednak było. Milo zamachnął się ponownie toporem i łańcuchem. Felix znów zrobił

unik. Kątem oka ujrzał, jak Kat wstaje i kopie w zęby mężczyznę, który trzymał ją na linie.

Piekący ból ustąpił na tyle, że Felix mógł się pozbierać. Usłyszał świst topora i łańcucha gdzieś za sobą – obrócił się i kucnął w tej samej chwili z wyciągniętym wysoko Karaghulem. Runiczny miecz przeciął trzonek topora i ciężkie ostrze odpadło, uderzając Felixa w ramię. Łańcuch owinał się wokół Karaghula i nie chciał puścić.

Milo zarechotał i mocno pociągnął, starając się wytrącić Felixa z równowagi. Ale on był na to przygotowany i poddał się szarpnięciu, wyskakując do przodu. Uderzył Milo w pierś i posłał go na ziemię. Bandyta leżąc na plecach zamachnął się bezgłowym toporem na przyciskającą go do ziemi nogę Felixa, ale ten kopniakiem wytrącił mu trzonek z ręki. Mocnym szarpnięciem wyrwał Karaghula ze zwojów łańcucha. Uniósł wysoko ostrze, szykując się do zadania śmiertelnego ciosu, gdy nagle drobna postać pojawiła się nieoczekiwanie po jego prawej i odepchnęła go na bok.

– Nie! – wrzasnęła Kat. – On jest mój!

Kopnęła Milo w twarz, po czym opadła na niego, przyciskając kolanami jego klatkę piersiową. Jej dłonie nadal były związane, ale jakimś cudem udało jej się przełożyć je do przodu. Ścisnęła w nich zakrwawiony sztylet.

– Kat... – wyrwało się Felixowi.

Ale nic jej nie było w stanie powstrzymać. Dźgnęła niewielkim ostrzem, zanurzając je w szyi Milo, potem w oku, a wreszcie w jego rozwartych w krzyku ustach.

– Nikt nie będzie mnie wiązał! – syczała. – Nikt nie będzie mnie przetrzymywał wbrew mojej woli!

Felix zamrugał oczami, zszokowany tym wybuchem furii. Milo już nie mógł jej słyszeć, ale ona wciąż atakowała.

– Kat – odezwał się ponownie. – Kat! On już nie żyje!

Dziewczyna spojrzała na niego oczami dzikiego zwierzęcia. Jej wyszczerzone zęby lśniły w groźnie wykrzywionych ustach. Zaniepokojony Felix zrobił krok do tyłu, ale po chwili twarz jej złagodniała i stała się z powrotem sobą. Opuściła sztylet i zwiesiła głowę.

– Przepraszam, Felixie. On... – przerwała, po czym potrząsnęła głową. – Przepraszam.

– Już dobrze – odparł Felix, wciąż nieco wstrząśnięty. – Jestem przekonany, że sobie na to zasłużył.

Rozejrzał się. Bitwa się skończyła. Gotrek i Snorri stali w kręgu martwych ciał i poczerwieniałego śniegu, podczas gdy garstka okaleczonych bandytów kuśtykała w stronę drzew.

Felix ukląkł przy Kat i wyjął sztylet z jej rąk, a potem za jego pomocą przeciął więzy na jej nadgarstkach. Trzęsa się tak bardzo, że bał się, czy nie zrobi jej przy tym krzywdy.

– Zabrał... zabrał mi buty – wyjąkała. – Żebym nie uciekła. Ale ja... ale ja i tak uciekłam.

Wybuchnęła rozdzierającym serce szlochem, a kiedy przeciął ostatni kawałek więżącej ją liny, zarzuciła mu ręce na szyję. Wciąż płakała. Felix znieruchomiał zdumiony tą nagłą przemianą z drapieżnej furii w przestraszoną małą dziewczynkę. Wreszcie jednak zdjął swój płaszcz i owinął ją nim.

– Już w porządku – wymruczał jej we włosy, tuląc mocno. – Już po wszystkim. Ruszamy na południe do Ahlenhof, żeby zanieść wieść o zbliżającym się stadzie. Pójdiesz z nami. Wszystko będzie dobrze.

Popatrzyła na niego, siąkając nosem.

– Ale, ależ nie. Nie mogę. Muszę zostać i pomóc przy obronie Bauholz. Nie pozwolę na to, żeby zniszczyli kolejne miasteczko.

– Ależ Kat – powiedział Felix najłagodniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć. – To nieuniknione. Stado liczy dziesiątki, jeżeli nie setki tysięcy zwierzoludzi. Stangenschloss padło pod jego naporem. Jak możesz oczekiwać, że Bauholz uda się obronić? Rodi tam został, żeby przekonać wszystkich mieszkańców do opuszczenia osady.

Kat potrząsnęła głową.

– Stado ominie miasteczko – powiedziała. – Zwierzoludzie po opuszczeniu Stangenschloss ruszyli prosto na południe. Obserwowałam ich. Jeżeli będą poruszać się cały czas w tym samym kierunku, to przejdą jakieś dwadzieścia, trzydzieści kilometrów na wschód od Bauholz. Jedyne, czego musimy się obawiać, to oddziałów zwiadowczych szukających pożywienia.

Wstała i podeszła bosą do wozów.

– A może nawet i oni nie nadejdą.

Felix ruszył za nią.

– A nawet jeśli – powiedział, podczas gdy dziewczyna wyciągała buty i ubranie spod plandeki i zaczęła je na siebie zakładać. – Oddział zwiadowczy uzbrojony po zęby to nie jest coś, z czym możemy się mierzyć. Garstka zagłodzonych wieśniaków, jeden stary rycerz, jeden Zabójca...

– Trzech Zabójców – poprawił go Gotrek, stając u jego boku.

Felix obrócił się do niego i westchnął.

– Przestań Gotreku, przecież sam mówiłeś, że musimy iść na południe, żeby ostrzec resztę Imperium.

– To było wcześniej – odparł Zabójca. – Kiedy zagłada miasteczka była pewna. Teraz wygląda to na walkę, którą możemy wygrać.

– Tobie być może uda się przeżyć – powiedział Felix. – Ale co z mieszkańcami? Nawet niewielki oddział zwierzóludzi pozabija zbyt wielu.

– Może nie – odparł Gotrek, głaszcząc się po brodzie i patrząc w zamyśleniu na załadowane wozy. Jego jedyne oko lśniło przebiegle.



Prawie dwie godziny zajęło im zawrócenie i dotarcie z wozami z powrotem do Bauholz. Tymczasem miało się ku zmierzchowi i na świecie zapanowała szarówka.

– Niech Sigmar będzie pochwalony! – wykrzyknął jeden ze strażników przy bramach. – Przywieźliście naszą broń z powrotem!

Gestem nakazał im, aby wjechali do środka. Gdy prowadzili wóz przez środek osady, Rodi podszedł do nich dumnym krokiem.

– A więc jednak nie uciekacie? – zapytał z uśmiechem.

– Usłyszeliśmy jak płaczesz i postanowiliśmy wrócić – odparł Gotrek.

– Jakież nowe wieści o stadzie? – zapytała Kat.

Rodi pokiwał głową, nagle poważniejąc.

– Jakaś godzinę temu wrócił jeden ze zwiadowców. Dalej maszerują na południe, ale odłączyła się od nich grupa, która zmierza prosto w naszą stronę.

– Jak wielu? I kiedy tu dotrą? – Gotrek zadał nurtujące wszystkich pytania.

– Zwiadowca mówił o około setce. Będą tu najpóźniej za kilka godzin.

– Snorri nie wie, czy wytrzyma tak długo czekając na setkę zwierzoluździ – dał wyraz swoim obawom Snorri.

– Kat! Jesteś cała! – dobiegł ich głos doktora Vincka.

Stary chirurg wynurzył się ze świątyni Sigmara, teraz godnie przyozdobionej pozłacanym młotem. Sir Teobalt szedł tuż obok niego – wysoki i dumny. Nawet chroma noga nie ujmowała nic z bijącej od niego aury powagi. Felix starał się unikać jego wzroku.

– I przyprowadziliście z powrotem wozy – ucieszył się Vinck, kiedy już podeszli blisko. – Sigmar wysłuchał moich modłów.

Kat zeskoczyła z pierwszego wozu i objęła doktora. Pozostali stanęli obok.

Doktor Vinck odwzajemnił uścisk, ale zaraz odsunął się i spojrzał na nią ze smutkiem w oczach.

– Powinniście byli pojechać na południe i zapomnieć o nas. Myślę, że mimo waszego powrotu czeka nas tutaj katastrofa.

– Niekoniecznie – odezwał się Gotrek. – Mam pewien pomysł.

Doktor Vinck zwrócił się ku niemu.

– Jeżeli twój pomysł polega na tym, żebyśmy opuścili osadę, tak jak to sugerował tamten drugi Zabójca, to nie ma mowy. Zbyt długo zginałem kark pod jarzmem przemocy i barbarzyństwa. Tym razem mam zamiar się bronić.

Gotrek potrząsnął głową.

– Nie o to chodzi. Wymyśliłem coś innego. Obrócił się i spojrzał na beczki ułożone na wozie.

– Zrobimy dobry użytek z tego kradzionego prochu.

Sir Teobalt i doktor Vinck zmarszczyli czoła i popatrzyli na niego niepewnym wzrokiem.

– Ale przecież nie mamy dział – powiedział wreszcie sir Teobalt.

- I tylko kilka pistoletów – dodał doktor Vinck.
- Nie będziemy ich potrzebować – odparł Gotrek. – Musimy tylko zebrać cały alkohol, jaki uda nam się znaleźć w tym mieście.

14

Gdy Gotrek zaczął wyjaśniać szczegóły swego planu, sir Teobaltowi wreszcie udało się złapać spojrzenie Felixa. Gestem nakazał mu wejście za sobą do świątyni Sigmara. Felix poczuł bolesny skurcz w sercu na myśl o czekającej go rozmowie. Nadszedł moment, by opowiedzieć staremu zakonnikowi, jaki los spotkał Ortwina i pozostałych braci Zakonu Płonącego Serca. Obawiał się tej chwili.

Teobalt pokuśtykał w stronę świeżo odnowionego ołtarza i obrócił się sztywno w stronę Felixa. Felix zauważył, że pod zbroją jego ramię i łokieć wciąż były owinięte bandażami.

– Nareszcie powróciłeś – odezwał się Teobalt. – Mam nadzieję, że będziesz miał czas porozmawiać ze mną o losie mego giermka, Ortwina, który jak widzę, nie przybył tu z tobą.

– Tak, sir Teobalcie – odparł Felix. – Wybacz, że nie powiedziałem ci tego wcześniej, ale... – wskazał dłonią w kierunku drzwi.

– To była bardzo pilna sprawa, aye – zgodził się Teobalt, nie spuszczać wzroku z Felixa. – Ale już po wszystkim. A więc...

Zawiesił głos. Felix pokiwał głową, ale wciąż wahał się, jak rozpocząć tę rozmowę. Czy powinien skłamać? Może powie rycerzowi, że Ortwin i pozostali zakonnicy zginęli, walcząc dzielnie w bitwie ze zwierzoludźmi? Pomysł bardzo mu się spodobał. To przecież takie proste, a przy tym miłosierne wobec Teobalta. Stary rycerz uspokoiłby się i byłby dumny ze swego giermka. Ale co, jeśli kiedyś dowie się prawdy? Ortwin i bracia zakonnicy nie będą problemem, ale Gotrek i Snorri przecież też tam byli i widzieli, co się stało. Zabójcy znani są ze swej prawdomówności. A poza tym, Teobalt chciał poznać prawdę. Nie mógł więc myśleć o litości,

musiał wybrać rozwiązanie, które będzie najbardziej honorowe, a kłamstwa do takich zaliczyć nie można. To nie był prawy sposób na zdobycie Karaghula. Jeśli teraz skłamię, będzie musiał z tym żyć do końca swych dni.

– Dobrze więc, sir Teobalcie – zaczął w końcu. – Powiem ci... Słyszałeś... Kat z pewnością powiedziała ci o totemie przenoszonym przez zwierzoludzi i o tym, jak moc tego kamienia przemieniła lorda Ilgnera oraz jego żołnierzy w zwierzoludzi?

– Słyszałem o tym od doktora Vincka – odparł Teobalt. – Który z kolei dowiedział się o tym od Kat. Co za plugastwo. Czyżby więc Ortwin zginał walcząc z tymi wynaturzeniami? To chcesz mi powiedzieć?

– Nie, sir – wykrztusił Felix, spuszczać głowę, tak żeby nie musieć już dłużej patrzeć staremu rycerzowi prosto w oczy. – On... on też został przemieniony. On też stał się bestią.

Ze strony sir Teobalta odpowiedziała mu tylko cisza. Felix przełknął ślinę i ciągnął opowieść:

– Obawiam się również, że to samo spotkało pozostałych Rycerzy Płonącego Serca. Zabiliśmy zwierzoczłeka noszącego zbroję z insygniami zakonu. Z początku myśleliśmy, że potwór ukradł tę zbroję, ale zobaczywszy przemianę Ortwina...

Sir Teobalt wymierzył Felixowi siarczysty policzek. Felix aż się zatoczył, a kiedy wreszcie odzyskał równowagę, spojrzał na rycerza, trzymając się za obolałą twarz.

Sir Teobalt zmierzał w jego kierunku, a jego oczy lśniły niczym niebieskie słońca.

– Kłamstwa! – wrzeszczał. – Plugawe oszczerstwa!

– Sir Teobalcie – starał się go uspokoić Felix. – Przysięgam, że...

– Krzywoprzysięzco, jak śmiesz bluźnić w domu Sigmara?! – ryknął stary zakonnik. – Zamilknij, chyba, że chcesz, aby jego młot wymierzył ci sprawiedliwość.

Chwycił za przód koszulki kolczej Felixa.

– Rycerze Zakonu Płonącego Serca byli wiernymi wyznawcami Sigmara. Oddanymi, głęboko wierzącymi i wykonującymi obowiązki, które nakładała na nich wiara. To niemożliwe, żeby ktoś

taki mógł zostać dotknięty plugawym piętnem Chaosu. Nie dam wiary temu, że padli ofiarą słabości swych ciał!

– Przykro mi, sir Teobalcie – wyszeptał skulony Felix. – Ale taka jest prawda.

– Nie wierzę ci. Łziesz jak pies.

– Ale jaki miałbym w tym cel?

– Nie wiem. Może chcesz w ten sposób ukryć jakąś swoją przewinę. Może nie udało ci się ochronić mego giermka Ortwina i teraz chcesz zrzucić na niego winę za swój błąd. To nie ma znaczenia. Zawiodłeś moje zaufanie. I nie będę cię dłużej tolerował u mego boku. Zwróć miecz, który podstępnie przejąłeś i wynoś się stąd.

Rycerz władczy gestem wyciągnął przed siebie dłoń. Felix zawahał się, drżąc od tłumionych emocji. Chciał nakłonić starego zakonnika, żeby go jeszcze raz wysłuchał, ale wiedział, że na nic się to zda. Wątpił, żeby nawet świadectwo Gotreka, Kat i Snorriego coś tutaj zmieniło. To, co Felix powiedział sir Teobaltowi, zatrzęśło posadami jego świata. Nie było takiej siły, jaka zmusiłaby go, aby w to uwierzył.

– No dalejże, psubracie – warknął sir Teobalt, niecierpliwiąc się.

– Oprócz tego, że mnie okłamałeś, masz zamiar jeszcze mnie okraść? Oddaj mi miecz albo broń się nim.

Po dłuższej chwili Felix westchnął i zaczął rozpinać pas, do którego miał przymocowany miecz.

– Powiedziałem ci prawdę, sir Teobalcie – odparł. – Ale skoro nie mogę cię przekonać, uszanuję naszą umowę.

Rozpiął wreszcie pas i owinął go wokół pochwy. Ostatni raz spojrzął na przypominający potężny szpon jelec i głownię w kształcie smoczej głowy. Jego stary runiczny miecz. Będzie mu go brakowało. Czując wzbierającą w gardle gulę, podał broń zakonnikowi.

Sir Teobalt wziął miecz i przycisnął go do napierśnika. Skłonił się z powagą przed Felixem.

– Przynajmniej tym okazałeś, że jesteś człowiekiem honoru, Herr Jaeger – powiedział. – A teraz idź. Będę się modlił.

Zakonnik odwrócił się w stronę odrestaurowanego ołtarza. Tymczasem Felix skłonił się i westchnąwszy ruszył w stronę drzwi. Serce ścisnęło mu się z żalu.

Jednak powinien był skłamać.



Dwie godziny później po rozgwieżdżonym niebie płynęły chmury, a Felix opierał się o okorowane pnie sosen, które tworzyły palisadę. Znajdował się na blankach, trochę na prawo od głównych wrót. Wpatrywał się posępnie w ciemną ścianę lasu. Na polach otaczających osadę migotały ogniska rozpalone przez mieszkańców. Zwierzoludzie czaili się gdzieś tam w ciemnościach. Z jednej strony miał cichą nadzieję, że może jakimś cudem ominą miasteczko i uda im się przetrwać tę noc w spokoju. Z drugiej jednak wołałby, żeby pokazali się jak najszybciej i żeby nerwowe napięcie, jakie zawsze poprzedzało walkę, znikło wraz z pierwszym ciosem miecza.

Kat siedziała ze skrzyżowanymi nogami w wąskim przejściu, tuż obok niego. Woskowała groty ogarkiem i przycinała pióra przy drzewcach strzał, żeby wszystkie były równej długości. Dwóch podenerwowanych chłopców klęczało obok niej, intensywnie obserwując poczynania i starając się naśladować wszystkie jej ruchy.

– Dlaczego woskujesz groty? – zapytał jeden z chłopców. – Czy dzięki temu strzała szybciej leci?

Kat potrząsnęła głową.

– Nie, ale dzięki temu lepiej przebija skórę i zbroję. To ważne, kiedy strzelasz do zwierzoludzi, których skóra jest często bardzo gruba.

Chłopcy z rozszerzonymi z podziwu źrenicami rzucili się do woskowania swoich strzał, wykazując przy tym więcej zapału niż umiejętności.

Felix uśmiechnął się do dziewczyny, z całych sił powstrzymując się przed wzięciem jej w ramiona i wyciśnięciem pocałunku na jej ustach i nie tylko. Cofnął się myślą do chwili, gdy ujrzał ją

uciekającą z wozu Milo. Jej gołe nogi błyskały mu przed oczami, gdy desperacko przedzierała się przez zasy. Nie był pewien, dlaczego właśnie wtedy wszystko się zmieniło, ale tak właśnie było. Jego zmartwienia, cała niepewność co do własnych uczuć – to zniknęło. Teraz wiedział, że ją kocha na przekór wszystkiemu.

Może i była naiwna i zahukana, związana na zawsze z lasem za sprawą przysięgi, którą złożyła. Przysięgła, że będzie chronić las. Wciąż była też dla niego za młoda, co najmniej o dziesięć lat. Ale to przestało mieć znaczenie. Liczyło się tylko to, że nie była głupią manipulantką jak Claudia, ani nie oceniała go cały czas, żądając coraz to nowych dowodów lojalności i odwagi jak Ulrika. Nie czuł się przy niej ani niedoceniany, ani przeceniany. Nieprawdą było też, jakoby kochała tylko jakąś wizję wysnutą ze wspomnień i niezасłużonej sławy. Ku jego zdziwieniu zdawała się go akceptować w pełni takim, jakim był, i co więcej, kochała go za to.

Spojrzała na niego, czując na sobie jego wzrok. Posłała mu krzywy uśmiech, który przeszył go niczym jedna ze strzał, jakie trzymała w dłoni.

Odwzajemnił uśmiech. Potrząsnął głową, podczas gdy ona ponownie skupiła uwagę na chłopcach, pokazując im, jak przycinać pióra przy strzałach. Wydawało mu się to szaleństwem, ale patrząc jej w oczy odkrył, że był gotów kochać ją tak długo, jak ten świat miał zamiar pozwolić im żyć, nieważne jakie przeszkody staną im na drodze.

Oczywiście, pomyślał z ciężkim westchnieniem, wpatrując się w nieprzeniknione ciemności spowijające las, możemy mieć tego czasu naprawdę niewiele. Jeżeli spojrzeć na to realnie, to bardzo prawdopodobne było, że oboje dzisiaj zginą, bez względu na to, jak dobrze zadziała plan wymyślony przez Gotreka.

Kiedy Felix powrócił do reszty towarzystwa po przekazaniu Karaghula Teobaltowi, pomógł im wprowadzać tenże plan w życie. Pomyśl był bardzo prosty. Mieli skonstruować pułapkę na zwierzoludzi, jako przynęty używając alkoholu. Założenie było następujące: ukryją trzy wozy, na głównym skrzyżowaniu zostawiając tylko ten, który wyładowany był beczkami z prochem. Żeby je zamaskować, przykryją je beczułkami z piwem, brandy i

ginem. Gdy nadejdą zwierzoludzie, to powinno ich zwabić na środek wioski. Pozwolą im zaatakować wóz i podjąć próbę kradzieży alkoholu, żeby – z bezpiecznej odległości – móc odpalić ładunek i wysadzić tylu ilu się da w powietrze.

Jeżeli któremuś z wrogów uda się ocaleć, Gotrek, Felix, dwaj pozostali Zabójcy, a także Teobalt z wszystkimi mieszkańcami, jakich uda im się zmobilizować, wykończą ich, zanim bestie dojdą do siebie po wybuchu.

Felix martwił się, że detonacja przy okazji zmiecie z powierzchni ziemi całe miasto, ponieważ Ludeker podczas swojego panowania w Bauholz zgromadził całkiem spory zapas prochu, a Milo załadował wszystkie beczki na jeden wóz. Gotrek zapewnił go jednak, że wszystko powinno być w porządku. Dwie budowle położone najbliżej skrzyżowania, czyli stary spichlerz i świątynia Sigmara, były kamienne i wedle słów Zabójcy: „całkiem solidne, jeśli wziąć pod uwagę ludzkie standardy”.

Wyłobili w ziemi wokół skrzyżowania płytki rowek wiodący od wozu do spichlerza, gdzie mieli się ukryć Zabójcy. Ułożyli w nim lont i przykryli go deskami, które miały zapobiec przypadkowemu potknięciu się przez jakiegoś zwierzoczęka o lont i wyrwaniu go z beczki.

Kiedy wszystko było już gotowe, sir Teobalt i doktor Vinck rozdzielili zadania między mieszkańców miasteczka. Ci, którzy byli w stanie napiąć cięciwę, mieli trzymać straż na murach. Ci, którzy znali się trochę na walce wręcz, mieli się przyczać w świątyni Sigmara. Wszyscy pozostali mieli się schować na piętrze spichlerza, zamknąć za sobą drzwi i zacząć się modlić, gdy tylko rozpocznie się walka.

Gotrek powierzył Felixowi i Kat specjalne zadania i wysłał ich na mury, żeby czekali na atak wraz z łucznikami. Felix widział po zachowaniu sir Teobalta, że stary rycerz wolałby, aby zupełnie zniknął mu z oczu i nie brał udziału w tak szlachetnym przedsięwzięciu, ale zakonnik nie odezwał się ani słowem. Udawał po prostu, że nie zauważa Felixa.

Felix rozejrzał się po palisadzie oświetlonej blaskiem pochodni, mierząc wzrokiem tych łuczników, jakich był w stanie dostrzec. Nie

robili najlepszego wrażenia. Co prawda ich łuki były nowe i porządnie wykonane – zabrali je z wozów Milo, tak samo jak miecze i hełmy – ale oni sami nie wyglądali równie dobrze. Garstka miejscowych chłopaków, tuzin uchodźców z obozowiska po drugiej stronie rzeki, tak wygłodzonych, że łąki trzymanych przez nich łuków wydawały się grubsze niż ich nadgarstki. Ale wśród nich było też kilku weteranów, których, tak jak i pozostałych, zatrzymały w mieście ostatnie wydarzenia. Z tego, co mówiła Kat, gdy przyniosła wieści o nadchodzącym stadzie, każdy, kto miał pieniądze, znajomości lub łódź, czym prędzej opuścił miasto i udał się na południe. Zostali tylko najbiedniejsi i najbardziej zdesperowani.

Żołnierze wyglądali na tylko trochę lepiej odżywionych od uchodźców, ale przynajmniej znali się na rzeczy. Jeden z nich, zgarbiony człowieczek o imieniu Weir, który szczycił się tygodniowym zarostem i własnym łukiem, przejął dowodzenie nad oddziałem zajmującym jego odcinek palisady. Przechadzał się w tę i z powrotem z charakterystycznym kuśtykaniem, wykrzykując słowa zachęty w stronę swych niezbornych podopiecznych.

– Nie wtykaj tej cięciwy w śnieg, durnoto! – karcił jakiegoś chłopaka. – Zamoczy się i nie strzelisz dalej niż na pięć kroków.

– Nie potrafisz porządnie naciągnąć łąku, chłopczyno? Ktoś ty, dziewczka? Chodź no tu, stąpnij na nim i przełoż sobie przez biodro. I co? Okazało się, że drzemie w tobie siła Sigmara, hę?

– Nie wbijajże tych strzał w drewno, pacanie! Przyjrzyj no się, jakie teraz są tępe. Za nic nie przebiją się przez czaszkę zwierzoczątka. Naostrz je znowu! Naostrz je porządnie!

I tak gadał i gadał bez ustanku, nie pozwalając im skupić się na czekaniu i strachu przed nieuniknionym.

Felix westchnął. Męczył go niepokój oczekiwania. Położył dłoń na głowni miecza, po czym wzdrygnął się gwałtownie. Po raz kolejny zaskoczył go fakt, że pod palcami nie wyczuł znajomego ząbkowanego kształtu smoczej głowy. Powtarzał identyczny gest już chyba po raz dwudziesty i za każdym razem czuł się równie podenerwowany i przygnębiony.

Wypróbował z dziesięć mieczy spośród tych, które padły łupem Milo. Zamachnął się każdym, sprawdzając ich wyważenie. Wreszcie

wybrał najlepszy z nich wszystkich, chociaż musiał przyznać, że leżał mu w dłoni równie kiepsko jak pozostałe. Będzie jednak musiał się do niego przyzwyczaić lub znaleźć lepszy, jeśli kiedykolwiek uda im się wrócić do cywilizacji. Karaghul już do niego nie należał.

Było to bardzo dziwne uczucie. Był w posiadaniu runicznego miecza prawie tak długo, jak znał Gotreka. Przez ten czas broń stała się naturalnym przedłużeniem jego ręki. Bez miecza czuł się nagi, obrabowany z czegoś ważnego. Wydawało mu się niesprawiedliwe, że został mu on, ot tak, odebrany. Postąpił słusznie, a jednak został za to ukarany, jednak nie był w stanie nic z tym zrobić. Sir Teobalt nie miał zamiaru oddać mu miecza. Chyba że zmieni kiedyś zdanie, ale nic tego nie zapowiadało. Stary zakonnik był uparty jak osioł i bardzo konserwatywny w swych poglądach. Jego niezachwiana wiara i zaufanie w nieskalany charakter braci zakonników zaślepiły go skuteczniej niż wyłupienie oczu.

Z zachodniej części palisady dobiegł ich pomruk przerażonych głosów. Wszyscy łucznicy zwrócili głowy w tamtą stronę i zaczęli gorączkowo szeptać między sobą. Wreszcie, po chwili wieść dotarła do miejsca, w którym stał Felix. Łucznicy wokół niego chwyтали za łuki, trzęsąc się ze zdenerwowania.

– Są tutaj! – rzucił jeden z nich. – Chłopaki z zachodniej ściany mówią, że widzieli ich jak okrążają wioskę, poruszając się w lesie.

– Ale ja jeszcze nie skończyłem woskować! – jęknął w odpowiedzi inny.

– Spokojnie, tylko spokojnie – zakomenderował Weir. – Nie ma potrzeby się spieszyć. Mamy mnóstwo czasu. Nałóżcie cięciwy, chłopaki. Powoli i spokojnie. Dokładnie tak.

Ci, którzy jeszcze tego nie zrobili, nałożyli cięciwy. Tymczasem pozostali wyciągali szyje, żeby zobaczyć, co się dzieje po zachodniej stronie. Wypatrywali poruszenia za rogiem palisady.

Felix wyteżał wzrok razem z nimi, podczas gdy Kat spokojnie nałożyła cięciwę na swój łuk i wsunęła strzałę w skórzany kołczan na biodrze. Blask bijący z ognisk na polu utrudniał dostrzeżenie tego, co działo się między drzewami, ale po chwili zdało mu się, że dostrzegł jakiś ruch na tle czarnej ściany lasu – odbity blask płomienia, cień poruszający się w mroku.

Łucznicy też to zobaczyli i znowu zaczęli się gorączkować. Całe szczęście, że Weir wiedział, co należy zrobić w takiej chwili, żeby ich uspokoić.

– No i mamy ich, chłopaki. Czy widzieliście kiedyś takie wielkie tarcze strzelnicze? Na Sigmara, nawet zezowaty trafiłyby w coś takich rozmiarów, he?

Chłopcy zachichotali i gwar ucichł.

Felix natomiast z sekundy na sekundę denerwował się coraz bardziej. Zwierzoludzie okrążali osadę od południa i podchodzili trochę bliżej w stronę światła. Widział teraz, jak wielu ich było. Dziesiątki! Zwiadowca mówił o setce. Felixowi wydawało się, że tę liczbę można by podwoić, ale może przemawiał przez niego strach.

Bestie utworzyły łuk i zbliżały się teraz w stronę wrót. Felix zauważył, że około dwudziestu zwierzoludzi niosło coś ciężkiego i dużego. Przez chwilę Felixowi serce stanęło w piersi, gdy pomyślał, że być może niosą ze sobą coś w rodzaju mniejszej wersji gigantycznego totemu i wszystkich ich przemienia w bestie, ale zaraz dostrzegł, że to tylko pień olbrzymiej sosny. Gałęzie odcięto na takiej długości, żeby zapewnić uchwyty dla rąk, a czubek został zaostrzony.

Wybuchnął straceńczym śmiechem. Do czego to doszło – ulżyło mu na myśl o tym, że jedyną bronią, jaką dysponowali zwierzoludzie, był taran.

Blask ognia być może ułatwiał obrońcom dostrzeżenie zbliżających się wrogów, ale równocześnie sprawiał, że wyglądali oni bardziej przerażająco niż byli w istocie. Poświata sprawiała, że ich futra lśniły krwawą czerwienią, rogi błyszczały złowrogo, zwierzęce ślepia wydawały się jeszcze bardziej czarne, a zakrzywione zęby odbijały się bielą w zaślinionych paszczach.

Chłopcy aż jęknęli na ten widok i kilku z nich nałożyło strzały oraz uniosło łuki, ale Weir zbeształ ich natychmiast.

– Jeszcze nie teraz, kmiotki zakichane! Macie tyle strzał, żeby je marnować? Czekać mi spokojnie! Widzita ogniska? Pytam się, widzita?

Łucznicy z pokorą pokiwali głowami, jak skarcione uczniaki.

– Rozpaliliśmy je na granicy zasięgu strzał – warknął. – Jeśli teraz wypuścicie strzałę, to traficie tylko w śnieg. Zaczekajcie, aż miną ogniska i wtedy wystrzelicie na mój znak, aye?

– Aye – odpowiedział mu zgodny pomruk.

– Dobrze – powiedział Weir. – A teraz zacznijcie wybierać cele. Wybierajcie dużych. Największych, jakich zobaczycie. Bo wiecie, bestie zawsze podążają za najsilniejszymi. A jeśli zabijecie takiego przywódcę, to reszta się pogubi i łatwiej będzie ich wykończyć. Macie już swoje cele?

– Aye – odpowiedzieli łucznicy, z nieco większą pewnością w głosie.

– Dobrze! – krzyknął Weir. – Nie traćcie ich z oczu i nasłuchujcie mojego rozkazu.

Łucznicy w milczeniu obserwowali nadchodzących zwierzoludzi. Wrogowie byli w połowie drogi między krawędzią lasu a ogniskami. Zbliżali się szybko – przepychając się łokciami, tworzyli chmurę niezdarnych potworów, które snuły się za taranem niczym długi ogon.

– Czekajcie! – krzyknął Weir. – Czekajcie.

Felix poczuł palce Kat zaciskające się na jego dłoni. Spojrzał na nią i dostrzegł, że dziewczyna uśmiecha się do niego. Odwzajemnił uśmiech i uścisk, po czym odwrócił wzrok. Myśl o tym, że był to być może ostatni uśmiech, jakim go obdarowała, sprawiła, że zabrakło mu tchu w piersi. Nie chciał, żeby ujrzała w jego oczach strach.

Wreszcie zwierzoludzie niosący pień przebiegli między dwoma ogniskami.

– Strzelać! – wrzasnął Weir. – Zniszczyć ich! Łucznicy unieśli łuki i wypuścili strzały. Była to żałosna salwa. Tylko Kat, Weir i kilku innych żołnierzy trafiło w swoje cele. Większość strzał uchodźców i miejscowych chłopaków utknęło w śniegu. Kilku nie udało się nawet wystrzelić i teraz jęczeli, trzymając się za obolałe od sprężynującej cięciwy palce.

– Niezdarni głupcy! – krzyknął Weir. – Powoli. Załaduj. Naciągnij. Wyceluj. Strzel. I celujcie w głowy albo w pierś. A teraz ognia!

Chłopcy podjęli kolejną próbę, podczas gdy Kat i pozostali wprawieni łucznicy strzelali według własnego rytmu, wypuszczając po pięć strzał w czasie, gdy tamtym udawało się jedną. Kat koncentrowała się na gorach niosących taran. Sześcioma strzałami położyła trzech biegnących na przedzie. Na ich miejsce wskoczyli następni, których też zasypała gradem strzał.

Chwilę potem padł największy ze zwierzoludzi, naszpikowany tuzinem strzał.

– Świetnie, chłopaki, świetnie – roześmiał się Weir. – Tego już mamy z głowy. Wybierzcie następnego.

Kat uśmiechnęła się krzywo.

– Jedyną dobrą cechą zwierzoludzi jest to, że nie używają łuków – powiedziała półgębkiem do Felixa. Wyobraź sobie, o ile gorzej szłoby chłopakom, gdyby musieli się jeszcze uchylać przed strzałami wroga podczas celowania.

Felix uśmiechnął się, chociaż w głębi ducha był bardzo zadowolony, że jemu nikt nie kazał strzelać. Wówczas to z niego by się wyśmiewała.

Wypuszczając serię za serią chłopcy nabierali pewności siebie i celowali coraz lepiej. Teraz przynajmniej ich strzały trafiały pomiędzy zwierzoludzi, a nie w śnieg przed nimi.

Niestety, gory nadbiegały tak szybko, że nie było czasu na więcej niż kilka salw. Zwierzoludzie byli już pod bramami i mimo wysiłków Kat oraz pozostałych wytrenowanych łuczników, padło niewiele ponad tuzin z nich.

– Wycofać się! – wykrzyknął Weir, gdy taran uderzył w drewniane wrota. – Na drugie pozycje!

Chłopcy i uchodźcy opuścili łuki i pospieszyli w stronę drabin. Tymczasem Kat i kilku łuczników oddawało ostatnie strzały. Celowali w dół. Groty wbijały się w szyje i czaszki zgromadzonych pod bramami zwierzoludzi.

– Kat, chodź – rzucił nerwowo Felix. – Pamiętaj, że mamy zadanie do wykonania.

– Jeszcze jedna – odparła Kat. – Ha!

Wypuściła ostatnią strzałę, po czym rzucili się w dół po drabinie i popędzili za pozostałymi łucznikami w stronę barykad, które

mieszkańcy osady ustawili między dwoma najbliższymi stojącymi domami.

Gdy tylko zajęli swoje miejsca, Felix usłyszał jak roztrzaskuje się słaba sztaba, jaką Gotrek kazał umieścić w poprzek wrót. Belka celowo była nie za mocna, żeby zwierzoludzie nie mieli problemu z dostaniem się w obręb murów. Powodzenie planu Gotreka zależało od tego, czy bestie uda się zgromadzić w jednym miejscu. Nie po jego myśli byłoby, gdyby teraz rozpierzchły się wokół palisady i próbowały ją pokonać w różnych punktach.

– Strzały na cięciwy, chłopaki – zakomenderował Weir. W migotliwym świetle pochodni obserwowali drewniane wrota, drżące i wyginające się pod naporem najeźdźców. – Dwie serie i biegnijmy dalej. Nie ma czasu na bohaterstwo, aye?

Odpowiedź łuczników zagłuszył huk pękającego drewna. Belka poszła w drzazgi, a zwierzoludzie napłynęli do środka, odrzucając szczątki wrót i rycząc triumfalnie. Felixowi żołądek podszedł do gardła, gdy zobaczył, jak biegną w ich stronę. Nagle przeraził się, że cały ich plan nie ma szans powodzenia. Cóż mogłoby powstrzymać taki dziki atak?

Zdawało się, że łucznicy pomyśleli dokładnie to samo, bo tylko kilku, wliczając w to Kat, wystrzeliło z łuków. Reszta tylko siedziała i gapiła się jak przestraszone króliki na zbliżającego się wilka.

– Strzelać, do cholery! Strzelać! – ryknął Weir w popłochu.

Mieszkańcy osady i uchodźcy otrząsnęli się otępienia i wystrzelili, ale niezdecydowanie. Nie było czasu na drugą serię. Zbyt długo zwlekali.

– W nogi! – krzyknął Weir.

Łucznicy nie potrzebowali, żeby im to dwa razy powtarzać. Obrócili się i pobiegli ulicą ile sił w nogach. Felix i Kat chwycili czekające na nich pochodnie umieszczone na barykadzie. Puścili się biegiem za pozostałymi. Felix niemal się zakrztusił, gdy tylko mocniej nabrał powietrza w płuca. Ulica śmierdziała od rozlanej brandy – przynęty, która miała poprowadzić gory do pułapki, gdyby wszystko inne zawiodło.

Wydawało się w tej chwili, że nie będzie to potrzebne. Tak jak Gotrek to przewidział, zwierzoludzie gonili uciekających obrońców

z żądzą mordu płonąca w dzikich ślepiach. Pokonywali barykadę i w zastraszającym tempie zmniejszali dystans.

Gdy zbliżyli się do głównego skrzyżowania, Weir obejrzał się za siebie i zamachał rękami.

– Rozproszyc się! Rozproszyc się! Na trzecie pozycje!

Teraz nadeszła chwila Felixa i Kat. Podczas gdy łucznicy umykali na lewo i prawo, kryjąc się w zacienionych podwórkach między niewielkimi domami, Felix i Kat biegli przed siebie, wymachując pochodniami i wykrzykując za siebie obraźliwe obelgi. Ważne było, żeby gory pobiegły za nimi, a nie zechciały ścigać uciekających łuczników.

Felix z niepokojem obejrzał się za siebie. Kilku zwierzoludzi odłączyło się od głównej grupy, ale ta podążała za nim i Kat. Dobrze. Wybuchnął histerycznym śmiechem. Znów pomyślał sobie, że to szaleństwo odczuwać ulgę na myśl o tym, że stado zwierzoludzi goni właśnie jego.

Felix i Kat wbiegli na skrzyżowanie, prosto na wóz, który stał pośrodku. Wskoczyli na tylną klapę i wspięli się na szczyt piramidy baryłek. Obrócili się i machali pochodniami na nadbiegające potwory. Smród brandy był tu jeszcze bardziej intensywny, gdyż beczki były otwarte. Felix przestraszył się, że ogień pochodni może zapalić opary alkoholu.

– Chodźcie no tu, wy plugawe ścierwojady! – wrzasnął.

– Złapcie nas, jeśli potraficie! – zawtórowała mu Kat piskliwym głosem.

Zwierzoludzie zrobili to, do czego ich podjudzano, i ruszyli na wóz. Z wysoko położonego punktu Felix dostrzegł, że ostatni ze zwierzoludzi dopiero teraz przechodzili przez wrota. Wciąż było ich tak wielu! Zbyt wielu! Wybuch prochu nie zabije ich wszystkich.

Podczas gdy gory ruszyły w stronę wozu, Felix i Kat cisnęli w nich pochodniami, zeskoczyli na ziemię i rzucili się pędem w stronę drzwi do spichlerza, modląc się w duchu, żeby tym razem bestie ich nie ścigały. Mieli nadzieję, że zastawiona przez nich pułapka skutecznie przyciągnie uwagę wroga.

Z początku pomyślał, że się nie udało, bo usłyszał tętent kopyt na drewnianych stopniach za sobą, a potem przekleństwo z ust

Zabójców, kiedy wraz z Kat zanurkowali w ciemność za drzwiami wiodącymi do wnętrza kamiennej budowli.

Trzy olbrzymie gory wdarły się do środka za nimi, ale Zabójcy poradzili sobie z nimi, zanim nawet bestie zdały sobie sprawę, że są atakowane. Nikt więcej ich nie ścigał.

Felix i Kat starając się wyrównać oddech dołączyli do Zabójców stojących przy drzwiach. Z zewnątrz dochodziły ich odgłosy radosnego porykiwania. Pierwsi zwierzoludzie kłębili się wokół wozu, wspinali się na niego i przepychali między sobą, starając się dostać do brandy i piwa. Coraz więcej nowych napływało na skrzyżowanie i domagało się swojej części łupu. Jeden z gorów uniósł beczkę z brandy nad głowę i wlewał płyn prosto w otwarte usta.

– Dobra robota, Gurnissonie – pochwalił Gotreka Rodi. – Łyknęli przynętę.

Gotrek tylko pokiwał głową, nie spuszczać wzroku z tłumu na zewnątrz.

– Bezmyślne zwierzęta – zachichotał Snorri. – Ogłupione przez piwo.

Rodi roześmiał się.

– Tobie coś takiego nigdy by się nie przytrafiło, ojczulku Rdzawa Czaszko, prawda?

– Snorri nie wie, co masz na myśli – odparł stropiony Snorri.

– Ehm, Gotreku – wtrącił się Felix. – Czy nie powinieneś już odpalić lontu?

– Jeszcze nie teraz – odparł Gotrek.

– Ale co, jeśli odkryją beczki z prochem?

– Pewnie też je opróżnią – stwierdził Rodi.

Felix czekał, czując jak mięśnie bolą go od napięcia. Obserwował zwierzoludzi napływających na skrzyżowanie i tłoczących się wokół wozu. Tłum powoli zaczął wypełniać dochodzące do skrzyżowania ulice. Gotrek miał chyba nerwy ze stali. Jeżeli będzie zbyt długo zwlekał, gory na obrzeżach stada mogą stracić zainteresowanie i poszukać sobie innego łupu. Mogą również wyczuć dobiegający ze spichlerza zapach krwi zabitych towarzyszy i chcieć to zbadać.

Wreszcie, gdy ledwo już mógł przezwyciężyć chęć wyrwania pochodni z rąk Gotreka i podpalenia lontu, Zabójca opuścił pochodnię w stronę wiązki lontów leżących na podłodze. Zapaliły się i płomień zaczął się przesuwając po ich długości w stronę drzwi, rozrzucając dookoła iskry.

– Zróbcie trochę miejsca – powiedział Gotrek i gestem nakazał im się odsunąć.

Wszyscy zrobili krok w tył, ale nie spuścili wzroku z wędrujących płomieni. Widok był zbyt hipnotyzujący.

Ale wtem, katastrofa.

Dwa gory próbowały wynieść beczkę piwa na bezpieczną odległość od pozostałych amatorów tego trunku. Niezłe się przy tym rozpychały, kopniakami i kuksańcami torując sobie drogę. Nagle jedna pazurzasta dłoń złapała za beczkę i pociągnęła ją w dół. Baryłka wysunęła się gorom z rąk i upadła na ziemię, roztrzaskując pokrywę. Z dziury zaraz popłynęła fala złocistego płynu.

Zwierzoludzie natychmiast rzucili się, żeby podnieść beczkę, ale nie byli wystarczająco szybcy. Podczas gdy walczyli o łup, fala piwa zbliżyła się do zamaskowanego rowka w ziemi, który krasnoludy wyryły, aby ukryć tam lont. Niestety deski nie stanowiły żadnej ochrony przed wilgocią i teraz fala pianistego piwa popłynęła wzdłuż szczeliny.

Felix i pozostali obserwowali to w osłupieniu. Gotrek powiedział coś po khazalidzku, a Felix rad był, że nie zrozumiał tej wypowiedzi.

– No dobra – otrząsnął się Rodi, chwytając za topór. – Daj mi pochodnię, Gurnissonie. Nadszedł czas na spotkanie z moją zagładą.

– Nie – zaprotestował Snorri. – Snorri chce wziąć pochodnię.

– To był mój plan – powiedział Gotrek. – To będzie moja...

– Na cycki Rhyi! – syknęła Kat i zanim którykolwiek z nich zorientował się, co się dzieje, wyrwała Gotrekowi pochodnię z ręki i pobiegła z nią w stronę drzwi.

– Kat! – wrzasnął Felix i ruszył za nią.

Kat lawirowała między tłumem okładających się zwierzoludzi, jak królik, który przez przypadek trafił na wiejską potańcówkę i usiłuje uniknąć zdeptania. Przepychając się łokciami i unikając uderzeń ciężkich kopyt, Felix szybko musiał przyznać, że nie był ani

tak mały, ani tak zwinny. Nie zważając na to, co się wokół nich dzieje, zwierzoludzie, opętani żądzą opróżnienia beczek z alkoholem tłoczyli się, sprawiając, że co chwila obrywał przypadkowe ciosy.

Przedzierając się przez rozszalały tłum, zobaczył, jak Kat mija kałuże rozlanego piwa i za pomocą buta odkrywa jedną z desek bliżej wozu. Jeden z gorów ją zauważył i wydał z siebie ryk. Zagłuszyła go ogólna wrzawa.

– Kat! Uważaj! – krzyknął Felix.

Za bardzo była skupiona na swoim zadaniu. Nie usłyszała go. Coraz więcej zwierzoludzi obracało się w jej stronę, ale ona, nie zważając na nic, wepchnęła pochodnię w wydrążony w ziemi rowek. Trysnęły iskry i płomień ruszył w stronę wozu między szeroko rozstawionymi łapami zwierzoludzi.

Jakiś zwierzoczek złapał Kat za tył płaszcza i podniósł ją nad ziemię. Felix przepchnął się między dwoma wielkimi potworami i ciął gora w ramię swym nowym mieczem. Gdyby to był Karaghul, odciąłby bestii rękę, ale nowemu ostrzu brakowało masy. Wbiło się tylko po kość.

To jednak wystarczyło. Gor zaryczał i wypuścił Kat, obracając się ku Felixowi. Felix uniknął ciosu maczugi wykonanej z pnia drzewa i pomógł Kat się podnieść.

– W nogi! – ryknął.

Już pędziła, trzymając w dłoniach toporki. Felix obrócił się i pospieszył za nią, gotów zrobić wszystko, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. Coraz więcej gorów zauważało ich obecność, wyciągając w ich stronę łapska i nawołując swoich braci. Kat z gracją tancerki unikała ataków i mijanym zwierzoludziom wymierzała zwinne ciosy. Felix ciął tych, którzy ruszali w pościg za nią, i zatapiał ostrze miecza w ciałach tych, którzy chwiejąc się z jękiem osuwali się na bok.

Wreszcie udało im się wydostać z tłumy i wbiec na kamienne schody wiodące do spichlerza. Goniło ich kilka gorów i Felix, biegnąc ramię w ramię z Kat oraz pokonując próg, czuł podmuch powietrza wywoływany przez wymachy olbrzymią maczugą.

Wreszcie, gdy Felix wydawał już z siebie westchnienie ulgi, rozległ się ogłuszający huk i coś uderzyło go z olbrzymią siłą w

plecy, sprawiając, że przeleciał na przeciwległy kraniec komnaty i uderzył w ścianę. Przez dłuższą chwilę widział tylko ciemność i pomyślał sobie, że gorzki musiał go jednak dosięgnąć maczugą i teraz trafił do piekła. Wydawało mu się bowiem, że znalazł się w świecie ciemności, płomienia i huku, gdzie nie potrafił rozróżnić góry od dołu i zimna od gorąca. Jego ciało wydawało się jednocześnie zdrętwiałe i rozpalone. W głowie kręciło mu się, jakby właśnie skończył konkurs picia, rywalizując ze Snorrim Gryzonosem.

Ale wtedy odzyskał wzrok i nagle stał się jeszcze bardziej zdezorientowany. Wydawało mu się, że widzi jak kula ognia wypada z sufitu i płynie w stronę podłogi. Ściany drżały i dygotały, jakby były z gumy. Ciężkie wilgotne przedmioty spadały wokół niego jak zgniłe owoce. Coś bardzo ciężkiego napierało na jego ramiona. Wreszcie odzyskał równowagę i zdał sobie sprawę, że tkwi głową w dół i z tyłkiem sterczącym do góry, oparty o ścianę, z przekrzywioną szyją. Ciężar całego jego ciała spoczywał na ramionach. Kula ognia wycofywała się przez drzwi, a dookoła leżały szczątki zwierzolutki jak resztki na podłodze w rzeźni. Noga zakończona kopytem upadła tuż obok niego. Wciąż wypływała z niej krew. Głowa zwierzoczątka, do którego musiała należeć, zwisała teraz ze ściany nad nim, wbita jednym rogiem w zaprawę. Z sufitu sypał się pył.

Po jego prawej rozległ się cichy jęk. Obrócił głowę i jego ciało ześliznęło się po ścianie, po czym uderzyło boleśnie o podłogę. Jęknął i usiadł. Kat leżała zwinięta z kłębek koło niego. Straszliwa myśl przyszła mu do głowy. Czyżby eksplozja ją zabiła?

– Kat? – zapytał. – Wszystko w porządku?

Kat z trudem otworzyła jedno oko.

– Czy my zginęliśmy?

Ulga spłynęła na niego niczym rzeka przebijająca pękniętą zaporę.

– Nie.

– W takim razie wszystko w...

– Zabójcy! – ryknął Gotrek od strony drzwi. – Do ataku!

Felix zobaczył, jak Gotrek, Snorri i Rodi wybiegają przez drzwi, dzierżąc broń.

Kat powoli podnosiła się, podpierając o ścianę. Drżała jak osika.

– No, Felixie, idziemy – powiedziała. – Czeka na nas rzeźnia.

Felix również się podniósł. Czuł się jakby go zrobiono z zapalek i zardzewiałych zawiasów.

– Aye – powiedział. – Ale twoje zadanie polega na tym, że strzelasz z dachu, pamiętasz?

– Ale ja chcę walczyć razem z tobą – zaprotestowała.

A ja chcę, żebyś przeżyła, pomyślał Felix, ale wiedział, że nie może tego powiedzieć na głos. Zamiast tego odrzekł:

– Nie, Kat. Łucznicy cię potrzebują. Widziałas, jak się zachowywali na palisadzie. Idź do nich. Pokaż im, jak to się robi.

Spojrzała na niego, znowu z krzywym uśmiechem.

– Czy to właśnie w ten sposób przekonujesz Gotreka, żeby robił to, co chcesz?

Felix otworzył usta, ale zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, ona roześmiała się i ruszyła chwiejnie po schodach na wyższe piętro.

Felix przez chwilę patrzył za nią, po czym obrócił się i ruszył w stronę drzwi, zza których dobiegały coraz głośniejsze odgłosy bitwy.

Skrzyżowanie wyglądało jak jatka. Miazga, jaka została z dziesiątek zwierzoludzi, zalegała pod ścianami domów jak sterty szkarłatnych odpadków. Po wozie z prochem nie został nawet ślad, tylko dymiący fragment spalonej ziemi w miejscu, w którym stał, otoczony topniejącym czerwonym śniegiem. Odłamki drewna i klepki beczek tkwiły w ścianach budynków jak olbrzymie drzazgi.

A jednak, ku zdumieniu obrońców, niektórym ze zwierzoludzi udało się przetrwać. Felix zobaczył Gotreka, Snorriego i Rodiego nacierających na nich w południowej części skrzyżowania – trzy przysadziste trąby powietrzne atakujące kilkudziesięciu zwierzoludzi. Nie byli sami. Sir Teobalt z Karaghulem w ręku walczył na czele małej grupy żołnierzy, uchodźców i mieszkańców osady, wszystkich uzbrojonych w ukradzioną przez Ludekera broń.

– Obywatele Imperium! – krzyczał zakonnik wysokim głosem. – Zniszczcie wrogów ludzkości! Brońcie swych domostw!

Felix biegnąc, a raczej zataczając się w stronę walki, zobaczył jak zwierzoludzie padają jeden za drugim, nie tylko od ciosów mieczy i toporów.

Z każdego dachu śmigały w ich stronę strzały, których groty zagłębiały się w futro. Słyszał głos Weira dobiegający z góry i nieco z tyłu.

– Właśnie tak, chłopaki! Celować w obrzeża. Nie chcecie chyba zabić nikogo z naszych, co?

Felix rzucił się do walki, zamachując się raz nisko, raz wysoko i niemal za każdym ciosem zabijając jednego z wrogów. Była to wymarzona walka – taka, jaką wyobrażał sobie, gdy jako mały chłopiec rozczytywał się w starych rycerskich sagach. Tak oto Sigmar zabił tysiąc orków na Przełęczy Czarnego Ognia. Tak oto Magnus zmiotł z powierzchni ziemi siły Chaosu przed wrotami Kisleva. Bestie zdawały się padać zanim zdołały ich osiągnąć jego ciosy. Towarzysze Felixa radzili sobie równie dobrze, siejąc spustoszenie wśród szeregów wroga, jakby mieli do czynienia z jagniętami, a nie zwierzoludźmi.

Oczywiście nie była to uczciwa walka i Felix zdawał sobie z tego sprawę. Eksplozja oszołomiła bestie, tak samo jak i jego, ale oni doświadczyli tego mocniej, gdyż przyjęli na siebie cały impet wybuchu. Zataczali się jak pijani i ledwie byli w stanie utrzymać broń w ręku. Z ciał niektórych z nich wystawały osmalone odłamki drewna. Mimo wszystko zwycięstwo nad nimi miało wspaniały smak. Cudowna zemsta za wszystkie nieszczęścia, jakich przysporzył Felixowi i jego towarzyszom Drakwald, od chwili gdy opuścili Altdorf.

Jedno tylko odejmowało tej walce blasku. Tylko jedno sprawiało, że nie była to bitwa idealna – marny, nieznanany miecz, którym walczył. To powinien być Karaghul. Bez niego nie czuł się dobrze. Bloki i parowania były słabe, atakom brakowało siły. Tak naprawdę całe szczęście, że zwierzoludzie byli osłabieni, bo gdyby walczyli w pełni sił, nie wiedział, czy byłby w stanie stawić im czoła walcząc nowym ostrzem.

W przerwie między kolejnymi ciosami rzucił spojrzenie sir Teobaltowi. Wiedział, że zakonnik miał prawo odebrać mu miecz, ale to wciąż bolało. Wciąż wydawało mu się niesprawiedliwe. Niemal pragnął, żeby... ale nie, to było niegodne. Odepchnął od siebie tę myśl.

Zaledwie po paru chwilach kilku pozostałych przy życiu zwierzoludzi uciekło z pola walki i biegiem popędziło w stronę wrót. Felix, Zabójcy i zbieranina pod wodzą sir Teobalta ruszyli za nimi w pościg i udało im się zatrzymać wszystkich, oprócz trzech najszybszych. Ci zostawili w tyle pościg, robiąc użytek ze swych nienaturalnie długich nóg.

Gotrek cisnął toporem w bestie uciekające w stronę lasu. Trafił najwolniejszego potwora w lewą nogę. Zwierzoczek z piskiem osunął się na ziemię. Pozostałych dwóch nawet się nie obejrzało, tylko ile sił w nogach popędziło w stronę czarnej ściany lasu.

Felix i reszta zatrzymali się zaraz za wrotami osady. Gotrek ciężkim krokiem ruszył odzyskać swój topór. Na końcu dołączył do nich kuśtykający sir Teobalt, krzywiąc się i dysząc jak miechy kowalskie. Oparł się o palisadę i próbował złapać oddech.

– Dobra... dobra robota, panowie – powiedział do swych żołnierzy. – Walczyliście dzielnie. I wy również, synowie Grimmira – dodał, zwracając się do Zabójców. – Wasz plan zadziałał pod każdym względem.

Felix zauważył, że stary zakonnik nie wspomniał o nim w swych gratulacjach. Teobalt zwrócił się do jednego z żołnierzy.

– Anselmie, zamknij wrota i załóż tę ciężką sztabę. Bestie mogą wrócić...

– Srr – dobiegł ich dziwny głos z cieni zalegających za bramą. – Srr, proooszę.

Felix i pozostali zwrócili się w stronę, z której dobiegał dźwięk. Straszliwa zgarbiona postać powłócząc nogami wynurzyła się z ciemności. Był to jeden z ungorów z niewielkimi rogami i porośniętą sierścią twarzą. Jego rysy wciąż jeszcze przypominały ludzkie. Zwierzoczek był straszliwie pokaleczony. Miał siniaki i głębokie rany na twarzy i ramionach. Żyłastymi ramionami ścisnął się za brzuch, starając się powstrzymać wnętrzności wypływające z biegnącego od mostka do krocza rozcięcia. Ledwo się trzymał na nogach.

– Bestia! – krzyknął sir Teobalt. – Zabić ją!

Jego ludzie zrobili krok do przodu, ale Snorri i Rodi wysunęli się przed nich z uniesioną bronią.

Ungor zachwiał się do tyłu. Na jego na pół ludzkiej twarzy odmalował się błagalny wyraz, a z ust wydobył okrzyk przestachu. Nagle Felix rozpoznał go.

– Stać! – krzyknął. – To Ortwin!

15

Sir Teobalt wpatrywał się w niego w osłupieniu.

Dwóch Zabójców zatrzymało się, ale nie Gotrek, który powracał z odzyskanym toporem. Przepchnął się między nimi i uniósł broń, gotów do zadania ciosu.

– To już nie jest on.

Przemieniony giermek upadł na plecy, wznosząc błagalnie dłoń.

– Prrszę nie! Mmuszę pprzmówić. Mmuszę wam coś ppowiedzieć.

Gotrek stanął nad nim z wzniesionym wysoko toporem.

– Poczekaj, Gotreku – powstrzymał go Felix. – Pozwól mu przemówić.

– Jest potworem – odparł Zabójca. – Musi zginąć.

– Prrgnę śmrrci – wymamrotał Ortwin. Kły wystające z ust zniekształcały wypowiedane przez niego wyrazy. – Ale najprrrw mmuszę wam ppowiedzieć.

– Wygląda na to, że i tak zaraz umrze – stwierdził Felix.

Gotrek opuścił topór.

– Mów szybko, bestio – warknął. – Mój topór się niecierpliwi.

Ortwin jęknął z ulgą.

– Dziękci ci, Zzbójco.

Sir Teobalt minął dwóch pozostałych Zabójców i spojrzał na leżącego na ziemi swego dawnego giermka. Felix nigdy nie widział starego rycerza równie zszokowanego i przygnębionego.

– Ortwinie, czy to naprawdę ty?

Przemieniony młodzieniec skulił się pod przeszywającym spojrzeniem rycerza.

– Wybcz mi, ppanie. Niech Sigmrr się naade mną zlituje.

Sir Teobalt jakby się skurczył. Zakrył oczy drżącą dłonią.

– Niech Sigmar zlituje się nad nami wszystkimi.

Od strony wioski dobiegło skrzypienie kroków na śniegu. Felix obrócił się i zobaczył Kat wraz z doktorem Vinckiem prowadzących za sobą tłum zdenerwowanych mieszkańców osady.

– Czy oni wszyscy nie żyją? – zapytał doktor Vinck. – Czy złapaliście wszystkich...

Zakrztusił się na widok Ortwina. Z tłumu za jego plecami rozległ się groźny pomruk.

– Trzymaj ich z dala od tego, doktorze – powiedział Felix. – Nie ma powodu do strachu.

Doktor posłusznie przegonił mieszkańców z powrotem do miasteczka, ale Kat została razem z nimi i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w umierającego giermka.

– Czy to...? – zapytała drżącym głosem. – Czy to...?

Felix pokiwał głową i objął ją ramieniem. Oplotła go ramionami w pasie.

– Dalej, Ortwinie – ponaglił obracając się z powrotem do giermka. – Opowiadaj.

Ortwin z widocznym trudem skinął głową i nabrał powietrza w płuca.

– Wiem, gdzie oni chcą... zabrrć kamień – wycharczał. – Wiem, co zrrbią... co z nim zrrbią. Przybyłem... zeeby was ostrzec, alee złappli mnie i...

Zerknął na straszliwą ranę ziejącą w jego brzuchu.

– Prznajmniej wkrrtce będzie po wszysstkim.

– Szybciej niż myślisz, jeżeli nie będziesz się streszczał – wtrącił się Gotrek. – Opowiadaj, bestio.

Ortwin ponownie skupił się na opowieści.

– Wędrją na południe, w strnę wzgórz – wyjęczał. – Chcą przkrrczyć Taalabek. Jest tam strry krrg. Ustawią tam tootem. Podczss... podczss Nocy Wiedźm – Hexensnacht.

Jego twarz przeszył grymas bólu.

– Ale w jakim celu? – zapytał sir Teobalt.

– Crrmonia – wydyszał Ortwin. – Urslak Ułamany Rróg otrzymał wzzję od ptasiogłowego boga. Ta crrmonia, podczss tej noocy... przemieni wszysstkich ludzi w cieniu lasu w bsstie, tak jak mnie.

Ludzie i krasnoludy wpatrywali się w niego z niedowierzaniem w oczach.

– Wszystkich ludzi? – zapytał niepewnie Felix. – Co do jednego? Dysponuje mocą, żeby tego dokonać?

– Kkmięń daaje mu siłę – odpowiedział Ortwin. – Jego bóg daaje mu siłę. Jego sstado daaje mu siłę.

– O jaki las chodzi? – zapytał doktor Vinck. – Drakwald? Wielki Las? Reikwald?

– Dla bsstii – wycharczał Ortwin – wszystkie lssy są jednym. Felix i pozostali popatrzyli po sobie.

– To straszliwe wieści – sir Teobalt odezwał się jako pierwszy.

– Bzdura – stwierdził Rodi. – To niemożliwe. Żadna bestia nie ma takiej mocy.

– Jak możesz tak mówić, kiedy masz przed sobą dowód tej mocy? – powiedział doktor Vinck, wskazując na Ortwiną.

– Przemienienie kilku ludzi to nie to samo, co przemienienie tysięcy osób na połaci setek mil – odpowiedział Rodi.

– A jakie to ma znaczenie? – wrzucił ramionami Gotrek. – Jeżeli ten szaman potrafi zrobić jedną dziesiątą tego, czym się szczyci, to i tak za wiele. Trzeba go powstrzymać.

– Trzeba – zgodziła się Kat.

Rodi pokiwał głową.

– Aye. I to jest szansa na wspaniałą zagładę, nieważne na czyją stronę przechyli się szala zwycięstwa.

– Snorri chciałby, żeby już była Noc Wiedźm – rozmarzył się Snorri.

Ta uwaga sprawiła, że Felixa coś tknęło.

– Czekaście – powiedział. – Jaki dziś mamy dzień?

Sir Teobalt spojrzał na niego.

– Dwudziesty pierwszy Vorhexen – święto Walhemara Śmiałego.

Felix szybko obliczył coś w myślach.

– Czyli mamy czternaście dni do Hexensnacht. Nie wiem, o jakie miejsce chodzi po drugiej stronie Talabeku, ale jeżeli zwierzoludzie będą się poruszać z dotychczasową prędkością, to nie zdążą na czas. Nam zajęło dziesięć dni, żeby dostać się tutaj z Ahlenhofu, a

przecież podróżowaliśmy ubitą drogą, podczas gdy oni karczują przed sobą las.

Kat pokiwała głową.

– To niemożliwe.

– Nnie – zajęczał Ortwin.

Wszyscy odwrócili się w jego stronę. Śnieg, na którym leżał, był już cały splamiony krwią.

– Kżdy przemieniony człowiek, ktrrego Urslak włącza do sstada, dodaje sswoją wiedzę – powiedział giermek, wypluwając przy tym bąbelki czerwonej flegmy. – On potrrfi czytać w mśślach. Wiedział, że będę prrbował do waas przyjść. Wie, jaak krzysstać z rzeki.

– Jak korzystać z rzeki? – zapytał sir Teobalt. – Nie rozumiem.

– Obóz drrwali – odparł Ortwin. – Nad rzeką.

– Aye, pamiętam – powiedział sir Teobalt, kiwając głową. – Spędziliśmy tam noc.

– A co ma z tym wspólnego obóz drwali? – zapytał Rodi. – Potwór gada bez sensu!

Felixa nagle olśniło.

– Kłody! – wykrzyknął. – Tratwy! Widzieliśmy je!

– O czym ty mówisz, człeczyno? – zapytał Gotrek.

Felix jęknął, dając wyraz swojej frustracji. Najwyraźniej krasnoludy były kompletnymi ignorantami, jeżeli chodzi o wykorzystanie drzew.

– Szaman ma zamiar spławić totem rzeką – odpowiedział. – Jeżeli powiążą ze sobą kilka z tych tratw, które widzieliśmy, stworzy olbrzymią łódź. Spławią kamień z nurtem Zufuhru. Pomoże mu to podwoić prędkość podróży. Może nawet potroić.

– Tak – odezwał się z ziemi Ortwin. – Tak.

– Ale przecież zwierzoludzie nie potrafią konstruować łodzi – zachnął się Rodi. – Z trudem przychodzi im przywiązanie kamienia na końcu patyka i nazwanie tego maczuga.

– Bsstie nie – wyszeptał Ortwin. – Ale bsstie, ktrre kiedyś były ludźmi tak. Urslak się... – zakaszłał, plując krwią na porośniętą futrem pierś. – Urslak się uczy.

Ortwin zamilkł, a Felix utkwiał w nim nierozumiejące spojrzenie. Zwierzoludzie, którzy potrafią się uczyć – to brzmiało jak koszmar, zagłada ludzkiej rasy. To głównie dzięki prymitywizmowi bestii i ich brakowi dyscypliny, a nie dzięki wyrafinowaniu ludzkiej obrony, udawało się do tej pory powstrzymać zwierzoludzi przed zawładnięciem światem. Jeżeli potwory nauczą się, jak używać wozów, łodzi oraz rozwiną w dziedzinie organizacji i taktyki, to nic ich nie powstrzyma.

– Coś jeszcze, bestio? – zapytał Gotrek, patrząc w dół na Ortwina.

Przemieniony giermek spojrzał na niego zamglonymi oczami.

– Strzrzście się... strzrzście się toprra Gargoratha Bosskiego Wybrrrńca – wydusił. – Zjada... zjada to, co zabija.

– I to wszystko?

Ortwin skinął głową i osunął się na ziemię.

– Jsstem gotów.

Gotrek uniósł topór, ale zanim zdołał się zamachnąć, sir Teobalt go powstrzymał.

– Poczekaj, Zabójco – powiedział. – To ja powinienem to zrobić.

Gotrek kiwnął głową i odsunął się. Tymczasem stary zakonnik stanął nad swym dawnym giermkim.

– Nie mogę ci ofiarować zbawienia, chłopcze – powiedział Teobalt. – Łaska Sigmara nie spływa na bestie. Ale... ale chciałbym ci podziękować. Mimo że uległeś plugawej mocy, poświęciłeś swe życie, żeby powrócić tu i nas ostrzec. To było bardzo odważne i naprawdę godne pochwały.

– Dziękuję ci, srr – odpowiedział Ortwin. Wydawało się, że w jego zwierzęcych oczach błysnęły łzy, choć może była to tylko krew.

– Niech Sigmar cię błogosławi.

Sir Teobalt wziął Karaghula w obie dłonie i uniósł go.

– Obyś w śmierci odnalazł spokój, który utraciłeś za życia.

Przemieniony chłopak zamknął oczy. Ostrze opadło ze świstem. Kat odwróciła wzrok i przycisnęła twarz do piersi Felixa, podczas gdy porośnięta futrem rogata głowa potoczyła się po białym śniegu. Felix przytulił dziewczynę i pogładził jej włosy czułym, pełnym smutku gestem.

Giermek może i bywał czasem głupcem za bardzo pochłoniętym sprawami honoru. Może zbyt często dawał się ponieść żądzy dokonywania heroiczych czynów. Nie wychodziło to na dobre jemu samemu, a w wielu przypadkach także jego towarzyszom. Nie można było jednak zaprzeczyć, że ten sam naiwny honor okazał się silniejszy niż zwierzęce instynkty, jakie zawładnęły nim po przybraniu nowego kształtu. Zginął wierny swym ideałom. Wątpliwe, czy ktokolwiek napisze kiedyś balladę o młodzieńcu, który został zmieniony w bestię, ale trzeba było przyznać, że Ortwin był bohaterem. Bardzo możliwe, że to jemu Imperium będzie zawdzięczać ocalenie. Jeżeli oczywiście na czas uda im się dotrzeć z ostrzeżeniem do Altdorfu.

– Muszę udać się na południe, bez chwili zwłoki – stwierdził sir Teobalt.

– Na pewno nie wyruszysz sam – powiedział Gotrek.

– Aye – dodał Rodi. – Idziemy z tobą.

– Snorri jest gotów do drogi – poinformował ich Snorri. – Dokąd idziemy?

– Czy mamy jakąś łódź? – Felix zadał kluczowe pytanie. Wydawało się, że tylko podróżując rzeką będą mieli szansę na dogonienie bestii.

Doktor Vinck potrząsnął głową.

– Niestety nie. Żołnierze i uchodźcy zabrali wszystkie łodzie, gdy tylko dotarły do nas wieści o zbliżającym się stadzie.

Zmarszczył czoło.

– Ale wydaje mi się, że jedna chyba ostała się przy obozowisku drwali. O ile zwierzoludzie już jej nie zabrali.

– Mogli jeszcze tam nie dotrzeć – powiedziała Kat, podnosząc głowę z piersi Felixa. – Podróżując rzeką możemy ich prześcignąć.

– Musimy spróbować! – zakomenderował sir Teobalt. – Wyruszamy natychmiast!



Felix, Kat, sir Teobalt i trzech Zabójców wyruszyli godzinę później na wozie, do którego, aby osiągnąć większą szybkość, zaprzęgnięto aż cztery konie. Machtig Teobalta był uwiązany z tyłu. Mimo że wszystkich zmęczył długi dzień przygotowań i obrona osady, nie było innego wyjścia. Musieli prześcignąć pochód zwierzoludzi, a gdyby poczekali do następnego ranka, mogłoby się to okazać niemożliwe.

Doktor Vinck podziękował im wylewnie za pomoc w ocaleniu Bauholz oraz podarował zapasy jedzenia i picia na drogę. Błagał Kat, żeby uważała na siebie i przypomniał sir Teobaltowi, aby trzy razy dziennie smarował niezagojone jeszcze do końca rany maścią, jaką mu ofiarował. Na koniec pomachał im na pożegnanie, aż wreszcie drewniane wrota zatrzasnęły się za nimi z głuchym hukiem.

Felix i Kat siedzieli tuż obok siebie na tyle wozu wyjeżdżającego z miasta. Był to pierwszy raz odkąd odbili ją z rąk porywaczy, kiedy zostali sam na sam. No cóż, prawie sam na sam. Sir Teobalt stwierdził, że przyszła dla niego pora, aby się wykazać. Przecież to on miał jak dotąd najmniej zasług w bitwie. Dlatego też odwiązał Machtiga, dosiadł go i od tej pory jechał daleko przed wozem.

Trzej Zabójcy siedzieli z przodu. Gotrek powoził, a Rodi i Snorri trzymali wartę.

Felix wziął głęboki wdech. Nadeszła chyba najlepsza okazja, na jaką mógł liczyć od dłuższego czasu, do przeprowadzenia tej rozmowy.

Położył dłoń na udzie dziewczyny.

– Kat – powiedział.

Obróciła się do niego i uśmiechnęła. Wszystkie słowa, które sobie przygotował, momentalnie wyleciały mu z głowy. Gapił się tylko na nią w milczeniu.

Kat również popatrzyła mu głęboko w oczy. Przez dłuższą chwilę siedzieli tak w ciszy, patrząc się na siebie. Wreszcie dziewczyna ujęła jego rękę w swoją dłoń i położyła ją na swoim ramieniu, przytulając się do niego. Przycisnął ją mocno i ich usta złączyły się w długim, namiętym pocałunku. Felix miał wrażenie, że mroźna noc ustąpiła nagle miejsca ciepłej tileańskiej wiosnie.

Po chwili jednak oderwał swoje wargi od jej ust i odsunął ją od siebie.

– Poczekaj, Kat – powiedział, dysząc ciężko. – Poczekaj. Nachmurzyła się trochę i spytała:

– Wciąż nie czujesz się z tym dobrze, Felixie? Nie mam już siedmiu lat.

– Wiem – odparł. – Wiem. Chodzi o to... nie to chciałem powiedzieć.

– A więc co? – zapytała, wysuwając wojowniczo podbródek.

Znów się zawahał, nie wiedząc, od czego ma zacząć, ale wreszcie się przemógł.

– Kiedy walczyliśmy z Milo, zdałem sobie z czegoś sprawę. Chodzi o to, że zrozumiałem, że zależy mi na tobie bardziej niż na kimkolwiek innym. Dawno już czegoś takiego nie czułem i nagle... nagle wszystkie moje wątpliwości zniknęły.

Kat spuściła wzrok i uśmiechnęła się nieśmiało.

– Ale...

Ponownie na niego spojrzała i znów zmarszczyła brwi,

– Ale? – zapytała z napięciem w głosie. Felix westchnął i oparł się o pakę wozu.

– Kat, ja nie prowadzę porządnego życia. Nie mam pracy, domu, majątku. Odkąd pamiętam podążam za Zabójcą w poszukiwaniu zagłady i przysięga, którą mu złożyłem, oznacza, że tak będzie, dopóki on będzie żył.

Zerknął na nią z ukosa.

– Nie mogę ci nic ofiarować. Nawet pewności, że kiedy jutro się obudzisz, wciąż będę u twego boku.

Kat uśmiechnęła się i wydała z siebie westchnienie ulgi.

– Czy to wszystko? – zapytała.

– Czy to nie wystarczy? – zapytał zaskoczony.

– Przecież to nic nie znaczy, Felixie. Nic. – Ponownie się do niego przytuliła i położyła głowę na jego piersi. – Kiedy Papa wprowadzał mnie w arkana sztuki zwiadowczej, nauczył mnie pierwszej zasady Drakwaldu, prawa, któremu podporządkować się musi każdy leśnik i łowca bestii.

– Co to za zasada? – zapytał Felix.

– Mamy tylko dzisiejszy dzień – odparła. Objęła go przy tym ramionami. – Jesteśmy tacy jak ty, Felixie. Bez domu, majątku. Śmierć czyha na nas za każdym zakrętem. Nikt z nas nie wie, czy jutro będziemy żyć, więc cieszymy się tym, co mamy.

– Mamy tylko dzisiejszy dzień – powtórzył Felix.

– Tak – wyszeptała. Podniosła głowę, spojrzała mu głęboko w oczy i rozchyliła wargi. – Mamy tylko dzisiejszy dzień.

Felix zbliżył swoje usta do jej warg, zamykając oczy. Czuł jej ciepły oddech i prężące się pod jego dotykiem ciało.

– Spokój, Machtig! – rozległ się donośny głos sir Teobalta.

Felix i Kat oderwali się od siebie i spojrzeli na rycerza z minami winowajców złapanych na gorącym uczynku. Stary zakonnik zawracał właśnie w stronę tyłu wozu i usiłował zsiąść z rumaka, podczas gdy koń rzucał się na boki. Teobalt uśmiechnął się.

– Co za uparta bestia. Za długo nie czuł wędzidła.

Felix i Kat pośpiesznie przyglądali ubrania i włosy, podczas gdy sir Teobaltowi udało się zsiąść i przywiązać konia do wozu. Następnie wspiął się na pakę i usiadł między nimi.

– Ale jestem zbyt zmęczony wydarzeniami dzisiejszego dnia, żeby go teraz ćwiczyć – powiedział, odpinając napierśnik. – Nieważne, będę miał na to zapewne sporo czasu w nadchodzących dniach.

– Bez wątplenia – powiedział Felix, przeklinając w duchu rycerza. Być może i mieli dla siebie tylko ten dzień, ale jeżeli sir Teobalt zdecydował się umościć akurat w tym miejscu, to ich dzień będzie musiał poczekać do jutra.

Stary zakonnik zerknął to na Felixa, to na Kat, z zagadkowym wyrazem na swej wymizerowanej twarzy, po czym zdjął napierśnik i położył go na podłodze,

– Niech Sigmar ma was w swej opiece podczas chwili odpoczynku, przyjaciele – powiedział, po czym położył się na podłodze, opierając głowę o napierśnik jakby to była poduszka. Złożył przy tym dłonie na piersi i zamknął oczy.

Felix westchnął i rzucił Kat spojrzenie wyrażające najwyższą irytację. Uśmiechnęła się patrząc na sir Teobalta.

Udało jej się zdusić głośniejszy wybuch śmiechu i tylko wzruszyła ramionami.

– No cóż, dobranoc, Felixie – powiedziała. – Kolorowych snów.

– Wątpię, żeby takie były – burknął Felix, po czym położył się i owinął ciaśniej płaszczem. W tej samej chwili stary rycerz zachrapał.



Felix zapadł w niespokojny sen, ale jak można się było spodziewać, nie udało mu się wypocząć. Podskakiwanie wozu na wybojach, chrapanie Teobalta i pełne frustracji myśli o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby ten przeklęty stary zgred im nie przeszkodził, skutecznie umożliwiały mu zapadnięcie w zdrowy, spokojny sen. Gdy już zbliżał się poranek, przyśniła mu się Kat rozdzielająca się z futer i wyciągająca się koło niego zupełnie naga. Wystarczyło jednak szarpnięcie wozu, który wjechał w wyjątkowo głęboką koleinę, i cudowne marzenie prysło. Otworzył oczy i poczuł na sobie zamyślane spojrzenie sir Teobalta.

Felix zamrugął ciężkimi powiekami. Ten widok kłócił się straszliwie z marzeniami, jakie przed chwilą snuł o Kat. Został brutalnie ściągnięty na ziemię.

Zakonnik nie spuszczał z niego wzroku.

– Czy... czy wszystko w porządku, sir Teobalcie? – wymamrotał Felix tak uprzejmie, na ile mógł się na to zdobyć.

– Wyrzodziłem ci straszliwą krzywdę, Herr Jaeger – odezwał się rycerz po chwili wahania.

O tak, nawet nie wiesz jaką, pomyślał Felix, ale na głos powiedział tylko:

– Czyżby?

– Chciałem porozmawiać z tobą już wcześniej, ale... – Zakonnik obejrzał się przez ramię na śpiącą Kat. – To prywatna sprawa, tylko między mną a tobą.

– Nie za bardzo rozumiem, co masz na myśli – powiedział Felix.

– Wiesz, o czym mówię, Herr Jaeger.

Teobalt westchnął ciężko i spuścił wzrok.

– Nie chciałem uwierzyć w to, co powiedziałaś mi o losie, jaki przypadł w udziale Ortwinowi i moim braciom. Teraz... teraz wiem, że mówiłaś prawdę.

– Niełatwo było w to uwierzyć – przyznał Felix.

– Aye.

Zakonnik zmarszczył brwi.

– Czuję ból na myśl o tym, że tak dobrzy ludzie odstępili od jedynej prawdziwej wiary i zostali przemienieni w coś takiego.

Felix zawahał się. Zdawało się, że Teobalt wciąż nie rozumie i cały czas stara się znaleźć winnego całej sytuacji.

– Wybacz mi, sir – odezwał się wreszcie Felix. – Ale nie wydaje mi się, żeby to była kwestia odstępstwa od wiary. Sądzę, że moc szamana jest po prostu zbyt wielka. Nie jestem pewien, czy sam Arcylektor byłby w stanie się jej przeciwstawić.

– Mówisz tak, żeby mnie pocieszyć – odparł zakonnik. – Chcesz, żebym lepiej myślał o mych braciach.

– Mówię to, ponieważ w to wierzę – stwierdził Felix. – Widziałem, jak działa ten kamień. Lord Ilgner był dobrym człowiekiem. Walczył z hordami i stadami zwierzoluty przez całe życie, a jednak i on został przemieniony.

– Być może masz rację – powiedział Teobalt, wciąż nie unosząc wzroku.

Zapadła cisza. Milczenie trwało tak długo, że Felix zaczął znowu przysypiać, myśląc, że rozmowa dobiegła końca.

W chwili gdy głowa opadła mu na pierś, rycerz znowu się odezwał.

– Jesteś człowiekiem honoru, Herr Jaeger – powiedział.

Felix uniósł brwi ze zdziwienia i zamrugnął oczami.

– Naprawdę?

– Aye – potwierdził sir Teobalt. – Uczyniłaś to, o co cię prosiłem. Dowiedziałaś się, co spotkało rycerzy Zakonu Płonącego Serca i, mimo że spodziewałaś się jak przyjmę potworne wieści, nie wahałaś się przed powiedzeniem mi prawdy.

Felix otworzył usta, ale zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, zakonnik wyciągnął rękę w uciszającym geście.

– Wciąż jeszcze pozostaje kwestia odzyskania regaliów zakonu, ale obawiam się, że mogły one zostać utracone na zawsze. Choć może odnajdziemy je, kiedy znów trafimy na zwierzoludzi. Tego nie wiem.

Usiadł z trudem. Syknął z bólu, bo sztywność stawów dawała mu się we znaki.

– Jednakowoż, spełniłeś swoje przyrzeczenie i nie zasługujesz, aby dłużej cierpieć z powodu kary, jaką ci wymierzyłem.

Sięgnął po Karaghula leżącego przez cały ten czas u jego boku i podał go Felixowi.

– Twój miecz, Herr Jaeger – powiedział. – Bez względu na to czy odnajdziemy regalia, czy nie, możesz go zatrzymać, tak jak ci to obiecałem. Zasłużyłeś sobie na niego.

Felix patrzył to na Teobalta, to na miecz. Był niemal tak onieśmielony, że z trudem zdobył się na wyciągnięcie ręki. W głębi ducha obawiał się, że to jakiś okrutny żart i zakonnik zaraz odbierze mu cenny dar. Ale okazało się jednak, że to była prawda i kiedy Felix wyciągnął ręce, Teobalt złożył na nich miecz i pochylił głowę.

– Noś go z honorem, Herr Jaeger – powiedział. – Tak jak to czyniłeś do tej pory.

– Dziękuję, sir Teobalcie – odparł Felix. Drżącymi dłońmi położył miecz przy swoim boku i z błogim wyrazem twarzy przesunął palcami po rękojeści.

– Nie zawiodę cię, obiecuję.



Następnym razem Felixa obudziły krasnoludzkie przekleństwa.

Pojękując, rozprostował obolałe kończyny. W końcu udało mu się usiąść. Rozejrzał się i zobaczył, że Kat i sir Teobalt również ziewają i niechętnie otwierają oczy. Nastął świt, panowała szarówka, a wokół wozu unosiły się opary gęstej mgły. Mimo to jednak od razu zauważył powód, dla którego Gotrek i Rodi tak głośno wyrażali swoje niezadowolenie.

Gdy już zeszli z wozu i poruszali się trochę, żeby przegonić sztywność stawów, rozejrzeli się dokoła. Znajdowali się pośrodku obozowiska drwali, jakie odwiedzili wcześniej w drodze na północ z kupcem Reidlem. Obozowisko już jednak nie istniało. Zostało zrównane z ziemią – palisada, namioty, krótkie pomosty, które wcześniej sterczały nad rzeką jak kikuty palców, wszystko zniszczone i wdeptane w ziemię przez kopyta dziesiątek tysięcy zwierzoludzi. Tratwy i sterty belek zniknęły – albo zabrali je zwierzoludzie, albo wpadły do rzeki i zostały porwane przez prąd. Jak okiem sięgnąć błotnisty śnieg pokryty był czarnymi odciskami kopyt. Wyglądało to jak olbrzymi pergamin, gdzie szalony autor nadpisywał kolejne wersy jeden na drugim, niezdolny do zatrzymania pióra.

– Byli tu i poszli dalej – stwierdziła Kat, rozglądając się dokoła posępny wzrokiem.

– Aye, zaledwie kilka godzin temu, sądząc po smrodzie – powiedział Rodi i splunął.

– Snorri żałuje, że nie poczekali – Snorri nie krył rozczarowania.

– A oto i nasza łódź – mruknął Gotrek, wskazując na rzekę.

Felix zerknął w tamtą stronę. Na południe od obozowiska drwali przez zasłone mgły dostrzegał małą łódź rzeczną zanurzoną aż po górną część nadburcia w wodzie. Łódka uderzyła w wielką skałę, która sterczała z brzegu i roztrzaskała jej dziób. Być może drwale próbowali ratować się ucieczką albo to bestie usiłowały niezdarnie nią kierować. Tak czy inaczej, łódź nie nadawała się do naprawy, a tym samym do dalszej żeglugi.

– Wracajcie na wóz – zarządził Gotrek. – Nie płyniemy.

– Grungniemu niech będą dzięki – powiedział Rodi i wstrząsnął nim dreszcz obrzydzenia. – Łodzie są dobre dla elfów.

Stado znaczyło swoją drogę zniszczeniem. Droga biegnąca równolegle do rzeki była zryta i rozdeptana. W obrzydliwej breji składającej się z błota, śniegu i odchodów dziesiątek tysięcy zwierzoludzi pływały porzucone wozy, okaleczone i na wpół zjedzone ciała. Leer było już tylko zrujnowanym miastem duchów. Zburzone budynki, zniszczone mury i ani żywej duszy. Znaleźli kilka zwłok, ale zdecydowanie zbyt mało. Felix miał nadzieję, że mieszkańcom udało się zbiec do lasu, ale sam w to wątpił. Bardziej prawdopodobnie było, że stali się najnowszymi ofiarami mutującej magii, która promieniowała z kamienia, i dołączyli do stada, dodając kolejne kilka setek wyznawców do niekończącego się pochodłu podążającego za szamanem.

Zadrzał na myśl o tym, co się stanie, kiedy zwierzoludzie dotrą do bardziej cywilizowanych rejonów. Nie miał pojęcia, jak można ich zatrzymać. Kiedy po kilku dniach wyczerpującej, pospiesznej podróży dotarli do okolic Ahlenhofu, Felix zaczął obawiać się najgorszego.

Ale kiedy wyjechali z za zakola rzeki i zobaczyli miasto znajdujące się na przeciwległym brzegu, odetchnął z ulgą, bo wydawało się nietknięte. Gdy się zbliżyli, zrozumiał dlaczego. Most, który wcześniej spinał dwa brzegi Zufuhru, został doszczętnie zniszczony. Z wody wystawały tylko poszarpane kikuty kamiennych filarów, cała reszta się zawaliła.

Kuląc się przed strugami zimnego deszczu, grupy robotników pracowały ciężko wyławiając olbrzymie bloki granitu z lodowatej wody i wyciągając je na brzeg, gdzie brygadziści i inżynierowie oceniali straty, stojąc na błotnistym cyplu poznaczonym milionem

wyżłobionych w mokrej ziemi odcisków kopyt. Długa kolejka wózków, wozów i powozów najróżniejszego rodzaju, które przybyły ciągnącą się od Altdorfu przyrzeczną drogą, stała przy zniszczonych przęsłach. Woźnice i pasażerowie kłębili się wokół pojazdów. Czekanie w zacinającym deszczu skracali sobie narzekaniem na ahlenhofszych strażników i sprzeczeniem się ze sobą.

– Co tu się stało? – Felix zapytał młodego strażnika, gdy dotoczyli się w pobliże pozostałych wozów. – Czyżby stado zburzyło most?

Strażnik potrząsnął głową.

– Nie – odpowiedział znużonym głosem. – Miasto go zburzyło, w celach obronnych.

Wskazał na kolejkę stojących wozów.

– Jeżeli chcecie dostać się do Ahlenhofu, będziecie musieli się ustawić na końcu kolejki. Uruchomiliśmy prom. Nie zatrzymywać się, jechać dalej.

Brzmiało to tak, jakby wypowiadał te same słowa przez cały dzień.

– Musimy się dostać do Ahlenhofu natychmiast, młody człowieku – powiedział sir Teobalt władczy tonem, zeskakując z tyłu wozu i kuśtykając do strażnika. Głowę niósł dumnie i wysoko.

– Mamy najwyższej wagi wieści o stadzie. Musimy je przekazać waszemu burmistrzowi oraz baronowi, Emilowi von Kotzebue.

– Strażnik zamrugał ze zdziwieniem na widok zakonnika, jakby ten wyskoczył nagle spod ziemi. Opanował się jednak i skłonił nisko.

– Wybacz, panie – wyjąkał. – Ale następny prom odchodzi dopiero za godzinę.

Teobalt wskazał palcem na brzeg rzeki, gdzie wyciągnięta na błotnistą plażę leżała długa ośmiowiosłowa łódź.

– W takim razie wezmę to – stwierdził.

Strażnik zerknął na łódź i z wahaniem w głosie powiedział:

– Ehm, muszę zapytać mojego kapitana.

– A więc zrób to natychmiast – pospieszył go Teobalt.

Felix uśmiechnął się na widok zmykającego prędko strażnika. Nie uważał szlachciców za szczególnie pożyteczną klasę społeczną,

ale kiedy dochodziło do sytuacji, gdy człowiek potrzebował coś szybko załatwić, stawali się nieocenieni.

– Cholera, ale szkoda, prawda? – odezwał się niziołek pchający wózek z pasztecikami, wskazując na most. – Ale to był jedyny sposób. Zaminowali filary i wysadzili wszystko w powietrze, o tak. Może pasztecika?

– Snorri nie ma ochoty na pasztecika – odparł Snorri. – Snorri napiłby się piwa. Nie pił już od tygodnia.

– Ach, w takim razie musisz porozmawiać z moją ukochaną żoną – ucieszył się sprzedawca pasztecików. – Ahoj, Esme! Ci panowie chcieliby się napić!

Kobieta niziołek stojąca nieco dalej w kolejce pomachała mu ręką i zawróciła taczkę, na której spoczywała olbrzymia beczka z ale. Gotrek, Rodi i Snorri oblizali usta.

– I tak mieliśmy sporo szczęścia – ciągnął niziołek, opierając się o wózek i czekając na żonę. – Ponieważ, gdyby bestie naprawdę chciały zdobyć miasto, wysadzenie mostu w powietrze by ich nie powstrzymało.

– Czemu nie? – zapytał Gotrek.

Niziołek parsknął.

– No cóż, przecież udało im się przekroczyć Talabek, nieprawdaż? Po prostu wskoczyli do wody i przepłynęli na drugą stronę.

Felix obrócił się i spojrzał na szeroką, rwącą rzekę. W miejscu, w którym wpadał do niej Zufuhr, miała szerokość kilkuset metrów.

– Przepłynęli Talabek? – zapytał z niedowierzaniem.

– Aye – potwierdził niziołek. – A przynajmniej większość z nich. Rzucili się pomiędzy fale szepieni ze sobą jak jedna wielka masa. Sporo z nich oczywiście utonęło. Setki, z tego co słyszałem. Porwał ich nurt. A jednak tylu z nich udało się przedostać na drugi brzeg, że zmiotli Brasthoff z powierzchni ziemi. Po prostu przeszli i zostawili za sobą ruiny, nie zatrzymując się nawet, jakby podążali za jakąś gwiazdą.

Zadrzał.

– Mówią, że Brasthoff już nie ma. Po prostu... zniknęło.

Felix skrzywił się na myśl o tym, co mogło się stać, ale zanim zdążył zadać niziołkowi następne pytania, powrócił strażnik, tym razem ze swym dowódcą. Kapitan był okrągłym mężczyzną o pulchnej twarzy, którą zdobiła spiczasta bródka i nerwowy uśmieszek.

– Ach, mój panie – powiedział, kłoniąc się w pas przed sir Teobaltem. – Nesselbaum powiedział mi, że chciałbyś pożyczyć naszą łódź.

– Pragnę przekazać waszemu burmistrzowi i panu bardzo ważne informacje dotyczące stada zwierzołudzi.

– Dziękuję, panie – odparł kapitan. – Ale już wczoraj wysłaliśmy do barona von Kotzebue posłańca z wieściami o przejściu stada.

– To nie o ich przejściu chcę go poinformować – odparł sir Teobalt, lekko czerwieniejąc na twarzy. – Musi się dowiedzieć o zagrożeniu, jakie stwarzają te potwory i czym grozi walka z nimi. Czy baron jest już w drodze?

– Ehm, nie, mój panie – kapitan wił się jak piskorz. – Burmistrz wysłał drugiego posłańca, który miał mu przekazać, że jego przybycie nie jest konieczne.

– Co?! – w oczach zakonnika zapłonęła wściekłość. – A z jakiegoż to powodu, na Sigmara?

– No cóż, panie – wydukał kapitan, kuląc się nerwowo pod spojrzeniem rycerza. – Bestie przekroczyły rzekę ostatniej nocy i są na terytorium Talabeklandu. Nie stanowią już dla nas dłużej zagrożenia.

Felix z niepokojem wpatrywał się w żyły pulsujące na szyi i czole sir Teobalta. Obawiał się, że stary zakonnik zaraz eksploduje od rozpierającej go furii.

– Nie są już zagrożeniem! – ryknął sir Teobalt. – Posłuchaj mnie, ty małostkowy, prowincjonalny bufonie. Czy ostatnia wojna niczego was nie nauczyła? Imperium jest silne tylko wtedy, kiedy się zjednoczy! Gdyby Middenland pomogło Ostlandowi z samego początku, najeźdźcy zostaliby zatrzymani, zanim na dobre wdarliby się dalej!

Z wściekłością zerwał z dłoni jeździeckie rękawice i Felix przez moment przestraszył się, że zaraz spoliczkuje nimi tłustawego

kapitana, ale Teobalt wziął głęboki wdech i uspokoił się nieco.

– Przywódca bestii – zaczął mówić powoli, jakby przemawiał do małego dziecka – ma zamiar uwolnić magię, która zmieni połowę mieszkańców Imperium w zwierzoludzi i sprawi, że obrócą się przeciwko swoim bliskim i sąsiadom. Granice prowincji są niczym wobec siły zaklęcia. Tak samo jak granice ziem jakiegoś pana i władcy. Magia dotknie każdego, kto mieszka w cieniu imperialnych lasów, czy to w Talabeklandzie, Reiklandzie, Hochlandzie, Middenlandzie czy gdziekolwiek indziej. Rozumiesz mnie?

Kapitan kilkakrotnie otworzył i zamknął usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– A teraz – ciągnął zakonnik – przekażesz tę wiadomość waszemu burmistrzowi i powiesz mu, żeby wysłał trzeciego posłańca z uniżoną prośbą do barona von Kotzebue, aby przybył z pomocą swoim talabeklandzkim sąsiadom, zanim jemu samemu i jego wasalom zaczną wyrastać rogi i kopyta.

– Ach... aye, panie – odparł kapitan, bijąc pokłony. – Już się robi, panie. Ale... – zawahał się, nie chcąc po raz drugi wzniecić ataku furii starego rycerza.

– Ale? – powtórzył Teobalt groźnie.

– Ale odział zbrojnych musi mieć zgodę władcy danych ziem, zanim na nie wkroczy, mój panie. Baron von Kotzebue ma pod swoimi rozkazami cztery tysiące ludzi. Talabekland może to odebrać jako inwazję. Będziemy musieli poczekać na zaproszenie. Baron z pewnością nie wyda rozkazów swej armii, zanim go nie otrzyma.

Sir Teobalt starał się opanować zalewającą go ponownie falę wściekłości.

– W takim razie posłaniec powinien powiedzieć baronowi, że już macie takie zaproszenie.

– Każesz nam okłamać naszego barona, panie? – zapytał kapitan, nagle blady jak prześcieradło.

– To nie będzie kłamstwo – odparł stary rycerz. – Ponieważ w tej chwili przetransportujesz mnie i moich towarzyszy przez rzekę do Talabeklandu, żebym mógł porozmawiać z tamtejszym władcą i uzyskać stosowne zaproszenie.

Kapitan zawahał się. Widać było, że prawie trzęsie się ze strachu. W końcu żądano od niego, żeby okłamał własnego pana. Ale wreszcie skłonił się przed sir Teobaltem.

– Dobrze, panie – powiedział. – Znajdę wioślarzy i rozkażę natychmiast przygotować dla was łódź.

Następnie oddalił się pospiesznie w stronę brzegu, wykrzykując coś do swych podwładnych.

Sir Teobalt wydał z siebie długie westchnienie i oparł się ciężko o wóz, wyczerpany napadem złości.

Rodi zachichotał.

– Aleś mu powiedział.

– Aye – zgodził się Gotrek.

Felix położył dłoń na ramieniu rycerza.

– Czy wszystko w porządku, sir?

– W porządku, dziękuję, Herr Jaeger – odparł Teobalt. – Mam tylko nadzieję, że dobrze postąpiłem. Nie chciałbym zdrzeć z jakimś wysoko postawionym głupcem.

Felix pokiwał głową i rozejrzał się. Niziołek i jego żona, którzy podeszli do nich w trakcie tyrady wygłaszanej przez Teobalta, gapili się teraz na nich z szeroko otwartymi ustami.

– Wybaczcie, wasze wielmożności – odezwał się w końcu sprzedawca pasztecików. – Czy to, co przed chwilą powiedzieliście, to wszystko prawda? To, że wszyscy zamienimy się w bestie i pozabijamy się nawzajem?

Felix zawahał się i spojrzał na pozostałych. Odczytywał w ich oczach tę samą myśl. Jeżeli wieści się rozprzestrzenia, kraj ogarnie straszliwa panika. Para niziołków doskonale nadawała się do roznoszenia właśnie takich plotek. Wraz z jedzeniem i pićm uroniliby słówko to tu, to tam wzdłuż kolejki wozów, które następnie rozjechałyby się po całym Imperium. Prosta recepta na zamieszki i ogólną panikę.

Gotrek utkwiał w Felixie przeszywające spojrzenie jedyne go oka i niemal niezauważalnie potrząsnął głową.

– Gdzie tam, tylko ani słowa nikomu – odezwał się wreszcie Felix. – Musieliśmy coś wymyślić, żeby trochę pogonić starego von Kotzebue.

Nachylił się w stronę niziołków zmuszając się do czegoś, co miał nadzieję wyglądało jak konspiracyjny uśmiech.

– Tylko nie mówcie nic kapitanowi. To mogłoby wszystko zepsuć.

Niziołek i jego żona uśmiechnęli się z ulgą.

– Ani słowa, chłopcze – powiedział człowieczek. – Wiem, kiedy trzeba trzymać gębę na kłódkę.

– Dziękuję, sir – odparł Felix i zaraz potem dodał, żeby dobić targu:

– Po paszteciku i kufelku dla wszystkich, kiedy tak czekamy na naszą łódź.

– Z przyjemnością, sir – odparł niziołek.



Sir Teobalt po raz kolejny wyjaśniał całą sprawę, a burmistrz Esselfurtu, osady położonej niemal dokładnie naprzeciwko Ahlenhofu po drugiej stronie Talabeku, słuchał cierpliwie. Był to duży mężczyzna o szerokiej piersi, z dudniącym głosem. Łańcuch zwisający z jego szyi symbolizował sprawowany przez niego urząd i prawdopodobnie ważył więcej niż Karaghul.

Felix niemal przysnął podczas przemowy rycerza. W sali zajmowanej przez burmistrza stał kominek, gdzie płonął ogień. Felix wygrzewał się w jego rozkosznym cieple.

Przepełnienie Talabeku w małej łodzi nie należało do najprzyjemniejszych doświadczeń. Podmuchy silnego wiatru wzbudzały potężne fale, które opryskiwały pasażerów łodzi strumieniami wody. Felix, Kat i sir Teobalt skulili się na tyle łodzi, owijając się ciasniej płaszczami. Było im zimno, mokro i czuli się strasznie nieszczęśliwi. Było to jednak niczym w porównaniu z samopoczuciem krasnoludów. Gotrek, Snorri i Rodi spędzili całą podróż przewieszeni przez burzę, zwracając do wody niedawno skonsumowane piwo i paszteciki.

Teraz jednak czuł tylko kojące ciepło, spokój i zapach mokrej wełny suszącej się przy ogniu. Wreszcie jednak Teobalt zakończył opowieść i burmistrz uderzył olbrzymią pięścią w stół, wyrywając Felixa z drzemki.

– Na Sigmara, sir Teobalcie – odezwał się burmistrz. – To fatalne wieści. Okropna sprawa. Zapewniam cię, że Esselfurt poprze twoje wysiłki mające na celu zapobieżenie tej straszliwej groźbie wiszącej nad naszym ukochanym Imperium.

– Dziękuję, burmistrzu Dindorfie – odparł zakonnik z ulgą. – Poślesz więc po swojego pana i poprosisz, aby zebrał swoje oddziały i zaatakował stado jeszcze przed Hexensnacht?

– Posłaniec wyruszył już zeszłej nocy, kiedy bestie przekroczyły Talabek, panie – powiedział burmistrz Dindorf. – I oczywiście poślę kolejnego, aby przekazał nowe informacje, ale, ehm...

– Czy jest jakiś problem? – zapytał sir Teobalt groźnym tonem. Dindorf zawahał się.

– No cóż, widzisz, panie – wydusił wreszcie burmistrz. – Nie jestem pewien, kto przybędzie. Ani jak szybko.

– Nie rozumiem – wycedził zakonnik, a twarz mu się zachmurzyła. – Kto miałby przybyć, jeżeli nie twój pan?

Burmistrz podrapał się po głowie z zakłopotaniem.

– No cóż, sprawa wygląda tak, panie. Książę Feuerbach, Elektor Talabeklandu, jest naszym władcą, ale nie powrócił jeszcze z walk toczonych na północy. Plotka głosi, że zginął. Większość arystokratów, którzy powinni odpowiedzieć na nasze wezwanie podczas jego nieobecności, przebywa teraz w Talabheim, wnosząc petycje do księżnej Krieglitz–Untern, aby wybrała jednego z nich jako jego następcę.

– I posłaniec wyruszył za nimi? – zrezygnowany sir Teobalt opuścił ramiona. – Talabheim jest kilka dni drogi stąd. Nie uda im się wrócić na czas.

– Posłałem wici również do ich zamków, panie – dodał burmistrz. – Ale w większości z nich zostali tylko ich synowie i żony. Nie wiem kto z nich, jeżeli ktokolwiek, odpowie na nasze wezwanie.

Zakonnik westchnął ciężko.

– Czyli nie ma nikogo, kto mógłby szybko zebrać armię? – zapytał. – To koniec świata.

– W Priestlicheim znajduje się świątynia Leopolda, w której trenują kapłani–wojownicy – powiedział burmistrz Dindorf. – A dalej na południe jest klasztor Wieży Czujności. Mówi się, że to zakon wojskowy, ale rzadko widzi się ich poza murami.

Sir Teobalt pokiwał głową, ale Felix zauważył, że rycerz był wyraźnie przygnębiony.

– Błagam cię więc, burmistrzu, żebyś po nich również posłał, a także zwerbował swoich ludzi, ilu tylko będziesz mógł. Powiedz im, aby ruszyli do Brasthoffu. Stamtąd udamy się w ślad za stadem.

– Aye, panie – odparł burmistrz. – Zrobię, co w mojej mocy. Felix nie miał złudzeń, że będzie to wiele.



Mżyło, gdy szli na zachód wzdłuż południowego brzegu Talabeku w stronę Brasthoffu. Sir Teobalt był rozdarty między depresją a furją. Felix cierpiał, widząc go w tym stanie.

– Na Sigmara, jakżeż mnie to mierzi – odezwał się stary rycerz. Pusty wzrok utkwiał w dali. Jechał na koniu, zarekwirowanym ze stajni burmistrza Dindorfa. Machtig musiał zostać w Ahlenhofie – koń bojowy był zbyt wielki, żeby zmieścić się w łodzi.

– Nadęte papugi, które walczą ze sobą o posiadłości księcia Feuerbacha jak zwykli złodzieje, podczas gdy Imperium jest rozkradane tuż za ich plecami.

Westchnął.

– Być może zasługujemy na nasz los. Mimo że odparliśmy hordy nacierające na nas z północy, to wciąż mamy do czynienia z plugastwem i niegodziwością. Być może dobrze byłoby zmieść wszystkie brudy za jednym zamachem i zacząć wszystko do nowa.

Felix bardziej skłaniał się do teorii, która winiła za zaistniałe wydarzenia pecha i ludzką naturę, ale nie chciał rozżłościć starego zakonnika, więc zachował swoje przemyślenia dla siebie.

Sprzedawca pasztecików uprzedził ich, że zobaczą dziesiątki zwłok zwierzoludzi płynące rzeką. Fale wyrzucały je na błotniste brzegi na całej długości drogi wiodącej do osady. Felix nie był w stanie policzyć wszystkich trupów. Był jednak przekonany, że ich liczba zbliżała się raczej do setek. Martwe ciała były wzdęte i poszarzałe od długiego przebywania w wodzie. Unosił się znad nich obrzydliwy fetor.

Jednakowoż w Brasthoffie nie natrafili na żadne zwłoki. Miasteczko przypominało to, co już wcześniej widzieli w Stangenschloss, Leer i obozie drwali. Zrujnowane, opustoszałe – jeżeli nie liczyć kilku szabrowników – i kompletnie pozbawione zwłok. Był to dowód na to, że nie było tu rzezi, a po raz kolejny zadziałała potworna magia kamienia. Zwierzoludzie, którzy utonęli podczas przeprawy, zostali zastąpieni nowymi.

Osada była niewielka – wprawdzie większa niż Bauholz, ale mniejsza niż Leer. Podobnie jak Leer została doszczętnie zniszczona przez przechodzące stado. Wyglądało to tak, jakby zwierzoludzie wyładowali swoją złość i żądzę walki na budynkach, ponieważ magia kamienia pozbawiła ich wrogów, z jakimi mogliby walczyć. Małe, zrównane z ziemią chatynki leżały powalone. Strzechy przykrywały je jak szorstkie koce. Ze stajni i kuźni nie został kamień na kamieniu, kupieckie stragany podpalono. Jedyne karczma w mieście ucierpiała od ciosów wymierzonych we frontową ścianę, od których pozostały olbrzymie wyłomy. Kilku ocalałych z ataku mieszkańców siedziało w ruinach, łkając i nawołując swych bliskich, tych, co odeszli i którzy najprawdopodobniej nie byli już ludźmi.

Świątynia Sigmara zdawała się ucierpieć najbardziej z powodu szczególnego zainteresowania zwierzoludzi. Jej mury były pomazane odchodami, a wszystkie religijne symbole zostały zerwane ze ścian i zniszczone. Przy wejściu Felix dostrzegł zwłoki w kapłańskich szatach. Gdy przyjrzał się z bliska, zauważył, że mężczyzna zginął w trakcie przemiany w zwierzoczęłka. Wyglądało na to, że wbił sobie sztylet w szyję, aby powstrzymać transformację.

Przedzierali się przez sterty gruzu, gdy nagle wszyscy stanęli. Gotrek nakazał im to gestem dłoni. Zaczęli nasłuchiwać. Zza budynku świątyni dobiegł ich szcęk i brzęk zbroi oraz odgłos

ciężkich kroków. Felix i sir Teobalt wyciągnęli miecze. Kat ściągnęła łuk z pleców. Zabójcy przygotowali broń.

Zaraz potem zza rogu wychynęło czterech halabardników w napierśnikach i szaro-musztardowych mundurach z bordowymi elementami. Zauważywszy oddział pod wodzą Teobalta zatrzymali się i unieśli broń.

– Kim jesteście? – zapytał jeden z przodu. – Szabrownikami?

Sir Teobalt pokierował konia o jeden krok do przodu.

– Nazywam się sir Teobalt von Dreschler, jestem rycerzem Zakonu Płonącego Serca. Wraz z moimi towarzyszami ścigamy horde zwierzoludzi.

Mężczyźni rozluźnili się po słowach Teobalta. Pierwszy z nich skłonił się.

– Żołnierze lorda Giselberta von Volgena, mój panie. A więc słyszeliście już o tych bestiach?

– Śledzimy je od tygodni – odparł Teobalt.

– W takim razie powinniście porozmawiać z naszym panem.

Żołnierze poprowadzili ich na drugą stronę osady do wiatraka, wokół którego stała w pozycji spoczynnej około setka żołnierzy w musztardowych mundurach. Młody panicz o surowych rysach twarzy, aczkolwiek bez zarostu, odziany w żłobkowaną zbroję płytową siedział na potężnym koniu bojowym i przemawiał do zbitych w gromadkę ocalałych mieszkańców osady. Arystokracie towarzyszyło kilku rycerzy, otaczających biednych chłopów ze wszystkich stron. Wysoki, potężnie zbudowany kapitan halabardników trzymał lejce konia, na którym siedział panicz.

Na Felixa widok tak wielu umundurowanych ludzi zadziałał pokrzepiająco. Nie była to może armia, ale po wymówkach i rozczarowaniach, z jakimi zetknęli się w Ahlenhofie i Esselfurcie, natrafienie na jakąkolwiek grupę zbrojnych podążających śladem stada stanowiło miłą niespodziankę.

– Do cholery, Thiessen – mówił panicz o kanciastej szczęce, podczas gdy Felix wraz z pozostałymi podchodzili do niego. – Każ im przestać się mazgaić i zacząć mówić do rzeczy. Nie rozumiem ani słowa z tego bełkotu.

– Aye, panie – odparł postawny kapitan i zwrócił się do mieszkańców osady:

– No dalej – powiedział łagodnie. – Nic z tego nie zrozumiemy, jeśli będziecie cały czas chlipać. Weźcie głęboki wdech i zacznijcie od nowa.

– Zmienili się, toć wam powiadam! – jęknęła jakaś kobieta mimo zimna ubrana tylko w zabłoconą suknię. – Zmienili się na moich oczach. Mój mąż, mój syn, moja... moja śliczna mała Minna. Rogi, kopyta i zębiska! Oni... rzucili się na mnie. Moja Minna nawet mnie ugryzła! – Kobieta zalała się rzewnymi łzami.

– To prawda, panie – odezwał się starszy mężczyzna w podartym ubraniu, które jednak nosiło ślady dawnej świetności. – Wszyscy zostali przemienieni w bestie. Błysnęło niebieskie światło i stali się zwierzoludźmi, jacy zaraz rzucili się do gardeł nam, swoim bliskim.

Młody arystokrata patrzył na mężczyznę beznamiętnym wzrokiem. Na jego nieprzyjemnej twarzy widać było rosnącą irytację. Zwrócił się do swoich rycerzy:

– To jakaś bzdura – stwierdził kategorycznie. – Ci ludzie kłamią w żywe oczy. To niemożliwe.

– To jest możliwe, mój panie – wtrącił się sir Teobalt, gdy strażnicy przepuścili ich w pobliże swego pana. – I ci ludzie nie kłamią. Widziałem to, o czym mówią, na własne oczy.

Panicz zwrócił ku nim gniewne spojrzenie. Wszyscy jego rycerze również na nich popatrzyli.

– Kto śmie się wtrącać?

Patrząc mu prosto w oczy, Felix ocenił, że lord może mieć około dwudziestu dwóch lat. Wyglądał na młodego człowieka, takiego, co musi sobie i innym coś udowodnić.

Żołnierz, który przyprowadził Teobalta i jego drużynę, zasalutował.

– Mój panie, to jest sir Teobalt von Dreschler, zakonnik, i jego towarzysze. Od tygodni podążają śladem bestii.

Odwrócił się do Teobalta i wykonał ukłon.

– Sir, oto mój pan, Lord Giselbert von Volgen, władca tych ziem.

Usłyszawszy tytuł sir Teobalta, von Volgen nieco się odprężył i z szacunkiem skinął głową.

– Cóż za spotkanie, zakonniku – powiedział. – A więc to szaleństwo, o jakim prawią ci ludzie, jest prawdą?

– Tak jest, panie – odpowiedział sir Teobalt. – Najgorsze, że to nie wszystko.

I tak stary rycerz po raz kolejny zaczął opowiadać całą przerażającą historię, ale zanim udało mu się dojść do sedna, pod wiatrak od strony miasta przybiegło więcej żołnierzy von Volgena.

– Panie! – zawołał jeden z nich. – Zbliża się do nas kolumna żołnierzy! Pięćdziesięciu ludzi!

Żołnierze stojący pod wiatrakiem wyprostowali się i sięgnęli po broń. Von Volgen obrócił konia w miejscu.

– Kto to? – warknął. – Przyjaciel czy wróg?

– To twój kuzyn, panie – odparł żołnierz. – Lord Oktaf Plaschke-Miesner przybywa z Zederu.

Rysy twarzy von Volgena stężały w szyderyczym uśmiešku.

– A więc wróg – stwierdził.

Oddział żołnierzy von Volgena obserwował nadciągający podwójny szereg rycerzy wyjeżdżających z wioski, za nimi podążała kolumna włóczników. Prowadził ich przecudnej urody młodzieniec w barwach czerwieni, czerni i złota. Dosiadał kruczocznego rumaka w złotej uprzęży i od stóp do głów odziany był w czerwone szaty najwyższej jakości, na które nałożono błyszczący złoty napierśnik, wyglądający, jakby jego miejsce było raczej na ścianie w sali jadalnej jakiegoś zamku niż na tułowiu biorącego udział w walce rycerza. W rozcięciach czerwonego kaftana i bufiastych aksamitnych spodni błyskała złota materia, a w rondzie szerokiego czarnego kapelusza pyszniło się złote pióro.

Kiedy młodzieniec ujrzał von Volgena, spiął konia i z błyszczącymi oczami skierował się w stronę wiatraka.

– A cóż to, kuzynie?! – krzyknął, prostując się w siodle. – Czyżbyś zapomniał po czyjej stronie Priestlicheim leży Brasthoff?

Jego głos był wysoki i czysty. Doskonale pasował do jego aż nazbyt delikatnych rysów i długich blond włosów. Gdyby nie okropne krosty pokrywające całą skórę twarzy, byłby piękny jak dziewczyna. Felix ocenił, że ma jakieś szesnaście, siedemnaście lat.

Von Volgen zmierzył młodzika pogardliwym wzrokiem od stóp do głów.

– Nie jestem tu w imieniu rodu Volgenów, Oktafie – powiedział protekcyjnym tonem. – Ale w imieniu księcia Feuerbacha. Wykonuję swoje obowiązki.

– A czy do twoich obowiązków należy najeżdżanie moich ziem?
– zapytał Plaschke–Miesner.

– Do moich obowiązków, tak jak i do twoich, należy chronienie tych ziem przed wrogiem – odparł von Volgen. – Gdybyś je wypełniał sumiennie, nie byłoby mnie tu.

– Przecież tu jestem – powiedział Plaschke–Miesner, przyciskając upierścienioną dłoń do napierśnika.

– Aye – zgodził się von Volgen. – Godzinę po mnie, podczas gdy Zeder leży o połowę bliżej niż Volgen, ale przecież nie jechałeś z Zederu, prawda? – dodał z szyderczym uśmiechem. – Jak daleko jest stąd do Suderbergu, kuzynie?

Plaschke–Miesner skrzywił się i wyciągnął miecz, słysząc te słowa.

– Jak się wydaje dalej niż stąd do grobu księcia Feuerbacha! – krzyknął.

– Jak śmiesz, ty psie?!

Von Volgen wysunął miecz z pochwy i wszyscy rycerze i żołnierze po obu stronach ruszyli przed siebie, krzycząc:

– Panowie! Panowie!

Felixowi zakręciło się w głowie od całej tej wrzawy. Poczował się, jakby wszedł na scenę w trakcie wyjątkowo mało zabawnego przedstawienia.

17

Felix, Kat, Teobalt i Zabójcy odsunęli się nieco od kłębowiska rżących koni oraz żołnierzy i rycerzy przekrzykujących się nawzajem wezwaniami do zachowania spokoju. Von Volgen i Plaschke–Miesner nic sobie z tego nie robili.

– Puśćcie mnie, zaklinam was! – krzyczał Plaschke–Miesner, machając na swoich ludzi mieczem o złotej rękojeści. – Obraził mnie na mojej własnej ziemi! Żądam krwi!

– Z drogi! – ryczał von Volgen. – Nie pozwolę, żeby ktoś kwestionował moją lojalność.

Nagle sir Teobalt przepchnął się do przodu. Jego twarz była czerwona ze złości.

– Panowie, nie czas teraz na to! Zagrożenie ze strony zwierzoludzi...

– Odsuń się, zakonniku – przerwał mu von Volgen. – To sprawa honoru.

– Zaiste jest to sprawa honoru! – ryknął Teobalt. – I wy obaj zhańbiliście Imperium oraz wasze imiona poprzez...

Nie dane mu było dokończyć, bo w zamieszaniu jeden z koni potrafił go dosyć mocno i rycerz upadł. Felix i Kat rzucili się, żeby go podtrzymać, zanim uderzył głową w bruk.

– Sir Teobalcie, czy wszystko w porządku? – zapytał Felix.

– Bezczelne koguciki! – wysapał zakonnik. Z trudem łapał oddech.

Felix i Kat pomogli mu odejść na bezpieczną odległość od zamieszania, które powstało wokół dwóch szlachciców. Kiedy mijali Gotreka, ten mruczał coś pod nosem.

– A zatem zaprzeczasz, że przybyłeś z Middenlandu, tak?! – krzyknął von Volgen, starając się poskromić wierzgającego rumaka.
– Zaprzeczasz, że masz zamiar poślubić von Kotzebue i oddać swe ziemie Middenlandczykom?

– Miłość nie zna granic, kuzynie! – odkrzyknął Plaschke–Miesner w odpowiedzi. – A czy ty zaprzeczasz, że twój ojciec przymierza płaszcz Feuerbacha, mimo że nie jest jeszcze pewne, czy ten naprawdę zginął?

– My tylko chronimy te ziemie, podczas jego nieobecności – odparł von Volgen. – Tak jak to czyniliśmy od wieków!

– Kłamca! – pisnął Plaschke–Miesner, zamachując się na oślep na von Volgena.

– Zdrajca! – ryknął von Volgen, oddając cios.

– Dość tego! – ryknął Gotrek. Przepchnął się przez tłum wzburzonych ludzi i zdenerwowanych koni, po czym stanął między rumakami dwóch lordów. Uniósł topór i zamachnął się nim z taką siłą, że uderzywszy w zbitą skorupę ziemi, zanurzył ostrze aż po nasadę.

– Jeżeli chcecie się pozabijać, – głos Zabójcy rozległ się wyraźnie w ciszy, która momentalnie zapadła – to poczekajcie do Nocy Wiedźm, kiedy będziecie to mogli zrobić za pomocą rogów i kopyt. A teraz dajcie już spokój tym człeczym wygłupom i posłuchajcie tego, co wam chce powiedzieć zakonnik albo pokażę wam, co znaczy prawdziwa walka!

– Rycerze i żołnierze zareagowali oburzeniem.

– Zabić krasnoluda! – krzyknął ktoś z tłumu. – Grozi naszym panom!

– Aresztować wszystkich! – dołączył się drugi.

– Zawiśniesz za to, złoczyńco! – groził trzeci.

– Chodź tu i spróbuj – warknął Zabójca, wyciągając topór z ziemi z taką siłą, że na stojących najbliżej posypał się grad kamyków.

– Ja też jestem gotów – powiedział Rodi, stając ramię w ramię z Gotrekiem.

– I Snorri również – dołączył do nich Snorri.

Felix jęknął. Skończy się to tak, że Zabójcy wymordują ludzi, jacy byli im w tym momencie najbardziej potrzebni. Wystąpił na

przód, podnosząc głos i wymachując rękami.

– Przyjaciele! Nie róbcie tego! Wszyscy musimy zachować siły na walkę ze zwierzoludźmi.

– Nie wtrącaj się, włóczęgo – odwarknął krzepki kapitan. – On groził naszym panom.

– To waszym ziemiom grozi niebezpieczeństwo! – krzyknął Felix, czując jak wzbiera w nim słuszny gniew, ten sam, który rozpalał sir Teobalta. – Zwierzoludzie zabiorą wam wszystko! Wasze domy, rodziny, nawet dusze! Nie rozumiecie?! Jeżeli nie zapomnicie na chwilę o tym, co was dzieli, i nie zjednoczycie się, to wkrótce nie będziecie już mieli o co walczyć! Wszyscy staniemy się zwierzoludźmi! Nie będzie Middenlandu, Talabeklandu, żadnych ziem dziedzicznych. Zostanie tylko jeden wielki las, gdzie ludzie przemienieni w bestie będą ze sobą walczyć o skały, piach i skrawki mięsa!

Rycerze i żołnierze zaczęli go przekrzykiwać, gdy tylko skończył przemowę, ale von Volgen i Plaschke–Miesner gestem nakazali im się uciszyć.

– Nie będzie Talabeklandu? – zapytał z niedowierzaniem w głosie von Volgen. – Talabekland będzie istniał zawsze.

– I co masz na myśli mówiąc: „wszyscy staniemy się bestiami”? – zapytał Plaschke–Miesner.

Sir Teobalt znowu przepchnął się na przód.

– Szaman, który prowadzi to olbrzymie stado, podąża na południe. Ma zamiar przeprowadzić plugawą ceremonię, jakiej celem jest przemienienie wszystkich ludzi żyjących w cieniu imperialnych lasów w bestie. Jeżeli mu się powiedzie, przekleństwo dotknie całej połaci północnych ziem, od Middenlandu po Ostermark. Możecie być pewni, że tak olbrzymie stado przemienionych ludzi nie zostanie na zawsze w lasach. Ruszą na południe, do Wissenlandu, Averlandu, w stronę Reiku. Żadna część Imperium nie pozostanie bezpieczna.

Dwaj lordowie i członkowie ich świt gapili się na rycerza w osłupieniu. Gdzieś z tyłu rozległ się nerwowy chichot.

– Ale... ale przecież to niemożliwe – wydusił wreszcie von Volgen.

– Aye! – Plaschke–Miesner po raz pierwszy przyznał rację kuzynowi. – To jakaś bajka. Żadna leśna bestia nie ma takiej mocy. Temu waszemu „szamanowi” nigdy się to nie uda.

Sir Teobalt w skupieniu pokiwał głową.

– Być może. Ale macie zamiar pozwolić mu spróbować to osiągnąć?

Wykonał zamaszysty gest, obejmując ramionami ruiny Brasthoffu.

– Przemysłcie to może jeszcze, panowie. Ponieważ tak właśnie będzie wyglądać Imperium, jeżeli mu się powiedzie.

Dwaj lordowie zamilkli na dłuższą chwilę. Z wysokości końskich grzbietów patrzyli na rozciągający się wokół krajobraz kłęski. Co chwila rzucali sobie ukradkowe spojrzenia.

Wreszcie von Volgen parsknął i zeskoczył z konia.

– Thiessen, znajdź w tych ruinach jakąś chałupę, w której jeszcze ostało się trochę mebli i przygotuj ją dla naszej kompanii.

Zwrócił się do jednego z rycerzy:

– Albrechcie, bądź tak uprzejmy i zaproś naszego kuzyna Oktafa, aby dołączył do nas wraz ze swymi doradcami w celu przedyskutowania zaistniałej sytuacji.

Plaschke–Miesner przewrócił oczami i zwrócił się z kolei do swoich rycerzy.

– Creutzfeld – powiedział. – Poinformuj proszę posłańca od naszego kuzyna, że przyjmujemy jego zaproszenie i będziemy zaszczytzeni, mogąc uczestniczyć w spotkaniu.

Rzucił krótkie spojrzenie Teobaltowi.

– I zapytaj zakonnika oraz jego dziwną zbieraninę, czy będą chcieli nam towarzyszyć ze względu na swoją rozległą wiedzę w tym temacie.

Felix, Teobalt i Kat wypuścili z płuc westchnienie ulgi. Zabójcy mruknęli coś tylko do siebie.

Usiedli na stopniach wiodących do jednego ze zrujnowanych budynków, czekając, aż zostanie przygotowane miejsce, w którym miały się odbyć obrady. Felix nagle dostrzegł starca w długich, szarych szatach przypatrującego się im z daleka, od strony placu

rynkowego. Wydawało się, że uwaga mężczyzny koncentrowała się głównie na Gotreku.

Felix już miał coś powiedzieć Zabójcy, ale w tej samej chwili starzec chyba poczuł, że sam jest obserwowany i lekko się obrócił. Przez króciutką chwilę Felix poczuł na sobie jego wzrok i był wstrząśnięty intensywnością tego spojrzenia. Zaraz potem mężczyzna zniknął za rogiem i dziwne uczucie ulotniło się.



Pół godziny później wszyscy zgromadzili się wokół długiego stołu w karczmie, której frontowa ściana została zburzona. Von Volgen i czterech jego rycerzy siedzieli po jednej stronie, Plaschke-Miesner z czterema swoimi po drugiej. Gotrek, Felix i sir Teobalt zajmowali krańce stołu. Kat, Rodi i Snorri odmówili udziału w naradzie, chcąc przez ten czas poszukać czegoś do jedzenia. Felix żałował, że nie poszedł z nimi. Ryzykowanie życiem podczas przeszukiwania grozących zawaleniem budynków w poszukiwaniu starego mięsa byłoby na pewno przyjemniejsze niż wysłuchiwanie docinków, jakimi raczyli się dwaj lordowie. Nie wspominając nawet o tym, że obaj krytykowali każdy pomysł drugiego dla samej tylko potrzeby poniżenia kuzyna.

Spotkanie zakończyło się niemalże równie szybko, jak się rozpoczęło. Sir Teobalt rozpoczął je opowieścią o ich dotychczasowych przygodach. Kiedy dotarł do miejsca, gdzie zrelacjonował swoją prośbę wysłaną do Emila von Kotzebue i jego armii, aby przybyli z pomocą w walce ze zwierzoludźmi, lord von Volgen zerwał się z krzesła.

– Na Sigmara, a to dopiero pomysł! – wrzasnął, uderzając pięścią w stół. – Cała ta opowieść o zwierzoludziach to tylko marna wymówka, żeby sprowadzić tu tego przeklętego Middenlandczyka z jego armią, podczas gdy u nas brakuje ludzi! Założę się, że sam podjudził bestie, żeby do tego doprowadzić.

Sir Teobalt z widocznym wysiłkiem pohamował wybuch gniewu.

– Baron von Kotzebue nie przybyłby wcale, gdybym go o to nie poprosił. Jeżeli będziemy mieli pecha, to tak czy inaczej może nie przybyć. Ale znów myślisz tylko o sobie, mój panie. Czy nie rozumiesz, że to walka o przetrwanie całego Imperium?

– Aye, z von Kotzebue jako Księciem Elektorem Talabeklandu, bez wątplenia – sarknął von Volgen.

– Może sam chciałbyś otrzymać ten tytuł? – szydził Plaschke–Miesner, odrzucając z czoła złociste loki.

Von Volgen już miał zamiar odpowiedzieć, gdy Gotrek odchrząknął znacząco i obaj młodzieńcy ucichli.

– Chodzi o liczby – powiedział Teobalt. – Nie o politykę. Wyciągnął przed siebie obie dłonie z rozczapierzonymi palcami.

– Stado zwierzołudzi liczy od pięciu do dziesięciu tysięcy bestii. Jak wielu żołnierzy macie pod waszymi rozkazami?

– Mogę powołać tysiąc zbrojnych z Volgen w trakcie jednego dnia – odparł von Volgen. – Zaprawieni w boju kawalerzyści, włócznicy, którzy właśnie wrócili z wojny, a także kilkuset strażników miejskich.

– Ja zapewnię siedmiuset – dodał Plaschke–Miesner. – Szermierze, włócznicy, strzelcy i dwa działa z Akademii Artylerii, pod opieką mojego ojca.

– A więc mają nad nami co najmniej trzykrotną przewagę – stwierdził sir Teobalt. – Nie damy rady. Dlatego właśnie potrzebujemy von Kotzebue. On może zapewnić armię liczącą cztery tysiące żołnierzy.

– To zbyt wielu – mruknął von Volgen z niezadowoleniem. – Nie będziemy w stanie się mu przeciwstawić, jeśli nas zaatakuje.

Zerknął na Plaschke–Miesnera.

– Zwłaszcza, jeżeli będą pomagać mu zdrajcy.

– Nie macie wyboru – powiedział sir Teobalt szybko, zanim młody Oktaf zdołał odpowiedzieć. – Chyba, że znacie jakiegoś innego lorda, który byłby w stanie zwołać potrzebne nam oddziały przed Hexensnacht.

Von Volgen obrócił się do swoich rycerzy i naradzali się przez chwilę szeptem, ale żaden z nich nie znał nikogo mieszkającego na tyle blisko i dysponującego taką armią, żeby mogło to znacząco

wzmocnić ich siły. Wreszcie, po wielu namowach i przekonywaniach młodzieniec o ponurej twarzy zgodził się, że pomoc von Kotzebue będzie niezbędna. Dyskusja wreszcie zesłała na właściwe tory, czyli ustalenie gdzie wypowiedzą bitwę zwierzoludziom i jak to zrobią.

Kiedy Teobalt powtórzył słowa Ortwina o ceremonii, jaka ma się odbyć w kamiennym kręgu na szczycie wzgórza, jeden z rycerzy Plaschke–Miesnera zasugerował, że stado musi najprawdopodobniej zmierzać w stronę Jałowych Wzgórz. Było to miejsce pełne pozostałości po dawnych kultach.

Plaschke–Miesner ucieszył się, słysząc tę wiadomość.

– Dzięki temu będą musieli wyjść na otwartą przestrzeń, co da nam możliwość wykorzystania naszej kawalerii i artylerii.

– A moi łucznicy zasypią ich gradem strzał – dodał von Volgen.

Dwaj lordowie zgodzili się, aby wysłać połączone siły zwiadowcze śladem stada, podczas gdy oni sami będą gromadzić oddziały, które następnie poprowadzą drogą wiodącą do klasztoru Wieży Czujności. Tam zwiadowcy mają przynieść wiadomość o ostatecznej pozycji stada. Wtedy zaczekają, aż von Kotzebue dołączy do nich ze swoją armią i wraz z nim, wszyscy razem wyruszą do boju ze zwierzoludźmi.

– A co, jeśli baron nie przybędzie? – von Volgen zadał nurtujące wszystkich pytanie.

Plaschke–Miesner roześmiał się melodyjnie.

– Och, a więc teraz chciałbyś, żeby przybył? To coś nowego.

– Jeżeli von Kotzebue się nie pojawi – odparł sir Teobalt. – To wasi ojcowie będą was czcić jako bohaterów, którzy ocalili Imperium dzięki swej ofierze.

Felix zauważył, że młody Plaschke–Miesner zrobił się biały jak ściana, ale z kolei von Volgen wysunął wojowniczo podbródek, a w jego oczach zapłonął ogień.

– Jednakże większym zmartwieniem dla nas niż przybycie bądź nieprzybycie von Kotzebue jest kamień, jaki niosą ze sobą zwierzoludzie – powiedział stary zakonnik. – Dzięki niemu są niemal niepokonani, ponieważ każdy, kto ich zaatakuje, może zostać przemieniony w bestię i zwrócić się przeciwko swoim towarzyszom.

Tym razem von Volgen również pobladł.

– Jak możemy się bronić przed czymś takim? Czy powinniśmy wezwać kapłanów? Czy muszę posłać po braci ze świątyni Leopolda?

– Czy kamień można zniszczyć? – zapytał Plaschke–Miesner.

– Nie musimy go niszczyć – odezwał się niespodziewanie Gotrek.

Wszyscy popatrzyli na niego.

– O co chodzi, Herr Zabójco? – zapytał sir Teobalt z nadzieją w głosie. – Znasz jakiś sposób, żeby nas ochronić? Jakąś pradawną krasnoludzką runę ochronną?

Gotrek potrząsnął głową.

– Kamień sam z siebie nic nie robi – wyjaśnił. – Tylko kiedy szaman w niego uderza, wydobywa się niego niebieska błyskawica. Kiedy szaman zginie, totem przestanie stanowić zagrożenie i wasze armie będą mogły ruszyć do ataku. Dwóch lordów popatrzyło po sobie, marszcząc brwi.

– Ale jak zabijemy szamana, nie wypowiadając przy tym bitwy całemu stadu? – zapytał von Volgen.

Gotrek uśmiechnął się drapieżnie.

– Zostawcie to mnie – odparł.

I mnie, pomyślał Felix, wzdychając ciężko. Jak zwykle.

– Chwileczkę – powiedział Plaschke–Miesner, nerwowo oblizując wargi. – Jeżeli krasnolud twierdzi, że potrafi unieszkodliwić kamień w pojedynkę, to jaki jest sens w wypowiedaniu bitwy całemu stadu?

Wszyscy zwrócili ku niemu zimne spojrzenia, więc tylko skulił się pod ich oskarżycielskim wzrokiem.

– Zakładam, że mówisz to ze względu na troskę o życie swoich ludzi, a nie o własne – wycedził sir Teobalt. – Ale jest kilka powodów. Po pierwsze, z kamieniem czy bez, na twoje ziemie wdarły się tysiące największych wrogów ludzkości. Pozostaw ich samym sobie, a będą niszczyć i plądrować wszystko na swej drodze. Po drugie, nawet jeśli śmierć szamana wyeliminuje totem jako potężną broń w trakcie tej bitwy, to i tak trzeba będzie go zniszczyć, zanim narodzi się kolejny szaman albo zanim jego plugawa moc zacznie rosnąć i promieniować. Nie możemy jednak zniszczyć kamienia, zanim nie wytrzebimy stada.

Młodzieniec zwiesił głowę i wysunął dolną wargę.
– No dobrze – wymamrotał. – Tak tylko zapytałem.



Pod koniec narady zdecydowano, że Gotrek, Rodi i Snorri dołączą do zwiadowców von Volgena i Plaschke–Miesnera. Plan był taki, że kiedy uda się ustalić położenie stada, trzech Zabójcy – nikt naprawdę nie był pewien, w jaki sposób – przenikną do ich obozu i zabiją szamana. Po dokonaniu tego zwiadowcy wrócą z wiadomością do swych panów i armie będą mogły ruszyć do walki.

Oczywiście tam gdzie Gotrek, musiał być i Felix. Kiedy Kat o tym usłyszała, odmówiła odłączenia się od drużyny, więc ruszyli wszyscy razem.

No, prawie wszyscy. Sir Teobalt zdecydował się podróżować z von Volgenem i Plaschke–Miesnerem oraz ich armiami w charakterze wojskowego doradcy. Felix z zadowoleniem przyjął wiadomość, że stary rycerz będzie pilnował szlachciców, ponieważ jeżeli taktyka bitewna młodych lordów przypominała ich sztukę negocjacji, to bitwa mogła mieć bardzo opłakany rezultat dla ludzkiej strony.

Oczywiście, jeśli cztery tysiące żołnierzy von Kotzebue się nie pojawi, może się to skończyć jeszcze gorzej.



Zwiadowcy zebrali się do drogi następnego dnia, jeszcze przed świtem. Było ich ośmiu, czterech podwładnych von Volgena i czterech Plaschke–Miesnera. Felix, Kat i Zabójcy ziewali stojąc między nimi. Dwóch zwiadowców jechało na zwinnych kucykach. To oni mieli przynieść swym panom wieści, gdy uda im się ustalić pozycję stada.

Gdy tylko wyruszyli z miasta na południe, spomiędzy pasm szarawej mgły wynurzyła się zgarbiona postać, kiwająca pokornie głową.

– Witajcie, panowie, witajcie – odezwał się nieznajomy wysokim, drżącym głosem. – Jam słyszał, że wybieracie się na Jałowe Wzgórze.

Drużyna zatrzymała się. Wszyscy popatrzyli na mężczyznę. Felix zmarszczył czoło. Był to ten sam starzec w brudnych, szarych szatach, którego zauważył, jak poprzedniego dnia tak intensywnie im się przyglądał. Nie był pewien, dlaczego wtedy uznał go za podejrzaną i złowrogą postać. Tego ranka wyglądał trochę na pozbawionego rozumu, ale zupełnie nieszkodliwego. Gotrek jednakże zdawał się nie podzielać tego wrażenia.

– Kim jesteś? – warknął, sięgając po topór. Starzec odsunął się, kuląc się i zasłaniając rękami.

– Proszę waszych wielmożności – wyjęczał drżącym głosem. – Nie mam złych zamiarów! Proszę, nie zabijajcie mnie!

– Kim jesteś? – powtórzył Gotrek, równie lodowatym tonem co poprzednio.

– Hans Pustelnik, panowie – odpowiedział stary człowiek. – Handluję szmatami, kośćmi i świecidełkami.

Mężczyzna zbliżył się i Felix musiał zrobić krok do tyłu oraz zakryć nos. Śmierdziało od niego jak od padlinożercy grzebiącego w odpadkach. Kat pomachała dłonią przed twarzą i ustawiła się pod wiatr.

– A skąd wiesz, dokąd się wybieramy? – zapytał sierżant Huntzinger, dowódca zwiadowców Plaschke–Miesnera, szczupły, gładko ogolony mężczyzna.

Pustelnik zachichotał nerwowo.

– Żołnierze gadają, mój panie. Żołnierze gadają. Usłyszałem, że idziecie walczyć z bestiami, które zniszczyły Brasthoff.

– A co cię to obchodzi? – zapytał sierżant Felke, dowódca zwiadowców von Volgena, olbrzymi mężczyzna z płomiennorudym wąsem.

– Obchodzi mnie, bo to dobre wieści! – zakrzyknął pustelnik, znowu kiwając głową. – Nie cierpię tych bestii. Chcę je zabijać.

Jeżeli wyruszacie, żeby je ścigać, to chcę pomóc.

Zwiadowcy zarechotali, a Felke uśmiechnął się krzywo.

– A na co ty możesz się nam przydać, kupo starych kości? Chyba że gdzieś pod tymi szmatami chowasz miecz.

Pustelnik pisnął, jakby to był najlepszy żart, jaki słyszał w życiu.

– O nie, wasza wielmożność, stary Hans nie walczy – powiedział, klepiąc się pod swych patykowatych nogach. – Ale za to dobrze zna Jałowe Wzgórza i, za kilka monet, będzie zaszczycony mogąc służyć waszym wielmożnościom jako przewodnik.

Felke przewrócił oczami.

– Ach, a więc dotarliśmy do sedna sprawy. Kilka monet. Huntzinger uśmiechnął się szyderczo.

– A jaki pożytek będziemy mieć z przewodnika? Sami jesteśmy zwiadowcami, stary głupcze.

Odwrócił się i gestem nakazał swoim ludziom ruszenie w dalszą drogę. Ale staruszkowi nie dało się łatwo wyperswadować jego pomysłu. Pokuśtykał za nimi, jęcząc żałością.

– Ale, panowie, proszę! – sapał. – Znam te wzgórza. Wiem, co tam się czai. Dzięki mnie będziecie bezpieczni!

Gotrek słysząc to obrócił się, ale nie zwolnił kroku.

– O czym ty mówisz, starcze?

– Och, Herr krasnoludzie – zachichotał pustelnik, kuśtykając za Gotrekiem. – Wzgórza są przekłete. Wzrok Morrslieba odebrał im życie. Pełno na nich wszelkiego rodzaju kurhanów, kręgów i kamieni promieniujących dawną, złowrogą mocą. Przez jeden zły krok, błędny zakręt można się znaleźć w pułapce starego grobowca, na wieczność zamkniętym w towarzystwie starych, zakurzonych szkieletów. Ale jeśli ja was poprowadzę, to nic się wam nie stanie. O tak, stary Hans poprowadzi was dokładnie tam, gdzie trzeba.

– A skąd tak dużo wiesz o tych wzgórzach? – zapytał Rodi. Brzmiało to tak, jakby nie wierzył w ani jedno słowo starca.

Pustelnik zachichotał.

– No jakże, to na wzgórzach znajduję większość moich skarbów. Świecidełka i inne drobiazgi, które potem sprzedaję mieszkańcom okolicznych miasteczek. Znam te wzgórza jak własną dłoń.

– Hiena cmentarna – Gotrek splunął z obrzydzeniem. – Okradasz własnych przodków.

Felix uśmiechnął się, słysząc w głosie krasnoluda nieskrywaną pogardę. Nie jeden raz przecież zdarzało się, że oni sami mogli być oskarżeni o podobny występki. Może Gotrek uważał, że obrabowywanie grobów cudzych przodków jest czymś innym niż okradanie własnych.

– Ja tylko odzyskuję zagrzebane w ziemi piękno – odparł starzec z dumą w głosie. – Złoto, klejnoty, piękne mieczyki. Martwi nie mają z tych rzeczy żadnego pożytku. Wyrrywam te cudowności z ich samolubnych objęć i przekazuję tym, którzy potrafią docenić ich urok.

– Aye, aye – rzucił lekceważąco Huntzinger. – Rzepa to rzepa, nieważne jak ją nazwiesz. W drogę, ludziska.

– Chwileczkę – powiedział Felke, zatrzymując się i odwracając. – A co nam szkodzi? Nie chcę wpaść do jakiejś dziury. Jeżeli zna ten teren tak dobrze, dlaczego go ze sobą nie zabrać?

– Ponieważ od jego smrodu zepsuje się nam jedzenie – odparł Rodi.

Ale Huntzinger głąaskał się po podbródku, myśląc intensywnie. Wreszcie spojrzał na pustelnika.

– Ile chcecie za swe usługi, dziadku?

Stary Hans uśmiechnął się, odsłaniając zepsute pieńki może z sześciu zębów.

– Tylko kilka pensów, panowie. Zrobicie mi przysługę przeganiając bestie z moich terenów. Ich obecność nie służy interesom.

Gotrek skrzyżował ramiona na szerokiej piersi i potrząsnął głową.

– Nie chcę, żeby on z nami szedł – powiedział.

– Snorri też nie chce – poparł go Snorri. – On śmierdzi jak stary ser.

– Nie potrzebujemy go – dołączył się Rodi. – Krasnoludy wiedzą wszystko o tunelach i kurhanach.

– Aye – zgodził się Huntzinger. – Ale przecież nie wszyscy jesteśmy krasnoludami, prawda?

Pogrzebał w sakiewce przymocowanej do paska i rzucił staremu pustelnikowi kilka monet.

– Chodź z nami, dziadku – powiedział. – Ale dopóki nie dotrzemy do wzgórz, trzymaj się z tyłu. Daleko z tyłu.

Hans złapał monety, skłonił się i zachichotał podekscytowany.

– Och, dziękuję wam, panowie. Dziękuję. Stary Hans nie wyprowadzi was na manowce, o nie.

Zwiadowcy ruszyli w dalszą drogę. Gotrek burknął coś, wyraźnie niezadowolony. Felix podzielał jego nastrój. Stary pustelnik wzbudzał w nim dziwny niepokój. On też nie chciał, aby starzec im towarzyszył, ale to nie oni przewodzili tej wyprawie, więc nie mógł nic na to poradzić.

Rzucił ostatnie spojrzenie z ukosa na brudnego starca, który całował każdą monetę po kolei zanim schował je do kieszeni. Następnie odwrócił się i ruszył za pozostałymi, jacy już zagłębiali się w wyrąbaną w lesie przecinając, znaczącą ślad przejścia zwierzołudzi.

Zwiadowcy zareagowali na ten widok zdumieniem i niepokojem, tak samo jak kiedyś Felix i Kat. Głośnymi przekleństwami dawali wyraz swemu niedowierzaniu, kiedy Snorri opowiedział im, w jaki sposób bestie torowały sobie drogę. Cały czas zachowywali czujność, bo choć mogli podróżować szybciej, to na otwartym terenie byli doskonale widoczni dla ewentualnych napastników. Dlatego też wysłali jednego człowieka daleko na przód, drugiego na tyły, i po jednym na wschód i zachód, żeby mieć oczy dookoła głowy.

I bardzo dobrze, że tak właśnie uczynili, bo w południe pierwszego dnia jeden ze zwiadowców von Volgena, brodaty leśnik ubrany w strój z kozłej skóry z hochlandzkim muszkietem przewieszonym przez plecy, nadbiegł od tyłu. Na jego twarzy gościł ponury grymas.

– Nie wszyscy są przed nami – powiedział, wskazując kciukiem za siebie. – Zauważyłem pięćdziesięciu idących z zachodu, a Gilich widział około dwudziestu po południowej stronie mostu Bekker, na wschód stąd. Zdaje się, że okoliczne stada dołączają do przyjaciół z północy.

Po tym wydarzeniu Kat zaproponowała, że ona również pójdzie na zwiady. Wysłali ją więc, a także dwóch dodatkowych zwiadowców daleko na tyły, żeby w razie czego mieć dużo czasu na znalezienie kryjówki w przypadku nadejścia zwierzoluździ.

Jednakże pierwszy dzień minął i nic się nie wydarzyło. Rozbili obóz z dala od wyrąbanej w lesie trasy, na wypadek gdyby bestie miały nią przechodzić w nocy.

Mimo tego że zwiadowcy cały czas byli w ruchu i czujnie obserwowali okolice, Felix przez cały dzień miał wrażenie, że coś ich obserwuje. Czuł irytujące swędzenie na wysokości łopatek, przez co raz za razem oglądał się za siebie. Nie było to takie samo uczucie, jakie towarzyszyło mu podczas zagłębiania się w północne połacie Drakwaldu. Wtedy wydawało mu się, że las ich obserwuje, jak jakiś na wpół uśpiony duch natury, poirytowany intruzami wkraczającymi na jego terytorium. Tym razem jednak miał wrażenie, że jakaś wroga istota śledzi ich spomiędzy drzew, ale nie jest to sam las. Jednakże mimo wyteżania wzroku i słuchu, nie usłyszał ani nie zobaczył nic, co mogłoby zdradzić naturę tajemniczego zagrożenia.

Uczucie wzmogło się, gdy zapadł zmierzch i obóz zatonął w ciemnościach nocy. Ogień tlił się słabo, a czerń lasu przytłaczała jak ciężki koc. Czuł obecność czegoś złego tuż obok siebie, jakby zaraz miał usłyszeć jego szept.

Po raz kolejny uniósł się na łokciach i rozejrzył. Kat obróciła się w jego stronę.

– Słyszałeś coś, Felixie? – zapytała.

– Nie – odparł. – To... to tylko takie wrażenie, nic więcej.

Pokiwała głową.

– Też to czuję.

Położył się, a na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

– Może to tylko smród bijący od starego Hansa. Wolałbym, żeby rozłożył swoje posłanie trochę dalej od nas.

Kat zachichotała.

– I tak już śpi za krawędzią obozowiska.

Felix przysunął swoje posłanie bliżej Kat, tak że po chwili leżeli stykając się ramionami. Uśmiechnęli się do siebie jak dzieci, które

coś zbroiły. Od razu zrobiło mu się lżej na duszy.

– Dobranoc, Kat – szepnął.

– Dobranoc, Felixie.

Ale mimo uspokajającej bliskości jej ciepłego ciała, kiedy wreszcie zapadł w sen, śnił o bezkształtnych koszmarach i złowrogich szeptach. Rankiem obudził się w ponurym nastroju.



Kilkakrotnie w ciągu następnego dnia musieli schodzić z drogi, żeby pozwolić wyminąć się małym grupom zwierzoludzi. Zabójcom przychodziło to bardzo ciężko, ale podporządkowywali się konieczności pozostania przy życiu aż do chwili, gdy będą mieli szansę zabić szamana. To znaczy, Gotrek i Rodi zdawali sobie z tego sprawę. Snorri miał problem w przyjęciu do wiadomości powodu, dla którego powinni się powstrzymać.

– Ale Snorri chce zabić tych zwierzoludzi – mruknął po raz kolejny, gdy nasłuchiwali posapywań i tupotu racic przechodzącej bandy.

– Ci się nie liczą, ojczulku Rdzawa Czaszko – powiedział Rodi. – A poza tym jest ich zaledwie trzydziestu.

– Snorri się podzieli – obiecał stary krasnolud.

– Kiedy znajdziemy wielkie stado, nikt nie będzie się musiał dzielić – przekonywał go Rodi. – Każdy z nas będzie miał setki tylko dla siebie.

– Ale dlaczego Snorri nie może walczyć z tymi teraz, a z tamtymi później?

Rodi przewrócił oczami i poddał się.



Kolejnej nocy tak jak poprzednio rozbili obóz w pewnej odległości od przecinki i zasypali płomień popiołem, zanim zrobiło

się ciemno. Felixa wciąż męczyło uczucie, że jest obserwowany, ale był tak zmęczony długim dniem wędrówki, że kiedy tylko skulił się na pościeli obok Kat, natychmiast zapadł w sen. Niestety i tym razem męczyły go koszmary.

Jakiś czas później obudziły go gorączkowe szepty. Zamrugał zaspanymi oczami i zobaczył Kat, Zabójców oraz zwiadowców siedzących na pościeliach i rozglądających się dokoła.

W słabym świetle przygasającego żaru Felix dostrzegł jednego ze zwiadowców z oddziału Plaschke–Miesnera klęczącego przy Huntzingerze i dyszącego ciężko.

– Więcej niż dwustu – wysapał. – Idą bardzo szerokim łukiem.

– Jak daleko stąd? – zapytał Huntzinger.

Zwiadowca z trudem przełknął ślinę.

– Niecały kilometr.

Sierżant zmarszczył czoło.

– Jak udało im się podejść tak blisko niezauważonymi?

Zwiadowca zwiesił głowę.

– Musiałem... musiałem przysnąć.

Huntzinger zdzielił go w ucho.

– Przeklęty głupcze!

Wszyscy zerwali się z pościeli i zaczęli mówić jednocześnie.

– Zagasić ogień!

– Musimy uciekać!

– Do diabła z tobą, Skali, zabiłeś nas wszystkich! Daleko na skraju obozowiska Hans Pustelnik nasłuchiwał tego wszystkiego z szeroko otwartymi oczami.

Felke minął Huntzingera i chwycił zwiadowcę za przód kamizeli.

– Czy możemy przeczekać ich przejście, przesunąć się na którąś ze stron?

Huntzinger odepchnął Felkego na bok.

– Puszczaj go. To mój człowiek, ja go będę przesłuchiwał.

– Więc zrób to, do cholery! – wrzasnął Felke. – Musimy się zbierać!

Huntzinger obrócił się do zwiadowcy.

– I jak? Możemy ich jakoś obejść? Zwiadowca potrząsnął głową.

– Za bardzo się rozproszyli i po każdej ze stron idą grupy szukające pożywienia.

– Czy damy radę uciec? – zapytał jeden ze zwiadowców von Volgena.

Zwiadowca zerknął mimowolnie na krótkie nogi Zabójców.

– Nie sądzę.

– Schowamy się na drzewach – rzucił ktoś.

– Krasnoludy nie chodzą po drzewach – warknął Gotrek.

– I tak nas wyczują – stwierdziła Kat. – Za późno.

– Na krew Sigmara – rzucił inny zwiadowca. – Jesteśmy zgubieni.

– I dobrze – powiedział Rodi.

Gotrek usłyszawszy to stwierdzenie, rzucił ponure spojrzenie na Snorriego i mruknął coś groźnie. Następnie wzruszył ramionami i zaczął dorzucać szczapy do wygasającego ognia, żeby znowu go rozpalić.

– Co robisz?! – wrzasnęli jednocześnie Huntzinger i Felke.

– Nie pozostaje nam nic innego jak stanąć do walki – odparł Gotrek, odwracając się do nich. – Stańcie tak, żeby ogień płonął za wami i przygotujcie się.

Wśród zwiadowców zawrzało, ale wreszcie opanowali przerażenie i poszli za przykładem Zabójcy. Ustawili się w szeregu twarzami w stronę, skąd mieli nadejść zwierzoludzie. Za ich plecami płonął ogień, więc byli doskonale widoczni, ale w ten sposób płomienie ich nie oślepiały. Czekali.

Felix stwierdził, że jest zaskoczony nagłym obrotem sprawy i tym, że śmierć miała nadejść w tak banalny, głupi sposób. Nie mógł jednak powiedzieć, że się tego nie spodziewał. Wiedział przecież, że prędzej czy później nadejdzie zagłada, której szukał Zabójca. Po prostu spodziewał się, że będzie ona znakomitsza i bardziej znacząca. Wyobrażał sobie, że Gotrek zginie w walce z jakimś straszliwym, pradawnym potworem, a nie w potyczce, jaka była rezultatem zwykłego, ludzkiego błędu. Z powodu chwili słabości zwiadowcy nie byli w stanie prześcignąć zwierzoludzi ani ich okrążyć. Zamiast tego mieli stanąć z nimi do walki, a nawet Gotrek, Snorri i Rodi razem wzięci nie mogli pokonać dwustu zwierzoludzi.

Umrą tutaj pośrodku pustkowi z najgłupszego z powodów, nie osiągnąwszy niczego: nie pokonawszy szamana, nie zniszczywszy totemu, nie uratowawszy Imperium. Czuł się z tym bardzo źle. Takie zakończenie nie pasowało do tej opowieści. Felix nigdy w życiu by tego tak nie napisał.

Z oddali dobiegły ich odgłosy zbliżających się zwierzoludzi – ciężki stukot racic, trzask łamanych gałęzi, porykiwania stada przedzierającego się przez gąszcz.

Jeden ze zwiadowców jęknął. Zabójcy wydali z siebie gardłowe pomruki i przygotowali broń. Felix rozejrzał się i zauważył, że pustelnik zniknął. Z pewnością próbował ratować się ucieczką.

Kat wzięła Felixa za rękę i ścisnęła ją.

– Przynajmniej nie zobaczymy, jak nasi przyjaciele zmieniają się w bestie – szepnęła. – Przynajmniej nie zobaczymy końca.

Felix głośno przełknął ślinę. Było to niewielkie pocieszenie.

18

Odgłosy zbliżających się zwierzoludzi były coraz głośniejsze. Kat puściła dłoń Felixa i założyła strzałę na cięciwę. Snorri zachichotał radośnie. Rodi klepnął się parę razy po policzkach i prychnął jak byk. Gotrek przesunął kciukiem po krawędzi ostrza topora, aż popłynęła krew. Zwiadowcy drżeli nerwowo, strzelając oczami na wszystkie strony.

Felix przygotował Karaghulę, po czym znieruchomiał i popatrzył na Kat. Wpatrywała się między drzewa. Podbródek miała wysunięty. Widać było, że się niecierpliwi, ale nie dawała poznać po sobie strachu. Kierowany nagłym impulsem złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie, wyciskając na jej ustach namiętny pocałunek. Przez chwilę była tak zaskoczona, że nie zareagowała, ale po chwili rozluźniła się i oddała pocałunek.

Przez krótką chwilę na świecie nie istniało nic oprócz przyjemności tulenia jej, smaku jej ust i nacisku jej gibkiego ciała, ale po chwili dobiegł go lubieżny chichot Rodiego i oderwali się od siebie. Kilku zwiadowców gapiło się na nich z otwartymi ustami.

Felix uśmiechnął się do Kat z zażenowaniem.

– Ja... ja po prostu nie chciałem, żeby ta szansa przepadła na zawsze – powiedział.

Uśmiechnęła się i pokiwała głową, niezdolna spojrzeć mu w oczy.

– Aye, dobrze pomyślane.

Zwrócili się z powrotem w stronę lasu. W ciemnościach migotały pojedyncze żółtawe płomienie – pochodnie zwierzoludzi. Zwiadowcy szeptali między sobą, drżąc ze strachu i czekając na pierwszych wrogów.

– Przygotować się – zakomenderował sierżant Huntzinger. – Poczekajcie na cele. Zabierzemy ze sobą tak wielu, jak się da.

Felix dostrzegł pierwsze rogate cienie wynurzające się spomiędzy pni drzew, groteskowo porozciągane. Byli już niemal w zasięgu wzroku. Nadszedł czas. Czas walki i śmierci, po tylu latach. Dziwne, że nie czuł w ogóle strachu, tylko nagłą, niemal obezwładniającą melancholię. Chciało mu się płakać, kiedy pomyślał o tych wszystkich rzeczach, które straci.

Nocną ciszę przeszył pisk, jakby gdzieś nad ich głowami znalazła się upiorna płaczka. Dźwięk był ostry i wznoszący się jak gwizd czajnika i zaraz po nim przez obóz przeszedł podmuch lodowatego, nienaturalnego wiatru. Był tak silny, że momentalnie zagasił ogniska. Zapadła kompletna ciemność. Zwiadowcy aż podskoczyli i krzyknęli ze strachu. Felix obawiał się, że zrobił to samo. Dziwny pisk sprawił, że podniosły mu się włoski na karku. Kat wymamrotała modlitwę do Rhyi.

– Co to było?! – rozległ się krzyk sierżanta Felke gdzieś na lewo od Felixa.

Felix nie widział nic. Ciemność panująca między drzewami była smoliście czarna. Światło pochodni zwierzoludzi również zgasło, nie został nawet blady poblask żaru. Felix jednak słyszał ich, jak wyją w oddali i z wielkim hałasem przedzierają się przez chaszczę. Zdawali się równie przestraszeni jak ludzie.

Felix się im nie dziwił. Przenikający dźwięk wciąż się wznosił. Brzmiało to jakby demony rozdzierały czyjaś duszę na strzępy. Dało się wyczuć obecność jakiejś przerażającej istoty. Felix czuł się, jakby ktoś odarł go ze skóry, wyssał kości, a ciało pozostawił bezwładne jak zdechła meduza. Nie mógł się ruszyć, nie był w stanie myśleć, mógł jedynie kulić się tuż obok Kat, drżąc i szarpiąc się, wpatrując się w niebo i nasłuchując straszliwego dźwięku.

Po chwili przytłumione czerwone światło sprawiło, że Felix znów mógł coś dostrzec. Był to blask bijący z run na toporze Gotreka. Zabójca zadzierał wysoko głowę i wpatrywał się bez śladu strachu w korony drzew. Snorri i Rodi stali u jego boku, a otaczali ich drżący z przerażenia ludzie. Między gałęziami nie było widać nic oprócz cieni i pasm mgły.

Z ciemności nadbiegało w ich stronę stado. Felix słyszał krzyki i tętent kopyt łomoczących po prawej i lewej stronie. Mignęło kilka cieni, ale ku jego zdziwieniu żaden ze zwierzoludzi nie przebiegł przez obóz. Cokolwiek zgasiło ich pochodnie, napędziło im porządnie stracha i nie chcieli się do tego zbliżyć. Felix czuł się, jakby stał na kamieniu pośrodku rzeki i obserwował opływające go z obu stron fale.

Wtem jeden ze zwierzoludzi wpadł do obozu, rycząc i niemal potykając się o własne nogi. Przedarł się przez gąszcz krzaków i wybiegł prosto na stojących najdalej po lewej stronie zwiadowców. Wydawało się jednak, że ich nie zauważył, bo kiedy uskoczyli mu z drogi, nie ruszył za nimi, tylko z powrotem wpadł między drzewa, trzymając się za głowę i wrzeszcząc, jakby goniły go istoty z jego najgorszych koszmarów.

Taki stan utrzymywał się przez kilka minut. Wciąż słyszeli przebiegających obok zwierzoludzi, podczas gdy piskliwy dźwięk dobiegający z góry nie ustawał i wzbudzany przez niego obezwładniający strach przykuwał Felixa i pozostałych do ziemi. Ale nagle, gdy tylko tętent racic ucichł gdzieś w oddali, ohydny jęk zniknął i uczucie przerażenia ustąpiło olbrzymiej uldze.

Runy na toporze Gotreka przygasły. Drużyna pomału dochodziła do siebie, co poniektórzy szeptali modlitwy do Sigmara.

– Rozpalcie ogień – zarządził sierżant.

Jeden ze zwiadowców wziął hubkę i krzesiwo i zaczął rozpalać zagasły płomień. Felix wciąż jeszcze się trzęsąc, wypuścił z płuc westchnienie ulgi.

– Co to było? – zapytał.

Gotrek rzucił spojrzenie na gałęzie drzewa tuż nad nimi. Jego jedno oko czujnie wypatrywało.

– Coś złego.

– Ale ochroniło nas – powiedziała Kat. – Przegoniło zwierzoludzi.

– Ochroniło nas? – prychnął Rodi. – Zabrało nam naszą zagładę!

Splunął na ziemię z obrzydzeniem.

– Aye – zgodził się Gotrek. – Ale dlaczego?

– Może samo chciało dorwać zwierzoludzi – zasugerował Snorri.

– Snorri uważa, że to bardzo chciwe z jego strony.

Felix wątpił, czy to naprawdę był powód, ale nie potrafił wymyślić nic innego.

W tej samej chwili gdzieś na skraju obozowiska rozległ się szelest, który sprawił, że wszyscy momentalnie obrócili się i chwycili za broń. Stary Hans Pustelnik wysunął głowę zza drzewa, a jego oczy były wielkie jak monety.

– Czy już po wszystkim, panowie? – zapytał drżącym głosem.

W odpowiedzi usłyszał tylko pomruk ulgi i zniesmaczenia. Wszyscy ponownie ułożyli się do snu, a zwiadowcy, na których przyszła kolej, wyruszyli między drzewa pełnić straż. Felix wątpił jednak, żeby ktokolwiek oprócz Zabójców miał się wyspać tej nocy. Na pewno jemu to nie groziło. Wspomnienie przeraźliwego pisku i zimnej, złej obecności było zbyt świeże. Wiedział, że powróci, gdy tylko zamknie oczy.



Następnego dnia podróży teren zaczął się podnosić i wypiętrzać w pofałdowane wzgórza oraz wijące się meandrami doliny. Okolice porastały dęby i wiązy, a poszycie nie było już tak gęste. Wyrębana toporami droga, jaką szło stado, zakręcała przez pagórkowaty teren, jak ścieżka węża. Trasa omijała największe drzewa, które musiały sprawiać za wiele kłopotu drwalom. Dużo łatwiej wycinało im się młode drzewka rosnące na przykład w dolinach po łożyskach dawnych rzek.

Po południu dotarli do miejsca, gdzie drzewa rosły już rzadziej, a były przy tym dziwacznie poskręcane i powykrzywiane. Wiązy, jakie widzieli rano, było proste i smukłe. Te, które mijali teraz, wyglądały na skarłowaciałe i zdeformowane. Ogromne dęby przybierały postać czarnych olbrzymów o posplatanych gałęziach i pniach pokrytych naroślami, wyglądające jak porośnięte korą wola. Ślad przejścia zwierzoludzi był tu znów prosty, ponieważ nie było tak wielu drzew do ścięcia, i zmieniał kierunek na południowy wschód, biegnąc przez wznoszące się i opadające wzgórza.

Kilka godzin później drzewa zupełnie zniknęły i wreszcie dotarli do północnej granicy Jałowych Wzgórz. Felix pomyślał, że trudno byłoby nadać im bardziej odpowiednią nazwę. Przed sobą widział rozciągające się bezbrzeżne morze niskich, osłoniętych mgłą wzgórz, które wyglądały jak wyliniałe. Porastała je z rzadka uschnięta zimowa trawa, bezlistne cierniste krzewy oraz nagie drzewa. Od czasu do czasu w zasięgu wzroku pojawiała się jakaś skrzywiona przez wiatr sosna nachylona nad skalistym grzbietem jak stara wiedźma w poszarpanym płaszczu lustrująca czujnym wzrokiem swoje terytorium.

Nie śpiewały tu żadne ptaki, a Felix nie dostrzegł też ani jednego śladu zwierzęcej łapy odcisniętej na śniegu zalegającym w zacienionych dolinach. Nawet światło przebijające się przez szare chmury zdawało się słabe i jakby chorobliwe, tak jakby samo słońce nie było w stanie spojrzeć na tak ponurą pustkę. Mieli przed sobą krainę niemalże dotkniętą zarazą, prawie tak pozbawioną życia jak pustynie Khemri. Ale przynajmniej ślad stada wciąż był wyraźny. Odciski dziesięciu tysięcy racic zaczęły szeroki pas na suchej piaszczystej ziemi wzgórz. Brudna wstęga ciągnęła się aż po horyzont.

– Dawno temu to było piękne miejsce – powiedział Hans patrząc tęsknie na surowy krajobraz. – Ludzie nazywali je Zielonymi Wzgórzami, wszędzie rozciągały się łąki i jeziora. Ale kiedy stary Morrslieb wypluł paskudny zielony pocisk w sam środek wzgórz, wszystko na dziesiątki kilometrów stąd poskręcało się i zmarło. Nigdy nie doszło do siebie. Szkoda, szkoda. Wszyscy martwi.

Zachichotał niespodziewanie.

– Chociaż dla mnie to dobrze, prawda?

– Morrslieb splunął? – zapytał Felix sceptycznie.

– Aye – odparł pustelnik. – Wielki płonący pocisk prosto z nieba. Wykonał gest naśladujący strzałę wbijającą się w ziemię.

– Mówisz tak, jakbyś to widział na własne oczy – powiedziała Kat.

Hans ponownie zachichotał.

– Ojej, dziecino. Czy wyglądam aż tak staro? Huntzinger skrzywił się tylko i wzruszył ramionami.

– Może i kiedyś było tu pięknie – powiedział. – Ale teraz jest paskudnie.

– Przynajmniej nie ma tu żadnych drzew – stwierdził Rodi radośnie.

– A tym samym żadnej ochrony – Kat nie podzielała jego entuzjazmu.

Felix obrócił się i zobaczył, że dziewczyna obserwuje rozciągającą się przed nimi olbrzymią przestrzeń niczym mysz wyglądająca ze swej dziury. Przyszło mu do głowy, że skoro od małego mieszkała w Drakwaldzie, to może ani razu w całym swoim życiu nie widziała tak rozległej otwartej przestrzeni. Wyciągnął rękę i ścisnął jej ramię uspokajającym gestem. Drużyna ruszyła dalej.

– Nie martw się – powiedział. – Oni też nie mają się gdzie schować. Zobaczymy ich kilka kilometrów przed tym, jak na nich trafimy.

Odwzajemniła mu się uśmiechem wdzięczności. Idąc ramię w ramię, ruszyli za pozostałymi.

Ale, mimo że zrobił co w jego mocy, żeby uspokoić Kat, Felix w głębi ducha sam przeżywał rozterki. Miał nadzieję, że kiedy opuszczą las, nieprzyjemne uczucie bycia obserwowanym zniknie, że będzie mógł się znowu odprężyć, ale to nie nastąpiło. Nawet intensywniej niż wcześniej czuł na sobie złowrogie spojrzenie. Jakieś złe oczy obserwowały każdy jego krok, ale kiedy rozglądał się dokoła, nie widział nic. Niemożliwe, żeby ktoś ich śledził lub szpiegował. Tak jak powiedziała Kat, nie było się tu gdzie schować. A mimo wszystko za każdym razem, kiedy odwracał głowę, miał wrażenie, jakby ktoś sekundę wcześniej skrył się przed jego wzrokiem. Nadzieja na to, że po wyjściu z lasu zniknie uczucie osaczenia, również zawiodła. Brak drzew nie stanowił pocieszenia, gdy szarobure jednostajne bryły ponurych wzgórz zlewały się w jedno z ciemnym, posępnym niebem, zwieszającym się nad ich głowami jak niski sufit. Felix czuł się niczym miażdżony między dwoma potężnymi kamieniami młyńskimi. W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że się garbi, tak jakby na jego plecach spoczywał potworny ciężar.



Popołudniu następnego dnia zobaczyli dym unoszący się z nad ognisk obozu zwierzoludzi. Z początku wyglądało to jak dym z kominów małego miasteczka – setki wąskich, szarych smużek falujących nad niskimi wzgórzami. Felix przez chwilę pozwolił sobie myśleć, że mają przed sobą jakieś zwykłe miasteczko nazywające się choćby Barrenbug. Oczami wyobraźni widział mur, wrota i karczmę z szyldem, na przykład Pod kurhanem. Potrząsnął głową. Wiedział, że sam się oszukuje. W tym strasznym miejscu nie było miast.

Od tego momentu poruszali się ostrożniej, wypatrując zwiadowców i grup łowieckich. Wykorzystywali każdą namiastkę osłony, jaką mogli znaleźć. Co chwila napotykali kurhany i płyty nagrobne pozostałe po dawno zapomnianych rasach. Obłe, porośnięte trawą kopce wystawały jak guzy spomiędzy darni, pokryte mchem menhiry sterczały niczym zepsute zęby z zaropiałych dziąseł.

Zwiadowcy starali się prowadzić drużynę korzystając z cienia rzucanego przez nie, mimo emanującej z nich aury pradawnego zła.

Wreszcie dotarli do ostatniego grzbietu wzgórza, który dzielił ich od stada. Podczołgali się bliżej, szorując brzuchami po śniegu i suchej trawie. Schowani za krawędzią zerknęli na rozciągający się przed ich oczami widok. Było to spełnienie marzeń każdego Zabójcy.

Dolina miała kształt rombu, długiego mniej więcej na półtora kilometra, szerokiego na kilkaset metrów. Przy każdym ze zwięzających się końców stały pofałdowane wzgórza. Od jednego do drugiego krańca cała dolina wypełniona była zwierzoludźmi. Felix przełknął ślinę i aż się cofnął na ten widok. Kiedy wcześniej miał okazję widzieć stado, las przesłaniał jego prawdziwe rozmiary. Tutaj, rozciągnięte po całej dolinie wydawało się tak liczne, że zakręciło mu się w głowie. Miał przed sobą prawie dziesięć tysięcy zwierzoludzi – jeden olbrzymi obóz stworzony z setek mniejszych, z

czego każdy miał ognisko i makabryczny sztandar wetknięty w ziemię tuż przy nim, żeby pozostali wiedzieli, kto tutaj rządzi.

– Snorri uważa, że Rodi Balkisson miał rację – odezwał się Snorri. – Dla każdego wystarczy zwierzoludzi.

– Tak wielu – wymamrotała Kat, wpatrując się w dolinę szeroko otwartymi oczami.

– Aye – zgodził się Rodi, nadzwyczaj opanowanym głosem. – To się nada.

– Pewna zagłada – stwierdził Gotrek, a jego jedyne oko błyszczało groźnie.

Felix musiał się z tym zgodzić. To będzie zagłada dla nich, a także zapewne dla wszystkich żołnierzy, których von Volgen, Plaschke–Miesner i von Kotzebue zdołają zgromadzić. Nie widział tylu zwierzoludzi w jednym miejscu odkąd wraz z Gotrekiem i Snorrim unosili się nad Pustkowiami Chaosu w Duchu Grungniego. Wszędzie jak okiem sięgnąć byli zwierzoludzie. Walczyli między sobą, pili i jedli wokół ognisk, ale większość z nich po prostu stała skierowana twarzami w stronę środka doliny, potrząsała bronią i wznosiła głosy w gardłowym zaśpiewie, który brzmiał jak pieśń końca świata.

Felix zwrócił wzrok w tamtą stronę, żeby zobaczyć, co tak przykuwało ich uwagę.

Pośrodku doliny wypełnionej przez bestie wznosiło się jedno niskie wzgórze, długie i o stromych zboczach, jak grzbiet wieloryba wynurzającego się spośród fal. Na nim, w miejscu, gdzie u wieloryba znajdowałby się otwór do wypuszczania fontanny wody, ułożono dawno temu kamienny krąg. Chropawe czarne menhiry były omszałe i dotknięte erozją. Pokrywał je śnieg. To do tego miejsca zwierzoludzie nieśli swój święty kamień z głębin Drakwaldu. W rzeczy samej wnosili go wewnątrz kręgu właśnie wtedy, gdy Felix i pozostali obserwowali wydarzenia rozgrywające się na dole.

Na wzgórzu kłębili się zwierzoludzie. Tłoczyli się wokół olbrzymiego totemu, wspinali się na niego, podczas gdy wybrańcy wciąż trzymali go na swych barkach. Scena ta przypomniała Felixowi widok mrówek niosących do kopca martwego pasikonika.

Kamień jednak nie zniknął w dziurze, kiedy tragarze donieśli go na szczyt pagórka. Zamiast tego zwierzoludzie wnieśli go pomiędzy kamienie tworzące krąg i z użyciem jedynie brutalnej siły, bez pomocy żadnych maszyn i narzędzi, ustawili go w pozycji pionowej.

Felix modlił się w duchu do Sigmara, żeby złowrogi totem wysliznął im się z rąk i runął na menhiry tworzące krąg, roztrzaskując je w pył. Niestety, bóg nie wysłuchał tej prośby. W ciągu dziesięciu minut zwierzoludzie wyprostowali kamień i zabezpieczyli go w tej pozycji. Przez dolinę przetoczył się ryk triumfu. Felix pomyślał, że słyszeli go pewnie aż w Altdorfie. Zaraz potem zganił się za niepotrzebną przesadę, ale wtem dotarło do niego, że może właśnie to była straszliwa prawda. Jeżeli Zabójcy i trzy armie poniosą tu klęskę, Altdorf na pewno usłyszy okrzyk triumfu zwierzoludzi.

A przegrana ludzi i krasnoludów wydawała się nieunikniona. Nawet Zabójcy zdawali się nie mieć co do tego złudzeń.

– To będzie wspaniała zagłada – powiedział Rodi. – Ale...

Gotrek wbił w niego spojrzenie jedyne oka.

– Ale? Co się stało z Rodim „Zagłada to zagłada” Balkissonem?

Rodi mruknął ponuro.

– Zaraziłeś mnie swoją dumą, Gurnissonie. Przez ciebie chcę teraz, żeby moja zagłada coś znaczyła. A tu...

Wzruszył ramionami.

– Być może zabijemy wielu z nich, ale nigdy nie uda nam się dostać do szamana. Przynajmniej nie walcząc, a ja nigdy nie byłem dobry w skradaniu się.

– Nawet najlepszemu zwiadowcy na świecie to by się nie udało – stwierdziła autorytarnie Kat. – Są zbyt blisko siebie. Nawet jeżeli nas nie zobaczą, to z pewnością nas wyczują.

– Nie możemy poczekać, aż zasną? – zapytał Felix.

– Z pewnością spędzą noc na hulankach – powiedziała Kat.

– A ci na wzgórzu na pewno nie pójda spać – dodał Gotrek. – Tego możemy być pewni.

Felix ponownie spojrzął na położone pośrodku wzgórze. Znajdował się tam obóz wewnątrz obozu – prawdziwe stado Urslaka Ułamanego Roga, liczniejsze niż reszta stad na terenie doliny. Felix

dostrzegali patrole olbrzymich bestii okrążające obóz i podstawę wzgórza. Jeszcze więcej strażników stało na jego zboczach. A na szczycie pagórka wciąż tańczyły tłumy w środku i na zewnątrz kamiennego kręgu, wymachując bronią i pochodniami.

– Może uda nam się wygrać pierwszą szarżę – powiedział Gotrek.

– Ale kiedy tylko rozlegnie się alarm, wszyscy się na nas rzucą.

– Snorri sądzi, że to bardzo dobry pomysł – powiedział Snorri.

– Aye, Gryzonosie – zgodził się Gotrek kiwając głową. – Będziemy mieli naszą zagładę, ale kamień będzie dalej stał.

– Jaki dziś mamy dzień? – zapytał Felix.

– Trzydziesty dzień Vorhexena – odparł sierżant Felke.

Felix westchnął i oparł podbródek na skrzyżowanych dłoniach.

– A zatem mamy trzy noce, żeby coś wymyślić. Za ich plecami rozległ się chichot pustelnika.

– Och, moi panowie, czyżbyście zapomnieli o mnie tak szybko? Nie martwcie się aż tak. Stary Hans ma swoje sposoby. O pewnie, że ma.

19

Członkowie drużyny zwrócili zdziwione spojrzenia na pustelnika.

– Co masz na myśli? – zapytał Gotrek.

– Znam drogę na wzgórze! – zaskrzeczał Hans. – Wiem, jak tam dojść, żeby zwierzoludzie się nie dowiedzieli!

– Jak? – zapytał Rodi. Starał się ukryć zaciekawienie, ale marnie mu to wychodziło.

Starzec zachichotał i spojrział na nich chytrze.

– Wy, synowie ziemi, możecie mnie nazywać hieną cmentarną, jeśli chcecie, ale jeżeli zajmowałbym się czymś innym, to teraz bylibyście w kropce, he? Znam kurhany wokół tego wzgórza jak własną dłoń, tak samo tunele, które je łączą.

– Tunele – powtórzył Gotrek, nareszcie zainteresowany.

– Aye – potwierdził pustelnik, zniżając głos do szeptu. – Dawni władcy budowali nie tylko dla umarłych, ale i dla żywych.

Obrócił się i wskazał na dół zbocza, gdzie kopce wybrzuszały się na powierzchni martwych dolin jak żyły pod skórą.

– Każdy kurhan był zaplanowany tak, żeby w razie czego można się było do niego schronić. We wszystkich są tajemne drzwi, przez które można się dostać do starej twierdzy zbudowanej wokół waszego świętego kręgu.

Odwrócił się i wskazał w kierunku wzgórza, gdzie stanął totem.

– W tamtych czasach nazywali to Koroną Tarnhalta, po ostatnim królu, jaki tu panował.

Z jego gardła znów wydobył się zduszony chichot.

– Mury już dawno nie istnieją, tak jak i budynki. Ludzie pozabierali kamienie, ale nikt nie ważył się dotknąć kręgów. Tunele i piwnice pod wzgórzami pozostały nienaruszone. A z nich

tajemnym wyjściem można się wydostać na powierzchnię jakieś dziesięć kroków od samego kręgu.

Krasnoludy otoczyły starca i spijały każde słowo z jego ust.

– Pokaż nam drogę, pustelniku – zażądał Rodi.

– Zaprowadź Snorriego do zwierzoludzi – powiedział Snorri.

– Aye, rabusiu grobów – dołączył się Gotrek. – Prowadź nas do tych tuneli.

Starzec nagle zmrużył oczy i zmierzył ich podejrzliwym spojrzeniem.

– Ale pozbędziecie się bestii, tak? Rozwalicie ich kamień w drobny mak. Nie obrabujecie starego Hansa z jego skarbów, prawda?

Rodi wyszczerzył zęby.

– Myślisz, że przeszliśmy taki kawał drogi tylko po to, żeby okraść ciebie?

– A co krasnoludy obchodzą jakieś skarby człeczyn? – zachnął się Gotrek. – Twoje żałosne łupy są bezpieczne.

Hans wahał się jeszcze przez chwilę, głaszcząc się po strąkowatej, białej brodzie, ale wreszcie pokiwał głową.

– No dobrze, zaryzykuję. Bestie muszą stąd odejść.

Obrócił się i ruszył w dół zbocza tak żwawym krokiem, że trudno było w to uwierzyć wiedząc, ile ma lat. Uniósł skraj szaty, żeby nie utrudniała mu ruchów i rzucił przez ramię:

– Za mną! Za mną!

Felix i Kat spojrzeli na Gotreka, a zwiadowcy szeptali coś między sobą. Zabójca wzruszył ramionami.

– Warto spróbować.

Huntzinger i Felke nie wyglądali na zadowolonych, ale wreszcie i oni machnęli ręką. Cała drużyna podążyła za starym pustelnikiem, który poprowadził ich w dół wzgórza i wzdłuż jego podstawy, aż wreszcie dotarli do zarośniętego starego kopca, jaki wystawał z jednego z pagórków jak złamany palec. Zeschnięte liście paproci okrywały wejście do grobowca, ale nie wyrastały z ziemi. Ktoś musiał je tu przynieść i zamaskować nimi otwór. Stary pustelnik odsunął je na bok i ich oczom ukazała się mała czarna dziura, nisko

przy ziemi. Szczelina była tak wąska, że Felix wątpił, czy Zabójcom uda się przecisnąć szerokie ramiona przez taki otwór.

– Proszę, wasze wielmożności – powiedział Hans, zacierając ręce z radości. – To jest wejście do tunelu, który poprowadzi was na wzgórze. A teraz, jeśli dacie staremu Hansowi pióro i papier, narysuje wam mapę.

Gotrek prychnął.

– Krasnoludy nie potrzebują map tuneli, rabusiu grobów. Znajdziemy drogę.

– Nie, nie, nie! – zaprotestował Hans, otwierając szeroko oczy z przerażenia. – Mapa będzie potrzebna, moi panowie. Nie chcecie wejść tam, gdzie nie powinniście.

Zapadła cisza, a Gotrek utkwiał w pustelniku mrozące krew w żyłach spojrzenie.

– Co to ma znaczyć? – zapytał.

– Co tam ukrywasz? – zawtórował mu sierżant Felke.

– Czy tam są duchy? – wyrwało się Hunstingerowi, przygryzającym nerwowo wargę.

– Pułapki? – zapytał Felix.

Starzec skulił się pod ich wzrokiem, nerwowo rozglądając się na boki.

– Nie, nie! Nie ma pułapek, moi panowie. Nie, jeśli pójdziecie tam, gdzie wam powiem. Ja... ja tylko boję się... że będziecie próbowali zabrać moje rzeczy. Musiałem je zabezpieczyć i one...

– Są chronione pułapkami – dokończył za niego Felix.

– A więc nas poprowadzisz – stwierdził Gotrek.

– Aye – przyklasnął mu Rodi. – To najlepsze wyjście. W ten sposób obie strony będą zabezpieczone.

– Nie! – wrzasnął starzec, nagle jakby tracąc rozum. – Nie mogę! Zbyt dużo czasu z wami zmitreżyłem! Muszę wracać do pracy! Muszę iść!

– Myślałem, że nie możesz pracować z powodu bestii – powiedział wolno Felix, pomалу nabierając podejrzeń.

– Są inne kurhany – odparł Hans. – Pracuję na całym terenie.

– To może poczekać – stwierdził kategorycznie Gotrek. – Zostajesz z nami.

Pozostali otoczyli starego człowieka. Skulił się, drżąc i zasłaniając pomarszczonymi dłońmi głowę. Przez ułamek sekundy Felixowi wydawało się, że zobaczył na jego twarzy wyraz czystej, nieskrywanej nienawiści. Zanim jednak zdołał się upewnić, grymas zniknął i Hans znów uśmiechał się potulnie.

– Dobrze więc, wasze wielmożności – wyjąkał. – Zostanę. Zostanę.



Z pomocą starego Hansa drużyna przemierzyła doliny wokół miejsca zgromadzenia zwierzolutów w poszukiwaniu odpowiedniego punktu, gdzie mogłyby stanąć armie trzech szlachciców, kiedy, a raczej jeśli, w końcu przybędą. Gdy tylko znaleźli takie miejsce, posłańcy przygotowali konie, aby ruszyć z wiadomością do von Volgena oraz Plaschke–Miesnera w klasztorze Wieży Czujności. Mieli przekazać swoim panom, że Zabójcy znaleźli sposób na dotarcie do szamana i zabicie go, co pozwoli wydać bitwę stadu bez niebezpieczeństwa ze strony totemu.

– Będziemy czekać do ostatniej chwili – powiedział Gotrek. – Ale jeżeli armie nie zjawią się przed zachodem słońca w wigilię Hexensnacht, zaczynamy bez nich.

Felke uniósł róg łowiecki, który miał przewieszony przez szyję.

– Zadnę w ten róg po śmierci szamana. To będzie sygnał dla wojsk.

Felix wystąpił na przód.

– Upewnijcie się, że wiedzą, że nie mogą atakować, zanim nie usłyszą tego dźwięku, w przeciwnym razie... – zadrżał, przypomniawszy sobie twarz przemienionego Ortwina. – W przeciwnym razie może się to bardzo źle skończyć.

Posłańcy pokiwali głowami, wskoczyli na konie i oddalili się w stronę ogołoconych z życia wzgórz. Przynajmniej na otwartej przestrzeni szybciej im się jedzie, a i armii będzie lepiej maszerować, pomyślał Felix. Wciąż nie wiadomo było, czy przybędą

tylko ludzie von Volgena i Plaschke–Miesnera, czy może jednak von Kotzebue ze swoją czterotysięczną armią również stawi się na polu walki.

– No dobrze – powiedział Huntzinger. – A teraz musimy znaleźć miejsce, gdzie przeczekamy najbliższe dni.

– Kurhan wskazany przez pustelnika – zaproponował Gotrek bez chwili wahania.

Huntzinger spojrział na niego. Felke zrobił to samo. Ich ludzie wymieniali między sobą niespokojne szepty.

– Chyba nie mówisz poważnie – powiedzieli jednym głosem.

Gotrek nachmurzył się.

– Ależ oczywiście, że tak. Jest tam ciepło. Będziemy osłonięci od wiatru. Blisko stamtąd do obozu bestii, a przecież nigdy nas tam nie znajdą. To idealna kryjówka.

– Ale... ale to grobowiec – wyjąkał Huntzinger. – Nie możemy rozbić obozu w krypcie cmentarnej.

– Dlaczego?

– Dawni władcy – ciągnął Huntzinger. – Oni nie lubią, jak im się przeszkadza. Obudzą się i pozabijają nas wszystkich we śnie.

– Aye – poparł go Felke. – Wejdziemy tam, kiedy już trzeba będzie pójść zabić bestie, ale w życiu nie rozbijemy tam obozowiska. Nie mam zamiaru tam spać.

Ich ludzie pomrukiem przyznali mu rację. Gotrek przewrócił oczami.

– Bardziej boicie się sterty starych, zakurzonych kości niż dziesięciu tysięcy zwierzoludzi?

Huntzinger i Felke wymienili znaczące spojrzenia, po czym ponownie popatrzyli na Gotreka.

– Aye – odpowiedział Huntzinger. – Nie zrobimy tego i basta.

– Są takie rzeczy, których człowiek nigdy nie robi – dodał Felke.

Gotrek parsknął zniesmaczony, ale tylko wzruszył masywnymi ramionami i odwrócił się na pięcie.

– Są takie rzeczy, których tchórz nigdy nie robi – wymamrotał pod nosem.

Rodi i Snorri pokiwali głowami.

Felix zerknął na Huntzingera i Felkego, obawiając się, że usłyszeli słowa Zabójcy. Sądząc z grymasów na ich twarzach, usłyszeli go wyraźnie, ale mimo wszystko nie sprawiali wrażenia, jakby zamierzali w jakikolwiek sposób na to zareagować.



Po godzinie poszukiwań kapitanowie zwiadowców znaleźli głęboki wąwóz jakiś kilometr od doliny skrywającej Koronę Tarnhalta. Ogłosili, że w tym miejscu rozbijają obóz. Milczenie ze strony krasnoludów było wystarczająco wymowne, tak samo jak fakt, że rozłożyły swoje posłania możliwie jak najdalej od namiotów zwiadowców. Nie oddaliły się jednak na tyle, żeby zupełnie odseparować się od obozu i bez słowa skargi stawiły się na swoje warty.

Felix również zdecydował się nie odzywać. Z jednej strony rozumiał krasnoludzki punkt widzenia. Zejście pod ziemię wydawało się najlepszym sposobem na uniknięcie spotkania z bestiami. Ale z drugiej strony nie cieszyła go perspektywa spędzenia dłuższego czasu w grobowcu pradawnego władcy. Już raz mu się to zdarzyło i nie skończyło się to najlepiej.

Zwiadowcy nie odważyli się rozpaścić ognia przed zapadnięciem zmroku z obawy przed tym, że dym unoszący się nad wzgórzami zdradzi ich pozycję. Oznaczało to długie godziny przytupywania, trzęsienia się z zimna, chowania przed bezlitosnym wiatrem i wpatrywania z zazdrością w Zabójców, którzy przechadzali się po obozie odziani w same spodnie. Wydawało się, że jest im równie ciepło i komfortowo, jakby znajdowali się w przytulnej karczmie.

Jednak same krasnoludy, a przynajmniej Gotrek i Rodi, były niespokojne i podenerwowane. Wiedziały, że ich zagłada jest tylko kilka dolin stąd i wydawało im się to niepotrzebnym testem cierpliwości. Tylko Snorri wydawał się odprężony. Łaził za dwoma pozostałymi krasnoludami i opowiadał im historie o swoich przygodach z Gotrekiem, tak jakby Gotrek nie brał w nich udziału.

Felix widział, że ramiona Zabójcy opadają coraz niżej z każdą nową opowieścią, ale Zabójca nigdy nie odezwał się opryskliwie do Snorriego. Kiwał tylko głową i mruzczał coś niewyraźnie. Brwi miał ściągnięte, a usta zacięte w ponurym grymasie.

Felix z całych sił starał się ignorować panujące w obozie napięcie. Usiadł, chroniąc się za wielkim głazem i próbował drżącymi rękami uzupełniać zapiski w dzienniku. Zastanawiał się, czy potem uda mu się odszyfrować wychodzące spod pióra bazgroły. Żałował, że nie mógł spędzić tego dnia zakopany pod kocami w jednym namiocie z Kat. Byłby to o wiele przyjemniejszy i cieplejszy sposób na zabicie czasu. Ale ona wykonywała swoje obowiązki wraz z innymi zwiadowcami, patrolując teren i nie spuszczać oka ze stada, więc prawie w ogóle jej nie spotykał.

Po skromnym posiłku ugotowanym na słabym ogniu, Felix objął wartę i skoncentrował się na obserwowaniu brzegu wąwozu. Wypatrywał i nasłuchiwał nadchodzących bestii oraz patrzył jak Morrslieb ściga Mannsleiba po niebie, dogania go, tak że wydawało się, że krawędzie obu księżyców niemal się stykają, aż wreszcie sunie dalej, zostawiając swego większego, bardziej odległego brata daleko w gwiazdnym pyle.

O północy, kiedy Mannslieb znajdował się dokładnie nad nimi, a Morrslieb już chował się za wzgórzami na wschodzie, dobiegł końca czas jego warty. Zszedł do doliny, w stronę obozu i potrząsnął Gotreka za ramię.

– Twoja kolej, Gotreku – powiedział.

Zabójca usiadł, momentalnie oprzytomniał i rozejrzał się dokoła. Zerwał się na równe nogi i chwycił za topór.

– Gdzie jest pustelnik? – zapytał.

Felix zerknął w stronę skarłowaciałego drzewa, do którego przywiązali starca, żeby mieć pewność, że tamten nie weźmie nóg za pas. Lina, która krępowąła nadgarstki Hansa, leżała na ziemi, ale po nim samym nie było śladu.

Felix przeklął. Jak pustelnikowi udało się uciec? Rozejrzał się, sierżant Huntzinger stał na straży. Ruszył w jego stronę, podczas gdy Gotrek podszedł do leżącej na ziemi liny.

– Pozwoliłeś uciec pustelnikowi! – rzucił oskarżycielsko. – Co z tobą, zasnąłeś?!

– O co chodzi? – sierżant zerwał się i obrócił w stronę drzewa. Rzucił siarczyste przekleństwo. – Jak to możliwe?! Patrzyłem na niego zaraz przed tym, jak zszedłeś ze zbocza. Leżał tam i spał.

Podniesione głosy obudziły resztę obozu. Felix i Huntzinger ruszyli w stronę Gotreka odprowadzani przez zadawane sennymi głosami pytania. Zabójca patrzył na linę. Sierżant wykonał znak młota, ponieważ supły, które zawiązał na linie wokół nadgarstków Hansa, były nietknięte.

– Czarnoksiężstwo – stwierdził Huntzinger.

W pętli spoczywał zwój pergaminu. Gotrek schylił się, chwycił go i rozwinął. Była to prymitywnie narysowana mapa, pokazująca komnaty i łączące je korytarze. Najwyraźniej rysunek wykonano krwią.

– Albo to, albo lina nie była wystarczająco ciasno zawiązana – zasugerował sierżant Felke ze złośliwym uśmiechem. – Wygląda na to, że jesteś równie niedbały jak twoi ludzie, Huntzinger.

– Sam wiązałem tę linę – zaprotestował sierżant Huntzinger. – Nie mógł tak po prostu uciec.

– A jednak – stwierdził Gotrek.

Felix zerknął Gotrekowi przez ramię na mapę.

– Wygląda na to, że wciąż chce, abyśmy ruszyli na zwierzoludzi.

– Albo wpakowali się w pułapkę – stwierdził Rodi, dołączając do nich i również spoglądając na mapę.

Felix przełknął ślinę. A może właśnie o to chodziło? Może Hans tylko dlatego dołączył do drużyny, żeby pokierować ich prosto w jakąś podziemną zasadzkę? Może wcale nie był hieną cmentarną, ale na takich hienach się żywił. Być może sprzedawane przez niego złoto i świecidełka nie pochodziły z trumien dawnych władców, ale były skradzione z ciał nieostrożnych ofiar.

Gotrek wręczył mapę Felixowi i obrócił się.

– Rozdzielcie się i poszukajcie go – zakomenderował. – Ale uważajcie na bestie.

Huntzinger i Felke wyglądali na urażonych tym nagłym przejściem władzy, ale tylko obrócili się do swych ludzi i wydali

rozkazy, kto ma zostać, a kto wyruszyć na poszukiwania.

Felix, Kat, Gotrek, Rodi i czterech wyznaczonych zwiadowców wyruszyli w różnych kierunkach. Snorri został w obozie – nie można było mu ufać, mógł przecież zaraz zapomnieć, czego szuka. Reszta zwiadowców została pilnować obozu. Poszukiwania nie przyniosły żadnego skutku. Po dwóch godzinach Felix dowłókł się z powrotem do obozu, na wpół nieprzytomny i zmarznięty na kość, nie mając nic do zaraportowania. Pozostali przybyli zaraz po nim. Oni również niczego nie znaleźli. Hans zniknął, jakby zapadł się pod ziemię.

– Pewnie schował się w innym kurhanie – powiedziała Kat.

– Czy on może coś knuć? – zaniepokoił się Huntzinger.

Rodi wzruszył ramionami.

– A co może zrobić taki starzec?

– Może poprowadzić na nas bestie – odparł sierżant.

Felix zmarszczył czoło.

– Nie sądzę. Jego złość na zwierzoludzi wydawała się szczerą. A poza tym zostawił nam mapę. Myślę, że on naprawdę chce, żebyśmy pozbyli się stąd stada, ale nie mam pojęcia, jakie jeszcze motywy mogą nim kierować.

– A więc użyjemy tej mapy? – zapytał Felke.

– A jaki mamy wybór? – zaripostował Rodi. – Nie ma innego sposobu, żeby się dostać w pobliże szamana.

– Skorzystamy z niej – zdecydował Gotrek. – Ale nie będziemy ślepo podążać za wskazówkami.

Skinął na Rodiego i Snorriego.

– Jutro zbadamy te tunele, żeby, kiedy przyjdzie, co do czego, nic nas tam nie zaskoczyło.



Następnego poranka Felix, Kat i trzech Zabójców powróciło do kurhanu, którego położenie wskazał im stary Hans. W miarę jak się zbliżali, w Felixie narastał niepokój, że kiedy dotrą na miejsce, okaże się, że otwór zniknął, jakby go nigdy nie było, niczym jakieś

tajemnicze wejście do bajkowej krainy. Jednak, gdy odsunęli uschłe paprocie, otwór wiodący do krypty wciąż tam był – nieregularna czarna dziura w ziemi. Felix nie był pewien, czy mu ulżyło, czy wręcz przeciwnie.

– Pójdę pierwszy – powiedział Rodi.

– Nie, Snorri pójdzie – zaprotestował Snorri.

– Ja to zrobię – zarządził Gotrek i przepchnął się na przód, zanim zdążyli go zatrzymać.

Felix nie był pewien, czy Zabójca się zmieści. Wydawało się, że jego ramiona są sporo za szerokie, ale Gotrek nawet się nie zawahał. Ukląkł. Wsadził do środka głowę i ramię, w którym trzymał topór, po czym przekręcił się i podparł nogami. Rozległ się gruchot i szelest spadającego piachu i żwiru. Przez chwilę Felix bał się, że przejście się zawali, ale ziemia zaraz przestała się osuwać. Ze środka dobiegł ich głuchy głos Gotreka.

– W porządku, jest bezpiecznie.

Snorri wszedł jako następny, nieco poszerzając przy tym otwór. Zaraz za nim do środka dostała się Kat, nie dotykając przy tym nawet krawędzi szczeliny.

– Za tobą, Herr Jaeger – powiedział Rodi.

Felix wziął głęboki oddech, ukląkł i zaczął przeczołgiwać się przez otwór. Przez chwilę poczuł się naprawdę nieswojo, kiedy rękami nie mógł wyczuć podłoża, a jego nogi wciąż tkwiły w dziurze, zaraz jednak schwyciły go i pociągnęły silne krasnoludzkie dłonie. Po chwili stał na własnych nogach w kompletnych ciemnościach.

Próbując się w pełni wyprostować, uderzył się w głowę. Syknął i schylił się, pocierając obolałe ciemię.

Niedaleko rozległ się suchy trzask i w dłoni Kat zapłonęła pochodnia. Ciepły blask oświetlił wypełzającego z otworu Rodiego, który wyglądał jak brzydki, grzebieniasty kret.

– Aye, miło być znowu pod ziemią – stwierdził z zadowoleniem młody Zabójca, podnosząc się i otrzepując z piachu.

– Aye – zgodził się Gotrek.

Felix rozejrzał się. Znajdowali się w długiej, niskiej komnacie – tak niskiej, że mężczyzna jego wzrostu nie mógł się wyprostować.

Pomieszczenie zdawało się stworzone dla ludzi o posturze Kat. Kamienne ściany pokryte były prymitywnymi płaskorzeźbami przedstawiającymi wilcze głowy i czaszki, a także kanciaste, splatające się ze sobą runy i symbole. Pod długimi ścianami stały cztery kamienne katafalki, na których spoczywały stare szkielety w przegniłych, zakurzonych szatach. Na zwłokach nie było śladu po biżuterii bądź broni. Jeżeli nawet stary Hans nie zajmował się obrabowywaniem grobów, to ktoś inny z pewnością trudnił się tą profesją.

Felix zwrócił się w stronę tylnej ściany kurhanu, gdzie według słów Hansa miało znajdować się wejście do tuneli. Poczował falę rozczarowania. Miał przed sobą ścianę z litego kamienia, pokrytą kruszącym się malunkiem biegnącego wilka. Już miał głośno przekląć Hansa za to, że wprowadził ich w błąd, gdy Rodi wybuchnął śmiechem.

– Stary człowiek nazwał to tajemnymi drzwiami? – szydził. – Ślepy elf by to znalazł!

– Snorri sądzi, że nawet martwy elf by to znalazł – powiedział Snorri.

Zawstydzony Felix zamknął usta i podszedł wraz z pozostałymi do ściany, dziękując Sigmarowi, że nie pozwolił mu przemówić.

Gotrek wyciągnął ze ściany jeden z kamieni, który Felixowi wydawał się identyczny jak wszystkie pozostałe. Następnie krasnolud włożył dłoń w powstały otwór i rozległ się zgrzyt żelaza rysującego kamień. Naparł na ścianę z wizerunkiem biegnącego wilka drugą ręką i wtem otworzyły się przed nimi wąskie drzwi, za nimi, zalegała ciemność.

– No dalej, idziemy – rzucił Rodi, pakując się do środka, jako pierwszy.

Gotrek i Snorri zmierzili go wzrokiem, po czym poszli w jego ślady. Trójka krasnoludów bez chwili wahania zanurzyła się w ciemnościach. Felix i Kat pośpieszyli za nimi, czujnie rozglądając się dookoła w świetle rzucanym przez pochodnię Kat. Tunel za drzwiami miał równie niski strop jak wnętrze krypty. Tak naprawdę był to zaledwie otwór wydrążony w ziemi i skale. Przed zawaleniem chroniły go ciężkie drewniane belki i pale. Cuchnęło tu pleśnią,

wilgotną ziemią i rozkładem. Pajęczne sieci zwisały z sufitu jak całuny i trzepotały przy podmuchach jękliwego wiatru. Felix pochylił głowę i wyciągnął przed siebie dłoń, żeby je pozrywać i nie pozwolić im się oblepić.

Nie przeszli dziesięciu kroków, gdy Gotrek zwolnił i spojrzał na podłogę. Tupnął w nią obcasem buta, raz i drugi.

– Pod nami jest jeszcze kilka poziomów – stwierdził.

– Aye – zgodził się Rodi, potakując głową. – Co najmniej sześć.

Poniuchał powietrze.

– I sięgają aż do podłoża skalnego.

– Do czego były używane? – zapytał Felix.

– Sądząc po zapachu, do grzebania zmarłych – odparł Rodi.

Felix zadrżał. Wizja niezliczonych szeregów starożytnych zwłok obracających się w proch w cichych grobowcach pod nimi sprawiła, że poczuł się nieswojo.

Szli dalej, mijając inne korytarze, które krzyżowały się z ich tunelem. Wejścia do nich rozwierały się jak czarne paszcze ziejące w skale i zdawały się połykać światło rzucane przez pochodnię. Felixowi wydawało się, że słyszy ciche szepty i skrobanie. Każdy taki odgłos sprawiał, że napinały się wszystkie jego mięśnie w obawie, że zaraz natrafią na jakąś pułapkę lub zasadzkę, a następnie usłyszą dobiegający gdzieś z oddali szalony chichot starego Hansa.

Krasnoludy skręcały raz w lewo, raz w prawo bez wahania i nie spoglądając na mapę Hansa. Nie rozmawiały też ze sobą. Zdawało się, że znają tę trasę na pamięć, mimo że były tu pierwszy raz.

Na jednym ze skrzyżowań, szerszym niż pozostałe, Gotrek zerknął na jakieś symbole wyrzyte w drewnianych wspornikach. Splunął z obrzydzeniem.

– Tych tuneli używano nie tylko jako schronienia. Działy się tu plugawe rzeczy.

Zdjął topór z pleców i zdrapał kilka symboli ostrym jak brzytwa ostrzem.

– Głupie człeczyny – warknął.

Szli dalej. Felix był teraz nawet bardziej niespokojny niż wcześniej. Być może zmarli znajdujący się w komnatach pod nimi wcale nie leżeli w trumnach. W jego głowie pojawiła się wizja

tłumów pojękujących jeńców złożonych w masowej ofierze w jakiejś głęboko położonej jaskini i miał trudności, by się jej pozbyć.

Chwilę później Gotrek wyciągnął rękę i zatrzymali się. Krasnoludy nadstawiały uszu w stronę sufitu. Felix też nadśluchiwał. Powietrze lekko drżało, a z oddali dobiegało stłumione dudnienie, które nie cichło ani na chwilę.

– Znajdujemy się bezpośrednio pod stadem – oznajmił Gotrek.

Zaledwie moment później dotarli do miejsca, gdzie ściany i podłoga zrobione były z kamieni połączonych zaprawą murarską. Wnętrza pokryte były malunkami w odcieniach brązów, żółci i niebieskiego. Upływ czasu sprawił, że prymitywne malunki pobladyły, ale wciąż można było na nich rozpoznać mężczyzn w rogatych hełmach z długimi brodami walczących ze zwierzoludźmi i orkami w wielkich bitwach. Na innych freskach ci sami ludzie klęczeli składając w ofierze mięso i napoje przed białym wilkiem, nad którego lewym ramieniem świecił księżyc, a nad prawym słońce.

– Katakumby pod zamkiem Tarnhalta – stwierdził Rodi. – Jego ludzie nie byli najlepszymi malarzami, co?

Po kilku kolejnych zakrętach dotarli do starej klatki schodowej. Z góry dostawało się tu powietrze, niosąc ze sobą smród zwierzęcego futra i dymu. Nieustającemu drzeniu ścian i sufitu towarzyszył pogłos ryków i jęków dobiegający z oddali. Brzmiało to tak, jakby między nimi a stadem nie było żadnych drzwi.

Gotrek zatrzymał się.

– Krąg jest tuż nad nami.

– Wygląda na to, że starzec jednak mówił prawdę – powiedział Rodi.

– Dzięki Taalowi za to – stwierdziła Kat z ulgą w głosie.

Snorri podniósł głowę i zaciągnął się powietrzem u podstawy schodów.

– Snorri wyczuwa zwierzoludzi – powiedział. – Czas iść walczyć, aye?

– Nie, Gryzonosie – odparł Gotrek. – Czas zawrócić i ruszyć z powrotem do obozu.

Wyraz zawodu, jaki odmalował się na twarzy Snorriego, był tak komiczny, że Felix musiał się odwrócić, żeby nie parsknąć śmiechem.



Reszta dnia była zimna i nudna tak jak poprzednie. Kolejne niekończące się szare godziny upłynęły bez żadnych wydarzeń ani nowych wiadomości. Felix wiedział, że nie przyjdą żadne wieści od von Volgena i Plaschke–Miesnera. Niemożliwością było, żeby posłańcy w ciągu jednego dnia pojechali do klasztoru i wrócili z armiami w miejsce stacjonowania stada. Mimo wszystko nie mógł opanować napięcia i nerwowego oczekiwania. Kiedy nadejdą armie? Jak wielu żołnierzy? Czy w ogóle przybędą? Miał przecież przykład jak potrafi się sprzeczać dwóch młodych lordów. Wiedział, że szansa na to, że znowu się pokłóca, była bardzo duża. W takim wypadku jeden z nich albo obaj mogliby postanowić, że odmówią uczestnictwa w bitwie.

Męczyła go także świadomość – mimo uspokajającego dowodu w postaci mapy – że stary Hans krył się gdzieś tam w ciemnościach, być może planując zemstę za to, że przetrzymywali go wbrew jego woli. Felix nie był w stanie wyobrazić sobie, żeby zemsta w wykonaniu starego, słabowitego człowieka miała się sprowadzić do czegoś więcej niż małostkowej złośliwości, ale nawet coś z pozoru nieznaczącego mogło niechcący zaalarmować bestie i sprowadzić na nich niebezpieczeństwo.

Felix robił kolejne notatki w dzienniku i znów obserwował, jak Snorri łązi za Gotrekiem i Rodim, paplając radośnie. Tym razem jednak zauważył, że Gotrek rzuca w stronę starego Zabójcy ukradkowe spojrzenia, kiedy ten nie patrzył. Pewnego razu, kiedy Snorri udał się za obóz, żeby sobie ulżyć, Felix zobaczył Gotreka rozprawiającego o czymś z Rodim z wielkim przejęciem. Młody Zabójca kiwał głową z powagą i gładził swą plecioną brodę. Kiedy Snorri powrócił, krasnoludy odskoczyły od siebie i powitały go z

udawaną wesołością. Z daleka widać było, że zachowują się jak uczniaki złapane na gorącym uczynku.

Felix domyślił się, że rozmawiali o starym Zabójcy za jego plecami, ale nie miał zielonego pojęcia, czego dotyczyła ta konwersacja.

Posłaniec od von Volgena powrócił wreszcie o świcie w wigilię Hexensnacht. Przyniósł wiadomość, że armie dwóch lordów stawiają się na swoich pozycjach w samo południe.

– Ilu ludzi? – zapytał Gotrek.

– Lord von Volgen mówi, że zgromadził tysiąc pięciuset żołnierzy, Herr Zabójco – opowiedział posłaniec. – W większości włóczyków i łuczniczków, ale ma też trzystu zbrojnych rycerzy na koniach. Lord Plaschke–Miesner prowadzi prawie tysiąc ludzi, z czego dwustu to rycerze. Ma też działą.

Felix skrzywił się. Było to więcej niż lordowie obiecali, ale wciąż za mało. Bestie wyrzną ich wszystkich w pień.

– Jakies wieści od Kotzebue? – zapytał.

– Aye, sir – opowiedział posłaniec. – I to dobre. Baron przysłał posłańca z wiadomością, że przekroczył Talabek z ponad czterema tysiącami żołnierzy. Jest jakieś dwa dni drogi za armią mojego pana, ale robi co w jego mocy, żeby zdążyć na czas.

Felix wymienił spojrzenia z Gotrekiem, Rodim i Kat. Cztery tysiące ludzi von Kotzebue na pewno się przyda – nawet, jeżeli nie sprawi to, że szanse ich i bestii będą wyrównane. Ale jeśli od początku mieli dwa dni spóźnienia, to czy uda im się dotrzeć tu na czas? Bardzo wątpliwe.

– Mój pan i lord Plaschke–Miesner błagają was, żebyście poczekali, jak długo będziecie mogli, zanim wyruszyacie na waszą misję – ciągnął posłaniec. – Żeby dać lordowi von Kotzebue czas na dotarcie na miejsce.

Ta prośba nie zdziwiła Felixa. Bez wsparcia ze strony von Kotzebue, szarża w wykonaniu armii dwóch lordów byłaby niczym więcej jak spektakularnym samobójstwem.

– Zaczekamy – zgodził się Gotrek. – Ale jeżeli nie pojawi się do zmroku, nie będziemy mogli dłużej zwlekać.

Obrócił się do sierżantów Huntzingera i Felkego oraz ich zwiadowców.

– Wracajcie razem z posłańcem. Czas zwiadowców się skończył. Lepiej jeśli umrzecie ramię w ramię z waszymi towarzyszami, niż z nami.

Zwiadowcy pobledli słysząc te słowa, ale nie tracili czasu i zaczęli się zbierać.

Felix obserwował, jak się pakują. Przygryzł wargę i zwrócił się do Kat.

– Powinnaś iść z nimi – powiedział.

Spojrzała na niego tak, jakby ją uderzył.

– Nie zostawię cię, Felixie.

– Ale, Kat...

– Nie mam zamiaru grać roli słabej kobietki – przerwała mu.

Felix wyczuwał, że dziewczyna stara się panować nad głosem i emocjami.

– Myślałam... myślałam, że to rozumiesz.

Wyglądała na tak dogłębnie zranioną, że serce mu się krajało.

– Ależ rozumiem – powiedział. – Nie proszę cię o to, dlatego że jesteś kobietą. Proszę, ponieważ...

Rozejrzał się dokoła na gapiących się na nich zwiadowców i zniżył głos.

– Ponieważ cię kocham i nie chcę, żebyś zginęła.

– Nie boję się – powiedziała, unosząc buńczucznie podbródek.

– To nie o to chodzi.

Westchnął, po czym ujął ją za ramię i odprowadził kawałek od reszty.

– Kat, wiem, że jesteś odważna, ale...

Potrząsnął głową.

– Nie mamy szans na przeżycie. Poprzysięgłem towarzyszyć Zabójcy w jego poszukiwaniu zagłady i wiem, że zginę. Ale ty... ty nie musisz tutaj umrzeć. Masz przed sobą jeszcze tyle lat.

Spojrzała na niego.

– Zapominasz, że ja też złożyłam przysięgę.

– Wiem o tym – odparł. – Ale będą przecież inne stada, inne bitwy, podczas których twoja pomoc może być niezbędną.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, że źle zrobił.

Źrenice Kat zwęziły się. Zmierzyła go zimnym spojrzeniem i wyprostowała się sztywno.

– Wątpisz w moje umiejętności? – zapytała szorstko.

Felix zazgrzytał zębami.

– Nie to miałem na myśli i dobrze o tym wiesz. Po prostu zwiadowcy zakończyli już swoje zadanie, tak jak powiedział to Gotrek.

Skinął w stronę ludzi Huntzingera i Felkego, którzy ustawiali się w szeregu, przygotowani do wymarszu.

– Chcę tylko, żebyś poszła z nimi.

Chcę tylko ocalić ci życie!, wykrzyczał w duchu, ale nie odważył się tego wypowiedzieć na głos. Kat zwiesiła głowę i potaknęła.

– Masz rację, Felixie. Nie ma tu miejsca dla zwiadowcy. Powinnam odejść.

Felix odetchnął z ulgą. Wreszcie przemówił jej do rozumu.

– Ale – powiedziała i całe napięcie, jakie Felix do tej pory odczuwał, wróciło ze zdwojoną siłą. – Ale nie mogę cię zostawić.

– Na krew Sigmara, a dlaczego to?! – wyrwało się Felixowi.

Spojrzała na niego brązowymi oczami, w których lśniły łzy.

– Ponieważ ja też nie chcę, żebyś zginął.

– Ależ Kat – prychnął z rozdrażnieniem. – Ja muszę zginąć! Nie ma o czym gadać.

Potrząsnęła głową.

– Słyszałam twoje opowieści. Już nieraz stawałeś w obliczu pewnej śmierci, a jednak zawsze był jakiś drobiazg, który ratował ci życie.

Przełknęła głośno ślinę i położyła dłoń na jego piersi.

– A co jeśli tym razem to ja jestem tym drobiazgiem?

Felixem szarpnęła taka fala emocji, że niemal się zakrztusił. Dziewczyna nie chciała zginąć u jego boku. Chciała go ochronić. Czuł, jak serce mu topnieje.

– To niemożliwe – wyszeptał. – Nie ma dla mnie szansy. Żadnej.

Zrobiła krok w jego stronę.

– Ile razy uratowałam ci życie?

Odkaszlnął.

– Ehm, dwa? Może trzy? Więcej?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Zawsze jest jakaś szansa, Felixie. Zawsze.

Felix westchnął. Z jednej strony czuł się przybity tym, że nie udało mu się jej przekonać. Z drugiej jednak oszałamiała go myśl o tym, jak bardzo jej na nim zależało.

Zwiadowcy byli gotowi do drogi. Felke i Huntzinger wystąpili przed szereg i zaszalutowali Felixowi, Kat oraz Zabójcom.

– Powodzenia – powiedział Felke.

Zdjął swój myśliwski róg i podał go Kat.

– Nawzajem – odpowiedziała Kat, biorąc róg.

– Pozdrówcie od nas sir Teobalta – dodał Felix.

Zabójcy ograniczyli się do skinienia głowami.

Kilka godzin później Felix znów trzymał wartę na krawędzi wąwozu. Jego umysł był jednak tak zaprzątnięty pełnymi troski myślami o Kat i niechęcią do samego siebie, że pewnie nie zauważyłby przechodzącego zwierzoczłeka, chyba że ten nastąpiłby mu na nogę.

Było dopiero południe i jak do tej pory dzień nie należał do udanych. Podczas gdy Zabójcy przechadzali się, rozprawiali i czekali na wieści od armii, Felix cały czas w kółko próbował wymyślić jakieś nowe argumenty, dzięki którym mógłby odesłać Kat jak najdalej stąd. Bez powodzenia. Wiedział, że nie odejdzie, bez względu na to, co jej powie. Patrzył jak wyrusza na patrole i wraca z nich pogrążona w gorzkich, melancholijnych rozmyśleniach. Była tak dziwną, nietypową istotą. Zacięta w walce, spragniona krwi wrogów i pewna siebie, a jednocześnie nieśmiała, dobra i delikatna. Wydawało mu się to potworne, że już wkrótce tak cudna istota może zostać zmieciona z powierzchni ziemi przez falę zła. Cały ranek upłynął mu na karceniu samego siebie za to, że nie był w stanie wymyślić nic, aby zapobiec tej tragedii.

Szelest osuwających się kamyków dobiegający gdzieś z tyłu wytrącił go z niewesołych rozmyślań. Obrócił się i zobaczył Gotreka wspinającego się w jego kierunku na strome zbocze.

– Coś nie tak? – zapytał, gdy Zabójca podciągnął się na krawędź, zatrzymał tuż przy nim i otrzepał brudne ręce.

– Aye – odparł Gotrek.

Felix oczekiwał jakiegoś ciągu dalszego, ale Zabójca tylko stał i rozglądał się po sięgających aż po horyzont wzgórzach. Felix zmarszczył czoło, zastanawiając się, czy powinien zgadnąć, co stanowiło problem. Czyżby Hans

Pustelnik powrócił? A może zwierzołudzie odnaleźli ich kryjówkę w wąwozie? Może coś się stało Kat? Wreszcie jednak Zabójca przemówił.

– Snorri Gryzonos nie odnajdzie tu swej zagłady – powiedział.

Felix uniósł brwi. To brzmiało jak przepowiednia.

– Jak możesz być tego pewien? – zapytał.

– Zadbam o to, że tak właśnie będzie – odparł Gotrek. – Nie może umrzeć, nie przypomniałszy sobie, dlaczego złożył przysięgę Zabójcy.

– Acha – mruknął Felix. – Rozumiem.

W głębi duszy był zszokowany tym oświadczeniem. Gotrekowi rzadko zdarzało się myśleć o czymś innym niż własna zagłada. Widzieć go tak głęboko przejętego cudzymi problemami, nawet jeżeli chodziło o innego Zabójcę, było zupełnie nowym doświadczeniem. Felix przypominał sobie, jak Gotrek pomógł Heinzowi, kiedy spłonęła Ślepa Świnia, ale wtedy podejrzewał, że Zabójca po prostu czuł się po części odpowiedzialny za wybuch pożaru. Tym razem było inaczej. Gotrek nie przyczynił się do tego, że Snorri stracił pamięć. Był to w jego wykonaniu szczerý, niewymuszony dobry uczynek.

Zabójca zwiesił głowę i kopnął od niechcienia w ziemię.

– Zwalniam cię z twej przysięgi, człeczyno. Nie musisz być przy mojej zagładzie, ani o niej napisać. Zamiast tego zostaniesz ze Snorrim Gryzonosem podczas bitwy, a kiedy ona się skończy, wyruszyście do Karak Kadrin i świątyni Grimnira. Potem będziesz wolny.

Felix był tak zaskoczony, że aż się zakrztusił. Nie wierzył w to, co słyszał.

– Jesteś... jesteś pewien?

Gotrek podniósł głowę i utkwiał nim gniewne spojrzenie jedyne go oka.

– Czy gdybym nie był pewien, powiedziałbym coś takiego?

Następnie odwrócił się plecami i zaczął schodzić do doliny.

Felix gapił się na odchodzącego krasnoluda, mrugając ze zdziwienia oczami. W głowie wirowało mu tysiące pytań, wypełniały go sprzeczne emocje i co gorsza wszystkie naraz starały się przyciągnąć jego uwagę. Gotrek zwolnił go z przysięgi – a raczej powierzył mu zadanie, którego efektem będzie zakończenie podróży z Gotrekiem. Był tak zaskoczony, że nie był nawet w stanie określić, jak się z tym czuje. Czy był w euforii? Wiadomość, że nie musi zginąć u boku Zabójcy, była z pewnością olbrzymią ulgą. Decyzja krasnoluda położyła też kres targającej Felixem niepewności, kiedy wreszcie skończy się ta długa, szaleńcza podróż. Czuł się, jakby ktoś zdjął mu z barków olbrzymi ciężar. Ale czy można było powiedzieć, że czuł się szczęśliwy?

A może raczej zły? Niezupełnie. Oszukany? W końcu towarzyszył Zabójcy wiernie przez ponad dwadzieścia lat, czekając na ten ostatni dzień. A teraz co? U kresu podróży usłyszał: „nieważne, tak naprawdę nie musisz tego spisywać”. Musiał przyznać, że trochę go to zabolowało.

Im dłużej o tym myślał, tym wyraźniej zdawał sobie sprawę z powagi decyzji podjętej przez Zabójcę. Odkąd Felix go znał, Gotrek pragnął tylko dwóch rzeczy od życia – dobrej zagłady oraz epickiej opowieści, jaka unieśmiertelni jego legendę i zachowa ją dla przyszłych pokoleń. Żądza sławy była powodem, dla którego poprosił Felixa wiele lat temu, aby ten towarzyszył mu w wyprawie po śmierć. Była to, w pewien sposób, największa słabość Zabójcy – wada charakteru, jaka sprawiała, że bez wahania stawiał czoła straszliwym zagrożeniom, a zarazem powstrzymywała go przed szukaniem śmierci w mniej znaczącej zagładzie. To, że teraz był gotów poświęcić marzenie o sławie, pójść na śmierć wiedząc, że nikt nie zapamięta jego ofiary, zginąć anonimowo i samotnie, było dla Felixa dowodem na to, jak bardzo troszczył się o Snorriego Gryzonosa. Najpierw spędził ponad dwadzieścia lat szukając sławy, a teraz składał ją w ofierze, chcąc zapewnić Snorriemu życie po

śmierci. Musiał zdawać sobie sprawę, że nie było pewności, że to w ogóle zadziała. Felix był pewien, że Gotrek lepiej niż ktokolwiek wiedział, że modlitwy Snorriego w świątyni Grimnira wcale nie muszą zostać wysłuchane. A mimo to pragnął zrezygnować ze swojej sławy w imię tego złudzenia, wątego płomyka nadziei.

Zrozumiał, że to wszystko, Felix nie mógł dłużej czuć się oszukany. Nie był już zły na to, że Gotrek go oddalił. Nie czuł się zdradzony. Zamiast tego poczuł, jak wypełnia go duma. Zwolnienie go z przysięgi i powierzenie nowego zadania oznaczało, że Gotrek ufał mu na tyle, żeby powierzyć mu zbawienie Snorriego – coś, co najwyraźniej cenił wyżej niż własną sławę. Był to największy zaszczyt, jakiego Felix kiedykolwiek dostąpił.

Poprzysiągł więc sam przed sobą, że wypełni to zadanie. Będzie osłaniał Snorriego podczas nadchodzącej bitwy, przeprowadzi go bezpiecznie przez Góry Krańca Świata do Karak Kadrin, będzie mu towarzyszył w drodze do świątyni, a potem...

Felix zawahał się, zmarszczywszy brwi.

A potem... co?

A potem będzie wolny po raz pierwszy w swym dorosłym życiu od czasu przysięgi, którą złożył Gotrekowi. Będzie miał przed sobą... przyszłość.

Kiedy to do niego dotarło, olśniło go. Gotrek nakazał mu przeczekać bitwę i zostać ze Snorrim przez ten czas. Jeżeli nie będzie walczył, to i Kat nie będzie! Dziewczyna będzie żyć! Oboje będą żyć!

Płonął z podniecenia. Przyszłość! On i Kat będą mogli być razem! Będą mogli żyć razem, prowadzić normalne życie – chociaż nie, może nie do końca. Wciąż pozostawała kwestia zemsty, jaką poprzysiągł skaveńskiemu czarnoksiężnikowi, który przyczynił się do śmierci jego ojca. Ona z kolei musiała doprowadzić do wytrzebienia zwierzoludzi z Drakwaldu. Ale dlaczego nie mogliby podróżować po Imperium i jego lasach przez resztę życia, polując na zwierzoludzi i sypiając w altanach Taala, prowadząc proste życie wędrowca i leśnika? Wyglądało na to, że jego życie niewiele by się zmieniło. Dalej byłby włóczęgą, jak przez ostatnie dwie dekady. Tylko teraz jego towarzyszem podróży nie byłby gburowaty,

odzywający się monosylabami krasnolud, ale słodka, piękna dziewczyna, z którą, oprócz drogi, mógłby dzielić także łożę.

Nagle coś go tknęło. Wyglądało na to, że nie może się doczekać śmierci Gotreka! Zaszczyt doprowadzenia Snorriego do świątyni Grimmira był dla niego tylko zwykłym szczeblem na drabinie wiodącej do samolubnych marzeń o szczęściu. Poczuł zażenowanie i wstyd. Co z niego za przyjaciel? Powinien opłakiwać nieuchronną śmierć Gotreka i modlić się o to, by Snorri odzyskał pamięć, a nie beztrosko planować życie z Kat, po tym jak już uwolnią się od obydwu krasnoludów. Jak mógł tak bezdusznie i szybko zapomnieć o najlepszym przyjacielu? To nie było w porządku.

Z drugiej strony Snorri nie był z rodzaju tych, którzy odmawiają innym szczęścia, tylko dlatego, że sami nie mogą go odnaleźć, a Gotrek był Zabójcą. Chciał zginąć. Nie chciałby, żeby opłakiwano jego śmierć. Wolałby, żeby było to święto. Oczywiście tańce nad jego grobem, zanim jeszcze tak naprawdę zginął, nie były raczej tym, co miał na myśli.

Felix westchnął. Targały nim sprzeczne emocje. Bez wątpienia będzie opłakiwał śmierć Zabójcy – a także odpowiednio ją uczci. Gotreka często trudno było zrozumieć, a jeszcze trudniej polubić, ale ich przyjaźń, mimo że rzadko o niej rozmawiali, była szczera. Felixowi będzie jej brakowało, gdy krasnoluda zabraknie. Nie mógł jednak się oszukiwać, że nie był zadowolony i nie ulżyło mu, że jego życie wraz ze śmiercią przyjaciela się zmieni. To, co do tej pory postrzegał często jak pozbawioną sensu wędrówkę do grobu, mogło się teraz okazać pasmem radości, miłości i szczęścia.

Nagle zapragnął, żeby jego warta dobiegła już końca. Nie mógł się doczekać, żeby przekazać Kat nowiny.



- Czy to nie jakaś sztuczka, Felixie? – zapytała Kat z wahaniem w głosie. – Nie starasz się mnie odesłać?
- To nie żadna sztuczka, przyrzekam.

Felix zerknął przez ramię na trzech Zabójców siedzących wokół wygasłego ogniska. Krasnoludy czyściły broń już chyba po raz piąty tego dnia. Znajdowały się na tyle daleko, że nie mogły słyszeć tej rozmowy. Obrócił się znowu do Kat.

– Gotrek nie chce, żeby Snorri odnalazł swą zagładę, zanim nie odzyska pamięci. Dlatego też zwolnił mnie z obowiązku wzięcia udziału w bitwie, żebym mógł się zająć Gryzonosem i udać się z nim do Karak Kadrin, aby tam mógł się pomodlić w świątyni Grimnira. Nie będę więc walczył, a ty nie musisz mnie chronić.

– A co się stanie, kiedy już doprowadzisz Snorriego do świątyni?
– zapytała Kat.

– Będę wolnym człowiekiem i będę mógł robić, co tylko zechcę – odpowiedział Felix z uśmiechem. – A chcę być z tobą.

Kat zadrżała i potrząsnęła głową.

– Wybacz, Felixie. Tak bardzo chciałabym, żeby to była prawda, ale nie jestem w stanie do końca w to uwierzyć. To wydaje się takie nierealne.

Felix roześmiał się i przyciągnął ją do siebie.

– Nie martw się – szepnął. – Rozumiem. Nie ma nic gorszego niż nadzieja. Zapomnij o tym, co ci powiedziałem. Nie będziemy o tym rozmawiać, dopóki to się nie stanie.

Ucałował ją w czoło, po czym odsunął ją trochę od siebie i popatrzył w jej zasmucone oczy.

– Przypomnę ci tylko coś, co usłyszałem kiedyś od pewnej osoby.

– Co takiego? – zapytała.

Felix wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zawsze jest jakaś szansa. – Na ponurej twarzy Kat zakwitł nieśmiały uśmiech.

Przytuliła się mocno do niego.

– Aye – szepnęła. – Zawsze.



Kiedy tylko ostatni purpurowy promień słońca zniknął za oblanymi czerwienią wzgórzami, na horyzoncie pojawił się posłaniec. Felix domyślił się, że mężczyzna przynosi złe wieści już po tym, że przybyły zasalutował im, ale nie zsiadł z konia.

– Lordowie von Volgen i Plaschke–Miesner przesyłają wyrazy szacunku – zaczął posłaniec, gdy zgromadzili się wokół niego. – Z przykrością informują, że do tej pory nie zauważono znaków zwiastujących pojawienie się armii barona von Kotzebue.

– W takim razie będziemy musieli zacząć bez niego – stwierdził Gotrek.

– Nie, Herr krasnoludzie – powiedział posłaniec. – Moi panowie stwierdzili, że ryzyko jest zbyt wielkie. Jeżeli von Kotzebue nie przybędzie do czasu waszego sygnału, wycofają się.

Gotrek prychnął pogardliwie i odwrócił się plecami.

– To tyle, jeżeli chodzi o odwagę człeczyn.

– To jakieś szaleństwo – oburzyła się Kat. – Przecież oni muszą zaatakować. Muszą!

Felix podszedł do posłańca.

– Myślałem, że zrozumieli, jak ważne jest, aby zaatakować stado, kiedy jest skupione w jednym miejscu. Jeżeli pozwolimy im się rozproszyć, bestie zaczną gnębić osady w promieniu setek kilometrów stąd i nigdy się ich nie pozbędziemy. Jeżeli von Volgen i Plaschke–Miesner się wycofają, skazą tym samym Talabekland na lata najazdów i bezsensownych rzezi.

Posłaniec skinął sztywno głową.

– Moi panowie są tego świadomi i wobec tego mają zamiar udać się na własne ziemie, aby wzmocnić obronę i przygotować swoje twierdze do odparcia ataku.

Rodi splunął na ziemię.

– Przekaż im ode mnie, że są tchórzami i że w pełni zasługują na los, jaki ściągnie na nich to wzięcie nóg za pas w takiej chwili.

Posłaniec skłonił się w siodle.

– Tak też uczynię.

I z tymi słowami zawrócił konia i odgalopował w purpurowy zmierzch.

Morrslieb i Mannslieb znów wznosili się razem nad wzgórzami, gdy Felix, Kat i trzech Zabójców podczołgali się ponownie ku krawędzi grani. Gardłowy zaśpiew dobywający się z dziesięciu tysięcy gardeł brzmiał w powietrzu i sprawiał, że włoski na karku Felixa stały na baczność. Przerazało go to, że tak olbrzymie stado zwierzoludzi, rasy znanej ze swej kłótności i skłonności do bratobójczych walk, było w stanie połączyć głosy w zgodne unisono. Jeżeli ten Urslak będzie w stanie ich jednoczyć i skupiać ich uwagę na konkretnym celu przez dłuższy czas, naprawdę będą niepokonani.

Pięcioro towarzyszy dotarło na krawędź grani i ruszyło dalej na czworaka, aż ich oczom ukazała się dolina Korony Tarnhalta. Obozowiska leżące na obrzeżach były opustoszałe, ogniska wygasły. Wszyscy zwierzoludzie tłoczyli się wokół podstawy centralnego wzgórza. Napierali ze wszystkich stron jak płynny, falujący dywan rogatych głów i porośniętych sierścią ramion. Gdzieniegdzie błyskało światło pochodni odbijające się czerwonym blaskiem od ostrzy włóczni i szerokich napierśników.

Samo wzgórze zalane było żółtym blaskiem. Ogniska rozpalone wokół olbrzymiego totemu strzelały wysoko w niebo. Kamienie tworzące pradawny krąg rzucały długie czarne cienie na zbocza wzgórza i tłum zwierzoludzi kłębiący się dokoła. Dostępu do kręgu bronił pierścień wojowników o pomalowanych na niebiesko ciałach. Utrzymywali rozszalały, śpiewający tłum w ryzach, pokrzykując i wymachując płonącymi pochodniami.

– Sigmarze, zmiłuj się nad nami – wyszeptał Felix. Miał wrażenie, że jakimś cudem trafili na Pustkowie Chaosu, mimo że cały czas znajdowali się w Imperium.

– Lepiej nie – stwierdził Rodi.

– Snorri uważa, że to miło z ich strony, że trzymają się tak blisko siebie – Snorri podzielił się z nimi swoją refleksją. – Nie trzeba będzie tyle za nimi biegać.

Felix, Gotrek i Rodi wymienili spojrzenia, ale żaden się nie odezwał. Felix czuł się w jakiś dziwny sposób winny, tak jakby brał udział w spisku mającym na celu uśmiercenie Snorriego, a nie uratowanie go.

Czujne oko Kat zauważyło coś w drgającej masie.

– Szaman rozpoczął już ceremonię – powiedziała.

Felix ponownie zerknął w stronę kręgu. Nie widział zgarbionego starego zwierzoczłeka, ale przez dym unoszący się znad ryczących płomieni dostrzegał pulsujące niebieskie światło, które dobywało się spomiędzy nieregularnych rys na totemie.

– Czas na nas – stwierdził Gotrek, obrócił się i ruszył w dół zbocza.

Pozostali ruszyli za nim. Felixem wciąż targały sprzeczne emocje. Czas zagłady Gotreka zbliżał się wielkimi krokami. Po tych wszystkich latach z trudem przyjmował do wiadomości, że tym razem naprawdę się to wydarzy, ale jeszcze trudniej przychodziła mu wiara w to, że tak się nie stanie.



Gdy przeczołgawali się jeden po drugim przez tunel wydrążony w zboczu, prowadzący do dawnej krypty i ciągnących się za nią tuneli, Felix znów poczuł dreszcz trwogi. Strach przed jakąś dziwną zemstą ze strony starego Hansa sprawiał, że obracał się nerwowo na każdy chrobot i brzęk odbijający się echem w ciemnościach, kiedy biegli przez podziemny labirynt. Ale nic się nie wydarzyło. Bez żadnych przygód udało im się dotrzeć do katakumb pod zamkiem Tarnhalta, a następnie do starych schodów prowadzących na powierzchnię i do kamiennego kręgu, w którym bestie odprawiały swą straszliwą ceremonię.

Kat podała swoją pochodnię Felixowi i ściągnęła z pleców łuk, podczas gdy krasnoludy ruszyły w górę spiralnymi, kamiennymi schodami. Felix pomagał jej, trzymając pochodnię. Pod stopami krasnoludów trzaskały zeszcze liście i gałązki przywiane tu przez wiatr. Kiedy jednak znaleźli się bliżej powierzchni, hałas dobiegający z góry zagłuszył wszystko inne – tupanie tysięcy racic złączone w jednym rytmie, gardłowy zaśpiew, który teraz

przyspieszał szaleńczo, a nad tym wszystkim wznoszący się wysoki pisk starego szamana.

Felix dopiero po chwili zorientował się, że ściska rękojeść miecz z morderczą siłą, a zęby ma zaciśnięte jak imadło. Musiał sobie stale przypominać, że nie będzie przecież walczył ze stadem. Zostanie w ukryciu ze Snorrim i Kat, podczas gdy Gotrek i Rodi wyjdą i zabiją szamana, po czym powitają nadejście swojej zagłady. Wciąż czuł się z tym nieswojo. Czy naprawdę tym razem będzie inaczej?

Weszli na ostatni poziom schodów i ujrzeni nad sobą kwadratowy otwór, przez który widać było rozgwieżdżone niebo. Światło pochodni migotało, odbijając się od niszczących ścian. Gotrek zwolnił kroku i zakradł się do otworu, ostrożnie wysuwając głowę. Po chwili machnął na resztę. Wynurzyli się na powierzchnię wśród gęstych krzewów jeżyn rosnących nad i wokoło zburzonych murów, sięgających im do kolan. Były to pozostałości wieży, do jakiej kiedyś prowadziły schody.

Nad ich głowami Mannslieb i Morrslieb wpatrywały się w ziemię, rzucając podwójne cienie. Tej nocy księżycyce znajdowały się nawet bliżej niż poprzednio. Zewsząd dobiegały głosy zwierzoluti i błyskały płomienie ognisk.

Felix i pozostali kucnęli i trzymając się nisko, wyjrzeni przez spletaną gęstwinę ciernistych krzewów. Felixowi serce zatłukło się w piersi, gdy zobaczył, jak niewielka odległość dzieliła ich od kręgu i zwierzoluti.

Kamienny krąg wznosił się jakieś dwadzieścia kroków dalej, a trzymające pochodnie i pomalowane na niebiesko gory stały w odległości zaledwie dziesięciu kroków. Tłum, który powstrzymywali strażnicy, był jeszcze bliżej. Tak naprawdę schody wychodziły na powierzchnię między przednimi rzędami bestii. Tłum rozciągał się w obie strony i za nimi aż do brzegów doliny. Tylko gęste krzewy i zburzone mury wieży sprawiały, że zwierzolutie nie stali bezpośrednio nad ich głowami.

Felix usłyszał, że Kat wznosi modły do Taala i Rhyi. On sam zmówił szybką modlitwę do Sigmara, w tym samym czasie starając się zapanować nad drzeniem kolan. Wystarczyłoby odkaszlnięcie czy

głośniejsze kichnięcie, żeby bestie zauważyły ich obecność. Oznaczałoby to natychmiastową śmierć.

Gotrek przesunął się trochę bliżej krzaków, przyglądając się uważnie kręgowi. Pozostali przeczołgali się ostrożnie za nim. Przez szczeliny w stojących pionowo kamieniach Felix dostrzegał niebieskie żyły kwarcu na olbrzymim totemie, pulsujące jak serce w rytm zaśpiewu członków stada. Przed kamieniem stał Urslak, szaman z wykręconymi rogami. Wznosił wyciągnięte ramiona, najwyraźniej wzywając kogoś lub coś. Jego obwieszona ptasimi szponami szata powiewała na nienaturalnym wietrze, podczas gdy z jego ust wydobywała się bluźniercza modlitwa. Przez chwilę Felixowi wydawało się, że widział, jak z jego ramion strzelają olbrzymie, niebieskie skrzydła, ale zaraz potem zniknęły.

Stwierdził, że musiało to być tylko złudzenie wywołane przez blask płomieni.

Między szamanem a Zabójcami stały dwa szeregi zwierzóludzi. Pierwszy tworzyli pomalowani na niebiesko strażnicy. Stali w sporych odległościach od siebie, twarzami do tłumu, wymachując pochodniami, które utrzymywały go w ryzach. Olbrzymi watażka – którego Ortwin nazwał Gargorathem Boskim Wybrańcem – stał wraz z nimi na wschód od kręgu. Potężne ramiona miał splecione na piersi i patrzył w dół na morze zwróconych w jego stronę głów, które ciągnęło się od podstawy wzgórza przez całą dolinę. Drugi szereg zwierzóludzi stał wewnątrz kamiennego kręgu. Nowicjusze w niebieskich szatach zwróceni byli w stronę szamana. Śpiewali i potrząsali nad głowami jakimiś dziwnymi fetyszami – kośćmi, piórami, sękatymi laskami oraz czaszkami różnych zwierząt i ras. Felix przypomniał sobie, gdzie ich wcześniej widział. To oni tańczyli przed kamieniem, kiedy ten był niesiony w stronę miejsca ceremonii.

– Może nam się udać – wymamrotał Gotrek.

– Aye – zgodził się Rodi, kiwając głową. – Mamy do zabicia tylko garstkę, zanim dorwiemy tego starego capa. Musimy tylko być szybcy. A potem...

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się trochę jak szaleniec.

– Snorri jest gotów – stary krasnolud nie był w stanie ukryć entuzjazmu. – Snorri sądzi, że to będzie bardzo udana walka.

Gotrek i Rodi znowu wymienili spojrzenia, po czym cofnęli się w stronę schodów, nakazując Snorriemu gestem, aby poszedł za nimi.

– Podejź tu, Snorri Gryzonosie – powiedział Gotrek, wyraźnie zakłopotany. – Muszę z tobą porozmawiać na temat twojej roli w tym wszystkim.

Na brzydkiej twarzy Snorriego odmalował się wyraz zniecierpliwienia, ale krasnolud ruszył za Gotrekiem, mijając Rodiego, który ociągał się z tyłu.

– Po co tracić czas na gadanie? – spytał Snorri. – Snorri wie, co ma...

Rozległ się huk jakby kula armatnia upadła na drewnianą podłogę. Rodi zdzielił Snorriego w głowę ciężką żelazną rękojeścią swojego topora tuż pod najniżej wbitym gwoździem w jego czaszce. Stary Zabójca przewrócił oczami i osunął się na kolana, po czym runął w przód, prosto na twarz. Rodi patrzył na niego, a na jego twarzy widać było smutek pomieszany ze wstydem.

– Przepraszam, ojczulku Rdzawa Czaszko – powiedział. – Ale musiałem to zrobić.

– Czy...? – zająknęła się Kat. – Czy on nie żyje?

– Myślisz, że taki prztyczek mógłby zabić Snorriego Gryzonosa? – zapytał Gotrek.

Mimo wszystko jednak sprawdził tętno Snorriego, po czym wraz z Rodim unieśli jego bezwładne ciało i stoczyli go po schodach.

Dwóch Zabójców stało przez dłuższą chwilę, wpatrując się w ciemności, w których leżał ich przyjaciel, po czym Gotrek zwrócił się do Kat.

– Masz róg?

Dziewczyna sięgnęła po róg przepięty do pasa i uniosła go,

– Dobrze – powiedział Gotrek, a potem zerknął na Felixa i utkwiał w nim dłuższe spojrzenie błyszczącego oka.

– A ty wiesz, co masz robić?

– Tak, Gotreku – odparł Felix. – Wiem.

Gotrek pokiwał głową, po czym wraz z Rodim zwrócili się w stronę Korony Tarnhalta. Zabójca przesunął kciukiem po ostrzu

topora. Popłynęła strużka krwi. Zrobił krok do przodu, ale zaraz zatrzymał się i obrócił. Podszedł do Felixa i wyciągnął rękę. Felix odwzajemnił uścisk dłoni, czując jak jakaś gula podchodzi mu do gardła.

– Żegnaj, człeczyno – powiedział Gotrek. – Byłeś prawdziwym krasnoludzkim przyjacielem.

– Dziękuję... dziękuję, Gotreku – wydusił Felix, szukając odpowiednich słów. – Ja...

Ale Gotrek już zdążył się odwrócić i dołączyć do Rodiego, który przedzierał się przez zarośla.

Felix spojrzał na swoją dłoń. Odbiła się na niej smużka krwi w miejscu, gdzie dotknął jej nacięty kciuk Gotreka. Zamrugnął oczami i odwrócił głowę. Bał się, że nie będzie potrafił zapanować nad emocjami. Poczuł na sobie spojrzenie Kat, patrzącej na niego smutnym wzrokiem. Od niej też się odwrócił, obawiając się, że będzie chciała go pocieszać, ale ona chyba dobrze wiedziała, co robić. Położyła tylko dłoń na jego ramieniu i nie powiedziała ani słowa.

– Teraz! – dobiegł ich chropawy szept Gotreka.

Felix zerknął w tej samej chwili, kiedy Gotrek i Rodi wypadli z krzaków. Poruszali się szybko, lekko pochyleni. Mierzyli prosto w dwóch strażników z zewnętrznego kręgu, którzy stali pomiędzy nimi a totemem.

Hałaśliwa pieśń i ciemność panująca w zaroślach pozwoliły im podejść niezauważonymi. Gory zginęły, zanim się zorientowały, że ktoś je atakuje. Gotrek podciął jednemu nogi, a gdy bestia padła, odrąbał jej głowę. Rodi wybebeszył swojego, nacierając na niego głównym ostrzem swego podwójnego topora, a następnie rozciął mu kręgosłup tylnym ostrzem, kiedy wyszarpywał broń z rany.

Zabójcy biegli dalej. Felix rozejrzał się. Wydawało się, że żaden ze zwierzoludzi jeszcze ich nie zauważył. Ścisnął rękojeść miecza. Naprawdę może im się udać. Jeśli tylko dadzą radę minąć odzianych w szaty zwierzoludzi, którzy stali wewnątrz kręgu...

Ryk z prawej strony sprawił, że obrócił głowę. Jeden ze strażników zewnętrznego kręgu zobaczył Zabójców i puścił się za nimi w pogoń, wołając na pomoc swych towarzyszy.

Kat wypuściła strzałę. Gor zachwiał się, ale biegł dalej. Inni szli za jego przykładem. Kat ponownie napięła cięciwę.

Gotrek i Rodi dotarli do kręgu i wpadli między odwróconych do nich tyłem nowicjuszy, tańczących w przestrzeniach między kamieniami. Trzech padło od razu, zupełnie nie spodziewając się ataku. Trzech kolejnych jednak zdążyło się odwrócić i ruszyło do walki, dźgając laskami i sztyletami w kształcie sierpów. Dookoła rozległy się ryki wściekłości, gdy ich najbliżej stojący towarzysze zorientowali się, co się dzieje. Kilka bestii ruszyło w stronę Zabójców, ale stary szaman pośrodku kręgu był tak skoncentrowany na rytuale, że nic nie zauważył. Podobnie rzecz się miała z dalej stojącymi nowicjuszami. Nie zważali oni na to, co się dookoła nich działo, zahipnotyzowani szaleńczą pieśnią.

Dwaj Zabójcy uporali się z nowicjuszami, ale nie dość szybko. Pomalowani na niebiesko strażnicy pędzili w ich stronę. Dopadną krasnoludy, zanim te zdołają pozbyć się napastników. Kat wypuściła kilka strzał w stronę nadbiegających strażników i paru trafiła, ale jeden łucznik to zbyt mało. Większość strażników biegła dalej.

– Nie uda im się – wyszeptała.

Felix zdawał sobie z tego sprawę. Zwalczył chęć, by wyskoczyć z kryjówki i rzucić się im na pomoc. Czuł się źle, nie będąc w takiej chwili u boku Zabójcy. Miał poczucie winy i wstydził się, ale przecież Gotrek nakazał mu zostać ze Snorrim, a on przysiągł, że tak właśnie uczyni.

– Gdzie są ci paskudni zwierzoludzie, którzy uderzyli Snorriego w łeb? – odezwał się za ich plecami niewyraźny głos.

Felix i Kat odwrócili się, a ich oczom ukazał się stary Zabójca stojący na szczycie schodów i pocierający potylicę wielkim łapskiem. Chwiał się nieco i mrugał nieustannie.

– Ach! Tam są! – wykrzyknął, przekrzywiając głowę. – I przyjaciele Snorriego chcą mieć ich wszystkich tylko dla siebie!

Stary Zabójca ruszył przed siebie, przepychając się przez krzaki w stronę walki. Z tyłu jego głowy pysznił się guz wielkości jabłka.

20

– Snorri, zaczekaj! – syknął Felix, depcząc po piętach staremu Zabójcy, który przedzierał się przez ciernisty gąszcz. – Nie możesz tam iść, pamiętasz? Najpierw musisz odzyskać pamięć.

– Aye, Zabójco – poparła go Kat, podbiegając z drugiej strony. – Nie zostaniesz wpuszczony na dwór Grimmira.

– Snorri o tym wie – odparł niezrażony Snorri. – Zajmie się tym, gdy tylko pozbędzie się tych zwierzoludzi.

– Ale to zwierzoludzie prędzej pozbędą się ciebie! – wykrzyknął zrozpaczony Felix. – To będzie miejsce twojej zagłady, Snorri.

– I to wkrótce – dodała Kat.

– Ale tam są zwierzoludzie – upierał się Snorri, przedzierając się przez ostatni rząd krzaków.

Felix rozejrzał się dokoła, sprawdzając, czy ktoś ich zauważył. Na szczęście wszyscy patrzyli na Gotreka i Rodiego. Chwycił Snorriego za ramię, a w tym czasie Kat złapała za nadgarstek drugiej ręki.

– Snorri, proszę! – błagał Felix.

Snorri zrzucił z ramienia rękę Felixa, jakby miał do czynienia z muchą, po czym delikatnie odepchnął Kat, nie zwalniając przy tym kroku.

– Nie musicie powstrzymywać Snorriego – powiedział. – Zwierzoludzi wystarczy dla każdego.

Felix i Kat znów spróbowali go schwycić, ale Snorri już uniósł topór wysoko nad głowę i ruszył naprzód, wydając z siebie okrzyk wojenny po khazalidzku.

Felix jęknął. Wszystkie marzenia o ucieczce przed zagładą Gotreka i rozpoczęciem nowego życia zniknęły, jakby ich nigdy nie

było. Stary dureń o mózgu dziurawym jak żółty ser musiał wszystko zniszczyć. Obrócił się do Kat.

– Tak mi... tak mi przykro. Muszę go chronić. Obiecałem.

Kat wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się smutno. Przerzuciła łuk przez plecy i wyciągnęła toporki.

– A ja obiecałam walczyć u twego boku.

Chciał ją powstrzymać i odesłać z powrotem na schody, ale nie było czasu na kłótnie. Jeżeli to samobójstwo miało cokolwiek znaczyć, to musieli pomóc Zabójcom w dotarciu do szamana. Jak na sygnał on i Kat rzucili się biegiem za Snorrim, prosto w wir walki. Ryczeli, krzyczeli i cięli po plecach pomalowanych na niebiesko zwierzoludzi, którzy otaczali Gotreka i Rodiego. Felixa przepełniała taka wściekłość, że za jednym zamachem ściął dwóch przeciwników. Nie było to nic trudnego – po prostu wyobraził sobie, że ma przed sobą Snorriego.

Gdy padła kolejna bestia, Felix dostrzegł Gotreka. Krasnolud zabił właśnie jednego z nowicjuszy i zauważył Snorriego walczącego u swego boku. Gotrek skrzywił się i rozejrzał wkoło. Odnalazł wzrokiem Felixa i zmierzył go groźnym spojrzeniem.

Felix aż się skurczył pod tym wściekłym wejrzeniem.

– Ocknął się – wyjąkał, unikając przy tym ciosu olbrzymiej maczugi. – Nie mogłem...

Gotrek przeklął siarczyście i wybebeszył kolejnego zwierzoczęłka wyjątkowo okrutnym ciosem topora. Tuż za nim stał Snorri, i właśnie rozbryzgał dokoła mózg innej bestii. Rodi wymierzył trzeciemu cios bykiem między nogi. Po kilku sekundach wszyscy najbliżej stojący nowicjusze byli martwi, a krasnoludy stały wewnątrz kamiennego kręgu. Gotrek, Snorri i Rodi obrócili się, żeby stawić czoła pomalowanym na niebiesko strażnikom, którzy tak bardzo chcieli ich powstrzymać przed wkroczeniem między menhiry. Zwierzoludzie jednak zatrzymali się jak wryci na krawędzi kręgu. Wpatrywali się w olbrzymi migoczący totem, kompletnie przerażeni jego mocą. Żaden z nich nie odważył się zrobić choćby jednego kroku.

– Ha! – warknął Gotrek. – Na szamana!

Runy na toporze Gotreka rozpały się do białości. Felix nie dziwił się temu. Wkroczenie do kręgu menhirów można było porównać do wejścia do pieca, gdzie płonąła magia. Chaotyczna energia promieniowała z pulsujących rytmicznie niebieskich żył na totemie. Swędziała go od tego skóra, jakby mrówki zjadały go żywcem. W głowie słyszał pisk stada tysięcy ptaków.

Gotrek, Rodi i Snorri pobiegli prosto na Urslaka. Felix i Kat ruszyli za ich przykładem. Nikt ich nie mógł powstrzymać. Szaman o zakrzywionych rogach kontynuował inwokację, najwyraźniej nieświadom ich obecności. Reszta nowicjuszy również pozostawała jakby zahipnotyzowana. Strażnicy zatrzymali się na krawędzi kręgu, bojąc się wejść od środka. Felix poczuł, jak w jego sercu rodzi się nieśmiała nadzieja. Jeszcze mogło im się udać!

Ale w tej samej chwili do kręgu wdarł się Gargorath Boski Wybraniec, masywny, porośnięty czarnym futrem watażka o niebieskich oczach. Tuż za nim biegło pięciu gorów pomalowanych na niebiesko i odzianych w pełne zbroje płytowe.

Gargorath wydał z siebie ryk, wzywając Zabójców do walki. W jego oczach płonąła nienawiść. Błyszczały tym samym ogniem, który pulsował w kamieniu. Potwór uniósł swój topór o ostrzu jak dziób sępa wysoko nad głowę. Felix usłyszał, jak broń zaczyna krzyczeć. Był to wysoki, przenikliwy pisk, jaki wydają z siebie drapieżne ptaki. Zadrzał, przypomniawszy sobie ostatnie słowa Ortwina o toporze, który zjada to, co zabija. Nie wiedział, co to mogło znaczyć, ale miał nadzieję, że nigdy się nie dowie.

W odpowiedzi Zabójcy zaryczeli równie przerażająco i obie strony zderzyły się przy ogłuszającym szczęku stali i trzasku kości. Felix i Kat zaatakowali człowieka-łosia w brązowej zbroi, podczas gdy Snorri, Gotrek i Rodi rzucili się hurmem na pozostałych. Człowiek-łoś z łatwością sparował słaby atak Felixa swą pordzewiałą maczugą z czarnego żelaza, która z pewnością ważyła więcej niż Kat. Felix zachwiał się. Ręce aż go zapiekły od siły ciosu. Kat odskoczyła na bok. Jeden z jej toporków był pęknięty na pół. Zanim zdążyli dojść do siebie, człowiek-łoś ponownie ruszył do ataku, posyłając ich na ziemię. Felix poczuł, że ręce poca mu się ze strachu. Człowiek-łoś był silniejszy i walczył lepiej niż jakikolwiek

zwierzoczek, z jakim przyszło mu się mierzyć. Miał przed sobą prawdziwego wojownika, a nie tylko rozwścieczone zwierzę.

Zabójcy mieli ten sam problem. Gotrek zablokował cios Gargoratha, ale siła ciosu odepchnęła go o parę kroków do tyłu. Sępiogłowy topór prawie że wrzeszczał mu w twarz. Snorri krwawił z głębokiej rany w ramieniu i wycofywał się przed dwoma ryczącymi bestiami. Rodi, walczący z dwoma innymi, miał twarz zupełnie zalaną krwią. Przy każdym zamachu toporem z jego splecionej w warkocze brody przyskały czerwone krople.

– Felixie! Uważaj!

Kat odepchnęła Felixa i ten zatoczył się na bok. Maczuga łosiopodobnego stwora ze świstem minęła jego policzek tak blisko, że aż zamrugał z przerażenia. Ponownie skoncentrował się na walce. Starał się trafić zwierzoczeka w oczy, podczas gdy Kat celowała w kostki. Gor uskoczył w tył przed tym skoordynowanym atakiem, a oni naparli na niego.

Po drugiej stronie kręgu walczących, topory Gotreka i Gargoratha spotkały się ze szczękiem. Broń Gotreka utkwiała zaczepiona w nacięciu symbolizującym otwarty dziób w ostrzu przeciwnika. Gargorath próbował wykręcić Gotrekowi topór z ręki, ale krasnolud zaparł się, jego mięśnie napięły się i po chwili topór Gargoratha przekoziółkował w powietrzu, po czym upadł na ziemię.

Zabójca rzucił się na bezbronnego Gargoratha, ale kiedy olbrzymi zwierzoczek uskoczył na bok, krasnolud nie zatrzymał się. Parł dalej, zmierzając prosto na szamana.

Felix zerkał w tamtą stronę, starając się jednak nie tracić z oczu własnego przeciwnika. Gargorath ruszył w pogoń za Zabójcą. Gotrek zamachnął się za siebie i ostrze topora z brzękiem odbiło się od nagolenników bestii. Potwór jednak zdołał złapać krasnoluda za szyję i ramię, po czym uniósł go nad głowę.

– Gotreku! – wrzasnął Felix. Obrócił się do Kat.

– Musimy mu pomóc!

Razem z Kat odskoczyli od człowieka-łosia i pobiegli na pomoc Gotrekowi. Ale zanim zdołali zrobić trzy kroki, zobaczyli jak Gotrek zamachuje się dziko na głowę Gargoratha. Jego runiczny topór ześliznął się po jednym z zakręconych rogów watażki i po jego

baranim pysku. Bestia zawyła z bólu i zrzuciła Zabójcę z siebie jak najdalej mogła. Krasnolud poleciał prosto na totem.

– Nie!

Felix i Kat rzucili się na Gargoratha, podczas gdy Gotrek przeleciał nad głową wznoszącą inkantację szamana i wylądował z hukiem u podstawy kamienia. Broń Kat odbiła się od topora watażki i od jego brązowego napierśnika, ale nawet go nie zarysowała. Karaghul wbił się w zbroję, ale nie dotknął ciała. Olbrzymi gor odepchnął ich niedbałym gestem i rzucił się w poszukiwaniu swojego topora.

Felix podniósł się z trudem, próbując zająć mu drogę, ale znów zaatakował go człowiek-łos i musiał ustąpić. Cios maczugi wprawił jego miecz w drzenie i zmienił ramiona Felixa w galaretę. Tuż za nim z ziemi zbierała się Kat, trzęsąc głową w zamroczeniu.

Gargorath ryknął tuż obok niej, przebiegając już z toporem w rękę w stronę Gotreka i kamienia, podczas gdy Felix parował kolejny brutalny cios człowieka-łosa.

Gotrek powstał, żeby zmierzyć się z watażką. Zamachnął się toporem, aby wykonać potężny cios. Wystarczyło najłżejsze muśnięcie. Gdy tylko runiczny topór dotknął kamienia, rozległ się nagły trzask, błysnęło olśniewająco białe światło i pod stopami Felixa zatrzęsa się ziemia.

Felix zdołał utrzymać równowagę i nie upadł. Mrugał intensywnie oczami, żeby odpędzić powidoki, jakie migwały mu pod powiekami. Rozejrzał się, a w głowie mu pulsowało. Gotrek skręcał się z bólu. Prawe ramię trzymał przyciśnięte do piersi, podczas gdy dymiący topór spoczywał u jego stóp. Wszyscy pozostali – ludzie, krasnoludy i bestie – stali jak skamieniali wpatrując się w totem. Z powierzchni kamienia wydobywała się z sykiem para, odłupywały się od niego małe kawałki, które spadały na ziemię, podczas gdy żyły niebieskiego kwarcu migotały i gasły jak pochodnia na wietrze.

Pierwszym, kto odzyskał panowanie nad sobą, był Urslak. Zwierzoczek cofnął się i wskazał zakończonym szponem palcem na Gotreka, piskiem domagając się jego krwi. Krąg odzianych w szaty nowicjuszy odpowiedział na jego zew. Bestie odrzuciły fetysze i wyciągnęły prymitywną broń. Rzuciły się do przodu, rycząc z

wściekłości. Gargorath i jego przybocznicy dołączyli się do tego chóru i zaatakowali Zabójcę, ale w tym samym czasie ocknęli się Rodi i Snorri, którzy rzucili się, aby ich powstrzymać.

– Niewierne bestie! – ryknął Rodi. – Jesteście moją zagładą!

– I Snorriego! – krzyknął Snorri.

Felix i Kat dołączyli do Zabójców, wyprowadzając ciosy w Gargoratha i człowieka-łosia. Starali się odciągnąć ich od Gotreka, żeby dać mu czas na dośnięcie do siebie. Niestety, watażka był zbyt silny. Odepchnął Felixa na bok i razem z łosiokształtnym przeskoczyli nad Kat w stronę oszołomionego Zabójcy, podczas gdy Snorri i Rodi byli zajęci walką z pozostałymi napastnikami.

– Uważaj na przywódcę, Gotreku! – zawołał Felix leżąc na ziemi.

Ale Gotrek nie zwracał uwagi ani na Gargoratha, ani na jego towarzyszy. Zamiast tego otrząsnąwszy się z szoku, spojrzął najpierw na swój topór, potem na totem i znów na broń. W jego jedynym ogniu zapłonął chytry blask.

Felix znał to spojrzenie od dawna. Nigdy nie wróżyło ono dobrze tym, którzy akurat znajdowali się w pobliżu krasnoluda.

– Gotreku, to bardzo zły pomysł! – krzyknął, podnosząc się z ziemi.

Gotrek sięgnął po topór i odparł atak Gargoratha, śmiejąc się przy tym złowieszczo.

– Nie, człeczyno – zarechotał. – To bardzo dobry pomysł.

Gargorath i człowiek-łoś równocześnie zamachnęli się na Zabójcę. Gotrek odbił oba ciosy świszczącym zamachem, po czym wyprowadził ostrze ostro w górę. Odciął tym samym czubek maczugi łosiokształtnego oraz przedarł się przez jego zbroję i ciało jak pług przez miękką ziemię. Bestia upadła na ziemię w fontannie krwi, a Gotrek wymierzył kolejny cios w Gargoratha. Zwierzocząłek desperacko rzucił się w tył, próbując go uniknąć. Ostrze uderzyło w napierśnik. Posypały się skry, a Gargorath runął plecami na ziemię.

Gotrek nie dobił bestii. Zamiast tego ponownie zwrócił się w stronę totemu i z całej siły zamachnął się toporem.

Przez krótką chwilę Felixowi wydawało się, że nastąpił koniec świata. Huk oraz błysk gromu oślepiły go i ogłuszyły. Stracił kompletnie orientację w przestrzeni. Kiedy otworzył wreszcie oczy,

zobaczył, że leży na ziemi, tak jak jego przyjaciele i wrogowie. Wszędzie dookoła bestie leżały pokodem, trzymając się za rogate głowy ze skrzywionymi z bólu pyskami. Szaman skrzeczał niemiłosiernie, jakby go ktoś dźgał między oczy. Kat zwinęła się w kłębek. Gotrek leżał płasko na plecach jakieś trzy metry od kamienia, z rozrzuconymi nogami i rękami. Z jego brwi, brody i grzebienia unosiły się smużki dymu. Topór leżał tuż obok. Ostrze żarzyło się, jakby właśnie opuściło kuźnię.

Totem chwiał się w posadach i rozpadał na kawałki. Olbrzymie fragmenty odpadały od niego i zsuwając się na ziemię, rozsypywały w proch. Żyły kwarcu pokryły się siatką szczelin jak zmiażdżone grube szkło. Felix znowu poczuł podmuch nienaturalnego wiatru – tym razem wiejącego nie od kamienia, ale do niego. Ujrzał, jak kurz i drobne kamyki odpadające z kamienia są wsysane w szczeliny w kwarcu.

Gotrek jęknął. Usiadł powoli i sztywno jak starzec. Chwycił za topór i użył go, aby się podnieść.

– Jeszcze jeden raz i będzie po wszystkim – mruknął.

– Czekaj, Gotreku! – wrzasnął Felix, starając się przekrzyknąć wiatr i coraz głośniejsze brzęczenie dochodzące z kamienia. – Pozabijasz nas!

– To lepiej bierz nogi za pas, człeczyno! – rzucił Gotrek i pokuśtykał w stronę kamienia, wolno jakby jego nogi były odlane z ołowiu.

Felix spróbował się podnieść i przeklął pod nosem. Nie tylko on jeden był niezadowolony z pomysłu Gotreka. Gargorath i jego pozostali przy życiu towarzysze podnosili się i na chwiejnych nogach zbliżali się do krasnoluda. Szaman Urslak wznosił ramiona i charczącym głosem wykrzykiwał jakieś plugawe inkantacje. Błękitna kula ujęta w szpony na czubku jego łaski zaczęła lśnić i pulsować. Felix ku swemu przerażeniu zauważył, że wszystkie fetysze z ptasich pazurów, jakimi był obwieszony szaman, zaczęły się zaciskać i rozluźniać w rytm zaśpiewu.

– Szybko! – rzucił Felix do Kat, podnosząc ją z ziemi i popychając przed sobą. – W nogi!

– Czy on naprawdę ma zamiar...? – zapytała, zerkając przez ramię.

– Naprawdę – odparł Felix.

Razem z Kat obrócili się i zaczęli biec. Tymczasem Rodi i Snorri, zataczając się jeszcze nieco, próbowali zatrzymać Gargoratha i jego wojowników. Urslak sztywnym krokiem szedł za Gotrekiem, który z uporem kuśtykał w stronę kamienia.

Nowicjusze doszli już do siebie i również rzucili się w wir walki. Felix i Kat przyjęli na siebie pierwszy atak, ale gory nie poświęciły im wiele uwagi. Ich spojżenia utkwione były w Gotreku i totemie.

Gdy zwierzoludzie rozsunęli się przed nimi, w sercu Felixa zapłonęła szalona nadzieja. Schody do tunelu znajdowały się tylko kilka kroków za kamiennym kręgiem. Reszta zwierzoludzi ignorowała ich tak samo jak przyboczna straż szamana. Jeżeli jakimś cudem udałoby im się dostać do podziemnego korytarza, to może mogliby ujść z życiem z tego szaleństwa.

Felix zerknął przez ramię. Widział, jak Rodi i Snorri walczą ze zwierzoludźmi, a za nimi Urslak zamachuje się swoją laską na Gotreka. Niebieska kula zamigotała jak lazuruwe słońce. Krasnolud jednym ciosem przeciął laskę na pół, po czym zanurzył ostrze w brzuchu szamana i odepchnął go butem na ziemię, zanim jeszcze ujęta w ozdobne szpony kula przestała toczyć się po kamienistym podłożu.

Zabójca splunął na umierającego Urslaka, po czym ponownie zwrócił się ku kamieniowi, unosząc wysoko topór.

– Szybciej! – krzyknął Felix i rzucił się wraz z Kat biegiem w stronę kręgu kamieni. Nie byli wystarczająco szybcy.

Rozległ się kolejny ogłuszający trzask. On i Kat padli na ziemię, powaleni przez wstrząs silniejszy niż wszystkie poprzednie. Miał wrażenie, że jakiś gigant zdzielił go w plecy olbrzymią łopatą. Na chwilę zabrakło mu powietrza w płucach i niemal stracił przytomność. Pomyślał o tym, że może powinien się ruszyć, ale wydawało mu się, że będzie to wymagało zbyt wiele wysiłku. Łatwiej było po prostu leżeć. Wtedy usłyszał jęk Kat gdzieś obok. Myśl o niej poderwała go do działania. Musiał zapewnić jej bezpieczeństwo.

Felix walczył o odzyskanie kontroli nad swym ciałem. Nie było to łatwe – dyszał, jęczał i mruganiem powiek starał się przegonić oślepiające powidoki. Nagle usłyszał potworny ryk dobiegający gdzieś z tyłu i poczuł silny podmuch wiatru na twarzy. Podniósł się na drżących łokciach i spojrzał w tył. To, co zobaczył, sprawiło, że zamarł jak zaczarowany.

Górujący nad dnem doliny kamień unosił się nad ziemią i rósł. Zakrzywione linie znaczące żyły kwarcu teraz poszerzyły się i utworzyły szczeliny między olbrzymimi unoszącymi się w powietrzu odłamkami granitu, które poruszały się na zewnątrz od centrum kamienia. Przez szczeliny przeświecało przerażające niebieskie światło. Wnętrze kamiennego kręgu tonęło w okrutnym, szafirowym blasku.

Silny wiatr wiał w stronę poszerzających się szczelin ze wszystkich stron, zupełnie jakby to był olbrzymi przewód kominowy wysysający dym znad paleniska. Felix poczuł jak wiatr szarpie za jego włosy. Dookoła widział wirujące liście i gałęzie unoszone przez wichurę. Podmuchy nie oszczędzały też unoszących się w powietrzu fragmentów totemu. Wiatr obrywał małe kawałki z ich krawędzi i wdmuchiwał je między szczeliny, co sprawiało, że odłamki stawały się coraz mniejsze, a otwory między nimi coraz szersze.

Felix zmrużył oczy, próbując dostrzec źródło światła dobywającego się z rozszerzających się rozpadlin. Gdy ujrzał serce kamienia, poczuł, jak zalewa go fala przerażenia i obrzydzenia, silniejsza niż wszystkie jego dotychczasowe obawy. W samym centrum rozłupanego totemu znajdowała się szczelina w rzeczywistości, przez którą widać było inny świat. Przez otwór wydobywały się smugi we wszystkich odcieniach błękitu, wijące się w hipnotyzującym tańcu. Niebieskie spirale zdawały się być obdarzone jakąś szczególną inteligencją i szeptać do niego, aby udał się wraz z nimi w poszukiwaniu nieskończonej wiedzy. Kat znów jęknęła tuż obok niego.

– To... to jest przepiękne.

Felix obrócił się i pomachał jej dłonią przed oczami.

– Nie patrz! – syknął. – To odbiera ci rozum.

Zebrał się na równe nogi, walcząc z silnymi podmuchami wiatru nie z tego świata, po czym podniósł ją także.

– Chodź. Odwróć się. Uciekajmy!

Mimo wszystko, kiedy biegł za nią pod wzmagający się wiatr, sam nie mógł się powstrzymać, żeby nie obejrzeć się za siebie.

Nowicjusze próbowali uciekać, ale potężny wiatr zagłuszał ich okrzyki strachu i przyciągał ich z powrotem do kamienia. Gargorath oraz jego pozostali przy życiu przybocznicy traktowali innych zwierzoludzi i odpychali ich na bok, próbując jak najszybciej oddalić się od kręgu.

Gotrek, Rodi i Snorri ruszyli za nimi w pościg. Wykrzykiwali obraźliwe uwagi pod ich adresem, przekrzykując huk potwornej wichury.

– Boicie się małego wiaterku?! – ryczał Rodi.

– Snorri widział wiewiórki odważniejsze od was! – szydził Snorri.

Felix czuł, że wiatr próbuje go unieść nad ziemię. Parł do przodu, ale wichura cały czas przybierała na sile. Lada chwila wessie go do szczeliny! Zostały już tylko dwa metry do menhirów, ale równie dobrze mogłyby to być dwa kilometry. Przygarnął Kat, zasłaniając ją własnym ciałem i we dwójkę starali się przeć do przodu, walcząc o każdy centymetr. Coraz więcej zeschniętych gałęzi śmigało obok nich, wpadając do wiru. Jedna z bestii, którą wcześniej zabili, przetoczyła się obok nich bezwładnie, wsysana przez potworną moc.

Wreszcie udało im się dotrzeć do krawędzi kręgu. Felix wypchnął Kat do cieni zalegających za menhirami, gdzie wiatr był nieco lżejszy, po czym z całej siły spróbował sam się tam przedrzeć. Kat złapała go za ręce i pociągnęła mocno. Wreszcie, jęcząc z wysiłku, udało mu się przetoczyć za jeden z kamieni. Opadł na ziemię za nim, dysząc ciężko.

W surowym świetle promieniującym z wiru, cień rzucany przez ich menhir wydawał się ostry jak nóż i razem z cieniami pozostałych kamieni rozlewał się wzdłuż stromych zboczy i na rozciągającą się niżej dolinę. W obrębie cieni nic nie było widać, ale blask przeświecający pomiędzy kamieniami oświetlał wzburzone morze zwierzoludzi uciekających z Korony Tarnhalta. W ich ślepiach

malowało się nieklamane przerażenie. Felix nie dziwił się im. Jeżeli sam byłby w stanie biec, to już dawno ratowałby się ucieczką.

– Czy jesteśmy tutaj bezpieczni? – zapytała Kat.

Felix słabo wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale nie dam rady pójść ani kroku dalej.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch i obrócił głowę w tamtą stronę. Gargorath i jego towarzysze uciekli z kręgu i starali się teraz zejść po zboczu na dno doliny, walcząc z wichurą, szarpiącą ich zbroje i mierzwiącą futra.

Felix wysunął głowę zza kamienia i zerknął w stronę kręgu, szukając wzrokiem Gotreka, Snorriego i Felixa. Trzej Zabójcy niewzruszenie, chociaż bardzo powoli, parli do przodu. Na razie wygrywali walkę z wiatrem, ale co chwila rzucali soczyste przekleństwa.

Tuż za nimi znajdowali się nowicjusze, którzy jednak nie radzili sobie równie dobrze. Felix zobaczył, jak jeden z nich przewraca się w tył i koziółkując leci w stronę wyjącego kamienia. Innego poderwało z ziemi i wessało między szczeliny, rozrywając go na kawałki. Wiatr był tak głośny, że nie było nawet słyszeć jego krzyków.

Wtem Felix ujrzał samotną postać podnoszącą się przed kamieniem. Był to Urslak. Po tym, jak Gotrek go wypatroszył, niemożliwe wydawało się, żeby teraz wstał. Jeszcze bardziej nieprawdopodobny był fakt, że był w stanie utrzymać się wyprostowany tak blisko kamienia i wsysającej wszystko próżni. A jednak tak właśnie się działo. Mimo że miotły nim potężne podmuchy, to jednak zaparł się mocno w ziemię, rozpostarł szeroko ramiona i wykrzyczał jakąś inwokację, której słów nie sposób było usłyszeć przez ryk wichury. Jego ozdobiona szponami szata trzepotała i wiła się wokół niego niczym żywa istota. Wnętrzaści wylewające się przez szerokie cięcie wykonane toporem Gotreka również falowały na wietrze, przyciągane przez świetlisty wir, powiewając niczym jakiś makabryczny sztandar.

Felix nie był pewien, czy stary szaman próbował naprawić uszkodzenia, jakie wyrządził Gotrek, czy tylko modlił się do swojego bóstwa. Bez względu na jego intencje, inkantacja nie spowodowała

ani osłabnięcia siły wiatru, ani przygaśnięcia tajemniczego blasku. Tak naprawdę to oba jeszcze przybrały na sile, wznosząc się do takiego stopnia, że było to już niemal nie do Zniesienia. Nawet odłamki granitu kruszyły się już tak szybko, że pozostały z nich tylko niewielkie fragmenty. Kamień zniknął na ich oczach.

Krasnoludy padły na ziemię i na czworakach odczołgiwały się byle dalej od pozostałości po totemie. Gotrek szedł jako pierwszy. Był już tylko o dwa kroki od nich, ale Felix obawiał się, że to nie wystarczy.

– No dalej, Gotreku! – krzyknął.

Wątpił jednak, że Zabójca go usłyszał. Sam siebie nie słyszał przez ten przekłęty wiatr.

Kolejni nowicjusze byli wsysani przez wir przy błyskach niebiesko-białego światła. Felix poczuł, jak olbrzymi kamień pod jego plecami nachyla się w stronę centrum kręgu, wciągany przez wir. Na Sigmara! Szczelina wessie chyba cały świat! Zostanie tylko pustka.

Wreszcie, po upływie kilku sekund, podczas których siedział jak na szpilkach, a wiatr dał coraz głośniejszy i blask przybierał na sile, Gotrekowi i Rodiemu udało się przeciągnąć za kamień na lewo od tego, za jakim skryli się Felix i Kat. Tylko Snorri pozostawał wystawiony na światło. Krasnolud spojrzął przez ramię i potrząsnął młotem w stronę wiru, wykrzykując coś, czego Felix nie usłyszał. Wtem jednak z cienia za kamieniem wysunęły się masywne łapska i wciągnęły go, tak że zniknął w ciemnościach za menhirem.

Felix nie był pewien, czy to miało jakieś znaczenie. Pewnie i tak ich wszystkich wessie migocząca pustka. Wszystkie ich marzenia i plany na przyszłość skończą się tutaj w oślepiającym, niebieskim błysku. Znów zerknął w stronę kamienia, zasłaniając oczy przed jaskrawym światłem. Dostrzegł, że Urslak wciąż tam stoi. Czarna sylwetka zarysowywała się na tle jasnego błękitu z rozpostartymi szeroko ramionami. Szaman nie przerwał pieśni, mimo że podmuchy wiatru wstrząsały nim coraz mocniej.

Jego postać stawała się coraz cieńsza. Światło jakby go pożerało. Rozpadał się na kawałki. Trzepoczące na wietrze jelita i kawałki ciała odrywały się od kości i znikwały w wirującym sercu kamienia.

Przez moment przy kamieniu stał tylko szkielet, ale zaraz i on zniknął. Kolejne warstwy kości odchodziły płatami, aż wreszcie nie było już nic.

Felix przeciągnął się z powrotem za menhir. Nie był w stanie już dłużej patrzeć, ponieważ światło rozzarzyło się i zmieniło barwę z błękitnej na białą. Wiatr przerodził się w apokaliptyczną wicherę. Objął Kat ramionami i przycisnął ją mocno do siebie. Był przekonany, że są to ich ostatnie chwile i szczęśliwy – lub niemal szczęśliwy – że jego życie kończy się właśnie w ten sposób.

Twarze migają mu przed oczami jak porywane przez wiatr szczątki. Gotrek, Snorri. Oni też tu byli. A jednak był z nimi przy ich zagładzie. Nie było jednak z nimi Maxa. Ani Malakaia. Nie było... Ulriki. Przeklął się w duchu za samo myślenie o niej. Przecież miał ze sobą Kat. Kat, która go kochała i on też ją kochał. Powinien być zadowolony. Powinien być przygotowany.

Rozległ się grzmot niczym odgłos pioruna uderzającego o ziemię. Przycisnął dłonie do uszu. Miał wrażenie, że głowa mu zaraz eksploduje. Kat zrobiła to samo, krzycząc bezgłośnie.

I wtedy zapadła kompletna cisza. I kompletna ciemność. Przez chwilę po prostu leżał, zdziwiony panującym wokół bezruchem. Czyżby huk gromu przebił mu bębunki w uszach? A może zginął? Co to było, jakieś pustkowie, na które trafił po śmierci? Starał się poruszyć rękami i nogami, ale nie był nawet pewien, czy wciąż je ma.

– Czy to śmierć? – wyszeptał, obracając głowę w nieprzeniknionych ciemnościach. – Czy to niekończący się wieczny sen?

– Co mówisz? – usłyszał głos dobiegający z niedalekiej odległości. – Snorri nic nie słyszy.

Felix zmarszczył brwi. Był niemalże pewien, że w niekończącym się wiecznym śnie nie było miejsca dla Snorriego Gryzonosa. Zaraz potem poczuł jak obok niego porusza się Kat i zdał sobie sprawę, że wciąż żyje.

Minęła jeszcze chwila cichej kontemplacji, aż wreszcie znalazł siły niezbędne do tego, żeby się podnieść. Mrok, który wydawał się niemal absolutny po tak oślepiającym świetle, był teraz możliwy do

przeniknięcia. Nad nimi błyszczały gwiazdy, a w oddali migotały światła ognisk i pochodni. Błady blask księżyca oświetlał linię szczęki Kat i podkreślał białe pasmo jej włosów.

– Co się stało? – zapytała.

– Nie wiem – odparł Felix.

Na lewo do nich Gotrek, Rodi i Snorri postępując podnosili się na równe nogi. Pojękując i chwiejąc się nieco, Felix i Kat poszli za ich przykładem. Felix czuł się jakby był na statku, daleko na morzu. Ziemia jakoś nie chciała tkwić równo pod jego stopami.

Przez chwilę trzymał głowę opuszczoną, ale potem wyprostował się i ruszył za krasnoludami, które wyszły spomiędzy menhirów i zwróciły się do wnętrza kręgu.

Wir zniknął, tak jak i totem. Nie zostało po nich ani śladu. Wszystko zostało wessane przez szczelinę.

– Co się stało? – zapytał Felix. – Byłem przekonany, że nas wszystkich wessie.

– Chaos jest bardzo niestabilny, człeczyno – odparł Gotrek. – Wygląda na to, że samo się pochłonęło.

– A więc Imperium jest bezpieczne – Felix odetchnął z ulgą. – Szaman nie żyje, totem zniknął. Mieszkańcy Drakwaldu nie zamienią się w bestie...

– Na Taala i Rhyę, spójrzcie na menhiry – przerwała mu Kat.

Felix i pozostali obrócili się, żeby spojrzeć na kamienie. Wszystkie pochylały się w stronę centrum kręgu jak zaciskające się palce, albo jak stare wiedźmy szeptające między sobą. Zadrżał. Wirowi niemal udało się wessać olbrzymie kamienne bloki i wyrwać je z ziemi. Gdyby mu się to udało, Felix i pozostali byłiby następni w kolejce.

– Mniejsza o kamienie – powiedział Rodi. – Spójrzcie na ciała.

Felix spojrzał w miejsce, na jakie wskazywał młody Zabójca. Na ziemi blisko centrum kręgu leżało jeszcze kilka ciał zwierzoludzi. Upadły tam, kiedy wir się zamknął. Zostały z nich tylko szkielety, całkowicie odarte z mięsa i skóry, ale nawet one wyglądały dziwnie. Nie świeciły na biało w świetle dwóch księżyców. Błyszczały na żółto – zupełnie jak złoto.

– Złoto, na Grungniego! – krzyknął Rodi, robiąc krok do przodu. Oczy płonęły mu krasnoludzką żądzą. – I to najczystsze, jeżeli mnie wzrok nie myli.

– A Snorri widzi szafiry – powiedział Snorri, przybliżając się i wskazując na złotą czaszkę.

Felix gapił się z niedowierzaniem. Rogi, szpony i racice zwierzoludzi w istocie zamieniły się w przepiękne szafiry, jakby oszlifowane ręką najręczniejszego jubilera.

Gotrek wyciągnął ramiona i zatrzymał Snorriego i Rodiego.

– Nie chcecie mieć nic wspólnego z tym złotem ani z tymi szafirami – powiedział.

– Ale dlaczego nie? – zapytał Rodi, a jego oczach płonęło pożądanie. – Dzięki temu będę mógł wszystko naprawić. Wrócić do domu. Spłacić długi. Będę mógł...

Gotrek wymierzył mu siarczasty policzek. Rodi skrzywił się i zwinął dłonie w pięści.

Gotrek stał nieporuszony i wpatrywał się w niego. Jego jedyne oko lśniło lodowatym blaskiem.

– Tylko na nie spojrzalesz, a już zapomnialesz o swej przysiędze – powiedział. – Nie zdążyłeś nawet dotknąć. Nie rozumiesz, co to jest?

Rodi nie rozluźnił pięści przez dłuższą chwilę, ale w końcu westchnął i opuścił ręce.

– Masz rację, Gurnissonie. Złoto zrodzone z takiego wynaturzenia może przynieść tylko smutek i nieszczęście. Wybacz mi.

– Snorri i tak sądzi, że to bardzo ładne – powiedział Snorri.

Gotrek burknął coś i zwrócił się do Kat.

– Nadszedł czas, żeby zadać w róg, mała – powiedział, po czym spojrzał na Felixa i Snorriego.

– A także czas, żebyście...

Przerwały mu fanfary wygrywane na rogach służących do podrywania wojsk do walki. Dźwięk dobiegał z północy. Wszyscy odwrócili się w tamtą stronę. Huk wystrzałów z pistoletów i dział odbił się echem od otaczających ich kamieni, po czym dolinę wypełnił ryk rozwścieczonych bestii.

– To armie! – krzyknęła Kat. – Atakują!

21

Felix, Gotrek i pozostali wybiegli z kręgu na północne zbocze wzgórza. W świetle rzucanym przez pochodnie i ogniska zwierzołudzi oraz blasku dwóch księżyców wznoszących się tuż obok siebie na smolście czarnym niebie, zobaczyli tłum wzbierający w dolinie, która rozciągała się przed nimi.

Całe stado napierało do przodu w stronę wąskiego ujścia z doliny. Szeregi dobrze wyćwiczonych kawalerzystów i piechurów spływały po zboczach, po czym wbijały się w skłębioną masę. Felix poczuł przypływ nadziei.

– Hurra! – wrzasnęła Kat, wyrzucając w górę ręce. – Przybyli! Bestie nie mają szans!

Gotrek burknął:

– Przy takiej liczbie jednak wciąż ją mają.

– Aye – dodał Rodi. – I przy takiej taktyce naszych.

Felix zerknął ponownie na pole bitwy i jego początkowa radość przygasła. Zabójcy mieli rację. Wszystko toczyło się nie tak jak powinno.

W słabym świetle trudno było określić, jak wielu ludzi liczyły oddziały atakujące stado, ale z pewnością nie było to siedem tysięcy. Zdawało się, że z jakiegoś powodu mimo wcześniejszych deklaracji, von Volgen i Plaschke–Miesner zaatakowali nie czekając na przybycie von Kotzebue. Co gorsza, Felix zauważył, że Gargorath Boski Wybraniec i jego przybocznicy uratowali się z implozji totemu i teraz stali na czele pobratymców. Kierowali ucieczką i wyrządzali straszliwe szkody w pierwszych szeregach ludzkiej armii.

– Co oni robią? – zapytał Felix. – Przecież lordowie powiedzieli, że nie wypowiedzą bitwy, dopóki nie przybędzie wsparcie od von

Kotzebue.

– I mieli czekać na sygnał rogu – dodała Kat.

– Wydaje się, że w końcu odnaleźli w sobie odwagę – stwierdził Gotrek. – Chociaż wciąż brakuje im nieco rozumu.

Miał rację. Armie dwóch lordów nacierały z takim impetem, że traciły przy tym całą przewagę wynikającą z ukształtowania terenu. Gdyby zostali w wąskim końcu doliny i pozwolili bestiom podejść bliżej, mogliby trzymać je w szachu. Wówczas działa, pistolety i łuki wystrzeliwujące pociski ze stromych zboczy po obu stronach powstrzymałyby napastników przed próbą zajścia ich od tyłu. Zamiast tego jednak armie wbiły się tak głęboko w masę zwierzoludzi, że już teraz niektórzy z nich próbowali ich obejść i otoczyć. A działa i pistolety musiały być wymierzone w krawędzie stada, żeby nie trafiać własnych żołnierzy, przez co wyrządzały mniej szkód po stronie wroga. Lordowie stracili taktyczną przewagę – jedyną, jaką dysponowali w tej bitwie – i to już w ciągu pierwszej minuty ataku.

– To szaleństwo! – wyrwało się Felixowi. – Pozabijają siebie i wszystkich swoich ludzi.

– Aye – zgodził się Rodi. – Zachowują się jak Zabójcy. Tylko oni mogliby wymyślić taki plan ataku.

Snorri zachichotał i chwycił trzonek młota w lewą dłoń.

– Snorri myśli, że to będzie dobra walka powiedział, po czym rzucił się w dół zbocza, wykrzykując przy tym jakiś dziki wojenny okrzyk.

– Gryzonosie, stój! – krzyknął Gotrek.

Było już za późno. Snorri był już w połowie drogi w dół i nie słyszał go. Gotrek warknął.

– Lepiej chodźmy uratować mu skórę – powiedział Rodi z uśmiechem na twarzy.

– Aye – zgodził się Gotrek.

I ruszyli za Snorrim, również wydając z siebie okrzyki wojenne.

Felix już chciał coś za nimi krzyknąć, ale wiedział, że niczego to nie zmieni. Co z tego, że wykonali już swoją część zadania – zabili szamana i zniszczyli totem. Mogli wycofać się z pola walki w chwale, dumni z tych osiągnięć. Wiedział jednak, że Zabójcy tak nie

postępują. Według ich logiki, skoro udało im się wykonać powierzone zadanie, to teraz mogli spokojnie zginąć w blasku chwały.

Ku swemu zaskoczeniu Felix zdał sobie sprawę, że on z kolei może sobie teraz pozwolić na luksus dalszego życia w blasku chwały. Przedziwnym zrządzeniem losu znalazł się w położeniu, w którym nie musiał ginąć wraz z Gotrekiem. Z góry obserwował przebieg walki, do jakiej spieszyli Zabójcy. Mógł ją obejrzyć do końca, a potem razem z Kat wśliznąć się do tuneli w kurhanach i uciec w stronę wolności. Kiedyś dla własnej przyjemności być może spisze opowieść o zagładzie Gotreka. Wypełniłby tym samym swoją przysięgę, a jednocześnie mógłby przeżyć, żeby opowiedzieć o tym następnym pokoleniom. Mógłby wziąć Kat ze sobą. Mógłby mieć jakieś życie poza podróżami z Gotrekiem.

Obrócił się do Kat i już otwierał usta, żeby jej zaproponować, aby z nim uciekła, gdy nagle zawahał się.

Czuł się źle. Wiedział, że przysiągł Gotrekowi, że tylko upamiętni jego śmierć, nie obiecywał, że sam zginie. Wciąż jednak czuł się niełojalny, nie walcząc na koniec z Zabójcą ramię w ramię. Ich przyjaźń, czy jakkolwiek by nazwać tę relację, stała się czymś więcej niż więzią łączącą Zabójcę i twórcę jego sagi. Nie chodziło o to, że byli przyjaciółmi w sposób, jaki większość ludzi to rozumiała. Nie dzielili się swoimi przemyśleniami ani zmartwieniami. Nie poprzysięgli sobie wiecznej lojalności. Dla postronnego obserwatora, a czasem nawet dla samego Felixa, ich relacje przypominały bardziej te między panem i sługą. Jeżeli Felix chciał gdzieś iść, a Gotrek nie, to po prostu tam nie szli. Nie było to partnerstwo na równych prawach.

A mimo wszystko było to partnerstwo. Polegali na sobie i ufali sobie bardziej niż większość tak zwanych przyjaciół. Zнали się nawzajem lepiej niż każdy z nich znał samego siebie i z pewnością lepiej niż którykolwiek z nich znał kogoś innego. Czy im się to podobało, czy nie, on i Zabójca byli ze sobą związani więzią, którą nie tak łatwo było przerwać.

- Chcesz iść z nimi – stwierdziła Kat, patrząc na niego.
- Nie chcę – odparł Felix. – Ale...

Kat pokiwała głową.

– Ale musisz.

Felix mruknął coś, zły na samego siebie.

– To niedorzeczne. Nie rozumiem tego. Powiniennem przecież uciekać stąd razem z tobą.

– Znasz Zabójcę od bardzo dawna – powiedziała Kat, uśmiechając się smutno. – Nie możesz go teraz zostawić.

– Ale...

Ale nic. Miała rację. Może głupio to brzmiało, ale mówiła najszczerzą prawdę. Felix westchnął.

– Wracaj na schody – powiedział. – Uciekaj stąd. To straceńcza śmierć.

Kat potrząsnęła głową.

– Moje życie zaczęło się z tobą, Felixie – powiedziała, patrząc na niego spokojnie. – I z tobą się zakończy.

– Kat – przekonywał ją Felix. – Nie bądź głupia. Masz całe życie...

Ale ona już pędziła w dół zbocza za Zabójcami.

– Kat!

Nie zwolniła kroku. Jęknął i rzucił się za nią, ale jako jedyny nie wydawał z siebie przy tym wojennego okrzyku.

W ciągu minuty, która upłynęła, odkąd pierwszy raz popatrzyli na przebieg bitwy, sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. Połączone siły von Volgena i Plaschke–Miesnera były już zupełnie otoczone przez stado. Salwy z dział i pistoletów brzmiały coraz rzadziej, bo strzelcy starali się nie celować w centrum walki. Felix musiał jednak przyznać, że mimo szaleńczej szarży, na jaką wysłali je ich panowie, oddziały dwóch młodych lordów zachowywały chwalebny dyscyplinę. Skrzydła formacji zagięły się w tył, gdy naparli na nią zwierzoludzie. Armia tworzyła teraz prosty kwadrat najeżony włóczniami ze wszystkich stron. Fale bestii uderzały o mur tarcz i odbijały się od niego jak od kamiennego pomostu. Niestety, w takim ustawieniu rycerze i zbrojni na koniach byli praktycznie bezużyteczni. Felix ujrzał złożony z nich klin próbujący przedrzeć się do Gargoratha i jego towarzyszy. Rycerze i zbrojni poruszali się pieszo, konie zostały z giermkami wewnątrz kwadratu. Sytuacja

przedstawiała się tak, że w tym momencie żaden z walczących po ludzkiej stronie żołnierzy nie mógł mieć nadziei na przeżycie. Oczywiście Zabójcy gnali prosto w stronę najbardziej zażartej walki.

Dzięki dłuższym nogom Felixowi i Kat udało się dogonić Gotreka, Rodiego i Snorriego dokładnie w tej chwili, gdy ci dotarli do krawędzi stada. Zwierzoludzie stali plecami do nich. Wszyscy pchali się na północ, żeby dostać żołnierzy, jacy ośmielili się ich zaatakować. Z tego powodu pierwsza szarża Zabójców wyglądała raczej jak rzeź niewiniątek niż prawdziwa walka. Topory Gotreka i Rodiego gruchotały kręgi i podcinały ścięgna, a młot bojowy Snorriego roztrzaskiwał czaszki i żebra. Felix i Kat dźgali i cięli, rozdając ciosy na lewo i prawo.

Ale kiedy zwierzoludzie w ostatnich szeregach zaczęli padać, ci, którzy stali przed nimi, obrócili się. W ich oczach płonął szal. Rzucili się na krasnoludy. Zabójcy tylko wybuchnęli śmiechem i popędzili na spotkanie dzikiej szarży. Topory i młot śmigwały w powietrzu, gdy blokowali i parowali dziesiątki ciosów. Felix i Kat trzymali się z tyłu, osłaniając flanki przed bestiami, jakie napierały z boków.

Gotrek obejrzał się przez ramię, gdy Karaghul odbił ostrze włóczni wymierzone w jego szyję. Utkwił wzrok w Felixie.

– Nie powinieneś być za mną iść, człeczyno – rzucił.

– Wiem, Gotreku – odparł Felix.

Krasnolud tylko kiwnął głową i powrócił do walki. Nie trzeba było więcej słów.

Podczas gdy Zabójcy parli głębiej w szeregi stada, nacierało na nich coraz więcej bestii, odcinając im drogę ucieczki. Zabójcy wykonali więc dokładnie taki sam straceńczy manewr jak Plaschke–Miesner i von Volgen, tylko że, jak to ujął Rodi, oni byli Zabójcami. Tak właśnie się zachowywali.

Niestety, towarzyszyli im Felix i Kat, którym do Zabójców było daleko. Przez moment wydawało się, że zaraz zostaną zarżnięci przez kłębiące się wokół bestie. Ale wtedy Snorri i Rodi obrócili się i wystąpili przed nich. Zarechotali, rzucając się na atakujących z boku napastników. Felix i Kat z wdzięcznością wycofali się do środka trójkąta utworzonego z trzech Zabójców zwróconych do siebie

plecami. W ten sposób pięciu towarzyszy przedzierało się wolno przez tłum bestii. Trzygłowy złośliwy zółw pełznął przez kłębowisko wściekłych psów. Felix i Kat co chwila wychylali się spomiędzy Zabójców i dźgali gdzie popadło. Felix wpadłszy na pomysł z zółwią metaforą uświadomił sobie też boleśnie, że bez twardej skorupy, czyli Gotreka, Snorriego i Rodiego, miękki środek, czyli on i Kat, zostałby momentalnie pożarty przez bestie. Zadrzał. Jego koszulka kolcza i lekka skórzniak Kat nie stanowiłyby żadnej ochrony przed jednym silnym ciosem którejś z potężnych broni w rękach zwierzoludzi.

Potem nie było już czasu na myślenie. Felix wpadł w rytm wyznaczany przez szcęk bitewnej stali. Pozwolił prowadzić się oczom i uszom. Wyłączył umysł. Blok, parowanie, dźgnięcie, cięcie, uskok w lewo, skręt w prawo, raz za razem. Kat i Zabójcy działali tak samo. Nikt się nie odzywał. Pracowali w milczeniu – dziesięcioreka młockarnia.

Gra była bardzo niebezpieczna. Gdyby bestiom udało się przypościć na nich jeden zmasowany atak, to mimo sprawności bojowej Zabójców zginęliby w ciągu kilku sekund, zmiecieni z powierzchni ziemi za sprawą samej masy olbrzymich ciał gorów, a następnie wdeptani w błoto bez szansy na podniesienie się. Na szczęście zwierzoludzie nie wydawali się zdolni do podjęcia wspólnego wysiłku. Niepohamowana żądza walki sprawiała, że walczyli ze sobą prawie tak samo zażarcie, jak ze swymi wrogami. Przepychali się, odsuwali i wślizgiwali sobie w drogę. Dzięki temu pięciu towarzyszy miało szansę stawiać czoła pojedynczym osobnikom albo parom, a nie jednej zmasowanej sile.

Kolejną rzeczą, dzięki której Felixowi, Kat i Zabójcom udało się zostać przy życiu – mimo że przerażało to Felixa niemal bardziej niż same bestie – były sporadyczne salwy z moździerzy Plaschke–Miesnera. Załoga dział ustaliła zasięg i od czasu do czasu wystrzeliwała pocisk w stronę kłębowiska bestii nacierających na otoczoną armię ludzi. Innymi słowy, artyleria celowała prosto w miejsce, gdzie znajdowało się pięcioro towarzyszy.

Co kilka chwil olbrzymia żelazna kula ze świstem spadała z nieba, po czym eksplodowała z wielkim hukiem, posyłając

pogruchotanych zwierzoludzi na wszystkie strony. Jeden z pocisków wylądował tak blisko, że impet wybuchu powalił Felixa na kolana i sprawił, że Kat upadła na ziemię. Na szczęście ściana zwierzoludzi przyjęła na siebie największy impet wybuchu i przyjaciele mieli czas dojść do siebie. Chwilę później odrzucony siłą wybuchu zwierzocząłek wpadł na przeciwników Felixa i Kat i sprawił, że stracili równowagę. Kat podcięła jednemu gardło, zanim jeszcze wylądował na ziemi, a Felix obciął głowy dwóm pozostałym. Zaraz potem niekończący się taniec wojny rozpoczął się na nowo. Na miejsce pokonanych przeciwników pojawili się nowi.

Felixa gryzła straszliwa myśl, od której nie było ucieczki. Nieważne, ile bestii by nie zabili, zawsze przyjdą kolejne. Felix, Kat i Zabójcy w końcu zostaną powaleni przez zmęczenie i wyczerpanie. Zginą nie dlatego, że gorom uda się ich pokonać w walce, ale dlatego, że było ich więcej. Już teraz Felix czuł w rękach zmęczenie. Nogi go bolały. Miał krótki i urywany oddech, a nie zabili jeszcze jednej tysięcznej zwierzoludzi wypełniających dolinę.

To zadziwiające, ale czuł się szczęśliwy. Nie odczuwał już strachu ani żalu. Jeżeli zginie, to przynajmniej wśród przyjaciół i będzie to stosowne podsumowanie jego żywota. Mógł marzyć o tym, aby u jego boku byli jeszcze inni – Max, Ulrika, Malakai – ale to było egoistyczne z jego strony, chcieć ich śmierci tylko po to, żeby krąg był pełen. Dlatego też nie miał im za złe ich nieobecności. To była dobra śmierć. I tak dokonali już dzisiaj wspaniałego czynu, nie licząc nawet tego wszystkiego, co udało im się osiągnąć wcześniej. Zejście z tego świata walcząc u boku Gotreka wydawało mu się czymś właściwym. Tutaj wszystko się dopełni. Notatki z dziennika – jeżeli kiedykolwiek zostanie odnaleziony – były doprowadzone aż do dnia bitwy. Resztę będzie mógł dopisać jakiś inny kronikarz. Im bardziej przesadzi i im barwniejszą legendę dorobi do naszej historii, tym lepiej, pomyślał Felix. Wspaniały koniec szalonego życia.

Pogodził się z tym.

Chwilę później udało im się wyrąbać sobie drogę do szeregów von Volgena i Plaschke–Miesnera. Przerażeni włócznicy już mieli ich zaatakować. Felix widział po twarzach mężczyzn i po

powykrzywianym szeregu zbrojnych, że dyscyplina, jaką okazali na początku, szybko się ulatniała. Gdyby tylko było dokąd uciec, na pewno już by tu nie stali. Nie było jednak drogi ucieczki, więc tkwili w miejscu, ale w ich oczach nie było już nadziei. Walczyli mechanicznie, wiedząc – tak jak i Felix to wiedział – że tylko odwlekają nieuniknione.

Na linii dzielącej obie armie zawrzało i pięcioro towarzyszy wśliznęło się między szeregi włóczników do środka kwadratu. Po lewej Felix dostrzegł lorda von Volgena dowodzącego swymi rycerzami. Jego oczy płonęły żądzą krwi, gdy zawracał konia w miejscu i atakował Gargoratha.

Po prawej walczył lord Plaschke–Miesner. Nie miał już hełmu, a przez jego przystojną twarz biegła paskudna rana, spod której prześwitywały tylne zęby. Wraz z półtuzinem młodych rycerzy stawiał czoła grupie pomalowanych na niebiesko zwierzoludzi. Za nim jeden z ogromnych, powalających drzewa minotaurów wymachiwał swym olbrzymim toporem wielkości człowieka. Siał spustoszenie w szeregach szermierzy, za każdym ciosem zabijając kilku ludzi.

Gotrek ruszył w stronę Gargoratha, wydając z siebie gardłowy pomruk.

– Czas skończyć, co zacząłem – powiedział.

– Snorri chce walczyć z tym wielkim – oznajmił Snorri, zwracając się w stronę wielkiego minotaura.

– Nie, jeśli ja go pierwszy dostanę – rzucił Rodi i pospieszył za starym Zabójcą, starając się go prześcignąć.

Felix wiedział, gdzie było jego miejsce i ruszył za Gotrekiem. Za nimi ruszyła Kat. Ale kiedy przemieszczali się wzdłuż linii włóczników, żeby dotrzeć do von Volgena, Felix ujrzał znajomą postać walczącą na czele kompanii szermierzy, która wycofywała się pospiesznie pod naporem zwierzoludzi.

– Sir Teobalcie! – krzyknął Felix.

Wychudzony rycerz nie był w stanie wycofać się tak szybko jak jego przerażeni towarzysze i groziło mu, że zaraz zostanie otoczony. Felix i Kat przepchnęli się przez szeregi uciekających szermierzy i podbiegli do niego.

Stary zakonnik dyszał ciężko, gdy podbiegli do niego z obu stron. Wyglądało na to, że oszczędza prawą nogę. Potężny cios topora roztrzaskał jego tarczę i posłał go na ziemię. Ledwie udało mu się sparować cios włóczni innego napastnika swoim mieczem.

Felix dźgnął góra z toporem, podczas gdy Kat zamachnęła się na głowę drugiego. Zwierzoczek Felixa obrócił się do niego z wyszczerzonym pyskiem. Ostrze topora starło się z gardą Karaghula, niemal wpychając Felixowi miecz w twarz.

Taka pomoc wystarczyła. Teobalt rzucił się do przodu z wyciągniętym mieczem i wbił go w szyję zwierzoczeka. Felix ciął go przez zebra. Bestia padła. Odwrócił się w stronę drugiego napastnika.

Toporek Kat tkwił w jego plecach, ale zwierzoczek trzymał ją na ostrzu włóczni. Kat próbowała uniknąć ciosu, kiedy Teobalt wymierzył cios, a Felix przeciął ścięgna potwora. Istota padła ze skrzekiem na ziemię, a Kat przetoczyła się na bok i wyciągnęła z jej pleców swój toporek.

Stary zakonnik oparł się o Felixa, nabierając powietrza wielkimi haustami.

– Dziękuję... dziękuję, Herr Jaeger – wydyszał. – To już... to już nie... nie ta krzepa co kiedyś.

– Trzymaj się, sir – powiedział Felix, próbując odprowadzić rycerza do linii szermierzy i jednocześnie odpychając ataki zagradzających im drogę bestii. – Musimy cię zabrać w bezpieczne miejsce.

Kat przełożyła sobie prawą rękę Teobalta przez ramię i praktycznie przenieśli go do środka formacji, odsuwając szermierzy na bok.

Sir Teobalt jęknął, gdy go położyli na ziemi.

– Nie ma bezpiecznego miejsca. Nie uda nam się... stąd uciec, wszystko przez tych... dwóch młodych głupców.

– Dlaczego zaatakowali? – zapytała Kat.

Otworzyła manierkę i dała mu się napić.

– Przecież to było szaleństwo – dokończyła.

– Szaleństwo? – powtórzył Teobalt, po tym jak skończył pić. – Raczej opętanie. Nigdy nie widziałem czegoś takiego. W jednej

chwili wpatrywali się w błyski na wzgórzu i obgryzali paznokcie, jak nędzni tchórze, którymi w istocie są. Nagle, kiedy jasne światło zgasło i rozległ się huk gromu, opanował ich jakiś szal, jak berserkerów. Zaczęli wywrzaskiwać rozkazy ataku i domagać się krwi zwierzoludzi.

Potrząsnął głową.

– Nalegałem, żeby poczekali na von Kotzebue, a przynajmniej trzymali się pozycji obronnych, ale oni nie słuchali. Poprowadzili swoich rycerzy do galopu, całej reszcie nakazując podążać za sobą.

Splunął na ciało martwego zwierzoczęłka.

– Nigdy w życiu nie widziałem panów, którzy mieliby tak mało szacunku dla życia swych żołnierzy.

Felix usłyszał ryk Gotreka dobiegający gdzieś z zachodu i podniósł wzrok. Zabójca nacierał na tyły świty Gargoratha. Tymczasem porośnięty czarnym futrem watażka wciąż był zaangażowany w wymianę ciosów z von Volgenem. Kiedy jego przyboczni zaczęli padać z krzykiem od ciosów krasnoluda, Gargorath obejrzał się za siebie. Von Volgen wykorzystał nadarzącą się okazję i z całej siły wymierzył cios w szyję watażki. Gdyby Gargorath stał prosto, cios byłby czysty, ale ponieważ rozwścieczona bestia nacierała właśnie na Zabójcę, ostrze von Volgena tylko ześliznęło się po jego stalowo–złotej zbroi. Młody lord musiał się mocno wychylić z siodła, żeby wyprowadzić ten cios i teraz stracił równowagę.

Wydając z siebie rozwścieczony ryk Gargorath zamachnął się ptasiogłowym toporem. Von Volgen walczył o zachowanie równowagi na koniu i nie mógł się obronić. Złowroga broń przedarła się przez jego zbroję i zanurzyła głęboko w piersi. Felix zadrżał słysząc jak topór skrzeczy niczym sęp. Szafirowe oczy broni zaślniły najczystszy błękitem. Von Volgen wrzasnął i zamachał gwałtownie rękami, podczas gdy nacięty dziób topora zdawał się wysysać z niego życie. Młody lord przewrócił oczami, gałki zapadły się w oczodołach jak suchy groch, a jego twarz momentalnie obwisła i uleciało z niego życie.

– Sigmarze uchowaj – powiedział Teobalt, wykonując znak młota.

– Zjada to, co zabija – wyszeptała Kat, wpatrując się w tę scenę z przerażeniem.

– I karmi swojego pana – wykrztusił Felix, gapiąc się oszołomiony.

Na ich oczach niebieski blask z oczu topora opromienił całe ciało Gargoratha i jego liczne rany zasklepiły się, jakby ich nigdy nie było. Tylko nacięcie na pysku i ułamany róg, które były sprawką Gotreka, nie zaleczyły się, ale po pozostałych nie było śladu. Wydawało się, że potwór znów jest w pełni sił.

– Plugawa magia! – Felix usłyszał krzyk Gotreka, gdy ten zamachnął się toporem na olbrzymiego watażkę. – Już ja cię tak potnę, że nic cię z tego nie wyleczy.

Gargorath wyrwał sępiogłowy topór z piersi von Volgena i zablokował cios Gotreka. Ostrza spotkały się w akompaniamencie ogłuszającego szczęku. Walka trwała. Za walczącymi widać było, jak von Volgen zsuwa się z konia. Przypominał już tylko obciążony zeschniętym pergaminem szkielet w zbroi. Jego rycerze jęczeli, klęli i wzywali jego imię.

– Muszę się dostać do Gotreka – rzucił Felix, stając na równe nogi.

Ale zanim zdołał zrobić krok, kilku zwierzoludzi przerwało linię włóczników po ich lewej stronie. Ryczeli triumfalnie i atakowali oddział zaskoczonych łuczników, jacy do tej pory strzelali ponad głowami żołnierzy walczących włócznikami.

– Zamykać! Zamykać! – dobiegł ich okrzyk sierżanta.

Felix i Kat ruszyli w tamtą stronę, aby pomóc zabezpieczyć wyrwę, zanim do środka kwadratu dostałoby się przez nią więcej gorów.

Ale sir Teobalt zatrzymał Felixa i wskazał na zwierzoczęka prowadzącego tych, którzy wdarli się między szeregi. Był to olbrzymi gor o głowie kozła, walczący w powyginanym napierśniku i brudnej przepasce biodrowej zrobionej z jakiegoś sztywnego materiału. Nie odbiegał bardzo wyglądem od pozostałych, ale tym, co go wyróżniało od tysięcy mu podobnych, była jego broń. Gruba drewniana maczuga, w której czubek wbity był jak potężny kolec

miecz. Felix zamrugał oczami. Miecz płonął, a jego płomień osmalał drewno, z jakiego zrobiona była maczuga.

– Bestia ma na sobie zbroję barona Orenstihla, Wielkiego Mistrza Zakonu Płonącego Serca – wydyszał Teobalt. – A to, co wbiła w swoją maczugę, to Miecz Płomienia Prawości. Płótno, z którego zrobił sobie przepaskę na biodra, pochodzi z naszego sztandaru.

Stary zakonnik podniósł się na równe nogi i wyprostował, przygotowując miecz i tarczę.

– Jeżeli bestia ukradła te rzeczy, pomszczę moich braci. Ale jeżeli jest to sam baron Orenstihl we własnej osobie, odeślę jego duszę na wieczny odpoczynek.

Z tymi słowami Teobalt natarł na góra i jego towarzyszy, którzy spychali łuczników na kłębiące się za nimi konie bojowe. Pozbawione jeźdźców rumaki rzucały się i rżały ze zdenerwowania.

– Poczekaj, sir Teobalcie! – krzyknął Felix, rzucając się razem z Kat w pogoń za kuśtykającym rycerzem. – Pomożemy ci!

– Nie! – zaprotestował sir Teobalt. – To jest moja walka.

Felix rzucił Kat znaczące spojrzenie, a ona pokiwała głową. Szli dalej za Teobaltem. Mieli zamiar pomóc staremu rycerzowi, czy mu się to podobało, czy nie.

– Wielki Mistrzu Orenstihl! – wrzasnął Teobalt, gdy byli już blisko.

Olbrzymi góra odwrócił się, spuszczać wzrok z uciekających łuczników. Jego czarne oczy płonęły. Felix nie był w stanie określić, czy bestia rozpoznała swe imię, czy tylko zareagowała na hałas.

– Jeżeli to ty oblekłeś się w ów święty sztandar, – zagrzmiął stary zakonnik, spiesząc w stronę potwora – to opuść swą maczugę i pozwól mi wybawić się z klątwy, która na ciebie spadła.

Zwierzoczek zadarł głowę, jakby zdezorientowany. Na jego koźlej twarzy odmalował się błysk mglistego rozpoznania.

– To ty – wyszeptał Teobalt drżącym głosem. – Sigmarze, miej nas w swej opiece.

– Modliłem się do Ssigmarra – warknął zwierzoczek do zbliżającego się Teobalta. – Jesst słaby! Nie uratował mnie!

Bestia wzniosła maczugę z utkwionym w niej płonącym mieczem.

– Bóg Przemian jest silniejszy!

– Przekonamy się! – odkrzyknął Teobalt i zaczął głośno recytować modlitwę, atakując zwierzczałka.

Orenstihl zarzyczał w odpowiedzi kilku z jego gorów przerwało pogoń za łucznikami, żeby zobaczyć, co grozi ich przywódcy. Felix i Kat podbiegli do nich, podczas gdy Teobalt i przemieniony zakonnik starli się w zazartej walce. Maczuga z nabitym mieczem spadła na ostrze starego rycerza z siłą lawiny i Felix pomyślał, że walka skończyła się, zanim jeszcze na dobre się rozpoczęła. Ale Teobalt był rycerzem przez wiele lat, więcej niż Felix chodził po tej ziemi. Znał się na szermierce. Uchylił się przed ciosem, pozwalając, żeby jego miecz lekko się od niego odbił, po czym zamachnął się nim nad tarczą i ciął Orenstihla w ramię. Ostrze przebiło naramiennik i wbiło się w ciało.

Pozostałe gory zawyły z wściekłości i rzuciły się na pomoc przemienionemu rycerzowi. Felix zablokował włócznie wymierzoną prosto w głowę Teobalta. Kat podcięła ścięgna bestii zamachującej się maczugą.

Felix rzucił szybkie spojrzenie dokoła, gdy razem z Kat zagradzali drogę gorom chcącym okrążyć rycerza. Sytuacja nie przedstawiała się najlepiej. Bestie spychały oddział włóczników na prawo. Kapitan krzyczał do żołnierzy: „Utrzymać szereg! Utrzymać szereg!”, ale kolejni ludzie po prostu odrzucali broń i uciekali w ataku paniki. Poza tym tuzin gorów ściągnęło lorda Plaschke-Miesnera z siodła, gdy niemrawo próbował bronić się swoim mieczykiem. Tuż obok Rodi stał nad ciałem Snorriego Gryzonosa, broniąc go przed okrążającymi ich zwierzoludźmi. Czyżby stary Zabójca zginął? Masywne zwłoki minotaura leżały obok niego z rozłupaną czaszką, więc jeżeli poległ, to odszedł w sposób godny Zabójcy. Po lewej Gotrek kłął na czym świat stoi, podczas gdy topór Gargoratha pożywiał się na kolejnym żołnierzu i po raz kolejny zasklepiały się rany jego pana.

Głośny trzask dobiegający z niedalekiej odległości sprawił, że Felix obrócił głowę. Sir Teobalt chwiał się do tyłu z rozłupaną na pół tarczą, a Orenstihl górował nad nim, szykując się do zadania ostatecznego ciosu. Felix uwolnił się od swego przeciwnika i rzucił

się na przemienionego zakonnika, zatapiając miecz w jego ramieniu. Bestia jęknęła i zamachnęła się na niego zakończoną mieczem maczugą, nie odwracając się nawet od Teobalta. Felix rzucił się na ziemię, gdy płonące ostrze śmignęło o centymetr koło jego głowy.

– Felixie! – krzyknęła Kat.

Gory Orenstihla rzuciły się na niego. Przewrócił się na bok, cudem unikając ich ostrzy. Kat pomogła mu podnieść się na nogi i odskoczyli w tył, blokując desperacko ciosy atakujących bestii.

– Trzymaj się, sir Teobalcie! – wrzasnął Felix, starając się okrążyć gory i powrócić w pobliże zakonnika.

Nagle kilka strzał gwizdnęło w powietrzu i wbiło się w ciała zwierzoludzi. Bestie zaczęły krzyczeć i zwijać się w konwulsjach. Łucznicy powrócili!

Kat uśmiechnęła się. Ona i Felix ścięli głowy dwóm naszpikowanym strzałami bestiom, zanim te zdołały dojść do siebie. Kat roztrzaskała trzeciej szczękę ciosem topora i istota padła na ziemię, plując krwią.

Razem z Felixem przeskoczyli nad konającymi gorami i pobiegli do sir Teobalta. Spóźnili się o kilka sekund. Rozległ się przyprawiający o mdłości trzask, gdy przemieniony zakonnik wbił swoją ostro zakończoną maczugę w napierśnik starego rycerza i uniósł go na niej jak szmacianą lalkę.

– Sir Teobalcie! – wyrwało się z piersi Felixa.

Miecz rycerza wysunął się z jego bezwładnej dłoni, gdy Orenstihl podniósł maczugę wraz z Teobaltem. Felix gapił się z otwartymi ustami, a w żołądku czuł wzbierające mdłości. Płonąca stal wystawała na kilkanaście centymetrów z tyłu kirysu Teobalta. Bestia nadziała go na miecz, a teraz podnosiła maczugę, żeby go z niej strząsnąć.

– Sir Teobalcie! – krzyczała Kat. – Nie!

Felix ruszył za nią do przodu. Podczas gdy on wycelował w głowę Orenstihla, ona cięła po nogach. Przemieniony zakonnik zachwiał się. Płonące ostrze wysunęło się z ciała Teobalta i nieomal obcięło Kat głowę, gdy bestia zamachnęła się w tył. Dziewczyna uchyliła się i skuliła za nogami potwora.

Felix krzyknął do łuczników.

– Strzelajcie do niego! Strzelajcie do bestii!

Ale niestety przemieniony zakonnik i Kat walczyli zbyt blisko siebie, żeby można było ryzykować strzelanie. Dokładniej rzecz ujmując, niepokorna dziewczucha wskoczyła zwierzoczłękowi na plecy i uczepiwszy się jego napierśnika jedną ręką, w drugiej trzymała topór, który próbowała zatopić w jego czaszce!

Orenstihl ryknął i sięgnął po nią. Cięła go po palcach. Jeden z nich odleciał. Bestia zawyła, ale wciąż trzymała ją za nadgarstki i ściągnęła na ziemię przed sobą. Dziewczyna wylądowała z hukiem na ciele sir Teobalta, po czym odbiła się i spadła na ziemię. Upadek ją oszołomił, toporek wypadł z ręki, a zwierzoczłek uniósł swoją przerażającą maczugę, aby zadać jej śmiertelny cios.

– O nie, ty przekłety capie! – wrzasnął Felix, rzucając się do przodu i tnąc bestię w odsłonięty brzuch.

Orenstihl zmienił kąt zamachu i płonący miecz na czubku maczugi poleciał w jego stronę jak ostrze kosy. Felix zablokował cios, ale maczuga zahaczyła go o ramię i posłała na ziemię tuż obok Kat.

– Czy...? – wydyszał. Nie był w stanie złapać oddechu, żeby dokończyć pytanie.

– Ja... – przerwała i pokiwała głową Kat, również nie mogąc odzyskać tchu.

Odczuli się na plecach kawałek od nacierającego zakonnika, po czym zerwali się na równe nogi, gdy się na nich zamachnął.

– Teraz! – krzyknął Felix, patrząc na łuczników. – Zastrzelcie go! Ale łucznicy obrali sobie już inny cel i nawet go nie usłyszeli.

Kat wykonała desperacki wyskok w stronę kostek Orenstihla, ale jego maczuga spadła na dół z ogłuszającym świstem i musiała odtoczyć się na bok, jęcząc z bólu.

– Kat! – krzyknął Felix. Czy była ranna?

– Trzymaj się od niej z dala!

Zamachnął się na przemienionego rycerza, starając się go powstrzymać przed dobieciem jej.

Zadziałało to aż za dobrze. Orenstihl skupił na Felixie całą swoją uwagę. Zamachnął się przebitą maczugą, kreśląc w powietrzu zarys litery X. Spadające ciosy były tak silne, że Felix nie miał żadnych

szans, żeby się przez nie przebić. Każdy kolejny zamach był tak mocny, że miał wrażenie, iż zaraz połamię mu ręce, a przy tym spychał go coraz bardziej w tył.

I wtedy, w chwili gdy Felix poczuł, że nie jest już w stanie unieść miecza, żeby przyjąć na niego kolejny cios, przemieniony zakonnik zawył i zachwiał się. Wyrzucił lewe ramię daleko w bok, żeby zachować równowagę. Felix wykorzystał okazję i ciął go pod pachą w szczelinę pomiędzy napierśnikiem a zarekawiem. Orenstihl jęknął i uniósł maczugę, aby zadać ostateczny cios, ale coś przemknęło między jego nogami od tyłu i zanurzyło się w jego kroczu z przyprawiającym o mdłości plaśnięciem.

Felix wyciągnął miecz spomiędzy żeber potwora i odskoczył w tył, podczas gdy bestia z jękiem zwała się twarzą na ziemię. Za nią stała Kat z pustymi rękami. Trzonek jej topora wystawał spomiędzy nóg potwora jak drewniany ogon.

– Niezły cios – pochwalił Felix, głośno przetykając ślinę. Chyba po raz pierwszy w życiu współczuł zwierzczałkowi.

Obdarowała go znużonym uśmiechem i sięgnęła po toporek.

Pospieszyli do sir Teobalta. Felix ze zdumieniem stwierdził, że stary zakonnik wciąż jeszcze żył.

Teobalt uniósł drżącą głowę i rozejrzał się dokoła niewidzącym wzrokiem.

– Czy... czy on nie żyje?

– Aye, sir Teobalcie – odpowiedział Felix. – Nie żyje.

– A co ze sztandarem? Co z mieczem?

Felix zerknął przez ramię, krzywiąc się. Sztandar był przesiąknięty krwią i sztywny od zaschłych wydzielin. Miecz był wbity po rękojeść w drewnianą pałkę i zgięty w pół wzdłuż ostrza. Felix nie był sobie w stanie wyobrazić bardziej zbezczeszczonych regaliów. Mimo wszystko cofnął się i przeciął pas, którym sztandar był przymocowany do ciała zwierzczałka. Tymczasem Kat chwyciła za ciężką maczugę, gdzie tkwił miecz i przyciągnęła ją bliżej.

– Obawiam się, że... nie da się już ich naprawić – powiedział Felix, ponownie klękając przy umierającym rycerzu. Wyciągnął sztandar, żeby zakonnik mógł go zobaczyć, a Kat przewróciła maczugę tak, że rękojeść miecza spoczywała przy boku rycerza.

Teobalt potrząsnął głową i chwycił za sztandar. Drugą dłoń zacisnął na rękojeści miecza.

– To nieważne. Odzyskaliście je. Przywróciliście zakonowi jego honor.

Wstrząsnął nim atak mokrego kaszlu i cały opluł się krwią. Zacerpnął tchu, co najwyraźniej sprawiło mu wiele bólu. Utkwił w Felixie spojrzenie bladoniebieskich oczu.

– Zakon Płonącego Serca jest... ci bardzo wdzięczny, Herr Jaeger. Dobrze się sprawiłeś. Jesteś... godzien Karaghula.

Poklepał Felixą po ramieniu delikatnym, gestem.

– Już dobrze – wyszeptał. – Już dobrze,

Następnie odchylił głowę na twardą ziemię, skrzyżował ramiona na sztandarze i wydał z siebie ostatnie tchnienie. Felix i Kat pochylili głowy nad jego ciałem.

– Niech Morr ma cię w opiece, sir – powiedziała Kat.

– A Sigmar niech przywita cię na swym dworze – dodał Felix.

Ich modlitwy przerwał tupot racic. Szereg włóczników został sforsowany i gromada zwierzoludzi wdzierąca się do środka kwadratu. Felix i Kat zerwali się z ziemi. Z początku chcieli podnieść ciało sir Teobalta i zaciągnąć je w bezpieczne miejsce, ale nie było na to czasu. Bestie były zbyt szybkie. Wobec tego Felix i Kat obrócili się i pobiegli za uciekającymi łucznikami prosto w stado rżących, stojących dęba kawaleryjskich koni, które stały za nimi.

Felix rozejrzał się dokoła, kiedy wtargnął między zdenerwowane zwierzęta. Ściany kwadratu zdawały się bliskie załamania ze wszystkich stron. Dwaj młodzi lordowie nie żyli. Oddziały żołnierzy były zdziesiątkowane, a zwierzoludzie wdzierali się zewsząd do środka. Przegrali tę bitwę. Koniec nadejdzie w ciągu kilku minut. Poszukał wzrokiem Rodiego, ale zauważył tylko stertę zwłok zwierzoludzi wyższą od Kat. Obrócił się w kierunku Gotreka i ujrzał, że Zabójca wciąż walczy z Gargorathem, podczas gdy zwierzoludzie i zbrojni von Volgena ścierali się dokoła nich w nieprawdopodobnym ścisku. Porośnięty czarnym futrem watażka słańiał się na nogach, krwawiąc z licznych ran. Zabójca nie wyglądał dużo lepiej.

– Musimy mu pomóc – zdecydowała Kat.

Felix potrząsnął głową.

– On nie chce pomocy. Ale chciałbym być u jego boku, kiedy nadejdzie koniec.

– Więc chodźmy do niego – powiedziała Kat.

Felix spojrzał na jej uśmiechniętą, zakrwawioną twarz, a potem na kłębiące się morze śmierci przed nimi i wreszcie znów na Zabójcę. Zginie podczas próby przedostania się do niego, ale z drugiej strony tutaj śmierć też go nie ominie.

Odwzajemnił uśmiech.

– Aye, w porządku.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował namiętnie, podczas gdy zdenerwowane konie przepychały ich raz w jedną, raz w drugą stronę. Mimo że jej usta pokryte były krwią i pyłem, ten pocałunek był najśłodszym w jego życiu.

Wreszcie oderwali się od siebie.

– Do zobaczenia na dworze Sigmara – powiedział Felix.

Kat uśmiechnęła się.

– Ścigajmy się tam.

Z gardeł obojga wydobył się wojenny okrzyk, gdy wypadli spomiędzy koni. Zanurzyli się w masę zwierzoludzi i żołnierzy pochłoniętych walką. Miecz i toporek wirowały w powietrzu. Felix ciał w szyję jednego zwierzoczątka i wybebeszył drugiego kolejnym ciosem. Kat przecięła kręgosłup trzeciego. Łatwiej było walczyć, kiedy porzucili strach. Zaakceptowali fakt, że koniec był nieunikniony, bez względu na to, co zrobią. Dziwna, dzika radość wypełniała Felixa podczas tej walki. Być może tak właśnie czują się Zabójcy, pomyślał. Być może właśnie dlatego tak spieszno im zawsze do walki.

Przed sobą, między sylwetkami uczestników bitwy miotających się w krwawym szale, Felix ujrzał jak Gargorath brutalnym ciosem posyła Gotreka na ziemię. Następnie potwór zanurzył topór w plecach jednego z własnych gorów. Zaskoczona bestia krzyknęła, ale nie tak głośno jak sępiogłowy topór, który wyssał z niej życiodajne siły i przekazał je Gargorathowi.

Felix i Kat mogli tylko patrzeć, pochłonięci walką z własnymi przeciwnikami. Rany watażki po raz kolejny się zaleczyły i był tak

pełen sił jak na początku walki. Gotrek podniósł się chwiejnie z ziemi. Jeszcze nigdy Felix nie widział krasnoluda tak wyczerpanego. Gotrek krwawił z tuzina głębokich ran, ale jego jedyne oko wciąż lśniło najczystsza furia. Gargorath był jego dokładnym przeciwieństwem. Mimo że jego ciało znów nie nosiło śladów zmęczenia ani ran i walczył dalej z nadnaturalną energią, to kiedy zrobił krok do przodu, w jego błyszczących niebieskich oczach można było dostrzec strach i niepewność. Jasne było, że nie spodziewał się tak długiej walki.

Wtem, nagle i niespodziewanie, dobiegła ona końca. Felix dostrzegł błysk w oku Gotreka, kiedy ten zablokował kolejny brutalny cios Gargoratha. Zabójca cofnął się, markując zmęczenie, a kiedy watażka znowu się na niego zamachnął, krasnolud nadstawił ostrze topora, tak że trzonek demonicznej broni opadł prosto na nie. Rozległ się nieludzki pisk, błysnęło oślepiające niebieskie światło i ostrze sępiogłowego topora odpadło od rękojeści i wbiło się dziobem w ziemię. Błyszczące oczy zamigotały i zgasły.

Gargorath stał osłupiały, trzymając w ręku skwierczący trzonek.

Wydając z siebie triumfalny ryk, Gotrek ruszył do ataku. Uniósł swój topór nad głowę i wyprowadził cios, który sprawił, że pokryte runami ostrze zanurzyło się w złoto–stalowym napierśniku tak głęboko, że prawie nie było go widać. Gargorath warknął i rzucił się w tył, wyrywając Gotrekowi topór z rąk. Spojrzał w dół na broń, zamrugał w oszołomieniu i z powolnym majestatem osuwającego się kamienia, upadł na plecy i już się nie podniósł.

Gotrek zachichotał, po czym stanął na piersi olbrzymiej bestii. Wyciągnął topór z rany i splunął bestii w twarz.

– Spróbuj zaleczyć to, ty przerośnięta owco – wycharczał.

Pozostałe bestie na widok umierającego przywódcy, który do tej pory był przecież niepokonany, odsunęły się na chwilę od Gotreka, ale szybko doszły do siebie i zaatakowały ponownie, domagając się krwi. Krasnolud ryknął w odpowiedzi i pospieszył im na spotkanie.

Kat i Felix rzucili się biegiem w tamtą stronę i stanęli do walki u jego boku. Wciąż byli w błogosławionym transie, przekonani, że nie mają nic do stracenia. Felixowi jednak trochę żal było Zabójcy. W pewnym momencie prawie miał nadzieję, że Gargorath go zabije, bo

z pewnością byłaby to wspanialsza śmierć niż zdeptanie przez bezimienny tłum. Żal mu też było Snorriego, któremu odebrano szansę ucztowania na dworze Grimnira. Pewnie błąkał się teraz gdzieś w zaświatach jako potępiona dusza i tak miał spędzić resztę wieczności. Felix szybko jednak porzucił te niewesołe rozważania. Pograżył się w czystej, fizycznej radości płynącej z blokowania, parowania, atakowania i bronienia się. Oberwał straszliwy cios w nogę, ale nawet go nie poczuł. Uderzenie pałą sprawiło, że stracił czucie w ręce. Tego również nie zarejestrował. Cieszyło go to, że zginie w wirze wielkiej bitwy, mając u swego boku najwierniejszych przyjaciół.

Wtem jednak jego umysł wychwycił jakiś huk, a po nim kolejny. Zaraz potem rozległ się dźwięk rogów i ryk wielu głosów złączonych w unisono. Zabił zwierzoczęka, który odwrócił się, wyciągając szyję w poszukiwaniu źródła tych dźwięków.

Przez chwilę Felix nie był w stanie pojąć, co się działo. Odkąd ruszył do bitwy spod Korony Tarnhalta jego świat zawęził się do otaczających go bestii i krótkiego czasu, jaki mu pozostał na walkę z nimi. Dziwne wtargnięcie do tej rzeczywistości jakichś odległych dźwięków stanowiło dla niego coś tak obcego jak powietrze dla wyciągniętej na brzeg ryby. Ale nagle, przez rosnący huk wreszcie udało mu się dosłyszeć, co krzyczały dalekie głosy.

– Von Kotzebue! Von Kotzebue! Imperium! Imperium!

Felix zdziwił się jak szybko cały ból, przerażenie i strach o przyszłość wróciły, gdy tylko zorientował się, że przybyła pomoc. Nadzieja to rzeczywiście paskudna rzecz. Gdy ją porzucił, wiedząc, że śmierć jest nieunikniona, pogodził się ze swoim losem. Nadzieja powróciła i nagle desperacko starał się pozostać przy życiu, a przy tym uratować też tych, którzy byli mu najbliżsi. Nagle serce zaczęło mu bić szybko z niepokoju, a kończyny paliły bólem ze zmęczenia. Czy uda im się przeżyć na tyle długo, żeby dotarła tu armia von Kotzebue? Czy uda mu się uratować Kat? Czy Snorriego można było jeszcze ocalić? Czy stary Zabójca żył?

Rany, jakich nawet nie odczuwał, kiedy myślał, że są jedynie zwiastunami niechybnej śmierci, teraz bolały podwójnie. Zakręciło mu się w głowie. Czuł się osłabiony i chory. Nie był pewien, czy jest w stanie dalej walczyć. Jeszcze kilka sekund wcześniej wcale by się tym nie przejął.

Nad rogatymi głowami, które otaczały jego, Kat i Gotreka, Felix ujrzał szeregi kawalerzystów, spływające po zboczach wzgórz ze wschodu i zachodu. Za nimi sunęły szerokie kolumny włóczników. Werble grały, sztandary trzepotały na wietrze, a armaty i moździerze wypluwały ogniste kule nad ich głowami. Na ten widok z gardeł otoczonych żołnierzy pośrodku tłumu zwierzolu ludzi wydobył się głośny okrzyk radości. Felix i Kat dołączyli się do ogólnej wrzawy.

Felix nie widział momentu uderzenia dwóch skrzydeł armii von Kotzebue w szeregi stada, ale usłyszał je i poczuł. Głośny, wprawiający w drżenie huk wstrząsnął ziemią i sprawił, że morze

głów wokół niego zafalowało, jakby ktoś wrzucił do bagna ogromny głaz.

Wszędzie dokoła Felixa i Kat, żołnierze von Volgena i Plaschke-Miesnera pokrzykiwali do siebie pokrzepiająco i podejmowali walkę z nowym wigorem.

– Trzymajcie się, chłopaki! – wrzeszczał jeden. – Pomoc jest w drodze!

– Ocaleni, na Sigmara! – krzyknął inny.

– Nie mazgać się tam! – krzyczał trzeci. – Nie chcemy przecież, żeby ci przekłęci Middenlandczycy zobaczyli, jak dostajemy łupnia, prawda?

– Zaraz będzie po wszystkim – dodał czwarty.

Oczywiście czekało ich jeszcze sporo walki, zanim bitwę można było uznać za zakończoną, ale przynajmniej szala zwycięstwa przechyliła się na ich stronę. Felix, Kat i Gotrek dołączyli do oddziału szermierzy i od tej pory wspólnie walczyli z wpadającymi w coraz większą panikę bestiami.

Przez pewien czas gory walczyły dzielnie przeciwko trzem frontom, które utworzyły się wokół nich. Po pierwszej szarży padła setka ludzi von Kotzebue, jak również kolejne setki z kurczącego się kwadratu żołnierzy uwięzionych pośrodku pola bitwy, ale nie minął kwadrans, gdy miążdżąca salwa strzał wbiła się w brzegi tłumu bestii. Lance rycerzy atakujących z obu boków naparły na nie i bestie wreszcie zrozumiały, że przegrały tę walkę. Większość odwróciła się na pięcie i rzuciła do ucieczki na południe, przepychając się między sobą i tratując nawzajem.

Od tego momentu bitwa przerodziła się w rzeź. Rycerze von Kotzebue ścigali uciekające grupki i wykańczali dezertów ciosami lanc. Piechota zamknęła kleszcze, aby uwięzić resztę w środku. Nie było jednak łatwo. Tak naprawdę dopiero teraz rozgorzała najgorętsza walka dla tych, którzy ocaleli z niedobitków tworzących kwadrat. Przerażone bestie walczyły z zaciekłością uwięzionych szczurów i co chwila próbowały wydrzeć dziurę w imperialnych szeregach, desperacko próbując ucieczki. Przez kilka straszliwych minut wielu ludzi, z tych, co myśleli, że ratunek jest tak blisko, padło od ciosów pałek i toporów, lub zostało startowanych.

Wreszcie jednak ludziom von Kotzebue udało się zabić ostatnie kilka gorów i ocaleni spotkali się ze swymi wybawcami pośrodku skąpanego w krwi i nagle zupełnie cichego pola walki.

– Przybyliśmy w samą porę, kuzynowie – odezwał się kapitan z wielkim mieczem stojący pod sztandarem von Kotzebue. Nosił mundur w barwach błękitu i szarości.

– Aye – odezwał się talabeklandzki sierżant. – Jeżeli nie trochę późno.

Kapitan zignorował ten komentarz i rozejrzał się.

– Czy lordowie von Volgen i Plaschke–Miesner żyją?

– Na to też trochę się spóźniliście – odezwał się głos z szeregów.

– Jak dla mnie to się pospieszyliście – mruknął Gotrek pod nosem, podczas gdy przedstawiciele trzech armii dyskutowali ze sobą. – Jeszcze kilka minut i odnalazłbym swoją zagładę.

Felix przewrócił oczami.

– Przykro mi, że się rozczarowałeś.

Nagle poczuł cały ból płynący z licznych ran, jęknął i rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby usiąść i je opatrzyć. Kat poszła w jego ślady, tak samo jak reszta żołnierzy. Wszędzie dokoła ludzie poddawali się zmęczeniu i bólowi. Wzywali cyrulików oraz łąkali łapczywie wodę z manierek i butelek. Krzyki rannych i umierających brzmiały potwornie.

Wtem niski dudniący głos przedarł się nad gwarem rozmów.

– Gurnissonie! Tutaj!

Gotrek, Felix i Kat odwrócili głowy. Rodi machał na nich pochodnią obok sterty zwłok bestii, jakie on i Snorri pozabijali w trakcie bitwy. Młody Zabójca trzymał w drugiej dłoni młot Snorriego. Gotrek burknął coś, po czym ruszył ciężkim krokiem w jego stronę. Felix i Kat wymienili spojrzenia, zerwali się na równe nogi i pokuśtykali za nim. Felix był pewien, że zastaną martwego Snorriego. Bardzo go to smuciło. Co za straszliwa ironia, że został zabity właśnie ten jeden, który nie powinien był zginąć.

– Czy on nie żyje? – zapytał Gotrek, gdy podeszli bliżej.

Rodi potrząsnął przecząco głową, a Felix odetchnął z ulgą.

Ciało młodego Zabójcy od stóp do głów pokryte było krwawiącymi nacięciami. Najgorszą ranę miał na policzku, ostrze

sięgnęło aż po kość. Wydawał się jednak zupełnie tym nie przejmować.

– Snorri żyje – powiedział. – Ale ja złamałem mój topór na czaszce jednego zwierzoczkę i potrzebuję twojej pomocy.

Bez dalszych wyjaśnień obrócił się i zaczął się przedzierać przez krąg martwych zwierzoludzi. Było ich tak wielu, że musiał pomagać sobie młotem Snorriego przy wspinaniu się na sterty. Szli za nim, chwiejąc się niebezpiecznie na niestabilnym gruncie.

Pośrodku kręgu leżał Snorri. Był ledwo żywy. Był bledszy niż jakikolwiek krasnolud, jakiego Felix w życiu widział, a poza był tym poraniony i posiniaczony na całym ciele.

Uśmiechnął się słabo, gdy ich zobaczył.

– Snorri dorwał wielkiego byka – wydyszał.

– Aye, ojczulku Rdzawa Czaszko – powiedział Rodi wskazując na coś młotem. – Ale wielki byk ciebie też dorwał.

Felix pobladł, zobaczywszy to, na co wskazywał Rodi. Prawa noga Snorriego od kolana w dół wyglądała na zmiażdżoną – pogruchotane kości i strzępy mięsa. Stopy nie było. Powyżej kolana Rodi zawiązał opaskę uciskową, żeby zatamować upływ krwi, ale ziemia wokół krasnoluda była już zupełnie zalana czerwienią.

– Minotaur uderzył go toporem – wyjaśnił Rodi. – Ale ostrze było już tępe od wyrąbywania drzew. Snorri potrzebuje dobrego, czystego cięcia.

Gotrek pokiwał głową. Felix skrzywił się, ale wiedział, że trzeba to zrobić.

Gotrek wytarł ostrze swego topora o koszulę martwego żołnierza, po czym wziął pochodnię od Rodiego i przytrzymał ją pod nim tak długo, aż obie strony ostrza się osmaliły. Oddał pochodnię Kat.

– Usiądź na nim – nakazał Rodiemu. – I przytrzymaj mu nogę.

Spojrzał na Felixa.

– Człeczyno, ty będziesz trzymał za zdrową nogę. Mała, przysuń się tu bliżej z tą pochodnią.

Felix pokiwał głową i kucnął, żeby chwycić Snorriego za lewy but. Rodi usiadł staremu Zabójcy na brzuchu i przycisnął jego prawą nogę, tuż nad kolanem. Tymczasem Kat, z wyrazem niepokoju na twarzy, obniżyła pochodnię.

– Snorri jest gotów – oznajmił Snorri, zamykając oczy.

Gotrek podszedł bliżej i uniósł topór. Zerknął w dół jednym okiem, przymierzając się do ciosu.

Felix odsunął lewą nogę Snorriego jak najdalej od prawej i odwrócił głowę, żeby nie musieć na to patrzeć. Rozległ się świst i głuchy trzask. Snorri jęknął, rzucił się gwałtownie, po czym opadł bezwładnie na ziemię.

Felix otworzył oczy i spojrzał na krasnoluda. Poszarpana noga została odcięta. Cięcie było czyste i proste. Przekrój przez kość i mięśnie niepokojąco przypominał mu surowy stek. Dzięki opasce uciskowej nie było dużo krwi, przez co w pewien sposób wyglądało to nawet gorzej. Przynajmniej żyje, pomyślał Felix. Przynajmniej Snorri wciąż ma szansę odzyskać pamięć, zanim nadejdzie jego zagłada.

Rodi wstał i obrócił się. Wyglądał na zadowolonego z roboty wykonanej przez Gotreka.

– I jak tam, ojczulku Rdzawa Czaszko?

Snorri otworzył oczy i pokiwał głową, mimo że wyglądał na jeszcze bledszego niż wcześniej.

– Snorri czuje się dobrze, ale bardzo chciałby się czegoś napić.

– I Snorri wkrótce się czegoś napije – obiecał mu Rodi. – Zaraz gdy tylko znajdziemy cyrulika z kociołkiem rozgrzanej smoły.

Gotrek znów oczyścił swój topór. Następnie wygrzebał z poboju dwa porzucone włócznie i skrzyżował je. On i Rodi przenieśli Snorriego na włócznie, chwycili za nie jak za uchwyty noszy i wynieśli starego Zabójcę pomiędzy kręgu ciał zwierzoludzi. Ruszyli przez pole bitwy w poszukiwaniu cyrulika. Felix i Kat szli za nimi.

Felix szedł i potrząsał głową w zdumieniu, że udało im się przeżyć bitwę. Był pewien, że skończy się to dla Zabójców upragnioną zagładą. A mimo wszystko jednak wszyscy żyli. Być może to prawda, że było im pisane coś większego. To było jedyne wyjaśnienie tego, że dziś nie zginęli.

Nagle przez dolinę przemknął podmuch zimnego wiatru, dokładnie w tej samej chwili, gdy mijali zwłoki Gargoratha i jego porzucony, bezgłowy topór. Felix zadrżał i otulił się ciaśniej starym,

czerwonym płaszczem. Wiatr przynosił ze sobą smród rozkładu i zawył jak umęczona dusza. Nagle Felix zatrzymał się, bo poczuł jak włoski na jego karku stają na baczność. Rozejrzył się.

Mimo że wycie, lodowaty chłód i zaduch nie słabły, to na wietrze nic się nie poruszało. Włosy Felixa nie powiewały wokół jego twarzy. Poły płaszcza nie trzepotały wokół nóg. Sztandarów armii nie unosił żaden podmuch.

Obrócił się do pozostałych. Oni również się zatrzymali. Na terenie całego pola bitwy ucichły rozmowy i krzyki rannych.

Oczy Kat zrobiły się wielkie jak spodki.

– Coś... coś jest nie tak – wyszeptała.

Gotrek i Rodi złożyli prowizoryczne nosze Snorriego na ziemi i sięgnęli po broń.

– Światło – powiedział Gotrek, marszcząc czoło. – To światło.

Spojrzał w górę.

Felix i pozostali podążyli za jego wzrokiem i z ich gardeł dobył się zbiorowy jęk.

Księżycyce nachodziły na siebie, dokładnie nad ich głowami. Morrslieb przyćmiewał Mannsleiba, wślizgując się na jego taflę jak brudna moneta położona na nowej, świeżo wybitej. Gdy tak patrzyli, księżyc Chaosu przysłonił zupełnie swego jaśniejszego brata. Czyste światło Mannsleiba zniknęło, zastąpione całkowicie przez chorobliwą, zielonkawą poświatę, która rozpostarła się na polu bitwy jak całun, sprawiając, że ranni i umierający wyglądali nie tylko na okaleczonych, ale i na ciężko schorowanych.

Żołnierze na terenie całej doliny podnieśli głowy, przeklinając lub modląc się do swoich bogów.

– To koniec! – krzyczał ktoś. – Zgrzeszyliśmy i to jest nasza kara!

– Sigmarze, zlituj się! – wył inny.

Jakiś chrobot za ich plecami sprawił, że Felix się obejrzał. Ranny zwierozczłek starał się podnieść z ziemi, mimo że miał już tylko jedną rękę. Gotrek kopnął go w głowę i istota upadła. Felix zamrugał oczami. Bestia nie miała również wnętrzości. Wyleciały przez ogromną dziurę w podbrzuszu. Felix zadrżał. Jak bestia mogła wciąż żyć?

Kolejny zwierozczłek zadrgał i zaczął się podnosić. I następny. Za nimi bezręki łucznik z toporem w piersi otworzył niewidzące oczy i usiadł.

Felix zrobił krok do tyłu i wpadł na Kat, patrzącą na dobosza bez nóg, który wił się na ziemi i starał się przewrócić na plecy.

– Co się dzieje? – zapytała.

Felix był w stanie tylko potrząsnąć głową. Nie potrafił jej odpowiedzieć.

Ruch i nagły hałas po lewej stronie zmusił ich wszystkich do odwrócenia się. Kat gwałtownie nabrała powietrza. Rodi przeklął. Gotrek warknął. Felix tylko się gapił, a serce biło mu ze zdwojoną szybkością w ściśniętej strachem piersi. Gargorath podnosił się na nogi. Mimo że Felix widział pogruchotane żebra potwora przez olbrzymią dziurę, którą Gotrek wyrąbał w jego napierśniku, watażka jakimś cudem wciąż żył.

– To niemożliwe – wydusił z siebie Felix.

Na całym polu bitwy z ziemi podnosiły się pokiereszowane istoty, zarówno ludzie jak i bestie. Pozostali przy życiu żołnierze krzyczeli ze strachu i obrzydzenia.

Kat chwyciła Felixa za rękę.

– Co się dzieje? – zapytała ponownie, a w jej głosie słychać było rosnącą panikę.

– Jest północ Hexensnacht – odezwał się dziwny, przenikliwy głos za nimi.

Obrócili się.

Wysoka, szczupła postać zbliżała się do nich sztywnym krokiem, pogrążając płytową zbroję. Jej głowa przekrzywiona była pod dziwnym kątem.

– Rok się skończył – ciągnęła postać. – Era Imperium ludzi dobiegła końca.

Felix zatoczył się do tyłu, kiedy zorientował się, że mają przed sobą sir Teobalta. Krew wciąż wypływała wolnym strumykiem ze śmiertelnej rany, którą zadał mu zakonnik Orenstihl. Jego twarz, gdy do nich podszedł, nie zdradzała oznak życia. Oczy miał utkwione w jakimś punkcie nieco po lewej nad ich głowami. Mimo

że jego szczęka się ruszała, to był to ruch sztywny i urywany, nie do końca odpowiadający rytmowi wypowiedzianych słów.

– Rozpoczęła się era imperium zmarłych.

– Na Grungniego! – wyrwało się Rodiemu. – Co mu się stało?!

– To samo, co stanie się z wami wszystkimi – powiedziała istota będąca sir Teobaltem.

Felix zmarszczył brwi. Ten głos nie należał do sir Teobalta, ale przecież coś mu przypominał. Skąd mógł go znać? Nie potrafił się skupić.

– Moja nekromancka magia nie mogła działać w obecności totemu – odezwał się ten sam głos za ich plecami.

Obrócili się i zobaczyli, że szczęki Gargoratha również się poruszają.

– Ale wiedziałem, że twój topór może go zniszczyć – dokończyła bestia. – Dlatego pokazałem ci, jak się do niego dostać.

– I tak właśnie się stało – odezwał się ten sam głos, ale znów z innego miejsca.

Felix i pozostali kręcili się w kółko, gdy głos wydobywał się z ust coraz to innego trupa.

Lordowie von Volgen i Plaschke–Miesner zblizali się w ich stronę chwiejnym krokiem. Von Volgen wyglądał jak zaszuszonej mumia, a w ciałach obydwu ziały przerażające rany.

– Wtedy wyszeptalem w uszy młodych lordów rozkaz ataku. Opowiedziałem im o chwale, jaką można odnaleźć w śmierci – powiedziały chórem zwłoki szlachciców.

Gdy młodzieńcy mówili, ten sam wysoki, dziwny głos odbił się echem od ust każdego z martwych zwierzoludzi i żołnierzy powstających z pola bitwy.

– A teraz – odezwał się chór głosów. – A teraz zapraszam was, żebyście dołączyli do nich w tej chwale.

Zwłoki ludzi i bestii roześmiały się jednocześnie piskliwym dźwiękiem, nacierając na Gotreka, Felixa, Rodiego i Kat. W sztywnych rękach unosiły broń. Mimo że Felix nie rozpoznał głosu, który chrząścił w ich umarłych gardłach, to nagle uświadomił sobie, skąd zna ten śmiech.

Był to szaleńczy chichot Hansa Pustelnika.

Spis treści

Karta tytułowa

ZABÓJCA SZAMANÓW

To mroczna, krwawa era.

Po przygodzie z Mrocznymi Elfami.

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22